

Rafał Krawczyk

Jadeitowy Budda

„Jeśli stare nie odejdzie, nowe nie przyjdzie”. (Mistrz Kongzi,
zwany Konfucjuszem)

Fakty, wydarzenia i osoby opisane w książce **są** prawdziwe. Emocje bohaterów, to *licentia poetka* autora.

Postaci historyczne:

Aywan Dordże (vel Iwan Dordżijew), mnich buddyjski, najbliższy doradca XIII Dalajlamy Tybetu.

Thubten Gyatso, XIII Dalajlama Tybetu.

Aleksander III, car Rosji

Konstanty Pobiedinoscew, wychowawca carewiczów i doradca carów.

Michaił Loris-Mielnikow, minister spraw wewnętrznych Rosji.

Mikołaj II, car Rosji.

Sergiej Witte, minister finansów, premier rządu Rosji.

Mikołaj Przewalski, generał rosyjski, geograf.

Stanisław Grąbczewski, generał rosyjski, geograf

Francis Youngusband, pułkownik armii Indii Brytyjskich.

Lord George Curzon, gubernator Indii.

John Minto, gubernator Indii.

Demo Hutuktu, regent Tybetu.

Dapon Lading, dowódca armii tybetańskiej.

Zenobiusz Roźdiestwienski, admirał, dowódca rosyjskiej Floty Bałtyckiej.

Togo Heihachiro, admirał, dowódca floty japońskiej.

Jetsun Dampa VIII, Bogd-gegeen - najwyższy dostojnik Mongolii.

Dowager Cixi, wdowa po cesarzu Kajfengu. **Guanxu**, cesarz Chin.

Liu Manqing, wysłanniczka rządu Czang-kai-szeka do Lhasy.

Charles Bell, oficer łącznikowy rządu Indii Brytyjskich w Księstwie Sikkim.

Thubten Jimpa, sekretarz XIV Dalajlamy.

Matthew Ricard, doktor biologii, mnich amerykańskiej *sanghi*.

Kilka słów wstępu

Rafał Krawczyk - z wykształcenia archeolog i ekonomista, to eru-dyta o rozległych zainteresowaniach wykraczających poza wyuczone dyscypliny. Profesor wykładający zagadnienia międzynarodowych stosunków gospodarczych, świadomie łączący je z uwarunkowaniami politycznymi, historycznymi, kulturowymi i religijnymi.

Z trudem mieści się w ciasnych ramach wykładanego przedmiotu, czasem, na szczęście słuchaczy, ramy te przekraczając! Wiem coś o tym. Uczestniczę niekiedy w przeciekawych rozmowach i dywagacjach, w niewielkim gronie jego przyjaciół, których łączą zainteresowania, doświadczenia, wiedza, erudycja i ciekawość świata. Rozmowach, w których przetaczają się poglądy, zdarzenia, historia, geografia, religia, wielka polityka i różnorodne postawy ludzi.

Wcześniej wydana książka Rafała Krawczyka - „Podstawy cywilizacji europejskiej” - to szczególna praca naukowa. Naukowa - więc o zawężonym kręgu odbiorców, choć traktująca o naszej europejskiej kulturze, naszym rodowodzie i naszej europejskiej cywilizacji - zdawało by się znanej nam od podszewki. Autor jednak potrafił nas zadziwić zaskakującymi, wartymi uwagi informacjami i skojarzeniami.

Pracując nad zagadnieniami Azji dał się uwieść jej tajemniczemu dla nas, Europejczyków, urokowi. Pisząc książkę stricte naukową i nie mieszcząc się w jej ramach, niejako na marginesie - napisał powieść. Powieść dwuwarstwową, fascynującą, ciekawą, bardzo prawdopodobną, z sensacyjną akcją - i bogatymi informacjami o Azji, jej problemach, religii, kulturze, stosunkach politycznych i gospodarczych....

Czytałem tę książkę z uwagą i zaciekawieniem.

Znam Chiny, ale z innej strony. Interesuje mnie architektura i sztuka Wschodu, jej kanony i logika stosowanych rozwiązań, układy przestrzenne odpowiadające systemom sprawowania władzy, rozwiązania twórcze odpowiadające aktualnym potrzebom i możliwościom sprawczym. Stosunki polityczne i gospodarcze, mentalność ludzi Dalekiego Wschodu stanowiły tło moich zainteresowań. Niesłusznie. Są to zagadnienia, które

należy badać i próbować rozumieć łącznie.

Pierwsze moje fascynacje Chinami, to opowieści znakomitego architekta i erudyty - prof. Jerzego Hryniewieckiego, który spędził tam pół roku, chłonąc kulturę i sztukę, zwiedzając, nadzorując inwestycję i rozmawiając z ludźmi.

Ćwierć wieku później - pracowałem w Chinach. Zwiedzałem, nadzorowałem budowę, rozmawiałem z ludźmi - dyplomatami, urzędnikami, artystami, inżynierami, i robotnikami.

Często rozmawialiśmy o Chinach - widzianych z różnych perspektyw - ale zawsze naszą fascynacją była ich specyficzna kultura.

Dwadzieścia lat potem dostałem do przeczytania rękopis powieści Rafała Krawczyka.

Przesuwały się przed moimi oczami miejsca, które oglądałem i fotografowałem, zdarzenia, które znałem z historii i masę informacji dla mnie świeżych. Przede wszystkim informacji o buddyjskiej filozofii. Ale też z zainteresowaniem śledziłem losy bohaterów tej opowieści. Tych głównych ale i drugoplanowych, choć pozostających w tle, też bardzo ważnych - jak np. tajemniczy, pojawiający się pod różnymi postaciami, zgryźliwy i używający chłodnej i przeraźliwie logicznej argumentacji Heine.

W moich wspomnieniach pojawił się Jadeitowy Budda z Jego cynicznym, cierpkim uśmiechem, opuszczony przez mnichów klasztor, wypalone ogarki świec... Przed dwudziestu laty podążyłem drogą głównego bohatera książki nie znając go jeszcze, chłonałem i fotografowałem miejsca, w których rozgrywa się akcja powieści. Te kilka zdjęć na okładce - to jadeitowy Budda i jego opuszczony przez mnichów klasztor w Szanghaju.

Nie można się dziwić, że przeczytałem książkę, a właściwie powieść dydaktyczną, Rafała Krawczyka ze wzruszeniem i zainteresowaniem. Życzę wszystkim czytelnikom, choć trochę znającym Daleki Wschód podobnych wzruszeń. Czytelnikom, którzy tej znajomości jeszcze nie posiadli - życzę pożytecznej i przyjemnej lektury.

Maciej Kysiak

*„Ni ma nic, za czym warto byłoby gonić...
pokój można osiągnąć w każdym momencie,
z każdym oddechem, z każdym krokiem”.*

(Thich Nhat Hanh, mistrz zen)

Rozdział pierwszy.

PEŁNY OBRÓT SAMSARY. LHASA1950.

1. W *Czo'hin*, ogromnej sali modlitewnej Drapungu, najważniejszego klasztoru Tybetu, panowała cisza. Niezwykła cisza. Nie zakłócał jej ani szmer modlitw, ani senne szuranie koralu medytacyjnych różańców. Od strony kuchni, z piętra niżej, nie dochodził żaden dźwięk. Nawet dyskretny odgłos przelewania herbaty podawanej w przerwach modłów nie zakłócał martwej ciszy.

Poczuł się tak, jakby znalazł się w sali po raz pierwszy. A przecież była jego domem. Była miejscem, z którym dzielił dzień po dniu, wieczór po wieczorze. Żył w rytmie jej życia, codziennej mantry powtarzanej bez końca przez rzędy ogolonych głów. Obnażone ramiona mnichów i dyskretny stukot bębenka uderzanego palcami prowadzącego modlitwę, nadawały jej stygmat żywej świętości. Pusta, była martwa i pozbawiona

sensu istnienia.

Ruszył do środka pomieszczenia. Objął wzrokiem znajomą postać Majtrei - 'Buddy, Który Miał Nadejść'. Posąg Oświeconego, jakby nic się nie wydarzyło, był na swoim miejscu - górował ponad ołtarzem jasnym od migocących płomyków. Połączona postać, usztywniona pozycją lotosu, zwieńczona barwną koroną szlachetnych kamieni, odbijała dyskretne cienie światła tańczących wokół maślanych lampek. Przed rzeźbą, rzędy czerwono-ceglastych poduszek leżały równym szeregiem jak wojsko w oczekiwaniu końca z nagłą przerwanej ceremonii. W glinianych naczyniach dopalały się płomyki czarnych od sadzy knotów. Dobiegał końca grudzień 1950 roku.

- Niebawem - myślał - zacznie się *Monlam*, tybetański Nowy Rok. Lhasa rozbłyśnie światłami, ulice zatętnią radością, śpiewem i modlitwą.

Zastanawiał się nad tajemniczością *dharmy* - nauk Oświeconego o odwiecznym porządku wszechrzeczy. Porządkował myśli. W Drapungu, sławnym uczonością na cały buddyjski świat, spędził trzydzieści osiem lat życia.

-Zaraz! - poprawił się szybko - Trzydzieści osiem lat upłynęło od powrotu z tułaczki! Przedtem żyłem tu i pracowałem trzynaście długich lat! To razem? - liczył - Ponad pół wieku! Szmata czasu... Całą wiedzę - tę zwykłą i tę tajemną, a także udział w ważnych decyzjach rządu zawdzięczam temu miejscu. Cóż... Sukcesy naukowe i niepowodzenia polityczne. Tak! Naukowe sukcesy, ale polityczne potknięcia! Nauka, to przestrzeń wiedzyznaczona przeznaczeniem, polityka - to

sprawa ludzi, jak ludzie ułomna i niedoskonała.

Zawiesił pobożnie wzrok na martwym spokojem obliczu Buddy. Wiedział, że zatopi się teraz w medytacji. Zapragnął spotkania błakających się myśli z nieskończoną mądrością Oświeconego. Usiadł. Podłożył pod plecy poduszkę. Przyjął medytacyjną postawę Wajroćany: nogi skrzyżowane, kręgosłup wyprostowany, głowa lekko pochylona. Oczy przymknięte. Dłonie złożone w geście wewnętrznej równowagi -cztery grubości palca poniżej pępka. Prawa dłoń we wnętrzu lewej, kciuki ułożone w trójkąt. Czubek języka dotykał podniebienia - to zapobiega uczuciu pragnienia. Rozsunął ramiona tak, aby między ciałem a załamaniem łokci powstała powietrzna poduszka.

-Buddham saranam gacchami! Dhammam saranam gacchami! Sangham saranam gacchami! - „Przyjmuję schronienie w Buddzie! Przyjmuję schronienie w Dharmie! Przyjmuję schronienie w gminie wiernych"! - Osoba recytująca formułę oczyszcza się, odświeża i wzmacnia, kierując swe serce i ducha ku mądrości i pokojowi. Po jej wypowiedzeniu dostępował uczucia łagodnego uspokojenia.

Przez powieki zamkniętych oczu przeciskał się obraz Oświeconego. Był niewyraźny.

-Czy to Majtreia - Budda Przyszłości, czy Mandżuśri - symbol mądrości? Nie jest to - rozpoznawał powoli - Awalokiteśwara, patron i opiekun Tybetu. Ma dwie ręce, a nie tysiąc!

Z zewnątrz docierał warkot szybko zbliżającego się pojazdu. Pisk opon, zgrzyt hamulców! Trzask drzwi! Podniesione głosy!

-Om mani piidme huml Om mani piidme huml Om mani piidme

huml „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” - Monotonny rytm mantry uspokajał i wprowadzał w przyjemny stan we wnętrznego uniesienia. - O Oświecony! Przyjmij mnie do siebie i wybaw z ziemskiego cierpienia, zbliż do celu - ostatecznego oderwania, niebiańskiego braku problemów, upragnionej nirwany, słodkiego nieistnienia!

Hałas nasilał się, był natrętny, wdzierał się jak intruz w medytacyjną ciszę. Przez przymknięte powieki przedzierał się zarys zbliżającej się postaci.

- To obraz spoza medytacji, to coś zewnętrznego! - myśl biegła leniwie. Chciał objąć wzrokiem całość obrazu, ale powieki były ciężkie, głowa nie traciła bezwładu. Wyraźnie rozpoznawał tylko dolny fragment postaci.
- Skąd znam te przedmioty? Z wojska? Tak! Z wojska! Toporne buty żołnierza! Brudne i ubłocone! - Na czubku jednego sterczała, lekko naderwana, blaszka podkucia. Klasztor leżał w miejscu, które w czasie krótkiej pory deszczowej przemieniało się we wzgórze błota i kamieni. Jego mieszkańcy używali sandałów, nic nie groziło ich obuwiu, ale ta blaszka zrobiła na mnichu wrażenie. Przerazające wrażenie! Na spodzie wystającego spod buta podkucia zatrzymała się grudka ziemi zlepiona w całość materia o brudnoczerwonej barwie. Krew? - przemknęła myśl - Ludzka krew?

Ktoś potrząsnął jego ramieniem. Z modlitewnego transu wytrąciły go słowa mówione w *putonghua* - urzędowym języku ogólnochińskim. Podniósł głowę. Z wysiłkiem otworzył oczy. Przed nim majaczyła postać mężczyzny w średnim wieku, ubranego w polowy mundur chińskiej armii.

Oficerską czapkę zdobiła czerwona gwiazda. Barwa otoku wskazywała na wszechmocną służbę bezpieczeństwa. Z żółtawej, okrągłej twarzy świdrowały skośne oczy pięćdziesięciolatka. W kierunku kącików ust pełzał cienki wąsik. Na skórzanym rzemyku oplatającym szyję zwiślał nagan - sześciostrzałowy rewolwer, niezawodny hazardzista i zwycięski uczestnik rosyjskiej ruletki. Oficer był zdyszany, jakby przybywał wprost z akcji pacyfikowania okolicznych wiosek. Z oczu biła radość drapieżnika dopadającego ofiarę.

-Obudźcie się, towarzyszu Dordżijew!

Mnich drgnął, jakby ukąsiła go żmija. Od sześćdziesięciu lat nikt nie zwracał się do niego w ten sposób. O rosyjskim nazwisku zapomniał. Z życiem poza wspólnotą mnichów nie miał do czynienia od pół wieku. Zresztą, nie znosił tego nazwiska, czuł się nim poniżony. Nie dlatego, że było rosyjską karykaturą prawdziwego. Było puste. Dźwięczało jak wiele podobnych. Jego dawne, prawdziwe, brzmiało - 'Dordże', co po tybetańsku znaczy to samo, co 'wadźra', święte słowo san-skrytu - 'diamentowy piorun mocy', symbol Buddy Awaloki-teśwary, boskiego władcy i opiekuna Tybetu. Ród mnicha, patrzącego na chińskiego oficera jak na zjawę z odległej przeszłości, pochodził od ósmego Karmapy Rimpocze, najważniejszego lamy Tybetu, z czasów, gdy dominowała jeszcze 'Diamentowa Droga' linii Kagyu, a późniejsi dalajlamowie byli tylko podrzędnymi mnichami. Od karmapów, przywódców Czerwonych Czapek nie wymagano celibatu. Więcej, ich ceremonie nadawały ludzkiej erotyce stygmat świętego rytuału - połączenia męskiego i żeńskiego elementu Kosmosu. Syn ósmego Karmapy - Rimpocze Mitsjo Dordże pojął za żonę córkę Ałtan-chana, władcy Mongolii i potomka samego Czyn-gisa. Z nich

wywodził się ród buriackich Dordżów. Na dźwięk rosyjskiego 'Dordżijew' - mnich miał podwójny motyw dla odruchu niechęci. I do tego to - „towarzyszu"! Czerwone Chiny były mu równie nienawistne jak czerwona Rosja!

Z przerażeniem notował sposób, w jaki oficer układał palce dłoni. To był tajemny, ale doskonale zapamiętany gest *suczi-mudra*, starohinduski znak wskazywania, upominania i grożenia.

-Może to przypadek? - przemknęła nadzieja.

Dłoń oficera zamykała się powoli, aby otworzyć się ponownie w tym samym geście - dwa wewnętrzne palce ręki schowane do wnętrza dłoni, trzy pozostałe, lekko rozcapierzone, podniosły się do góry. Serce mnicha zamarło. Podwójna *suczi-mudra* potwierdzała najgorsze. Tajny gest porozumienia używany był przez agentów dawnej carskiej Ochrazy, najgroźniejszej ze wszystkich tajnych policji świata.

- Przecież Ochrazy już nie ma! Znikła wraz z upadkiem Rosji! - nadzieja obudziła się na nowo. - Carska Rosja przestała istnieć ponad trzydzieści lat temu! - myśli pędziły w gorączce - Z tajnymi służbami Sowieców nie miałem żadnego związku! To musi być zbieg okoliczności! To, że chiński oficer zrobił ten gest dwukrotnie nie może nic znaczyć! Ale skąd zna moje rosyjskie nazwisko?
- Misja skończona, Dordżijew! Towarzysze z Moskwy przekazali sprawę w nasze ręce. Jesteście im niepotrzebni!
- Misja skończona? Niepotrzebny? - mnich był wyraźnie zaskoczony - Nie zawierałem z Moskwą kontraktów! Nie godziłem się być radzieckim agentem, a tym bardziej chińskim! Nie wykonywałem poleceń - ani jednych, ani drugich! Służyłem jak najlepiej sprawie

Tybetu! Co to znaczy: „niepotrzebny”? Bo stary? Przecież, wedle tradycji Chińczyków, w którym języku mówił do niego pułkownik Czang, starość oznacza mądrość! Dlaczego mądry człowiek ma być niepotrzebny?

- Dlaczego prowadzicie z nami wojnę? - Mnich zdecydował się przerwać wędrówkę do nirwany i powrócić do ziemskiej rzeczywistości. Jak można wojować z bezbronnymi? -zapytał - Co to za sprawa? Jaką to sprawę Moskwa przekazała w wasze ręce, pułkowniku? - Był wzburzony.

- Tę niby waszą sprawę, sprawę Tybetu! - odrzekł Czang. Chytry uśmiezek nadawał jego twarzy wyraz lisa wężącego za zdobyczą - Nie będziecie, jak to było dotąd w planach radzieckich towarzyszy, ani częścią Rosji, ani radziecką republiką związkową, lecz autonomicznym regionem Chin. Dogadaliśmy się w tej sprawie!

- A jakież to prawa do Tybetu posiadają Chiny? Jesteśmy innym krajem, inną religią i odmienną kulturą! - Mnich zdumiewał się nieszczerze. Znał doskonale chińskie pretensje do kraju na

Dachu Świata.

-Takie samo jak Związek Radziecki! Rosjanie mają równie mocne prawo do tej ziemi jak i my. A religia? Teraz religia się nie liczy. To opium dla ludu! Pamiętajcie o tym! - Czang był przekonany do swoich racji. - Obydwa narody - wasz, tybetański i nasz, chiński, są spadkobiercami potęgi, jaką wyzwolił z mongolskich stepów sam Czyngis-chan! Pamiętajcie historię wschodniej półkuli? To on, Temudżin, mongolski wódz, zjednoczył Azję w jedno państwo - od Donu i Moskwy po Hima

laje i Morze Południowo-Chińskie. To wystarczająca legitymacja!

Mnich znał tę historię na pamięć. Syn wielkiego Czyngisa - Ugiidej, złożył w XIII wieku lamom Tybetu propozycję, której nie mogli nie przyjąć. Pod groźbą zbrojnego najazdu zmusił do przybycia na mongolski dwór Sapana Kunga Gyatsena, uczonego mnicha, najmądrzejszego z mądrych z najznamienitszego klasztoru - Sakya. Cel wizyty był oczywisty - nakłonienie państwa lamów do uczestnictwa w mongolsko-chińskim systemie hołdowniczym. Ale w konsekwencji dalszych wydarzeń - niech kwiat lotosu ma nas dalej w swej opiece! - to Tybet przyłączył imperium mongolskie. Zwycięscy Mongołowie przyjęli buddyzm, stali się jego obrońcami i opiekunami. To oni wynieśli dalajlamów z Drapungu do godności zwierzchników całego Tybetu, uznawanych odtąd za reinkarnację Wielkiego Guru z Indii - Podmasambhawy, pierwszego buddyjskiego lamy na Dachy Świata. Młodzi nowicjusze, podczas zajęć z historii kraju, byli zafascynowani przyczynami, dla których w stepowo-pustynnej Mongolii, rosyjskiej Buriacji, a nawet w Kałmucji, można do dzisiaj spotkać takich samych mnichów i podobne klasztory jak w wysokich górach Tybetu.

-Sam przecież - pomyślał - jestem produktem tych wydarzeń!

Pochodził z religijnej rodziny z Buriaci, leżącej na pograniczu rosyjskiej Syberii i chińskiej Mongolii. Urodził się i wychował na Zabajkalu. Rosjanie zmienili mu imię i nazwisko i usiłowali przeciągnąć na prawosławną stronę. Tybetański lamaizm był silniejszy od prawosławia. Rozprzestrzenił się na Chiny, Koreę i Japonię. Od czasów panowania Ałtan-chana, Tybet cieszył się niczym

nieograniczoną autonomią. W Lhasie przebywał rezydent mongolski, a później - oficjalny przedstawiciel chińskiego dworu. Urzędował, brał pieniądze, ale się nie wtrącał. Tybet miał własną armię, a lamowie rządzili z klasztorów jak dawniej. Starożytne zwyczaje pozostały nienaruszone.

-Ale teraz? - oburzał się całą duszą - Mordują mnichów, niszczą klasztory, prześladują lamów i doprowadzili do ucieczki XIV Dalajlamy, trzynastej inkarnacji Geduna Truppy - pierwszego z wielkich bodhisattwów Tybetu! Czego oni właściwie chcą?

Pułkownik Czang czytał w jego myślach.

•Czego szukamy w Tybecie? - zadał głośno pytanie nurtujące mnicha.

Wsparty na rzeźbionym fotelu przeora miał psychologiczną przewagę nad siedzącym w medytacyjnej pozycji mnichem. Niby, mimo woli, pozwalał ciężkiemu rewolwerowi z bębenkiem wypełnionym sześcioma kulami kalibru dziewięć milimetrów dyndać mu znacząco przed samym nosem.

•Mógłbym wam odpowiedzieć krótko: zapytajcie radzieckich towarzyszy! - Gestem wskazał północ - w tę stronę świata, gdzie daleko, za górami, rozkładała się stepem i tajgą Rosja.

•Sowieci - zauważył nie bez satysfakcji - zatrzymali sobie tylko Mongolię, ale odstąpili od pretensji do Mandżurii, Sin-kiangu i Tybetu. Sądzą - coś go wyraźnie rozbawiło - że dostaną je w przyszłości w pakiecie - razem z całym Chinami. Ostatecznie my, komuniści - zaśmiał się nienaturalnie - dążymy wspólnie do utworzenia jednej Światowej Republiki Rad! Chcemy, aby tak myśleli! - Czang nie ukrywał satysfakcji

•Prawdę mówiąc - wykrzywił usta w grymasie niesmaku -Rosjanie, to barbarzyńcy, którzy usiłują przedostać się do krainy cywilizacji. Obrażają Chiny, sądząc, że jesteśmy rodzajem prymitywnych tubylców. Muszą za obrazę zapłacić! - Czang zmarszczył groźnie brwi. - Ale czas jeszcze nie nadszedł!

- *A propos!* - pułkownik zawahał się przez chwilę - Francuski idiom zabrzmiał karykaturalnie w jego mandaryńskiej chińszczyźnie, w której znaczenie słowom nadaje intonacja, a nie skład zgłosek. - Wiecie gdzie znajduje się pępek świata?

Mnich przeciągał moment odpowiedzi. Wiedział, że nie jest to pytanie z geografii. Zdawał egzamin z polityki.

- Chiny - odparł - to *Zhongguo*, Państwo Środka. Wiadomo też - dodał niechętnie - że według tradycji, środek świata znajduje się w Pekinie, w cesarskim Zakazanym Mieście, w miejscu, gdzie starożytni złożyli granitowy kamień, symboli zujający środek Ziemi.

Mnich odpowiadał powoli, z namysłem. Rewolwer Czanga przytakiwał skwapliwie. Mnich jednak wiedział, że nie mówi prawdy. Ziemskie centrum jest przecież gdzie indziej.

•Ten chiński pępek świata, to imperialna fantazja - myślał skrycie. - Prawdziwy jego środek, energetyczne centrum ziemskiego globu, jego *czakram*, to święta góra *Kailash* w Tybecie, położona u zbiegu granic Indii i Nepalu. Otoczona dwoma zimnymi górskimi jeziorami - *Manasarowar* i *Rakshastał* - wygląda wspaniale, groźnie, jak wypchnięta przez niewidzialne siły na wysokość ponad sześciu tysięcy metrów pięść groźnego bóstwa. Buddyści sądzą, że podziemną energią,

płynącą tam spod Lhasy, kieruje jej stały mieszkaniec - sam Budda Czakrasamwara. Hinduiści, z kolei, wierzą, że robi to ich najpotężniejszy bóg - Siwa. Pomimo dzikości i niedostępności miejsca, codziennie przybywają tu setki pielgrzymów w nadziei na uzyskanie dodatkowej wiązki życiowej energii.

- Nie powiem mu o tym! - postanowił - Jeśli nie wie, niech tak pozostanie!

- Pięknie! - ucieszył się Chińczyk - Środek świata jest w Pekinie! Nie ma żadnej zmiany! - Lubię sobie pogadać z inteligentnymi ludźmi i nie przeszkadza mi nawet, że jesteście klechą. Buddyjskim, ale klechą! - Czang był dobrze wyszkolonym marksistą. - Powiem wam, o co chodzi, Dordżijew! -przeszedł na tonację mającą dowodzić, że jest osobą wykształconą - Zgadzą się z radzieckimi towarzyszami we wszystkim, tylko tej jednej rzeczy nie prostujemy! - przysiadł obok

mnicha na czerwonej poduszce, którą porzucił w ucieczce jakiś mieszkaniec Drapungu.

-Oni sądzą - uśmiechnął się sarkastycznie - że centrum świata, po ich październikowej rewolucji, przeniosło się do Moskwy, na Kreml, tak jak Europejczycy i Amerykanie szukają środka swojego świata w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Nie wiedzą, głupcy, że nic się w tym względzie nie zmieniło i tak naprawdę - pępek świata jest nadal w Pekinie, północnej stolicy Chin! - wyprostował palec, kierując go na własny pępek - Czy jest jakaś przeszkoda abyście się do nas przyłączyli, Dordżijew? - Nagan sennie kołysał się na piersi czekisty.

Mnich wiedział, co to znaczy. Znał dobrze Chiny i rozumiał to, czego nie rozumiała reszta świata. Dla chińskiej racji stanu, Chińczykiem jest każdy, kto na skutek okoliczności uwikłał się w wasalny system Państwa Środka. Życie na chińskim pograniczu nauczyło go jednak, że tylko ludzie z narodu Han, czyli „Chińczycy właściwi”, mogą uważać się tam za ludzi pierwszej kategorii.

- Chińczycy - sięgał głębiej po swoją wiedzę - mówiący po tybetańsku, ujgursku, mongolsku, czy gdzieś na południu - w miao-yao, są tylko i zaledwie mieszkańcami Chin. Prawdziwymi Chińczykami-Han - mruknął do siebie - nie zostaną nigdy! Sam, jako rosyjski Buriata, jestem poza kręgiem kandydatów na Chińczyka, nawet tej drugiej kategorii. Chiny - to wielka cywilizacja, ale nie można - wiedział to ponad wszelką wątpliwość - być cywilizowanym na dwa sposoby! Chińczykiem-Han trzeba się urodzić, nie da się nim zostać z wyboru. Czang kłamał. W Chinach nie ma miejsca ani dla buriackich Dordżów, ani rosyjskich Dordżijewów.

- Co to znaczy przyłączyć się do was? - zapytał by zyskać na czasie.

Czang wyglądał na zaskoczonego, jakby nie miał przygotowanej odpowiedzi.

- Nooo..., to znaczy być razem z nami, służyć Partii i Narodowi.

- Co to oznacza dla Tybetu? - drążył mnich.

Czang poczuł się swobodniej. Ten temat znał na pamięć.

- Tybetańczycy - zastanowił się chwilę - są też Chińczykami, tyle, że z mniejszości narodowych. Od setek lat historia i kultura splotły ich z Chinami. Pragną nadal być ich częścią -nawet, jeśli nie zdają sobie z

tego jeszcze sprawy. My też chcemy przyjąć Tybet do naszej wielkiej chińskiej rodziny.

- Pozwólcie, że się nie zgodzę z wami, pułkowniku! - zaprzeczył łagodnie mnich - Tybet przyjął buddyzm z Indii, a nie z Chin. A starożytna religia *bon* - zauważył - miała wybitnie miejscowy charakter. - Nawet pismo, którego używamy - mnich uważał się za Tybetańczyka - jest tylko zmienioną formą starego alfabetu indyjskiego - *brahmi*.

Czang spojrział na niego z niechęcią. Wydawał się tracić zapał do dalszej dyskusji.

- Pragniemy - zignorował jego uwagi - aby Tybetańczycy dobrze rozumieli przyczyny naszej obecności!
- Obecności, czy wtargnięcia? - mnich starał się być precyzyjny.

Czang spojrział wrogo.

- Czy wy, Dordżijew! - syknął - naprawdę niczego nie rozumiecie?

Wyraźnie puszczały mu nerwy. - To już koniec tego waszego Tybetu - tej średniowiecznej republiki mnichów! Czas już - ryknął nagle - wydostać się z przeszłości i wejść w nowy świat! My go wam niesiemy!

Czang ucichł i zamyślił się znowu.

- Miałem zamiar zrobić wam cały wykład - przestał udawać sympatycznego - w nadziei, że wyrazicie chęć dobrowolnego przejścia na naszą stronę. Na stronę słusznej sprawy! - wyprężył się po wojskowemu - Na stronę socjalizmu! Jednak widzę, że lepiej mówić krótko! Mam polecenie - powiedział to z obowiązku, jakby nie

rozumiejąc celowości instrukcji - żeby dać wam szansę dołączenia do marszu postępu! Ale - mruknął - jeśli nie skorzystacie, wasza strata!

•Słuchajcie więc, Dordżijew! - rewolwer dyndał wolniej ale groźniej -

W przeciwieństwie do radzieckich towarzyszy

nie chcemy ani waszych złotych buddów, ani minerałów, kryjących się pod skałami. Rosjanie oddali nam was - mówił to z satysfakcją - ciepłą ręką, bo wiedzą, że wywóz tych waszych bogactw z wysokości pięciu kilometrów nad poziomem morza jest pozbawiony sensu! A my, komuniści - prychnął z wyższością - nie cenimy ani świętych posągów, ani obrazków i makatek!

•To, po co wam ten kłopot? - mnich postanowił udawać naiwnego, widząc, że pułkownik daje się wciągać w wyznania.

•Nie chcemy waszych skarbów, Dordżijew, chcemy waszej Mocy, którą gdzieś ukrywacie! - powstał i znowu wyprężył się po wojskowemu - Wiemy, że jest potężniejsza niż amerykańska bomba atomowa spadająca na Hiroszimę. Wiemy, że potraficie Moc okiełznać i możecie w to wtajemniczyć swoich chińskich przyjaciół! My zajmiemy się resztą! Użyjemy jej we właściwy sposób, we właściwym czasie! Rosjanie, drogi kle-cho! - Czang nadał głosowi obraźliwą tonację - przekazali nam nie tylko was samych, ale i wasze akta - pułkownik nabrał powietrza w płuca - was Dordżijew samego, z całą waszą wiedzą o Mocy!

•Przecież nasza moc jest w nas, w naszej miłości do wszystkich stworzeń, tak jak nakazał Budda, nasz wielki Oświecony!

Miał jeszcze nadzieję, że pułkownik zrzuci wątek, który niepokoił go coraz mocniej.

-Nie pieprzcie! - uniósł się po żołdacku Czang. - Wiecie o czym mówię i dobrze rozumiecie o czym Rosjanie mogli wiedzieć od swojej agentury! Niestety! - zafrasował się - Wiedzieli niezbyt dokładnie! Mieli informacje o Mocy - o wiązkach energii zdolnych do dokonania wielkich zniszczeń, które gdzieś ukrywacie w podziemiach waszych klasztorów. Nie wiedzieli jednak jak się do niej dostać! I dlatego przekazali was w nasze ręce! Rozumiecie? Macie powiedzieć, co wiecie! Jak na spowiedzi! Zaraz! - zaciekawił się Chińczyk - Czy wychodzicie do spowiedzi? Car uczynił kiedyś waszego Dalajlę mę prawosławnym arcybiskupem! To chyba jednak chodzicie?

Mnich nie miał już nadziei. Nie zamierzał jednak ułatwiać Czangowi zadania.

-O jakiej Mocy mówi pan, pułkowniku? - kluczył dalej. Pomiął wątek dotyczący spowiedzi. Buddyzm nie uznaje istnienia Boga, nie ma też w tej religii miejsca dla kapłanów pośredniczących między wiernym a kosmiczną *dharmą*. Człowiek jest odpowiedzialny sam za siebie i sam spowiada się przed sobą. „*Sami musicie kroczyć ścieżką*”. - nauczał Oświecony - *Ja przeszedłem ją sam, ale nie mogę przejść jej za was. Nikt nie może wyzwolić kogoś innego. Sami musicie zrobić to dla siebie*". Spowiedź za pośrednictwem kapłana nie ma dla buddysty żadnego sensu.

- O tej, którą przed pół wiekiem wyzwolił na chwilę ten inżynier w Ameryce - Nikola Tesla. Pamiętacie meteoryt tunguski?
- Coś kojarzę! - przyznał niechętnie.

Doskonale wiedział, o co chodzi. Prawie pięćdziesiąt lat wcześniej świat obiegła sensacja - doniesiono o zderzeniu z ziemią dużego meteorytu. Miał spaść na syberyjską tajgę i wypalić ją w promieniu kilku kilometrów.

-My wiemy, Dordżijew, że to nie był meteoryt! To ten amerykański inżynier - Czang mówił teraz konfidencyjnie - wyzwolił energię ukrytą tutaj, gdzieś w okolicy Lhasy i skierował jej siłę na puste tereny Syberii. Tyle, że - to go wyraźnie martwiło - efekt był następstwem przypadku. Tesla nie rozpoznał całego mechanizmu. Przestraszył się eksperymentu i zaprzestał badań, dręczony obawą, że świat nie dojrzał do ujawnienia Mocy. Ale my, Dordżijew - spojrzał na mnicha przenikliwie - już dojrzeliliśmy i zrobimy z niej właściwy użytek! Rosyjscy towarzysze - Czang znowu krzychał - przekazali nam was - ilustrując to „przekazanie” zrobił ruch rękami, jakby przestawiał doniczkę z kwiatami - twierdząc, że wiele wiecie o tym, co tutejsi mnisi nazywają magią. Ale nas nie interesują zwykłe sztuczki!

Mnich wahał się przez chwilę. Nie znał się na fizyce ani, tym bardziej, na fizyce wielkich energii. W Irkuckiej Szkole Katedów, buriackim klasztorze i na szkoleniach carskiej służby, fizyka nie była przedmiotem nauczania. Geografia, historia, filozofia, teologia, ontologia, sztuki walki - tak! Ale nie fizyka i chemia! Wiele za to wiedział o subtelnej energii wykorzystywanej w białej magii, nakierowanej na korzystne dla człowieka efekty.

-Tybetańscy mnisi - mówił, jakby chciał zagłuszyć własny niepokój - wykorzystywali ją przez stulecia, kojarząc z hindu

ską wiedzą o energii życia i *medycyną wedyjską*. - Indyjscy lekarze uważają - na własnym przykładzie wiedział, że jest w tym wiele prawdy - iż kluczem do zdrowia (a może i do nieśmiertelności!) jest właściwe gospodarowanie energią, skoncentrowaną w trzech ośrodkach energetycznych człowieka, z których każdą określają nazwą *dosza*. Te trzy centrale - potrafił dotknąć każde takie miejsce - to szczyt głowy, splot słoneczny i okolice narządów płciowych. Utrzymywanie ciała w zdrowiu łączy się ze swobodnym przepływem kosmicznej energii poprzez *czakramy* - bieguny energetyczne, z których górny mieści się w samym szczycie czaszki, a dolny w lewej pięcie. Zaburzenia energetyczne - dalej próbował odciągnąć uwagę pułkownika - spowodowane, czy to chorobą ciała, czy noszeniem niewłaściwego odzienia, odżywianiem, albo emanacją złych emocji, są rzeczywistą przyczyną chorób i śmierci. Tę właśnie, subtelnie nikłą energię wykorzystują szamani do leczenia ludzi i nieraz dopinają swego z dobrym skutkiem.

Tyle, że Czang - tego był już pewien - nie jest zainteresowany „białą” energią. Nie powoduje ona wybuchów i na pewno nie była przyczyną katastrofy tunguskiej. Jego interesuje energia „czarna”, o wielkiej mocy niszczenia. Tej zaś nie wolno ujawnić pod groźbą klątwy i wiecznego odgrózenia od nirwany, a to największa kara dla wiernego, podążającego ścieżką Oświeconego.

-Znamy zasady przepływu energii w ciele człowieka! - tłumaczył cierpliwie mnich - Często używamy tej wiedzy dla dobra ludzi. Nauki klasztorne pozwalają na opanowanie wie

dzy przeznaczonej dla wtajemniczonych. Tę powszechnie dostępną, pozostawiamy bez kontroli. Nie byłoby właściwe, gdyby nieprzygotowani lub źli ludzie mieli dostęp do tego rodzaju tajemnic.

-Czy uważacie, Dordżijew, że my, chińscy marksiści - Czang spojrział na mnicha z uwagą nie wróżącą dobrych za miarów - jesteśmy zdolni do złych czynów? - Wielka energia w naszych rękach - mówił z wyuczonym zaangażowaniem - to równie wielkie szczęście dla ludzkości. Wiemy, że świat zawsze tęsknił do znalezienia się w systemie Państwa Środka! Nasza dzisiejsza nędza, to nie nasza wina! - Na twarzy pułkownika pojawił się grymas pretensji do całego świata - To skutek odrzucenia wielkodusznej oferty cesarza dynastii Ming, by świat wszedł w nasz system wasalny. Czas już na rewanż i odwrócenie biegu historii! Z ukrytą gdzieś tutaj energią, wydobytą i ujarzmioną, Chiny - rozmarzył się - po wtórzą światu propozycję sprzed pięciuset lat. i świat będzie szczęśliwy...

Mnich zrozumiał cel tej dziwnej rozmowy, odbywającej się w klasztorze, mieszczącym się zaledwie kilka mil od Lhasy, pacyfikowanej przez żołnierzy chińskiej Czerwonej Armii.

- Subtelna energia - usiłował się jeszcze bronić - nie jest zdolna do prowokowania wybuchów nawet milion razy mniejszych niż tunguska eksplozja. Skąd miałyby się wziąć w Tybecie tak wielkie skupisko energii?
- To też wiemy! - odparł Czang. Chętnie demonstrował wyższość nad

niedostatkami wiedzy mnicha - Tybet - tłumaczył cierpliwie - to szczególnie region. Tu koncentrują się największe naprężenia ciała naszej Matki Ziemi. Tak, jak w czasie porodu rodząca matka wydziela z siebie nadzwyczajną energię, tak i Ziemia kumuluje jej ogromną ilość w czasie procesów górotwórczych. Na południe od Lhasy - mówił Czang z rosnącym podnieceniem - znajdują się Himalaje, nie tylko najwyższe, ale i najmłodsze góry świata. Są nadal w okresie młodości i rosną w tempie kilku centymetrów rocznie! Czy zdajecie sobie sprawę z tego - pułkownik badał wzrokiem poziom inteligencji mnicha - jak wielkiej energii potrzeba do wypchnięcia w górę skalnego masywu o wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów i długości dwustu pięćdziesięciu kilometrów?

Czang zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i zamilkł.

-Nie wiedzieliście tego - patrzył na mnicha z uwagą - że dzisiejsze Indie, to odłamany kawałek prakontynentu, który nadal napiera na Wyżynę Tybetańską? - wzdął się żeby zilu strować ten napór - Gdzieś musi znajdować się jej epicentrum! Z wyliczeń wynika, że znajduje się właśnie tutaj. Może na nim stoimy? Przecież wy, święci lamowie - słowo 'święci' wypo wiedział z przekąsem - stawialiście swoje klasztory w nie przypadkowych miejscach, nieprawdaż? A dlaczego to ruchy tektoniczne w Tybecie nic nie szkodzą klasztorom? Aaaa?- zafrasował się i zamilkł.

Mnich zrozumiał, do czego zmierza Czang. Na środku głównego placu Lhasy stoi klasztor Dżo-k'ang, centrum lama-izmu i starodawna siedziba Dalajlamów. Tam, w jego podziemiach, mieści się tajemnica, którą zna

tylko on i jego pan -XIV Dalajlama, ale ten święty mąż zbiegł z Lhasy w obawie przed Chińczykami. Teraz ukrywa się gdzieś w górach, na południu kraju. Wszystko zależy od niego - Strażnika Mocy.

-Jeśli coś jest, to nie tutaj, ale w Dżo-k'angu! - powiedział i zaraz pożałował pośpiechu. Twarz Czanga zmieniła się raptownie. Wyrażała skupienie i uwagę. Zbliżył się powoli do mnicha.

- Powiedźcie coś więcej. To niezwykle ważne! - czekista poczuł, że jest coraz bliżej rozwiązania zagadki i rozpoczęcia akcji powierzonej mu w Pekinie.
- Nie, nie! - zaprzeczył nerwowo mnich - To tylko luźne, nic nie znaczące skojarzenie.
- Skojarzenie? Czego z czym? - naciskał Czang.

Mnich wiedział, że żaden klasztor w Tybecie nie jest otoczony taką atmosferą tajemniczości jak Dżo-k'ang. Nawet jego początki nie są dokładnie znane. Był pierwszą katedrą buddyjską w Lhasie, zbudowaną tysiąc lat wcześniej, za czasów króla Cong'ka-py, pierwszego buddyjskiego władcy Tybetu. W tej właśnie świątyni - widział to wielokrotnie na własne oczy - znajduje się najświętszy dla Tybetańczyków wizerunek ukoronowanego Buddy - *Dżo-bo*, przywieziony w posagu przez chińską małżonkę króla.

-To ten król - mnich usiłował przypomnieć sobie szczegóły - przeszedł na buddyzm i zwalczył *bon* - pradawną, okrutną religię Tybetańczyków, wedle której ludzie zrodzili się ze związku samca małpy z górską diablą. - Brzmi to dziwnie - sam nigdy w to nie uwierzył - ale to, co dobre w ludziach po

chodzi od niego, lokalnego małpizona, co złe - od małpiej małżonki, kobiety-demon. Ta olbrzymia kobieta-demon - nią samą nigdy się nie zajmował, mnichowi nie wolno wyrażać najmniejszego zainteresowania kobietami - pokonana, miała runąć na plecy w miejscu, w którym dzisiaj znajduje się Lhasa. Z krwi płynącej z jej serca - wzdrygnął się na myśl o tej obrzydliwej istocie - miało powstać jezioro złej mocy. Król - mnich był mu za to wdzięczny - postanowił zbudować świątynię w miejscu jeziora, aby pokonać i zdusić ukryte tam dzieci małpy i kobiety-demon. Z początku, złe siły prowokowały eksplozje, zapobiegając osuszaniu jeziora i opóźniając budowę świątyni.

Pomimo stałego zgłębiania tajemnic buddyzmu, nawet on -najbliższy powiernik Dalajlamy - nie dowiedział się, co to właściwie jest *TO*, ukryte w pilnie strzeżonej komnacie w podziemiu klasztoru Dzo-k'ang. Poznał drogę do sekretnego wejścia i znał zakłęcie otwierające ukrytą salę z ołtarzem kryjącym tajemne instrukcje. XIII Dalajlama mianował go Strażnikiem Mocy, ale nigdy nie wprowadził w mechanizm jej wyzwiania. Był trochę zmartwiony tym na wpół wtajemniczeniem. Wiedział, że mieści się tam wielka, czarna siła ujarzmionej górskiej diablicy i że nie wolno nigdy i nikomu do niej dotrzeć. Kiedyś, gdy po raz pierwszy wprowadzono go do Przybytku Mocy, demonstracja jej możliwości przyprawiła go o kilka bezsennych nocy i pozwoliła ogarnąć rozmiar odpowiedzialności. Ale teraz nie chciał o tym pamiętać.

-Tajemne drzwi muszą pozostać zamknięte! - krzyczało coś w środku trzewi. - Jeśli powiem - myślał gorączkowo -

zabiją mnie, będę niepotrzebny! Jeśli nie powiem - dodawał głos wewnętrzny - użyją tortur! Tak, czy owak - czuł bezna dziejność swojej sytuacji - odejście śmiercią gwałtowną zmusi mnie do rozpoczęcia ponownego cyklu życia, uniemożliwi nirwanę! Co robić? - był bliski rozpacz.

Czang znowu czytał w myślach mnicha.

-Mówcie, towarzyszu, mówcie! - ponaglał.

Postanowił udawać naiwnego.

-To tylko luźne, nic nie znaczące skojarzenie - powtórzył, jakby pragnął zbudować z tego stwierdzenia barierę nie do pokonania.

Kiwał się rytmicznie na medytacyjnej poduszce.

- Ani tu, ani w Dżo-k'angu, nie ma niczego, co mogłoby was zainteresować, pułkowniku! - Bezwiednie przeszedł na komunistyczną formę „wy”.

Czang zbliżył się do niego, jakby chciał mu dodać otuchy.

-Zaraz sobie przypomnicie, Dordżijew! -

Poczuł nagle uderzenie w podbródek. Nie bolało, ale zrozumiał znaczenie słowa 'nokaut'. Zapadł w ciemność, a jego świadomość zgasła na dłuższą chwilę. Czy była to już nirwana...?

2.

-Obudźcie się, Dordżijew!

Otworzył oczy. Znowu widział Czanga. Nie wyglądał na skłonnego do żartów.

-Jesteście potrzebni i to już! - głos czekisty brzmiał jak warkot wściekłego psa.

Leżał na plecach, rzucony na podłogę wojskowej ciężarówki. Z góry patrzyły dwa szeregi skośnych oczu. Przestraszył się, że gwiazdy chińskich czerwonoarmistów mogą odpaść z czapek i poparzyć mu twarz.

-Czy one naprawdę parzą? - przemknęło idiotyczne pytanie. Zaśmiał się półgłosem.

Czang wysiadał z oficerskiego łazika.

-Czemu to wam do śmiechu, Dordżijew? Będziemy śmiać się razem, gdy już będzie po wszystkim!

Żołnierze wypchnęli go z ciężarówki. Upadł na bruk. Poły ciemnoceglastego koloru habitu ciasno oplatały nogi. Nie mógł podnieść się z kolan. Zadarł głowę. Na szczycie kamiennych schodów widział wspaniale stare, cudownie rzeźbione wrota Dżo-k'angu, a nad nimi błyszczącą złotem kolistą budowlę zwaną Chorągwią Zwycięstwa. Pojął intencje Czanga. Miał go zaprowadzić do wejścia, gdzie kryją się podziemne moce! On, uczony *laram geshe* i ostatni powiernik Dalajlamy, wierny sługa Przeznaczenia, Strażnik Mocy, ma być zdrajcą? -czuł tężejący opór. - Mam oddać los świata w ręce chińskiego kagiebisty? Mam wskazać miejsce gdzie kryje się Moc?

- Dawaj, dawaj! - wydało mu się, że usłyszał piskliwy głos Jadeitowego z Szanghaju.
- Czy chiński Budda zna rosyjski? Może szkolony w Moskwie? - błysnęło nedorzeczne pytanie. Umysł, nawet w chwili grozy nie zaprzestawał żądać wyjaśnień. - Klejnocie w kwiecie lotosu, pomóż!

Nie pozwól im na to! Daj mi siłę przetrwania lub wolę umierania, ale nie pozwól im zawładnąć tajemnicą!

- Czy przypadkiem - Czang patrzył na mnicha wyzywająco - nie poczuwacie się, Dordżijew, do spłacenia długu? Czy mnisi nie mają poczucia przyzwoitości?
- Długu? - mnich był oburzony - Nie mam żadnego długu w stosunku do Chin - ani tych cesarskich, ani ... - zawahał się czy użyć słowa 'komunistycznych', w jego sytuacji użycie obraźliwego, a tak dlań brzmiało słowo 'komunistyczny', nie było taktowne -... tych współczesnych - wystękał.
- Nie macie w stosunku do Chin, ale macie - Czang roześmiał się w jakiś sadystyczny sposób - w stosunku do służb! Te są ponadnarodowe i ponadczasowe! - Śmiał się teraz głośno rodzajem profesjonalnego rozbawienia.
- Jakich służb? - mnich bronił się rozpaczliwie - Z żadnymi służbami nie mam nic wspólnego!
- A z Ochraną? - Starą i doskonałą - pułkownik mlasnął wargami w oznace podziwu - tajną służbą rosyjskiego cara, też nie mieliście nic wspólnego?
- Ochrany dawno nie ma! - zdawało mu się, że triumfuje - Nie ma jej od trzydziestu lat! Nie mam żadnych zobowiązań!
- Nie ma? - Czang zakipiał szyderstwem - Nie istnieje nazwa, ale żyje treść! Służby, mój drogi! - to 'drogi!' na pewno było fałszywką - nie giną! Są wieczne!
- Nie są wieczne, są narodowe! - wołał bezbrinnie mnich - Rosji nie ma!

Nie ma i Ochrony!

- Mylisz się! - Twarz chińskiego kagiebisty znów nabrała profesjonalnego wyrazu - Służby są jak geny! Państwa umierają, geny pozostają! I ja i ty - przez chwilę był towarzyski -jesteśmy genami wszystkich naszych poprzedników! A poprzednicy - swoich poprzedników i tak dalej i tak dalej! W tej branży nic nie ginie bezpowrotnie!
- Nie jestem Ochronie nic winien! - mnich nie składał broni.
- Nie jesteś? - pułkownik powrócił do szyderszej konwencji - A to otwarte konto w Szanghaju? Dwa lata luksusu i dwa lata kosztów?
- Spłaciłem! Zadanie wykonałem! - bronił się rozpaczliwie - Anglicy zgodzili się na układ w sprawie Tybetu! Nic nie jestem winien! - mnich upierał się przy swoim.
- Dostałeś cały pakiet! A w pakiecie był nie tylko najlepszy w mieście hotel, ale i komfortowy statek z Szanghaju do Kalkuty, luksusowa kajuta pierwszej klasy i-to już twoja inwencja - piękna kobieta! - Nie płaciłeś z własnej kieszeni! A kobiety są zawsze najdroższą częścią pakietu!
- Była mowa tylko o jednym zadaniu! Zostało wykonane! -mnich teraz krzychał - Ją zostawcie! To wyłącznie moja sprawa!
- W tej robocie nic nie jest naszą sprawą! Nie mamy własnego życia!
- Każdy ma prawo do miłości! - głos mnicha zabrzmiał rozdzierająco.
- Nie ma! - syknął Czang, jakby dotyczyło to go osobiście -I nie ma miłości! Jesteś uczonym buddystą. Dobrze wiesz, że miłość to ułuda! Jest tylko marnym cieniem prawdziwej rzeczywistości! Rzeczywistość

to my! W naszej pracy kobiety są tylko narzędziem! A wiesz jak to jest z narzędziem? Im szyb-

ciej wymienisz je na nowe, tym lepiej dla sprawy i dla ciebie samego!

- Ona jest inna!
- Każdy tak mówi, chociaż wie, że wszystkie są takie same!
- Ona jest inna! - upierał się mnich.
- Inna? - czekista zawiesił głos uważnie lustrując twarz wzburzonego mnicha. - Bylibyście gotowi, Dordżijew - Czang znów przeszedł na 'wy', powracając do oficjalnej tonacji pozbawionej koleżeńskich porad - na przykład, dla niej umrzeć? Wtedy - lekceważąco wydał wargi - może bym uwierzył, że jest inna!

Mnich poczuł rozplywający się w nim spokój.

-Dobre pytanie! - pomyślał - Bardzo dobre pytanie! Który z Buddów Dżo-k'angu dał mi tę nagrodę? - zastanawiał się z wdzięcznością - Chyba ten Najważniejszy! - uśmiechnął się w duchu. Zacisnął zęby w wyćwiczony sposób tak, aby mała fiołka z cyjankiem wysliznęła się bezpiecznie spod słabego wypełnienia trzonowego zęba. Czuł jej krągłość na języku. Delektował się chwilą.

Czanga zaniepokoił nagły spokój mnicha. Wolał, kiedy krzyczał, niż gdy się uśmiechał. Czuł, że traci nad nim przewagę.

-Dordżijew! Bez wygłupów! - wywrzasnął rozpaczliwą komendę. Na twarzy pojawił się grymas niepokoju i wściekłości. - Sprawa jest za poważna, byście się unosili honorem! - darł się na cały głos.

Mnich uśmiechał się i poruszał ustami. Wyczuwał bliskość nirwany. Przez upojny stan odchodzenia przedarł się obraz twarzy ukochanej. Dostrzegał jej dziewczęcy, pełen radości, uśmiech. Wyglądała na podnieconą oczekiwaniem.

-Czy ona naprawdę czeka na mnie? - myśl błysnęła na dzieją.

Zobaczył w jej oczach radość spotkania i poczuł, że zsuwa się ze ścieżki prowadzącej do nirwany.

- Podobno w momencie śmierci - przypominał sobie -przed oczami przesuwa się film z całego życia! Czy ten obraz też jest z tego filmu? Jeśli to kadry z życia, powinny biec od początku i przesuwać się mechanicznie! - Wyostrzył wzrok. Obraz nie wyglądał na krótki kadr pamięci. Był realistyczny i bardzo wyraźny. Film nie przesuwał się dalej.
- Może nie jestem gotów? Spróbuję jeszcze raz! - myślał intensywnie. Znowu zdążył do *nirwany*, do wyrwania się z *sam-sary* - wiecznego kołowrotu wcieleń. Całym sobą pragnął zjednoczenia z kosmiczną *dharmą*. Dziewczęca twarz nie zniknęła. Kadr z obrazem zastygł w bezruchu i tkwił wciąż w tym samym miejscu.
- A jeśli to pożądanie? - przestraszył się na serio - Nigdy nie osiągnę nirwany! Oświecony nauczał, że pożądanie jest przyczyną cierpienia, jeśli teraz nie wejdę na właściwą ścieżkę czeka mnie następne okrążenie życia!
- Chciałbym odpocząć! - skierował modlitwę do Oświeconego - Pragnę nie być, nie cierpieć i nie czuć! Odepchnąć pożądanie! - Myśli biegły jak w gorączce, ale wola zerwania z natrętnym obrazem słabła. -

Czyżby praca całego życia - myśl snuła się coraz wolniej - wysiłek siedemdziesięciu lat, stawał mi się obojętny w obliczu spotkania z kobietą? Czyżbym naprawdę tak jej pragnął, że gotów jestem zrezygnować z nirwany i dokonać jeszcze jednego obrotu życia? - Nie wierzył, ale i troszkę już wierzył w tę swoją niepewność.

Obraz dziewczęcej twarzy zmalował i oddalił się. Zamiast skorzystać z okazji i powrócić na ścieżkę nirwany, zrobił gwałtowny ruch w przeciwnym kierunku - wyteńczył wzrok w nadziei na podtrzymanie żywotności obrazu.

- Jakże ukochałem jej ciało! - Wzruszenie utrudniało oddech.

Nagle zobaczył ją całą! Obraz był ostry, wyraźny i realistyczny. Stała przed nim jak żywa, jak wtedy - w kabinie statku zdążającego z Szanghaju do Singapuru. Barwne kimono leżało u jej stóp jak zwinięty we śnie kotek, a ona była bezwstydną i dumnie wyprostowaną. Mówiła coś do niego. Słuchał z uwagą. Zawsze wiedziała, że to on i nigdy nie miała wątpliwości! Niezależnie od tego, co by się miało wydarzyć!

- Wydarzyło się tak wiele... - Myśl biegła do niej chętniej niż do nirwany.
- Kochałem ją za wszystko! - zapadło mu to w pamięć jak kamień w otchłań - Nawet wtedy, gdy obejmował ją sam Oświecony. Tak! - pamiętał doskonale - Oświecony kochał się z nią dwukrotnie! Gdzie to było? - Wspomnienie pobiegło daleko wstecz - Raz, w świątyni Śakyamuni Budda Gaya w singapurskiej dzielnicy *Little India*] Drugi - w świątyni bogini Kali w birmańskim Rangunie. - Nie czuł zazdrości. Trudno być zazdrosnym o bogów! - Uśmiechnął się do siebie. - Zresz-

tą, czy naprawdę robili to z nią bogowie, czy też ja służyłem za medium? - Nie pocieszał się - tak właśnie myślał. Wiedział, że to ona była ulubienicą bogów. Sam był tylko narzędziem *dharmy*.

- *A* jeśli ona naprawdę na mnie czeka i trzeba tylko wyciągnąć rękę? - błąkało się pytanie. Nagie, dziewczęce ciało znowu mignęło za zasłoną z mgły.
- Masz prawo do odejścia! - usłyszał znajomy głos - Zasłużyłeś sobie na to! Wypełniłeś polecenie Przeznaczenia! - Mnich dostrzegł teraz niewyraźny zarys łagodnej twarzy Fu Songmu. Mistrz gładził rozwiewaną wiatrem cienką, długą, chińską brodę. Po tym ruchu rozpoznałby go wszędzie. Był spokojny. Urzekł spokojem.
- Przeznaczenie - mistrz Fu uśmiechał się do niego - nie przewidziało tego, że tak wielkie uczucie może wydobyć z mężczyzny kobieta. Los nie zajmuje się drobiazgami.
- Mówisz jak ona, mistrzu! Zupełnie jak ona!
- To ona miała rację, wbrew twojej wyuczonej filozofii! Rzeczywiście, bodhisattwowie nie mają czasu zajmowania się wszystkimi ludźmi na ziemi. Wybierają tych, którzy są ważnym elementem mechanizmu *dharmy*. Przeznaczenie - Fu mówił to ze spokojem - żądało od ciebie zwykłej, fizycznej prokreacji. *Dharmie*, kosmicznemu prawu wszechrzeczy, potrzebny był twój syn z tą kobietą. I nic więcej! Ale ty - twarz mistrza Fu wyrażała podziw - podarowałeś światu coś więcej!

Twoja miłość do niej stała się częścią kosmicznej energii, częścią dobrej *karmy*. Masz zasługę dla Kosmosu, jakiej nie mają zwykli ludzie. Dostałeś dyspensę - postać mistrza Fu migotała w odbitym złotymi dachami Dżo-

k'angu świetle słońca - i masz prawo do odejścia w sposób, jaki sam wybierzesz!

Obraz mistrza rozplynął się w porannej mgle. Przez chwilę słyszał jeszcze jego chichot. Chichot? Mistrz Fu nie śmiał się w taki sposób! To chyba ten Żyd - Heine!

- Co tu robisz? - Zdumiał się mnich.
- To samo, co mistrz Fu! - Rzadkie włosy opadały mu na czoło, tworząc zabawną próbę uformowania grzywki. - Opiekuję się tobą! Po prostu cię lubię!
- Nie pożegnałeś się ze mną schodząc ze statku w Singapurze! Tak bardzo pragnąłem ci podziękować! Bez twojej pomocy nigdy bym jej nie spotkał!
- Nie trzeba dziękować! - Twarz Heinego nabrała powagi -Zrobiłeś więcej, niż od ciebie wymagano. Z twojego ciała, z ciała was obojga, zrodziła się przyszłość Tybetu i naszej wiary we wrodzone człowiekowi dobro!
- Naszej? - Przecież jesteś Żydem!
- Któż wie, kim naprawdę jest? - Pytanie zabrzmiało retorycznie - Poza tym karma nie jest niczyją własnością! Dobra karma jest ekumeniczna! - Heine śmiał się teraz od ucha do ucha - Zostawiłeś po sobie dużo karmy, dobrej karmy!
- Czekaj! - wołał mnich w podnieceniu - Ty jesteś...?, Wy obydwaj..? Jesteście bodhisattwami?!
- Zajmujemy się tobą, bo jesteś ważną częścią mechanizmu *dharryny*. Powinieneś być dumny! Zostałeś wybrany!

- A więc, to ona miała rację! Zawsze mówiła, że zostaliśmy wybrani!

- Możesz odejść w spokoju! Ona też odchodzi i czeka na ciebie. Możesz odejść w spokoju! - Powtórzył dobrotliwie -Nie będziesz już sam!

Oczy zachodziły mgłą. Nie rozpoznawał przyjaciela. Mieszał mu się z uśmiechniętą w oczekiwaniu twarzą ukochanej. Jeszcze jedna postać błąkała się we mgle poranka.

-Kto to? Czy nie zostawią mnie w spokoju? Za chwilę wejść w pierwszy stan *bardo* - zanikania i przekształcania! Odsłoni się przede mną *Dharmakaja* - Jasność Podstawy, nie uwarunkowana niczym prawda, do której nie ma dostępu iluzja, niewiedza ani żadne pojęcie! Potem przyjdzie Wewnętrzna Promienność - znał na pamięć trzy fazy odchodzenia. Miał uczniów, których instruował o stanach *bardo*, powrotu do stanu narodzin, nazywanego przez zwykłych ludzi śmiercią. Wiedział, że na koniec, pojawi się blask energii i światła - *Sambhogakaja* i poprowadzi go w sferę krystalizacji formą - *Niwanakaja*, *bardo* stawania się na nowo.

Rozpoznawał tę twarz. To stary nauczyciel z Drapungu, dawno zmarły Działjang Khjentse Czótki Lodró.

- To ty, nauczałeś, mistrzu, że „świadomość samobójcy nie ma wyboru, bo kieruje nią negatywna karma"! - przypomniał sobie wspólne rozważania i medytacje - Nie jestem samobójcą! - wzdrygnął się na samą myśl - Jestem Strażnikiem Mocy i mam dyspensę! - Stary nauczyciel nie ganił go spojrzeniem. Patrzył na niego z wyrazem podobnym do łagodnie mądrych oczu mistrza Fu.

- Mistrz Fu zapewniał o dobrej karmie i nagrodzie! Mówił to przed

chwilą! Więc jednak mam dyspensę? - mnich chciał mieć pewność, że nie jest to tylko jego własne, egoistyczne pragnienie. Starzec uśmiechnął się i pokiwał głową.

Raz jeszcze skierował wzrok na błyszczące w słońcu poranka rzeźbione wrota Dżo-k'angu i zdecydował! Poczł się tak wolny, jak może czuć się wolny człowiek w chwili śmierci. Pojemniczek z trucizną powoli obracał się pomiędzy językiem a podniebieniem. Napawał się tą chwilą. Czuł w ustach siłę woli. Kontrolował przeznaczenie. Od jego decyzji zależało teraz wszystko...

Rozdział drugi.

BLIŻNIACZA REINKARNACJA. BURIACJA 1875-1882.

1.

Kilka mil na zachód od Lhasy, tuż przy drodze prowadzącej z jałowych gór w kierunku żyznych dolin Syczuanu, wznosi się wzgórze, zwane 'stosem ryżu'. Zabudowane budynkami o wapnowanych ścianach, jest jednym z trzech centrów lama-izmu. To słynny klasztor Drapung, w którym mieszka, modli się i studiuje siedem tysięcy mnichów. Razem z klasztorami Sera i Gandan stanowi filar państwa tybetańskiego.

Z okien i tarasów klasztoru widać, rozrzucony po zboczu wzgórza, kompleks białych budynków o czerwonych dachach, otoczony wysokimi drzewami. Położony poniżej Dr-apungu, klasztor Naczung - to siedziba państwowej wyroczni, instytucji odgrywającej w okresach wielkich przesileń niezwykłą rolę.

Najgroźniejszym dla losów państwa mnichów wydarzeniem była śmierć Dalajlamy i jej następstwo: żmudne poszukiwanie kolejnej reinkarnacji

Buddy Awalokiteśwary - „Pana Łagodnie Spoglądającego w Dół”. Ten najwyższy dostojnik - 'boski król', jest przewodnikiem duchowym wiernych i świeckim władcą Tybetu. W okresie regencji, inicjatywę przejmuje wyrocznia Naczungu i to ona jest odpowiedzialna za procedury skutecznego wyszukania kolejnego następcy zmarłego przed czterystu laty Geduna Truppy, pierwszej ze świętych reinkarnacji Dalajlamów.

Wiosną 1880 roku w klasztorze Naczung panowała wyjątkowa atmosfera. Pięć lat wcześniej zmarł, zapewne otruty, dziewiętnastoletni XII Dalajlama - Trinley Gyatso. Śmierć młodzieńca, podniosła klasztorne szepty o jeden ton wyżej. Rzadko kiedy młody człowiek umiera nagle i do tego w tak niezwykłych okolicznościach. Odkąd Chiny roztoczyły polityczny nadzór nad Tybetem, mało kto z Dalajlamów kończył życie w naturalny sposób. Dalajlama VI został zamordowany, Dalajlama IX uduszony, a Dalajlama X, dożywszy zaledwie dwudziestu jeden lat, zginął pod zwałami sufitu swojej własnej sypialni.

Nic nie zdejmowało z państwowej wyroczni świętego obowiązku odnalezienia kolejnej inkarnacji. Więcej, nakładało na nią nowy - nie poddawania się chińskim manipulacjom, tym bardziej, że Cesarstwo Chin znajdowało się w kłopotach. Władza mandzurskiej dynastii Qin gniła, europejskie mocarstwa poczynają sobie coraz śmieiej, a karna ekspedycja aliantów dotarła do samego Pekinu.

Kiedy nastał dzień rozpoczęcia poszukiwań, w sali modlitewnej zgromadziło się wielu mnichów. Każdy miał wyznaczone miejsce na jednej z czerwonych poduszek, ułożonych rzędami przed ołtarzem ze złożonym wizerunkiem Buddy. Od rana nucono mantrę *om mani pddme hum*, recytowano teksty zaklinające i egzorcyzmy ze świętej księgi

Kaloćakratantra. W recytacji słychać było tajemnicze tony. Słowa wypowiedziano w szczególny sposób, tak jakby szło o wywarcie wpływu na jakąś niewidzialną istotę. Na podwyższeniu, obok tronu przeora, rozłożono bogato zdobioną szatę, skórzane buty z cholewami i żółtą spiczastą czapkę inkrustowaną srebrnymi trupimi czaszkami. Przed nimi spoczywał *p'urbu* - magiczny sztylet, którym pierwszy mistrz tybetańskiego buddyzmu - Pad-masambhawa, przegnał demony starożytnej religii *bon* i zmusił do powrotu już jako dobre duchy wspomagające dzieło Oświeconego.

Przed rzeźbionym wizerunkiem Padmasambhawy zapłonęły lampki podsycane masłem z mleka jaka. Po sali przetoczył się zapach palonego tłuszczu i woń kadzidełek. Roznoszono poranną herbatę z masłem i nalewano z metalowego dzbana w czarki stojące przed każdym z obecnych. Minęła dłuższa chwila i z za kotary wyłonił się kapłan. Zdjęto z niego habit, założono szatę, buty i spiczastą czapkę. Na jego piersi zawisło metalowe zwierciadło - symbol magii. Kapłan opadł na tron i długo wpatrywał się przed siebie. Ręką ujął sztylet.

Zapalono kolejne lampki. Unoszący się dym zakrywał wróżbitę słabą zasłoną. Przebijały się przez nią skośne promienie słońca z trudem przeciskające się przez małe okno.

Długo nie działo się nic. Kapłan rytmicznie wdychał dym. W pomieszczeniu panowała cisza. Nagle, wyprostował się i wstał na całą wysokość. Jego postać, szaty i czapka urosły do sufitu. Kamienny Padmasambhawa też zdawał się unosić w górę. Kapłan dłuższą chwilę wirował wokół posągu. Ustał i zastygł w bezruchu. Poruszył się gwałtownie i opanowały go konwulsje. Dwaj towarzysze z całych sił

podtrzymywali wiotczejące ciało. Trzeci nachylił się ku niemu. Drgająca postać znieruchomiała. Poruszyła głowę tak nagle, że obecnym wydawało się, iż nie należy wcale do kapłana. Ktoś wyciągnął w jego kierunku szyję i nasłuchiwał niezrozumiałych dźwięków. Głowa szepnęła zdrewniałymi ustami coś, czego nikt z obecnych nie usłyszał, ale ten, który się do niej przysunął, odskoczył gwałtownie jakby ktoś ryknął mu prosto w ucho. Ciało kapłana wygięło się w łuk, usta wydały chrapliwe dźwięki, które pospiesznie zapisano. Skryba podsunął mu tekst pod nos, ale ten znowu opadł z sił. Poruszył się i wodził palcem po zapisanym tekście, zatrzymując się przy niektórych zwrotach i symbolach. Czoło kapłana pokryło się potem, ślina ciekła z na wpół odkrytych ust. Zesztywniał w dziwacznej pozycji człowieka przechylonego w stronę promienia słońca padającego z okna. Skropiono mu twarz świętą wodą. Rozejrzał się zdziwiony miejscem, w którym się znalazł, po czym wyprowadzono go z sali.

- Zadawanie pytań bardzo się udało! - ogłosił przeor. Gładko ogolona głowa dodawała mu dostojęstwa. Z lekko skośnych oczu wyzierało ciepło mądrego człowieka - Nowa inkarnacja świętego Geduna Truppy zostanie wkrótce odnaleziona! Wyrocznia wskazała dwa miejsca poszukiwań. Jedno dosyć bliskie - to Langdun w prowincji Dakpo, drugie promieniuje nieco silniej, ale znajduje się gdzieś bardzo daleko na północy. Co do drugiego, nie ma pewności ale wróżbita -przeor zawahał się jak tę informację ubrać w słowa - kilkakrotnie powtarzał słowa *dacan* oraz *Iwolge*.
- Czy reinkarnacja Awalokiteśwary może urodzić się tam, gdzie nie mieszkają Tybetańczycy? - wyrwało się młodszemu mnichowi. Był bardzo młody, wysoki, jego twarz miała jasną

karnację bez śladu mongolskiej fałdy nadającej Azjatom orientalny wygląd.

- Dlaczego, Lopsangu, uważasz, że miejsce, którego będziemy szukać znajduje się aż tak daleko? - zdziwił się przeor.
- Wasza Świątobliwość! - młodszy wstał z poduszki, w oznace, że ma coś ważnego do powiedzenia. - *dacan*, to w języku buriackim znaczy - „klasztor"! - Lopsang urodził się w południowej Buriacji - Jest tam miejsce o nazwie *Iwolga*, w którym znajduje się klasztor ufundowany trzydzieści lat temu!

Przez chwilę panowała zupełna cisza. Przeor podniósł głowę znad tekstu wyroczni i zganił młodszego mnicha.

- Lopsangu! - Przez jego surowość przebijało wahanie -Twoje zdziwienie nie jest uprawnione! Panował już nam święty lama Yonten Gyatso z mongolskiego plemienia Tukloghan. Inkarnacja urodzona w Buriacji nie łamie żadnej zasady!
- Ależ, Wasza Świątobliwość pozwoli! - Lopsang jeszcze nie otrząsnął się z szoku po wskazaniach wyroczni. - Buriacja nie leży w Mongolii! Od stu lat to już Rosja!
- To istotnie jest problem, który musimy rozwiązać!

Przeor pochylił się ku zapisom z seansu z wróżbitą. Poszeptał ze starszym klasztoru.

-Masz rację, Lopsangu! - powiedział wreszcie - Sygnał idący stamtąd, pochodzi z rejonu położonego gdzieś między północną granicą Mongolii a jeziorem Bajkał - przeor nie tracił spokoju - Zresztą - dodał - na tobie spocznie obowiązek orga

nizacji poszukiwań. Przecież sam stamtąd pochodzisz, nie
prawdaż?

Lopsanga mile połechnęło wyróżnienie, ale nadal czuł wątpliwości.

- Wasza Świątobliwość! - mówił już spokojnie - Będziemy musieli przebyć aż trzy granice. Po drodze są chińskie prowincje Sinkiang, Gansu i cała Mongolia.

- Z Chińczykami mamy dobre stosunki i bez trudu dostaniemy pozwolenie na podróż. Będziecie zatrzymywać się w tamtejszych klasztorach. Jest ich tam wiele! Możecie przy okazji odwiedzić miejsce urodzenia samego Cong'-ka-py! - za-

uważył przeor. - W Mongolii wspomogą nas miejscowi la-mowie.

Pozostaje Rosja!

Wypowiadając to słowo drgnął jak pod wpływem nagłego dysonansu. Słowo Rosja brzmiało dlań jak określenie „biały człowiek”, a wysmagani górskim wiatrem Tybetańczycy mają twarze nie podobne do białych ludzi. Zostaną rozpoznani i jako obcy wydalenii z Rosji!

- Wymyśl rozwiązanie! - zwrócił się do Lopsanga.

- Jest jedno! - odpowiedział z namysłem młody mnich. - Dla Rosjan wszyscy Azjaci są jednakowi! Nie odróżniają Chińczyka od Mandżura, Mongoła od Buriaty, a Tybetańczyków nie widują nigdy!

- Sam widzisz, że to nie takie trudne! - uśmiechnął się przeor. - Znasz język chiński i rosyjski. Poprowadzisz grupę kupców wędrujących z Ujgurii do nadgranicznej Kiachty. A stamtąd - rozpromienił się - do Bajkału jest tylko rzut kamieniem!

Lopsang poczuł się nie **jak** mnich w habicie, ale jak żołnierz

przyjmujący rozkazy.

-Jeeest'! - wyrwało mu się po rosyjsku i uderzył piętami drewnianych sandałów.

2.

Lamowie wyruszyli na północ. Z końcem lata 1880 roku dotarli do granic Rosji. W drodze rozpoznali, wymienione w przepowiedni, zielone i złote dachy Darhanu, ostatniego wielkiego klasztoru po mongolskiej stronie.

- To dobry znak! - Lopsang uspokajał delegację zmęczoną trzymiesięczną wędrówką pustynnymi terenami. - Zamienimy teraz habity na ubrania kupców! Jutro przekroczymy granicę w mieście Kiachta. To tygiel narodowości, nikt nas tam nie odróżni od tysięcy przybyszów ze wszystkich stron!

Kiachta składała się właściwie z dwóch odrębnych miast. Rosyjska część rozłożyła się wokół Cerkwi Troickiej, stojącej w tym miejscu od 1817 roku. Przy głównym placu dominowały *Gostinnyje riady* - wielki, jak na czasy i położenie geograficzne, drewniany pasaż handlowy. Tutaj, na niezliczonych kramach, w zgiełku i tumanach kurzu, odbywał się Wielki Handel, na którym - w ostatecznym rozrachunku - korzystali bogaci kupcy z odległego o pięćset mil Irkucka, koncesjonowani przez rząd w Petersburgu. W Rosji, nie wolny rynek, ale rządowa koncesja porusza kołami gospodarczej maszyny. Druga część miasta, przytulona do granicy, otaczała ciasnymi rzędami domów i magazynów państwowy spichlerz i *tiamożnię* - największą komorę celną, na całej, liczącej tysiąc mil, granicy z Chinami. Ta część miasta -

najciemniej jest pod latarnią! - była żerowiskiem przemytników.

Codziennie, pięć tysięcy jucznych zwierząt - koni, mułów i wielbłądów - przemierzało miasto. Na północ dźwigały *tchai* - chińską herbatę, porcelanę i jedwab, na południe posuwały się karawany z futrami syberyjskich soboli, lisów i gronostajów. Nieustanny brzęk monet zagłuszał harmider ludzkich kłótni.

Lopsang pozostawił łamów na zapleczu magazynu handlu skórami. Tam habity zamienili na zwykłe ubrania.

- Znaki wskazują, że miejsce, którego szukamy - przedstawiał sytuację podróżujących Cewang, młodszy urzędnik klasztorny - znajduje się w pobliżu drogi prowadzącej z Kiachty do Ułan-ude, miejscowości położonej u ujścia rzek Ude i Selengi do Bajkału. Lopsang, powróciwszy z miasta, potwierdził wskazówki Cewanga.
- *Dacan Iwolge* jest niedaleko - znajduje się w odległości dwóch dni drogi stąd. Bądźmy czujni! - ostrzegał - Mamy szukać domu o turkusowych dachówkach!
- Toż to jak szukać igły w stogu siana! - obruszył się Amdo Kcsang, pełnomocnik regenta, najwyższy rangą lama, odpowiedzialny przed wyrocznią za powodzenie wyprawy.
- To nie takie trudne zadanie! - uspokajał Lopsang. Jako Buriata znał doskonale teren i obyczaje mieszkańców. - Buriaci są nomadami. Jurta jest ich wędrownym domem, przenoszonym z miejsca na miejsce. Stałe domostwa - przypominał to, co i tak wszyscy wiedzieli o narodach mongolskich - mają w pogardzie. Murowany dom pokryty dachówką, to w buriac-kim stepie rzadkość. Zapewne - zastanowił się chwilę - należy

do mieszkańców, którzy nie uprawiają wędrownego pasterstwa.

- Może inkarnacja Świętego Geduna Truppy jest Rosjaninem? - zaniepokoił się Cepang.
- Tego jeszcze nie było! - na serio wystraszył się Amdo Kc-sang. - Zdajmy się jednak - dodał filozoficznie - na wolę Oświeconego. On jeden zna przyszłość!

Po dwóch dniach podróży dotarli do Usinoze, wsi położonej kilka godzin marszu od Iwolgi. Na niewielkiej, pagórkowatej równinie, rozłożyła się osada, składająca się z kilkunastu jurt, porzucanych wśród wysokiej trawy i krzaczastych zarośli. Wokół przenośnych domostw biegały dzieci, beczały barany, sikały kozy, klęczały wielbłądy. Stepowa gościnność wymaga, aby nie pozwolić strudzonym odejść głodnym i zmęczonym. Przenocowali w dusznym tłoku pierwszej z brzegu jurty.

Wczesnym porankiem znowu wyruszyli w drogę. Około południa ich oczom ukazał się poszukiwany klasztor. Zbudowany był w zielonej dolinie u podnóża gór Chamar-Daban. Otaczały go wysokie drzewa. Po prawej stronie, w pobliżu klasztornych zabudowań, zakryta przed oczami przypadkowych podróżnych kępą wysokich drzew, znajdowała się nieduża rezydencja, której centrum stanowił murowany dom pokryty turkusową dachówką.

- Sainbena!* - Lopsang powitał po buriacku mnicha wychylającego się z za klasztornej furty - Czy w tym domu mieszkają Rosjanie?
- Ależ skąd, panie! - mnich nie posiadał się z oburzenia -To dom rodu Dordżów!
- Buriaci nie mieszkają w murowanych domach! - naciskał Lopsang -

Tam muszą żyć obcy!

- Dordżowie, panie! - oburzenie mnicha narastało - to tutejsi książęta. Ich przodkiem był wielki chan Móngke, wnuk samego Czyngisa. W tej okolicy urodziła się też Bórke, jego ukochana, której porwanie rozpoczęło w stepie wielką wojnę zakończoną wybraniem Temudżina na Wielkiego Chana. -

mnich patrzył przez chwilę Lopsangowi w oczy. - Widzę, że jesteście z daleka, panie, i nie znacie Tajnej Historii Mongołów!

- I mieszkają w murowanym domu, a nie w jurcie - między swoimi? -
judził Lopsang, nie zwracając uwagi na sławę regionu.
- Panie! - denerwował się rozmówca - Jesteś przybyszem i nie wiesz, że Buriaci - aby przetrwać pod władzą białych ludzi - muszą się do nich upodobnić! Przecież - wzruszył ramionami z irytacją - car z Petersburga rządzi tu już od stu lat!
- Czy w tym domu jest jakieś dziecko? - interesował się Cepang.

-Jest dwoje. Siedmioletni Móngke i młodszy od niego chłopiec - Aywan.

Wymawiając to imię mnich uśmiechnął się szeroko jakby nie potrafił ukryć sympatii.

-*Bal jer lal* - grzeczne buriackie 'dziękuję' zrobiło dobre wrażenie. - Niech prowadzi was Oświecony! - mnich odpowiedział pożegnaniem.

Podróżni zbliżyli się do solidnego ogrodzenia domu. W podwórzu, mały chłopiec zabawiał się dzieciennym łukiem. Posługiwał się nim zaskakująco sprawnie. Ustrzelona wiewiórka leżała u jego stóp.

Przodkowie Biuriatów i Mongołów zawdzięczali straszliwą siłę, której

użyli kiedyś przeciwko całemu światu kombinacji dwóch rzeczy: ręczności i wytrzymałości stepowych koni oraz wynalazkowi łuku kompozytowego. Wytwarzany ze specjalnego rodzaju drewna i klejony w całość ze strzępami rogu sprawiał, że wprawny łucznik dosięgał przeciwnika śmiercionośną strzałą na odległość kilkuset metrów.

- Witaj Aywanie! - uśmiechnął się Lopsang do chłopca.
- Witaj Lopsangu! - cienkim głosem odparł malec.

Lamowie wymienili spojrzenia. Chłopiec znał imię przewodnika! Lopsang zsiadł z konia i zbliżył się do chłopca. Po chwili była przy nim cała delegacja. Lopsang próbował wziąć go na kolana, ale ten odepchnął go od siebie i podbiegł do Amdo Kcsanga, zastępcy regenta.

-Ty jesteś 'Sera-aga!' - wyrecytował dziecinnie. Zdanie brzmiało jak dobrze wyuczona kwestia. W języku tybetańskim znaczyło to 'jesteś lamą z Sery'. Sera, to najstarszy, najbogatszy i cieszący się powszechnym szacunkiem klasztor Tybetu. Jakim sposobem ten mały Buriata mógł znać nazwę klasztoru regenta i jego tybetański tytuł?

Amdo, ogarnięty narastającym podnieceniem, podniósł chłopca na rękę. Na szyi miał zawieszony różaniec, stanowiący własność zmarłego Dalajlamy. Chłopiec chwycił go małymi rączkami i szybko przesunął paciorki w modlitewnym rytmie. Amdo postawił dzieciaka na ziemi, po czym podał dwie laski, jedną nową, ale fałszywą i drugą - wyraźnie używaną - własność zmarłego. Chłopiec bez namysłu chwycił tę drugą.

W drzwiach domu pojawił się wysoki, silnie zbudowany, smagły mężczyzna. Za nim stanęła kobieta, zadziwiająco jasna jak na Buriatkę. Miała delikatne, drobne rysy, nadające jej twarzy urok cieplej kobiecości.

- Jestem Móngke Dordże! - powiedział z grzeczną powagą mężczyzna. -
A to moja żona Sorkaktani!

Lamowie wiedzieli, że takie imię nosiła matka Mongkego -wielkiego chana Mongołów i Kubilaja - cesarza Chin. Byli prawie pewni, że znaleźli się u celu podróży. Imię Sorkaktani robiło wrażenie na wszystkich, którzy choć trochę znali historię Wielkiego Stepu. Sam Czyngis-chan wyróżnił ją spośród zaprzyjaźnionego ludu Kereitów i dał za żonę swemu synowi, Tołujowi. Z jej pięciorga dzieci - Móngke został wielkim chanem Mongołów, Hulagu zawładnął Persją, a trzeci - Kubilaj, podbił Chiny i stał się pierwszym cesarzem dynastii Yuan, rządząc największym imperium w dziejach świata. Gdyby nie jej ambicja, dalekowzroczność i rozsądek, imperium Czyngisa mogłoby się rozsypać w wyniku rodzinnych sporów. W mongolskim imperium kobiety odgrywały rolę szczególną. Jeden z dekretów Czyngis-chana obwieszczał: „Kobiety towarzyszące wojskom przejmują obowiązki mężczyzn, kiedy ci idą na wojnę”. W największym lądowym imperium świata męska dominacja mogła rozkwitać dzięki rozumowi niezwykłych kobiet.

-Czy jesteście rodziną prawosławną? - zapytał ostrożnie
Lopsang.

Gospodarz ruchem ręki, zaprosił lamów do wnętrza. W obszernej sieni wskazał bogato rzeźbione drzwi. Otworzył je szeroko. Oczom gości ukazała się, ozdobiona dywanami i wizerunkami bodhisattwów, komnata medytacyjna, pachnąca kadzidłem i palonym w wotywnych lampkach masłem. To nieomylny znak buddyjskiego wyznania domowników. Lamowie odetchnęli z ulgą.

Delegacja z Lhasy pozostała w domu Dordżów całą noc i cały następny

dzień. Nie wyjawili gospodarzowi prawdziwego celu misji. Utrzymywali, że są wędrownymi kupcami, jednak obserwowali chłopca bardzo uważnie. Dziecko położono spać. Niespodzianie, mały Aywan wydostał się ze swojego posłania i podbiegł do Amdo Kscanga.

-Chcę z tobą jechać! - szepnął. Serce mnicha załopotało w nadziei.

Następnego dnia malca poddano obserwacji wróżbity z wyroczni. Ten jednak okazywał niepokój. Poddał chłopca badaniom pulsu, oddychania i wrażliwości. Tybetańscy szamani ćwiczyli te praktyki od tysiąca lat. Na podstawie badania tętna są w stanie powiedzieć o człowieku niemal wszystko.

- W chłopcu jest widoczne przeznaczenie - mówił powoli wróżbita - ale jest i skaza!
- Skaza? - zaniepokoił się Kscang odpowiedzialny za powodzenie całej misji.
- W jego życiu - powiedział niechętnie wróżbita - jest kobieta!
- Kobieta?! - wykrzyknęli wszyscy równocześnie. - W pobliżu Świętego Lamy nie może być nawet przedmiotów należących do kobiety! - niepokój wzrastał.
- Kobieta! - upierał się wróżbita - Piękna kobieta, wyzwalająca wielkie emocje!
- Kobieta, to zawsze złe emocje! - Amdo Kscang czuł się przybity wyrokiem wróżbity.
- Nie! - zaprzeczył wróżbita - Nie widzę złych emocji! Do strzegam wielką dumę i poczucie własnej godności, ale widzę

też wielkie uczucie do kobiety.

Wróżbita zamilkł jakby szukając czegoś we własnym wnętrzu. Oddychał miarowo. Oczy miał zamknięte.

-Widzę coś jeszcze! - mówił chwilę później - Ten chłopiec jest naszym przeznaczeniem. Ostatnim Dalalajlamą zasiadającym na Lwim Tronie w Lhasie będzie dopiero trzynasta, następna inkarnacja Geduna Truppy. Potem nastąpi upadek!

Wróżbita zamyslił się głęboko.

- Potomstwo tego chłopca - wyszeptał po chwili - odrodzi świętą ziemię Tybetu. Chłopiec nie będzie Dalajlamą, ale stanie się źródłem naszego odrodzenia!

- To oprócz kobiety jest i potomstwo?! - zastępca regenta był oburzony - Tego jeszcze nie było!

- Nie lekceważcie przeznaczenia! - wróżbita nie otwierał oczu - Malec nie będzie Dalajlamą ale - znowu zamilkł na chwilę - od jego potomstwa zależeć będzie przyszłość naszych klasztorów i naszych świętych miejsc! - Nie odezwał się więcej.

Zapadło długie milczenie. Członkowie delegacji myśleli już o drodze powrotnej.

- Czy inkarnacja może być bliźniacza? - nadzieja ożywiła Lopsanga.

- Jeśli ciąża może być bliźniacza, to inkarnacja...?

Znowu zapadła cisza. Wszyscy byli wystarczająco zaskoczeni sytuacją, by rozważać - ciekawy skądinąd - wątek. Nie jest wykluczone, że wiązka energii, jaką jesteśmy - może ulec rozdzieleniu. Ale przecież nie może być dwóch Dalajlamów jednocześnie!

-To rozstrzygające! - przeciął sprawę zastępca regenta. -

Wracamy!

Podróżni podziękowali gospodarzom za gościnność, uścisnęli małego Ajwana.

-Myślę - szepnął mu do ucha Amdo Kcsang - że zoba czymy się kiedyś w Lhasie.

W oczach chłopca rozbłysły szelmowskie ogniki.

Delegacja skierowała się w drogę powrotną. Jej celem była teraz miejscowość Langdun w prowincji Dakpo. Wkrótce potem nastąpiło uroczyste ogłoszenie nowego wcielenia Dalajlamy. Został nim - Thubten Gyatso, syn prostego drwala z Dakpo w Tybecie - dwunasta reinkarnacja wielkiego Geduna Truppy i XIII Dalajlama na Dachy Świata.

3.

Ułan-ude, to dawne zbiorowisko buriackich jurt. W rosyjskim marszu na wschód było kiedyś zimowiskiem Kozaków Jermaka, watażki i zdobywcy Syberii. Osada powstała jako dzielnica mieszkalna warowni Wierchnieudninskaja, kontrolującej wiecznie zbuntowane plemiona południowej Buriacji, pędzące swoje stada wzdłuż i wszerz Zabajkala. W 1880 roku powstała tu pierwsza rosyjska szkoła elementarna. Był to dopiero początek kariery miejscowości, której mieszkańcy nie spodziewali się wcale, że za niespełna trzydzieści lat stanie się sporym miastem i ważnym węzłem kolejowym na trasie kolei transsyberyjskiej i że z Ułan-ude będzie można wygodnym pociągiem dojechać nie tylko do Moskwy i Petersburga, ale i do Władywostoku, Charbina, Mukdenu i samego Pekinu. Rosjanie inwestowali w transsyberyjskie połączenie, aby uzyskać bazę dla

dalszej ekspansji w kierunku Chin i Korei. Celem była koncesja na kolej mandżurską, łączącą europejską Rosję z Morzem Żółtym i zabraną Chinom podstępem nadmorską fortecą - Portem Artura.

-Nie jesteś żaden Aywan i żaden Dordże! - wrzeszczał dy rektor szkoły - Jesteś Iwan Dordżijew i kropka!

Sumiaste wąsy Rosjanina były sztywne ze złości. Czerwona twarz puchła wściekłością. Krople potu spływały spod drucianych okularów. Dyrektor szkoły elementarnej w Ułan-ude był święcie przekonany o swoich racjach.

- Przeżegnaj się po naszemu! Udowodnij, że jesteś człowiekiem, a nie żółtą małpą! - Dyrektora aż unosiło poczucie cy lizacyjnej misji.
- Żółtych nawracać na *prawowierje* albo unicestwiać! - Oto zasada wychowania tutejszej młodzieży.

Aywan nie wymyślił sobie imienia. Rodzinną tradycją rodu Dordżów było, że najstarszy chłopiec otrzymywał imię wielkiego przodka, a kolejni - członków jego rodziny. Ojciec i najstarszy syn otrzymali imię 'Mongke', wnuka Czyngisa, młodszy - Aywan, dostał je po ukochanym, zmarłym przedwcześnie, synu mongolskiego chana i pana połowy świata. Tradycja, przekazywana z pokolenia na pokolenie, zobowiązywała do podtrzymywania ciągłości. Ród Dordżów był dumny z pochodzenia od Czyngis-chana, człowieka, który dwadzieścia cztery pokolenia wcześniej sterroryzował świat, a jego imię stało się synonimem szatańskich mocy.

Dordżowie mieli wśród Buriatów pozycję książęcą. Kiedy Buriacja weszła w skład rosyjskiego imperium i zapanowały nowe porządki, starali się jakoś ułożyć z nowymi panami. Zwykli Buriaci mieszkali nadal w swoich jurtach, przenośnych namiotach budowanych z żerdzi i skór.

Dordżowie zbudowali solidny, murowany dom, pokryty turkusową dachówką, jak przystało na zamożnych poddanych cara. Mały Aywan kończył właśnie siedem lat i rozpoczynał naukę, aby po jej ukończeniu mógł rozpocząć awansowanie w rosyjskiej hierarchii dwunastu rang. Najlepiej - marzyło się jego ojcu - niech zostanie oficerem gwardii, a może nawet kiedyś - gubernatorem prowincji!

Chłopiec był zastraszony wrzaskami dyrektora. Narastająca agresja Rosjanina, wzbudziła reakcję obronną.

- Jestem poddanym cesarza Rosji, ale pragnę też pozostać tym, kim jestem - Buriatą! - Chłopak sam był zaskoczony własną determinacją, odwagą i dorosłością żądania.
- Pozostać Buriatą? Ty swołocz! - ryczał dyrektor.
- Zostaniesz tym, kim każe ci zostać Jego Cesarskie Samo-dzierżawne Wieliczesstwo! - wrzeszczał. - I nikim więcej!
- Wasza Wysokość! - Aywan miał jeszcze nadzieję na przekonanie dyrektora - Jestem Buriatą, nie Rosjaninem! - powiedział ciszej, ale pewność siebie już go opuszczała.
- Buriatą? A kto to są Buriaci? Czy to te zwierzęta, które mieszkają w skórzanych budach, pasą owce i upijają się kumyse? - szydził czynownik - A może to te dzikusy, co myją się dwa razy w życiu? - Rosjanin bulgotał pogardą i nienawiścią.
- Jestem potomkiem samego Czyngis-chana! - powiedział już całkiem cicho chłopiec.
- No, to masz wielki chanie! - Aywan poczuł wielką pięść dyrektora na twarzy. Uderzenie było tak silne, że głowa odskoczyła jak mocno

kopnięta piłka. Przez chwilę stał sparaliżowany.

- Urrrrraaan! - wydawało mu się, że to ktoś, stojący obok, wydał z siebie okrzyk buriackich wojowników ruszających do ataku i wzywających pomocy braci. Ale, nie! Okrzyk wyszedł z jego własnego gardła! Widział jeszcze, jak wąsy Rosjanina poruszają się dziwnie, jakby spóźniały się za ciałem. Dyrektor szkoły runął na wznak, uderzając z suchym trzaskiem plecami o biurko.

4.

Car Aleksander III, był wściekły. Przyczyną złości była nie tylko ciepka wilgoć przedłużającej się zimy. Tydzień wcześniej, 13 marca 1881 roku, Mikołaj Rysaków wrzucił do karocy jego ojca bombę z zapalonym lontem. Wydawało się, że Aleksander II, następca Mikołaja I, jak zwykle ma szczęście. Piętnaście lat wcześniej strzelał do niego Dymitr Karakozow, ale nie trafił. Chybił Aleksander Berezowski, mierzący do cara rok później w Paryżu. W 1879 roku strzelał i znów chybił - Aleksander Sołowiow, a pod koniec tego samego roku Aleksander II przeżył trzy próby wysadzenia w powietrze pociągu, którym miał podróżować. Po wybuchu bomby Rysakowa ranni zostali jedynie ludzie z carskiej ochrony. Aleksander zbliżył się do nich, aby dodać im otuchy i wtedy wybuchła druga bomba, rzucona przez Ignacego Hryniewieckiego, polskiego anarchistę. Car, ciężko ranny, zmarł tej samej nocy.

Aleksander, trzeci car Rosji o tym imieniu, był głęboko niezadowolony z polityki zmarłego ojca. Uważał, że wszystkiemu winny był jego liberalizm. Ojciec po prostu za dużo czytał. Aleksander III nie był

obciążony wiedzą. Za młodu uchodził za leniwego nieuka i do końca życia nie nauczył się poprawnie pisać w żadnym języku, nawet po francusku -dworskim języku Petersburga.

Zmarły tragicznie monarcha - jak na rosyjskie warunki -naprawdę był liberałem. Tyle, że w Rosji, liberałowie nigdy nie mieli wzięcia. Dwadzieścia sześć lat panowania, to nieustanne próby zreformowania rosyjskiego państwa, ukształtowanego w czasie rządów Katarzyny 11 i Aleksandra I. Zliberalizował szkolnictwo, uniwersytety mogły same wybierać rektorów, dał ziemię i wolność osobistą chłopom. Słowem -myślał syn - ojciec był marzycielem, narażającym na szwank samą istotę władzy Romanowych. Nie zamierzał tolerować tej sytuacji. Uważał zresztą, że ojciec padł, jak każdy liberał, ofiarą własnej przychylności dla ludzi. Tę przychylność - sądził -trzeba zastąpić żelazną dyscypliną.

Nowy car, Aleksander III, przejął berło cara z godnością i nie bez satysfakcji. Właściwie nie zgadzał się z żadną z decyzji poprzednika. Jedynym wyjątkiem, było sprzedanie w 1867 roku Stanom Zjednoczonym Alaski i Wysp Aleuckich. Amerykanie nie byli przekonani, czy robią dobry interes, a i większość Rosjan posądzała *gosudara* o różne motywy - od chciwości (Rosja dostała ponad 7 milionów dolarów w złocie), po obawę przed osadniczą dynamiką Amerykanów i Kanadyjczyków - ludzi Zachodu, których Rosjanie, co prawda, podziwiali, ale i nimi pogardzali. Nowy car, krańcowy autokrata, rozumiał jednak doskonale motywy tej decyzji. Wiedział, że siłą Rosji jest odporność na wpływy z zewnątrz, świadoma izolacja od prądów płynących z innych części świata. Granice z Europą były zamknięte i kontrolowane przez uzbrojone po zęby armie. Chiny, gnijące od środka, nie stanowiły zagrożenia, ale granica rosyjsko-

amerykańska, czy rosyjsko-kanadyjska, przebiegająca na drugim kontynencie, oddzielnym od rosyjskiej *matuszki* wielkim oceanem, nie poddawała się kontroli. Istniała możliwość, że liberalna zaraza razem z żądaniami przestrzegania jakiejś 'demokracji', wędruje się do umysłów rosyjskiej inteligencji przez Syberię od Wschodu i -poprzez Kraj Ussuryjski i buntowniczą Czytę - dotrze niezauważona do Moskwy i Petersburga. Nowy car nie zamierzał przeżywać powtórki z powstania dekabrystów sprzed pół wieku, które dało, to prawda, pełnię władzy jego dziadkowi -Mikołajowi I, ale było też bliskie obalenia samego imperium. Wściekły, że odziedziczył po ojcu rząd w postaci zgrai liberalizujących urzędników, zamierzał dopiąć swego i skierować ekspansję Rosji ponownie na bezpieczne, według jego mniemania, tory.

Car był dosyć młodym człowiekiem. Miał w dniu objęcia tronu trzydzieści sześć lat, ale wyglądał na starszego. Wysokie czoło przechodziło w przedwczesną łysinę, urywającą się w połowie czaszki. Ta, nie rzucała się w oczy zgłuszona rozmiarami carskiej postury. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o wzroście ponad stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Gdy siedział rozparty na tronie, a ministrowie rządu stali przed nim szeregiem; patrząc na cara musieli lekko zadzierać głowy.

Cesarz nie przybył sam. Wszyscy wiedzieli, że nauczycielem jego młodości i najbliższym doradcą jest człowiek posiadający wpływ na poglądy Aleksandra jeszcze jako carewicza. Konstanty Pobiedinoscew, który był również wychowawcą tragicznie zmarłego poprzednika, otrzymał zasłużony przydomek „najwyższego kapłana stagnacji społecznej w Rosji". Pobiedinoscew uważał, że przyszłość Rosji, zależy

od wierności idei samowładztwa, tradycyjnemu stylowi życia i świętemu prawosławiu. Jego uwielbienie dla prawdziwej wiary było powszechnie znane. Innowierców miał za niedoinformowanych głupców lub godnych potępienia złośliwców. Prywatnie, był profesorem prawa na moskiewskim uniwersytecie, ale jego pozycja była niezwykła z zupełnie innej przyczyny - piastował, stworzony jeszcze przez Piotra Wielkiego, urząd oberprokuratora Świętego Synodu. Był człowiekiem świeckim, nie duchownym, ale z tej urzędniczej wysokości pełnił obowiązki patriarchy i arcybiskupa. Był nadzorcą rosyjskiej cerkwi. Wyborów patriarchy zaniechano sto lat wcześniej, zastępując go urzędnikiem i carom łatwiej było teraz panować nad duszami poddanych. Ostatnie pozory cerkiewnej autonomii przestały istnieć.

Pobiedinoscew wykorzystał urząd do zbudowania odważnej koncepcji - wchłonięcia zabajkalskiego buddyźmu przez Moskwę, uznając go za zagubioną gałąź prawosławia. Planował powołanie urzędu podprokuratora Synodu buddyjskiego i zamierzał przekonać - tym czy innym sposobem - mnichów w Buriacji i na pograniczu Mongolii, że różnice między lamaizmem a prawosławiem moskiewskim są drugorzędne. Śmierć Aleksandra II, niezbyt przekonanego do tej idei, dała mu możliwości, jakich dotąd nie brał po uwagę.

- Otwieram posłuchanie rządowe! - Aleksander III powoli dobierał słowa i nadawał im oschłe brzmienie - Głos Boży każe nam stanąć zdecydowanie u steru rządów, z ufnością w Opatrzność Boską, z wiarą w siłę i prawdę władzy absolutnej, którą powołani jesteśmy utwierdzać i dla dobra ludu chronić od wszelkich zakusów! - Car wygłosił uroczyście swoje pierwsze słowa jako władca i samodzielnca Rosji.

Dusza Po-biedinoscewa radowała się - sam te słowa napisał.

Aleksander skinął głową, zezwalając zausznikowi wystąpić. Pobiedinoscew, wyłonił się z za tronu, zrobił trzy kroki naprzód kłaniając się zebrany ministrom z godnością szarej eminencji.

- Najstraszliwszą machiną - powiedział z namaszczeniem -tłukącą sieczkę słów i rozprzestrzeniającą bluźniercze słowa, hańbiące i szkalujące władzę, zachęcające naród do popełniania wołających o pomstę do nieba nieprawości, jest - Pobiedinoscew zwrócił się z głębokim ukłonem w kierunku tronu -tak zwana wolność prasy!

Obecny na sali Michaił Loris-Mielnikow, wszechpotężny dotąd minister spraw wewnętrznych, autor liberalnej konstytucji, podpisanej przez poprzedniego cesarza, wiedział już, że wyrok na niego został wydany.

- Zgodnie z wolą Najjaśniejszego Pana - Pobiedinoscew skłonił głowę w kierunku rozpartego na tronie monarchy - spraw związanych z polityką krajową rozważać nie będziemy! Jego Cesarskie Wieliczesstwo będzie te sprawy rozstrzygać osobiście!

Aleksander dostrzegł sztywną reakcję ministrów rządu i nie zamierzał pozostawić im najmniejszego marginesu na wyrażenie własnych opinii.

-Proszę skupić się na wyrażeniu opinii, o naszej polityce zagranicznej. Nie potrzebujemy dzisiaj - car zawiesił na chwilę głos jakby chciał podkreślić nieodwołalność kierunku oczekiwanej debaty - niczyjej pomocy w kwestii naszych decyzji w polityce wewnętrznej!

Zapadła cisza. Wiadomo było, że - jak zwykle - pierwszy zabierze głos najbardziej wpływowy minister rządu, ale nie wypadło, aby stało się to zbyt szybko po wypowiedzi cesarza.

-Najjaśniejszy Panie - głos Mielnikowa drżał, jakby jego właściciel wiedział, że tylko cud może odmienić sympatie władcy i że jego dni w rządzie Imperium są policzone. Starał się jednak wpasować w oczekiwania władcy. Instykt urzędnika podpowiadał mu, że szansą przetrwania jest tylko ślepa wierność oraz trafne odgadnięcie myśli i zamiarów nowego władcy - Rosja jest potęgą! Stoimy nad wielkim oceanem i na granicy Chin!

Mielników miał na myśli traktat pekiński, który oddawał Rosjanom cały Kraj Ussuryjski i pozwalał na budowę portu wojennego we Władywostoku.

-Możemy - mówił minister - iść dalej, w głąb Chin. Chiny są tak słabe, że - Mielników wiedział, że mocarstwa europejskie na rosyjską ekspansję w Chinach łatwo nie pozwolą, ale brnął dalej - podporządkowanie Mandżurii jest tylko kwestią czasu. A wtedy - wypiął pierś po wojskowemu - droga to Pekinu stanie otworem!

Przy tronie czuwał jednak Pobiedinoscew - prawnik, domorosły historyk i najbliższy powiernik cara.

-Co w tym Pekinie mielibyśmy robić? - zapytał z sarkazmem - Żadna z europejskich potęg nie odważyła się na okupację miasta! - Pobiedinoscew miał na myśli ostatnią wojnę opiumową, w której wojska sprzymierzone zdobyły Pekin, spaliły cesarski Pałac Letni i zmusiły cesarza Kajfenga do ucieczki z Zakazanego Miasta, wycofały się jednak ze stolicy Chin, nie zamierzając jej trwale okupować.

-Wobec tego - próbował z innej strony Mielników - po

winniśmy zatrzymać wojska na granicy Wielkiego Muru i nie postąpić ani kroku dalej!

Car przysłuchiwał się tej wymianie zdań bez słowa, ale wyglądał na człowieka, który doskonale wie, dokąd zmierza.

-Mówicie - wycedził - jak biurokraci, a nie jak mężowie stanu! Rosji - car poprawił się na tronie i wyprostował sztyw no górną część ciała - przeznaczone jest panowanie nad światem!

Mielników czuł, że jego szanse rosną.

-Najjaśniejszy Panie! Przygotujemy kampanię zajęcia Chin i przepędzenia stamtąd Europejczyków i Amerykanów! Północne, zdobył Czyngis-chan, a resztę - jego wnuk, Kubiłaj. Wy, Najjaśniejszy Panie - Mielników po próbie carskiej reakcji zorientował się, co do kierunku, z jakiego wieją nowe wiatry - wy właśnie, Panie, jesteście powołani przez Najwyższego do ostatecznego podbicia Państwa Środka!

Mimo pogardy odczuwanej wobec urzędników, Aleksander czuł się mile połączony porównaniem do wielkich władców mongolskich. Sądził - jak każdy, kogo nagle wyniosły okoliczności - że to na niego właśnie wskazał Palec Losu, jego tylko czoło pomazał i jemu tylko przeznaczył boskie posłannictwo.

-Kubiłaj, panowie! - car podniósł wzrok jakby chciał nim przebić sufit sali tronowej - został w końcu Chińczykiem i założył chińską dynastię. My nie zamierzamy - używał z na maszczeniem formy *pluralis maiestntis*, mówiąc o sobie 'my' - zakładać nowej dynastii! Pragniemy - zawiesił głos dla zwięk

szenia efektu - zaprowadzić w Chinach naszą prawosławną wiarę i przekształcić Chińczyków - uśmiechnął się dobrotliwie - w prawowiernych, chociaż skośnookich Rosjan! Droga do tego celu - cesarz przywrócił twarzy wyraz powagi - nie prowadzi przez Pekin, ale przez święte miasto buddyzmu -Lhasę!

Członkowie rządu osłupieli. W milczeniu patrzyli, to na siebie samych, to na cesarski tron. Lhasa leży na południowych krańcach Tybetu, u podnóża Himalajów. Jest odległa o dwa tysiące mil od Irkucka! W jaki sposób osiągnąć ten cel? I po co? Przecież Tybet, to wielka, najwyższa na ziemi górská, ale i pustynna wyżyna, zamieszкана przez dzikie jaki. Po co Rosji Tybet? Jak przekonać tybetańskich mnichów, aby stali się wiernymi moskiewskiej cerkwi?

- Domyślam się - odezwał się Aleksander po dłuższej chwili ciszy - że brakuje wam wyobraźni! Odbierzcie, zatem, moje rozkazy. Przemyślenia - warknął zgryźliwie - przyjdą same! A jeśli nie przyjdą - car uśmiechnął się z lekceważeniem - to wykonacie polecenia, które wyjaśni Pobiedinoscew, nasz doradca do spraw zagranicznych!

Mikołaj wstał i opuścił salę tronową. Pobiedinoscew ruchem dłoni zaprosił ministrów do sąsiedniej sali. Nikt nie mógł bez obecności cara przebywać w pobliżu tronu.

Pobiedinoscew był wykładowcą prawa, ale miał naturę naukowca, samorodnego badacza dziejów Rosji. Wiedział przy tym dokładnie, do czego zmierza. Naukowcy jego pokroju, to przykład głębokiej skromności zmieszanej z megalomanią. Skromność bierze się ze zrozumienia, jak wiele jeszcze wiedzy trzeba zdobyć, żeby zrozumieć 'wszystko', nawet, jeśli to 'wszystko' ma charakter umowny. Megalomania natomiast,

towarzyszy intelektualistom uwikłanym w politykę. Doświadczają przepaści między ich wiedzą, a nieuctwem urzędników. Wydaje im się, że gdyby nikt nie przeszkadzał, nikt nie hamował planów, wyniki przychodziłyby natychmiast. Obejmują umysłem całą posłuszną przyszłość. Pragną wyprzedzać decyzjami powolne procesy przekonywania. Widzą samych siebie na czele rządów, którym ani wspólnicy, ani niczyje rady nie są potrzebne. Naga wiedza, jak sądzą, sprawnie używana, jest wystarczającym narzędziem władzy i pozwala zmieniać świat bez niepotrzebnej zwłoki.

Pobiedinoscew nie był pewien, czy lepiej będzie wygłosić wykład o nowej polityce zagranicznej Rosji, czy wybrać krótszą drogą i wyłuszczyć jej istotę w punktach. Wybrał to drugie rozwiązanie.

- Po pierwsze - uczonego z satysfakcją odnotował, że ministrowie chwycili za ołówki, gotowi do notatek - musimy zdać sobie sprawę z ogromu Chin. Chińczyków jest prawie pół miliarda - dziesięć razy więcej niż mieszkańców Rosji.
- Podbój Chin nie ma żadnego sensu! - Pobiedinoscew zaakcentował słowo 'sens' - Nie jesteśmy w stanie tego dokonać i nie jest to wcale potrzebne. Sens ma natomiast - carski doradca instynktownie poszukał wzrokiem ministra finansów - wykorzystanie ekonomiczne tak licznej ludności. Ten ma Chiny - podkreślił - kto ma podatki Chińczyków oraz ich marże handlowe, a nie ten, kto trzyma ich pod bagnetem! Rozumieją to Europejczycy, walcząc o wolny handel, a nie o zdobycze terytorialne.
- Po drugie - cedził powoli - nie mamy szansy podporządkowania sobie Chin od strony morza. Brytyjczycy - carski doradca okazał irytację -

Francuzi, Niemcy i Amerykanie od dawna mają porty, koncesje i strefy bezcłowe na całym chińskim wybrzeżu. My nie mamy nic!

- Może skoncentrować się na Mandżurii? - Loris-Mielnikow powrócił do poprzedniej myśli - Z Wielkiego Muru niemal widać przedmieścia Pekinu!

- Mandżuria jest ważna! - zgodził się Pobiedinoscew - Jest ojczyzną obecnej dynastii i legitymizuje władanie resztą Chin. Równie wiele da nam niezamarzający port morski w rodzaju Portu Artura. Ten akurat jest świeżo ufortyfikowany przez europejskich inżynierów, jednak - zmarszczył czoło - nie o zajęcie Chin idzie, ale o handlowe korzyści z tak ogromnego rynku! Niech Chińczycy płacą podatki *nam* - uśmiechnął się z rozmarzeniem - i kupują wyłącznie *nasze* towary! - Słowa 'nam' i 'nasze' wypowiedziane w tym kontekście, podziałały na wyobraźnię obecnych.

- W całych północnych Chinach - włączył się Mielników - mamy agentów - od Mongolii Zewnętrznej po Szanghaj.

-1 w tym problem! - sucho rzekł Pobiedinoscew. - Praca tajnych służb na kierunku chińskim przesłoniła potrzeby ważniejsze! Jak jest z agenturą w środowiskach lamajskiego buddyzmu? - Pytanie było wymierzone w Mielnikowa. Agentura, to domena ministerstwa spraw wewnętrznych.

Mielników zamilkł szperając w pamięci.

- Zręby agentury na kierunku buddyjskim istnieją w Buria-cji, przyłączonej do imperium przez pradziadka Najjaśniejszego Pana. - minister ucieszył się, że nie jest bez argumentów. -Buriaci mieszkający na południe od Bajkału - przypomniał - to bliscy kuzyni Mongołów, którymi pod okiem służb z Pekinu rządzi ich religijny dostojnik zwany

Bogd-gegeenem.

- To dobry początek! - Pobiedinoscew poprawił się w fotelu gotów do przekazania woli cesarza. Czuł się nieskromnie, prawie jak cesarz, bo myśli, które miał wypowiedzieć były jego własnymi, do których przekonał cara. - Według Najjaśniejszego Pana - powoli akcentował słowa - różnice między naszym świętym prawosławiem, a tybetańskim sposobem wyrażania wiary, nie są wielkie. Niektórzy z podróżników po Tybecie byli nawet zdania, że te ich nabożeństwa są prawie takie jak nasze. Też śpiewy, gesty, modły i pokłony...

Czynownicy patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Pobiedinoscew nie chciał przedstawiać śmiałego planu podboju Azji niedowiarkom. Sięgnął po stary manuskrypt, wetknięty w kieszeń surduta.

- Mam oto przed sobą - powiedział z pewnością naukowiec
- list jezuickiego misjonarza Johanna Grubera do innego zakonnika - niejakiego Gamansa, napisany po powrocie z Lhasy. Dokument pochodzi z przed z górą dwustu laty, ale -
uśmiechnął się - Tybet ma to do siebie, że tam się nic nie zmienia. Włożył druciane okulary i czytał: *„W Lhasie rezyduje wielki papież Chińczyków i Tatarów. Mógłbym o nim donieść rzeczy wręcz niewiarygodne, wyjaśniam jedynie to, że ów tamtejszy diabeł tak pilnie i żarliwie naśladuje Kościół, iż we wszystkich istotnych sprawach ich rytuał jest zgodny z obowiązującym w Kościele. Święcą tam ofiarę mszalną z chlebem i winem, udzielają ostatniego namaszczenia, błogosławią małżeństwa i modlą się o chorych, organizują procesje i czczą relikwie; znajdują się tam klasztory męskie, a także żeńskie, śpiewają w chórach, podobnie jak u nas mnisi, kilkakrotnie w*

ciągu roku przestrzegają postu, poddają się najsurowszym umartwieniom; wybierają swoich biskupów, wysyłają do Chin misjonarzy. Widoki na nawrócenie tamtejszych pogan byłyby z pewnością duże, gdyby tego nie zabraniał ów diabelski ojciec, który poleca bezzwłocznie uśmiercać tych, co nie chcą się do niego modlić". Skończył i potoczył wzrokiem po sali, na której zapanowała pełna zdumienia cisza.

- Czy nie widzicie - zapytał retorycznie - że lamaiści, to nasi bracia w wierze? Rozumiecie, że Tybet tylko czeka na włodarza? - Uczony zamilkł - Przeszkoda - mówił po chwili znowu - jest tylko jedna: jak przekonać świętego męża z Lhasy, że najlepszym dlań opiekunem byłby nasz car, głowa, opiekun i gosudar całego *prawowierja*, a nie chiński cesarz z Pekinu? Oni - miał znowu na myśli Tybetańczyków - nie wiedzą tego, że nieświadomie - Pobiedinoscew pokiwał z politowaniem głową - wierzą w to samo i tak samo jak my. Trzeba im tylko - podniósł się z głębokiego fotela, który zajmował w zastępstwie cesarza - to wytłumaczyć! A jeśli okażą się oporni - roześmiał się szeroko - uświadomić siłą! I to jest wasze zadanie na przyszłość! - Skończył przemówienie w tonacji rozkazu. - Nasz Najjaśniejszy Pan w swej głębokiej mądrości -uczony pochylił głowę na znak poddania carowi - doszedł do wniosku, że jeśli przez Mongolię i chiński jeszcze Sinkiang - to 'jeszcze' wypowiedział w sposób mający świadczyć o tymczasowości tej sytuacji - wejdziemy do Tybetu, to nasza pozycja w Chinach będzie silniejsza od wszystkich europejskich potęg razem wziętych. Ludzie w Tybecie, rządzeni są przez mnichów, których uznamy za prawosławnych, a ich Dalajlamę za ich patriarchę - poprawił się szybko - naszego patriarchę! Stworzymy - Pobiedinoscew nie mógł powstrzymać podniecenia - drugi wielki kościół prawosławny z

metropolią w Lha-sie, a nasz Najjaśniejszy Pan - westchnął z nadzieją - będzie jego głową, tak jak jest głową cerkwi w Moskwie! Dwie cerkwie - rozmarzył się - i jeden gosudar! - Dwie cerkwie i dwóch oberprokuratorów dwóch Świętych Synodów - Lhasy i Moskwy, Moskwy i Lhasy! A przecież - wyobraźnia Pobiedinoscewa biegła w przyszłość - kościół buddyjski, to nie tylko Tybet, dosięga Cejlonu, Birmy i Holenderskich Indii Wschodnich...

-Będziemy kontrolować Chiny na całej ich północnej i zachodniej granicy! - teraz podniecenie udzieliło się Mielnikowowi - od Korei po Persję i Indie! Krok dalej i Indie też będą nasze! Jeszcze krok i będziemy w Singapurze!

Członkowie rządu kiwali głowami jak Żydzi pod Ścianą Płaczu, w niemym zdumieniu nad nieograniczonością granic Świętej Rusi. Nie zdawali sobie sprawy, że możliwości rosyjskiej ekspansji są tamowane jedynie wielkością globu ziemskiego. Trzeba jedynie - dumali - wysilić się na zrozumienie zamierzeń ich cara - gosudara i przewodnika.

- W Irkucku mamy - Mielników już wiedział, co ma zrobić - Szkołę Katedów, nastawioną na kształcenie informatorów z Chin. Szkolimy tam buriackich chłopców z przeznaczeniem do pracy na chińsko-mongolskiej granicy.
- Chiński buddyzm jest inny niż tybetański! - Pobiedinoscew wiedział, że ten pierwszy jest praktyczny i przyziemny i ta jego przyziemność odróżnia go od duchowości tybetańskiej, fundamentu górskiego królestwa mnichów.
- To kwestia przestawienia szkolenia! - Mielników czuł się w tej sprawie jak ryba w wodzie - Młodzi Buriaci wstępują do klasztorów w wieku

ośmiu lat. Obróbka młodzieży -uśmiechnął się porozumiewawczo - jest łatwiejsza niż praca z dorosłymi. Zrobimy z nich naszych janczarów!

- Więc, do dzieła! - Pobiedinoscew uznał, że ma słowo Mielnikowa i praca nad mnisią agenturą ruszy pełną parą.
- Dostaniecie, Mielników, dodatkowe i do duże - dodał z naciskiem - pieniądze z cesarskiej szkatuły. Ale Jego Cesarska Wysokość wyniki chce widzieć szybko!

5.

-Szagom marsz! Raz, dwa, tri, cztery, Raz, dwa, raz, dwa!

Aywan z uporem starał się utrafić w marszowy krok musztry.

- Muszę to wytrzymać! Choćby nie wiem, co się działo, muszę!

Rozpraszało go, że obserwujący ćwiczenia oficerowie przyglądali się z uwagą właśnie jemu. Oficerowie mruczeili coś między sobą.

Najwyraźniej rozmawiali o Aywanie.

- Nie chciałem mu zrobić krzywdy! - bronił się w myślach

- Zresztą, nic mu się nie stało! - usprawiedliwiał się w duchu.

Miał na myśli dyrektora szkoły w Ułan-Ude - To prawda, że musiał nosić kołnierz z gipsu! - O matko, jak śmiesznie wyglądał! - zachichotał nerwowo, unosząc nogi w takt defiladowych werbli.

-Raz, dwa! Raz, dwa! Raz, dwa!

Już od pół godziny ćwiczył wraz ze swoim oddziałem. Był dumny z paradnego munduru, jaki miał na sobie i z tego, że od roku uczęszczał do Cesarskiej Szkoły Małych Kadetów w Irkucku. Wiedział, że chłopcy w wyższych oddziałach Szkoły są wprost rozrywani przez miejscowe

dziewczęta. Jednak nie czuł w chłopięcym sercu radości. Wcale nie cieszyło go życie wojskowego. Jedyne, co lubił, to zajęcia strzeleckie. Miał talent.

- Kim chciałbyś być w przyszłości? - spytał go kiedyś ojciec.

- Lamą! - odpowiedział niespodziewanie dla samego siebie

- Dalajlamą! - poprawił się po chwili.

Ojciec spojrział z wymownym zdumieniem na matkę. Sor-kaktani nie okazała zdziwienia.

- Ja wiem, dlaczego on to mówi - powiedziała spokojnie.

- Jak to wiesz? A ja, głowa rodu nie wiem nic na ten temat?!

- uniósł się po męsku Móngke.

-Nie wiesz, bo tak bardzo myślisz o jego karierze w Rosji - zawahała się czy mu to wyznać - że świątobliwi lamowie powiedzieli to tylko mnie, w obawie że ty, carski urzędnik, nie przyjmiesz do wiadomości przepowiedni.

-Jacy lamowie!? Jaka przepowiednia!? - Mdingke wpadł w furję.

Sorkaktani dotknęła męża ręką i uśmiechnęła się czule. Uwielbiał ten gest, ale też go nie znosił! To zawsze kończyło się ustępstwami. I zawsze jego ustępstwami! Sorkaktani i tak stawiała na swoim. Wszystkiemu winna była jej uroda, która zakręciła mu w głowie. Pochodziła z północnych Buriatów, zamieszkujących tereny po drugiej stronie Bajkału. Zanurzeni w głębokich lasach, inaczej niż stepowi pobratymcy z południa, nigdy nie stali się buddystami, trwali przy swoich szamańskich praktykach. Różnili się od stepowych Buriatów. Ich związki z fińskimi myśliwymi z północnego Uralu i błękitno-okimi mieszkańcami

tajgi owocowały odmiennością kobiet. Tylko lekko zarysowana skośność oczu, podłużna - a nie okrągła jak u Mongołek - twarz, nadawały im czar ciepłej kobiecości zaprawiony spojrzeniem niewinnej czarownicy. Włosy Sorkaktani nie były czarne, jak u tutejszych Buriatek, ale płowe i przeplatane jaśniejszymi splotami. Miała drobne rysy twarzy i turkusowe oczy. No i te wspaniałe, długie nogi, kontrastujące z korpulentnym, krótkim i zwartym ciałem kobiet żółtej rasy, jakby stworzonych do roli środków transportu domowych ciężarów, a nie do miłosnych fantazji!

Sorkaktani patrzyła na męża wzrokiem sarny doglądającej potomstwa.

- Czy pamiętasz tę wizytę chińskich kupców sprzed pięciu lat? - Spytała tajemniczo.
 - Pamiętam, oczywiście! Jak to kupcy - pospali, pojedli i pojechali! - Móngke nie mówił już czystym dialektem południowo-buriackim. Często wspomagał się rosyjskim.
 - To nie byli kupcy !- szepnęła, jakby obawiała się, że w pobliżu jest ktoś z Ochrony - Lamowie z Lhasy szukali u nas dwunastej reinkarnacji świętego Geduna Truppy.
 - No i co? Znaleźli? - roześmiał się całkiem ułagodzony.
 - Czy nie zdziwiło cię, kochanie - Sorkaktani nie chciała odpowiedzieć wprost - że nasz siedmioletni syn jednym ciosem małej rączki znokautował ważącego dwieście pudów dyrektora szkoły?
 - Oczywiście! - zgodził się bez wahania Móngke - Sprawem go za to, ale byłem też i z niego dumny. To dobrze, że chłopak - uniósł głowę w geście aprobaty - potrafi walczyć o swoje!
- Móngke pamiętał, jakich to argumentów musiał użyć, aby nie dopuścić

do kary chłosty wymierzanej batogiem. Mały Aywan mógł jej nie przeżyć. Szczęśliwie, prokurator, przesłuchujący uczniów i nauczycieli szkoły „na okoliczność nieuzasadnionej napaści na urzędnika dziesiątej rangi”, sam był potomkiem zesłańca z europejskiej części Rosji, skazanego na Sybir za podobne szkolne wydarzenie. Zamiast prowadzić śledztwo nie mógł się Aywanowi nadziwić .

-Aj!, aj! - powtarzał - Taki mały chłopiec, a tak go sponiewierał! Mołodiec! - wyrwało mu się niechcący. - Aj!, aj!, aj! -zacukał się znowu - to nie jest zwykły chłopiec!

- Dawajcie go prędko na przesłuchanie!

- Imię i nazwisko! - prokurator zmarszczył brwi tak groźnie, jak tylko potrafił.

- Aywan Dordże! - zameldował chłopak.

- Aj!, aj! Jaki uparciuch! - Prokurator nie mógł się nadziwić stanowczości chłopca.

- Iwanie Dordżijew! - udawał, że nie zauważył jego wersji.

-A dlaczego bez powodu uderzyliście gospodina dyrektora?

- Nie uderzyłem, Wasze Wieliczesstwo! - meldował dalej chłopiec. - To on mnie uderzył!

- Jemu wolno, kochanieńki, jemu wolno, a tobie nie wolno!

-tego prokurator był pewny.

- Nie uderzyłem, Wasze Wieliczesstwo! - upierał się malec -Ja tylko mu nacisnąłem takie miejsce na brzuchu!

- Jak to nacisnąłeś? I co? - nie mógł nadziwić się urzędnik -Z tego nacisku, lo on się przewrócił i skręcił sobie kark? Tylko z tego nacisku?

- Jeest'! Wasze Wieliczestwo! Tylko z nacisku!
- To ty, kochanieńki, pokaż i mnie taki nacisk!
- Nie mogę Wasze Wieliczestwo, nie mam śmiałości!
- To zrób to delikatnie, nie tak żebym od razu złamał kark!

-Prokurator śmiał się z własnego dowcipu.

-Czy to rozkaz, Wasze Wieliczestwo?

- Da! Rozkaz! - urzędnik śmiał się dalej radośnie i wypinał brzuch przed siebie tak daleko, jak tylko umożliwiał mu to zaciśnięty pasek spodni. Malec podniósł dłoń, wygiął ją w taki sposób, że wysunęła się z niej twarda wypukłość zgięcia środkowego palca i krótkim ruchem, ale nie za mocnym, uderzył szybko w splot słoneczny prokuratora. Mężczyzna zbladł, potem się zachwiał, a w końcu łykał łapczywie powietrze. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie. Rodzice Aywana stracili nadzieję na polubowne załatwienie sprawy. Prokurator przytomniał, ale zamiast groźnie, patrzył na chłopca z narastającym podziwem.
 - A ty, malczyszka, skąd znasz takie sztuczki!? - wysapał.
 - Nie wiem, Wasze Wieliczestwo! - Od czasu przyjazdu pana 'Sera-aga' zdarzają mi się takie rzeczy. I nigdy nie wiem - dodał - skąd przychodzą.
 - 'Sera-aga'? Kto to jest 'Sera-aga'? - zainteresował się urzędnik.
- Rodzice chłopca bezradnie popatrzyli na siebie.
- To jakieś dziecinne fantazje! - ratowała sytuację matka chłopca. Ona jedna wiedziała, że 'Sera-aga', to zastępca regenta Tybetu i szef delegacji poszukującej reinkarnacji Dalajlamy.
 - Fantazje, fantazjami - chrząknął prokurator - ale ten chłopiec ma talent,

który może być bardzo przydatny służbom Jego Cesarskiej Mości.

Mężczyzna zatopił się myślami w paragrafach carskiego kodeksu karnego. Za napaść na przełożonego należy się przepisowa kara stu batogów - rozważał przez chwilę. Ale chłopiec - wiedział to dobrze - nie przeżyje batożenia. A z tymi zdolnościami ileż to, aj!, aj!, może napsuć krwi wrogom Rosji...

- Uznaję - zdecydował - że nie była to napaść! - Rodzice chłopca nie wierzyli własnym uszom.
- To był wypadek bez winy chłopca! - padł werdykt. -Śledztwo umorzone! Prokurator szukał wzrokiem drewnianego młotka, którego uderzeniem miał zwyczaj potwierdzać wydane werdykty. - Nu, ładno, niech będzie bez potwierdzenia! - rezygnacja z nawyku nie przyszła mu łatwo.

Mongke i Sorkaktani ruszyli z podziękowaniami, ale ten ich powstrzymał. Dobrze wiedział dlaczego.

- To nie koniec! - powiedział stanowczo i widać było, że nie jest mu do żartów.
- Chłopiec nie może zostać w szkole w Ułan-ude! Pójdzie -zmarszczył się władczo - do Cesarskiej Szkoły Małych Kadetów w Irkucku!

Zwykli ludzie czuliby się szczęśliwi i zaszczyceni. Dziecko nie zostanie surowo ukarane i znajdzie się w elitarnej szkole wojskowej. Miejscowi Buriaci dobrze jednak wiedzieli, co to jest za szkoła. Cesarska Szkoła Kadetów w Irkucku, to rosyjska szkoła janczarów. Jej zadaniem była produkcja armii tajnych agentów, skośnookich szpiegów, pracujących wiernie na rzecz carskiego wywiadu na Dalekim Wschodzie.

Sorkaktani powróciła myślą do wizyty delegacji z Lhasy.

-Świątobliwi lamowie - zwróciła się do męża - uchylili mi pewną tajemnicę. Państwowa wyrocznia Tybetu wskazała na małego Aywana, jako na możliwą inkarnację świętego Geduna Truppy.

Mongke zaniemówił z wrażenia.

-1 co? Odeszli bez słowa?

-Była jakaś przeszkoda, którą dostrzegł wróżbita. Nie wiem, jaka! - Sorkaktani sama czuła się niepewna. Milczała chwilę. Mongke patrzył na nią z mieszaniną ciekawości i nie dowierzania. - Powiedzieli tylko coś - powiedziała cicho - co brzmiało jak rozkaz. Powiedzieli, że pod żadnym pozorem nie wolno nam stawać na drodze jego przeznaczenia!

6.

•*Raz, dwa! Raz, dwa! Raz, dwa!*

•Znowu musztra! - burzył się Aywan - Ile razy mam ćwiczyć to samo!? - Nigdy nie akceptował jej bezmyślności.

Oficerowie, otaczający komendanta wciąż kierowali wzrok w jego stronę.

-To jednak musi iść o coś innego, niż ta wpadka z dyrektorem! - Zastanawiał się, o co rym razem będą mieli do niego pretensję. Historia z dyrektorem jawiła się w jego pamięci jako dosyć odległe wydarzenie.

Komendant szkoły, którego wianuszkami otaczali oficerowie, zrobił gest w kierunku dowódcy ćwiczącego oddziału. Ten zbliżył się, przyjął coś do

wiadomości i wrócił na swoje miejsce.

-Na mój rozkaz! - padła komenda - Stój!

Oddział karnie zarył się w miejscu.

•Kadet Dordzijew!- Aywan nie lubił gdy tak go nazywano - Wystąp!

•Raz, dwa, trzy - baczność! Aywan, zanim zdążył pomyśleć stał już wyprężony - trzy kroki przed frontem oddziału.

•Musztra robi swoje! - pomyślał. - Kadet Dordże melduje się na rozkaz!
- wykrzyknął wojskową formułę.

Dowódca spojrział z niechęcią. W innych warunkach ukarałby go za niesubordynację przekręcania nazwiska, ale obecność komendanta i wyższych oficerów skłaniała do ostrożności. Rzadko się zdarza, aby władza interesowała się bezpośrednim podwładnym. Musi być jakaś poważna przyczyna! -pomyślał.

•Za godzinę zameldujecie się u komendanta Szkoły. Zrozumiano?

•Jeeest!! - odwrzasnął Aywan.

•Odmaszerować!

Zrobił przepisowy zwrot w tył przez lewe ramię i wrócił na swoje miejsce do szeregu.

-W leewoo zwrot! W miejscu, rozejść się!

Kadeci rozproszyli się po placu ćwiczeń. Każdy kierował się do swojego pomieszczenia. Jak na porę dnia było jeszcze za wcześnie na czas wolny. Wszyscy wiedzieli, że jest jakaś sprawa, że dzieje się coś niezwykłego i że idzie o tego zadziornego Buriatę. Kadeci wymieniali pytające spojrzenia, po czym zwracali ciekawy wzrok na Aywana.

-Na honor! - pomyślał w duchu - Sam nie wiem o co cho

dzi!

Oddział rozproszył się w ciszy.

Komendant - Aleksandr Michajłowicz Bykowski) był postawnym mężczyzną w średnim wieku. Ubrany w pułkownikowski mundur siedział rozpostarty w fotelu wielkości królewskiego tronu, odwracając co chwilę wzrok na portret cara, wiszący na ścianie obok biurka. Srebrne szamerowania kurtki, przypięte zwyczajowo baretki orderów i sumiasty wąs, dodawały oficerskiej godności. Wysocy urzędnicy mieli zwykle portret cara za swoimi plecami. Powstawało wtedy wrażenie, że ich urząd jest przedłużeniem woli Jego Wysokości. Komendant kazał powiesić obraz po lewej stronie. Chciał go mieć zawsze w zasięgu wzroku. W trudnych sprawach mógł się wesprzeć carską przenikliwością.

- Czy to prawda, Dordżijew - komendant zawiesił głos w oczekiwaniu na protest kadeta. Aywan był znany z przerabiania swego rosyjskiego nazwiska na buriackie 'Dordże' - że czujecie w sobie powołanie?
- Powołanie? - Chłopiec nie rozumiał znaczenia słowa. W ustach komendanta zabrzmiało tajemniczo.
- Mam powołanie do Cesarskiej Szkoły Kadetów w Irkucku! - powiedział ostrożnie.
- Nie o takie powołanie idzie! - komendant śmiał się serdecznie - Przeciwnie, idzie o wasze powołanie duchowe!

Aywan nie wiedział, co sądzić o pytaniu. Rosjanin dostrzegł zmieszanie chłopca i zrobił ruch, przypominający znak krzyża.

-No, czy nie czujecie powołania na duchownego?

Aywan dalej nie rozumiał. On popem? Całe życie spędzić z popadą?

Żona popa była dla niego uosobieniem zaściankowości i babskiego wścibstwa. I ta gromadka dzieci, płaczących się za ołtarzem! Do głowy mu nie przyszło zamknąć się na całe życie w jakiejś cerkwi! Był urażony pomysłem komendanta.

- Nie! Wasze Wieliczesstwo, nie zamierzam być popem! Pochodzę - mówił pospiesznie - z religijnej rodziny buddyjskiej. W miejscu mojego urodzenia znajduje się *dacan Iwolga*, wspaniały klasztor, pełen mądrych mnichów i starych ksiąg!
- A co wy, Dordżijew - zmarszczył się komendant - macie przeciwko naszej wierze? To ona jest prawdziwa, a nie te gusła Buriatów! - Komendant przeżegnał się z oburzenia po prawosławnemu - z prawa na lewo.
- Nic nie mam, Wasze Wieliczesstwo! - Aywan poczuł, że posunął się za daleko - Zostałem tylko wychowany w szacunku dla mądrości i sposobu życia mnichów - wyjaśnił.
- Niech będzie! - uciał komendant. Spojrzał przez chwilę na chłopca. Jego wzrok zawierał wyrzut, ale skrywał też nutkę podziwu.
- Chcemy właśnie, żebyście zostali mnichem - zawahał się na moment - czy jak to wy tam nazywacie - lamą!
- Przecież jestem kadetem! - tym razem zdziwienie Aywa-na było niczym nie skrywane - Ojciec chciałby - wiedział o tym od matki - abym w przyszłości został oficerem albo urzędnikiem wyższej rangi!
- Kandydatów na oficerów mamy mnóstwo! - komendant wiedział, że w imperialnym systemie Rosji tylko wojsko zapewniało start do awansu w ramach cesarskich rang - Kandydatów na mnichów - zafrasował się -

nie mamy!

- Wasze Wieliczesstwo! - Aywan nadal nie mógł zrozumieć istoty tej rozmowy - Po cóż naszej armii mnisi? - Wiedział od rodziców, że realizacja marzenia o karierze w Rosji wiązała się z przejściem na prawosławie.
- Ot i właśnie! - odparł z namysłem komendant. Ot i właśnie! - powtórzył, patrząc uważnie na prężącego się przed nim kadeta - Pójdziecie na mnicha. Buddyjskiego mnicha! -uciął.
- Mnicha? - Aywan nie posiadał się ze zdumienia. Prawda, że kiedyś zwierzył się ojcu, że chciałby zostać lamą, ale nawet ojciec uznał to za dziecinny kaprys. - Co to ma zresztą wspólnego z karierą wojskowego?
- Musicie zrozumieć, Dordżijew - pułkownik dostrzegł jego zaskoczenie i rozterkę - że taka jest potrzeba. I do tego - dodał z naciskiem - takie są rozkazy z góry!
- Z góry? - zdumiał się szczerze Aywan.
- Tak, z góry! - odparł oficer - Z bardzo wysokiej góry!

Aywan nie mógł pozbyć się przyjemnego uczucia, jakie wywołuje pochlebstwo. Schlebiało mu, że jego, młodego chłopca i do tego nie-Rosjanina, dostrzegł ktoś „na górze”. Nie czuł w sobie skromności. Więcej, poczucie własnej wartości kryło przekonanie, że czeka go w życiu jakaś ważna misja. Ale jak to miałyby się wiązać z życiem w klasztorze?

- Wyjaśnię wam, kadecie Dordżijew! - pospieszył z wyjaśnieniem komendant, wyczuwając myśli Aywana - Będziecie szkoleni do pewnej misji!
- Misji! - słowo zabrzmiało jak oczekiwane wypełnienie celu życia.

•Jego Wysokość, Gosudar i Car Wszechrusi wyraził chęć przyłączenia do Imperium nowych ziem, będących dotąd -komendant westchnął z żalem - poza zasięgiem naszych wpływów. Te ziemie, to Mongolia, kraj Ujgurów, nazywany w Chinach Sinkiangiem i Tybet. - To trudne zadanie - ciągnął -wymagające wielu przygotowań.

Pułkownik poczuł się jak strateg, przygotowujący rozstrzygającą kampanię. Czuł posmak wielkiej polityki, mówił teraz trochę do siebie, trochę do portretu cara, nie zwracając większej uwagi na dalej nic nie rozumiejącego chłopca.

-Jego Wysokość postawił to zadanie przed wszystkimi służbami. Jego Cesarska Mość - odwrócił głowę w kierunku wielkiego portretu cara - nigdy nie wchodzi w szczegóły. Te pozostawia nam. A my - martwił się głośno - nie mamy na tych terenach żadnej sieci. Jesteśmy ślepi i głusi. O Tybecie nie wiemy nic!

Zapadła cisza, po czym komendant znowu wbił wzrok w portret cara.

-Tam, wyobraźcie sobie, większość ludzi - tym razem w głosie można było wyczuć zdziwienie zmieszane z pogardą - to mnisi! Podobno - jego zdziwienie się pogłębiało - w Tybecie aż dwie trzecie dorosłych mężczyzn zamieszkuje w klasztorach! - Jak może istnieć taki naród? Aż sam prosi - znowu spojrzął na portret wiszący na ścianie w poczuciu uwielbienia dla mądrości cara - o przyłączenie! A nasza, rosyjska cywilizacja - rozparł się z dumą w fotelu - jest młoda, energiczna i nie toleruje pustki wokół granic!

Aywan milczał, oniemiały ogromem wielkiej polityki, która wlała się nagle w jego dziecinny umysł.

- Zostaniecie buddyjskim mnichem, Dordżijew! Ale pamiętajcie! ! -
pogroził znacząco palcem - Będziecie naszym mnichem!

Rozdział trzeci. INICJACJA. KLASZTOR AST AGAT, MONGOLIA.

1. Kibitką podążającą z Irkucka na południe, powoził sierżant Kisielów, podoficer szkolnej intendentury. Ten jednokonny, szeroki, zadaszony wózek - latem na kołach, zimą na płozach - używany był w Rosji powszechnie. Irkucka Szkoła Kadetów miała kilkanaście takich pojazdów. Kisielów cmokał na konia i podśpiewywał sprośne piosenki. Klasztor Astagat, do którego zmierzali, znajduje się kilkadziesiąt mil od irkucka - między jeziorem Bajkał, a granicą chińską. Pierwszego dnia kierowali się na południowy zachód, aby je objechać od tej strony. Wózek mknął przez lasy otaczające głębokie, czyste i rybne jezioro. W południe dotarli do zachodniego krańca. Tam, krajobraz z leśnego zmienił się w lasostep. Powietrze przynosiło delikatną zapowiedź prawdziwego stepu. Była wiosna. Pyłek kwitnących traw, niesiony południowym wiatrem, łączył się z zapachem ziół i mieszał z wonią łajna koni, owiec i bydła. Wieczorem dotarli do Ułan-ude. Aywan mógł nawet rzucić okiem na szkołę, w której doszło do incydentu z jej dyrektorem i który tak zaważył na jego życiu.

Drugiego dnia podróżowali bez pośpiechu. *Dacan Astagat* leży w odległości trzydziestu wiorst od miasteczka. Klasztor, to niewielka budowla w stylu tybetańskim. Płaski, brązowy dach, wspiera się na dwóch piętrach pobielanych wapnem szorstkich ścian. Budynek wieńczy szczyt pagórka wyrastającego z suchej, trawiastej polany, tuż przy drodze

prowadzącej z Ułan-Ude do Czyty, miasta rosyjskiego Dalekiego Wschodu cieszącego się - od czasu zesłania tam przez cara Mikołaja I pozostałych przy życiu dekabrystów - sławą syberyjskiego centrum intelektualnego. Wędrowcy przemierzający drogę koło *dacanu*, nie zwracali większej uwagi na zabudowania. Większość, dała się już dawno wciągnąć w ciemne interesy pogranicza. Intelektualne uroki miasta Czyta i buddyjska duchowość Astagatu były im zupełnie obojętne.

Aywan poczuł się zawiedziony klasztorem. Budynek robił bardziej wrażenie siedziby pustelników, niż sławnego centrum nauki. Niewielkie rozmiary i skromność architektury nie pasowały do otaczającej go sławy. Niepozorny klasztor był jednak dla mieszkańców Buriacji ich Mekką - najwyższym rangą ośrodkiem nauki i klasztornej edukacji. Jego skryptyorium zawierało doborową kolekcję starych manuskryptów -tybetańskich i staromongolskich. Prawdziwą perłą był stuo-śmiotomowy *Astagat Kandzur - Księga Pieśni*, spisana wielobarwnym pismem na czarnej emalii - atramentem sporządzonym, jak powiadano, z ludzkiej krwi, sproszkowanych owczych kręgów i cukru.

Kisielów cmoknął na konia i skierował pojazd do klasztornej bramy. Ze środka niespodziewanie przestronnego podwórza strzelał w niebo wysoki *suburgan*. Tak w języku mongolskim nazywa się buddyjska *stupa* - relikwiarz zmarłych świętych, kierujący ostrze wprost do nieba. Jego kształt symbolizuje nirwanę - drogę do kosmicznego niebytu. Jest miejscem, w którym chowane są szczątki osób szczególnie szanowanych i wybitnych mnichów, a wierni mogą gromadzić się na ceremonie. Aywan nie odczuł atmosfery świętości miejsca. Zbita gromadka mnichów o ogolonych głowach, ubranych w ceglastej barwy habity, stała w pobliżu

głównej bramy, ich ruchy wykazywały podniecenie, a głosy brzmiały donośnie i kłótliwie.

- Dlaczego święci ludzie się kłócą? - Zaskoczony chłopak wypowiedział głośno swoje zdziwienie.
- Nie kłócą się! - burknął Kisielów. - To jest uczona dyskusja! Mnisi - zauważył z politowaniem - tak ćwiczą przekonywanie do swoich racji! A tutejsi ludzie - zawahał się chwilę -znaczy, tutejsi buddyści, uwielbiają, hi!hi!, przysłuchiwać się filozoficznym dyskusjom - głos Rosjanina pobrzmiewał sarkazmem. To, co myślał, wyraźnie go śmieszyło. - Nawet, jeśli nie umieją czytać ani pisać! - dodał wesoło. Dla podkreślenia swojego stosunku do tego obyczaju Rosjanin ostatnie zdanie wypowiedział dyszkantem, wyższym i troszkę piskliwym głosem. Ale Aywan się nie śmiał. Po ogłupiającym drylu szkoły kadetów, dyskusyjny zapal mnichów bardziej go ciekawił, niż bawił.

Drewniane wrota budynku klasztornego otwarły się szeroko i na schodach pojawił się starszy wiekiem mnich. Władczy wzrok wskazywał na wysoką pozycję.

-To Inkhe! - mruknął Kisielów - Przeor *dacanu*.

Aywan zeskoczył z kibitki i pochylił się grzecznie w geście powitania.

-Zdrastwujcie! - pozdrowił Kisielów przeora, ale nie ruszył się z kozła. Aywan uznał to z oznakę braku szacunku dla go spodarza.

-Jak to możliwe? - pomyślał - Kisielów jest tylko żołnierzem, a mnich przeorem sławnego klasztoru?

-Zdrastwujcie! - powtórzył Kisielów. Jego prawa ręka

unosła się do góry i przybrała dziwaczny kształt. Dwa ze wewnętrzne palce dłoni i kciuk rozcapierzone ku górze, dwa środkowe pozostawały nienaturalnie zgięte ku wnętrzu dłoni. Kisielów rozprostował dłoń i powtórzył gest. Przeor odpowiedział jeszcze raz tym samym gestem, ale jego wzrok stracił władczość. Sądząc z wyrazu twarzy - to Kisielów był wyższy rangą.

Aywan skierował na nich niczego nie rozumiejące spojrzenie.

-Przywiozłem wam nowy narybek! - zaśmiał się z kozła

Kisielów - Bierzcie i ucicie! - Car gosudar wynagrodzi!

Mnich uśmiechnął się sztywno i ruchem ręki zaprosił chłopca do środka. Kisielów cmoknął na konia, szarpnął cuglami i chwilę później Aywan widział tylko tył kibitki znikający za węglem klasztornej bramy. Poczul się osierocony. Miał niecałe dziewięć lat, a znalazł się zupełnie sam, w obcym miejscu, wśród nieznanymi ludzi. Sprawy, jakie go tu czekały były ciekawe, tajemnicze, ale całkiem nieznanymi. Nie miał zresztą czasu na refleksję. Po wieczornych modłach, przeor zadał mu najpierw kilkadziesiąt (dokładnie czterdzieści!) pytań, które wydawały się idiotycznie oczywiste: czy ma rodziców, czy wie kim jest, czy sądzi, że przeor jest mężczyzną? Nie wie-

dział, że był to obowiązkowy zestaw sprawdzający, czy kandydat na mnicha jest zdrowy na umyśle i czy podjął decyzję świadomie. W obecności dwóch innych łamów kazano mu wypowiedzieć zwyczajową formułę: *uciekam się do Buddy, uciekam się do dharmy, uciekam się do sanghi*". Z trudem, z kadeckiej ogolonej głowy, wycięto symboliczny kosmyk włosów i dokonano rytualnego obmycia. Wprowadzony do sali

modlitewnej, w obecności innych mnichów, wśród modłów i błogosławieństw, otrzymał drewnianą miseczkę i sitko do wody. Został *grwapa*, nowicjuszem *sanghi* - mnisiej wspólnoty. Wskazano mu celę. Było to małe pomieszczenie, w którym -oprócz twardego łoża z desek i drewnianego stołka - nie było nic. Małe, kwadratowe okienko patrzyło na szare zaplecze klasztornej kuchni.

-No, - pomyślał - przynajmniej jedzenie w pobliżu...

2.

Ze snu wyrwały go dźwięki mosiężnych trąb, tak długich, że z trudem obejmowanych dłońmi mnichów. To była pobudka. W drzwiach celi stanął ubrany w habit chłopiec, trochę starszy od Aywana. Trzymał naręcze materiału koloru burgunda i jakieś przedmioty. Rozpoznał w nim kolegę ze starszej klasy Irkuckiej Szkoły Kadetów, którego stracił z oczu zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego. Nie pamiętał jego imienia.

- Nazywają mnie Dziansun! - powiedział gość. - Będziemy mieszkać razem.
- Dlaczego 'cię nazywają'? - zdziwił się Aywan. - Nie mów mi jak cię nazywają - przekomarzał się po szkolnemu - ale jak ty się nazywasz!
- Imię rodzinne zostawiamy przed bramą klasztorną! -burknął Dziansun. - Ty też otrzymasz imię jako członek *san-ghi*
- Po co ta heca z imieniem? - Aywan dalej czuł się jak szkolny kolega. -Przychodzimy tu - podniósł ogoloną głowę Dziansun.

Mimo starań Aywana o pobudzenie wesołego nastroju poranka miał poważny wyraz twarzy - żeby myśleć o ważniejszych sprawach, niż te, które zostawiliśmy na zewnątrz - Tutaj bę

dziesz kimś innym niż byłeś! - kończył nie dając się sprowokować - Zresztą - dodał - załóż habit, a poczujesz zmianę!

Mnichów obowiązuje zakaz posiadania rzeczy materialnych. Otrzymują bieliznę osobistą, miseczkę na jedzenie, różaniec, naczynie na herbatę, habit i kilka drobiazgów. Ten brunatno-czerwony kawałek materiału, który przyniósł Dziansun, to był habit. Umiejętnie zawinięty wokół ramienia i pasa, nadaje właścicielowi wygląd osoby szczególnej, zdążającej ku świętości.

Aywan nie bez trudu, z fachową pomocą Dziansuna, owinął wokół ciała materię. Głowę miał ogoloną, jak przystało na kadeta, więc przeistoczenie młodziutkiego żołnierza w członka mnisiego nowicjatu dokonało się w mgnieniu oka.

- Doskonale! - pochwalił Dziansun. - Wiesz, z jakiej przyczyny się tutaj znaleźliśmy, prawda? - chłopak patrzył uważnie i wykonał, widziany już przez Aywana wcześniej, dziwaczny ruch palców prawej dłoni: trzy skierowane ku górze, dwa wewnętrzne zwinięte w kierunku środka dłoni.
- Co to za gest? Widzę go już drugi raz! Wygląda na jakiś znak porozumienia.
- Nie mylisz się! - Dziansun nie reagował na zaczepkę w głosie Aywana. - Potrzebujesz wyjaśnień! - dodał z powagą - Jestem tu już dłuższy czas, a ty jesteś świeży. Będę przez jakiś czas twoim prowadzącym - w oczach Dziansuna błysnęło coś, co mogło świadczyć o tym, że jest on nie tylko starszy, ale i wyższy rangą.
- Jeśli masz na myśli jakieś tajne zadania - odparł hardo Aywan - to

wiedz, że ja nie mam żadnych zobowiązań. - Nikt mnie zresztą o zdanie nie pytał!

- Nie sądzisz jednak, kadecie - Dziąsun wyprostował się w żołnierskim stylu - że obowiązuje nas rozkaz? A rozkaz, to rozkaz!

-Może dla żołnierza to jest jasne i proste! - Aywan miał zawsze lekceważący stosunek do wojskowego drylu - Nie mam natury zupaka! Jestem buriackim Mongołem z rodu samego wielkiego chana. W mojej rodzinie poczucie wolności było zawsze na pierwszym miejscu. To moi przodkowie rozkazywali innym. Im nie rozkazywano!

Poczuł przypływ rodowej dumy. W domu rodzinnym nie wpajano dzieciom poczucia wyższości w stosunku do osób niżej urodzonych, ale arystokratyczny wzrok Sorkaktani i władcze ruchy ojca sprawiały, że ludzie traktowali jego rodzinę z ostentacyjnym szacunkiem.

-Czasy się zmieniają - Dziąsun mówił jak dorosły, nie jak dziesięcioletni chłopak - jeśli zostaniesz w Rosji, będziesz nikim. Wiesz jak biali traktują skośnookich!

Aywan pomyślał z satysfakcją, że dzięki matce i jej fińskim krewniakom, jego oczy nie są okolone mongolską fałdą, która bezbłędnie wskazuje na azjatyckie pochodzenie. Lekka tylko skośność brwi była w jego twarzy niemal niewidoczna, dodatkowo osłabiana niebieską barwą tęczy. Czuł dumę z mongolskiego pochodzenia, ale czerpał również poczucie wyższości z tego, że - jeśli ktoś nie wiedział o jego buriackim pochodzeniu - mógł łatwo wziąć go za Europejczyka. Nawet w rodzinnej miejscowości, w zabawach wokół murów iwolgiń-skiego klasztoru, koledzy wołali na niego - 'białas'. Zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie

czuł się tym urażony.

Dziansun jeszcze raz wykonał znany już ruch palcami dłoni.

-To znak specjalny i tajny, zrozumiały tylko dla wybranych! - pouczył Aywana - Dla hinduskich mędrców, to jeden z dwunastu gestów *mudry*. Tak ujawniają stan psychiczny. Na przykład - Dziansun usiadł na drewnianym stołku w geście zawodowego wykładowcy - to *abhaja-mudra*. Jego prawa ręka uniosła się w górę - cztery palce razem, kciuk odstawiony. To gest uspokajania, oddalania lęku, a *dhjana-mudra* - złączył obie dłonie na kształt kołyski - wskazuje na stan medytacji, zato pienia się w sobie.

- Dla nas najważniejszy jest ten! - Dziansun znowu poniósł trzy palce w górę, a dwa wewnętrzne wygiął ku środkowi dłoni - To *suczi-mudra*, gest wskazywania, upominania i grożenia.

-Jeśli każdy go zna - śmiał się Aywan - i znaczy to, co znaczy, co nam z tego?

- Mnisi robią gest tylko raz, dla ujawnienia swojego nastroju. Jeśli powtórzysz go szybko dwa razy - Dziansun nie za uważał kpiny - dla mnie i nam podobnych będzie to oznaczało, że jesteś jednym z nas. Będzie to również znaczyło, że jesteś na służbie - chłopaka poderwało na równe nogi - Najjaśniejszego Pana, Cesarza i Samodzierzcy Wielkiej Rosji! Jeśli powtórzysz gest szybko trzy razy - Dziansun usiadł z powrotem na stołku i było wiadomo, że car Rosji nie będzie już wymiany - oznacza, że jesteś w niebezpieczeństwie i trzeba ci

udzielić pomocy.

Aywan zastanawiał się, co o tym myśleć. Zdażył się już nacieszyć perspektywą zdobywania wiedzy i tej powszechnie dostępnej i tej tajemnej. Klasztor Astagat miał wybitną pozycję naukową. Skierowała go tutaj Irkucka Szkoła Kadetów i chętnie by się jej za to odwdzieczył, ale nie za cenę rezygnacji z pogłębiania wiedzy. Pragnął zostać uczonym, nie agentem.

- Służba - Dziansun wstał znowu ze stołka i skierował się ku drzwiom - to służba, ale poza nią możesz robić, co chcesz!

- I jakby zgadując przyczynę wahań Ajwana dodał - Poza służbą możesz zostać nie tylko uczonym, ale i samym Dalaj lamą.

3.

Rytuał wstąpienia do nowicjatu został powtórzony przy świetle dziennym. Uważano, że nocne przyjęcie w szeregi wspólnoty musi zostać dokonane, choćby w skróconej formie, w ciągu dnia.

- *Uciekam się do Buddy, uciekam się do dharmy, uciekam się do sanghi!*

Dharma - to nauczanie Buddy o odwiecznym prawie Kosmosu, a *sangha* - to buddyjska wspólnota. Aywan wyrecytował formułę, potwierdzającą członkostwo w społeczności mnichów. Jej wypowiedzenie nie tworzy szczególnego obowiązku, ani też do niczego nie uprawnia. Od mnicha nie wymaga się inicjacji, ani innego namaszczenia. Formuła poddania się zasadom głoszonym przez Gautamę z rodu Sakjów, zwanego Buddą, czyli Oświeconym, ma pewną symbolikę, ale nie jest ani inicjacją,

ani wyświęceniem. Kandydat musi poddać się tylko surowym klasztorным rygorom, stale pogłębiać wiarę przez medytację, kultywować moralność i szczodrość.

- *Om mani pddme hum! Om mani pddme hum!* - Odpowiedział mu chór męskich głosów - „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!”.

Monotonne powtarzanie świętych sylab mantry brzmi jak zaklęcie i do pewnego stopnia nim jest. Mantra, powtarzana w nieskończoność, ma w sobie coś z muzyki. Spokojnej, jednostajnej, ale muzyki. Święte sylaby miały teraz towarzyszyć Aywanowi przez resztę życia. Tęsknił za nimi zawsze, gdy opuszczał tereny zamieszkiwane przez wiernych naukom Śakjamuniego.

Młodych mnichów zgromadzono w sali medytacji. Spoczywając ze skrzyżowanymi nogami na ceglastej koloru poduszkach, zwróciwszy twarzami do przeora, siedzącego w podobnej pozycji naprzeciwko nich, byli gotowi do porannej modlitwy. Nadszedł czas pierwszego posiłku - do metalowych naczyń nalano gorącą herbatę. Słowo: 'herbata' jest w tym wypadku myląca. W Mongolii i Tybecie nie podaje się ani, znanego z Chin, płynu z zaparzonych zielonych liści krzewu, ani - jak w Anglii - cierpkiego wywaru z liści poddanych fermentacji. Jest to raczej herbaciana zupa, zaprawiona mlekiem, solą i kostką masła z tłustego mleka jaka. Aywan długo wpatrywał się w wielkie oczko tłuszczu pływające na powierzchni, zanim zdecydował się powolutku wypić płyn. Wiedział już, że jest to jego całe śniadanie. Wiedział też, że obiad będzie czekał w południe, tuż przed główną modlitwą i będzie to garść prażonych ziaren prosa albo jęczmienia lub miękkiego ciasta, zwanego *campa*, oraz kubka gorącej herbaty.

Lamaizm, w przeciwieństwie do buddyzmu z południa Azji, nie jest wegetariański ze swej istoty. Zresztą, sam Budda nie mógł być zbyt wybredny, skoro wędrował po miasteczkach i osadach indyjskiego Biharu z miseczką proszalną w ręce. Jadł, co mu do niej włożono. Nawet umarł dlatego, że nie chciał odmówić daru zepsutego mięsa. Ortodoksyjnymi jaroszami są indyjscy hinduiści, ale ludzie mieszkający na ogromnych, stepowych przestrzeniach Tybetu i Mongolii, nie widują - poza skąpą trawą - zbyt wiele roślinności. Są skazani na produkty pochodzące od zwierząt i upraw z płachetek ziemi. Tylko mnisi, ćwiczący ducha, zamiast podsycaenia ciała, nie jadają mięsa, podtrzymując energię masłem, ziarnem i mącznym ciastem, luźnymi zupami i kawałeczkami podplomyków. Idzie o to, aby energia kierowała się na przeżycia duchowe, a nie doznania cielesne. Zresztą, każdy wie, że lekko głodujący człowiek jest sprawniejszy fizycznie i bardziej długowieczny, niż spasieni i ciężcy na umyśle osobnicy.

- Jesteście tutaj - rozpoczął uroczyście Inkhe, przeor klasztoru - z własnej woli. Z własnej woli tutaj jesteście - powtórzył - i z własnej woli możecie w każdej chwili odejść! - Gautama Budda nauczał: *„Sami musicie kroczyć ścieżką. Ja przeszedłem ją sam, ale nie mogę przejść jej za was. Nikt nie może wyzwolić kogoś innego. Sami musicie zrobić to dla siebie”*.

Inkhe schylił głowę i milczał. Chciał, aby wypowiedziane słowa zapadły w pamięć nowicjuszom. Właściwie, wyjaśniały wszystko. Człowieczej duszy nie są potrzebne ani zaklęcia, ani nabożeństwa, ani pouczające kazania, ani odpuszczenie grzechów. Człowiek jest sobie potrzebny sam i sam, we własnym wnętrzu, musi dojść do wyzwolenia. Tej pracy nie

odrobi za niego nikt.

- To łatwe! - pomyślał Aywan.

Pamiętał modlitwy i śpiewy prawosławnych w Irkucku. Wiedział, że pobożni chrześcijanie muszą uczestniczyć w uroczystej mszy. A tutaj - *om mani padme hum* - powtarzał za innymi - *om mani padme hum, om mani padme hum...* Tylko tyle? Co jakiś czas włączał się bębenek, podbijany palcami starszego mnicha, podkreślając rytmiczne brzmienie świętych sylab.

Monotonia powtarzanej mantry nie nużyła go wcale. Przeciwnie, im dłużej kręciły się młynki modlitewne, im więcej rytmów wydawał bębenek, tym bardziej czuł się inaczej: przenikał go jakiś rodzaj lekkości, poczucie wolności i - co najdziwniejsze - niezależności od świata zewnętrznego.

- Czy te sylaby mają tak wielkie znaczenie? - pytanie nasunęło się Aywanowi samo.
- Szybko się uczysz synu! - Przeor uśmiechnął się z satysfakcją - To rzeczywiście są święte sylaby, a najświętsza z nich to sylaba *om*.
- Om*, to skrócony dźwięk *aum*. - w sali zapanowała zupełna cisza - *Aum*, to mistyczne odwieczne echo, wyrażające istotę absolutu - te słowa Inkhe - powiedział, jakby nie mówił ich sam, ale jak gdyby ktoś ważniejszy powiedział je za niego. Aywan poczuł lekkie drzenie serca. Miał ochotę powtarzać ten dźwięk bez końca. - *Aum* - ciągnął przeor - jest żeńską energią kosmiczną *śakti*. Jest zatem - dodał z powagą - całą połową świata.
- Jak ta energia się ujawnia? - Aywan był zaintrygowany tajemniczością dźwięku i jego żeńskim znaczeniem. Zauważył już, że gdy mowa o

żeńskim elemencie kosmosu, budzi się w nim niespodziewane zainteresowanie. Tkwiło w nim coś, co nakazywało zwracać uwagę na jego kobiecy aspekt.

- Czy to tylko wpływ matki? - pomyślał ciepło o Sorkakta-ni - A może jest we mnie coś jeszcze poza mnichem?- poczuł się niespokojny.
- To kosmiczna wibracja - wyjaśniał dalej Inkhe - początkująca stworzenie świata oraz stanowiąca mistyczny, odwiecznie istniejący dźwięk *sabda*.
- Om mani piidme hum!* - Aywan sądził, że przeor znowu zacznie kręcić młynkiem. Ten jednak tylko przerwał wyjaśnianie istoty buddyjskiej modlitwy. - Dźwięki, które wypowiadamy przed recytacją świętych tekstów - przeor poprawił się na poduszce - kryją w sobie dobrowróżbną i opiekuńczą moc. *Om* - wyjaśniał cierpliwie - to pradźwięk słowa-absolutu, to również kwintesencja świętej księgi *Wed*. Powtarzany wielokrotnie - przeor uśmiechnął się dobrotliwie - najlepiej

sto osiem razy po kolei, otacza nas obronnym murem i oddziela od złych mocy. - *Mani* - dodał - to w sanskrycie, starożytnym języku *Wed*, znaczy -'klejnot'. Spójrzcie przed siebie! - przeor wskazał na posąg Buddy, górujący nad pomieszczeniem naprzeciw wejścia - To *Awalokiteśwara* - 'Pan Łaskawie Spoglądający w Dół'. - Przyjrzyjcie się dokładnie! Co trzyma w dłoni?

- W której? - zdziwił się Dziąnsun - Ma cztery ręce!
- W prawej górnej ręce trzyma medytacyjny różaniec! - pospieszył z odpowiedzią Aywan.

- Doskonale! - pochwalił przeor. - Różaniec ma sto osiem pereł, co symbolizuje świętą liczbę.
- W lewej trzyma jakiś przedmiot! - Aywan nie potrafił go określić.
- To kwiat lotosu. On też ma swoją symbolikę! - wyjaśnił Inkhe. - Ta przepiękna roślina, kwitnąca w błotnistym otoczeniu, odpowiada naturze ludzkiej i przesłaniu Oświeconego: rozwijaj kwiat, zapomnij o błocie, z którego wyrasta druga część twojej duszy! - Przeor zamyślił się na dłuższą chwilę, rozważając w myślach istotę przesłania. - Dwie dolne ręce Buddy Awalokiteśwary - zwrócił uwagę na istotny szczegół - obejmują rzecz najważniejszą. To klejnot symbolizujący mantrę, którą stale powtarzamy - *om mani padme hum*.
- To, co Przebudzony trzyma w ręku - przeor mówił teraz z religijnym namaszczeniem - to jest właśnie ten *klejnot w kwiecie lotosu*, symbolizujący wszystko, co jest nam najdroższe - *Buddę* - Oświeconego Nauczyciela, *dharmę* - jego nauczanie i *sanghę* - naszą społeczność wiernych. Wypowiadając święte dźwięki *om mani padme hum*, zwracamy się do Buddy - przeor skłonił się wizerunkowi Awalokiteśwary - do 'Pana łaskawie spoglądającego w dół' z wyznaniem wiary. Im więcej razy je powtórzymy, tym ich kosmiczna siła jest większa.
- To, co obejmuje dłońmi Awalokiteśwara przypomina koronę, a nie klejnot - zauważył Dziansun.
- Słowo 'klejnot' ma znaczenie symboliczne - przeor wiedział, że tylko cierpliwe wyjaśnianie przyniesie zrozumienie - *Wadžra* - w sanskrycie - oznacza diament, najtwardszy z minę-

rałów. Twardość naszej wiary symbolizuje nie sam diament, ale diamentowa korona, którą trzyma Awalokiteśwara. Odpowiednikiem *wadźry* w języku tybetańskim jest słowo *dordże*.

- *Dordże?* - Aywan wydał okrzyk zanim zdążył pomyśleć - To moje rodowe nazwisko!
- To znana historia ze starych tekstów! - Inkhe spoglądał na niego z pewnym rodzajem podziwu - Twój ród pochodzi wprost od Mitsjo Dordże, VIII Karmapy Rimpocze, przełożonego szkoły Czerwonych Czapek, rządzących Tybetem przed Dalajlamami. Przydomek *Dordże* był wśród nich równie częsty, jak *Gyatso* - 'ocean mądrości' wśród Dalajlamów.

-Jak można pochodzić od mnicha? - Aywan był wstrząśnięty - W mojej rodzinie utrzymuje się, że pochodzimy od samego Czyngis-chana!

-Wbrew pozorom - uśmiechnął się przeor - w tym nie ma sprzeczności. Szkoła Czerwonych Czapek nie przestrzegała celibatu. Przeciwnie, rytualny kontakt cielesny z mniszkami był nawet duchowym obowiązkiem mnichów. A z tego - jak pewnie wiesz - przeor zmrużył żartobliwie oczy - biorą się dzieci!

Aywan nadal niczego nie rozumiał.

-Do Mongolii - ciągnął cierpliwie Inkhe - buddyzm, za wędrował dopiero za Ałtaj-chana, potomka Czyngisa. Karma-pa i Dalajlama w jednej osobie odrodzili się jako jego prawnukowie gdy władza przeszła w ręce Dalajlamów z linii Gelu-g's'py - Żółtych Czapek, surowo przestrzegających celibatu. Tybetańskie słowo *dordże* przestało w Mongolii oznaczać tylko

piorun mocy - diamentową *wadźrę*, ale stało się nazwiskiem rodowym jego potomków. Jesteś więc - przeor znowu był pełen powagi - zarówno potomkiem wielkiego Czyngisa, jak i świętego Karmapy od Czerwonych Czapek, którego syn pojął za żonę jedną z córek Ałtaj-chana. Może stąd bierze się - jego powaga gdzieś znikła - twoje zainteresowanie losem kobiet? Karmapa Rimpocze nauczał - zauważył przekornie - że ta jemną wiedzę mogą osiąść jedynie lamowie posiadający żony i z pomocą innych kobiet - *dakiń*, dziedziczek mądrości.

Aywan zrobił się purpurowy. Trochę ze wstydu, że musiał ukryć swoją dziwną namiętność i skłonność do zwracania uwagi na dziewczęta, trochę z dumy ze starożytności własnego rodu.

Przeor zamilkł znowu. Podniósł głowę, potoczył po sali wzrokiem i ponownie zwrócił się do słuchaczy.

-Teraz - jego twarz straciła łagodny wyraz - dowiedcie się najważniejszego. - Rysy przeora jakoś stwardniały. - *Om mani pddme hum* nie znaczy tylko to, o czym wiedzą wszyscy. To nie tylko i nie po prostu, stwierdzenie, że '*zaprawdę klejnot jest ukryty w lotosie*'. To jest - jego twarz znowu złagodniała - tylko powierzchowna informacja przeznaczona dla zwykłych ludzi. Prawdziwy klejnot jest ukryty przed oczami większości. Wy, jako mnisi, członkowie najwęższego kręgu *sanghi*, otrzymacie również *thcrma* - wiedzę tajemną, znajdującą się głęboko na jej wewnętrznym poziomie.

Inkhe przerwał, aby dać słuchaczom czas na skupienie.

•Mantrę *om mani pddme hum* wypowiadamy dla pożytku innych. Na

zewnątrznym poziomie - tłumaczył przeor -przywołuje tylko Jego Kochające Oczy i jednoczy współczucie wszystkich bodhisattwów. Na poziomie wewnętrznym wibracje poszczególnych sylab uspokajają sześć 'przeszkadzających uczuć' i przekształcają emocje negatywne w mądrość i spokój. Pełny efekt dają powtórzone jedenaście tysięcy sto jedenaście razy.

•*Om* - Inkhe ściszył głos jakby w obawie przed niepowołanymi słuchaczami - przemienia dumę i egoizm, *Ma* - zazdrość i zawiść, *M* - przywiązanie i egoistyczne pożądanie, *Pad* - niewiedzę i nieprzejrzystość, *Me* - chciwość i skąpstwo, a *Hum* - przekształca nienawiść i gniew. Każda mantra - Inkhe mówił to śmiertelnie poważnym głosem - stanowi naturalną wibrację formy Buddy, aktywizuje pole jego mocy. Wiele medytacji Diamentowej Drogi - naszej nauki, zawiera frazy, w których wielokrotnie powtarza się mantry.

Zapadła zupełna cisza. Wydawało się, że dostępując tajemnej wiedzy żaden z młodych nowicjuszy nie odważy się już wypowiedzieć mantry *om mani padme hum* bez medytacyjnego przygotowania.

- Jest też i druga ważna mantra - ciągnął po chwili Inkhe - w sanskrycie zwana *Wadzrasatta*, a po tybetańsku - *Dordze Sempa*, czyli 'Diamentowy Umysł'.

Awyan słysząc znowu dźwięk swojego rodzowego nazwiska, zamienił się cały w słuch.

- Jest to stusylabowa mantra oczyszczająca. - przeor posta nowił wyjaśnić nowicjuszom i tę tajemnicę - Należy ją rów

niez wypowiedzieć jedenaście tysięcy sto jedenaście razy. Jest długa, każdą sylabę trzeba wymawiać osobno, co kosztuje wiele czasu i wysiłku. Ma jednak - znowu ściszył głos do szeptu - niewiarygodnie silne działanie i jest szczególnie zalecana w ciężkich przypadkach odstępstwa i upadku wiary. Szkodliwe wyobrażenia, nagromadzone w umyśle opuszczają wtedy podświadomość, ustępując miejsca samodzielnemu wglądowi, umysł cieszy się swym bogactwem i rozluźnia się tak dalece, że rozpoznaje promieniowanie jego prawdziwej natury.

Inkhe przerwał wywód, tak jakby poczuł się zmęczony.

- Czy mantrę mogą wypowiadać jedynie mężczyźni? - spytał nagle Aywan

Jakoś zrobiło mu się szkoda tych wszystkich dziewcząt, które zapamiętał oczekujące w zbitej gromadce przed bramą irkuckiej szkoły na swoich adoratorów, ubranych już w galowe kadeckie mundury i lśniące świeżą pastą wysokie buty. Wydawało mu się wtedy, że - dla jednych i drugich - niedzielna przepustka do miasta była najważniejszym wydarzeniem tygodnia.

- Czy interesuje cię los kobiet, jako odmiany ludzkiego rodzaju - wzrok Inkhe stał się przenikliwy - czy idzie o jakąś szczególną kobietę?

Aywan czuł, że pytanie jest groźne. Mnich musi całkowicie odgrodzić się od tego rodzaju pożądanego. Aywan go nie odczuwał, ale nie był całkiem pewien, czy nie tkwi w nim jakieś ziarnko, które w przyszłości może urosnąć. Miewał natrętne

sny, w których pojawiała się dziewczęca twarz. Piękna twarz. Zająknął się w poczuciu bezradności. Nie chciał kłamać, ale prawdy nie mógł przecież powiedzieć. Przynajmniej publicznie. Przeor roześmiał się szeroko i zrobił uspokajający gest.

- Są ludzie - dźwięk jego głosu był teraz ciepły i jakoś intymny - których przeznaczeniem jest szczególnego rodzaju kobieta. To wybrańcy! - spoglądał na Aywana z jakimś rodzajem sympatii - Ich potomstwo jest potrzebne kosmicznej *dharmie* do jej własnych, nieprzeniknionych celów. Muszą jednak zebrać wiele dobrej *karmy*, aby otrzymać w zamian kobietę będącą pod opieką bóstwa. Ci - mówił po chwili zastanowienia - którzy znajdą w sobie taką odwagę - a wśród mnichów jest ich niewielu - aby otoczyć ją i siebie głębokim uczuciem, prowadzącym do wykonania zamierzeń Wszechwiedzącego Kosmosu, oddają się pod opiekę Zielonej Tary, małżonki Buddy.
- Śakjamuni miał małżonkę? - zdziwienie słuchaczy było niczym nie skrywane - Już po osiągnięciu oświecenia?
- My, wyznawcy tybetańskiego lamaizmu - uśmiechnął się przeor - inaczej niż zwolennicy innych szkół - uważamy, że pierwiastka żeńskiego - *śakti* - nie da się pominąć. Jest drugą stroną siły męskiej. Dobrze ujmują to chińscy taoiści, podkreślając istnienie dwóch, wzajemnie się uzupełniających elementów - *yin* i *ynng*. To przeciwstawne i dopełniające się siły kosmosu, których naprzemienne działanie tworzy wszechświat i umożliwia jego funkcjonowanie. Stanowią dynamiczny aspekt *taiji* - Najwyższej Ostateczności. *Yang*, to siła męska, aktywna i twórcza, dominacja, dawanie początku, twardość, ruch, ciepło i jasność. *Yin*, to siła żeńska, bierna, niszcząca, uległość i

doprowadzanie rzeczy do końca, miękkość, bezruch, zimno i ciemność. Dla nas - ciągnął Inkhe - odpowiednikiem *yin* jest Tara, boska małżonka Oświeconego i bogini mądrości, dostrzegająca wszystkie cierpienia na świecie. Występuje w dwóch najważniejszych postaciach: Zielona Tara — wybawicielka od ośmiu nieszczęść i Tara Biała — przynosząca zdrowie, spokój i dobrobyt. Obie zrodziły się z lotosów wyrosłych z łez bodhisattwy Awalokiteśwary, lamentującego nad cierpieniami ludzi. Dały mu moc niezbędną do realizacji dzieła wyzwolenia istot od cierpienia.

-Jak można poddać się jej opiece? - Aywan odważył się zadać to pytanie. Nie wiedział, dlaczego draży temat.

Przeor znowu zamilkł, jakby zastanawiając się czy nie wtajemnicza nowicjuszy zbyt szybko.

- Istnieje osobna mantra - zdecydował się i to wyjawic -skierowana tylko do Tary. Brzmi ona: *Om Tarę tuttare turę soha!* - Inkhe wypowiedział ją głośno, wyraźnie akcentując sylaby. - Osoby gotowe do zrozumienia *dharmy* przy udziale kobiety, otrzymują w ten sposób falę błogosławieństwa dla uczynków wykraczających poza ślubowaną czystość - Inkhe mówił to z nie udawaną powagą - jednak ci, którzy robią to dla innych celów, egoistycznych i przyziemnych, nieuchronnie staczają się w pożądanie i trwale oddalają od nirwany. Dlatego, tej mantry nie wolno wypowiadać samodzielnie, bez kontroli nauczyciela.
- Om Tarę tuttare turę soha!* - Awyan powtórzył w myśli w nagłym pragnieniu zapamiętania. Poczul się nieskromnie, doznając przy tym dziwnej i nieznaney dotąd wewnętrznej wibracji, która wydała mu się grzeszna. Odepchnął ją od siebie w obawie przed zejściem ze ścieżki

prowadzącej do nirwany.

Przeor nagle zmienił temat.

- Ci, którzy spełnią swoje powołanie będą z nami przez wiele lat.

Najpierw przyjmą pierwszy stopień wtajemniczenia. Będzie to *prawradźja* - 'wyjście z domu' oraz otrzymają zakonne imię na stałe.

Zwykle odprawia się ten ceremoniał, kiedy kandydat na nowicjusza kończy osiem lat. Wy jednak, dzie-więciolatki, jesteście grupą specjalną, skierowaną przez władze. Niektórzy przyjechali aż z Irkucka. - Przeor zawiesił głos i przez chwilę mierzył wzrokiem Aywana i Dziansuna.

- Skoro przed wami stoją specjalne zadania, będziecie traktowani specjalnie. - Aywan był niemal pewien, że w tym momencie ręka przeora uczyniła w ich kierunku podwójny gest *suczi-mudra*. Raz w miesiącu czeka was szkolenie prowadzone przez specjalistów z Irkucka.

- Czy Inkhe również jest na służbie cara? - przemknęło mu przez głowę.

- Ładnie! - skostatował. - Wszędzie agenci! A gdzie zwykli ludzie? - Nie mógł w to uwierzyć. Im dłużej spoglądał na ogoloną głowę przeora i wyczuwał jego religijne uniesienie, tym bardziej sądził, że gest *suczi-mudry* był skierowany do nich wszystkich tylko jako ogólne ostrzeżenie i przypomnienie o obowiązkach.

Przeor, zmęczony, wyraźnie chciał kończyć spotkanie.

-Najlepsi z was będą mieli skrócony okres nowicjatu! -

podsumował - Ci pojedą do Urgi - świętego miasta Mongolii i tam będą zgłębiać tajemnice wiary. Najbardziej wytrwali

przejdą *upasambada* - rytuał przyjęcia do wspólnoty wtajemniczonych. Ich dalszy los - przeor podniósł ręce do nieba - będzie zdecydowany w klasztorze Gandan przez święty blask samego *Bogd-gegeena*, najwyższego lamy Mongolii. - Przeor rozmarzył się - A może stamtąd zostaniecie wysłani aż do najświętszej Lhasy i na własne oczy zobaczycie Dalajlamę - żyjącą inkarnację samego Awalokiteśwary?

4.

Do Urgi, stolicy Mongolii Zewnętrznej, Aywan przybył już nie jako Iwan Dordżijew, ale jako nowicjusz o imieniu Nga-wang, co w języku tybetańskim znaczy - 'pan mowy'. Przeor klasztoru Astagat wybrał mu imię zapewne przez widoczną umiejętność wykładania swoich racji. Aywan zwrócił na siebie uwagę - był najlepszy z całego grona nowicjatu w przygotowywaniu ceremonialnych przemówień i interpretacji modlitw.

Urgą był rozczarowany. W jego rodzinie kultywowano pamięć o mongolskim imperium stworzonym przez Czyngis-chana. Kiedyś sięgało od Wietnamu do Kijowa. Stołeczne miasto Mongolii powinno oddawać, nawet zgasłą, wielkość imperialnej przeszłości. Tymczasem Urga była nie miastem murowanych domów, ale gęstym skupiskiem jurt. Poza kilkoma budynkami utrzymanymi w tybetańskim stylu, oplatały ją uliczki tymczasowych domostw wiecznie wędrujących Mongołów. Wzdłuż pylistych ulic włóczyły się zwierzęta, porzucane łajno wciskało się w sandały. Nie czuć było stepu z jego cudowną mieszanką zapachów. Wszędobyłską wonią, atakującą nos, usta i oczy, był smród rozkładającej się uryny. Sikali wszyscy - ludzie, konie i wielbłądy.

Aywan pomyślał, że brak bitych dróg i ulic ma jednak dobrą stronę - smrodliwy płyn gdzieś znika, nie tworząc strumieni i stojących kałuż. Wzdrygnął się na samą myśl.

Jego nowym domem był teraz klasztor Gandan, cieszący się wielkim szacunkiem ośrodek mongolskiego buddyzmu. Sama Uрга nie robiła wrażenia na przyjezdnych, ale klasztor był imponujący. Nieopodal, wyróżniał się strojny pałac *Bogd-gegeena*, najwyższego dostojnika kraju. Miał pozycję porównywalną z *władzą* Dalajlamy w Tybecie.

Teren klasztoru oddzielał od otoczenia mur i ogromna, zbudowana w chińskim stylu, brama. Na końcu podłużnego kształtu dziedzińca mieściła się główna świątynia, pokryta złożonym dachem przykrywającym trzydziestometrowy, pozłacany posąg Buddy Wszechwiedzącego. Umieszczony w centrum wysokiego pomieszczenia, dominował nad otoczeniem, a pochylone do środka ściany budowli wzmagały wrażenie. Wejścia bronił kamienny lew i orzeł - tradycyjni towarzysze bóstw. Ociekały topiącym się w ciepłym powietrzu masłem. Smarowanie masłem, to w Mongolii powszechny sposób oddawania czci.

Głównym obiektem przykuwającym uwagę na dziedzińcu klasztoru, wypełnionego wotami rozmieszczonymi na kamiennych ołtarzach - była wyrzeźbiona postać mężczyzny w dziwacznej czapce. Na czymś w rodzaju ołtarza spoczywał kamienny Cong-k'a-pa, reformator tybetańskiego buddyzmu, założyciel szkoły Żółtych Czapek. Przedstawiony w habicie i żółtej, spiczastej czapce zasłaniającej uszy, był tak sugestywnie władczy, że wierni brali go za samego Budę.

Największe wrażenie robiło jednak samo wejście do klasztoru. Szeroka, zwieńczona dachówkami brama, otwierała drogę do dziedzińca, ciasno

zapełnionego stupami, relikwiarzami i miejscami ofiar, otoczonymi kociołkami z wiecznie palącym się świętym ogniem.

Pierwsze spotkanie z duchowością Urgi było dziwne. Nowicjusz zaraz po przybyciu, prowadzony był do wróżbity. Wręczano mu garstkę kadzidła, którą sypał w płomienie wydobywające się z metalowego kotła. W maleńkim pomieszczeniu z kwadratowym oknem umieszczonym pod sufitem, unoszący się dym powiększał atmosferę duszności. Stary, pomarszczony mężczyzna w mongolskim stroju ocierał z potu ogoloną głowę. Długo wpatrywał się w Aywana, chwycił jego rękę i czytał coś w wewnętrznej stronie dłoni.

- Będzie dobrze! - powiedział cichym głosem. Towarzyszący mu mnich kiwnął głową i wyprowadził go z pomieszczenia. Aywan odetchnął całą pierś suchym, przyjemnie zimnym powietrzem. Poczul się obywatelem buddyjskiej *sanghi*.

Aywan studiował w klasztorze Gandan święte księgi buddyzmu z coraz większym zaciekawieniem. Nie spodziewał się, że tak się stanie. Przybywając do Astagatu wiedział, dlaczego tam się znalazł i domyślał się, że przyjdzie czas, kiedy postawione mu zostaną jakieś ważne zadania. Nie brał jednak zupełnie pod uwagę tego, że święte księgi *Kandzur* i *Tandzur* wciągną go tak głęboko, że zapomni o całym świecie i przestanie pamiętać o głównej przyczynie, z jakiej się znalazł w świętym mieście Mongolii i w najświętszym z jego klasztorów. Tymczasem sto osiem tomów *Kandzuru - Słów Buddy* oraz *Tandzuru - Pouczeń Buddy*, wessały go swą treścią równie głęboko jak *Tajna Historia Mongołów*. W ambitnym zamiarze przeczytania dzieł, pilnie studiował język i pionowe pismo staromongolskie. Dowiedział się o początku świata, stworzonego przez zółwia

oraz o czynach świętych mężów, zwalczających w górach Tybetu okrutną religię tubylców, zwaną *bon*, na rzecz pokojowo nastawionego i miłosiernego buddyzmu. Pisma zawierały teksty i komentarze do buddyjskiej doktryny, pouczenia samego Buddy, komentarze do '*mngon-pa*' - Wyższej Doktryny, komentarze do '*dul-ba*' - Dyscypliny, utwory o kolejnych odrodzeniach Buddy, teksty o logice, gramatyce, medycynie, sztuce i etyce. Słowem, zawierały całą encyklopedię fascynującej wiedzy o bogach, ludziach i świecie. Aywan był tak zajęty i przejęty studiowaniem, że nie zwracał uwagi na porozumiewawcze spojrzenia starszych mnichów, którzy nie spotkali się jeszcze z tak uzdolnionym i pracowitym nowi-q'uszem. Robił postępy tak szybko, że przełożeni zastanawiali się nad zastosowaniem wyjątku i skróceniem wymaganego tradycją okresu nowicjatu.

Tajna Historia Mongołów sprawiała w czytaniu kłopoty. Napisano ją w starym, pionowym alfabecie ujgurskim, w którym kaligrafowano pierwsze teksty staromongolskie. Wprowadzała w świat chwały i wielkości imperium. Opowiadała o dziwnym dzieciństwie samego Czyngisa, o nagłej potędze jego chanatu, powalającej ówczesny świat do jego kolan i oddającej mu we władzę wszystkie kobiety Azji i połowy Europy oraz stopy klejnotów z koron królów i cesarzy. Wizja pełnego panowania nad wolą pięknych i młodych kobiet nachodziła natrętnie i grzesznie wyobraźnię Aywana. Wiedział, że to myśl niedozwolona, dla mnicha szczególnie zabroniona, ale powracała do niego uparcie wraz z twarzą młodej Mongołki, sprzedającej owoce przechodniom na bazarowym straganie. Wcale tej myśli nie pragnął, opędzał się od niej jak tylko

potrafił, ale była natrętna. Gdy grupa nowicjuszy opuszczała biały budynek klasztoru i kierując się wzdłuż szpaleru wiecznie zielonego żywopłotu opuszczała główną bramę, ona zawsze tam była. Miała atramentowe oczy, osadzone w okrągłej buzi jak dwie błyszczące cząstki granatu figlarnie umieszczone po obu stronach małego noska. Aywan był dopiero dwunastoletnim chłopcem, a tego wieku dorosłe dziewczęta nie traktują poważnie, ale ona uśmiechała się dwoma rzędami równych, białych zębów, zawsze wtedy, gdy skręcali z bramy klasztoru w kierunku pałacu Bogd-gegeena, w którego sali modlitewnej najpobożniejsi chłopcy mieli prawo do odmówienia porannej modlitwy. Ludzie Bogd-gegeena częstowali ich mongolskim specjałem - *sutecajem*, gorącą herbatą z solą, zaprawioną mlekiem i masłem. Ten pierwszy poranny posiłek wprawiał Aj-wana dodatkowo w marzycielski nastrój.

- Czy Bogd-gegen, ten faktyczny król i dalajlama zawsze pobożnej Mongolii - myśl o pięknej sprzedawczyni owoców nie dawała mu spokoju - może całować takie dziewczyny, kiedy nikt nie widzi? - Była tyleż idiotyczna, co bezczelnie natrętna. Nie potrafił się powstrzymać by, chociaż przez chwilę, nie pomyśleć o pełnych, lekko wydętych i krwistych ustach dziewczyny z bazaru. Nie wiedzieć czemu, przychodziło mu do głowy, że muszą mieć owocowy i troszkę kwaskowy smak.

Wzdrygnął się pobożnie i powrócił do analizy tekstu, nad którym ślęczał od rana. Były to ręcznie cyzelowane znaki mongolskiego alfabetu przesuwające się po leżącym przed nim zwoju *Tajnej historii*, opisującej dramatyczne zakręty miłości młodego Temudżina (tak miał na imię Czyngis w młodości) do pięknej Bórke. Przeżywał tragiczne załamanie

jego przyjaźni z bratem krwi - Dżamuką, zakończone rozkazem zabicia dawnego przyjaciela. Z zamyślenia wyrwał go głos starszego klasztoru o imieniu Cagaa.

- Chciałbyś odwiedzić Karakorum, dawną stolicę imperium mongolskiego i miejsce skąd Czyngis wydawał rozkazy zdobywania świata? - zapytał starszy.
- Wasza Wielbność! - Aywan nie potrafił ukryć podniecenia. - To moje wielkie marzenie!

5. Centrum dawnego imperium, znajdowało się w odległości jednego dnia drogi na zachód od stołecznej Urgi. Starszy Cagaa przygotował dwa osiodłane konie i luzaka, niosącego ekwipunek. Wyruszyli o świcie. Wyjeżdżając z bramy klasztoru, Aywan pilnował się, aby nie spojrzeć w kierunku straganu, przy którym zwykle uwijała się dziewczyna o atramentowych oczach. Nie kosztowało go to wiele. Pora była zbyt wczesna na warzywny handel. Poczł jednak zadowolenie, że oparł się grzesznej pokusie.

Aywan był podekscytowany wyprawą. *Z Tajnej historii Mongołów*, spisanej w XIII wieku, wiele wiedział o wspaniałościach stołecznego Karakorum. Niegdyś, rządili tam tureccy koczownicy i nadali miejscu nazwę, oznaczającą „czarny kamień”. Wiedział, że ziemne wały otaczały miasto i pałac o drewnianych podłogach i złożonych kolumnach. Jego dach pokrywała barwna dachówka, a pod podłogami kryły się rozległe piwnice, w których gromadzono skarby zwożone ze zdobywanych miast całej Azji. Aywan pamiętał, że na samą tylko koronację Gujuka, syna Ogodeja, przywieziono do Karakorum

pięćset wozów wypełnionych jedwabiem, brokatem, złotem, srebrem i futrami. Pałacowy front zdobił kamienny żółw, wspierający rzeźbioną kolumnę, skrywającą bogato zdobione schody. Na ich szczycie królował wielki, pozłacany tron z kości słoniowej, roboty ruskiego złotnika. Aywan czuł się gotów do złożenia hołdu wielkości imperialnej tradycji.

Jeszcze o porannym chłodzie, dotarli do pierwszego *ovoo*, kamiennego kopca, wyznaczającego trakt na szczycie wzgórza. W stepie nie ma drogowskazów. Ich rolę spełniają *ovoo*. Tak zwie się wzgórek usypywany z narzucanych kamieni, zapewniający wędrowcom przychylność duchów. Dorzucili do sterty po kamieniu, modląc się chwilę o pomyślność wyprawy. Podróż, ruch, są same w sobie modlitwą, ale wypada podziękować duchom za to, że pozwalają nam dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Ruszyli w kierunku odległej doliny, aby po kolejnych godzinach napotkać wykutą w granicie, sztywno skierowaną w niebo, *lingę* - symbol płodności. Kamienne penisy, kultowe symbole prokreacji, wypełniają obszar lądowej Azji - od północnych Indii po Mongolię. Aywan wiedział z lektury *Tajnej historii Mongołów*, że nikt bardziej niż oni nie zaludnił ówczesnego świata swoimi synami. Wielki następca Czyngisa - Timur, zwany Kulawym, powiedział kiedyś, że „nie ma większej przyjemności niż przytulanie żon i córek naszych wrogów”. Kamienna *linga* była symboliczną ilustracją wyznania mongolskiego wodza.

To jednak, co wyłoniło się z za wzgórza zaskoczyło go zupełnie. Przed oczami, zamiast ruin imperialnego miasta, miał długi mur, za którym błyszczały dachy klasztorów i spiczaste końce *suburganów*. Jak okiem sięgnąć - żadnych pałaców, budynków administracji, wież strażniczych. Tylko zespoły klasztorne i wielotysięczne rzesze mnichów.

- Tutaj znajduje się - ujawnił Cagaa - sześćdziesiąt siedem kompleksów klasztornych, w których mieszka i modli się sto tysięcy mnichów. Te budynki, tam w dole - starszy wyciągnął rękę na całą długość - na samym środku, to Erdene Dzuu, najstarszy i jeden z największych zespołów klasztornych w Mongolii. Jego budowę rozpoczęto na polecenie Abatajchana.

W otaczającym go murze naliczysz sto osiem *suburganów* mieszczących prochy najświętszych ze świętych.

- Jak to? - zdumiał się szczerze Aywan - Karakorum, to stolica państwa wojowników, a nie siedziba mnichów! Wiedział, że w tym właśnie miejscu zebrał się sławny *kurultaj* - mongolski sejm, na którym zdecydowano o rozpoczęciu wojny z całym światem i podboju wszystkich krajów. Tym bardziej czuł się zawiedziony religijną, a nie imperialną, wymową miejsca.

- Zdobywca - powiedział cicho - to wielki człowiek, a przecież mnich - to tylko zwykły człowiek.

Cagaa spojrzał tak, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, ale odwrócił twarz w kierunku klasztorów. Aywan, kandydat na mnicha, wiedział, że nie powinien mówić tego, co powiedział. Nie powinien wątpić w wyższość duchowego pierwiastka nad siłą polityczną.

Miasto klasztorów otoczone było murem. Wschodnia brama musiała być kiedyś główną bramą pałacu chanów, strzegł jej kamienny żółw - symbol stworzenia świata i znak długowieczności. Aywan rozglądał się w poszukiwaniu monumentu godnego pochówku wielkiego chana. Na próżno. Oprócz zielonych dachów klasztorów i okolonych barwnymi plamami okien nie widział niczego godnego uwagi.

Cagaa ubiegł jego wątpliwości.

- Nie znajdziesz tu śladu po grobowcu Czyngisa! Po to właśnie cię tu przywiozłem. Musisz zrozumieć ważną rzecz! -dodał - Nie ma różnicy między wielkością a nicością człowieka!
- Jak to? - Aywan poczuł się rozczarowany. Był oburzony uwagą, ale i zaskoczony informacją o tym, że nie będzie mógł pokłonić się wielkości Czyngisa przy jego grobowcu.
- Kto ośmielił się go zniszczyć? - zapytał nerwowo - Chińczycy? - Żadna inna nacja nie wydawała mu się wystarczająco arogancka. Bolała go nie tylko historia długotrwałych wojen toczonych przez Mongołów z Chińczykami, ale również ich obecna dominacja, odbierana jako obca okupacja.
- Przyczyna jest zupełnie inna! - uśmiechnął się starszy. -

Nikt nie wie gdzie został pochowany Czyngis.

- To niemożliwe! - upierał się Aywan - Byli świadkowie śmierci, musieli być i świadkowie pogrzebu. Wyobraźnia podsuwała mu obraz konduktu pogrzebowego, w którego przepychu musieli uczestniczyć wszyscy królowie świata.
- Czyngis zmarł z ran odniesionych w wojnie - tłumaczył spokojnie Cagaa - Wiadomość o śmierci wodza zachowano w tajemnicy. Zwłoki przywieziono do Karakorum i pochowano gdzieś tutaj bez kurhanu i nagrobka. Wszyscy świadkowie tego wydarzenia zostali zabici dla dochowania tajemnicy i -aby zgodnie z tradycją - mogli służyć mu po śmierci. Może nawet - zamyślił się starszy - stoimy na miejscu ostatniego spoczynku największego z Azjatów!

Aywan był wstrząśnięty.

- Jaki był cel tej tajemnicy? - Odczuł coś, na kształt osobistej urazy.

Chciał tak bardzo złożyć hołd wielkości i zaprzy-siąc walkę o odbudowę wielkiej Mongolii.

- Szło o uniknięcie możliwości zbezczeszczenia zwłok, co w stepie nie jest rzeczą niezwykłą - odparł Cagaa - Mongołowie wiedzieli, że władza jest ulotna jak ptak i Karakorum może znaleźć się w rękach wrogów. A tak, zobacz! <- roześmiał się starszy - Jesteś tu, żeby go wielbić, chociaż nie wiesz gdzie on jest! A Czyngis - starszy już się nie śmiał - jeft wszędzie. A przede wszystkim! - Cagaa znowu się uśmiechnął - jest, jak widzę, w tobie samym.

- Czy rozumiesz teraz - popatrzył uważnie na Ay wana - że przestrzeń między wielkością a nicością nie istnieje i że nie ma między tymi pojęciami różnicy?

- A jednak - upierał się Aywan - Czyngis nie mógł przewidzieć tego, że świętość miejsca jego wiecznego spoczynku nie będzie związana z nim samym, ale z wielkim kompleksem klasztorów. Jaki to ma związek z wielkim chanem, który sam nie był przywiązany do żadnej z religii?

- Związek jest symboliczny! - odrzekł Cagaa - Ważniejszy dla buddyzmu niż samego Czyngisa.

- Nie rozumiem! - przyznał Aywan.

-Zobacz! - starszy potoczył wzrokiem po horyzoncie pełnym strzelistych, skierowanych w niebo grzebalnych obelisków i barwnych, utrzymanych w tybetańskim stylu dachów świątyni. - Czyngis pokonał cały świat, ale sam nie pozostał

niepokonany.

Wzniósł oczy do nieba i złożył ręce w gotowości do modlitwy.

- Czyngis zmarł jako władca świata, ale ani on, ani jego następcy nie zdobyli jednej krainy - Tybetu. W trzy stulecia po jego śmierci Mongołowie byli już nie tylko pobożnymi wyznawcami Oświeconego, ale również zbrojnym ramieniem chroniącym jego święte imię w całej Azji.
- Nie pokonali Tybetu! - westchnął starszy - To Tybet pokonał ich, bez wojny i przemocy. Najświętszy *Bogd-gegeen* Jetsun Dampa VIII, nasz 'święty blask' i dzisiejszy duchowy władca i spadkobierca władzy wielkich chanów jest Tybetań-czykiem i wiernym uczniem Dalajlamy z Lhasy. Czy to nie cud? I popatrz! - podsumował filozoficznie - nie wiemy czy najstarszy z klasztorów, XVI-wieczny Erdene Dzuu - Cagaa wskazał turkusowe dachy w samym środku kompleksu -zbudowany na gruzach i z gruzów Karakorum, nie wyznacza granic świętego okręgu, w którym spoczywa ciało i dusza wielkiego Czyngisa?
- To przecież znaczy również - powiedział cicho Aywan -że Budda jest po wielokroć większy od największych z ludzi. *Om mani padmie hum!*
O ty, klejnocie w kwiecie lotosu!

Rozdział czwarty. PODRÓŻ DO LHASY. SINKIANG, GANSU, TYBET.

1-Nadszedł oczekiwany dzień. Aywan usłyszał decyzję o skróceniu okresu nowicjatu. Z Astagatu podążała za nim opinia wyjątkowego młodzieńca. W kuluarach pałacu *Bogd-gegeena* opowiadano o „bliźniaczej inkarnacji" z Tubtenem Gyatso - XIII Dalajlamą Tybetu, o

niezwykłych zdolnościach -zarówno wojskowych (był Irkuckiej Szkole Kadetów najlepszym strzelcem) jak i talentach naukowych. Wyróżniał się umiejętnością szybkiego przyswajania i precyzyjnej analizy tekstów świętych ksiąg. Nie tylko przestudiował wiele ksiąg, ale opanował trzy nowe języki. Jako Buriata znał od dziecka rosyjski i mongolski, niewiele różniący się od buriackiego. W Mongolii Zewnętrznej, administracyjnej prowincji Chin, językiem urzędowym był mandaryński - *pułonghua*, kiedyś język konfucjańskiego dworu i cesarskich urzędów, teraz - w coraz większym stopniu - język wykształconych elit Państwa Środka. Aywan posługiwał się nim już z taką wprawą, że trudno było rozpoznać, iż nie jest rodowitym Chińczykiem. Tylko pisanie przysparzało trudności. Poznanie pięćdziesięciu sześciu tysięcy chińskich znaków, to zadanie na całe życie, ale już znajomość sześciu tysięcy hieroglifów pozwala na dosyć swobodne czytanie z pomocą słownika. Do tego doszła konieczność rozumienia sanskrytu i tybetańskiego - języków, w których spisano święte teksty i których używano we wspólnych modlitwach. Dzięki przychylności *Bogd-gegeena*, rozpoczął w przypałacowej szkole naukę angielskiego. Z tym szło mu gorzej. Ruchomy akcent azjatyckich dialektów utrudniał prawidłową wymowę angielszczyzny. Po dwóch latach pracy, Aywan czytał w tym języku dosyć swobodnie, ale nie potrafił jasno wyrażać myśli.

Po okresie próbnym i przekroczeniu dwudziestego roku życia nowicjusz przechodzi rytuał wyświęcenia — *upasampa-da*, czyli 'przyjęcie do wspólnoty'. Wtedy zostaje pełnoprawnym mnichem - *bhikszu*. Aywana uznano za wystarczająco przygotowanego aż o pięć lat wcześniej. Ceremonialnie otrzymał to, co buddyjskiemu mnichowi ma wystarczyć na całe życie: 3 komplety

bielizny, 3 habity w kolorze czerwonej cegły, miseczkę proszalną, pasek, brzytwę (mnich musi golić całą głowę), igłę, sitko do wody, kij i wykałaczkę. Jednak formalne wyświęcenie w tak młodym wieku wymagało decyzji Dalajlamy z Lhasy.

Wiedział, jakie są jego obowiązki. Bramińskie traktaty prawne, *Manusmṛiti - Księga Praw Manu* i buddyjskie reguły zakonne - *Winaja* i *Tipitaka*, szczegółowo określają sposoby zachowania mnicha oraz zasady przyjmowania jałmużny. Lamaizm ukształtował system życia klasztornego tak, że nie wymaga się od nikogo stałej wędrówki z miejsca na miejsce, ale pozwala na spokojne kształtowanie umiejętności w ramach klasztornej *sanghi*, mnisiej wspólnoty, czyli duchowych ćwiczeń i pogłębiania wiedzy. Nie ma w Tybecie liczącego się klasztoru, który nie posiadałby własnego skryptorium - sali mieszczącej tysiące zwojów starych tekstów.

Aywan nie chciał być zwykłym *bhikszu*. Pragnął zostać uczonym *laram geshe*. Większym autorytetem od *laram geshe*, cieszą się tylko duchowni najwyżsi rangą - Dalajlama i Pan-czenlama. Ci jednak - wcale im nie zazdrościł - są wynajdowani przez wyrocznie jako inkarnacje ich poprzedników i sami nie mają żadnych zasług w wyniesieniu ponad innych. Aywana interesowała wiedza prawdziwa, obiektywna, pozwalająca lepiej rozumieć świat, w którym przyszło mu żyć. Nauka Buddy - w przeciwieństwie do rosyjskiego prawosławia, w którego otoczeniu się wychował - imponowała otwartością wobec pracy naukowej. Jej głęboka i porywająca duchowość w niczym nie przesłaniały prawdziwej, realnej i użytecznej wiedzy. Inaczej, niż inne wyznania, buddyzm jest wolny od uprzedzeń i otwarty na świat zewnętrzny. Na świat nauki również.

Aywan, jak zwykle, po porannej modlitwie, przebywał w skryptorium

zapoznając się z komentarzami do świętego *Kan-dżuru*. Lubił to miejsce, chociaż drobinki niewidocznego kurzu, wydobywające się z zakamarków zwojów sprawiały, że przyjemność studiowania starych tekstów tłumilo alergiczne kichanie.

- Czy ten kurz nie osiadzie mi na mózgu i nie zablokuje zrozumienia tekstów? - Z żartobliwego nastroju wytrąciła go czyjaś ręka dotykająca ramienia. Starszy Cagaa miał talent do przychwytywania Aywana na stanach zamyślenia.
- Chcę ci powiedzieć - starszy mówił ciepłym, przyjaznym głosem - że zapadła w twojej sprawie decyzja!
- Wiem - odparł Aywan - i serdecznie dziękuję! Czuję się niegodny - dodał spiesznie - tak wielkiego wyróżnienia i uznania za gotowego do przyjęcia święceń wcześniej, niż pozwala na to zwyczaj!
- Nie trzeba dziękować. To już przeszłość! - zachnął się Cagaa - Teraz idzie o twoją najbliższą przyszłość. Przenosimy was do Lhasy! - Starszy użył liczby mnogiej.
- Jak to - nas? - Zdziwił się chłopak.
- Dwudziestu pięciu adeptów, którzy ukończyli nowicjat -odparł starszy - zostanie skierowanych do świętego miasta. -Cagaa patrzył na niego z uznaniem - Pojedziesz razem z nimi. Tylko tam możesz otrzymać wcześniejsze święcenia. Tutaj, nawet sam *Bogd-gegeen* nie jest władny tego dokonać.
- Zobaczysz - starszy roześmiał się szeroko - jak wielu twoich buriackich pobratymców jest w Lhasie zadomowionych. - Może - starszy nagle spoważniał - mają tam do spełnienia jakąś misję?

Aywanowi wydawało się, że ręka starszego ułożyła się w znany mu gest *suczi-ntudra*.

- Czy nie dostaję manii? Wszędzie widzę tajnych agentów! - pomyślał z niepokojem. - A może - zastanowił się - jestem po prostu członkiem sprawnej organizacj'i, o której tylko mało wiem?
- Wyruszamy za tydzień! - starszy Cagaa wyprostował się jak dowódca oddziału. - Przygotuj się dobrze! Czeka nas trzy miesiące podróży przez tereny, na których trudno spotkać człowieka!
- Dostaniemy się do Lhasy przez Quinghai, czy od wschodu, przez Chengdu w Syczuanie? - Aywan przeszedł w Irkucku pełny kurs geografii regionu. Cagaa był pełen podziwu dla jego wiedzy.
- Syczuan leży za głęboko w Chinach! - stwierdził rzeczowo - Nie mielibyśmy tam pomocy ze strony *sanghi*. Pojedziemy najprostszą drogą. Najpierw, przez pustynię, dotrzemy do Dunhuang w prowincji Gansu. Potem, skierujemy się na Gol-mud w Tybecie. Pozostawimy wielbłądy i przez góry udamy się konno.
- Uaaaauu! Wielbłądy?! - Aywan w ojczystej Buriacji jeździł konno od dzieciństwa, ale wielbłąd był tam zwierzęciem mało znanym.
- Dlatego wyjedziemy dopiero przed południem! Cała grupa - starszy roześmiał się głośno - to Buriaci nie obeznani z tym zwierzęciem. Rano - śmiał się teraz nie wiedzieć z czego -będziecie ćwiczyć dosiadanie!

2.

Wyruszyli na plac maneżowy o świcie. Poganiacze zgonili wielbłądy, chcąc je ostrzyć przed wyruszeniem w drogę. W Mongolii liczy się każdy kłębek wełny. To, co jest proste w stosunku do owcy - ściska się ją

kolanami i pozbawia wełny kilkoma ruchami nożyc - staje się skomplikowane z wielbłądem. Aywan szybko zrozumiał przyczynę wesołości starszego Cagaa. Półdziki baktrian nie przepada za ludźmi. Teoretycznie, problem jest prosty: trzeba namówić go do klęknienia. Cała władza człowieka nad zwierzęciem tkwi nie w wędzidle, ale w drewnianym kołku, którym przebija się nozdrza. Ból, jaki powoduje próba wyszarpania się z ręki poganiacza, osłabia chęć oporu tak bardzo, że można rozpocząć strzyżenie nie bacząc na wściekłe toczenie piany z pyska. Trzeba tylko zrobić to szybko. Bronią wielbłąda jest ślina i kwaśny sok żołądkowy, którym potrafi strzyknąć celnie na dużą odległość. Poganiacz, za pomocą pętli związanej na kiju, chwytając w nozdrzach kołek i zmusza zwierzę do klęknienia. Tylko w tej pozycji baktriana można dosiąść. Siodło nie ma popręgów i każda próba dosiada za pomocą strzemion kończy się lądowaniem w pustynnym pyle. Zanim Aywan wspiał się na tę górę mięsa, poganiacze wycięli dwa zwały wełny, trzymające się na garbach. Będąc stale w ruchu, zwierzę wyciera o piasek wełnę, rosnącą na brzuchu i bokach. Możliwa zdobycz, to tylko kryza gęstych włosów zwisających z nasady garbów.

Udało mu się dosiąść klęczącego wielbłąda i usadowić pomiędzy garbami. Zwierzę wstało, jak dobrze wytresowany cyrkowiec, ale razem z nim podniósł się smrodliwy zapach spoconej sierści. Aywan uświadomił sobie, że w Mongolii nie drażnił go nigdy zapach ludzkiego potu, chociaż jest to kraj niedostatku wody. Skoncentrowany na utrzymaniu się między garbami, nie miał czasu zastanawiać się nad przyczynami fenomenu. Wielbłąd wstaje najpierw na tylnie nogi. Nieprzygotowany jeździec może zwalić się przez głowę. Dopiero, gdy zwierzę wyprostuje przednie, a

jeździec nadal znajduje się w tym samym miejscu, może ostrożnie radować się sukcesem. Uderzył wielbłąda piętami, tak jak zmusza się do kłusa wierzchowca. Ten ani drgnął.

- Dobrze wytresowane bydło! - pomyślał, zastanawiając się, czy tak właśnie będzie wyglądała podróż przez pustynię.

Wielbłąd ruszył, gdy poganiacz chwycił za sznurki zwisające z kołka tkwiącego w nozdrzach i pociągnął w kierunku marszu, po czym rzucił ich końce jeźdźcowi. Aywan starał się opanować jazdę, szarpiąc to prawą, to lewą wodzą, tak jak pracuje się z koniem, ale wielbłąd ma długą i giętką szyję. Nic nie robi na nim wrażenia. Trzeba posługiwać się piętami, inaczej zwierzę usiłuje prowadzić własną politykę i nagle siada -czego koń nigdy nie robi. Gdy wreszcie udało się zmusić bak-triana do marszu przed siebie, a potem do kłusowania, okazało się, że - znowu inaczej niż w jeździe konnej - nie ma dobrego sposobu na dopasowanie ruchów ciała do długiego kroku wielbłąda. Niewprawny jeździec obija sobie, to przód, to tył, o twarde garby. Dopiero po całej godzinie prób, Aywan nauczył się unosić w siodle tak, by uniknąć niebezpieczeństwa dla przyrodzenia.

- Mnichowi - rzucił rozbawionemu poganiaczowi - nie wszystkie części ciała są niezbędne, ale moglibyście o tym uprzedzić!

Prawdziwa wędrówka zaczęła się przed południem. Ruszyli na zachód, ku Hovd, miejscowości na zachodnim krańcu Mongolii, niemal na samej granicy z Sinkiangiem - należącym do Chin, lecz zamieszkałym przez muzułmańskich Ujgurów. Karawana posuwała się ubogim stepem, porośniętym kępkami suchej trawy. Trasa kierowała się początkowo na zachód, aby przed Bajanhongor, skrócić na południe. Tym sposobem omijali śmiercionośną pustynię Gobi i kierowali na sławny Jedwabny

Szlak. To ekonomiczny i handlowy fenomen. Od starożytności łączył Chiny z Zachodem. Ciągnął się wzdłuż Żółtej Rzeki w prowincji Gansu, przez miasta położone w dolinie Tarymu, biegł skrajem pustyni Takla Makan, przełęczami Pamiru - do Chorezmu, Baktrii, Indii i Syrii. W Syrii kończył się na arabskiej Palmirze, już na granicy Imperium Rzymskiego. Karawana wyruszająca z Gansu do Palmiry potrzebowała aż trzech lat na przebycie drogi w jedną stronę. W okresie rozkwitu miasta przybywało doń dwieście karawan rocznie. Każda liczyła po kilka tysięcy jucznych zwierząt. Z Chin przewożono jedwab, żelazo, papier. Z Zachodu wędrowało złoto, srebro, pachnidła i rośliny uprawne. Największe znaczenie gospodarcze dla Chin, Szlak miał w czasie panowania buddyjskich dynastii Han i Tang. Potem stale je tracił, wraz z przemieszczaniem się na zachód - wrogich handlowi - koczowniczych ludów tureckich, mieszkających początkowo w rejonie dolnego Amuru. Jego dzieje, to historia rozprzestrzeniania się buddyzmu, znaczone świątyniami, malowanymi jaskiniami i skalnymi posągami Oświeconego. Tą drogą nauka Buddy przedostawała się z północnych Indii, przez Kaszmir i Kaszgarję, oazami Szlaku do Azji Środkowej i dalej - do Chin, Korei i Japonii.

Po kilku dniach, mnisi dotarli do Liuyuan - małej wioski położonej kilkadziesiąt mil za Ałtajem, na drodze łączącej ujgurskie Urumczy z chińskimi miastami handlowymi. Ałtaj, to nazwa miejscowości w zachodniej Mongolii, ale też i gór, ciągnących się od pustyni Gobi przez całą południowo-zachodnią Mongolię - po Kazachstan i Rosję. Kierowali się na lekkie obniżenie terenu pomiędzy dwoma pasmami Ałtaju - Gobijskim i

Mongolskim, gdzie przestrzeń ograniczana grzbietami o stromych stokach, porośniętymi stepowymi ost-nicami i bylicami tworzyła długą rozpadlinę, ciągnącą się daleko na południe - aż do Gansu. Dalej wyrastały groźne góry Tybetu. Przecięli północną odnogę Jedwabnego Szlaku, prowadzącą przez Turfan, oazę zaopatrywaną podziemnymi tunelami we wspaniale zimną wodę, sprowadzaną z gór do gorącej i suchej doliny. Turfan objawiał się oczom podróżnych niczym rajski ogród. Dolina, otoczona suchym górskim stepem, pełna była morelowych sadów, winnic i pól kwitnącej bawełny. Mieszkańcy Turfanu, to wyjątkowo piękni ludzie. Aywanowi zrobiło się przykro, że mijają oazę z krótkim tylko postojem przy wodopoju.

- Nie zatrzymujemy się tu nigdy dłużej. - wyjaśnił Cagaa - Nie wolno kusić mnichów! Miejscowe kobiety - roześmiał się przekornie - są piękne, a kobiece piękno jest wyjątkowym zagrożeniem dla mnisiego postanowienia życia w cnocie! Wiesz, że mnichowi nie wolno nawet wziąć do ręki rzeczy dotykanej przez kobietę? Jeśli dosiadasz w podróży konia, nie może to być klacz, a tutaj, w Turfanie, klacze są piękne! Cagaa powiedział to z taką przekorą, że Aywan nie wiedział, czy ma na myśli zwierzęta, czy też wszystkie kobiety z oazy. Starszy spoważniał - *Śakti* - powiedział nagle w tonacji ostrzeżenia - żeński pierwiastek *dharmy* jest tu wyjątkowo silny. Gdybyś pozostał dłużej - patrzył na Aywana uważnie - mógłbyś zostać na stałe!
- Jestem odporny na zaloty! - uciął sztywno Aywan. Cagaa chciał coś powiedzieć, jakby wiedział na ten temat więcej, ale Aywan najwyraźniej nie miał ochoty ciągnąć wątku. Czuł się wewnętrznie stabilny, czysty i wolny od cielesnych pokus. Wiedział, że jest na

najlepszej drodze do uwolnienia się od wszelkiego rodzaju pożądania.

- Co mi tam Turfan i wszystkie jego kobiety! - pomyślał -Mam Budę, mam *dharmę* i mam *sanghę*. Niczego więcej mi nie trzeba! - *Om Tarę tuttare turę soha!* - zaszepotało w nim coś cichutko jakby chciało podkreślić fałszywą nutę myśli.

Szybko zagłuszył mantrę Zielonej Tary. Nie miał przecież pozwolenia na jej wypowiedzenie. Bo i po co miałby ją wypowiadać? Nie było żadnej przyczyny! Turfan, to miejscowość jak każda inna! - irytował się w myślach - A może, jednak to dobrze, że nie zatrzymujemy się na dłużej? - Pewność siebie nie trzymała się go już z taką stanowczością.

Karawana kierowała się teraz przez Anxi ku południowemu odgałęzieniu Szlaku, biegnącemu przez Dunhuang. Znowu napotykali - jak w Mongolii - tymczasowe osady, składające się z jurt i ludzi gotowych - po złożeniu w ciągu godziny domostw - do dalszej drogi przez step. Na terenach zamieszkałych przez pasterzy, wędrowcy nie mieli kłopotu z zaopatrzeniem i noclegiem. Stepowa gościnność nakazuje przyjąć każdego wędrowca, a ugoszczenie mnicha jest tam świętym obowiązkiem. Gospodarze ustępują hamaków, przenosząc się na maty rozłożone na podłodze z ubitej ziemi. Podaje się najlepsze potrawy. Mnichów bardzo krępowało to, że w mongolskiej jurcie - przenośnym domu składanym z żerdzi i skór -rządzą kobiety. Mężczyzna panuje nad tytoniem do fajki, reszta - to sprawa kobiet. W jukach wieźli żelazne racje żywnościowe: kawałki mięsa suszonego na słońcu, *arols* - na kość wysuszone, kwaśne, ale orzeźwiające kostki kefiru i równie twarde *beslek* - ser owczy lub kozi, ale gospodynie jurt nie pozwalały nawet myśleć o własnym prowiancie. Na widok dostojnej karawany, pod nóż szła owca. Określenie „pod nóż”,

nie oddaje tego, co działo się z owcą. Mongolski buddyzm przejął za tybetańskim hinduistyczną zasadę *ahinsa* - nakaz nie pozbawiania życia istot żywych, albowiem w zabijanym stworzeniu może znaleźć swój czasowy dom dusza człowieka, który w paśmie wiecznego kołowrotu wcieleń nie przeżył poprzedniego życia we właściwy sposób. Myli się często przestrzeganie *ahinsy* z wegetarianizmem, to jest z przekonaniem o wyższości pokarmów roślinnych nad białkiem i tłuszczem zwierzęcym. Mongołowie i Tybetańczycy są pobożnymi buddystami. Ale jakże mogą nie jadać mięsa, skoro na stepie rośnie tylko dziki czosnek i cebula, a prawdziwe pożywienie pasie się wokoło całymi stadami? Aywan przyglądał się sposobowi, w jaki wierni rozwiązywali ten problem. Dwóch męż-

czyn w białych strojach wybrało owcę. Jeden przeciął jej skórę na piersi odrobinę powyżej mostka, tylko na tyle, aby zmieścić dłoń, którą zacisnął aortę. Zwierzę zamknęło oczy i wyglądało jakby zasnęło. Brak dopływu krwi do mózgu, spowodował śmierć w ciągu minuty.

- Ci ludzie - zwrócił się Aywan do starszego - są wiernymi Oświeconego. Dlaczego nie przestrzegają *ahinsy* i zabijają dla pożywienia?
- Przyjrzałeś się dokładnie? - zapytał Cagaa - *Ahinsa* nie została naruszona: zwierzę zasnęło, a nie zostało zabite!

Dwaj mężczyźni, wprawnymi i nieco teatralnymi ruchami, opracili owcę i poćwiartowali. Po kilkunastu minutach mięso było gotowe do pieczenia. Na ich jasnych ubraniach nie pojawiła się nawet plama krwi.

W klasztorze nigdy nie podawano mięsa. Jednak w podróży, będąc gościem, nie wypadało grymasić. A kobiety podawały i podawały: rosół

barani z *buzee* - pierożkami z mięsnym farszem, był także *cuiuan* - kluski z mięsem i warzywami, na deser *borcyk* - ciasteczka maślane i zawsze i do wszystkiego -*sutecaj*. Aywana tak bardzo wypełniło obfite jadlo, że poczuł tęsknotę za skromnością posiłku klasztornego. Zasnął ciężkim snem człowieka przejedzonego.

Rankiem znowu wyruszyli w drogę. Aywan postanowił odkupić wieczorne obżarstwo i odmówił śniadania, kontentując się jedynie kubkiem gorącej herbaty. Po wielu dniach podróży przez płaski, jałowy teren, oczom karawany ukazała się dolina pełna pól uprawnych i bujnej, zielonej roślinności oazy, otoczonej wzgórkami borych wydm. Starszy Cagaa wiedział, że czeka ich wygodny nocleg. Zatrzymali się w niewielkim zespole klasztornym w pobliżu *Mogao Ku* - jaskiń słynnych w całym buddyjskim świecie. W okresie dynastii Han i Tang, Dunhuang było centrum handlu pomiędzy Państwem Środka i resztą świata, a także wygodnym miejscem wypoczynku dla karawan przemierzających pustynne odcinki Jedwabnego Szlaku. Znany z kipiącego życia był nocny targ. Stragany ustawione na ogromnym dziedzińcu, otoczone były jadłodajniami i herbaciarniami. Turkusowe dachy chińskich pawilonów mieszały się z pozbawionymi okien muzułmańskimi domami zamkniętymi w kwadraty. Te ostatnie zdawały się patrzeć do wewnątrz domostw, a nie na zewnątrz, tak jakby miały do ukrycia - jak arabska kobieta w zasłonie - jakieś tajemne, wewnętrzne piękno. Na straganach i w jadłodajniach królował lokalny specjał - *roujiamo*, kebab z jogurtem i ciepłym winem ryżowym. To ostatnie, pomimo odrażającego zapachu drożdży, działało na jego amatorów wyraźnie ożywiająco. Samo Dunhuang nie było ciekawe, jednak w odległości kilku mil od miasteczka

znajduje się zespół jaskiń zabudowywanych od czasów starożytnych - z okresu Północnej Dynastii Wei. Aywan nie odczuwał zdolności artystycznych i trudno było mu pojąć, w jaki sposób rzeźbiarze mogli sobie wyobrazić wizerunek Buddy, aby przekuć go w kamienną postać o wysokości dwadzieścia razy większej od dorosłego mężczyzny. Drugi kamienny Budda, w sąsiedniej jaskini, był niższy, ale wciąż ogromny. Największe wrażenie robiły posągi z okresu Wei - smukłe, delikatne, z mnóstwem misternych zdobień. Zbyt duże głowy postaci - jak wyjaśniali miejscowi - świadczyły o hinduskich koneksjach twórców.

Odpooczynek w Dunhuang trwał dwa dni. Nakarmione wielbłądy i wypoczęci ludzie ruszyli dalej. Cztery mile za miastem kończyła się oaza, ale kończyła się równie dziwnie, jak pięknie. Woda, tryskająca z podziemnego źródła kierowała się na północ - do miasteczka, Zieleń urywała się nagle, jakby ktoś uderzył w ziemię toporem. Między piaszczystymi wydmami tkwiło jezioro w kształcie półksiężyca. Miejsce zwano *Mingsha Shan* - Góry Śpiewającego Piasku - od dźwięku, jaki wydawały diuny, gdy wiał silny wiatr. Wydmy wyglądały istotnie jak góry, najwyższa z nich wznosiła się na wysokość ponad jednej mili i wyglądała, jakby "usypało ją dziecko olbrzyma.

Ostatnim zamieszkałym miejscem przed odległym Golmu-dem było Dachaidan, mała osada przy drodze prowadzącej z Sinkiangu do Cjuinghai. Karawana minęła ją po pięciu dniach podróży z Dunhuang i zatrzymała się w kolejnym zgrupowaniu jurt. Mieszkańcy, jak zwykle, ugościli podróżnych. Aywan, nauczony doświadczeniem, pozostał przy skromnym wieczornym posiłku.

3.

Z dusznego ciepła jurt wywołały ich krzyki, przerywane hukami karabinowych wystrzałów. Starszy Cagaa, Aywan za nim, wypadli na zewnątrz. Było późne przedpołudnie. Słońce stało wysoko. W ostrych promieniach, spadających jak strzały z błękitnego nieba, ukazał się widok, który spokojnych wędrowców mógł przyprawić o atak serca. Przy drodze leżały ciała zabitych. Wokół krzątała się grupa uzbrojonych jeźdźców w wojskowych mundurach, włochatych czapach i krótkich burkach zwieszających się z ramion, zajętych najwyraźniej poszukiwaniem jedzenia. Aywan rozpoznał rosyjskich kozaków. Dostrzegł oficera, dosiadającego rosłego konia. Widział, że starszy Cagaa skoczył w jego kierunku. W obawie o niego podążył w ślad za nim, kiedy dostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Starszy stanął wyprostowany przed koniem dowódcy i zrobił wysoko uniesioną dłonią dwukrotny gest *suczi-mudry*. Oficer zawahał się, obniżył lufę karabinu i podniósł rękę w kierunku oddziału kozaków. Strzały ucichły, kozacy zbili się ciasno z bronią gotową do strzału.

- Podążamy do Lhasy w misji - powiedział po rosyjsku Cagaa - z polecenia Miłościwego Pana, Cara Wszechrosji. Jestem - dodał głośno tak, żeby głos jego był słyszalny dla Kozaków - przewodnikiem i proszę Wasze Wieliczesstwo o pozwolenie na spokojne przejście!

Oficer potoczył wzrokiem po grupie wędrowców, potem po osadzie, wreszcie - zeskoczył z konia.

- Pierewalskij - wycedził - Generał Nikołaj Michajłowicz Pierewalskij, dowódca specjalnego oddziału w drodze do Tybetu!

Aywan już w Urdzie słyszał nazwisko oficera, jako odpowiedzialnego za

badanie terenów od rosyjskiej Kaszgarii po Himalaje. Nie spodziewał się go tutaj, u podnóża Tybetu, w otoczeniu umundurowanej i uzbrojonej sotni. Zresztą, generał na czele setki wojska? Co to za generał?

Starszy Cagaa pytał, dlaczego kozacy strzelają do cywilów.

- Ach! - machnął ręką Rosjanin - W okolicznych osadach nie chcieli nam dać żywności. Musimy ją brać sarni!
- Jesteście na terytorium Cesarstwa Chin! - zauważył starszy - Możecie ponieść konsekwencje rozboju!
- Ha, ha! - zaśmiał się generał - Chińczycy, to operetkowe wojsko i równie operetkowa władza! Nasza sotnia jest najsilniejszym oddziałem w promieniu stu mil. To niy - śmiał się głośno - dyktujemy warunki!
- Pasterzy wystarczy poprosić o pomoc! - powiedział Cagaa - Po co zabijać?
- Po pierwsze - śmiech Rosjanina był szczery - prośby i negocjacje zabierają czas, którego nie mamy. Po drugie - teraz spoważniał - ludność musi przyzwyczajać się do myśli, że to my reprezentujemy władzę, a nie Chińczycy!

Cagaa zrozumiał, że buddyjski, z natury pokojowy sposób rozumowania, jest nie na miejscu i zamamrotał po mongolsku do zbitych w spłoszoną grupkę pasterzy. Pobiegli w kierunku jurt.

-Będą owce dla całego oddziału! - wykrzyknął w kierunku kozaków - Możecie rozpalić ogniska!

Żołnierze, widać wygłodzeni, nie czekali na rozkaz pułkownika.

Kozacy, to nie regularne wojsko, ale zdyscyplinowani rozbójnicy, nad którymi dowodzenie jest samo w sobie sztuką rozumienia ich charakteru.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, puszczając je na skąpą trawę. Sami rzucili się do zbierania wysuszonych krzewów. Nie minął kwadrans, £i przy drodze płonęło kilka ognisk gotowych do pieczenia baranów. Te przynieśli pasterze - ju¿ bez skór i wnętrzości. Sól i przyprawy kozacy wydobyli z sakw, zwisających przy kulbakach. Widać było, że głód dał im się dobrze we znaki. Ciała zabitych gdzieś znikły. W górskim stepie śmierć, to rzecz zwyczajna.

Kozacy tłoczyli się wokół ognisk i patrzyli łakomie na kawały mięsa obracane na roznach. Mięso zwierząt przepędzanych w stepie nie posiada łoju, nadającego szczególny smak baraninie w rejonach obfitujących w wysoką i zieloną trawę.

Ma przy tym cechę szczególną - to mięso kochające ogień. Cały stepowy Orient rozmarza się zapachem, roztaczającym się po wielkich obszarach środkowej Azji wraz z pieczoną nad ogniem baraniną. Jedzenie to proste, ale ani Mongoł, ani Uj-gur, ani Kazach, ani Turek, nie zamieni smaku baraniego szaszłyka na najbardziej wykwintne potrawy Chin i reszty świata. Szaszłyk, to jedzenie wojownika: woń płatów baraniego mięsa posypanego ziołami, przeplatane go krążkami dzikiej cebuli, pieczonego nad żywym ogniem na krzywej, wschodniej roboty, szabli - dominowała nad stepem przez tysiąc lat do tego stopnia, że wygłodzonym ludziom, kucającym niecierpliwie wokół ognisk, świat wirował przed oczami. Zebrani mężczyźni odliczali cierpliwie czas pieczenia i oddawali się oczekiwaniu. Dobranie się do półsurowego mięsa jest świadectwem niskiego pochodzenia i braku elegancji. Jeśli wczoraj jadło się szaszłyk, dziś pora na 'mongolski kociołek', gulasz z duszonego mięsa (cebula i zioła są wciąż te same) warzonego w żołnierskim hełmie w odrobinie

wody z pobliskiego strumienia. Jeśli nie ma ani cebuli, ani przypraw, wystarczyć musi samo mięso, rzucone na rozgrzaną nad ogniskiem stalową tarczę, a - po chwili - pieczeń gotowa. Tyle, że mięsu pieczonemu nad żywym ogniem trzeba towarzyszyć i pomagać ciągłą obecnością. Pod groźbą spalenia nie można pozostawić go w samotności, a dla osiągnięcia smaku - trzeba patrzeć i patrzeć - a to na ogień, a to na mięso, przybliżać oczekiwany moment, kiedy zdjęte z rożna, cierpliwie odmuchane, dotknąć można wygłodniałym językiem. Gryźć trzeba powoli, nie łykać, by nie zgubić całego sensu patrzenia, wyobrażania i oczekiwania.

Kozacy kucali wokół ognisk, nad którymi dymiły wielkie płaty natartej solą i prochem strzeleckim baraniny. Co jakiś czas, każdy z nich robił krok przed siebie i - pocierając palcami - sypał z pomiędzy opuszek zioła. Dominujący był zapach bazylii i tymianku, komponując się razem w zapach podobny do włoskiego oregano. Aywan, w towarzystwie starszego Cagaa, przycupnął na piętach przy ognisku. Pierewalski przysiadł obok nich na kamieniu. Kozacy wyciągnęli z sakw bukłaki z resztką zapasów gorzałki, pasterze przynieśli *ajrak* - kefir z kobyłego mleka i *archii*, lekko słodkawą wódkę - przedziwny efekt destylacji kumysu. Humory poprawiały się z każdą chwilą.

- Hej, Polaczyszka! - wykrzyknął w kierunku generała kozak wyższy rangą. - Przepij do nas!
- Dlaczego wołają was 'Polaczyszka'? - zainteresował się Aywan. - Co to za przydomek?
- Eh! - roześmiał się Pierewalskij - W rosyjskiej armii najlepiej być czystym Rosjaninem, ale takich jest mało. Wszyscy, no - prawie wszyscy - to potomkowie narodów podbitych. Na

wet ci Kozacy nie potrafiliby odpowiedzieć na pytanie o narodowość?

-To nie jesteście Rosjaninem? - dociekał chłopak.

Generał zamyślił się tak, jakby chciał sięgnąć pamięcią daleko wstecz. Nie był stary, miał dopiero czterdzieści dziewięć lat, ale nieprzerwanie prowadził ekspedycje rozpoznawcze w Azji Środkowej. Czterokrotnie był w górach Tybetu - w trzeciej z nich, znalazł się w odległości tylko stu pięćdziesięciu mil od, niedostępnej dla obcych, Lhasy. Jego raporty wzbudzały ogromne zainteresowanie sztabu generalnego. Był pierwszym, który rzucił na mapę całą północną część Tybetu. Zapisał się w historii geografii odnalezieniem dzikiego konia, nazwanego później na jego cześć 'koniem Przewalskiego' - przodka wszystkich koni wierzchowych świata. Odnalazł też dzikie baktriany, od których pochodzą azjatyckie dwugarbne wielbłądy. Rosyjski sztab nie był zainteresowany ciekawostkami przyrodniczymi, ale sporządzeniem dokładnej mapy regionu, umożliwiającej przyszłą aneksję Tybetu. Pierewalski, jako wysokiej rangi wojskowy, zdawał sobie sprawę z rzeczywistych celów, tych na pozór naukowych, misji. Na jego twarzy pojawiło się coś, jakby wyraz zmęczenia życiem.

-Polacy nie są lubiani przez Rosjan! - powiedział wreszcie.

- Wszędzie na świecie, jeśli masz wroga - wykrzywił usta - coś ci znajdą. Najłatwiej jest grzebać w życiorysach.

Aywan, syberyjski Buriata, nigdy nie spotkał Polaka. Słyszał tylko, że to jakaś buntownicza nacja, mieszkająca na dalekim zachodzie Rosji.

•Jesteście Polakiem? - Aywan był zaciekawiony spotkaniem przedstawiciela egzotycznej narodowości.

- Gdyby mi tego nie wypominano - powiedział kwaśno generał - nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Mój ojciec był katolikiem z Witebszczyzny, dawnej prowincji byłej Polski, ale matka wychowała mnie w prawosławnej i rosyjskiej wierze. Moje nazwisko po polsku brzmi 'Przewalski', ale matka je zruszczyła. Wyszła za Polaka, chociaż ta kultura była jej zupełnie obca.
- A mówicie po polsku? Co to za język? - ciekawość Ay-wana irytowała generała. Gdyby nie chciał, nie odpowiedziałby na żadne pytanie, ale płonące ognisko, zapach piekącego się mięsa, a może i skutek wypitej *archii* pobudziły wspomnienia.
- Mówiłem, gdy pracowałem w Priwislanskim Kraju. W warszawskiej Szkole Junkierskiej wykładałem historię. To twardy i mało dźwięczny język, ale teraz, niewiele już pamiętam! - Przewalski, bardziej niż swoje wykłady miał w pamięci warszawiankę, młodą szatynkę o błękitnych oczach, dla której - a miał taki moment słabości - rozważał przejście na katolicyzm i powrót do ojcowskich korzeni. Wybuch kolejnego powstania Polaków i dobra posada w Petersburgu spowodowały, że decyzja zapadła poza nim. Może z tego powodu żył samotnie. Nieobciążony rodziną, mógł planować coraz to nowe wyprawy. Teraz marzył o dotarciu do Lhasy, tajemniczego miasta, z którego ponoć widać Himalaje, największe góry świata. Patrzył na młodego mnicha i myślał, że gdyby drugi raz mógł wybierać życie, może poszedłby w jego ślady?
- Jesteś już po święceniach? - zapytał nagle Aywana.
- Nie - odpowiedział chłopak - ale w Lhasie czekają mnie z całą pewnością!

- Nie żałujesz wyboru? - dopytywał się oficer.
- Wasze Wieliczesstwo! - odrzekł spokojnie Aywan - W wieku dziewięciu lat drogi się nie wybiera, to ona wybiera człowieka!

Przewalski był zdumiony. Chłopak wyglądał na kilkanaście lat. Ogolona głowa dodawała mu lat, ale zaskakiwał dojrzałością odpowiedzi. Nie były ani wyuczone, ani zdawkowe. Młody człowiek sprawiał wrażenie pewnego swojej drogi i wiedzy.

- O! - Przewalski pokusił się o żart, zanim pomyślał o jego treści - Może zostaniesz Dalajlamą?
- Dalajlamą się nie zostaje, Dalajlamą człowiek się rodzi! - Ajwan nie zmieniał konwencji rozmowy, w której poczuł się jak równy ze sławnym geografem i podróżnikiem.
- To znaczy - ciągnął żartobliwie Przewalski - nie urodziłeś się Dalajlamą i tego żałujesz?
- Podobno się urodziłem! - odparł Aywan. Zapadła cisza. Przewalski nie wiedział jak zareagować - Matka opowiedziała mi - Aywan mówił bez cienia skromności - o wizycie wysokich dostojników z Lhasy w kilka lat po moim urodzeniu. Podobno wyrocznia była pewna, że to właśnie ja, ale wróżbita zauważył coś, o czym nie wiem do dzisiaj. Widocznie - zamyślił się głęboko - mój *karman* ma jakąś rysę!

Przewalski był geografem, a nie filozofem i zadziwiony dojrzałością odpowiedzi nie dostrzegł chwili, w której z prowadzącego rozmowę zmienił się w tego, który z ciekawością zadaje pytania, nie bacząc na różnicę wieku.

- *Karman*? - co to takiego? - Chyba nie choroba?

•Nie! - Aywan roześmiał się rozbawiony ignorancją generała. - *Karman*, to potencjał dobrych i złych uczynków, z jakim każdy się rodzi i jaki przez całe życie rozwija. Od jego jakości zależy nasze następne życie. *Samsara* - niekończący się kołowrót wcieleń jest naszym przeznaczeniem, ale i szansą. Każde życie, przeżyte właściwie jest szansą na lepsze życie przyszłe, przeżyte źle, cofa na niższy szczebel.

•A jeśli ktoś się urodził - zapytał ponuro Przewalski - ze złymi skłonnościami? Co czeka go dalej? Przewalskiemu stanęła w oczach piękna warszawianka, o której - jak mu się wydawało - dawno zapomniał. Nie wiedział czemu, ale poczuł się samotny i nieszczęśliwy, tak jakby nie udało mu się życie.

-Naplewat'! - pomyślał. - Ja nieszczęśliwy? Ja, generał największej armii świata? Ja, członek Petersburskiej Akademii Nauk, któremu kłania się każdy pies w Pitrze?

-To proste! - mówił tymczasem Aywan - W następnym wcieleniu możesz być psem, szczurem albo pająkiem! - Ani Aywan, ani Przewalski nie zwrócili uwagi na to, że chłopak zwracał się teraz do generała per 'ty', nie używając formy grzecznościowej.

Przewalski zamyślił się głęboko. Wyprawy do Tybetu były służbą dla cara. Liczył na uznanie zasług i dalszy awans. Wiedział doskonale, jaki jest ostateczny cel eksploracji. Na końcu, gdy rozpoznanie będzie pełne, jego śladami pójdzie wojsko i nie będzie to samotna sotnia Kozaków, ale cała armia jegrów wyposażonych w karabiny z bagnetami, armaty i kartacze. Pójdą zabijać ludzi. Będzie im obojętne - wiedział to po sobie - czy zabiją pasterza, kobietę czy mnicha. Mnich jest zresztą

niebezpieczniejszy niż pasterz, bo ma władzę nad ludźmi. Będą więc zabijać mnichów. Czy między przyszłymi ofiarami będzie ten młody, mądry chłopak? - myślał.

- Czy widzisz we mnie - zapytał nagle - dobry czy zły *karmem*?

- Żołnierze zabijają ludzi! - odpowiedział Aywan - Póki zabijają, jego *karman*, ma więcej zła, niż dobra! W naszych świątyniach nie można się modlić, gdy przybywają żołnierze. Zły *karman* płoszy modlitwy.

Przewalski był pełen podziwu dla odwagi chłopca. Mówił do rosyjskiego generała władnego nie tylko powiesić go za gardło na haku - w stepie brakuje drzew - jak czyniono to z jego buntowniczymi pobratymcami, ale wydać rozkaz obdarcia ze skóry, solenia obnażanego ciała ot, tak - po kawałeczku! Wziął pierwszą porcję upieczonego mięsa i jadł w milczeniu. Poczul się źle. On, rosyjski generał i członek Petersburskiej Akademii Nauk, czuł się jak człowiek wędrujący bez celu.

-Jestem Rosjaninem - myślał - a nie żadnym 'Polaczysz-ką'!

Czuł jednak, że bycie Rosjaninem nie sprawia mu przyjemności. Owszem, na zewnątrz, szczególnie w stosunku do ludów podbitych, odczuwał rodzaj wyższości, ale w samej Rosji nie miał satysfakcji z życia. Wrażliwy człowiek odnosi tam wrażenie, że życie to jakaś nieustanna hańba, wieczny wstyd za czyny, które powinny być dokonane, ale nie wiadomo, co trzeba uczynić by je spełnić. Nie odczuwa się radości, lecz zamartwia tym, co nie zostało jeszcze zrobione. Przewalski miał swoją zwierzchność, której się bał i z tego strachu rodził się rodzaj szacunku, miał też podwładnych, którymi pogardzał. Taka jest Rosja: każdy ma niewolników i każdy jest czyimś niewolnikiem.

- Czym jest życie? - pytanie nie dawało mu spokoju - Może zapytać tego buddyjskiego chłopaka, ale to wstyd dla generała uczyć się od dziecka!
- A może unieść się honorem i pójść na zasłużoną emeryturę? - przemknęło mu przez myśl - Ha! Ha! - sam ją wyśmiał - Jak unieść się honorem w kraju, w którym to pojęcie w ogóle nie występuje? Honor to pozostałość kodeksu rycerskiego. W Rosji rycerstwa nigdy nie było, a wzorzec wojownika - to tatarski jeździec, nie stosujący żadnego kodeksu. Zresztą, tylko tak da się wyjaśnić rosyjską skuteczność w podbijaniu innych narodów. Akurat w tej kwestii brak honoru, to wielka zaleta.
- Naplewat'! - wyrzucił z goryczą. W swoim samotnym życiu, zawsze gdzieś w drodze - między Moskwą a Kaszgarją, Irkuckiem a Pustynią Gobi, bez bliskich i bez przyjaciół, czuł się w tej *Matuszce Rosiji*, nie jak człowiek sukcesu - a tak czuć się powinien - ale jak rzadka ślina wypluta na suchy piasek.
- A może pójść z tym do cerkwi? - myślał - Może Bóg coś pomoże? - Tyle, że w cerkwiach, wielkich, kopulastych, kapiących złotem, nigdy nie czuł obecności Boga. Był pop, były śpiewy, były pokłony składane ikonom, ale Boga nie było.
- Czy religia może obejść się bez Boga? - nie zauważył, że pytanie zadał głośno.
- Oczywiście! - odpowiedział Aywan. - Istnienie istoty, choćby nawet nie wiedzieć jak wszechmocnej, jeśli ma być to istnienie bez przyczyny, jest pozbawione racji! *Dharma* - tłu-

maczył - odwieczne prawo życia, którego nauczał Budda, dotyczy wszystkich i wszystkiego. Także i Boga!

- A co to za prawo? - zdumiał się Przewalski.
- To prawo do narodzin, życia i śmierci! - usłyszał w odpowiedzi - Wszystko inne, to twoja współpraca z *dharmą*.
- A jaki jest cel tej - jak to nazywasz - współpracy?
- Usuwanie negatywnych emocji, ćwiczenie dobra, tworzenie dobrej karma! A potem przychodzi odejście, bo jak powiadają mądrzy mnisi z Tybetu - 'stosunek do życia poznaje się po umieraniu'.

Przewalski wstał i bez słowa wszedł do rozstawionego opodal namiotu.

-Nie chcę być pajakiem! - pomyślał. - Muszę to przemyśleć! - Położył się i zaraz zasnął głębokim snem człowieka bez przyszłości.

Spał cały dzień i całą noc. Następnego ranka karawana mnichów nie ruszyła z miejsca. Nie wypadało, a i było niebezpiecznie, wyruszać bez pozwolenia dowódcy kozaków. Ci natomiast, siedzieli przy dopalających się ogniskach, jakby przeżywali żałobę. Z namiotu wyłonił się Przewalski. Wyglądał niezwykle. Zamiast munduru zwykłego kozaka miał na sobie paradny, szamerowany srebrem mundur rosyjskiego generała. Na piersi błyszczały medale świadczące o zasługach dla cara.

-Ten człowiek - pomyślał Aywan - przeżywa jakieś wewnętrzne rozdarcie. Nie woziłby z sobą po górskiej pustyni paradnego munduru cesarskiej armii!

Przewalski potoczył wzrokiem po górach, długo patrzył w niebo, wreszcie zwrócił się ponuro do żołnierzy.

-Zarządzam odwrót! Wracamy do Karakole. Musimy lepiej przygotować wyprawę!

Bez słowa dosiadł konia i skierował się na północ. Kozacy wracali do Kirgizji, do bazy. Aywan usłyszał później, że Przewalski, zaraz po powrocie do Karakole, w czasie intensywnych przygotowań do kolejnej wyprawy do Tybetu, zachorował na nieznaną chorobę i zmarł.

4.

Golmud, to nieciekawa miejscowość, położona na północnym przedgórzu Tybetu, odwiedzana z konieczności przez karawany zmierzające do Lhasy i Kaszmiru, zamieniające tam wielbłądy na konie. Dalsza trasa prowadziła przez zupełnie jałowe tereny, coraz wyżej położone doliny, porośnięte skąpą wysokogórską trawą. Im wyżej, tym noce są chłodniejsze. Aywan poczuł się lepiej, gdy zsunął się z drewnianego siodła baktriana i dosiadł niedużego, ale mocno zbudowanego konia. Posuwali się wyżej i wyżej. Krajobraz stawał się coraz bardziej księżycowy. Pnąca się w górę droga - w porze deszczowej dno rzeki - otoczona wysokimi skałami, odstraszała kamienistą nagością. Powyżej trzech tysięcy metrów ponad poziomem morza podróżuje się powoli. Na tej wysokości, pod groźbą śmiertelnej rozedmy płuc, nie wolno w ciągu jednego dnia podróży pokonać więcej niż trzysta metrów wysokości. A i tak serce łomocze jak oszalałe, w skroniach walą młoty, oddech nie dostarcza tlenu. Powietrze jest suche i rzadkie. Przychodzą mdłości i zupełna niemoc. Kiedy gromada jeźdźców dotarła do przełęczy Kulunshan, położonej na wysokości ponad 4700 metrów, Aywan miał nadzieję, że zaczną już schodzić w dół. Z trudem unosili po kamieniu, aby rzucić go na dziękczynny wzgórek obwieszony modlitewnymi wstęgami.

Nadzieja okazała się płonna. Przed nimi były jeszcze dwie przełęcze, przy czym ta wyższa - Tanggula, stanowiła granicę chińskiej prowincji Qunighai i przełamywała góry dopiero na wysokości pięciuset metrów wyżej niż poprzednia. Dopiero za następną, położoną jeszcze wyżej i zwaną Tou'erjishuan, droga obniżała się i dążyła do Amdo, pierwszej miejscowości Tybetu właściwego. Dalej, czekała ich Lhasa, najświętsze miasto państwa łamów.

Schodzenie z gór było mniejszym wysiłkiem, niż podążanie pod górę, ale wysokogórska choroba dawała o sobie znać. Późno zauważyli, że nie są sami. Doganiała ich grupa konnych. Karawana mnichów przystanęła wystraszona. Ludzie byli przygotowani na bezludne tereny, gdzie spotkanie człowieka jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, tymczasem znowu natknęli się na gromadę jeźdźców. Część z nich była w mundurach koloru khaki i korkowych hełmach, chroniących przed słońcem, inni wyglądali jak kozacy Przewalskiego. Nie wykazywali wrogich zamiarów.

Oddział zbliżył się do mnichów zbitych w przydrożną gromadkę. Na jego czele jechał wysoki, trzydziestoparoletni oficer w rosyjskim mundurze, za nim, zaledwie o długość konia, podążał drugi, młodszy i wyraźnie z jakiegoś innego wojska. Bił od niego spokój i dystynkcja. Pierwszy zatrzymał się przed mnichami pytając po rosyjsku, dokąd podążają. Starszy Cagaa udzielił wyczerpujących informacji. Oficer pokiwał się chwilę na koniu.

- Jestem Grąbczewski - powiedział - Bronisław Grąbczewski, a to - dowódca napotkanego oddziału angielskiego, kapitan Younghusband.

Anglik skłonił głowę i nie odezwał się słowem. Był sprężysty w

ruchach, wyglądał młodzieńczo, ale bił od niego spokój dojrzałego dżentelmena. Aywan zwrócił uwagę na dziwnie brzmiące nazwisko mówiącego. Wiedział od Przewalskiego, że nazwiska kończące się na -ski, to zwykle nazwiska polskie. Nie mógł zrozumieć skąd tylu Polaków w wysokich górach, gdzie - jak powiadają - rządzą górskie diablice, a nie ludzie.

- Podążamy do Kaszmiru! - wyjaśniał Grąbczewski - Spotkanie było przypadkowe! - Nie chciał przyznać, że obie wyprawy konkurują ze sobą w eksploracji Tybetu - Prowadzimy niezależne badania. Ja i moi kozacy idziemy z Kaszgarii. Jesteśmy na służbie rosyjskiej, a kapitan - spojrzał na Anglika - w służbie Cesarzowej Indii. Wraca do Kalkuty z Pekinu przez oazy Jedwabnego Szlaku.

Aywan słyszał tylko o dwóch cesarzach - jeden mieszkał w zimnym pałacu w Petersburgu, drugi w pekińskim Zakazanym Mieście. Pytanie o trzeciego wyrwało mu się samo.

- A co to za cesarzowa, ta od Anglików? - zapytał. - Anglia to też cesarstwo?

- I tak i nie! - roześmiał się Younghusband. Mówił po rosyjsku z wyraźnym trudem i zabawnym akcentem. Lepsze byłoby określenie, że usiłował mówić po rosyjsku. Nie wszystkie wyrazy wypowiadał zrozumiale.

- Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii panuje nad połową świata!

Younghusband wyprostował się w siodle z dumą. W korkowym hełmie i mundurze w kolorze khaki wydawał się jeszcze wyższy. - Nasza Królowa,

Najjaśniejsza Wiktorja, jest również cesarzową Indii. Tak więc - wyjaśniał z konia Aywa-nowi - Azja ma trzech cesarzy: chińskiego, japońskiego i cesarzową Indii!

- Zapomniał pan, kapitanie - dopominał się Aywan, który poczuł się znowu rosyjskim poddanym - wymienić Cesarza Wszechrosji!

- Rosja, to Azja czy Europa? - zastanawiał się Younguhus-band. - Z Petersburga jest pięć razy bliżej do Londynu niż do Pekinu. Ale Rosja - głośno myślał - to i Azja i Europa. A może, ani Azja, ani Europa? - zafrasował się filozoficznie.

Grąbczewski nie brał udziału w tej wymianie poglądów. Inaczej niż Przewalski, nie był pół-Rosjaninem, ale pełnokrwistym Polakiem. Polacy bez zapału mówią o - pozornej w ich mniemaniu - „europejskości” Rosji, uważając Rosjan za Azjatów, a nie Europejczyków. Starał się być lojalnym poddanym cara i będzie zajmował przez całe życie intratne posady. W przyszłości dojdzie do stanowiska generała, gubernatora pogranicznego Amuru, a potem - komisarza generalnego Guan-dungu, nadmorskiej części rosyjskiej Mandżurii. Doceniał szanse, jakie Imperium dawało Polakom w jego służbie - możliwość awansu i odkrywania nieznanymi terenów Azji. A to oznaczało, że lepiej siedzieć cicho. Wiedział, że góry mają uszy.

Tybetańskie też!

Karawana, powiększona teraz o oddział kozaków Grąbczewskiego i grupkę brytyjskich kawalerzy stów, zsuwała się ku rozległemu obniżeniu terenu, z którego kamienista droga wznosiła się znowu ku przełęczy. Rozmowy zamilkły. Była jesień, zimno stawało się przenikliwe, powietrze traciło resztki wilgotności. Momentami padał śnieg, ale suchość powietrza sprawiała, że parował zanim dotknął ziemi. W suchym, wyso-

kogórkim klimacie trzeba dokładnie planować postoje by nakarmić i napoić konie. Z padającego śniegu nie ma pożytku. Znika.

Gdy po kilku godzinach powolnego posuwania się w górę podróży dotarli do przełęczy, choroba wysokościowa zbierała zniwo. Ludzie tracili siły, chwiały się zmysły równowagi, dopadały torsje. Grąbczewski zarządził postój poniżej przełęczy. Miał to być ostatni nocleg przed Amdo. Tam szlak rozdzielał się - południowo-zachodni prowadził do brytyjskiego Kaszmiru, a południowy - do Lhasy. Rozbito namioty, konie puszczono w poszukiwaniu trawy, a ludzie - zamiast rozglądać się za chrustem na ogniska - runęli na ziemię.

Rankiem powstał ruch, jak ma to miejsce po nocy. Brytyjczykom kończył się prowiant, Kozacy - na rozkaz Grąbczewskiego - dzielili się suchą kielbasą i sucharami, towarzysze Aywana lepili z prażonej jęczmiennej mąki, jaczego masła, miodu i kwaśnego mleka, niezastąpioną *campę*. Wokół namiotu Grąbczewskiego zrobiło się zamieszanie. Kozacy pokazywali sobie coś w górach. Aywan wyteżył wzrok i dojrzał, że do obozowiska zbliża się stado dzikich jaków. Było ich kilkanaście sztuk, pasły się powoli, nie zwracając uwagi na ludzi.

-Oooo! - mruknął Grąbczewski - idzie mięso!

Kapitan Youngusband wychylił się z namiotu. Jak rasowy Anglik, pomimo choroby wysokościowej, był już ogolony i pachnący *eau de cologne*. Rzucił okiem na zbliżające się stado i za chwilę był gotów - w ręce strzelba, na głowie korkowy kask.

-Powoli! - mówił cicho Grąbczewski - Dopuszczymy je jak najbliżej!

Jaki to najdziwniejsze stworzenia. Samiec waży prawie pół tony, samica

jest mniejsza. Barwę mają różną - od piaskowej po czarną, są też i łaciate. To, co najbardziej uderza w wyglądzie zwierząt, to pewien rodzaj zwalistości. Długie rogi kierują się ku niebu, głowa osadzona jest na włochatym i garbatym kłębie wysokości dorosłego człowieka, po czym ciało, trochę niespodziewanie, obniża się w kierunku ogona. Jak widziany z oddali robi wrażenie, że nie stoi ale przysiaduje na zadzie.

Uderza masywność owłosionego ciała, na którym zawieszona jest wielka głowa z długimi, mocnymi rogami. Aywan znał te zwierzęta z Mongolii. Tam zwą je *sarлакami* i bardzo cenią z powodu szybkiego przyrostu masy ciała, tłustego mleka, mięsa o smaku wołowiny i mocnej skóry. W Tybecie, pasterze używają jaków do przepraw przez rzeki, skór - do budowy lekkich, skaczących po wartkich wodach, łodzi. Żywy też doskonale nadaje się do przepławiania przez rzeki - z powodu budowy ciała i worka powietrza w otrzewnej - jak nie tonie. Aywan wiedział też, że dzikie jaki to groźne zwierzęta. W sytuacji zagrożenia atakują ławą, wzmacniając grozę pędzącej masy rzędem głów najeżonych rogami.

Grąbczewski mierzył powoli. Składał się kilkakrotnie zanim strzelił do wybranej sztuki. Zgrabiące przymrozkiem dłonie, walące z niedotlenienia serce i drżące ręce, nie pozwoliły celować dokładnie. Suchy huk wystrzału odbił się echem po okolicznych skałach. Jaki podniosły głowy.

Przewodnik stada dostrzegł ludzi. W mgnieniu oka uznał ich za wrogów, którym należy się śmierć. Rozstawił nogi i dał jaczym sposobem znak innym. Zanim niefortunny strzelec zdążył przeładować karabin, dziewięć wielkich samców ruszyło ławą z góry. Pięć ton włochatego mięsa waliło w kierunku obozowiska. Aywan wiedział, że jeśli nie zostaną zatrzymane, z obozu zostaną tylko resztki, a strzępy ludzi porozrywanych rogami znajdą

się na okolicznych skałach. Spojrzał na Grąbczewskiego. Ten składał się do strzału ponownie. Traaach! Jeden z atakujących samców potknął się, ale nie był to przewodnik stada. Traaach! Usłyszał Aywan drugi raz. To strzelał Younghusband. Znowu pudło! Anglik też był po całej nocy choroby wysokościowej i wyraźnie życzył żołądkowi, żeby nie wracał już do ciała. Jaki były coraz bliżej. Youngusband potknął się o wystający kamień i runął głową w dół. Naładowana strzelba upadła. Za chwilę będzie po nas! - pomyślał Aywan. Skoczył w kierunku Anglika, poderwał gotową do strzału strzelbę, skierował lufę na największego z pędzących jaków z odległości nie większej niż trzydzieści metrów. Miał za mało czasu na podniesienie broni do oka. Strzelił nie celując. W podnieceniu nie usłyszał huku wystrzału, ale widział, że dowodzący szarżą samiec zachybotał w biegu, zarył głową w kamienistą ziemię i upadł. Przez chwilę drgały mu jeszcze kopyta, po czym znieruchomiał. Pozostałe biegły w kierunku ludzi skłębionych za Ay-wanem, ale zdezorientowane brakiem samca-przewodnika, zawróciły z tętentem tysiąca koni i łukiem powróciły do gromadki samic. Te, pewne sukcesu swoich samców, pały się spokojnie. Za chwilę na wzgórzu nie było już nikogo, tak, jakby nic się przedtem nie stało. O tym, że coś się wydarzyło, świadczyły pobladłe twarze ludzi i ściśnięte na karabinie dłonie Grąbczewskiego. Kilka metrów przed nim leżało martwe ciało przewodnika stada.

- Gdzie uczą mnichów strzelać? - sapnął Younghusband. Anglik podniósł się z ziemi i wyjął strzelbę z rąk Aywana.
- Gdzie nauczyłeś się tak strzelać mnichu! - Niemal równocześnie krzyknął Grąbczewski.
- W Irkuckiej Szkole Kadetów, Wasza Wysokość! - Aywan wyprężył się

odruchowo, jak do meldunku.

Jego postawa 'na baczność' kontrastowała tak bardzo z ogoloną głową i nagim ramieniem wyłaniającym się z habitu, że obydwaj oficerowie zanieśli się głośnym śmiechem.

-Widzę, że Tybet idzie na wojnę! - powiedział Younghus band. - Mam nadzieję - dodał z przekąsem - że nie będzie to wojna z Anglią!

Aywan nie wiedział jak reagować na żarty. Ostatecznie, złamał zasadę *ahinsy* - nie zabijania żywych stworzeń, ale -usprawiedliwił się przed sobą - uratował życie wielu ludzi.

5.

Celem wędrówki mniszej kawalkady nie była sama stolica Tybetu, ale sławny Drapung, położony cztery mile na wschód od miasta. Aby dotrzeć do klasztoru trzeba było przedostać się przez centrum Lhasy. Aywan cieszył się jak dziecko. Zawsze pragnął zobaczyć najświętsze miejsce lamaizmu - świątynię Dżo-k'ang i najwspanialszy ze wspaniałych, cud i kosmiczny środek świata - pałac Potala, siedzibę Dalajlamy.

Święte miasto Lhasa leży w rozległej dolinie, w miejscu, w którym lewy dopływ rzeki Zangpo - Kyichu, zbliża się do niej na odległość kilku mil. Nazwa 'Zangpo' nie robi na podróżnych żadnego wrażenia. Ich zainteresowanie nagle rośnie, gdy dowiadują się, że Zangpo, to tybetańska nazwa górnego biegu świętej rzeki Indii - Brahmaputry. Tam, w dolnym biegu i w otoczeniu tropikalnych lasów, tworzy żyzną dolinę, dającą pożywienie milionom Bengalczyków. Tutaj, wciśnięta między Himalaje a tybetański 'Dach Świata', toczy zimne wody, nie bacząc na lśniące bielą

wiecznego śniegu najwyższe góry świata. Jej brzegi są piaszczyste, pokryte roślinnością podobną do karłowatych wierzb. Co jakiś czas, wystającą z nad powierzchni wody mieliznę rzeki podwyższa zwaliste ciało martwego jaka, który - padłszy gdzieś w górnym biegu - zatrzymał się na chwilowy pogrzeb. Aż trudno uwierzyć, że dolina rzeki płynącej wzdłuż południowej granicy Tybetu, daje schronienie większości mieszkańców tego ogromnego, górskiego i słabo zaludnionego kraju, a jej brzegi pozwalają na uprawę jęczmienia i najbardziej odpornych na chłody warzyw.

Karawana schodziła w dolinę z wysokiej przełęczy. Z początku, Lhasa była widoczna tylko jako ciemna plama między białymi wierzchołkami gór, ale wraz z obniżaniem się terenu miasto widać było coraz wyraźniej. W jego centrum wyróżniały się kolorowe dachy klasztoru Dżo-k'ang, zwanego lhaską katedrą, a lśniący złotem monument - Sztandar Zwycięstwa, widziany z wysokości gór, tkwił w jego sercu jak grot strzały wstrzelonej w ciało męczennika. Dalej, na pochyłości wzgórza, wznoszącego się w kierunku potężnych Himalajów, lśni! bielą tynków pałac Dalajlamów - cud świata - Potala. Z daleka, wyglądał jak dumna, wspaniała budowla. Biel murów nie powinna jej odcinać od śnieżnych wierzchołków gór. Przeciwnie, można było oczekiwać, że wtopi się w nie tak, jak wtapia się w zieleń mundur żołnierza. Tymczasem, to właśnie pałac przyciągał wzrok podróżnych, a nie potężne góry, wznoszące się ponad jego dachami. To on dominował nad okolicą bez dającej się określić przyczyny. Robił wrażenie monumentu projektowanego z myślą o nieziemskim dostojenstwie miejsca. Wydawać się mogło, że nawet wielkie góry kłaniają się

Potali, składając pełen podziwu hołd. Mieszkańcy Lhasy powiadają, że zbliżając się do tego miejsca, nawet rozbójnicy odkrywają w sobie pokłady świętości.

Aywan patrzył i nerwowo przełykał ślinę przez suche gardło. Wiedział, że Lhasa to świętość, ale nie spodziewał się, że pokona ona w nim samym i wszystkie góry i całe niebo i to zaraz, od pierwszego wejrzenia.

- Tam, w samym centrum - usłyszał głos starszego Cagaa -mieści się Dzo-k'ang! To źródło wiary całego Tybetu. Nie uwierzysz! - ciągnął spokojnie starszy - Klasztor powstał ponad tysiąc trzysta lat temu! Wielki król Songtsan Gampo zbudował go na miejscu dawnego jeziora, aby stworzyć dom dla posągu Buddy przywiezionego z Nepalu przez księżniczkę Khridzun. Druga statua Buddy, zwana Dzo-bo, dotarła tu z Chin, z inną żoną króla - księżniczką Weng Czen z Xia'n - i jest to najświętszy symbol lamaizmu. To dla niego przemierzają wielkie góry tysiące i setki tysięcy ludzi.

Aywan naczytał się o katedrze lhaskiej jeszcze w klasztorze Gandan. Wiedział, że to wielki kompleks klasztorny. Kiedy znaleźli się na centralnym placu miasta był pewien, że dotarł do jednego z cudów świata. Starszy Cagaa bywał w Lhasie już wcześniej i wziął na siebie rolę przewodnika.

Dzo-k'ang - „Dom Pana”, to wspaniała świątynia wzniesiona za czasów starożytnego Królestwa Tubo. Jest najstarszą budowlą w Tybecie. Z zewnątrz nie imponuje wielkością, zapewne dlatego, że ciągle rozbudowywana, nie jest jednym budynkiem ale składa się z całego kompleksu dachów i przybudówek, rozłożonych szeroko wokół najstarszej części, gdzie mieści się główny hol, wsparty na dwudziestu jeden kolum-

nach opatrzonych płaskorzeźbami. Świątynia ma cztery piętra, a jej miedziane dachy pokryte złotą farbą odbijają promienie słońca tak intensywnie, że widoczna jest z daleka ze wszystkich okolicznych gór.

Starszy Cagaa prowadził grupę mnichów przez przedsionek o ośmiu kolumnach, do którego wstępu strzegą czterej straszliwi *lokapalowie* - strażnicy świata. Zapach palonych trociczek i maślanych lampek nadawał ciszy panującej w mrocznym wnętrzu dodatkowy koloryt świętości. W *Lu'kang* - wielkiej hali zgromadzeń - panuje tylko słaba poświata promieni słonecznych odbitych od ścian sąsiedniej sali i przedostających się do wnętrza przez wysoko umieszczony świetlik. Po lewej stronie pomieszczenia widać było tron Dalajlamy, na którym zasiada w czasie wielkich uroczystości, ale centralnym punktem była postać Tysiącorękiego i Tysiącookiego Awalokite-śwary - 'Pana, Który Dobrotliwie Spogląda na Nas z Góry' - rzeźbiony i bogato malowany wizerunek najmilszego ludziom *bodhisattwy*. Na prawo od niego Aywan rozpoznał - z reguły obecne w buddyjskich świątyniach - trzy postaci Majtrei, Buddy Czasu - symbolizujące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przechodzili obok rzeźb zgodnie z zasadą ruchu istot żywych w świętych miejscach Tybetu - z lewej do prawej. Jeśli wierny poruszały się inaczej, zakłócałyby naturalny porządek i nie mógłby doznać duchowego uniesienia.

-Te tysiąc oczu - wyjaśniał starszy - potrzebne są do dostrzegania wszystkich ludzkich potrzeb, a tysiąc rąk umożliwiają udzielanie pomocy każdemu potrzebującemu. Opowiada ją - Cagaa przyglądał się rzeźbie uważnie - że obie żony króla zostały wciągnięte przez postać Buddy natychmiast po śmierci

i pozostały tam na zawsze w nagrodę za swoje czyny.

Aywan przyglądał się rzeźbie w niemym uwielbieniu. Jedenaście głów, symbolizujących tysiąc, układały się w piramidę nad postacią bodhisattwy. Jedenaście rąk tworzyło podstawę. Posąg miał złożone oblicze, z ramion zwieszały się żółto-białe wstęgi modlitewne. Oczy były przymknięte, twarz zdobił dobrotliwy uśmiech.

Przez drzwi wyrzeźbione w sandałowym drzewie, Cagaa wprowadził grupę do wewnętrznej części świątyni. Za kaplicą Cong'ka-py, założyciela szkoły Żółtych Czapek, dotarli do miejsca najświętszego ze świętych - kaplicy poświęconej Buddzie *Džo-bo-rimpocze*. Starszy zatrzymał mnichów ruchem ręki.

-Według opowiadanej historii - opowiadał - posąg, który widzicie nie jest dziełem ludzi, ale rezultatem interwencji boskich mocy. Jeden z królów Indii przesłał go w darze do Czanganu, najstarszej stolicy Chin - jako dar dla cesarza. Posąg jednak - starszy był tym poruszony - najwyraźniej zmierzał do Lhasy. Przybył tutaj trzynaście wieków temu, jako część posagu cesarskiej córki, wydanej za króla Songtsan Gampo. Całą świątynię wybudowano właściwie dla niego.

Aywan ukląkł przed rzeźbą Džo-bo. Wizerunek miał znamiona chińskiej roboty.

-Nie mógł przywędrować z Indii! - pomyślał - Ma twarz tłustego Chińczyka i długie, zwisające do ramion uszy. - Od najdował w sobie jakąś niechęć do chińskiego sposobu patrzenia na świat i nie zapałał do Džo-bo atencją. Wolał Jedenastogłowego, u którego widać było wyraźne zainteresowanie światem. Chińczyk wyglądał tak, jakby drzemał w poczuciu

lekceważenia ludzi. Nie dodawała mu godności, ani wysadzana rubinami korona okalająca twarz, ani skrzydlata postać nad głową, symbolizująca łączność z Niebem.

Poczuł nagle szturchnięcie. To starszy Cagaa wzywał go na bok. Podniósł się z kolan. Starszy wziął go pod rękę i powiedział szeptem:

-Pójdiesz teraz ze mną! - twarz miał napiętą - Pokażę ci coś niezwykle ważnego!

Pociągnął Aywana w kierunku kapliczki Cong-ka-py, ale minął ją bez zwracania uwagi. Zawahał się tylko na chwilę, gdy mijali *Białą Stupę*, którą niezrozumiałe siły wypchnęły niegdyś z jeziora Ofang, po tym, gdy król Songtsan Gampo wrzucił doń swój pierścień, co było znakiem, że w tym właśnie miejscu powstanie świątynia silniejsza od ciemnych mocy. Zbliżyli się do schodków, prowadzących w dół, na pozór do nikąd. Tam brał początek ciemny korytarz, a w jego końcu - widoczna była ceglana ściana.

- Za tą ścianą - szeptał Cagaa - znajduje się kaplica jeziora Ot'ang, pokrywającego teren, na którym teraz stoi Dżo-k'ang. Pod jeziorem mieściły się kiedyś straszliwe moce - głos starszego drżał. Aywan zrozumiał, że starszy się czegoś bardzo boi.

- One, znaczy, te moce - Cagaa był coraz bledszy - tkwią tam dotąd.

Tylko Dalajlama i kilku najwyższej rangi mnichów z jego otoczenia - głos drżał mu ze strachu - mogą tam wejść i znają sposób, w jaki można się z nimi kontaktować. - Oddychał ciężko tak, jakby był bliski ataku serca.

- Czy wam coś dolega? - zaniepokoił się Aywan.

- Nic! Muszę tylko szybko ci to powiedzieć! - Cagaa oddychał z trudem - Licho za tą ścianą nie śpi!
- Więc powiem ci! - nabrał powietrza, jakby chciał dodać sobie odwagi - To jest twoje zadanie! Masz znaleźć - teraz mówił szybko - sposób na wejście do kaplicy i odkryć mechanizm uruchamiania mocy. To jest - starszy mówił coraz szybciej - jakiś rodzaj magii, która jest pilnie strzeżoną tajemnicą.

Aywan nie czuł się zaskoczony. Wiedział, że przyjdzie chwila, gdy dowie się o treści zadania. Myślał z niechęcią, że będą to jakieś raporty, informacje i donosy. Nie wydawało mu się, aby był zdolny do tego typu pracy i skrycie przygotowywał wykręty. Teraz poczuł zainteresowanie.

- Co to za moce są za tą ścianą? - spytał spokojnie.
- Nie będę ci tu o tym mówił! - starszy przestał się kontrolować, trząśnięty cały ze strachu i Aywan pomyślał, że za chwilę narobi w habit, ale Cagaa, wybiegł spieszenie na górę.

6.

Do Lhasy przybyli w dzień tybetańskiego Nowego Roku. Wkrótce miasto było pełne głośniejszej, rytmicznej muzyki. Ciężkie bębny, głęboko brzmiące wielometrowej długości rogi, blaszane talerze, dzwonki i zawodzące trąby o kształcie długich rur, były tłem dla monotonnego barytonu mnisich modlitw. Aywan spodziewał się tych wrażeń - uroczystych nabożeństw, świąteł i muzyki. Lamowie w wielkiej sali Dżok'angu siedzieli teraz naprzeciwko siebie w równych rzędach i recytowali teksty spisane na luźnych kartkach, które rozłożono przed nimi na niskich stolikach. Głębokie brzmienia powtarzanej mantry nakładały

się na siebie nawzajem, sprawiając wrażenie dźwięków przychodzących z różnych stron jednocześnie.

Zanim grupa wędrowców weszła do Dżok'angu, by dołączyć do głównych uroczystości, na plac wlewały się już tłumy mnichów. Jednak to, co ukazało się ich oczom później, po wyjściu ze świątyni, spowodowało szok, po którym Aywan długo nie mógł dojść do siebie. Długie na mile szeregi mieszkańców z okolicznych klasztorów zapełniały ulice miasta jak chmara wygłodniałej szarańczy. Hordy, ubrane w czerwonoceglaste habity, ciskały wściekłe spojrzenia. Trudno było wyobrazić sobie ludzi, wyglądających równie złowrogo, zuchwale i fanatycznie, jak te tłumy opanowane uczuciem prymitywnej chciwości. Zachowywali się jak głodne psy urwane z łańcucha. Zamiast pobożności, w oczach mieli żądzę władzy i oczekiwanie świeckich rozkoszy. Osilki wymalowane na czarno, niby diabły - odpychały na bok przedstawicieli porządku. Wielkie kije powiewały chorągiewkami modlitewnymi, ale ręce były obładowane naczyniami z masłem, zdobycznymi pudłami i pościelą.

- To są - wyjaśniał Cagaa, któremu już wróciła równowaga - *dge-skosi*, noworoczna mnisia milicja, przejmująca na trzy dni pełnię władzy w stolicy Tybetu. To rzeczywiście zadziwiający i niezbyt chlubny zwyczaj - mówił starszy - sięgający dwustu lat wcześniej, do czasów panowania Jego Świątobliwości Dalajlamy V, który w zamian za korzystne przepowiednie państwowej wyroczni w Naczungu, dające mu absolutną władzę w kraju, zezwolił na tę tradycję trzydniowej mnisiej władzy w Lhasie z okazji Nowego Roku.
- Jaki jest cel tego bałaganu? - pytał młody Buriata, równie przerażony widokiem, co reszta grupy.

-Jego Świątobliwość - odparł Cagaa - wiedział, że natura ludzka, obok pobożności, kryje w sobie dzikość, chęć grabieży i bezkarności. - Starszy sam nie bardzo wiedział jak wytłumaczyć młodemu to zjawisko, przypominające bardziej polowanie wściekłych psów, niż święto rozpoczynające Nowy Rok. -Pozwolił na to - starszy sam miał wątpliwości, co do słuszności decyzji - aby z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni roku, trzysta sześćdziesiąt dwa były pobożne, religijne i pełne wyrzeczeń.

-Jednak te trzy dni Nowego Roku - Aywan aż podniósł głos - niweczą całą resztę! To te trzy dni - mówił gniewnie -podważają sens pobożności reszty roku!

Z chwilą ukazania się *dge-skosów* na granicy miasta, władza świecka ustaje. Rozpoczynają się rządy łamów. W ozdobnych czapkach jadą w szeregu przeorzy najważniejszych klasztorów, wyciągając ręce w geście błogosławieństwa. Władza przenosi się z miasta do Dzo-k'angu, najświętszego miejsca w Tybecie, ale ciąg dalszy nie ma już nic wspólnego ze świętością. Mnisi, w gwarancji bezkarności chwilowej władzy, tłoczą się w dzień i noc, boso i z gołymi głowami, przesuając w palcach paciorki różańców. Niekończące się szeregi zgniatają się wzajemnie, wciskając się po stromych, ciemnych schodach na złocone dachy Dzo-k'angu. Zaduszeni i zdeptani w ścisku są wynoszeni na zewnątrz świątyni, ich ciała zostają porąbane na kawałki wielkim tasakiem zawodowego rębacza i rzucone sępom na niebiański pogrzeb. Wedle tradycji pierwotnej religii *bon* - sępy mają bliżej do nieba, niż ludzie. Aywan zobaczył, że po porannym nabożeństwie hordy ludzi w czerwonocegla-stych habitach gromadzą się wokół ogromnych miedzianych kotłów, w których gotowana

jest herbata z masłem i wokół wielkich patelni prażących *campę*. Zewsząd słycać pomruk monotonnej modlitwy i rytmiczne uderzenia bębnów. Pojawiają się mieszczanie z bogatymi darami w nadziei na ograniczenie strat. Obwieszane perłami żony miejscowych kupców przybywają w pokorze, aby złożyć świętym mnichom możliwie bogatą ofiarę w nadziei, że wykupią się od rabunku mienia. Potem jednak, mimo ofiarności mieszczan, zaczyna się czas rabowania. Mnisi, bezkarni ochroną posmarowanych czarną sadzą *dge-skosów*, rzucają się na sklepy i domy bogatszych obywateli Lhasy, rabując, co się da lub żądając okupu w brzęczącej monecie. Aywan był zdruzgotany. Spodziewał się pełnej medytacji ciszy wiecznego miasta, modłów i świętych ludzi. Zobaczył najgorsze - dowodny obraz tego, że nawet największa świętość może być tylko fasadą. Postanowił nie tylko nigdy nie stać się takim jak ci upodlający się ziemskimi pragnieniami mnisi, ale dołożyć wysiłku, aby zło natury ludzkiej zostało zduszone i podporządkowane jego lepszej części, jak bagno z którego wyrasta kwiat lotosu. Nie wiedział jeszcze jak tego dokona.

Rozdział piąty. LHASA. TRZYNASTY

DALAJLAMA.

1.

Drapung, jeden z trzech najważniejszych tybetańskich klasztorów, leży na wzgórzu wznoszącym się przy drodze prowadzącej na wschód - do żyznej doliny rzeki Jangcy. Jego początki sięgają XV wieku. To największy klasztor w Tybecie i jedyny uprawniony do nadawania wyższych stopni naukowych. Największa sala modlitewna - *Sala Sutry*,

może pomieścić ponad osiem tysięcy mnichów. W sto lat po jego powstaniu dobudowano część, zwaną *Gandan Potrang*, służącą -przed powstaniem pałacu Potala - za siedzibę Dalajlamy. Mieszkali tutaj czterej następcy Geduna Truppy. Piąty z nich -Losang Gyatso był pierwszym, który uzyskał w państwie niekwestionowaną i absolutną władzę. Z tej tradycji wywodzi się wysoka pozycja Drapungu w hierarchii tybetańskich klasztorów. Wszyscy kolejni Dalajlamowie traktowali go jako klasztor - matkę, a *Gandan Potrang* stał się siedzibą rządu.

Drapung jest również najważniejszym ośrodkiem naukowym. Jego cztery wielkie biblioteki - *GoMang*, *Loseling*, *Deyang* i *Agba*, pełnią funkcję czytelní. Klasztor jest kuźnią wiedzy i nauki. Tutaj studiuje się *dharmę* - naukę Buddy i najwybitniejszych jego uczniów, tu znajdują się oryginały świętych pism *Tandzur* i *Kandzur*, a także *sutry* - teksty komentarzy i *tantry* -pisma regulujące czynności kultowe, do których lamaizm przywiązuje szczególną wagę.

Zespół klasztorny dzieli się na trzy części. Na najniższym poziomie i w piwnicach znajduje się kuchnia i magazyny. Dwa piętra zajmują pomieszczenia mnichów. Dawna rezydencja Dalajlamy - to najwyższy poziom, z którego roztacza się wspaniały widok na dolinę rzeki i okoliczne góry.

Aywan długo stał w *Czo'hin*, głównej sali modlitewnej klasztoru, który miał teraz stać się jego przystanią na dalsze życie. Sala zajmuje powierzchnię aż czterech tysięcy pięciuset metrów kwadratowych. Jej sufit, wsparty na stu osiemdziesięciu dwóch wielkich kolumnach, jest świadkiem największych ceremonii, w których może brać udział jednocześnie ponad siedem tysięcy

osób. W kaplicy po lewej stronie, widać wyniosłą, piętnastometrową rzeźbę Buddy i jego dwóch uczniów, która góruje nad ołtarzem i całą salą. Obok, znajdują się dwa inne jego przedstawienia - symbolizują przeszłość i teraźniejszość. Na kolumnach wyrzeźbiono postacie pierwszego buddyjskiego króla Tybetu, jego żon i najbliższych współpracowników. W drugiej kaplicy, króluje podobizna Buddy Przyszłości, w trzeciej - odwzorowano osiem typów stup, buddyjskich relikwiarzy, nazywanych w Tybecie *czóten*.

Aywan przyglądał się zabudowaniom z uwagą. Inaczej, niż w Astagacie, najmniej interesowała go kuchnia. Wiedział już, że mnich nie może liczyć ani na różnorodność smaków, ani na obfitość jadła. Jednak te dwie garście pożywienia dziennie, jakie otrzymywał w klasztorze, sprawiały, że czuł się zawsze lekko, a umysł działał sprawnie. Ogromne - podobne do jaskini - pomieszczenie kuchenne, usadowione pośrodku parteru głównego budynku, pełne wielkich mosiężnych kotłów na herbatę i maselnic do przerabiania mleka jaków, nie zrobiło na nim wrażenia. Inaczej było z salami, zwanymi *zhacang*, mieszczącymi tysiące zapisanych zwojów i setki miejsc dla studiujących je mnichów. W klasztorze były dwie wielkie biblioteki, większa - *Loseling Zhacang*, zdolna pomieścić sześć tysięcy osób dla pragnących osiągnąć pierwszy stopień wtajemniczenia i mniejsza - *Agba Zhacang*, do której dopuszczano jedynie mnichów, którzy zdali odpowiednie egzaminy. Ci, którzy wypadli najlepiej, mieli szanse studiować wiedzę tajemną w *Seminarium Tantrycznym* w Lhasie.

W klasztorze Astagat, Aywan przeszedł pierwszy, najniższy stopień wtajemniczenia - *prawradźja*, czyli 'wyjście z domu', wiążący się z przyjęciem dziesięciu ślubów oraz przybraniem imienia zakonnego. Jest

on odprawiany, gdy kandydat rozpoczyna okres nowicjatu. Teraz, czekał go rytuał *upa-sampada* - 'przyjęcie do wspólnoty' i stania się pełnoprawnym mnichem. Wiedział, że zawsze możliwy jest powrót do społeczności świeckiej, ale nie rozważał tego poważnie. To, co rozpoczął w Astagacie i Urdze, wciągało go i interesowało coraz bardziej. Nie przeszkadzała mu ostra dyscyplina klasztornego życia.

W buddyzmie - poza klasztorami - nie istnieje żadna struktura hierarchiczna, nie zbierają się synody ogłaszające prawdy lub potępiające herezje, nie ma głowy kościoła. Jedynym i to bardzo szczególnym wyjątkiem jest Dalajlama, ale jego rola w niczym nie przypomina papieża, czy patriarchy Konstantynopola. Chrześcijaństwo kojarzy się wiernemu bardziej z instytucją Kościoła i jego duchownymi jako członkami korporacji, niż z Wszechmocnym Bogiem. Zbawienie jest tam częściej postrzegane jako efekt pomocy i pośrednictwa kapłana, niż wytrwała praca nad sobą. Wiedza ludzi Orientu, nawet ta zwykła, obiegowa, jest inna. Na Wschodzie, religia to nie instytucja z jej hierarchią i prawem kanonicznym, ale szeroka 'droga', po której należy kroczyć dla osiągnięcia indywidualnego celu wyzwolenia z ziemskich ograniczeń. Przeżywanie religii ma charakter osobisty i to, czy jest się dostatecznie pobożnym, mieści się w ramach własnej oceny. Istnieje tylko jedna bariera dla zwykłych wiernych: powszechne przekonanie, że prawdziwy ideał można zrealizować tylko w stanie zakonnym, a życie w obrębie klasztoru sprzyja samodoskonaleniu.

Zasady życia zakonnego regulują drobiazgowo przepisy. Początki klasztorów sięgają wczesnego buddyzmu, który już w czasach Buddy nabrał cech zakonu żebrzącego, używającego barwnych habitów - żółtych

lub pomarańczowych w Azji Południowo-Wschodniej i na Cejlonie, brunatno-czerwonych w Tybecie, szarych w Chinach i na Półwyspie Koreańskim, czarnych w Japonii. Życie klasztorne jest otwarte dla każdego, bez względu na rasę, płeć czy pochodzenie społeczne. Klasztory, które początkowo dawały schronienie mnichom podczas pory deszczowej i były miejscem odpoczynku w wędrówce, zaczęły z czasem pełnić ważną funkcję ośrodków życia religijnego, filozoficznego i artystycznego. Na ich terenie powstawały uniwersytety.

Wspólnota mnichów, utrzymujących się z jałmużny otrzymywanej od wyznawców, rządzi się własnymi prawami i posiada własną hierarchię. Lokalna wspólnota, w której skład wchodzi mnisi i mniszki oraz wyznawcy świeccy, mężczyźni i kobiety, jest związana niepisaną umową: ludność łoży na utrzymanie miejscowego klasztoru, zaś przebywający w nim mnisi przekazują w zamian naukę Buddy oraz dzielą się swoją wiedzą.

Aywana pociągało to szczególne zespolenie ścisłej klasztornej dyscypliny i absolutnej wolności intelektualnej. Nieobciążony obowiązkami, poza codziennymi modlitwami, wszystkie wolne chwile spędzał w czytelni, wertując coraz to nowe zwoje zapisane równym, kaligraficznym pismem. Odbierał wiedzę, jak coś na kształt pozbawionego burz i cyklonów oceanu, po którym mógł bezpiecznie żeglować, to w tę, to w tamtą stronę i bez ograniczeń zapuszczać się za coraz odleglejsze horyzonty. Obmyślał własne komentarze do czytanych tekstów, spał z nimi i śnił je. To było coś, co powodowało, że przestawał rozumieć ludzi czujących samotność i frustrację. Wyobrażał sobie, że w przestrzeni nauki nic takiego mu nie zagrozi. Z tą wciąż nową wiedzą nigdy nie czuł się

sam. Wszystko było na wyciągnięcie ręki, jeśli tylko poszukujący wykazywał - jak nauczał Oświecony - właściwe podejście.

W Drapungu znalazł spokój. W języku ludzi świeckich określiliby to jako stan człowieka szczęśliwego, ale słowo 'szczęście' nie pasuje do mnicha. Szczęścia ludzi świeckich wyrzekł się z chwilą, gdy przekroczył klasztorny próg. Jedno, co było dlań nie dającym się usunąć zgrzytem - to nieustający smród latryn. Aywan odziedziczył po matce wrażliwy węch, a fekalia ośmiu tysięcy mnichów nie chciały rozkładać się bez zapachu. Klasztorne uliczki, zakręcające licznymi schodkami wzdłuż i wszerz wzgórza, miały na każdym rogu miejsce, służące mieszkańcom okolicznych cel. Mieszanina uryny i fekaliów wytwarzała w ich okolicy smród szczególnie intensywny - dostawy wody na wzgórze były racjonowane. Ograniczona dostępność wody jest źródłem złośliwego twierdzenia, że Tybetańczyk kąpie się tylko dwa razy w życiu: raz, gdy się narodzi i wtedy, gdy się żeni. Przejście uliczką przy takim bezwodnym, ale 'wonnym' miejscu przyprawiało Aywana o mdłości tak głośne, że nie licujące z pozycją mnicha gotowego na wszelkie niedogodności. Wyprawa do latryny była nieodmiennie przygodą, o której nie chciał pamiętać. Cieszyły go małe porcje otrzymywanego pożywienia i możliwie rzadkie odwiedzanie tego miejsca.

Dzień mnicha jest szczegółowo uregulowany. Nie idzie tylko o to, aby ucząc się, przyswajał sobie wiedzę. Ostatecznym celem nie jest mechaniczne gromadzenie wiadomości, lecz wejście w doświadczenie niepewności, poczucia nietrwałości życia i cierpienia ludzkiego bytu. Przed wschodem słońca, na pobudkę grzmią wielkie mosiężne trąby. To znak, że czas dokonać porannej toalety i odmówić modlitwę różańca,

składającego się ze stu ośmiu nanizanych na sznur koralu. Po drugim sygnale, mnisi wkraczają do hali zgromadzeń, gdzie siadają w pozycji lotosu na wyznaczonych miejscach, ściśle według rangi i wieku, na płaskich czerwono-brunatnych poduszkach, ułożonych obok siebie na wąskich ławkach. Przed każdym z nich leży *luadzra* i *ghanta* - męski i żeński symbol duchowej władzy oraz bębenek wykonany ze sklepienia ludzkiej czaszki. To przypomnienie przemijalności życia. Obok, stoją miseczki na herbatę z masłem, podawane między modlitwami, a także naczynie na wodę święconą. Tematy wspólnych modlitw, rodzaj śpiewów i obrządków są uzależnione od tybetańskiego kalendarza i podlegają skomplikowanym obliczeniom, wynikającym z rachunku *tithi* - księżycowej jednostki czasu sakralnego. Drugie spotkanie mnichów, odbywa się około dziewiątej rano i poświęcone jest wszystkim straszliwie wyglądającym bóstwom, używanym przeciwko wrogim demonom, zagrażającym istotom żywym. Przewodnik modłów przystraja się w koronę, składającą się z pięciu części, na której wyrzeźbione są wizerunki pięciu *tatlmgatów* - buddów medytacji. Zakłębom i modłom towarzyszy intonowanie świętych sylab - *mantr* i składanie rąk w zaklinające gesty - *mudry*. W momencie kulminacji zatacza nad głowami zebranych trzykrotne koło *kapala* - czarą z ludzkiej czaszki, wypełnioną czerwonym płynem, symbolizującym krew. Na koniec, nowicjusze nalewają wszystkim do drewnianych misek herbatę z masłem. Po modlitwie południowej, poświęconej bodhisat-twom, przychodzi czas na jedyny stały posiłek, który stanowi *campa* - ciasto z prażonej mąki jęczmiennej, z którego powinno pozostać nieco okruchów dla ptaków. Popołudniowa ofiara ma formę

rytualnego obmycia, symbolizującego oczyszczenie w klimacie, *gdzie* woda jest dobrem rzadkim. Ostatnie zgromadzenie ma miejsce po zapadnięciu nocy. Jeszcze raz podana zostaje herbata z masłem, a mnisi przedstawiają lamom wyższej rangi dokonania naukowe z całego dnia. Po wieczornej modlitwie rozlega się dźwięk gongu, który wzywa do snu. Raz w tygodniu odbywa się wielka uroczystość na cześć wody, która na Dachu Świata ograniczona jest do lodowatych rzek. Deszcz pada tam tylko w porze dżdżystej i to nie we wszystkich rejonach kraju.

Nauki, które Aywan pobierał w Drapungu, czy to w postaci analizy tekstów, czy też w ramach dyskusji z innymi mnichami, były teraz poszerzane o wiedzę tajemną. Nie bez powodu w najbliższym sąsiedztwie klasztoru-uczelni znajdowała się państwowa wyrocznia - Naczung. Jej kapłanów regularnie zapraszano do Drapungu, aby mogli wprowadzić w umysły młodych adeptów nauk elementy wiedzy niedostępnej dla zwykłych ludzi.

- Podlegamy siłom - tłumaczył lama z wyroczni - których nie znamy lub nie znamy większości z nich. Potrafimy na nie wpływać za pomocą rytuałów. My, kapłani świętej wyroczni - wyjaśniał poruszając rytmicznie ogoloną głowę - mamy siłę wiary, wynikającą z przekonania, że światem rządzą uosobione w bóstwach i demonach siły dobra i zła. Wiemy - zrobił ruch podobny do arabskiego gestu przy wypowiedaniu magicznej formuły *abrakadabra* - że można na nie wpływać za pomocą praktyk magicznych. Magia może być dwojaka - ostrzegał - biała, służąca dobru i zła, czarna - zaprzęgnięta do szkodzenia. Ta ostatnia jest zakazana. Nie chcemy - dodał konfidencko - aby wymknęła się z naszych rąk w niegodne ręce świeckich. Ludzie żądni władzy - lama aż wzdrygnął się na tę myśl -

mogliby wywołać katastrofę o globalnym zasięgu.

Zapadła cisza. Grupa chłopców w habitach, otaczających lamę z wyroczni jak wianuszek kurcząt kwokę, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić takiej katastrofy.

- Czy wyrocznia istniała zawsze? - naiwnie pytał jeden z nowicjuszy.
- Państwowa wyrocznia - uśmiechnął się lama - wywodzi się od króla demonów - Pekhara. Miał trzy głowy, sześć ramion i dosiadał białego lwa. Ale tysiąc trzysta lat temu pokonał go - lama zrobił gest wbijania sztyletu w ciało - indyjski kapłan Padmasambhawa i zmusił do przejścia na stronę buddyźmu.
- Jaki to ma związek z wyrocznią? - spytał zaczepnie Ay-wan.
- Padmasambhawa - odparł niechętnie lama - założył klasztor Samja. Pekhar złączył swe ciało z ciałem tamtejszego kapłana. Po ośmiuset latach - ciągnął - Pekhar uciekł z Samja w drewnianej skrzyni wrzuconej do rzeki. Wyłowili go mnisi z Naczungu i zmusili do pozostania. Wcielił się w pierwszego kapłana wyroczni. Odtąd żyje w nim na stałe w postaci kolejnych reinkarnacji.
- Czy demon Pekhar jest tym kapłanem? - Aywan drążył dalej.
- Nie, wcale nie! - Lama wydawał się zirytowany brakiem zrozumienia tak prostych zależności i dziwacznym dla niego racjonalizmem młodego mnicha - Pekhar jest tylko medium, ale jest medium doskonałym!
- Czy wyrocznia nigdy się nie myli? - Aywan był natarczywy. Miał na myśli sugestie wróżbity sprzed kilku lat. Wyrocznia kategorycznie radziła zajęcie przez wojska tybetańskie góry Lung'tur, na samej

granicy z księstwem Sikkim, będącym już wtedy pod kuratelą brytyjską. Wróżbita sugerował, że zajęcie góry, która kryje tajemne moce, ułatwi przepędzenie Anglików z lamaistycznego Sikkimu, położonego po południowej, indyjskiej stronie Himalajów. To wydarzenie spowodowało gwałtowne pogorszenie się stosunków z Anglią, która była odtąd traktowana przez państwo lamów jako niebezpieczny agresor, dążący do zakłócenia odwiecznego porządku panującego na Dachy Świata.

-Wiem, o czym mówisz! - powiedział zgryźliwie lama. -

Rzeczywiście, w dwa lata później Anglicy odbili górę. Ale - dodał z pewnością siebie - gra nie jest skończona i jeszcze ich stamtąd przepędzimy!

Aywan wcale nie był tego pewien. Uzbrojenie tybetańskich wojsk - to łuki, włócznie i miecze. Poza tym używano samopałów domowej roboty. Nie było żadnej nowoczesnej broni.

- Sama Irkucka Szkoła Kadetów, bez pomocy Anglików, pokonałaby taką armię! - pomyślał lekceważąco.

Po otrzymaniu wyższego stopnia naukowego, Aywan uzyskał prawo wstępu do tajnej biblioteki, znajdującej się w pomieszczeniach *Gandan Potrang* - siedziby tybetańskiego rządu. Wtajemniczeni mogli tam zapoznawać się z książkami sprowadzonymi z innych krajów, zakazanymi dla zwykłych mnichów i świeckich. Oprócz dzieł z zakresu geografii, medycyny i książek religijnych, w zbiorach była kompletna *Encyclopaedia Britannica*, trzynastotomowa *Encyclopaedia Americana*, a nawet 52-tomowe dzieło Meyera - *Das Grosse Conversations-Lexikon*.

Przejrzenie zamieszczonych w nich ilustracji wystarczało, aby wyrobić

sobie opinię o potędze wojskowej Europejczyków. Aywan nie mógł swoimi informacjami, uzyskanymi w ramach wiedzy tajemnej, podzielić się z innymi. Kapłan wyroczni wyglądał na człowieka całkowicie pewnego zwycięstwa w starciu z Anglikami i spoglądał na niego z niechęcią.

Poziom wiedzy Aywana irytował kapłana nie bez przyczyny. Normalnie, do egzaminu znaczącego koniec nowicjatu i wejście do szerszego kręgu wtajemniczonych, przystąpić można po ukończeniu dwudziestu lat. Aywan miał ze sobą list polecający od „świętego blasku” - Jetsun Dampy VIII -Bogd-gcgeena Mongolii, najwyższego zwierzchnika tamtejszego buddyzmu. W jego przypadku, za zgodą regenta (Dalajlama XIII był niepełnoletni), odstąpiono od zwyczaju i mając zaledwie szesnaście lat stał się *dge-slongiem*, pełnoprawnym mnichem. Otworzyła się przed nim większość tajemnic skrywanych w DrMpungu, wszystkie urzędy i godności. Rozpoczął się trudny okres studiowania świętych *sutr* i *tantr*, aby na koniec, w wieku siedemnastu lat, uzyskać stopień naukowy *geshe*, a w dwa lata później profesurę - *geshe larampo*. Na to wyróżnienie zasłużył sobie ciężką pracą. Od dziewiątego roku życia, czyli od przekroczenia progów klasztoru Astagat, zadawał sobie trud wnikliwego zgłębiania systemu buddyjskiej metafizyki, epistemologii, logiki i myśli kilku szkół filozoficznych. Codziennie, godzinami analizował i zapamiętywał mnóstwo rzeczy, medytując i ucząc się koncentracji. Wszystko to stanowiło trzon edukacji mnicha. Aby zdać egzamin na najwyższy stopień naukowy przez dziesięć godzin był odpytywany przez, pięćdziesięciu, najwyższe} rangi specjalistów, jego odpowiedzi oceniał zespół surowych sędziów. Wszystko to odbywało się przed publicznością liczącą kilka tysięcy mnichów. W czasie egzaminu,

odbywającego się w okresie uroczystości noworocznych w Lhasie, trzydziestu uczonych mężów sprawdzało jego znajomość logiki, kolejnych piętnastu drażyło zrozumienie buddyjskiej doktryny, innych trzydziestu pięciu musiał przekonać o dostatecznej znajomości metafizyki i innych przedmiotów.

Był uparty i odmienny od innych mnichów jeszcze pod jednym względem - nieustannej dociekliwości. Chociaż klasyczny program kształcenia zapewniał znakomite rozumienie filozoficznych niuansów, to jednak nie dawał wiedzy o otaczającym Tybet świecie. Tradycyjne teksty, tłumaczone ze starożytnych pism indyjskich, liczących sobie bez mała dwa tysiące lat, przyjmowały obraz Wszechświata, w którym Ziemia jest płaska, a Księżyc, tak jak Słońce, ma świecić własnym, a nie odbitym światłem. Spotykał jednak w Lhasie synów lokalnej arystokracji, powracających ze studiów w Dardżiling, w północnych Indiach, znajdujących się pod brytyjską kuratelą i przyjmujących do anglojęzycznych klas lokalną młodzież. Dalajlama, ze względu na restrykcyjny protokół nie miał z nimi styczności, jednak Aywan mógł prowadzić okazjonalne rozmowy. Z ich pomocą szlifował angielszczyznę i korzystał z wiedzy i książek niedostępnych dla zwykłych ludzi. Od przybyszów z klasztorów Buriacji mógł dowiadywać się o imperialnych sukcesach Rosji, podtrzymując przy tym płynną znajomość języka dzieciństwa. Coraz wyraźniej dostrzegał zacofanie Tybetu w stosunku do reszty świata.

2.

Na rok przed długo oczekiwaną intronizacją nowego Dalajlamy, Aywan został niespodziewanie wezwany do siedziby rządu. Nikt ze zwykłych

mnichów nie miał wstępu na piętro, gdzie mieścił się *Gandan Potrang*. Na rozmowę wzywał go sam Demo Hutuktu - najwyższy dostojnik Tybetu - Regent, rządzący w imieniu Dalajlamy, do czasu uzyskania przez niego pełnoletności i przewodniczący *Kashagu* - Rady Ministrów. Gdy wspinał się kręconymi schodkami na ostatnie piętro klasztoru, serce biło mu z podniecenia.

Regent przyjął go w zadziwiająco małym, jak na szefa rządu, gabinecie. Hutuktu wydawał się nieco podobny do Con-g'apy, założyciela szkoły Żółtych Czapek, którego rzeźbione wizerunki znajdują się w każdym lamaistycznym klasztorze. Miał na sobie uroczysty habit bez ozdób, a głowę wieńczyła, jak na wizerunkach Założyciela - złotawego koloru rytualna, spiczasta czapka, zakrywająca uszy. Twarz krasiał spokojny, może nawet naiwny uśmiech. Od Cong'apy różniły go okulary - druciane, małe i okrągłe, spoczywające na krótkim nosie. Biła jednak od niego władczość, wobec której Aywan poczuł się onieśmielony.

Hutuktu wskazał mu miejsce. Aywan usiadł na stojącym przed biurkiem rzeźbionym krześle podobnym do tronu. To zbiło go z tropu. Nigdy dotąd czegoś takiego nie dotykał, potraktowanie zdobnego krzesła jak zwykłego sprzętu, na którym można po prostu usiąść, skrępowało go dodatkowo.

- Czyżby tron dawał poczucie władzy? - pomyślał spłoszony. Regent przyglądał się w milczeniu. Aywan wiedział, że nie należy o nic pytać i spokojnie czekał. Zauważył, że w dosyć ciemnym gabinecie (okno było zadziwiająco małe), główne sprzęty - to drewniane półki z ciemnego drewna wypełnione po brzegi zwojami i książkami. Poczuł się różniej - książki, to jego żywioł.
- Niech Oświecony ma cię w opiece, Iwanie Dordżijew! -powiedział

Regent. Aywan poczuł nagle mrowienie w okolicy żołądka.

- To on wie? - myślał w popłochu.
- Wiemy o tobie wszystko! - roześmiał się Hutuktu - Wiemy o Irkuckiej Szkole Kadetów, sukcesach w strzelaniu, znamy twoje umiejętności i zdolności. Znamy też - spojrzał na niego przenikliwie - twoje zadanie!
- To koniec! - pomyślał Aywan. - Dlaczego człowiek jest urodzonym optymistą i nigdy nie przewidzi najgorszego? Teraz mnie aresztują - myśli biegły coraz szybciej - posiekają na kawałki i rzucają strzępy ciała sępom! - Ale nie czuł strachu. Przeciwnie, był spokojny i opanowany. - Czyżby to efekt nauk, które pobierałem za pośrednictwem Oświeconego i przyjęcia istnienia *dharmy* - odwiecznego prawa Kosmosu, od którego nie ma drogi ucieczki? - poczuł nawet zadowolenie z życiowego egzaminu, jaki - jak sądził - właśnie przechodził.
- Wiemy też - Hutuktu spojrzał na niego z mimowolnym szacunkiem - że jesteś bliźniaczą inkarnacją Świątobliwego Dalajlamy, ale żebyś nie obiecywał sobie za dużo! - regent roześmiał się głośno na myśl o dowcipie, który mu przychodził do głowy - nie jesteś reinkarnacją - żeby tak rzec - 'jedno-jajową'. Inaczej - Hutuktu śmiał się głośno dalej - musiałyby nam panować dwóch Dalajlamów jednocześnie!

Aywan zaniemówił. Od niespełna minuty miał świadomość tego, że święci lamowie wiedzą o nim wszystko, łącznie z tajnym zadaniem wywiadowczym na rzecz Imperium Rosji, ale dlaczego regent się z tego śmieje? I po co wezwano go na tak wysoki szczebel? Przecież wydanie i wykonanie wyroku śmierci, to proste postępowanie nie wymagające udziału szefa rządu. Niecodzienna sytuacja rodziła nadzieję.

-Święta Wyrocznia powiedziała nam o tobie ważne rzeczy już dziesięć lat temu, gdy jeszcze studiowałeś w Urdze pod okiem - regent skłonił głowę z szacunkiem - naszego święto bliwego brata w wierze - Bogd-gegeena Mongolii. Twoje życie

- regent był teraz śmiertelnie poważny - to nasza nadzieja! Chcemy, żebyś był tego świadom i prowadził je z uwagą. Święta Wyrocznia się nie myli - powiedział wznosząc oczy do nieba - ale człowiek może sam zniszczyć wszystko. Człowiek

- Hutuktu zamyślił się chwilę - to wielka tajemnica!

Aywan nie odezwał się słowem. Miał od lat wewnętrzne przekonanie o jakiejś życiowej misji, którą ma do wykonania. Przyjął decyzje władz Imperium Rosji jako, być może, spełnienie tej misji. Teraz, wydawało mu się, że to, o czym informował go regent Hutuktu znacznie przerasta jego wyobraźnię.

-Pamiętasz wizytę świętych łamów w twoim rodzinnym domu w Iwoldze, w Rosji, gdy byłeś jeszcze małym chłopcem?

- zapytał regent.

Tego wydarzenia - Aywan był całkowicie pewien - nie zapomni do końca życia. Kiwnął głową przytakująco.

- Byliśmy wtedy - mówił w zamyśleniu Hutuktu - bliscy ogłoszenia ciebie dwunastą reinkarnacją pierwszego Dalajlamy Tybetu. Stało się inaczej, ale - tak twierdzi Święta Wyrocznia - twoje życie nie jest przypadkowe i jego losy mogą mieć dla Tybetu wielkie znaczenie. Nawet to - dodał - że Car Wszechrosji dał ci u nas tajne zadanie, może mieć jakieś tajemne znaczenie.

- Czy Święta Wyrocznia - zapytał cicho Aywan - ma dla mnie jakieś

rady?

- Kapłan wyroczeni - odpowiedział regent - nie ma mocy wybiegania zbyt daleko w przyszłość. Twierdzi tylko, że przyszłe losy Tybetu - Hutuktu znowu spojrzał na Aywana z zainteresowaniem - po śmierci XIII Dalajlamy są związane z twoim życiem. Sami nie wiemy - zafrasował się wyraźnie - co to oznacza. Nie wiemy, jak długo żył będzie młody Thubten Gyatso, obecnie nam panujący Dalajlama XIII. Musimy być ostrożni! - dodał - Pragniemy żebyś to wszystko wiedział i ważył swoje czyny. Dzisiaj wiemy tyle, że powinieneś być blisko Jego Świątobliwości.

- Co to znaczy? - zapytał lekko podniecony Aywan.

- Mimo młodego wieku - rzekł regent - jesteś wybitnym znawcą świętych tekstów. Będiesz - ale pamiętaj o odpowiedzialności jaka na tobie spoczywa - jego nauczycielem!

Regent zamilkł, skierował wzrok przez okno na górujące nad klasztorem wielkie, poprózione śniegiem masywy górskie otaczające dolinę, w której położona jest Lhasa.

-A potem - powiedział przyciszonym głosem - zobaczymy!

3.

Thubten Gyatso okazał się niewysokim, dziewiętnastoletnim młodzieńcem. Aywan zaskoczyła różnica wzrostu. Był wyższy od młodego Dalajlamy o całe pół głowy. Thubten Gyatso siedział na wysokim krześle rzeźbionym w złocone lwy, wsparty łokciami na blacie wielkiego biurka pełnego różnego rodzaju dziwnych przedmiotów. Aywan stał w

milczeniu, zdziwiony zwyczajnością i prywatnym charakterem pomieszczenia, w którym miał być głównym nauczycielem władcy Tybetu.

- Rzeczywiście! - pomyślał zadziornie - Inkarnacja nie mogła być 'jednojajowa'! - Młody człowiek patrzył na niego z sympatią. Włosy miał krótko ostrzyżone, kruczoczarne, twarz pociągłą, o skórze lekko brunatnej, typowej dla Tybetańczyków. Ale oczy, wąskie, nieco przymrużone, patrzyły z ciepłą przenikliwością.

- Jesteś Aywan czy Ngawang? - zapytał - Chcesz aby nazywać cię imieniem własnym imieniem, czy przybranym?

- Imię nadała mi matka, imię mnisie - Ngawang brzmi trochę sztucznie. Poza tym, Ngawang, znaczy 'pan dobrej mowy' - to zobowiązanie, które trzeba dopiero wypełnić. Nie stawiajmy wozu przed wołem. Wolę być 'Aywan'!

-Do mnie mów 'Thubten'! - młody Dalajlama wstał z za biurka, podszedł do niego energicznym krokiem i wyciągnął rękę tak, jak robią to młodzi ludzie, gdy mówią sobie 'cześć'. Nie było w nim niczego sztucznego ani specjalnie świątobliwego. Awyan miał uczucie jakby spotkał się z kolegą z irkuckiej szkoły.

- Wasza Świątobliwość! Jak mogę do Was się zwracać po imieniu? - był szczerze zaskoczony propozycją.

- Inni nie mogą - roześmiał się Thubten - ale ty możesz! Jesteś moim bratem! I do tego - śmiał się dalej - jedynym bratem i jeszcze bliźniaczym. Wiesz, że nigdy dotąd nic takiego

się nie zdarzyło! Nigdy przedtem - Thubten sprawiał wrażenie

rozbawionego niecodzienną sytuacją - Dalajlama nie miał brata-bliźniaka i kolegi jednocześnie. Ale reinkarnacja - przecież wiesz o tym - nie podlega rygorom ludzi!

- Czuję się zaszczycony! - zachował się grzecznie Aywan -Nie wiem czy potrafię się przemóc.

- No cóż! - uśmiechnął się Thubten - Tylko ty masz do tego prawo. Przecież niewiele brakowało, a byłbyś na moim miejscu!

Aywan nie był pewien, czy chciałby być na miejscu Thub-tena. Reżim, jaki ograniczał Dalajlamę, cała ta oficjalna etykieta i ceremonialność odgradzająca od ludzi, utrudniały poszerzanie wiedzy, prowadzącej do realistycznego spojrzenia na świat. Aywan miał w tym względzie swobodę. Wyznał swoją wątpliwość młodemu Dalajlamie.

- To prawda! - zafrasował się Thubten - Te okoliczności są męczące. Tyle, że - dodał pośpiesznie - nie wybieramy sobie wcielenia. To ono nas wybiera. Dlatego - uśmiechnął się znowu do Aywana - jesteś mi potrzebny. Powiesz mi to, co sam wiesz, a czego ja nie mogę się dowiedzieć.

- Od czego zaczynamy? - Aywan był gotów.

- Od tego, czego jeszcze nie wiem! - Dalajlama znowu się śmiał.- Dotąd uczono mnie świętych tekstów, które musiałem zapamiętywać w całości! - uderzył dłonią w zapisany zwój rozwinięty na biurku - Teraz chcę je zrozumieć! Mów zatem, do czego mogą służyć mnie i mojemu narodowi.

- O! - szczerze zdziwił się Aywan - Interesujesz się nie tylko religią?

- Interesuję się wszystkim! - Dalajlama znowu się śmiał. Aywan nawet

nie zauważył, że atmosfera stała się nieformalna, żeby nie rzecz - niefrasobliwa. Poczł się pełnym energii i optymizmu młodym człowiekiem. Pod wpływem klasztornej dyscypliny takie nastroje zdarzały mu się coraz rzadziej.

Rozmowa miała miejsce w pałacu Potala, w prywatnych apartamentach Dalajlamy. Pokój, którego Thubten używał do pracy był obszerny, ale sprawiał wrażenie przytulnego. Był przy tym pełen dziwnych przedmiotów. Środek okupował blat stołu z ciemnego drewna z rzeźbioną figurką Buddy na środku, ale na biurku i pod ścianami było tłoczno: stał tam mały globus, obok niego leżały żarówki - produkt tutaj nieznany i niezdatny do użytku, w Tybecie nie było ani jednej elektrowni - a pod ścianą coś, co później okazało się być małym generatorem prądu. Pod drugiej stronie pomieszczenia, jak uważnie zaparkowany przez małego woźnicę, stał czerwony wózek z dyszlem, pokraczna lokomotywa z wagonikami i mnóstwo ołowianych żołnierzyków. Aywan pamiętał takie zabawki jeszcze z domu rodzinnego, ale to były przecież zabawki dla dzieci, a Thubten był dorosłym mężczyzną. Nic z tego nie rozumiał. Dalajlama zauważył konsternację Aywana i pośpieszył z wyjaśnieniem.

-Wszystko, co widzisz - powiedział - to prezenty od za granicznych dyplomatów, z czasów, gdy byłem jeszcze mały. Ale prawdę mówiąc - nagle spowaźniał - jeszcze dzisiaj bawię się nimi, kiedy czuję się samotny.

Zapadło milczenie. Aywan już rozumiał, dlaczego nie pragnął dla siebie Lwiego Tronu, chociaż teoretycznie mógł znaleźć się na miejscu Dalajlamy. Sam, na oceanie wiedzy nigdy nie czuł się samotny. Zrobiło

mu się żal Thubtena. W nagłym odruchu współczucia uściskał mu rękę w milczeniu. Popatrzyli na siebie jak dwaj bracia zagubieni na bezkresnej pustyni.

4.

- Wiem wiele - mówił Thubten - o podstawach nauczania Oświeconego. O tym, że przyczyną cierpienia człowieka jest pożądanie i niemożność jego spełnienia. Wyjaśnij mi praktyczną - życiową i społeczną stronę zagadnienia.
- Podstawowe uczucia, jakie leżą w naturze człowieka -Aywan przysiadł na długiej ławie, ciągnącej się wzdłuż rzeźbionego stołu - to złość, pogarda, oburzenie, strach, szczęście, smutek, miłość, przebaczenie, wdzięczność, żal i wstyd. Jest to mieszanina - tłumaczył - dobrych i złych emocji. Pozytywne, te dobre - zmniejszają przestrzeń dla negatywnych i złych. I

odwrotnie, powiększają przestrzeń dla tworzenia się nowych emocji pozytywnych.

- Wyjaśnij mi istotę destrukcyjnych stanów umysłu - poprosił Thubten.
- Stany destrukcyjne - mówił Aywan - to niskie poczucie własnej wartości, nadmierna pewność siebie, zazdrość i zawiść, brak współczucia, niezdolność do bliskości z innymi.
- A konstruktywne? - Dalajlama miał minę ciekawego ucznia. Podbródek spoczywał na dłoniach, łokcie oparł o blat stołu. Spoglądał na Aywana spod zmarszczonego od skupienia czoła.
- To szacunek dla siebie, usprawiedliwione poczucie własnej wartości, zrozumienie dla prawości, umiejętność współczucia,

wspaniałomyślność, dostrzeganie prawdy, dobra i słuszności, wreszcie - miłość i przyjaźń. Mówimy - Aywan dla podkreślenia wagi każdego pojęcia wystukiwał je po blacie stołu rytmem palców - że istnieje osiemdziesiąt cztery tysiące rodzajów emocji negatywnych. Mówimy tak, aby podkreślić nie tylko ich liczbę, ale zdolność do samopowielania.

- Czyli, że emocje negatywne - dopytywał się Thubten - mnożą się jak bakterie i jedne rodzą drugie?

- Otóż to! - pochwalił ucznia Aywan - Chociaż cały ten wachlarz można sprowadzić do pięciu głównych rodzajów: nienawiści, pożądania, zmieszania, pychy i zazdrości. Nie idzie tylko o to - Aywan obawiał się, że wpadnie w rolę gadającego belfra - że one znajdują się w tobie - Spojrzał z uwagą na Dalajlamę, sprawdzając czy nie posunął się za daleko w wątku bardzo osobistym. - Idzie o to - zawahał się w poszukiwaniu właściwej ilustracji - że nie istnieją bez ciebie. Nie istnieją same. To ty je tak traktujesz, ale tak naprawdę sam je tworzysz.

- Czy one - dopytywał się Thubten - opanowują nasze 'ja', czy też po prostu są nim?

- Bardzo dobre pytanie! - Aywan był zadowolony z postępów i poczuł się rozluźniony - Problem w tym, czy owo 'ja' w

ogóle istnieje, czy jest to tylko twoje złudne przywiązanie do 'ego', twój własny wymysł.

- Przecież każdy człowiek - tym razem Thubten nie rozumiał - wie, że ma swoje 'ego', rozmawia z nim i się z nim liczy. Jak można mówić, że go nie ma?

- To może być, raczej - to jest, złudzenie! - Aywan poprawił się na ławie. Nabrał powietrza wiedząc, że musi wyjaśnić to dokładnie - Gdyby twoje 'ja' było stałe, własne i niezmiennie, dzisiaj miałbyś taką samą świadomość, jak wtedy, gdy byłeś niemowlęciem. Nic nie zmieniłoby się także wtedy, gdy będziesz starcem. A przecież wiesz, że tak nie jest - zmieniasz się codziennie.

Młody Dalajlama poczuł się jak mysz zagoniona do nory. Rzeczywiście, człowiek zmienia się codziennie, codziennie dowiaduje się nowych rzeczy i codziennie inaczej reaguje na to samo. A więc to jego 'ja' się zmienia, czy zmienia się jego otoczenie? Co jest stałe, a co się zmienia?

- Czy można uznać - zapytał po chwili - że owo, zmienne 'ja', nie istnieje? To, co z nas właściwie istnieje?
- Jeśliby przyjąć - cierpliwie tłumaczył Aywan - że nasze 'ja' istnieje jako coś stałego, nie miałibyśmy na nie wpływu. Raz urodzone, pozostawałoby niezmiennie, a my bylibyśmy jego niewolnikiem. Czyż nie?
- To prawda, ale czy nie można uznać, że jest ono zarazem stałe jak i zmienne?

-Musielibyśmy wtedy przyznać, że to 'ono' góruje nad 'nami', a nie 'my' nad 'nim'. Skazalibyśmy się na niemożność kierowania nim i prowadzilibyśmy do konstatacji, że jesteśmy niewolnikami czegoś, nad czym nie panujemy, a to coś jest nami.

- No, to mów jak to rozwiązać! - poprosił Thubten.
- Rozwiązanie jest proste - Aywan wstał i wyprostował się na całą wysokość - jeśli uznamy, że wszystkie destrukcyjne emocje wynikają z

przekonania o obiektywnej niezmienności naszego 'ja'. A jeśli przyjąć, że możemy nad nim, znaczy nad tym 'ja - nie-ja', zapanować, a jeśli nie panujemy, to jest to tylko wynik naszej niewiedzy?

- To, czym ono jest?
- Strumieniem, wiązką energetyczną, która jest nami, ale którą możemy również kształtować. Jest to kwestia techniki, a nie wiary, nie religii i nie ideologii. Techniki! - Aywan już rozemocjonowany tematem chodził teraz po całym pomieszczeniu gestykulując dla ilustracji wywodu - Ta wiązka - mówił - jest 'nami', ale również 'my' nad nią panujemy, bo jesteśmy jej częścią, czy inaczej - jej istotą! To jest nasza jaźń, która jednocześnie jaźnią nie jest, bo jest również przedmiotem, który możemy kształtować, jeśli potrafimy. Oświecony nazwał 'to' *anatmanem - niejażnią*, aby przeciwstawić hinduistycznemu przekonaniu o istnieniu *atmana -jaźni*, stałego i niezmiennego 'ja'.
- Uff! - westchnął Thubten i też powstał z krzesła - Teraz rozumiem. Teraz rozumiem! - powtórzył z wyraźną ulgą. -Powiedz więc, jaki ma to związek z naszą niewiedzą!
- Bezpośredni! - Aywan poczuł się jak ryba w wodzie. - Jeśli jesteś przywiązany do swojego pozornego 'ja', to chcesz je żywić. Myślisz, zastanawiasz się nad tym, co 'ono' lubi, chcesz 'mu' pochlebić, pożądasz tego, co sądzisz, że 'ono' pożąda i... jesteś nieszczęśliwy, cierpisz, bo tego nie dostajesz. Nie dostajesz, bo chcesz za dużo, chcesz niejako to swoje 'niby-ja' zarzucić prezentami. To się nie udaje, więc cierpisz!
- A więc po prostu! - wykrzyknął Thubten - Odwrócić się od świata, nie

szukając niczego?

- Przeciwnie! - Aywan wiedział, że docierają powoli do końca rozumowania - Zamiast schlebiać złudzeniom, szukaj prawdziwych wartości, nie wiążących się z pożądaniem. Nie sądź, że miłość, przyjaźń, majątek są rzeczami, które będą trwać wiecznie. Przecież wiesz, że nie będą! Kochaj, przyjaźnij się, żyj dostatnio, ale nie ulegaj złudzeniom, złudzenia wynikają z niewiedzy. Porzuć niewiedzę. To w gruncie rzeczy nietrudne!

Młody Dalajlama przez dłuższą chwilę nie mówił nic. Potem westchnął jakby zepchnął z siebie jakiś ciężar.

- Mam wrażenie, że na pierwszym spotkaniu powiedziałeś mi wszystko, co ważne! - zamilkł i myślał coś przez chwilę -O czym będziemy rozmawiali jutro? - zmartwił się na koniec.
- Nie martw się! - odrzekł Aywan - Tematów jest cały ocean!
- Przecież ocean, to ja! - uśmiechnął się Thubten - W języku mongolskim '*dalaj lama*' oznacza, ni mniej ni więcej tylko -'mądrość wielka jak ocean'!
- A ja jestem twoim 'oceanem bliźniaczym' - odparł Aywan mrużąc porozumiewawczo oczy - a na styku dwóch oceanów horyzont nie istnieje!

Zderzyli dłonie i wybuchnęli głośnym, młodzieńczym i radosnym śmiechem.

Rozdział szósty. POT ALA. WŁADZA

1.

Latem 1895 roku szykowała się w Lhasie wielka uroczystość. Tak

wielka, w" jakiej można uczestniczyć raz na kilkadziesiąt lat. Miasto, wraz z okolicznymi klasztorami, oczekiwało uroczystego ogłoszenia drugich święceń trzynastego Dalajlamy Tybetu - Thubtena Gyatso, syna drwala z Dakpo, z okazji uzyskania zdolności do przejęcia władzy z rąk urzędującego regenta.

Główna ceremonia miała odbyć się we wschodniej części pałacu Potala w *Si Szi P'iinc'ok* - „komnacie wszystkich dobrych uczynków nadziemskiego i ziemskiego świata”. Przedtem, zgodnie z obyczajem, młodego Dalajlamę obniesiono w lektyce wokół małego Parkom - wewnętrznego okręgu pałacowego Lhasy, otaczającego główny rynek z królującą pośrodku świątynią Dzo-k'ang. Tysiące mnichów z kolorowymi chorągiewkami oczekiwało w równych szpalerach wzdłuż trasy konduktu. Śpiewano pieśni powitalne, rozbrzmiewała muzyka. Żołnierze, podwyższeni o futrzane, kolorowe czapy, prężyli się w pozycji 'baczność' i prezentowali broń. Mieszkańcy Lhasy w odświętnych strojach tłoczyli się w dalszych rzędach. Było gwarno, świątecznie i kolorowo. Słysząc było nieustający krzyk: „nadszedł dzień naszego szczęścia!”. Trzynasty Dalajlama był pierwszą od wielu pokoleń inkarnacją Geduna Truppy wskazaną samodzielnie przez państwową wyrocznię, po pełnej, przeprowadzonej suwerennie, procedurze. Cesarski rząd z Pekinu nie przysłał na uroczystość przedstawiciela, uważając ten fakt za naruszenie jego zwierzchności nad Tybetem.

Lektyka dotarła do centrum miasta. Dalajlama w uroczystym stroju, przybrany w głęboką żółtą czapkę, zsunął się z poduszek palankinu i skierował kroki do wnętrza Dzo-k'angu. Tam skłonił się z pokorą przed wizerunkami Dzo-bo i pomodlił przed poświęconymi obrazami. Procesja

ruszyła dalej - do rezydencji Dalajlamów.

W sali *Si Szi P'unc'ok* zebrali się dyplomaci krajów sąsiednich - Nepalu, Bhutanu i Sikkimu, członkowie rządu, najwyższej rangi przeorzy i ich zastępcy z wiodących klasztorów Tybetu: Drapung, Sera i Gandan, a także ich elita naukowa. Dalajlama zbliżył się do Lwiego Tronu, by objąć go symbolicznie w posiadanie. Towarzyszyli mu - regent, mistrz garderobiany, mistrz od ceremonii religijnych, podczasy i symboliczni przedstawiciele dawnych terytoriów Tybetu-

Sengt'i - Lwi Tron, wykonany był z pozłacanego drewna.

Skonstruowano go wedle wzorów opisanych w świętych pismach.

Zamiast nóg siedzisko miało osiem rzeźbionych lwów, po dwa w każdym narożniku. Na nim leżało pięć kwadratowych poduszek, obciążonych brokatem i ułożonych jedna na drugiej - każda innego koloru, tak, że postać intronizowanego Dalajlamy górowała znacznie ponad innymi. Przed tronem ustawiono stół z ciemnego drewna, na którym ułożono urzędowe pieczęcie władcy Tybetu.

Uroczystość rozpoczęła się od odśpiewania specjalnych modlitw przez wybraną grupę mnichów. Asystować mieli później Dalajlamie podczas wszystkich ceremonii religijnych. Wręczyli mu symbole szczęśliwej wróżby, wyśpiewując jednocześnie ich znaczenie.

Do tronu znowu zbliżył się dotychczasowy regent - Demo Hutuktu, przybrany w uroczysty strój. Głowę miał nakrytą spiczastą żółtą czapką zakrywającą uszy, symbolizującą poddanie się władzy Dalajlamy. Przekazał mu *mendel telsum*, trzy symbole władzy - złotą statuetkę Amitajusa - Buddy Wiecznego Żywota, księgi z tekstami o wiecznym życiu oraz mały *cz'óten* - miniaturkę stupy, buddyjskiego relikwiarza.

Złożył życzenia długiego życia i upowszechniania buddyzmu oraz oczekiwanie by jego myśli formułowały to, co myślał sam Oświecony, po czym sam regent, a także Aywan jako duchowy doradca Dalajlamy, wręczyli intronizowaneJnu kolorowe kokardki szczęścia - znany i powszechnie używany symbol powodzenia. Naczelny szambelan, wprowadził symboliczną grupkę wasali Dalajlamy, którzy poczęstowali g0 *dromą* - zieleń o słodkim smaku umieszczonym w małym pucharku ze złota. Dalajlama włożył do ust odrobinę tego symbolu szczęścia i polecił poczęstować nią wszystkich obecnych w kolejności według rangi i pozycji. Następna ceremonia - nalewanie i roznoszenie herbaty, podlegała tym samym zasadom uroczystej kolejności. Na koniec podano słodki ryż.

W czasie tego starego, dokładnie przestrzegane rytuału, dwaj uczeni rozprawiali na temat podstawowych zagadnień bytu. Miało to odzwierciedlać brak sprzeczności między doczesną i świecką władzą Dalajlamy, a głębią buddyjskiej wiedzy i swobodą jej interpretacji. Wreszcie, grupka młodych mnichów przedstawiła muzyczną pantomimę, symbolizującą filozoficzną debatę, ponownie nastąpiła krótka, naukowa rozprawa i znowu częstowano suszonymi i świeżymi owocami oraz wszechobecnymi w Tybecie ciasteczkami *k'abse*. Po tym wszystkim, czterech tancerzy w maskach przedstawiło kolejną pantomimę, przedstawiającą dokonania indyjskiego nauczyciela Padhasambhawy, a dwaj urzędnicy klasztoru recytowali opowieści o wielkiej przeszłości Tybetu. Na koniec mówiono wiersze ku czci nowego Dalajlamy.

Wreszcie, długa procesja urzędników - świeckich i mnichów - złożyła dary od rządu Tybetu: złote koło i białą muszlę - symbole władzy

duchowej i świeckiej, a następnie osiem symboli dobrobytu i szczęścia i siedem symboli królestwa. Na tym oficjalna uroczystość została zakończona. Dalajlamie pozostało tylko przejść do *P'unc'ok-doj-k'jel* - 'komnaty dobrych uczynków zgodnie z życzeniem', gdzie miała odbyć się audiencja prywatna. Otrzymał urzędowe pieczęcie i nastąpił symboliczny akt objęcia władzy - pieczętowanie przygotowanych dokumentów. Wszyscy obecni na sali wierzyli już, że mają przed sobą szczęśliwą i bezpieczną przyszłość.

2.

Od czasu intronizacji Dalajlamy, jego rozmowy z Aywa-nem zmieniły treść. Przed tym wydarzeniem, spotkania były pełne wymiany poglądów filozoficznych - o istocie bytu i człowieczeństwa. Odkąd Thubten Gyatso stał się odpowiedzialny za losy państwa coraz częściej interesowały go kwestie polityczne.

Tymczasem, sytuacja wokół Tybetu robiła się skomplikowana, podobnie jak nieokreślone stawały się jego granice. Tybetańczycy uważali, że Tybet kończy się tam, gdzie kończy się lamaizm. A lamaizm był wszędzie tam, gdzie z dolin wyrastały wysokie góry, a ludzie borykali się z dziką przyrodą i surowym klimatem. Buddyzm w tybetańskiej odmianie, panował w Ladhaku, na pograniczu z indyjskim Kaszmiem, w księstwie Sikkim i królestwie Bhutanu, położonych na południowych zboczach Himalajów, dokąd sięgały wpływy brytyjskiego rządu Indii. Tybetańczycy mieszkali też na terenach dawno anektowanych przez Chiny - w prowincjach: Qinghai na północy i wzdłuż wschodnich stoków Dachy Świata - w Syczuanie i Junanie. Ich etnicznymi kuzynami są Birmańczy-

cy, ale ci przyjęli buddyzm w odmianie południowej, zwanej *therawada* - 'nauka starszych', gdzie ze względu na tropikalny klimat, życie klasztorne nie odgrywa tak ważnej roli, jak ma to miejsce w Tybecie.

Od XVIII wieku Tybet, niegdyś groźne państwo wojowniczych górali, był częścią chińskiego systemu hołdowniczego. Zależność ta miała jednak dosyć luźny charakter. W 1716 roku Chanat Dżungarski, pozostałość niegdyśszego imperium mongolskiego, sprowokował nieprzemyślaną próbą aneksji Tybetu interwencją chińską, po czym Tybet znalazł się - z zachowaniem pełnej autonomii - w ramach systemu hołdowniczego Państwa Środka. W Lhasie rezydował stale przedstawiciel Pekinu, ale dysponował tylko nieliczną strażą przyboczną. Wojsko i decyzje wykonawcze były w rękach lokalnego rządu. Cały wpływ Chin na politykę Tybetu ograniczał się do nacisków i manipulacji, sprowadzających się do gmatwania procesu poszukiwania inkarnacji zmarłych dalajlamów, tak by osadzić na Lwim Tronie ludzi sobie powolnych. Niektórzy dopatrują się chińskiej ręki w ich tajemniczych i nagłych zgonach, zwykle przed uzyskaniem pełnoletniości i formalnej intronizacji. Dlatego Thubten Gyatso - XIII Dalajlama Tybetu był teraz poddany szczególnej ochronie i opiece *sanghi*.

Zgodnie ze zwyczajem sięgającym czasów mongolskich, Dalajlama otrzymał tytuł najwyższego chińskiego urzędnika i z mandatu cesarza - Syna Niebios, sprawował władzę nad Tybetem. Chiński rząd utrzymywał w Pekinie świątynię i klasztor lamaistyczny, mieszczący się w Dongcheng najstarszej i najważniejszej dzielnicy, zwanej Dzielnicą Tatarską - tuż za murem Zakazanego Miasta. W przystani nad Wielkim Kanałem czekał na Dalajlamę jego osobisty,

zawsze gotowy do podróży, wyposażony po królewsku, imponującej wielkości statek. Na wszelki wypadek dodano mu w Lhasie stałego rezydenta, odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne. Jednakże w końcu XIX wieku system chińskiej władzy, znajdujący się w rękach mandzurskiej dynastii Qing, był już w stanie daleko posuniętego rozkładu. Formalnie cesarzem był młodociany Guangxu, rzeczywistą władzę dzierżyła Cixi - wdowa po zmarłym cesarzu Xianfengu. Cesarzowa nie miała - oprócz umiejętności rozgrywania dworskich intryg - żadnych talentów, tak, że nawa państwowa kołatała się bezwładnie we wszystkie strony w zależności od wyników politycznych walk wśród pałacowej kamaryli.

Po nieudanej próbie zajęcia przez Tybetańczyków góry Lung'tur, stosunki na granicy z brytyjskimi Indiami regulowała konwencja z 1890 roku, na mocy której linia rozgraniczająca biegła szczytami Himalajów, pozostawiając lamaistyczne -Sikkim, Bhutan i Ladakh po południowej, indyjskiej, stronie. Słabnięcie centralnego rządu chińskiego wzmagало interwencyjne apetyty mocarstw europejskich. Rosja opanowała północną część Mandżurii, Brytyjczycy penetrowali Chiny wzdłuż rozległego dorzecza Jangcy. W pobliżu jej ujścia znajdowała się kolejna 'perła Korony' - Szanghaj. Francuzi podbili Annam na południu kraju, późniejszy Wietnam. Po przegranej w 1895 roku wojnie z Japonią, Chiny zostały zmuszone do opuszczenia Korei i półwyspu Kaifeng. Oddały też Japonii Tajwan, nazwany teraz Formozą, znajdujący się pod chińską kontrolą od z górą dwustu lat. Prawdę mówiąc, Chiny - naj-ludniejsze państwo świata, stawały się 'chorym człowiekiem Azji'.

3.

Wydarzenie, które miało miejsce wiosną 1897 roku zmieniło w życiu Aywana wszystko.

- Mam informacje - przywitał go pewnego dnia Thubten Gyatso - że Brytyjczycy zamierzają wymusić na nas otwarcie na wolny handel i swobodne podróże ludzi przez granice. Chcą nawet otworzyć dla cudzoziemców samą Lhasę.
- Przecież lubisz te angielskie zabawki, które trzymasz pod ścianą! - zaśmiał się Aywan - W czym przeszkadza ci wolny handel?
- On nie mnie przeszkadza! - odrzekł Thubten. Wcale nie było mu do śmiechu. - Przeszkadza Tybetowi i jego wewnętrznej równowadze!
- Równowagę możemy utrzymać także i z wolnym handlem! - Aywan upierał się przy swoim nie bez przyczyny. Urodzony w Rosji, na samej granicy z chińską Mongolią, był świadkiem niekończących się karawan wiozących towary we wszystkie strony Azji. Nie zauważył, żeby handel szkodził buddyjskim klasztorom, czy to w Mongolii, czy w samej Bu-riacji.
- Jesteś doskonały na polu filozofii - Thubten był kąśliwy -ale sprawując władzę nad ludźmi trzeba wyjść poza nią i zderzyć się z ich realnym życiem, w którym nie mają czasu na zadawanie egzystencjalnych pytań.
- Co masz na myśli? - Aywan, urażony uwagą, przyjął oficjalną tonację. Rozmowa odbywała się nie w prywatnym gabinecie Dalajjamy, ale w części oficjalnej, gdzie przyjmowani byli wysocy urzędnicy państwowi.
- Tybet, mój drogi - teraz Thubten przyjął rolę nauczyciela i sam przechadzał się wzdłuż ogromnego, bogato rzeźbionego stołu z

tekowego drewna, przy którym sadzano gości - to unikalny system, oparty na równie nietypowej, jak nazywają to w Europie, 'umowie społecznej'. Poczekajmy na osobę bardziej doświadczoną, a zobaczysz, że w tej materii wiele możemy się nauczyć.

Za chwilę anonsowano przybycie Demo Hutuktu - dotychczasowego regenta państwa. Wszedł do pomieszczenia i pochylił się w pokłonie przed młodym Dalajlamą. Teraz, kiedy pełnię władzy przejął Dalajlama, Hutuktu był już tylko przeorem klasztoru Drapung. Nie posiadał formalnie żadnej władzy politycznej. Pozostał mu jedynie honorowy tytuł.

- Wasza Świątobliwość! - Hutuktu zgodnie z surową etykietą nie podnosił oczu - Przychodzę na wezwanie i jestem do Waszych usług.
- Darujmy sobie etykietę! - powiedział surowo Thubten - Doceniam to, że jej przestrzegasz, ale mamy do rozważenia zbyt ważne problemy, aby dać się usztywnić ceremoniałem. Etykietę - dodał - pozostaw na czas wystąpień publicznych.

Hutuktu podniósł się z kolan.

- Jak mogę być użyteczny? - zapytał.

- Potrzebujemy twojej wiedzy! - uciął Thubten - Wiedzy politycznej! Sytuacja jest poważna. Mamy informacje o tym - Thubten powtórzył to, od czego zaczął rozmowę z Aywanem - że Brytyjczycy zamierzają wymusić na nas otwarcie się na wolny handel i swobodne podróże ludzi przez granice. Nie utrzymamy zamknięcia Lhasy dla cudzoziemców.
- To prawda! - odparł Hutuktu - Nasi ludzie od dawna donoszą o tych zamiarach. To również powód - dodał - dla którego Brytyjczycy nie

mogli znieść zajęcia przez nas świętej góry Lung'tur!

- Co w tej sprawie robiliście? - pytał surowo Dalajlama -Co proponujecie robić dzisiaj?
- Sytuacja, Wasza Świątobliwość, jest trudna! - Hutuktu mówił powoli, ale widać było, że nie zamierza niczego ukrywać - Władza Waszej Świątobliwości wynika z zaakceptowanej przez lud tysiącletniej tradycji. Tradycja oznacza brak zmian. Tymczasem otwarcie kraju prowadzi do zmian i to zmian poza kontrolą władz.

Hutuktu zastanawiał się jak najlepiej wytłumaczyć młodym ludziom, z natury swej młodości porywczym i pragnącym szybkich przemian, że sprawa jest bardzo skomplikowana.

- Jeśli Wasza Świątobliwość otworzy kraj na zmiany - mówił, jakby przeliczał każde słowo - zarówno wasza władza, jak i stabilność systemu, ulegną erozji.
- To władza Dalajlamy nie wynika ze świętych ksiąg i przepowiedni wyroczni? - Aywan był zdziwiony stanowiskiem regenta. - Przecież jego władza nad ludźmi jest absolutna! Gdzie tu widzicie miejsce dla jakiejś umowy?
- Żadna władza nie jest absolutna! - widać było, że Hutuk-tu ma te kwestie doskonale przemyślane. - Władza - regent złożył dłonie nad stołem w modlitewnym geście i mówił z namaszczeniem - jest równie iluzoryczna, jak nasze 'ja', o którym tyle mówimy w naszej filozofii. Żeby sprawować władzę długo i szczęśliwie - ciągnął - trzeba w porę przewidzieć, czego tak naprawdę chcą poddani.
- Mówicie jak sam Konfucjusz! - teraz Aywan był kąśliwy.

- Konfucjusz wiedział, co mówi! - odciął się Hutuktu. -Chiny nie przetrwałyby jako najpotężniejsze niegdyś państwo świata, gdyby nie rządziła nimi niepisana zasada poszukiwania 'umowy społecznej'.
- Czyli, że sami ludzie nie wiedzą, czego chcą - drażył Aywan - ale władcy muszą to wiedzieć?
- Twoja bystrość jest imponująca! - Hutuktu wiedział o zdolnościach analitycznych Aywana - Tak właśnie jest! Tyle, że w różnych częściach świata władcy muszą wiedzieć coś innego, bo ich poddani czego innego od nich oczekują. - W Europie podobno chcą udziału w rządach i nazywają to demokracją, ale w Rosji, z której pochodzisz - Hutuktu pukał teraz znacząco palcami w blat stołu - jest chyba odwrotnie? Tam ludzie podobno nie chcą władzy, bo uważają się jej niegodni.

Aywan poczuł się w defensywie. Rzeczywiście, mieszkańcy Rosji mieli stosunek do władzy inny, niż Europejczycy. Nie to, żeby się jej brzydzili, czy nie chcieli brać w niej udziału z jakichś emocjonalnych czy racjonalnych względów, ale - po prostu - czuli się jej niegodni. Ileż to razy słyszał powiedzenie: „co my możemy, raby Boże?”. Ludzie w Rosji uważają, że sami nie potrafią dokonać niczego sensownego i że ich samodzielna aktywność nie ma najmniejszego znaczenia. Należy żyć, żeby przeżyć, ale forma tego życia jest obojętna. Działanie, to rzecz władzy, a władza - to rzecz carska!

- Niektórzy powiadają - zamyślił się Aywan - że rosyjscy żołnierze są nieprzytomnie odważni, bo mają pogardę dla życia, a nie dla śmierci!
- Tymczasem przeor klasztoru Sera mawia - powiedział równie filozoficznie Thubten - że to właśnie w umieraniu ukazuje się stosunek człowieka do życia!

- Mówiliście - Aywan zwrócił się znowu do Hutukru - że władzę obowiązuje jakaś umowa społeczna. Jaka to umowa?
- To umowa niepisana, jak każda relacja między władzą a ludem. Lud chce żyć, a władza musi mu na to pozwolić. Wtedy system jest stabilny i wolny od myśli o buncie.
- A więc? - dopytywał się Aywan - Rozumiem, że umowa dotyczy ludzi ambitnych, tych którzy mogą na systemie najwięcej skorzystać i którzy mogą zorganizować bunt?
- To pozory! - odparł Hutuktu - Ci najaktywniejsi i tak są wystarczająco sprawni, aby zapewnić sobie życie na odpowiednim poziomie. Dla władzy najważniejsi są ci, którzy niczego nie chcą i niczego nie oczekują. Oni są podporą systemu, bo nie chcą uczestniczyć w wyścigu o lepsze życie. Oni po prostu nie chcą zmian! Pragną, żeby było tak samo jak dotąd i ani grama lepiej, bo 'lepiej' oznacza ruch, zmianę. Tymczasem zmiana jest nieobliczalna, nie wiadomo, do czego prowadzi. Myśl o zmianie, nawet na lepsze, budzi niepokój. Zresztą, oni nie wierzą w zmiany na lepsze. Zmiana kojarzy się z pogorszeniem własnej sytuacji i polepszeniem pozycji innych. I tego właśnie nie chcą.

Thubten usiadł na krześle rzeźbionym w lwy, zamyślił się przez dłuższą chwilę wpatrzony w małą rzeźbę Awalokite-śwary, stojącą na środku stołu. Himalajska sosna nie jest tak jasna jak europejska, ale niewielka rzeźba, odcinała się od tła ciemnego blatu stołu i robiła wrażenie jakby emanowało z niej jakieś nieuchwytnie, blade światło.

- Czy zastanawiałeś się, na czym polega fenomen Tybetu? -zapytał po

chwili uważnie wypatrując śladów dłuta w drewnie postaci Buddy -
Przecież u nas nie ma żadnych zmian od czasów Cong-k'a-py, czyli od
bez mała czterystu lat. I popatrz - Dalajlama wskazał ręką majaczące
za oknem góry - ludzie nadal nie chcą zmian!

- A postęp? - Aywan pamiętał to pojęcie z Rosji. Powszechnie stosowali
je inteligenci z bliskiej Irkuckowi Czyty. -Postęp przynosi rozwój
techniki - elektryczność, kolej żelazną, pojazdy mechaniczne i wreszcie
- dobrobyt! Widziałem - Aywan był zdecydowany bronić swojego
poglądu - w zagranicznych książkach obrazy z życia Europejczyków.
Przy nich jesteśmy strasznie zacofani! Jak oni tego dokonali? Przecież
nie przez zastój!
- Przez nieporozumienie! - włączył się nagle Hutuktu - I przez
roztargnienie!
- Nie rozumiem! - Aywan nie ukrywał zdziwienia - Przez przypadek?
- Ludzie godzą się na niektóre rzeczy, jeśli przedstawi się je w
korzystnym świetle - kończył myśl Hutuktu - nie zdając sprawy z tego,
że to tylko dźwignia do władzy dla niektórych. Gdyby zwykli ludzie
wiedzieli, o co naprawdę chodzi, nigdy nie daliby na zmiany
przyzwolenia. Większość nie ma zamiaru brać udziału w tak zwanym
postępie. I nie można ich do tego zmuszać! Leniwi mają prawo do
lenistwa, tak jak mało ambitni mają prawo do braku ambicji, a
minimaliści prawo do zatrzymania się na poziomie minimum. U nas
widać to najwyraźniej!
- Czy potrafisz odpowiedzieć - Hutuktu zwrócił się teraz do Aywana -
dlaczego jedna trzecia naszego społeczeństwa -to mnisi? Jak by

powiedzieli Europejczycy - zauważył kąśliwie - żyją, nie pracują, a jedzą. Słowem - pasożyty!

Aywan nie potrafił skomentować pytania. Powróciło mu wspomnienie mongolskiego Karakorum, gdzie w sześćdziesięciu siedmiu zespołach klasztornych mieszkali tylko mnisi i było ich aż sto tysięcy!

- Mnisi - powiedział tym razem cicho Hutuktu - to najaktywniejsi z nieaktywnych. Reszta została w domu, pogania w polu jaki, orze, sieje, marznie na wietrze i dostarcza masło i mąkę do klasztorów.
- Toż to jawny cynizm! - oburzył się Aywan.
- To nie cynizm! - były regent uderzył dłonią w blat stołu -To realizm! - Zważ, że surowe warunki panujące w naszym kraju uniemożliwiają wyżywienie większej liczby ludzi. Dzięki naszemu systemowi osiągnięta kiedyś granica zaludnienia -około sześciu milionów mieszkańców - utrzymuje się od kilkuset lat!
- Chcecie powiedzieć - zainteresował się Thubten - że głównym zadaniem mnichów jest nie mieć dzieci i mniej jeść niż ci, którzy pozostali w domu? I gdyby było inaczej - jego pytanie wyrażało zaciekawienie - wybuchłby w kraju głód?
- Głód i rewolta, Wasza Świątobliwość! Na to wskazuje każdy rachunek! - Hutuktu powrócił do oficjalnej tonacji jakby w obawie, że posunął się za daleko w swoich wypowiedziach.

Aywan zamilkł. Nic nie mówił również Dalajlama. Obydwaj myśleli o logice wywodu regenta i obydwaj nie mogli znaleźć na nim rysy. Cała historia Tybetu potwierdzała jego tezy. Tutaj, w wysokich górach, życie

było surowe, pożywienie wydzierane przyrodzie z nadzwyczajnym trudem, ale ludzie żyli we wzajemnym szacunku. Rolnicy o poranych zimnym wiatrem twarzach, byli przez klasztory eksploatowani, ale i szanowani. Nie zostali mnichami. Pozostali na wsi czy w namiotach nomadów, ale synów i córki mieli w okolicznych klasztorach i - w gruncie rzeczy - zaopatrywali i utrzymywali w nich własne potomstwo, które inaczej musiałyby szukać chleba gdzieś precz! - na obczyźnie! A tu uczyło się, doskonaliło i poszukiwało przyszłości bodhisattwów w świętości i dążeniu do nirwany! Cieszyło się powszechnym ludzkim szacunkiem. Czy los dzieci rodziców, którzy nigdy nie pragnęli stanąć do 'wyścigu o życie' może być lepszy?

- Cały świat jest pod jednym względem jednorodny! - Hu-tuktu postanowił wyjaśnić młodemu całą tajemnicę. - Jest zbudowany dwubiegunowo, dychotomicznie, jak mawiają uczeni. Istnieją dwie, wzajemnie się uzupełniające klasy ludzi: rządzący, dysponujący bronią, w której kryje się bezpośrednio źródło ich władzy i - ci, wykonujący ich polecenia i dysponują jedynie narzędziami pracy na roli. Rolnicy produkują, rządzący dzielą to, co wytworzono, pozostawiając sobie przy okazji część jako należny władzy łup. I w ten sposób - ciągnął z namaszczeniem Hutuktu - trwa ludzkość! Inaczej ludzie pozostałoby tępymi egoistami, żywili tylko siebie, a nie innych i nie różniliby się od zwierząt.
- To jak wyjaśnić fenomen Brytyjczyków? - pytał Aywan -Czy szerzej - Europejczyków? Tam, oprócz rolników produkujących żywność, są przecież miliony ludzi mieszkających w miastach i produkujących stal, maszyny i pojazdy!

- Europa - odpowiedział Hutuktu - to niewyjaśniony wybryk natury!
Właściwie - zawiesił filozoficznie głos - ten fenomen nie powinien się w ogóle zdarzyć! Europa - emocjonował się były regent - to odmieniec, zakłócający porządek świata!

- Ale ten wybryk natury - jak go nazywacie - zagraża nam w postaci Brytyjczyków czy Rosjan!

- Rosjan? - zdziwił się Hutuktu. - A skąd ci przyszło do głowy, że Rosjanie są Europejczykami?

- Produkują przecież - bronił się Aywan - stal, maszyny i pojazdy!

- Oni nie produkują! Oni tylko małpują tę produkcję! Chińczycy też próbują tej drogi. Ale małpowanie prawdziwych zjawisk nie przekształci ich w realne. U Rosjan, Chińczyków, Hindusów i Egipcjan - wszędzie na świecie występuje taka sama podwójność, dzieląca ludzi na rządzących i rządzonych. Tylko my - Hutuktu był wyraźnie dumny z osiągnięć - w Tybecie, robimy to sprawiedliwie i nasza mnisia społeczność, czyli - jak by nie było - trzydzieści procent całego narodu, ma udział we władzy, w bogactwie kraju i jest rządzona sprawiedliwie. Przecież poszukiwanie reinkarnacji nie dotyczy tylko

dalajlamy czy panczenlamy! Tym samym sposobem znajduje się władze wszystkich klasztorów! - Hutuktu był absolutnie pewien swoich racji - Wyszukujemy nie tylko klasztornego przeora - *rimpocze*, ale i jego współpracowników. Nie ma u nas barier społecznych. Sam wiesz - uniósł się regent - że Dalajlamą może być każdy, nawet syn skazańca!

- A Europa? - Aywan próbował wskazać na odmienność tej części świata.

- Europa, to zupełnie niezrozumiały przypadek i trzeba go trzymać jak najdalej od nas! Wiemy, nawiasem mówiąc, że jesteś Europą zafascynowany - Hutuktu wyglądał na zaniepokojonego - To niebezpieczna fascynacja! Czy twoja matka -zwrócił nagle twarz do Aywana - nie była Finką?
- Pochodziła z północnych Buriatów - odrzekł niepewnie Aywan - żyjących daleko na północ od Bajkału. To odgałęzienie plemienia - Aywan dobrze pamiętał rodzinne opowiadania - graniczyło z terenami fińskich myśliwych z Uralu.
- To wiele wyjaśnia! - Hutuktu nie starał się być złośliwy -Wiele cech dziedziczymy po przodkach. A że nie zawsze wiemy, jacy to są przodkowie - jeszcze raz popatrzył uważnie na Aywana - to też i niewiele wiemy o sobie samych.

Znowu zapadła cisza i przeciągała się jakby nikt z trójki mężczyzn nie chciał jej przerwać pierwszy. Wreszcie przerwał ją Dalajlama.

- Musimy zrobić wszystko, aby utrzymać system! - powiedział z ociąganiem. Młodym ludziom ciężko jest porzucić nadzieję na szybkie zmiany.
- Kiedy przyjdzie zmiana - rzekł spokojnie Hutuktu -przyjdzie ona z zewnątrz. I przyjdzie razem z katastrofą dla naszego systemu i narodu! Chwilę nie mówił nic. Zastanawiał się czy już czas na odkrycie pełnej tajemnicy i doszedł do wniosku, że czas nadszedł.

-Wasza Świątobliwość! - wyznał wreszcie - Istnieje prze powiednia Państwowej Wyroczni, mówiąca, że będziesz ostatnim, panującym nam tu do końca, Dalajlamą. Twój na-

stępa - Hutuktu miał głos spokojny, nawet nie było czuć w nim smutku - nie będzie miał tego szczęścia i pójdzie na wygnanie w obce kraje.

-I to będzie koniec Tybetu? - Aywanowi chciało się płakać.

-Niezupełnie! - Hutuktu nie był smutny - Wyrocznia twierdzi, że właśnie wtedy buddyzm pójdzie w świat. Nie to, że świat - zrobił ręką gest zaproszenia - przyjdzie do nas, ale Tybet pójdzie zdobywać dusze ludzi na całym ziemskim globie! A potem, po kilku pokoleniach, nastąpi wielki, triumfalny powrót. I wtedy będzie czas na wielkie zmiany!

4.

Tydzień później, Dalajlama wezwał do siebie ponownie byłego regenta. Nie był już tryskającym nieco dziecinną radością młodzieńcem, ale poważnym, dojrzałym i wyważonym mężem stanu. Ten tydzień bardzo go zmienił.

- Przemyślałem całą sytuację! - zaczął bez zbędnych ceregieli. - W tej chwili największym zagrożeniem są Anglicy. Myślę, że nie pragną zdobycia Tybetu, chcą natomiast jego otwarcia i ustanowienia warunków dla - jak oni to nazywają -wolnego handlu.
- Nie oparły się im Chiny - zauważył Hutuktu - otworzyły się na handel z Europą, wydzierzawiły porty - były regent traktował to jako dowód słuszności swoich poprzednich wywodów - i są na krawędzi katastrofy! O wielkim Państwie Środka nie mówi się dzisiaj w świecie inaczej, jak o 'chorym człowieku Azji'!
- Ale to oznacza, że nie możemy liczyć na Chińczyków w obronie przeciw Anglikom?

- Nie możemy! - zgodził się regent - Dwór mandzurski stosuje taktykę cofania się w nadziei, że ocali go cud!
- Na Francuzów też nie możemy liczyć, są za daleko -gdzieś na południu - w Tonkinie i Junanie - głośno myślał Dalajlama - nie narażą się zresztą Anglikom w naszej sprawie. To, co pozostaje? - spytał retorycznie.
- Rosja! - powiedział po chwili wahania Hutuktu. - Jest potężna i daleka. Zgodzi się na zwierzchność bez wtrącania się w sprawy wewnętrzne i zaryzykuje konflikt z Anglikami. Jest już z nimi w sporze o Pamir i Afganistan.
- Wyślemy do cara w Petersburgu specjalnego wysłannika!
- podsumował Dalajlama - Dam mu pełnomocnictwo do negocjowania w imieniu rządu. To długa i niebezpieczna wyprawa. To musi być ktoś, kto nie zawiedzie naszego zaufania.
- Wasza Świątobliwość wie przecież - uśmiechnął się Hutuktu - że jest tylko jedna taka osoba.

Dalajlama nie poruszył się, oczekując, że regent wypowie nazwisko.

- Tak! - Hutuktu spełnił oczekiwanie - To mnich Ngawang, *geshe larampo* klasztoru Drapung, twój Panie, przyjaciel i najbliższy doradca!
- Wiem, że pochodzi z Rosji - głośno myślał Dalajlama - i na drogę oświecenia wszedł w wieku dziewięciu lat. Możemy mu w pełni zaufać? - Wzrok Dalajlamy spoczął na Hutuktu w oczekiwaniu odpowiedzi.
- To nie tylko kwestia zaufania, Wasza Świątobliwość! -tym razem

regent był mniej jednoznaczny - Człowiek podlega zmianom i wpływowi wydarzeń, a polityką rządzi zasada ograniczonego zaufania. Mnich Ngawang ma za sobą - mówił z przekonaniem - głębokie studia nad naukami Oświeconego. To zwykle zmienia ludzi nieodwracalnie. Ta wiedza zostaje człowiekowi na całe życie.

- A więc uważasz jego wiarę za tak głęboką - dopytywał się Dalajlama - że możemy powierzyć mu misję, od której mogą zależeć losy Tybetu?

- Iwan Dordżijew, Wasza Świątobliwość - regent znowu zdecydował, że czas nadszedł - jest wpisany w przepowiednie naszej Wyroczni!

- Dordżijew! - zdumiał się Dalajlama - Któż to taki?

- To rosyjska wersja buriackiego nazwiska 'Aywan Dordże'

- Hutuktu postanowił wprowadzić Dalajlamę w całą posiadaną wiedzę. - Pod takim nazwiskiem mnich Ngawang rozpoczął szkolenie w Irkuckiej Szkole Kadetów, specjalizującej się w szpiegowskiej penetracji Wschodu. Nasi ludzie donieśli, że ze względu na szczególne uzdolnienia o jego karierze w Tybecie regularnie informowany jest sam cesarz Rosji.

- Przez kogo? - zdumiał się Dalajlama.

- Wasza Świątobliwość! - Hutuktu zdawał się być rozbawiony naiwnością młodego Dalajlamy - W okolicznych klasztorach uczy się kilkuset buriackich mnichów - jak by nie było - poddanych cesarza Rosji! Oni między sobą mówią po rosyjsku! Ale tak naprawdę - dodał z uśmiechem - grają na dwie strony i my też wiele od nich wiemy. Ostatecznie - zauważył - kto dostąpił wiedzy z krynicy Oświeconego, ten jest już obywatelem naszego świata!

- Czy zatem możemy ufać Aywanowi? - dopytywał się Dalajlama.
- Bez zastrzeżeń! - powiedział regent - On urodził się dla buddyzmu i - jak twierdzi Wyrocznia - dla buddyzmu odda życie! Ale jego życie pozostawi nam coś, co ma kiedyś uratować Tybet, a może i cały świat, przed zagładą.
- Co to takiego? - ciekawość Dalajlamy narastała.
- Tego właśnie nie wiemy, ale - regent nie wiedział jak wyrazić niejasne przekazy kapłana Wyroczni - ma to być coś, związanego z kobietą!
- Może dziecko? - wyrwało się Dalajlamie i sam się roześmiał z własnego pytania jak z dobrego dowcipu.
- Może! - odpowiedział Hutuktu bez śladu uśmiechu na twarzy.

Wiosną 1897 roku rząd tybetański ogłosił zamiar Dalajlamy mianowania osobistego sekretarza do spraw zagranicznych. Dalajlama nie zmienił decyzji, nawet po ostrych protestach rządu chińskiego, który uważał, że taka nominacja oznacza złamanie zasady bezpośredniego nadzorowania spraw zagranicznych Tybetu przez cesarskiego rezydenta w Lhasie. Dwór w Pekinie ostrzegał, że potraktuje to posunięcie jako naruszenie uzgodnień. Niedługo potem poznano imię nowego ministra spraw zagranicznych. Został nim mnich, *geshe larampo* klasztoru Drapung, znany tam pod klasztornym imieniem Ngawang.

Rozdział siódmy. OPCJA ROSYJSKA. SANKT PETERSBURG 1898-1901

1.

Aywan ścisnął połączony posążek Buddy jak świeżo odnaleziony skarb.

Otrzymał go wraz z oficjalnym powołaniem na stanowisko sekretarza Dalajlamy do spraw zagranicznych. Był tym wydarzeniem tak zaskoczony, że nie zwrócił uwagi na to, że nie wskazano mu ani osobnego pomieszczenia do pracy w *Gandan Potrang* - siedzibie rządu, ani też nie przedstawiono współpracowników. Miał powody do zaskoczenia. Nie zdarza się, aby do władzy wyznaczeni byli profesorowie filozofii i do tego w tak młodym wieku. Nie zdołał jeszcze zastanowić się nad swoją nową sytuacją. Był tym wszystkim bardziej stropiony niż zatroskany.

- Czuję się zaszczycony nominacją Waszej Świątobliwości! - Aywan używał protokolarnych sformułowań, bo i moment miał ceremonialny charakter. W obecności innych ministrów, z wysokości Lwiego Tronu Dalajlama, uroczyście ogłaszał jego nominację na sekretarza i nieformalnego członka rządu.
- Obowiązkiem każdego jest służyć sprawie Tybetu nawet za cenę zdrowia i życia! - Dalajlama wypowiedział wymaganą formułę równie uroczystym tonem.

Po oficjalnej nominacji Aywan został skierowany do prywatnych apartamentów Dalajlamy.

- Czuję się zaszczycony - mówił - ale nie bardzo wiem, jakie mają być moje obowiązki i czy nadaję się na urzędnika?
- Nie będziesz urzędnikiem! - spotkanie miało już nieformalny i przyjacielski charakter - Masz misję do spełnienia i jesteś jedynym, który tę misję może wypełnić!
- Co to za misja? - zaciekał się Aywan.
- Od jutra zaczynasz przygotowania do podróży! - uciał krótko Thubten -

Do dalekiej podróży!

- Jak dalekiej? - taka misja bardziej odpowiadała Aywano-wi, niż praca w dusznym gabinecie.
- Pojedziesz do Petersburga! - powiedział poważnie Thub-ten - Spotkasz się tam z carem Rosji!

Aywan zamienił się w znak zapytania.

- W jaki sposób mam dostać się do cara Rosji? - nie ukrywał zdumienia - Car nie udziela audiencji ludziom z ulicy, nawet - zaśmiał się krótko - jeśli są tybetańskimi mnichami!
- Nie pojedziesz jako mnich - odparł Thubten - ale jako pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych mojego rządu! Tyle, że ministrem będziesz dopiero w Rosji. Musisz przedostać się przez Chiny i Mongolię jako osoba prywatna, niezauważona przez ich tajne służby. Jeśli cię rozszyfrują - Dalajlama spoważniał - twój los może mieć nieciekawą koniec!
- Jak nieciekawą? - dopytywał się Ay wan.
- Będziesz oskarżony o zdradę stanu i dobrze wiesz, co to znaczy!
- Jakiego rodzaju zdrady mam dokonać? - spostrzegł, że ta gra go wciąga.
- Pełnej! - odpowiedział Thubten. - Formalnie jesteśmy poddanymi rządu chińskiego, ale w interesie Tybetu jest porzucić Chiny i ich cesarski rząd na rzecz opieki ze strony cara Rosji. Inaczej - dodał - będziemy bezbronni wobec Anglików, którzy są tuż, tuż - sto mil od Lhasy, zaraz za południową granicą gór.
- Tak! - odrzekł Aywan - Mówiliśmy o tym. Chińczycy za cenę

utrzymania mandzurskiego rządu w Pekinie nie zawahają się nas poświęcić.

- Temu właśnie trzeba zapobiec! - powiedział Thubten. - Musisz dokonać tego sam, bez niczyjej pomocy. Delegacja rządowa zwróciłaby na siebie uwagę i zapewne nie dotarłaby do celu.
- Teraz rozumiem! - upewniał się Aywan - Moja misja, to połączenie dyplomacji z awanturnictwem?
- Dokładnie tak jest! - Thubtenowi wcale nie było do żartów - Jeśli wpadniesz, będziemy musieli się ciebie wyprzeć i twierdzić, że działałeś na własną rękę. Więc, proszę cię - głos Dalajlamy był ciepły i przyjazny - nie daj się złapać!
- Nie bój się! - odrzekł Aywan - Nie dam się nakryć, ale pod jednym warunkiem!
- Jakim? - zdziwił się Dalajlama.
- Święta Wyrocznia zwolni mnie z obowiązku noszenia habitu, wyrazi zgodę na noszenie świeckich strojów - wyliczał dalej - zwolni z klasztornych ślubów i przyrzeczeń na czas całej akcji.
- Dlaczego to takie ważne? - pytał Dalajlama.
- Rosja i - Aywan zachnął się, że musi to powiedzieć - cały ten świat zewnętrzny jest zupełnie inny niż Tybet. Inne panują tam zwyczaje i inaczej zachowują się ludzie. Jeśli mam się nie dać rozpoznać - wyjaśniał - muszę naprawdę stać się kimś innym. Inaczej - ciągnął - prędzej czy później wyjdzie ze mnie mnich, ze wszystkimi, z punktu widzenia świata zewnętrznego - dodał pośpiesznie - dziwactwami.

Dalajlama zastanowił się, po czym oświadczył:

- Porozmawiam z kapłanami Wyrocni, ale myślę - przyznał - że masz rację. Sądzę, że dyspensę otrzymasz!
- Ostatecznie - uśmiechnął się mrużąc żartobliwie oczy - to sprawa wagi państwowej!

2.

Wiosną 1898 roku Aywan był gotów do rozpoczęcia misji. Drogę do rosyjskiej granicy pamiętał doskonale. Teraz, rzecz też nie wydawała się skomplikowana. Do granicy z Mongolią, przez terytorium prowincji Quinghai i Gansu, mógł spokojnie podróżować jako buddyjski mnich, odwiedzający położone przy dawnym Jedwabnym Szlaku klasztory. Zastanawiał się tylko nad tym, z jaką tożsamością uda się dalej. Teoretycznie, do granicy rosyjskiej w Kiachcie i dalej, do swojego macierzystego klasztoru Astagat, mógł podróżować jako mnich, ale dane wywiadowcze mówiły, że służby chińskie są szczególnie wyczulone na kontakty obywateli Państwa Środka z Rosją. Zauważono już nasilającą się rosyjską aktywność w Mongolii Zewnętrznej i Mandżurii. Poza tym, samotnie podróżujący mnich - po rosyjskiej stronie granicy mógłby stać się przedmiotem agresji jakichś miejscowych 'patriotów prawosławia'. Pierwszym etapem, który Aywan chciał osiągnąć, był jednak Irkuck, a nie Astagat. Liczył, że tamtejsza Szkoła Kadetów, mimo upływu lat, da mu schronienie, wsparcie i pomoc w dotarciu do Petersburga.

Eskortowany przez umundurowanych wojskowych, bez przeszkód dotarł do Amdo, przy chińskiej granicy. Dalej, dołączył do grupy mnichów podążających do Liaoyang, a stamtąd - w przebraniu chińskiego kupca - wczesnym latem dotarł do Urgi. Miał od Dalajlamy list polecający do

Bogd-gegeena Mongolii. Ufał, że otworzy mu to drzwi do jego pomocy.

Bogd-gegeenem i 'Świętym Blaskiem' Mongolii był nadal Jego Świątobliwość Jetsun Dampa VIII, panujący jako reinkarnacja Dzanabadzara, pionierskiego Óndor Gegeena. Szeptano, że w każdej chwili może wypowiedzieć Chinom posłuszeństwo i zwrócić się o przejęcie zwierzchnictwa nad Mongolią przez Dalajlamę Tybetu. Aywan musiał zachować ostrożność. Chińskie służby z całą pewnością notowały wszystkie wizyty w pałacu. Udał się do klasztoru Gandan, w którym przebywał dziesięć lat wcześniej.

- Kto idzie? - zapytał mnich z za kutej w metalu, obitej grubymi deskami furty.

- Mnich Ngawang z Lhasy! - odkrzyknął Aywan.

Zapadła cisza. Z drugiej strony bramy słyhać było nerwowe głosy i jakieś hurgotanie. Po chwili furta otworzyła się. Ogolona głowa, wychylona na zewnątrz ogrodzenia, patrzyła z nieufnością.

- W jakiej sprawie wiedzie cię Oświecony? - padło pytanie.

- W sprawie najwyższej wagi! - odparł Aywan. - Muszę się widzieć z przeorem!

- Każdy tak może powiedzieć! - burknął furtian.

- Przeor o mnie wie! - kłamał z pewnością siebie Aywan -Wie też o mojej misji. Przed dziesięciu laty otrzymałem tu pierwszy stopień wtajemniczenia!

- To, czemu nie jesteś w habicie? - dopytywał się furtian.

- Mówiłem już! - odparł Awyan - Prowadzą mnie sprawy najwyższej wagi!

Mnich zatrzasnął furtę przed samym nosem nieoczekiwanego gościa. Po chwili odezwały się głosy i Aywan nabrał nadziei. Furta otworzyła się znowu.

-Wejź! - powiedział inny głos - Przeor czeka!

Aywan widział tylko plecy oddalającego się mnicha. Szedł za nim spieszny krok obawiając się odmiany fortuny. Po chwili, otworzono drzwi samego klasztoru i skierowano go do końca korytarza, do miejsca, które pamiętał jako pokój przeora. Wszedł do środka. Przy stole, z za palących się jasnym światłem świeczników i papierowych zwojów, patrzyła twarz w drucianych okularach. Twarz jakby znajoma. Z za stosu książek wysunęła się ręka, której dłoń ułożona była w doskonale znany gest *suczi-mudm*.

-Dziansun? To ty? - zapytał po rosyjsku Aywan niepewnym głosem nie wierząc własnym oczom.

Z poza pełnego zakurzonych książek stołu, ujawnił się w całej okazałości właściciel i ręki i gestu.

- Witaj Aywanie! Czy - zaśmiał się jak dawniej Dziansun -jak wolisz - Ngawang? Właśnie - śmiał się dalej - a jak wolisz?
- Póki jestem w Mongolii - Aywanowi wróciła już równowaga - to zdecydowanie wolę być Ngawang. Dla Chińczyków 'Aywan' brzmi jak 'Iwan', a wiesz, co to tutaj znaczy!
- Znaczy, agent! - cieszył się Dziansun. - Rosyjski agent! Ale właśnie! - Teraz już się nie śmiał - W jakiej roli się tu znalazłeś?

Instynkt podpowiedział Aywanowi mówić jak najmniej. Zapamiętał maksymę regenta Hutuktu, który kiedyś wyznał: „Wiesz, ilekroć coś

powiedziałem, często żałowałem. Jeśli nic nie powiedziałem - nigdy nie żałowałem!".

- Jestem wysłannikiem klasztoru Drapung. Mam ważną informację, naukową informację - poprawił się szybko - dla Jego Świątobliwości Bogd-gegeena - kłamał Aywan - i muszę mieć u niego audiencję.
- To będziesz miał! - powiedział Dziansun - Zastępuję przeora, który jest w objeździe klasztorów po drugiej stronie granicy, czyli - Dziansun wypiął dumnie pierś - jestem odpowiedzialny za najważniejszy klasztor Mongolii. Załatwię ci ją bez trudu. Nawet jutro! - był wyraźnie dumny ze swoich wpływów. - Jak ci się wiedzie w Lhasie? Słyszeliśmy o twoich naukowych sukcesach. Mówią nawet, że nie ma od ciebie lepszego teoretyka w całym Tybecie!
- A więc nie wiedzą! - pomyślał z ulgą Aywan, mając na myśli swoją nową funkcję w rządzie i nie mogąc domyślać się rzeczywistego celu misji. To dobrze, że Mongolia leży 'tam, gdzie diabeł mówi dobranoc'. Bez telegrafu wiadomości rozchodzą się bardzo powoli.
- Wiesz, że zawsze pociągała mnie nauka - Aywan mówił teraz jak do starego szkolnego kolegi - a poza tym, chcę -kłamał - jak najszybciej wracać do domu, to znaczy - do Lha-sy. Prawdę mówiąc nie lubię oddalać się od biblioteki.

3.

Rankiem, ubrany już w czerwonoceglasty habit, wyszedł z klasztoru Gandan w towarzystwie Dziansuna i kilku starszych mnichów. Tak, jak dziesięć lat temu, skręcili zaraz za bramą w prawo, w kierunku otwartego, pokrytego zielenią placu, przy którym mieściła się rozłożysta budowla

pałacu Bogd-gegeena. Nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć na pobliski stragan, skąd kiedyś uśmiechała się do niego piękna Mongołka. Stragan, nadgryziony czasem, stał dalej w tym samym miejscu, ale obsługiwała go teraz starsza kobieta z błyszczącym w ustach złotym zębem. Aywan zawiesił na niej przez chwilę wzrok. Kobieta uśmiechnęła się do niego, tak jak robią to młode dziewczyny. Promień słońca odbił się od złota między jej wargami i - jak mu się wydawało - poszybował w jego kie-

runku. Wzdrygnął się lekko. Dziansun zauważył jego spojrzenie.

-Wiesz, jaka ona była piękna? Ale cóż - dodał filozoficznie

- mongolskie kobiety starzeją się szybko!

Aywan milczał i myślał o przemijaniu. Teraz rozumiał, dlaczego w buddyjskich naukach tak wielką wagę przywiązuje się do lekceważenia przywiązania. Wszystko przemija. Uroda przemija pierwsza.

-Nie trafiła chyba dobrze! - Dziansun paplał dalej - Wziął ją jakiś pastuch z litości. Bo wiesz - nie zamykały mu się usta - u nas w Rosji, byłaby uznana za piękność, ale tutaj, w Mongolii, mężczyźni mają dziwaczny gust. Atrakcyjna kobieta musi być korpulentna, nieco przy kości, a pod nosem mieć wąsik! - śmiał się głośno Dziansun, przystawiając palec do nosa, gdzie mógłby mieć wąsy, gdyby się nie golił.

Aywanowi zrobiło się markotnie. Zawsze szkoda mu było zmarnowanego piękna, a już szczególnie, zmarnowanego kobiecego piękna.

Pałac Bogd-gegeena dominował nad całym placem. Inaczej niż lamaistyczne klasztory, nie zbudowano go w stylu tybetańskim, ale miał

wyraźne znamiona chińskie. Łamany dach, pokryty szarą dachówką, opierał się na kolumnach zdobionych złożonymi ornamentami. Nad budynkiem sterczała wieżyczka, umieszczona w samym środku, też pokryta dachówką, ale w zielonym kolorze. Robiła wrażenie, jakby chciała z całej budowli gdzieś uciec.

-Nomen omen! - pomyślał Aywan - Nie zdziwiłbym się, gdyby i sam Bogd-gegeen miał chętkę wymknąć się spod chińskiej kurateli!

W sali audiencyjnej Aywan znalazł wiele znajomej symboliki. Był tron, podobny do Lwiego Tronu z Lhasy, no, może nieco mniejszy. Było pięć różnego koloru poduszek, z których na delegację klasztoru Gandan spoglądał z góry mężczyzna w średnim wieku, o ogolonej głowie i okrągłej, nieco pucołowatej twarzy, ale ubrany nie w habit, lecz w uroczyste szaty z wyszywanego złotem jedwabiu.

- Znowu chińskie wpływy! - pomyślał Aywan.
- Witajcie! - powiedział z wysokości tronu łagodnym, wzbudzającym sympatię głosem. Widać było, że w Mongolii ceremonialność nie sięgnęła poziomu Lhasy. Nie było modlitewnych śpiewów, trąb, ani rytmu bębena.
- Wasza Świątobliwość! - Dziansun skłonił się przed Bogd-gegeenem - mamy gościa z samej Lhasy. Oto mnich Ngawang - zrobił ruch ręką w kierunku Aywana - posłaniec z klasztoru Drapung, przynoszący najnowsze naukowe wieści! - Dziansun słowo, 'naukowe' wypowiedział z przekąsem.
- Znamy dokonania uczelni w Drapungu! - odpowiedział z wysokości tronu Bogd-gegeen. - Co nowego zdarzyło się w nauce Oświeconego,

że ocean wiedzy przysyła specjalnego wysłańca?

- Nie mogę mówić publicznie, Wasza Świątobliwość! Nowe odkrycia mają charakter wiedzy tajemnej! - Aywan kłamał jak z nut - Mogę Waszą Świątobliwość w nie wtajemniczyć jedynie w ramach spotkania prywatnego, to jest - w cztery oczy!

Bogd-geegen patrzył chwilę na Aywana jakby nie mógł nadziwić się jego śmiałości, ale po chwili zrobił gest odprawiający resztę mnichów.

-Dobrze! - powiedział - Zostaniemy sami!

Wzrok Dziansuna wyrażał zdziwienie pomieszane z wściekłością i oburzeniem. Przecież to on 'załatwił' tę audiencję, a teraz ma się wynieść? Co za niewdzięczność! Można było go posądzić o wszystko, ale nie o brak ciekawości. Przeciwnie, przepadał za tym, aby być dobrze poinformowanym. Zawiesił obrażony wzrok na Aywanie, ale gdy ten wykonał w jego kierunku gest *suczi-mudra*, kiwnął głową w nagłym zrozumieniu, odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Za nim podążyli starsi klasztoru.

- Słucham! - powiedział z wysokości pięciu kolorowych poduszek Bogd-geegen.
- Wasza Świątobliwość wybaczy mi ten zabieg - mówił pośpiesznie Aywan - ale sytuacja jest szczególna! Moja misja jest tajna. Oto list od Jego Świątobliwości Thubtena Gyatso, XIII

Dalajlamy Tybetu. Proszę go przeczytać i natychmiast zniszczyć!

Bogd-geegen odwinął rulon i przebiegł wzrokiem pierwsze zdania. Spojrzał uważnie na Aywana, po czym czytał dalej, podnosząc na niego oczy po każdej stronie tekstu. Wreszcie skończył. Rulon przybliżył do

płomienia maślanej lampki i spokojnie przyglądał się jak papier zamienia się w czarne płatki spalenizny. Aywan odetchnął z ulgą.

- Więc Bogd-geegen nie jest człowiekiem Pekinu! Prowadzi własną grę!
- Istniały obawy, że w razie sporu z Chinami Bogd-geegen stanie po stronie panczenlamy Chokyi Nyima, drugiego w hierarchii dostojnika Tybetu, rezydującego w Xi-gaze, a reinkarnacje panczenlamy od dawna kontrolowali Chińczycy.
- jak na ministra rządu - zauważył z ironią Bogd-geegen -podróżujesz nad wyraz skromnie.

Aywan roześmiał się rozluźniony poczuciem humoru świętobliwego rozmówcy.

- To, czego Wasza Świętobliwość nie znalazł w liście -spieszył z wyjaśnieniem - to cel mojej misji, który wyjaśnia również i skromność warunków, w jakich podróżuję. Moim celem jest Sankt Petersburg, stolica Rosji, a ściśle mówiąc -sam car Mikołaj 11!
- Jedziesz do samego cesarza? - Bogd-geegen nie ukrywał zdumienia. Czyżby Tybet zamierzał Chińczykom pokazać drzwi? - Jego ręka zrobiła przy tym ruch wielkiego palca dłoni ku dołowi - tak jak robili to rzymscy cesarze, skazując na śmierć pokonanego gladiatora.
- Tak, Wasza Świętobliwość! - Aywan mówił to z całą powagą - Taką decyzję podjęliśmy, ale zanim ją ujawnimy, musimy mieć gwarancje ze strony Rosji. Stąd - wyjaśniał - tajność mojej misji!

Bogd-geegen znieruchomiał. Aywan zastygł w oczekiwaniu. Jetsun Dampa VIII szybko zsunął się po poduszkach tronu i stanął wyprostowany przed Aywanem jakby nie chciał mówić zbyt głośno.

- Tak, rozumiem! - mówił ściszym głosem - Potrzebujesz pomocy aby przedostać się bez rozgłosu na drugą stronę granicy. Aż do Ułan-Ude są nasze klasztory. Dalej, w kierunku Irkucka, musisz radzić sobie sam. Ale - dodał jeszcze ciszej, przybliżając do Aywana twarz - w razie wpadki, powiem Chińczykom, że cię nigdy nie widziałem!
- Tybet dziękuje Wam za pomoc! - Aywan nie wiedział jeszcze, jaką będzie miała formę - W Petersburgu zasugeruję -zaryzykował - że Wasza Świątobliwość nie zauważy mojego przejazdu przez Mongolię w powrotnej drodze!

Bogd-gegeen nie odpowiedział. Po chwili, wspiął się na poduszki tronu i pobłogosławił Aywana ruchem ręki złożonej w gest *suczi-mudra*.

4.

Pomoc Bogd-gegeena okazała się nieoceniona. Poleciał sformować pielgrzymkę mnichów z Urgi do buriackiego klasztoru po rosyjskiej stronie. Wmieszany w tłum kilkudziesięciu, tak samo wyglądających, ogolonych i ubranych w jednakowe habity, mnichów, Aywan, zupełnie nie niepokojony, przekroczył chińsko-rosyjską granicę w Kiachcie i - po dwóch dniach marszu - znalazł się w Ułan-Ude, przez które prowadził szlak pielgrzymkowy do Iwołgi. Tam zrzucił habit i przybrał wygląd rosyjskiego wędrowca przemierzającego niezmiernie odległości Syberii. Nie oparł się pokusie by przystanąć chwilę na dziedzińcu rosyjskiej szkoły elementarnej, w której wszystko się zaczęło.

Ułan-Ude było zupełnie zmienione. Aywan pamiętał je jako senną osadę, na której obrzeżach można było spotkać pasterskie jurty. Teraz, wzbogacone o nowy dworzec kolejowy, rozpierało się po całej okolicy

jako ważny węzeł komunikacyjny. W ostatniej fazie budowy była kolej transsyberyjska, łącząca Irkuck z Czyta i Chabrowskiem, i dalej - z Władywo-stokiem. Perspektywy były jeszcze bardziej obiecujące: w konstrukcji była odnoga kolei, zwana mandżurską, prowadząca do Harbinu i do wysuniętego najbardziej na wschód placówki Cesarstwa - Portu Artura, już hen, nad Morzem Żółtym. Z

perspektywy Ułan-Ude wydawało się, że rosyjska ekspansja na Wschód nie napotyka na żadną przeszkodę.

Pokusa odwiedzenia domu rodzinnego okazała się silniejsza niż ryzyko dekonspiracji. W miejscowym zajeździe wynajął wierzchowca, zboczył z drogi do Irkucka i pogalopował kilkanaście mil na zachód. Na miejscu był wczesnym popołudniem. Miasteczko nie zmieniło się ani na jotę. Nadal dominował pełen mnichów klasztor pokryty turkusową dachówką. Mieszkańcy, jak dawniej, załatwiali swoje sprawy poruszając się po placu zgodnie z codziennym ruchem promieni słońca. Byli tak samo senni i tak samo uduchowieni, jak zapamiętał ich jako mały chłopiec. Gdy dotarł do bramy rodzinnego domu serce łomotało mu w piersi. Dom też nic się nie zmienił. Ten sam ogród, te same mury. Tylko drzewa były większe, formując teraz bardziej kępę starodrzewu, niż owocowy ogród, który utkwiał mu w pamięci. Zapamiętał je jako przyjazne, nie sięgające dachu. Teraz rozpierały się na całą okolicę, pokrywając murowany budynek smętnym cieniem. Aywan patrzył na dom z ukrycia. Nie mógł wejść do środka, chociaż serce wyrywało mu się do powitania rodziców. Bał się im spojrzeć w oczy. Nie widzieli się piętnaście lat. Pewnie nie poznaliby syna i wzięli za przypadkowego wędrowca.

Drzwi domu otwarły się niespodzianie. Stała w nich kobieta. Siwe

włosy upięte miała w kok, podkreślający dyskretny urok drobnych, chociaż znaczonych zmarszczkami rysów twarzy. Sorkaktani, bo to była ona - matka Aywana, patrzyła przed siebie jakby, oczekiwała ważnej wizyty. Z podwyższenia schodków domu omiatała przestrzeń uważnym, pełnym napięcia wzrokiem. Oddychała szybko. Jej spojrzenie zatrzymało się w miejscu, w którym za ogrodzeniem ukrył się Aywan. Patrzyła dłuższą chwilę uśmiechając się w sposób, który zapamiętał z dzieciństwa. Nie wytrzymał i złamał podstawową zasadę konspiracji. Podniósł się na całą wysokość. Wyłonił się z cienia ostrożnie, nie chcąc jej przestraszyć. Nie bała się wcale. Uśmiechnęła się do niego tak radośnie jak kiedyś, jakby rozumiejąc, że przywiodła go tu tajemnica.

- Mamo, nie mogę! - powiedział stłumionym głosem.

- Wiem, że nie możesz! - usłyszał ciepły szept. - Dziękuję ci, że tu jesteś. Wiemy o tobie wiele i jesteśmy z ciebie dumni! - Przycisnęła go do siebie i ucałowała w czoło. On, emisariusz duchowego przywódcy Dachy Świata do najpotężniejszego cesarza świata, poczuł się jak małe dziecko żądne pieśczoty. Jeszcze chwila, by zapłakał. Odwrócił się gwałtownie i cofnął poza ogrodzenie. Jeszcze raz spojrzął za siebie. Sorkaktani trzymała rękę wysoko w geście matczynego błogosławieństwa. Uśmiechała się przez łzy. Oddał jej ten uśmiech całym sercem i jednym skokiem dosiadł konia kierując go w drogę powrotną. Odwrócił się po raz ostatni. Po raz ostatni wymienili spojrzenia. Spiął konia i ruszył przed siebie.

5.

Aywan po raz pierwszy w życiu jechał pociągiem. Bezpośrednia linia kolejowa między Irkuckiem a Ułan-Ude nie była jeszcze gotowa, musiał

więc, z Babuszkin - małego portu u ujścia Selengi - przeprowić się parowcem na drugi, północny brzeg Bajkału, gdzie w miejscowości Port Bajkał kończyła się stara linia kolejowa. Czas podróży do Irkucka był tym sposobem czterokrotnie krótszy niż wtedy, gdy konną kibitką przemierzał tę drogę w odwrotną stronę - do klasztoru Asta-gat. Kiedyś, trwało to całe dwa dni, teraz pokonywał szlak z zawrotną prędkością czterdziestu mil na godzinę. Ale do Irkucka dotrzeć musiał. Liczył, że władze Szkoły Kadetów umożliwią mu wypełnienie zadania.

Irkuck bardzo się zmienił. Centrum miasta obrosło okazałymi, chociaż drewnianymi domami. Po ich wielkości można było zgadywać jak wielką ilością syberyjskich futer obracał jego właściciel. Przybyło szerokich ulic i placów. Tylko stacja kolejowa była ta sama. Piętnaście lat temu był to końcowy przystanek kolei wiodącej z Petersburga i Moskwy, teraz urosła do rangi ostatniego przed Bajkałem węzła transportowego. Aywan pomyślał, że Rosja musi być największą potęgą świata, skoro może pozwolić sobie na takie tempo zmian.

Irkucka Szkoła Kadetów stała na swoim miejscu. Wartę przy bramie trzymało dwóch żołnierzy stojących w pozycji 'do nogi broń'. Karabiny Mausera, przedłużone ostrymi sztykami, dodawały szyku. Aywan przeszedł mimo warty i zbliżył się do okienka biura przepustek.

- Kadet Iwan Dordżijew do komendanta! - zameldował.

Kaprala z za okienka wygięło. Usiłował objąć wzrokiem całą postać Aywana. Im dłużej przypatrywał się gościowi, tym mniej rozumiał. Aywan nie miał na sobie przepisowego munduru, ale przypadkowe, i nie bardzo pasujące do niego, cywilne odzienie.

- Jak to, kadet? - zająknął się kapral.
- Były kadet! - poprawił się Aywan - W drodze z misji specjalnej! - dodał pewnym głosem - Meldować do komendanta!

Kapral poszperał w książce wejść i wyjść, jakby sam nie wiedział, co ma w tej sytuacji zrobić, po czym wstał i zatrasnął okienko. Za chwilę otworzył je jeszcze raz.

- Czekajcie! - powiedział krótko i znowu trzasnął okienkiem.

Po kilku minutach okienko otworzyło się znowu.

- Tu macie przepustkę! - tym razem kapral nie miał w sobie nic z wcześniejszej surowości. Przeciwnie, starał się być przymilny i w niczym nie przeszkadzający. Otworzył szeroko drzwi na szkolne podwórko, jakby dla podkreślenia, że nie ma przed niespodziewanym gościem żadnych tajemnic.

Aleksandr Michajłowicz Bykowskij - komendant Irkuckiej Szkoły Kadetów - był nadal pułkownikiem. Od piętnastu lat nic się nie zmieniło. Tylko zwisające znad kącików ust wąsy wydały się Aywanowi trochę zrezygnowane i bardziej siwe, podobnie jak sterczące znad powiek krzaczaste brwi. Czas go zmienił. Czoło podwyższyło się i łączyło się teraz fałdą pomarszczonej skóry z pozostałością włosów. Spod paska spodni wylewał się nadmiar starannie hodowanego brzucha.

- Chyba dobrze je! - pomyślał Ajwan meldując się przepisowo. W podróży skromne nawyki żywieniowe mnicha powodowały, że Aywan coraz częściej czuł się głodny.
- Kadet Iwan Dordżijew melduje się do Pana Komendanta! -

wykrzyknął.

-Spocznij! - mruknął Bykowski znad biurka.

Portret cesarza wisiał w tym samym miejscu, które zwróciło uwagę Aywana jeszcze jako młodego kadeta, ale przedstawiał innego człowieka. Pracując naukowo w Drapungu nie śledził zmian personalnych na tronie rosyjskiego imperium. Dopiero w trakcie przygotowań do misji dowiedział się, że przed czterema laty Aleksandra III zastąpił jego syn Mikołaj II.

- Iwan Dordżijew? - przedrzeźniał komendant. - Pamiętam, a jakże! Pamiętam też, że nie dawałeś się wtedy tak nazywać. Twierdziłeś, że nie jesteś Rosjaninem i pochodzisz wprost od samego Czyngisa. Dobrze pamiętam? - kpił Bykowski.
- Wasza Wysokość, proszę wybaczyć młodości! - Aywan wiedział, że teraz musi być skromny - to zawsze najlepsza taktyka.
- Zaangażowałem w ciebie, Dordżijew, całą karierę - gorzko wypomniął Bykowski - i nadal jestem tylko pułkownikiem! A ty - jak słyszałem - awansowałeś?
- Bez własnej woli! - pospieszył wyjaśnić Aywan - Dalajlama potrzebował kogoś, kto swobodnie mówi po rosyjsku i może wykonać polityczne zadanie w Rosji.
- Wot, jaki skromny! - kpił Bykowski - Nasze służby doniosły, że zostałeś mianowany ministrem spraw zagranicznych. Czy to też przypadek?
- Wasza Wysokość! - pospieszył z odpowiedzią Aywan -Co ze mnie za minister, skoro muszę podróżować w przebraniu i meldować się u Was

jako były kadet Dordżijew?

- Rzeczywiście! - uspokoił się Bykowski - Nieciekawa ranga! U nas by to się nie mogło zdarzyć. Ranga, to ranga i koniec!
- Wasze Wieliczesstwo! - Aywan kuł żelazo póki gorące -Ranga niewysoka, ale zadanie poważne. Muszę dostać się przed oblicze Jego Wysokości Cesarza Mikołaja II!
- Wysoko mierzysz! - obruszył się komendant - Nie za wysoko?

7 7?

- Takie mam zadanie. Idzie o przyszłość Tybetu, a może i o przyszłość Imperium Rosji!
- Myślisz, że przyszłość Rosji może zależeć od pierwszego lepszego przebierańca? - uniósł się Bykowski - Od wysłannika jakiegoś klechy z Himalajów?

Aywan nauczył się już cierpliwości i umiejętności czekania. Inaczej splot słoneczny komendanta byłby w niebezpieczeństwie. Oświecony zawsze wyjaśniał swoim uczniom jak osiąść umiejętność powściągliwości, powstrzymywania się od złych emocji. Aywan postanowił i tutaj pozostać jego uczniem.

-Rosja - powiedział - jest wielka, bo jest ciągle w ruchu. Stale poszerza się o inne kraje i podbija narody. Ssie z nich soki i dlatego jest mocna i potężna. Sama soków nie ma. Bo i z czego ma je mieć? Z tych muzyków grzebiących w polu? Z Sybiraków łapiących sobole we wnyki? Z Finów dojących renifery? Ze sprzedajnych Niemców z Pribałtyki? Z buntow

niczej szlachty z Priwislanskiego Kraju? Z kaukaskich Czerkiesów? Z czego? Rosja - uniósł się fałszywym patriotyzmem - ma energię z ruchu! Na Zachód dalej nie pójdzie, bo tam nie ma miejsca! Miejsce dla ruchu, który jest żywiołem Rosji, jest tylko na Wschodzie! Tybet też czeka na cara!

Aywan aż się zdumiał, że tak daleko może posunąć się w kłamstwie.

•Szczęście - pomyślał - że dostałem dispensę. Inaczej sam naplułbym sobie w twarz!

•Zuch, mołodiec! - nieoczekiwanie wykrzyknął Bykowski - Ruch, ruch i tylko ruch! Ja też chcę ruchu! A siedzę w tym samym miejscu od dwudziestu lat! To ty w tej sprawie do cara? W sprawie ruchu? Tak, Wasza Wysokość! - odwrzasnął Aywan - Całkowicie i tylko w tej sprawie!

- Telegraf będzie czynny jutro! - komendant podniósł się na całą wysokość - Jutro dam znać do centrali. Teraz - Bykowski już był spokojny - idź na kwaterę i się wyśpij. Przyjdź po rozkazy jutro!

Wzrok komendanta rozmazał się i skierował na stojącą na sąsiednim stoliku butelkę pszenicznej wódki.

-Służba nie drużba! - pomyślał ironicznie Aywan i uczytniejszy przepisowy 'w tył zwrot' oddalił się mając poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

6.

Obudził się wcześniej rano. Przez chwilę wydawało mu się, że znowu jest kadetem. Ma na sobie przepisowy mundur i jest gotów do musztry.

Wrażenie było tak realistyczne, że roześmiał się głośno. Postanowił, jak za dawnych czasów, udać się na śniadanie. Szczęk naczyń wskazywał na wypełnianie przez kucharzy porannych obowiązków. W żołnierskiej kantynie z jakichś powodów nie był dla niego miejsca. Poprowadzono go do części oficerskiej. W osobnym, czystym pomieszczeniu, nakryty białym obrusem stół czekał z gorącą kawą, śmietanką i jajkami przyrządzonymi na dwa sposoby. Aywan nie usiadł, sądząc, że doszło do nieporozumienia, ale chwilę później w drzwiach ukazał się sam komendant w świeżo wyprasowanym mundurze.

- Witajcie! - rzekł pułkownik różnym głosem i ruchem ręki wskazał Aywanowi miejsce przy stole. Ten usiadł, chociaż nadal nie był pewien, czy znajduje się we właściwym miejscu.
- Petersburg jest zachwycony! - Bykowski smarował chleb grubą warstwą masła - Irkucka Szkoła Kadetów dostanie wyróżnienie! I wszystko z Waszego powodu!

Aywana uderzyło, że komendant, inaczej niż wczoraj, nie zwracał się do nie go przez 'ty', ale użył formy - 'wy'.

- Z mojego powodu? - zdziwił się Aywan.
- Tak, z waszego! - Bykowski był w doskonałym humorze - Więcej, Naczelnny Wódz, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, osobiście awansował Was na oficerski stopień kapitana lejbgwardii! Po śniadaniu - ekscytował się komendant - wyfasujecie z magazynu nowiutki mundur z galonami i wszystko, co potrzeba do dalekiej podróży! To dla nas - Bykowskiemu humor dopisywał coraz bardziej - wielka sprawa, powiem, niespotykana sprawa: z kadeta od razu na kapitana!

- Czym sobie zasłużyłem? - dziwił się Aywan walcząc z nożem i widelcem, których nie używał od czasu opuszczenia domu rodzinnego.
- Tego nie wiem! - Bykowskij spojrzał na niego uważnie -To wy powinniście wiedzieć!

Aywan milczał. Domyślał się, że władze przypomniały sobie o jego początkach w Szkole i uznały, że jakieś zadanie zostało dobrze wykonane. Sam wiedział, że nie zdołał zrealizować żadnego zadania dla rosyjskich służb specjalnych. Przeciwnie, wykonywał misję zleconą mu przez Dalajlamę. Jeśli - pomyślał - tak sądzą, niech sądzą tak dalej. Tym lepiej dla sprawy. Głównie zresztą zajmowało go usiłowanie dostania się do wnętrza leżącego na talerzu jajka ugotowanego na miękko. Nie był głodny, zwykle o tej porze wypijał tylko miseczkę herbaty, ale tempo wydarzeń przerosło go tak bardzo, że trudno mu było to wszystko Bykowskiemu wyjaśnić.

- Czekamy - Bykowskiemu nie zamykały się usta - na dalsze instrukcje z Petersburga. Powiedzieli - był mocno podekscytowany - że przyjdą dzisiaj i mamy je wykonać bardzo dokładnie! Gratuluję! - odsunął z rozmachem talerz z niedoje-dzonymi jajkami - Instrukcje powstają gdzieś na bardzo wysokim szczeblu! - Bykowskij patrzył na Aywana jakby oczekiwał wyjaśnień.
- Powiecie wreszcie, o co chodzi? - nie wytrzymał.
- Jestem - Aywan dla dobra sprawy zdecydował się ujawnić cel misji - specjalnym wysłannikiem Dalajlamy. Tybet pragnie nawiązać przyjazne stosunki z Rosją, chociaż z nią nie graniczy. Jeszcze nie graniczy! - poprawił się szybko.

-Ha! - Bykowskij zrozumiał, że znalazł się w przestrzeni wielkiej, międzynarodowej polityki - Popracujmy, żeby mieć wspólną granicę. Rosję dzieli tylko - palcem pokazał jak mało - pustynny Sinkiang. A Sinkiang, to wschodnia wypustka muzułmańskiej Azji, która od Morza Kaspijskiego po Ałtaj już jest nasza. Sinkiang - rozmarzył się - to tylko kwestia czasu! Widziałem mapy Pierewalskiego, tego generała z Petersburga! Wszystko jest gotowe!

- Być może! - powiedział ostrożnie Aywan. Czuł się już dyplomatą i politykiem i uważał, żeby nie powiedzieć za dużo.
- Tak czy owak! - podniecał się Bykowski - jesteście na dobrej drodze. Życzę wam sukcesów - Dordżijew! Kapitanie Dordżijew! - poprawił się szybko.

To, co nastąpiło potem przeszło najśmielsze oczekiwania. Z Petersburga przyszły nie tylko instrukcje dla Bykowskiego, ale również polecenie użyczenia salonki dołączonej do pociągu jako skład specjalny. Aywana traktowano teraz jak oficjalnego przedstawiciela rządu tybetańskiego, udającego się z misją dyplomatyczną do cara Rosji. Salonkę, wyposażoną jak apartament dobrego hotelu, dołączono do pociągu zmierzającego z Irkucka do Petersburga. Znalazła się na jego końcu, ale za nią umieszczono osobny wagon z oddziałem ochrony. Aywan poczuł się po raz pierwszy w tej misji całkowicie bezpieczny. Czuł również, że przekracza granice dyscypliny, jakiej przestrzegał jako mnich buddyjskiej *sanghi*. Salonka była komfortowa: zamiast codziennego siorbania *sutecaju* miał na stoliku tulski samowar, z którego dymił *kpiatok*. Obok srebrnej cukiernicy, pełnej chropawych kawałeczków cukru, stała miseczka

pachnących owocami powideł i inkrustowane pudełeczko z chińską herbatą. Nie narzucający się ordynans, był gotów na każde skinienie. W południe, zamiast zwyczajowej porcji *campy*, otrzymał obiad *a la carte*. Zamówił na chybił-trafił - *turnedo d la Rossini* - ale odmówił dodatków, w obawie przed nadmiernym szokiem dla przewodu pokarmowego. Lekko wysmażona polędwica okazała się znakomita. Aywan jadł powoli, nie zwyczajny pochłaniać tak wielkich ilości jedzenia. Po tym wszystkim odmówił kolacji, czym wprowadził ordynansa w nieopisane zdumienie. Poprosił tylko o herbatę.

Lokomotywa sapała, prychała i toczyła się niezmiennie na zachód. Co jakiś czas pociąg stawał, ogromna rura wsuwała się do zbiornika lokomotywy, lano wielkie ilości wody, uzupełniano sagi drewna wlokące się za nią w wagoniku, maszyna gwizdała, dmuchała parą i ruszała w dalszą drogę. Aywan wychylał się przez okno, nie mogąc nadziwić się tym cudom techniki. Rozczarowanie przeżył tylko raz, gdy - minąwszy Krasnojarsk, Nowosybirsk, Omsk i Jekaterinburg, pociąg - po kilku dniach jazdy - staczał się z łagodnej pochyłości Uralu. W dole oczekiwała go Europa. Wyobrażał sobie, że wraz z opuszczeniem Azji i oddaniem się w ramiona nowego kontynentu - synonimu potęgi przemysłu, bitych dróg i mechanicznych urządzeń, zobaczy całkiem inny świat. Tymczasem, pry-chająca gorącą oliwą lokomotywa, przetoczyła się powoli przed słupem z napisem *Jewropa'*, sporządzonym niechlujnie na wygiętej czasem i przerdzewiałej blasze. I tyle. Dalej nic się nie zmieniało, był znowu step, krajobraz płaski, upstrzony coraz liczniejszymi chutorami chłopów - jego rolniczych zdobywców. Kiedyś, służył milionom sztuk bydła przepędzanego po niezmiernych obszarach Zachodniego Stepu, teraz

-pasące się niegdyś bydło zastąpiły pola pszenicy, jęczmienia i żyta. Był sierpień, który znaczył pola ruchem: łany przemieniały się w snopy, te w kopy, aby spocząć na wielkich furach zaprzęgniętych w konie. To też była nowość. We wschodniej części stepu, w Mongolii i na wielkiej wyżynie Tybetu - koń, to zawsze wierzchowiec, który nie zniża się do roli zwierzęcia pociągowego. Zastępują go w tym woły i jaki, a nawet wielbłądy. Ale też i zaprzęg wygląda inaczej: zwierzę posuwa się wolno, ma nałożone na kark jarzmo, które całym ciężarem długiego dyszla spoczywa na nim w sposób, którego koń by nie zniósł. Na jego końcu znajduje się wózek na dwóch wielkich kołach. Tutaj, widział podwójne i potrójne zaprzęgi, konie miały chomąta. Cały ciężar ciągnięcia przenosił się na mocne końskie piersi. Fury były wielkie, czterokołowe, pełne sięgających nieba snopów. Był jednak zawiedziony. Sądził, że zobaczy wielkie europejskie miasta, tętniące nowoczesną techniką, a nie niekończące się wiejskie krajobrazy.

- A może Rosja, to jednak nie Europa? - zagnieździło się podejrzenie. W kontekście jego misji myśl była niebezpieczna, szukał przecież w Rosji przeciwwagi dla potęgi przemysłowej Anglii!

7.

Przez z górą dwa tygodnie Aywan żył ruchem pociągu. Przyzwyczał się do tego stale poruszającego się miejsca zamieszkania. Salonka była wygodna. Składała się z pokoju dziennego, umeblowanego biurkiem i stolikiem z dwoma fotelami, maleńkiej jadalni, obsługiwanej zawsze przez tego samego grzecznie milczącego ordynansa, sypialni, przypominającej kajutę okrętową i równie małej łazienki. Wszystko to było doskonale zaprojektowane, a Aywan przyzwyczajony do ciasnoty mniszej celi, czuł

się rozpieszczany komfortem. Nauczył się nawet codziennie zmieniać mundur. Otrzymał w Irkucku cały kufer wypełniony oficerskimi kurtkami i spodniami z zapasowymi kompletami bielizny. Nie odczuwał wyrzutów sumienia. Ubrany w habit wyglądałby idiotycznie i wszędzie zwracał na siebie uwagę. A tak, traktowano go uprzejmie i z szacunkiem, jak rosyjskiego oficera podlegającego najwyraźniej specjalnym prawom.

Rankiem 8 września 1898 roku, pociąg dotarł do miejsca przeznaczenia - Dworca Moskiewskiego w Petersburgu. Przed wjazdem na peron, milczący dotąd ordynans, przekazał mu informację, że będzie oczekiwany na głównym placu przed dworcem. Mówił przyciszonym głosem, z czego wynikało, że wiadomość ma charakter urzędowy. Dworzec kolejowy mieścił się przy placu na skrzyżowaniu Ligowskiego Prospektu z Newskim Prospektem. Była to obszerna, nie zabudowana przestrzeń, pełna wiecznie śpieszących się ludzi. Przed schodkami prowadzącymi do hali dworcowej stała czarna, lśniąca lakierem kareta, zaprzężona w dwójkę koni.

- To po mnie? - począwszy od Irkucka, misja z przemykania się niezauważonym dla chińskich służb specjalnych, przekształciła się w oficjalną wizytę międzyrządową.
- Wasze Wieliczesstwo! - oficer pojawił się nagle z ręką wzniesioną w salucie - Proszę za mną!
- Hm! - mruknął Aywan pod nosem. Jeszcze nikt nigdy nie zwracał się do niego w ten sposób. Forma 'Wasze Wieliczesstwo' przysługuje wyższym oficerom. Aywan miał na sobie epolety kapitana, oficera młodszego. Salutujący mu żołnierz był również w randze kapitana, ale wyglądał na starszego od Aywana.

- Moja ranga faktyczna - skonstatował - jest widać wyższa od stopnia wojskowego. To dobrze! - pomyślał - To dobrze wróży samej misji!

Kareta ugięła się miękko pod ciężarem dwóch mężczyzn i wielkiego kufra wciśniętego w luk bagażowy. Stangret, ubrany w liberię o jaskrawych kolorach, zaciął konie. Ruszyli Newskim Prospektem. Aywan z niepohamowaną ciekawością przyglądał się sławnemu miastu, pachnącej jeszcze nowością stolicy wielkiego imperium.

Pojazd, wyprzedzany stukotem czterech par końskich kopyt, posuwał się szybko w kierunku Newy. Ludzie rozpoznawali rządowy pojazd, usuwali się w pośpiechu na boki, wyciągając szyje by przyjrzeć się ważnemu pasażerowi. Wychylający się ciekawie z okna młody mężczyzna miał na sobie mundur kapitana lejbgwardii, nie mógł więc być kimś wysoko postawionym, chyba że - kiwali do siebie głowami ze zrozumieniem - sprawa ma charakter specjalny, usprawiedliwiający pośpiech okazywany przez stangreta. Pojazd przejechał przez Most Kazański, rozpięty ponad Kanałem Gribojedowa, potem drugi - nad rzeką Mojką, wpadającą do Newy nieco dalej na północ i minąwszy półkolisty budynek Sztabu Generalnego, konie zwolniły kroku. Byli na Placu Pałacowym, okalającym od południa Pałac Zimowy, urzędową rezydencję carów. W dali majaczył groźny zarys postaci spinającej konia do galopu. To Miedziany Jeździec, symbolizujący cara Piotra Wielkiego, zdobiący plac przed gmachem Admiralicji. Kareta skierowała się jednak nie do południowego podjazdu Pałacu Zimowego, ale do wejścia głównego, znajdującego się od północy, od strony Newy. Przemknęła zadaszoną uliczką, oddzielającą budynki Admiralicji od Ermitażu, skręciła w prawo, ruszyła wzdłuż Bulwaru Pałacowego, by zatrzymać się na brukowanej drodze łączącej główne

wejście do siedziby carów z małym drewnianym mołem, wysuniętym z nadbrzeża. Z tego miejsca car i jego rodzina obserwować mogli w święto Epifanii doroczne święcenie wód Newy, odbywane na pamiątkę chrztu Chrystusa w Jordanie.

Aywan po raz pierwszy w życiu był w wielkim mieście i do tego znalazł się od razu w stolicy mocarstwa. Znał historię jego powstania z samodierżnej woli twórcy - cara Piotra I. W każdej rosyjskiej szkole opowiadano o tym z nieskrywaną dumą i podziwem. Petersburg założono jako symbol potęgi rosyjskiego państwa i jego „okno na Zachód”. Historia miasta ma jednak bardzo 'niezachodni' początek. Podły, wilgotny i surowy klimat, bagienna okolica oraz rzadkie zaludnienie regionu, powodowało, że ludzie nie chcieli się tam osiedlać. Piotr I postanowił zrealizować swoją monarszą wolę siłą. Kazał przesiedlić do budowanego od podstaw miasta, tysiąc urzędników i drugi tysiąc rzemieślników i kupców. Otrzymali budulec i siłę roboczą, ale koszty budowy domów musieli ponieść sami. Właściciele ponad trzech i pół tysiąca chłopskich dusz mieli obowiązek budować z kamienia, mniej zamożnym pozwolono używać drewna i gliny. Wygląd budynków był normalizowany przez carskiego architekta tak, aby pasowały do piotrowej wizji stolicy jego imperium. Uzupełnianie liczby robotników dokonywało się wedle równie dobrze sprawdzonych azjatyckich wzorów. Co roku wydawano akty rekwizycyjne na czterdzieści tysięcy chłopów przesiedlanych siłą do tworzącego się miasta na okres kilku miesięcy przymusowej pracy. Pędzono ich przez setki mil pod wojskową eskortą, nierzadko w kajdanach. Gdy i to nie wzmogło tempa budowy - chłopci notorycznie uciekali - Piotr oddał nadzór nad budową prefektowi policji. Petersburg jest utrwalonym w kamieniu

pomnikiem woli cara i geniuszu policyjnej sprawności.

Aywan z fascynacją obserwował uliczny ruch, zdominowany przez pojazdy konne. Spodziewał się automobili i warkotu silników. Rodzaj ruchu kołowego był tutaj taki sam jak w Irkucku, ale więcej było pojazdów wyraźnie urzędowych, spieszących gdzieś w ważnych sprawach. Tam, w Irkucku, koła drążyły koleiny w ulicznym piachu, tutaj drogi były wyłożone kamienną kostką, twarde i gładkie. Petersburg w niczym nie przypominał Irkucka, miasta drewnianych rezydencji zatopionych w sosnowych borach. Dominował kamień. Horyzont wypełniały ogromnych rozmiarów budynki, wsparte na wysokich kolumnach - zimne i nieprzytulne. Miały zapewne imitować gmachy rzymskiego imperium, ale dominantą miasta nie było śródziemnomorskie ciepło, ale wilgotny chłód wiejący od Newy. Petersburg, inaczej niż ciepły, chroniony od wiatrów lasami, Irkuck, był miastem spraw, a nie ludzi. Przybysz mógł poczuć się tutaj członkiem wielkiego Imperium, ale rodzina, przyjaciele, bezkresne pola Rosji -wszystko to oddalało się i stawało się jakąś nierealną pamięcią.

W godzinach popołudniowych Aywan, jako sekretarz do spraw zagranicznych władcy Tybetu, miał zostać przyjęty przez Najjaśniejszego Pana, cesarza Wszechrosji, miłościwie panującego Rosjanom od czterech lat, Mikołaja II. Przedtem zobaczyć z nim się chciał Sergiusz Witte - cesarski minister finansów. Aywan przestał się czemukolwiek dziwić, nawet temu, że z samotnego tybetańskiego wędrowca przekształcił się w figurę polityczną, przed którą otwierają się wszystkie drzwi.

Drogę do Ministerstwa Finansów wskazywał przydzielony podoficer. Biura ulokowano w tym samym kompleksie budynków przy Dworcowej

Płoszczadi. Aywan podążał za or-dynansem. Musieli cofnąć się w uliczkę, którą przedtem przejechał rządowym powozem. Do 1880 roku, w tej części Wielkiego Ermitażu, mieściły się wszystkie dworskie ministerstwa. Teraz, swój urząd sprawował stamtąd tylko dysponent skarbu państwa, minister finansów - Sergiej Witte. jego kariera rozpoczęła się niedawno, zaledwie rok wcześniej, po upadku gwiazdy Iwana Goremykina, ministra spraw wewnętrznych, niedoszłego autora reformy ziemstw. Sergiusz Witte był jednym z oponentów tych zmian, uważając, że żelazne rygory powinny się stosować do polityki pieniężnej państwa, a nie do kursu na ograniczanie samorządności. W 1897 roku przeprowadził reformę finansową, opierając system walutowy na parytecie złota. Rubel stał się jedną z najsilniejszych walut świata, a rosyjskie finanse uzyskały dobry punkt startowy do wprowadzenia gospodarki na ścieżkę industrializacji. Wydawało się, że Rosja zacznie szybko odrabiać straty w uprzemysłowieniu w stosunku do Anglii, Niemiec i Francji.

- Poprosiłem Was, kapitanie! - Witte uśmiechnął się ze zrozumieniem z za ogromnego biurka, widząc na twarzy Aywana grymas zdziwienia - Pozwolicie, że będę Was tak nazywać - aby rozmawiać o pieniądzach, a o tych lepiej się mówi bez zbędnych ceregieli!

- W pierwszym rzędzie jestem przedstawicielem Tybetu! -Aywan nie zapomniał o swojej misji - Kapitański mundur jest, jak rozumiem, rodzajem kamuflażu. Nie mogę być jednocześnie - zauważył - kapitanem lejwardii i ministrem spraw zagranicznych innego państwa!
- Mogę, nie mogę! - roześmiał się Witte - To sprawa ministra spraw

wewnętrznych, a nie ministra finansów. Na tym etapie potrzebny nam jest kamuflaż. Jego Wysokość Cesarz zdecydował wyjść naprzeciw problemom kraju waszego Dalajlamy! - Witte nie użył sformułowania: 'waszego kraju', jakby nie uważał Aywana za obcego. - Jestem odpowiedzialny za zabezpieczenie finansowe - ciągnął Witte - zaangażowania Rosji w sprawy Tybetu. Dzisiaj, przed Waszą audiencją u Najjaśniejszego Pana, o niczym nie zdecydujemy, ale muszę mieć jakiś punkt zaczepienia do rachunku.

- Czy wiadomo, Wasze Wielicziestwo - zapytał Aywan -jak daleko Rosja jest w stanie się zaangażować w nasze sprawy?

- Na razie nie dalej - Wittemu dopisywał humor - niż do Himalajów, ale to też kosztuje!

- Dla Was, Wasza Wysokość - uniósł się Aywan - to żarty, ale dla Tybetu, to kwestia przetrwania naszej tożsamości! -Witte spojrzał na niego z ukosem za tę tybetańską 'tożsamość', ale słuchał dalej.

- Chiny - ciągnął Aywan - są słabe. Ich rezydent w Lhasie dysponuje zaledwie kilkudziesięcioma żołnierzami ochrony. Ale my, nawet tylu nie mamy, jeśli za żołnierzy uzna się ludzi uzbrojonych w nowoczesną broń palną, a nie w łuki, dzidy i miecze. Przecież to bezużyteczne! - uniósł się Aywan.

- To niczyja, poza samym Tybetem, wina! - burknął Witte.

-Dlaczego nie uzbroicie wojska przyzwoicie?

- Nie było takiej potrzeby! - tłumaczył Aywan. - Tybet jest górską krainą i leży na Dachy Świata. Dotąd nikt na ten dach nie chciał włązić.

Dopiero teraz - irytował się szczerze - spotyka się z zainteresowaniem:

Chin, Anglii i na szczęście - dodał dyplomatycznie - także Rosji.

- Dobrze, dobrze! - uspokajał Witte. - Ile ma kosztować ta wasza armia?
- Nie wiem, Wasze Wieliczesstwo - odparł Aywan - nie znam cen broni i amunicji. Oceniamy Anglię jako największe zagrożenie. Jest ona tuż, tuż - po południowej stronie Himalajów. Jeśli uderzy na nas, zanim zdążymy się dozbroić - tutaj spojrział na Wittego znacząco - to i Rosja nie będzie miała czasu na reakcję!
- Krótko! - naciskał Witte - Ilu ludzi musicie uzbroić, żeby obronić się przed Anglikami?
- Pięć tysięcy! - odparł Aywan - Wiem, że to mało, ale naszą przewagą są wysokie góry i znajomość terenu. Pięć tysięcy ludzi - powtórzył Aywan - uzbrojonych w broń piechoty, karabiny maszynowe i artylerię polową!
- To nie jest koszt, którego nie poniosłaby Rosja! - powiedział ze sztuczną emfazą Witte. - To nie jest koszt - poprawił się - którego nie poniosłaby Rosja dla obrony ludu tybetańskiego przed obcą inwazją!
- Dziękuję! - odrzekł oschle Aywan. - Dziękuję - dodał - w imieniu rządu i ludu Tybetu!

8.

Aywan oczekiwał na zapowiedzianą audiencję u Cara Wszechrosji w Galerii 1812 roku, sali na pierwszym piętrze, znajdującej się tuż przy głównym wejściu do Pałacu Zimowego. Oczekiwanie trwało długo, ale się nie nudził. Ściany galerii wypełnione były portretami bohaterów wojny z Francuzami pędzla angielskiego malarza George'a Dawe. Mógł zapoznać się z twarzami zwycięskich generałów, patrzących groźnie ze ściany -

Suworowa, Kutuzowa, Bagrationa i Barclay'a de Tol-ly. Obrazy zaopatrzone w plakietki informujące nie tylko o personaliach portretowanych postaci, ale także o miejscach zwycięskich bitew. Galeria miała umocnić w oczekujących na audiencję przekonanie o niezwyciężoności Rosji. W Aywanie zrodziła jednak podejrzliwość o próżności tego kraju, ignorującego zmiany zachodzące w zachodniej części Europy, a w szczególności - jak mu się wydawało - powiększania się nieograniczonej potęgi Anglii. Z zamyślenia wyrwał go głos szambelana dworu, anonsującego kolejnego gościa.

Schodził po szerokich marmurowych schodach autorstwa samego Rastrellego, w kierunku Małej Sali Tronowej, mieszczącej się tuż pod Galerią 1812 roku, gdy dosłyszał głośno wymawiane własne nazwisko.

- Iwan Mónkgewicz Dordżijew! - echo poniosło je korytarzem, i schodami Rastrellego.
- Mónkgewicz? - Aywan był zdziwiony. Wiedział, że w rosyjskiej tradycji *otczestwo* jest ważniejsze niż nazwisko. Nazwiska europejskie, wiążące się najczęściej z własnością ziemską, wskazywały na usadowienie w ziemskiej arystokracji. *Otczestwo* przeciwnie, wiąże Rosjanina z rangą urzędniczą i zasługami ojca, jakie złożył na ołtarzu carskiego samodierzawia. W Europie ludzie trwale dziedziczyli majątki, w Rosji - zasługi ojców.

Dziwne brzmienie *otczestwa* Ajwana zwróciło głowy wszystkich obecnych na sali w jego kierunku. Uprzedzony, co do zasad zachowania się przed carem, Aywan podszedł do tronu, przykląkł, po czym wstał i z lekko pochyloną głową oczekiwał na monarszą inicjatywę. Mała Sala Tronowa była istotnie jednym z najmniejszych pomieszczeń Pałacu Zimo-

wego, w niczym nie dorównując rozmiarami Sali Malachitowej, czy Feldmarszałkowskiej. Miała jednak w sobie coś z ciepłego dostojęstwa, być może z powodu tronu angielskiej roboty. Był wykonany ze szlachetnego drewna i pieczołowicie inkrustowany srebrem.

Car Mikołaj II był wysokim, postawnym mężczyzną. Posturę i nieco zwalistą postać odziedziczył po ojcu, znanym z siły fizycznej. Gdy w 1894 roku obejmował rosyjski tron po niespodziewanej śmierci Aleksandra III, przez myśl mu nawet nie przeszło, że zasiada na nim jako ostatni z domu Romano-wych. Był zdecydowany kontynuować dzieło ojca i nie zamierzał zmieniać wprowadzonego przez niego, systemu samodzierżawia. Był jednak człowiekiem przeciętnym, nie rozumiejącym ducha czasu, nie przygotowanym do sprawowania rządów w tak wielkim kraju i w tak trudnych czasach, a do tego człowiekiem mało energicznym. Mimo, że w wielu sytuacjach potrafił wykazać zdumiewający upór, łatwo i często ulegał wpływom innych osób, a zwłaszcza tych, które wywodziły się z rozgałęzionej i licznej rodziny.

- Wasza Cesarska Mość! - donośnie anonsował szambelan - kapitan lejbgwardii Iwan Dordżijew przybył złożyć wyrazy uszanowania i wierności od samego Dalajlamy, Świątobliwego Trzynastego Biskupa Tybetu!
- Wierności? Biskupa? - Aywan był całkowicie zaskoczony anonsem.
- Z wiernością - myślał pospiesznie - to przesada! A z tym biskupem, to pomyłka! - Miał nadzieję, że uda się mu wyjaśnić, że Thubten Gyatso jest inkarnacją pierwszego dalajlamy Tybetu, a nie mianowanym hierarchą, więc pomylenie jego funkcji z rolą prawosławnego biskupa,

czy patriarchy musi być nieporozumieniem.

Brodąta twarz Mikołaja spoglądała z wysokości tronu na Aywana z takim wyrazem pobłażliwej wyższości, że nie ośmielił się prostować pomyłki. Za tronem tkwił, dobrze już posunięty w latach, Pobiedinoscew. Nie pełnił żadnej formalnej funkcji, był jednak nadal jednym z najbliższych doradców cesarza, którego ten odziedziczył po ojcu wraz z całą koncepcją polityki zagranicznej. Teraz był obecny, jako jej twórca w odniesieniu do Środkowego i Dalekiego Wschodu. Jej celem było zmoczenie butów żołnierzy Imperium w wodach Oceanu Indyjskiego.

- Cieszy nas - mówił powoli car - wola waszego ludu szukania ochrony pod naszym berłem przeciwko angielskim grabieżcom Indii. Czy doszło już do jakichś walk na pograniczu?

- Tak, Wasza Cesarska Mość - Aywan przypomniał incydent ze świętą górą Lung'tur. - Po jej zajęciu przez Brytyjczy-

ków i opanowaniu pogranicznych terenów stosunki tybetańsko-brytyjskie, pomimo konwencji z 1890 roku, pozostają napięte. Nie ulega wątpliwości - mówił szybko - że Anglicy zamierzają narzucić Tybetowi swoją zwierzchność.

- Czy inne granice Tybetu - zainteresował się Mikołaj - są bezsporne?

- Nie! Granice mają charakter zwyczajowy. Trzeba wiedzieć... - Aywan pomyślał, że zbyt bezpośrednio zwraca się do cara i zawiesił głos.

- Mówcie, mówcie! - zachęcał Mikołaj.

- Tybet, Wasza Cesarska Mość - Aywan postanowił wyjaśnić sprawę jak najkrócej - ma dwie granice: bliższą i dalszą.

- Jak można mieć dwie granice? - dziwił się cesarz - To są dwa Tybety

czy jeden?

-1 dwa i jeden! - odparł Aywan. - Jeden Tybet, to ten, w którym panuje wiara w nirwanę i przeznaczenie bodhisat-twów i gdzie lud poddaje się dobrowolnie religijnej władzy Dalajlamy, niezależnie od przynależności państwowej. To jest 'większy' Tybet. Tybet 'mniejszy', to ten, w którym również władzę świecką, nie tylko religijną posiada i wykonuje Dalajlama, rezydujący w Lhasie w Pałacu Potala.

- Bodhisattwa, nirwana? Co to takiego? - dopytywał się Mikołaj.

- To trudne zagadnienia! - zabezpieczał się Aywan.

- Chyba nie sądzicie - głos Mikołaja stał się twardszy - że nie zrozumiemy różnicy?

- Wasza Cesarska Mość! - Aywan znowu poczuł się poddanym cara Rosji - nawet przez myśl nie przeszłyby mi takie słowa! Tyle, że wyjaśnienie wymaga czasu!

- Podobno - zauważył z ironią Mikołaj - jesteście nie tylko kapitanem lejbgwardii, ale również profesorem tej... jak jej tam... nirwany? Profesorowie lubią mówić długo! - car spojrział wymownie na Pobiedinoscewa - Macie okazję zmienić tę opinię!

- Nirwana - Aywan postanowił mówić jak najkrócej. Wiedział, że czasu jest mało i nie mógł go zmarnować. - Nirwana - powtórzył - to droga ucieczki od cierpienia. Jest indywidualna, więc ma pewien posmak egoizmu. Do nirwany dążą *arhanci* - święci buddyzmu południowego. Celem lamaisty jest zostać *bodhisattwą*, czyli osobą, która może uciec przed cierpieniem, ale nie robi tego z miłości do innych ludzi, pragnąc

wspomagać ich w nieszczęściach.

-Jak daleko poza ten 'mniejszy' Tybet - zaciekał się cesarz - sięga Tybet 'większy'?

- Na południu - Aywan podniósł obie ręce jakby obejmował globus - jest obecny w Indiach: w Kaszmirze, Bhutanie i Sikkim, na północy - dochodzi do Zabajkala, z którego ja sam pochodzę - skłonił się znowu cesarzowi.
- A więc pod naszym berłem - znajdują się już wyznawcy tych... tam... bodhisattwów?
- Tak, Wasza Cesarska Mość! - Aywan znowu skłonił głowę w kierunku tronu - Od stu lat cesarski tron góruje również nad nami, Buriatami!
- Nie podlegają naszemu świętemu prawosławiu?
- Nie, Wasza Cesarska Mość - pod względem religii podlegają Dalajlamie z Tybetu!
- Nie bardzo mi się to podoba! - cesarz wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia. - Prawosławny patriarchat nam podlega i stanowi - Mikołaj podniósł głos - część naszej wiecznej Rosji! Więc Buriaci nie podlegają w swojej religii ani jemu, ani nam?
- Buriaci są wiernymi poddanymi waszej Cesarskiej Miłości! - odparł bez wahania Aywan - Tylko w kwestiach religijnych ich wzorzec znajduje się w Lhasie.
- Czyli ciałem są Rosjanami - zauważył kwaśno car - ale ich dusze mieszkają w Tybecie! A komu podlega ten Dalajlama z Lhasy? - Mikołaj zwrócił się z drażącym go pytaniem do Pobiedonoscewa.
- Dalajlama podlega cesarzowi Chin! - pospieszył z odpowiedzią

doradca - Ma tytuł najwyższego urzędnika dworu cesarskiego w zamian za co w Lhasie stacjonuje chiński rezydent z oddziałem wojska. Czyż nie tak? - zwrócił się do Ay-wana.

- Tak, to prawda! - potwierdził Aywan - Właśnie to pragniemy zmienić!
- Musimy to zmienić! - podkreślił cesarz - Nie możemy dopuścić aby nasi poddani z Zabajkala podlegali, nawet pośrednio, obcej władzy - a już szczególnie - cesarz wydawał się dobrze rozsierdzony - władzy dworu z Pekinu. Proszę -zwrócił się do Pobiedonoscewa - wydać ministrom w moim imieniu odpowiednie polecenia!
- Jeśli lud Tybetu, a z nim jego Dalajlama - wycedził Mikołaj - chcą naszego wsparcia i równie gorąco pragną poddania się opiece cesarza Rosji, muszą to zrobić - cesarz patrzył na Aywana z cynizmem władcy rozdającego karty - otwarcie i na piśmie! Tego oczekujemy - mówił - i damy Tybetowi ochronę przed Brytyjczykami, pod warunkiem, że Dalajlama wyrzeknie się poddaństwa wobec Chin. Wtedy - dodał z władczą tonacją głosu - weźmiemy Tybet w opiekę!

Mikołaj spojrział na Pobiedonoscewa wzrokiem tylko dla niego zrozumiałym. Ten, wyszedł z za tronu, stanął przed Aywanem i lekko uderzył go dłonią w ramię.

- Jego Cesarska Wysokość - powiedział donośnym głosem - doceniając w swej łaskawości Wasze zasługi dla Rosji, awansuje Was na stopień majora!

Aywan zaniemówił z wrażenia. W ciągu czterech tygodni -w drodze pomiędzy Irkuckiem a Petersburgiem awansował z kadeta na starszego oficera lejbgwardii. Sam już nie wiedział czy jest najpierw rosyjskim

oficerem, czy wysłannikiem mnichów z Tybetu do cara Rosji.

Mikołaj podniósł się bez słowa z tronu i skierował do wyjścia, znajdującego się na jego zapleczu. Audiencja była skończona.

9.

Po wizycie w Petersburgu, Aywan powrócił do Lhasy z mieszanymi uczuciami. Uzyskał od Wittego zapewnienie pomocy finansowej, a od Pobiedinoscewa - wsparcia militarnego. Niczego jednak nie dostał na piśmie. Nie wiedział, czy Dalajlama będzie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Thub-ten Gyatso przyjął go jednak radośnie.

- Słyszałem o twoich sukcesach w Petersburgu!
- Wasza Świątobliwość! - Aywan uważał, że po powrocie z rządowej misji powinien używać przepisowych zwrotów -Jest pewien sukces! Moja audiencja u cara Mikołaja II odbiła się echem w dyplomacji i spowodowała, że mogłem wracać do Lhasy otwarcie, a nie chyłkiem. Jednak warunki rosyjskiej pomocy są twarde.
- Jakie to warunki? - dopytywał się Thubten.
- Po pierwsze - Aywan mówił nadal oficjalnym tonem -cesarz Rosji oczekuje oficjalnego pisma rządu Tybetu z prośbą o pomoc i otoczenie go monarszą opieką.
- A po drugie?
- Po drugie - Aywan starał się ostrożnie wprowadzać Dalajlamę w rosyjskie żądania - pragnie widzieć Waszą Świątobliwość jako swego poddanego, na równi - dodał pośpiesznie - z prawosławnym patriarchą Moskwy.

- Czyli miałbym być - dziwił się Thubten - czymś w rodzaju biskupa?
- Raczej arcybiskupa, Wasza Świątobliwość! Nad Wami - Aywan chciał, aby Thubten miał jasność, co do miejsca patriarchy w rosyjskim systemie władzy - byłby już tylko sam cesarz.
- Teraz, przynajmniej formalnie - zauważył Thubten - Dalajlama jest najwyższym urzędnikiem dworu chińskiego i rządzi w imieniu cesarza Chin w Tybecie. A więc - zastanowił się chwilę - nic by się właściwie nie zmieniło. Przeszlibyśmy tylko z 'opieki' Chin pod 'opiekę' Rosji. Czyż nie tak?
- Prawie tak! - odparł Aywan. - Moglibyśmy zażądać, aby Wasza Świątobliwość został takim właśnie arcybiskupem buddyjskim, ale na całą Azję, nie tylko na Tybet.
- Całą Azję? - zainteresował się Thubten. - Czyli, że nasza zwierzchność objęłaby szkołę *therawada*, a więc - Cejlon, Birmę, Syjam, Kambodżę i Laos?
- Formalnie tak by było, tyle tylko - Aywan był realistą - że nie jest ona i nie znajdzie się szybko pod rosyjską władzą.
- Wiem, wiem! - rzekł Dalajlama - Cejlon i Birma są brytyjskie, a Laos i Kambodża - francuskie. Pozostaje Syjam.
- Niezupełnie! - zauważył Aywan. - Przecież szkoła *thera-wady* nie ma żadnej hierarchii. Nie za bardzo dałoby się tę zwierzchność wykonywać.
- Chyba, że Rosjanie wyparliby z południa Anglików i Francuzów? - głośno myślał Dalajlama. - Wtedy uzyskalibyśmy wsparcie polityczne a wraz z nim zdolność do narzucenia naszej struktury.

- Prawdę mówiąc - Aywan miał wyrobione zdanie - *therawada*, czyli 'nauka starszych' różni się od nas nie tylko kwestią podejścia do nirwany. Oni chcą wyzwolenia indywidualnego, a my poświęcania się *bodhisattwów* na rzecz śmiertelników. *Tlierawada* jest wytworem innych okoliczności geograficznych i przyrodniczych.

- Co masz na myśli?

- Surowość warunków życia w Tybecie i Mongolii - ciągnął Aywan - sprawiła, że zespoły klasztorne (bo to są zespoły, a nie klasztory) pełnią u nas funkcję miast. Są ośrodkami myśli buddyjskiej, ale również centrami gospodarczymi. Życie rolników i życie miast, których jest niewiele, koncentruje się wokół zaopatrywania klasztorów w niezbędne produkty. Tylko, że - Aywan doskonale rozumiał mechanizm tej społecznej struktury - mnichami są chłopskie dzieci. Chłopi wiedzą, że w gruncie rzeczy to je, własne dzieci, żywią w klasztorach, a nie obcą masę bezimiennych mnichów.

- Co to ma do rzeczy? - zdziwił się Thubten.

- Oczywiście, że ma! - odparł Aywan - Buddyzm południowy tej struktury nie potrzebuje. W tropikalnym klimacie i przy gęstym zaludnieniu nie są konieczne nasze surowe zasady. Tam wystarczy dwa razy dziennie wysłać mnichów z pro-

szalnymi miseczkami do okolicznej ludności i trudna praca nad zapewnieniem klasztorom zaopatrzenia staje się zbędna! Poza tym - ciągnął - nie bez powodu Chińczycy nadali nazwę Syjamowi. Słowo *siam* - jest synonimem kraju bez głodu. W tropikalnych dżunglach Indochin rośnie prawie trzysta odmian jadalnych owoców, a u nas nie chce rodzić

żadne drzewo owocowe!

- A jednak myślę - myślał głośno Thubten - że takie żądanie trzeba Rosjanom postawić. Trzeba im, nazwijmy to -Thubten roześmiał się głośno - przedłużyć wędkę. Z tego, co mówisz wynika, że Rosja to kraj o nieograniczonych ambicjach terytorialnych.
- Rosja - Aywan znał ten kraj od dzieciństwa - to pogro-bowiec Czyngis-chana!
- To dobrze, czy źle? - zapytał Thubten - Mów, przecież jesteś stamtąd!
- Dla nas dobrze! - odparł Aywan - Rosja jest krajem, któremu zatrzymanie się w ekspansji grozi zapaścią. To państwo, które nie potrafi powiększać bogactwa wytwarzanego rękami poddanych i które - jak dawne imperium mongolskie - jest skazane na nieustanne rabowanie innych. Dla Rosji ruch, rozprzestrzenianie się - jest wszystkim. Zatrzymanie się na określonych granicach - to klęska i groźba wewnętrznego rozpadu.
- Dlaczego więc twierdzisz, że dla nas, to dobrze? - zdziwił się Thubten.
- Ponieważ Rosja nie zamierza zatrzymać się na żadnych granicach - Aywan takie wrażenie odniósł z wielu petersburskich rozmów - jest przepełniona misją zbawiania świata. Mianowała się kiedyś Trzecim i Ostatnim Rzymem!
- Nadal nie rozumiem, dlaczego ma to być dla nas korzystne? - pytał Dalajlama - To wszystko przecież znaczy tylko tyle, że i na rabowanie Tybetu przyjdzie czas, pytanie tylko kiedy?
- W tej podróży widziałem prawie połowę Rosji - Aywan miał zamiar wygłosić ryzykowną tezę - i sędzę, że jest ona na

ostatnich nogach. Jej potęga jest pozorna. Przemysł, poziom ludzi, ich wykształcenie, odstają daleko za europejskim, nie mówiąc o brytyjskim. Rosja ten wyścig przegra! To jednak, co dla nas jest najważniejsze - to fakt, że jest silniejsza od Chin.

- Uważasz, że Chiny są większym zagrożeniem niż Brytyjczycy?
- Tak jest z całą pewnością! Na razie Chiny są daleko, ale jeśli to one wybudują linię kolejową z Pekinu do Lhasy, przyślą nam milion Chińczyków rocznie! W sześć lat zaleją nas Chinami i Tybetańczycy rozpląną się w tej masie razem ze swoją wiarą!
- Myślisz - ciekawił się Thubten - że pomimo wpływów buddyzmu w Chinach oni nie są prawdziwymi wyznawcami Oświeconego?
- Nie są i być nie mogą! - stwierdził Aywan z przekonaniem - Nasza wiara wymaga zaszczerpienia w człowieku odrobiny mistycyzmu. Żaden Chińczyk tego nie pragnie, to bardzo praktyczny naród! Oni, drogi Thubtenie - Aywan już czuł się znowu blisko Dalajlamy - szukają nieśmiertelności, a przynajmniej długowieczności. Oni kochają swoje ciała!
- A więc obawiamy się Chin, a nie obawiamy się Rosji! - pytał Thubten - Czy tak?
- Na dłuższą metę Rosja nam nie zagraża! - przekonywał Aywan - Nam, grozi niebezpieczeństwo inne niż Rosji. Jej wrogiem jest bezruch, ale bezruch jest naszym przyjacielem. Pamiętasz tyradę regenta, który twierdził, że każda zmiana wewnętrzna zniszczy kruchą równowagę Tybetu. Podważenie władzy Dalajlamy jest tak samo dla nas niebezpieczne, jak dla Rosji zachwianie samowładztwa cara. Tyle, że w

Rosji samo-władztwo się zachwieje z braku nowych podbojów, a u nas jedynowładztwo Waszej Świątobliwości - Aywan znowu wrócił do oficjalnego tytułu - zachwieje się w następstwie przenikania wzorców obcych. Wpływy rosyjskie są odległe, oddziela nas od nich cała połowa Azji i to do tego - pustynna połowa. Natomiast rosyjski patronat - tego Aywan był pewien - uchroni nas przed ingerencją chińską. Miejmy nadzieję -

Aywan zawahał się przez chwilę - że ochroni nas także przed Anglikami!

-Dobrze! - powiedział Dalajlama po chwili. - Jedziesz z powrotem do Petersburga, ale tym razem - z oficjalną delegacją rządową. Masz wolną rękę w ramach tego, o czym przed chwilą mówiłeś!

Dalajlama pomodlił się w milczeniu i uniół dłonie w geście błogosławieństwa.

- Niech prowadzi cię Oświecony! Wracaj szczęśliwie!

10.

Dwa następne lata Aywan spędził w podróżach między Lhasą a Petersburgiem. W marcu 1900 roku przybył do rosyjskiej stolicy na czele oficjalnej delegacji rządowej, tworząc międzynarodowy precedens uznania Tybetu *de facto* za kraj niepodległy. Zawiózł list Dalajlamy do cesarza Rosji z prośbą o pomoc finansową i wsparcie dyplomatyczne. W odpowiedzi car Mikołaj II wyraził wolę przekazania Tybetowi pomocy materialnej i równie oficjalnie nadał Thubtenowi Gyatso, XIII Dalajlamie Tybetu, tytuł Wielkiego Biskupa Wschodniego Kościoła Ortodoksyjnego. W ten sposób - przynajmniej formalnie - cały buddyzm Azji, niezależnie od jego odmiany - znalazł się za pośrednictwem Dalajlamy pod opieką cara

Rosji.

Po raz trzeci Aywan pojawił się w Petersburgu w kwietniu 1901 roku. Ponownie złożył wizytę Sergiuszowi Witte, ministrowi finansów, uzyskał też posłuchanie u ministra spraw zagranicznych. W trakcie formalnej audiencji, car Mikołaj II, potwierdził wolę przydzielenia Tybetowi znacznych środków finansowych na dozbrojenie wojska.

W Małej Sali Tronowej, w obecności ambasadorów, znowu zabrzmiało wywołane przez szambelana nazwisko: 'Iwan Móngkewicz Dordżijew', tym razem z dodatkiem: „minister pełnomocny rządu Tybetu"! Aywan wszedł na salę pewnym krokiem i z satysfakcją odnotował pobladłą twarz ambasadora Cesarstwa Chin.

-Wasza Cesarska Mość! - powiedział pełnym głosem - W imieniu Jego Świątobliwości Thubtena Gyatso, XIII Dalajlamy Tybetu i Wielkiego Biskupa Wschodniego Kościoła Ortodoksyjnego, zasiadającego na Lwim Tronie świętego miasta Lhasy - Aywan świadomie użył wszystkich tytułów swojego modawcy, aby nadać anonsowi niemal monarsze brzmienie - oddaję świętą ziemię Tybetu pod opiekę Waszej Cesarskiej Mości w oczekiwaniu monarszej łaski i miłości!

Mikołaj wyglądał na zadowolonego. Równie uważnie, jak Aywan, przyglądał się reakcji ambasadora Cesarstwa Chin. Twarz tego ostatniego zmieniła się w grymas oddający mieszaninę strachu i bólu, tak jakby miał popełnić rytualne samobójstwo.

- Jesteśmy wielce radzi - mówił powoli z wysokości tronu car - zobaczyć naród świętego Tybetu w gronie ludów, które wielka Rosja ma pod swoją opieką! Co jeszcze chce nam powiedzieć jego

przedstawiciel?

- Wyrażam przekonanie Jego Świątobliwości, Dalajlamy Tybetu - mówił Aywan - że sojusz Imperium Rosji oraz Świętego Tybetu będzie wydarzeniem na skalę epoki i zniechęci -Aywan przeniósł na chwilę wzrok na wąsatego ambasadora angielskiego, stojącego w rzędzie naprzeciwko poselstw Chin i Japonii - władze Indii (celowo nie dodał słowa 'Brytyjskich') do spiskowania przeciwko mojemu krajowi. - Inaczej niż Chińczyk, Anglik nie poruszył się ani na chwilę, jakby słowa Aywana nie dotyczyły go wcale.
- Jeśli tak się nie stało - car wyraźnie ważył słowa - i jakieś wrogie siły nastawały na miłowany przez nas Tybet - tym razem spojrzął badawczo na Anglika - potraktujemy to jak zamach na prawa suwerennego państwa.

W sali słyhać było brzęk skrzydełek jakiejś zagubionej muchy. Cisza była tak pełna, jak gdyby obecni byli w pełni świadomi wagi wydarzenia, którego byli świadkami.

-Cesarstwo Rosji - Mikołaj zmarszczył władczo brwi - wysłał do Lhasy swoje stałe poselstwo dyplomatyczne i oczekuje tego samego od rządu Tybetu! Dla wspomnienia zaprzyjaźnionego narodu - dodał car po chwili ciszy - Rosja zabezpieczy powrót delegacji tybetańskiej do kraju dając wojskową eskortę, która zawiezie do Lhasy pierwszy transport wyposażenia wojskowego. Będziemy bronić jego suwerenności ze wszystkich sił! - zadeklarował na koniec.

Ambasador Chin wyglądał na bliskiego omdlenia. Anglik stał sztywno wyprostowany, jakby brytyjska flegma skleila mu kręgosłup. Aywan miał

wrażenie, że stało się coś, czego następstwa będą trudne do przewidzenia.

Rozdział ósmy. WOJNA Z BRYTYJCZYKAMI, 1903-1904.

1.

Anglicy nie ukrywali niezadowolenia. Południową Azję od dawna mieli za swoją. Z Rosjanami mieli na pieńku, odkąd penetracja caratu ruszyła z w kierunku Oceanu Indyjskiego. Rosja szła z wysokich gór Pamiru do Afganistanu, ale ten górzysty kraj zaludniony wojowniczymi Pusztunami, bronił się skutecznie. Stał się granicą, rozdzielającą wpływy obu potęg. A Tybet? Anglicy uważali go za jeszcze trudniejszy do opanowania, tymczasem wpadał w ręce rosyjskie z łatwością dojrzałego owocu. Londyn postanowił działać.

W 1903 roku, rezydujący w Kalkucie wicekról Indii, lord Curzon ogłosił, że Anglia nie będzie tolerować w Tybecie interwencji żadnego kraju europejskiego i stanie w obronie chińskiej suwerenności. „Każda próba - głosiło oświadczenie - godząca w uprawnienia Chin z całą pewnością spowoduje okupację Lhasy przez armię Indii Brytyjskich”. Dla wykazania, że nie ma żartów, Anglicy wkroczyli do Kampa Dzong, miejscowości na południowych krańcach Tybetu. Rosyjska odpowiedź była równie stanowcza. „Rząd rosyjski” - ostrzegła oficjalna nota - „uważa angielską ekspedycję za próbę wywołania bardzo poważnej sytuacji, która zmusza do podjęcia kroków mających na celu ochronę interesów Rosji w regionie”. Jednak Anglicy byli stanowczy i nie zamierzali ustąpić. Najwyraźniej uznali, że sięgnięcie przez Rosję wpływami po Himalaje zagraża ich interesom na całym kontynencie.

„Jeśli dostrzeżemy jakiegokolwiek oznaki rosyjskiej aktywności w Tybecie” - głosiła odpowiedź brytyjska - Wielka Brytania odpowie nie tylko akcją o podobnym znaczeniu, ale znacznie poważniejszą od rosyjskiej”. Dalajlama i rząd tybetański obserwowali wymianę wzajemnych ostrzeżeń z narastającym zaniepokojeniem. Wypadki toczyły się niespodziewanie szybko i w zupełnie nieprzewidzianym kierunku.

Wiosną 1903 roku w pałacu Potala miała miejsce gorączkowa narada. Dalajlama wezwał naczelnego dowódcę armii - Dapona Ladinga. Konsternację wywołała zmiana stanowiska Rosji, coraz mocniej wiązanej w Mandżurii i północnych Chinach niespodziewaną aktywnością Japonii. Nie było jasne, czy Rosjanie grają tylko na zwłokę, czy też po prostu nie mogą wykonać swoich zobowiązań. Aywan czuł się odpowiedzialny za powodzenie rosyjskiej opcji, miał powody czuć się zaniepokojony przeszkodami w realizacji planu.

- Wiele wskazuje na to, że Anglicy potraktowali nasz układ z Rosją jako *casus belli* - zaczął analizę od stanowiska Wielkiej Brytanii. - Uważają całą południową Azję za strefę swoich wpływów, a rosyjską obecność po północnej stronie Himalajów za zagrożenie interesów.
- Inaczej - wtórował Hutuktu, były regent, teraz doradca Dalajlamy - nie gromadziliby wojska na granicy z Księstwem Sikkim.
- Istnieje możliwość pokojowego rozwiązania! - Dalajlama był spokojny - Nadszedł kolejny list od gubernatora Indii, sugerujący taką możliwość, jeśli rozpoczniemy negocjacje sami, bez oglądania się na Pekin.
- Czy bez gwarancji bezpośredniej akcji ze strony Rosji -pytał Aywan - stać nas na rzucenie wyzwania Chinom? Tutaj, w Lhasie, rezyduje ich

minister do spraw Tybetu i nie mamy prawa prowadzić samodzielnie rozmów z innymi krajami. Nasza polityka zagraniczna jest w rękach Pekinu.

- Jeśli porozumiemy się z Anglikami - mówił Hutuktu -zażądają otwarcia naszych granic dla handlu. Przyjdą tak czy owak!
- Jeśli się nie porozumiemy - dodał Aywan - mamy wojnę! Czy wojna jest bezpieczniejsza od porozumienia? Czy w ogóle mamy szansę nie wpuścić Anglików do Lhasy?

Spojrzenia zgromadzonych spoczęły na Daponie Ladingu -naczelnym wodzu armii. Dowództwo wojskowe podlegało chińskiemu rezydentowi, ale w rzeczywistości nie miał nad nim żadnej kontroli. Lading był zawodowym żołnierzem. W ręce trzymał włochatą czapę z czarnego futra. Ubrany w mundur tybetańskiego oficera, pełen ozdobników i kolorowych naszywek wydawał się Aywanowi, znającemu doskonale umundurowanie, uzbrojenie i umiejętności rosyjskiej piechoty, jakiś nierealny. W strojnych i barwnych mundurach wojsk tybetańskich dostrzegał tylko dowód na to, że ta armia od pokoleń nie brała udziału w poważnych walkach.

- Teren dla Anglików jest bardzo trudny! - powiedział La-ding - Mają opanowany przyczółek w Kampa Dzong, ale wojska gotowego do akcji jest po ich stronie mało.
- To znaczy, ile? - interesował się Dalajlama.
- Nasi ludzie donoszą - odrzekł Lading - że gotowych do walki jest w tej chwili trzystu uzbrojonych żołnierzy piechoty, wyposażonych do walk w górach oraz drugie tyle w służbach transportu i zaopatrzenia.

- Za pomocą trzystu żołnierzy chcą rzucić nas na kolana? -oburzył się Dalajlama - Ile my mamy wojska?
- Sześć *daponów* piechoty, z których każdy liczy pięciuset żołnierzy. Razem trzy tysiące trzystu dwudziestu ludzi gotowych do walki! - meldował po wojskowemu Lading.
- Jedenaście razy więcej, niż dysponują w tej chwili Anglicy!?! - Dalajlama prawie krzyczał - I oni chcą wygrać z nami wojnę trzystu żołnierzami?

Aywan miał na końcu języka pytanie o stan uzbrojenia armii tybetańskiej. Wiedział, że jest archaiczne, ale obawiał się, że Dalajlama zdecyduje się na negocjacje z Brytyjczykami. Opcja rosyjska, której poświęcił tyle czasu i trudu, pójdzie do kosza. Tymczasem, pierwszy transport rosyjskiego uzbrojenia, na razie jeszcze bez artylerii, dotarł do Lhasy. Miał nadzieję, że starczy czasu na wyszkolenie żołnierzy. Zapadło milczenie.

-Nie będzie negocjacji! - zdecydował Dalajlama - Jeśli Anglicy zaatakują, przyjmimy ich tak jak na to zasługują!

2.

Po drugiej stronie granicy - w Dardżiling, narady były równie nerwowe. Miasto, położone w pobliżu styku granicy księstwa Sikkim i Królestwa Nepalu, na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów, zdążyło stać się najbardziej znaną w Indiach miejscowością uzdrowiskową i wypoczynkową. Na wojenną naradę przybył sam wicekról Indii - lord Curzon i wyznaczeni dowódcy przyszłej akcji - pułkownik Francis Younghusband oraz major

Claude White - oficer łącznikowy w księstwie Sikkim. Dołączył również Richard Parr - Anglik zatrudniony na czas negocjacji z brytyjskimi władzami Indii przez rezydenta chińskiego.

Tak jak Indie stanowiły klejnot w brytyjskiej koronie, tak kariera Curzona była równie wzorcowa. George Nathaniel Curzon, Pierwszy Markiz Kendleston, wybrany został do Parlamentu już w wieku dwudziestu siedmiu lat. Piastował funkcję podsekretarza stanu do spraw Indii, podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, aby w 1899 roku zostać powołanym na generalnego gubernatora i wicekróla Indii. Tutaj zasłynął z reform: zreorganizował indyjskie finanse, rozwinął prace irygacyjne, usprawnił handel i sparaliżował rodzący się indyjski nacjonalizm poprzez podział Bengalu -na wschodni, muzułmański i zachodni - hinduistyczny. W Wersalu, po wielkiej wojnie, pojawi się jako minister spraw zagranicznych rządu Jej Królewskiej Mości.

-Wszystko wskazuje na to, że akcja wojskowa jest nieunikniona - rozpoczął naradę Curzon.

Spod gęstych wąsów wicekróla wydobywały się kłęby dymu z ulubionego gatunku cygara. Curzon palił aromatyczne cygara, a właściwie - coś w rodzaju cygar, produkowanych z tytoniowych liści używanych w Indiach także do produkcji cygaretek. Nie oklejane bibułką i nigdy nie paczkowane, sprzedawane są w pęczkach jak szparagi. Indyjskie restauracje i herbaciarnie są pełne zapachu wonnego dymu, bardziej przypominającego kadzidelka, niż ciężki dym amatorów tytoniu uprawianego na Karaibach i południowo-amerykańskich plantacjach.

-Chińczycy - Curzon wydmuchnął przed siebie kłęb niebieskiego dymu. Prawdziwy palacz nigdy się ich dymem nie

zaciąga, jest za ciężki, pozostawia się go w powietrzu dla innych - znowu udają, że nie wiedzą, o co chodzi. Chcą przysłać delegację od ich przedstawicielstwa w Lhasie, które i tak nie panuje nad sytuacją!

- Rezydent chiński - dorzucił White - ma zaledwie kilkunastu żołnierzy ochrony osobistej i nikt się z nim nie liczy. Dalajlama z Potali i tak zrobi, co zechce.
- Proponowałem Dalajlamie - przypominał Curzon - międzyrządowe porozumienie, regulujące zarówno rozgraniczenie Indii i Tybetu, jak również otwarcie kraju dla handlu. Zbył mnie milczeniem.
- Liczy na interwencję rosyjską! - Youngusband był, jak zawsze, ubrany w nienagannie wyprasowany mundur z dystynkcjami pułkownika. W ręce trzymał w przepisowy sposób, biały korkowy kask.
- Chyba się przeliczył! - powiedział Curzon. - Nasza dyplomacja pracuje nad japończykami, aby zajęli Rosjan w Mandżurii na tyle, by zabrakło im czasu na Tybet.
- Londyn - zdziwił się White - chce napuścić żółtych na białych? Tego jeszcze nie było!
- Rosjanie - odparł Curzon - tylko wyglądają na białych! W duszy są Azjatami. Poza tym idzie o to, aby ich czymś zająć, gdy my będziemy brali Tybet. Japończycy i tak nie dadzą im rady! Mamy - uśmiechnął się szeroko - spokojne sumienie.
- Jednak - zauważył Parr - zajęcie Lhasy będzie potraktowane przez Pekin jako zamach na jego suwerenne prawa. Atakując Tybet, zaatakujemy, w gruncie rzeczy, Chiny. Oni - ciągnął - przyzwyczaili się

już do naszej obecności na wybrzeżu - w Hongkongu i Szanghaju. Od strony Indii czują się bezpiecznie.

- Cesarstwo chińskie - przypomniał Curzon - jest w rozkładzie. Praktycznie nie ma cesarza. Guanxi jest marionetką w rękach regentki - cesarzowej wdowy Cixi, starej rozpustnicy i zdolnej intrygantki, ale pozbawionej talentu do rządzenia. Dogasa powstanie bokserów. Dwór chiński jest zainteresowany dalszym trwaniem, niczym więcej. Od strony Chin - ciągnął - nic nam nie grozi. Rosjanie, nawet gdyby mogli interweniować - nie zdążą. Stąd, do Lhasy jest niespełna dwieście mil, a od rosyjskiej granicy - tysiąc mil więcej. Nie ma sposobu, by zdążyli.
- Jaką siłę przedstawia tybetańskie wojsko? - zapytał Parr'a Younghusband, jedyne, który je widział w Lhasie.
- Powiem jako cywil! - odparł Parr - Żadną! Jest ich parę tysięcy, ale wyglądają jak armia średniowiecznych górali. Nie mają nowoczesnej broni, tylko - zaśmiał się głośno - stare, chińskie muszkiety, białą broń, łuki i - wyobraźcie sobie panowie - proce!
- Będzie to więc - zauważył White - 'spacerek wojskowy'?
- Nie jestem tego pewien! - powiedział zamyślony Younghusband - Spotkałem kiedyś w Tybecie młodego mnicha. Z mojego karabinu wystrzelił z biodra i trafił w komorę szarżującego jaka. Ale on nie był Tybetańczykiem - płynnie mówił po rosyjsku.
- Wywiad doniósł - informował zebranych Curzon - że pierwsza partia rosyjskich karabinów dotarła już do Lhasy, ale Tybetańczycy nie potrafią z nich strzelać. Trzeba się pospieszyć! Pułkowniku! - zwrócił się do Younghusbanda - Zaczynamy akcję jak najprędzej! Tymczasem -

zwrócił się do Parr'a - dokonamy ostatniej dyplomatycznej próby.

Proszę dostarczyć rezydentowi chińskiemu w Lhasie notę następującej treści:

- (1) W związku z brakiem możliwości kontrolowania Tybetu przez kolejnych rezydentów rządu chińskiego, czego przyczyną jest brak realnej władzy, rząd Indii zamierza przedstawić nowy traktat przedstawicielom rządu tybetańskiego i nie będzie odtąd uznawał zwierzchności rezydenta chińskiego nad Tybetem.
- (2) Jeśli rząd tybetański odmówi przysłania negocjatorów, Wielka Brytania będzie zmuszona do ingerencji i przejmie władzę nad krajem w zastępstwie rządu chińskiego.

Richard Parr zobowiązał się dostarczyć notę bezpośrednio do rąk Sheng Taia - chińskiego rezydenta w Lhasie, chociaż wiedział, że nie ma on wystarczających pełnomocnictw, aby na ultimatum odpowiedzieć. Wojna wisiała w powietrzu.

3.

W lipcu 1903 roku oddział, składający się z kilkuset brytyjskich żołnierzy pod dowództwem Younghusbanda zajął ponownie Kampa Dzong, miejscowość u podnóża Himalajów. Brytyjczycy zażądali bezpośrednich rozmów z przedstawicielami rządu tybetańskiego. Na rozmowy - zgodnie z tradycją nadzoru nad polityką zagraniczną Tybetu - Yu Gang, rezydent Pekinu w Lhasie, wysłał swoich przedstawicieli. Younghusband odmówił rozmów, twierdząc, że nie posiadają wystarczających pełnomocnictw, ani z Pekinu, ani z Lhasy. Dwór cesarski rozkazał udać się do Kampa Dzong samemu rezydentowi, ale przeciwko temu zaprotestował, z kolei, rząd tybetański, blokując mu drogę. Jednocześnie

Dalajlama wysłał do Kampa Dzong siedmiuset żołnierzy tybetańskich z rozkazem przygotowania pozycji obronnych. Wojsko obsadziło również linię przedgórzy Himalajów - od Xigaze do Phari. Brytyjczycy uznali, że w sytuacji liczebnej przewagi Tybetańczyków ryzyko jest zbyt duże i wycofali się z Kampa Dzong na południe.

- Jednak Tybetańczycy wiedzą, co to wojskowe rzemiosło i nie czują się całkiem bezbronni - stwierdził kwaśno Curzon na kolejnej radzie wojennej.
- Są potomkami wojowniczych górali! - zauważył Parr - Nie należy ich nie doceniać!
- Sprawa zostanie załatwiona - zapewnił Younghusband - ale potrzebujemy uzupełnienia i przegrupowania!
- Jak wielkiego uzupełnienia pan potrzebuje, pułkowniku? - pytał Curzon.
- To trudny teren i - przyznał Younghusband - niespodziewanie dzielny przeciwnik.
- Nie możemy skierować na tę wyprawę całej indyjskiej armii! To, co mogę dać panu do dyspozycji - to niepełna dywizja uzupełniona nepalskimi Gurkhami.
- Dywizja wystarczy! - odrzekł pułkownik - Uzyskamy wtedy przewagę rzędu trzydzieści procent. Biorąc pod uwagę siłę ognia i umiejętności Gurkhów - jak by nie było także narodu górali - wejście do Lhasy, to tylko kwestia czasu.
- Trzymam Pana za słowo, pułkowniku! - powiedział Curzon.
- Jak Pan myśli? - zwrócił się do Parr'a - Na co oni, ci Ty-betańczycy,

właściwie liczą? Nie chcą pośrednictwa Pekinu. Chyba nie spodziewają się wygrać z nami wojny?

- Są pewni rosyjskiej interwencji - odparł Parr - i objęcia Tybetu carskim parasolem ochronnym. Z trzech potencjalnych przeciwników - Anglii, Chin i Rosji - najmniej obawiają się Rosji. To proste - Rosja jest daleko!
- Tym bardziej więc - Curzon powstał z fotela na całą wysokość - trzeba im pokazać, że nie mają na co liczyć! Rosjanom też przyda się nauczka!

W pełni zimy, 11 grudnia 1903 roku, wojska brytyjskie przekroczyły przełęcz Dżaleb-ba, leżącą na wysokości czterech tysięcy trzystu metrów i w dwa dni później zajęły przedpola Yadongu, już po tybetańskiej stronie wielkich gór. Dowództwo tybetańskie nie spodziewało się ataku od tej strony, pozostawiając do obrony przełęczy tylko nieliczne oddziały. Anglicy bez trudu zajęli całą nadgraniczną dolinę. Dwa dni później opanowali sam Yadong i przejęli pięć ton rosyjskiej amunicji oraz cały transport broni ręcznej. Tybetańczycy nie zdążyli wyszkolić ludzi. Siódmego stycznia wojska brytyjskie przeszły przez kolejną przełęcz - Dang-la, leżącą na wysokości czterech tysięcy siedmiuset metrów i posuwały się dalej nie napotykając oporu. Niedaleko wioski Tuna, dwieście metrów poniżej przełęczy, brytyjska straż przednia napotkała trzy *dapony* wojsk tybetańskich, liczące razem ponad tysiąc pięciuset żołnierzy dowodzonych osobiście przez Ladinga. Anglicy, nie mając wystarczających sił do podjęcia walki, zaproponowali rozmowy. Lading wyraził zgodę, pod warunkiem, że oddziały brytyjskie wycofają się poza przełęcz Dang-la - z powrotem do Yadongu. Youngusband grał na

zwłokę. Brytyjska straż przednia i oddział Ladinga zaległy naprzeciwko siebie na dwa miesiące. Lading czekał na dalsze rozkazy z Lhasy, Younghusband - na karabiny maszynowe, idące za nim wraz z głównymi siłami. W swoich wspomnieniach napisał później: „Tybetańscy wojownicy mogli załamać nasze linie obronne szybkim atakiem. Gdyby przebili się przez nasz cieniutki front, mogli zająć kwaterę główną i zagrozić całej mi-sji”.

Tybetańczycy nie atakowali, oczekując chyba, że zdarzy się jakiś cud i do walk nie dojdzie. Brytyjskie posiłki przybyły 28 marca. Younghusband poinformował Ladinga, że zgadza się na rozmowy, ale w Gyangze, czyli na zapleczu wojsk tybetańskich i rozkazał oddziałom brytyjskim zająć pozycje na okolicznych wzgórzach, otaczając Tybetańczyków. Mając ich jak na dłoni zażądał kapitulacji i złożenia broni. Lading kategorycznie odmówił. Żaden z jego żołnierzy nie drgnął w szeregu. I wtedy się zaczęło! Younghusband dał znak rozpoczęcia akcji. Góry zatrzęśły się od serii z ciężkich karabinów maszynowych. Lading padł jako jeden z pierwszych. Szeregi przewracały się w kałużach własnej krwi jak wojsko ołowianych żołnierzyków. Niektórzy próbowali ruszyć na kryjącego się za skałami przeciwnika z białą bronią w ręku. Kule roztrzaskiwały im głowy w ułamkach sekundy. W ciągu kilku minut masakry z trzech tybetańskich *daponów* polegli prawie wszyscy. Kilkudziesięciu rannych broniło się zaciekle, ale większość została dobita z broni ręcznej. Younghusband był wstrząśnięty widokiem poskręcanych, ruszających się jeszcze ciał w ziemi zmieszanej z krwawym błotem. Droga do Lhasy stanęła przed Anglikami otworem. Misja mogła być wypełniona.

4.

Dalajlama, dwunasta reinkarnacja świętego Geduna Truppy, płakał jak dziecko. Nie zważał na członków rady wojennej. Czuł się odpowiedzialny za śmierć półtora tysiąca ludzi. Aywan usiłował uspokoić przyjaciela, ale sam był głęboko wstrząśnięty masakrą pod Tuną.

- Słusznie Oświecony - zawodził Thubten Gyatso - zakazał wyznawcom wojowania. Po co ta śmierć?
- Wasza Świątobliwość! - powiedział ponuro Hutuktu - To dopiero początek wojny. Jeśli poddamy się teraz, jesteśmy całkowicie na łasce Anglików, a Rosjanie nie zdążą z pomocą!
- Tybet, to wielki kraj! - uspokajał Dalajlamę Aywan - Bardzo trudny do zdobycia, jeszcze trudniejszy do utrzymania. Anglicy - zapewniał - sparzą sobie ręce tym zwycięstwem. Trzeba walczyć dalej! Mamy przecież rezerwy!
- Co te nasze rezerwy - Dalajlama już był spokojny - z ich łukami, strzałami i mieczami, znaczą przeciwko karabinom maszynowym? Ile razy można przeżywać masakry?
- Należy zmienić taktykę! - doradzał Pelse, zastępujący zabitego pod Tuną Ladinga. - Trzeba unikać frontalnego starcia, szarpać wroga z górskich zasadzek pod osłoną ciemności. Mamy jeszcze pewien zapas broni ręcznej i amunicji z rosyjskiego transportu. Trzeba tylko szybko wyszkolić ludzi.
- Nie zdążymy! - przestrzegał Hutuktu. - Porządne wyszkolenie zabrać musi kilka tygodni, a przez ten czas Anglicy będą w Lhasie.
- jest na to rada! - powiedział nagle Aywan.

Cisza była jedyną odpowiedzią członków rady. Wszyscy oczekiwali wyjaśnienia.

- Są tu - mówił - wystarczająco wyszkoleni ludzie, którzy mogliby wejść do akcji od razu. Ale to wymaga osobistej dyspensy Waszej Świątobliwości.
- Co to za ludzie? - Dalajlama był równie zaskoczony, jak wszyscy obecni.
- To mnisi, pochodzący z rosyjskiej Buriacji - Aywan postanowił odkryć tajemnicę tak licznego zaludniania tybetańskich klasztorów przez mnichów z za rosyjskiej granicy. - Nie wszyscy z nich przybyli tutaj z samych tylko przyczyn religijnych. Część z nich jest po intensywnym szkoleniu wojskowym.

Znowu zapadło milczenie.

-Jest co najmniej kilkunastu mnichów - mówił z pewnym oporem Aywan - których twarze pamiętam z Irkuckiej Szkoły Kadetów. Wielokrotnie toczyliśmy dysputy po rosyjsku by nie zapomnieć języka. Znam ich dobrze! Jeśli Wasza Świątobliwość da nam dyspensę i pozwoli, ze względu na szczególne okoliczności, wziąć broń do ręki...

- To co? - spytał Thubten - Pójdiesz walczyć w pierwszej linii? Przeciwno całej brytyjskiej armii i jej karabinom maszynowym?

•Nie, Wasza Świątobliwość! - wyjaśniał Aywan - Nie idzie o frontalne starcie. To byłoby samobójstwo! Idzie - spojrzał łagodnie na Dalajlamę - o zyskanie na czasie, czyli o to, by Wasza Świątobliwość miał możliwość opuszczenia Lhasy i podtrzymywania oporu.

•A gdzie miałbym się udać? - dziwił się Thubten - Większość wielkich klasztorów leży w dolinie rzeki Zangpo, w zasięgu marszu Anglików. Dalej są puste góry. Gdzie się ukryć?

•Nie myślę o Tybecie! - powiedział Aywan - Wasza Świątobliwość powinien pozostawić ograniczone pełnomocnictwa Jego Świątobliwości Panczenlamie z klasztoru Xigaze.

•Panczenlama - włączył się Hutuktu - jest drugim po Dalajlamie dostojnikiem Tybetu. Ale on - przypomniał - odkąd zawiódł się na Chińczykach, teraz nie ukrywa proangielskich poglądów.

•To bardzo dobrze! - uznał Aywan - Będzie wiarygodny dla Brytyjczyków, nie należy mu tylko pozostawiać zbyt szerokich pełnomocnictw. Ostateczne decyzje muszą zostać w rękach Jego Świątobliwości Dalajlamy, który tymczasem wyjedzie do Urgi.

•Do Mongolii? - zdziwił się Thubten. - Dlaczego do Urgi?

•Po pierwsze, dlatego - mówił Aywan - że Wasza Świątobliwość znajdzie tam przychylność Bogd-gegeena, najwyższego dostojnika Mongolii Zewnętrznej.

Zebrani słuchali wywodów Aywana z narastającą uwagą.

•Po drugie - ciągnął - Urga leży blisko granicy rosyjskiej. Tam zawsze możemy liczyć na wsparcie ze strony Petersburga. A przecież Wasza Świątobliwość, od dwóch lat, jest najwyższym dostojnikiem religijnym Rosji!

•Prawie zapomniałem o tym dostojęństwie! - roześmiał się już całkiem rozluźniony Dalajlama. - Rzeczywiście! - przy-

pomniał - Car Mikołaj II przesłał nam dokument powołania na tron

arcybiskupi.

- Zgodnie z rosyjską tradycją - tłumaczył Aywan - cesarz jest obrońcą Świętej Cerkwi i jej biskupów. Z całą pewnością roztoczy nad Waszą Świątobliwością opiekę i pozwoli działać. Trzeba tylko - dodał - znaleźć się pod jego władzą, czyli gdziekolwiek na rosyjskim terytorium lub tam, gdzie stoją rosyjskie garnizony.
- Na przykład w Mandżurii? - zapytał Pelse, z żołnierskiego obowiązku śledzący informacje o ruchach wojsk rosyjskich.
- W Mandżurii, w Kraju Ussuryjskim - potwierdził Aywan - ale i w Buriacji po rosyjskiej stronie, czy nawet w samym Irkucku. Tam byłoby najbezpieczniej.

Dalajlama w milczeniu patrzył, to na Aywana, to na zebranych doradców, jakby ważył najważniejszą decyzję życia.

-Masz zgodę - westchnął wreszcie - na organizację bu-riackiego oddziału i masz - zawahał się przez chwilę - dyspensę na wzięcie do ręki śmiertelnej broni! Nie sądziłem, że do tego kiedykolwiek dojdzie. Ale - podniósł obie dłonie w geście błogosławieństwa - idzie przecież o wielką sprawę! Idzie o losy Tybetu i jego świętej wiary!

5.

Starszego Cagaa odnalazł w klasztorze Sera. Nie potrzebował nawet przypominać mu gestu *suczi-mudry*, aby ten pojął wagę sytuacji i konieczność wypełniania poleceń. W ciągu dwóch dni Aywan miał do dyspozycji trzydziestu ludzi gotowych do walki. Nie pytał ich czy robią to ze względu na Tybet i dyspensę Dalajlamy, czy też ze względu na

wierność obowiązkom nałożonym na nich jeszcze w czasie szkoleń po rosyjskiej stronie. Zdumiał się tylko szybkością przemiany - z łagodnych mnichów w czerwono-brunatnych habitach w sprawny oddział wojskowy, jednolicie ubrany w kozackie mundury i włochate czapki, wyglądające w otoczeniu wysokich gór bardziej na tybetańskie, niż kozackie.

- Pewnie przyszły - pomyślał Aywan - w tym samym transporcie, co broń i amunicja. Magazynierzy bywają zadziwiająco dokładni!
- Dowództwo - Cagaa mówił jak rotmistrz - chce mieć prawdziwy oddział kozackiej kawalerii. Nie zapomnieliście chyba jazdy wierzchem?

Odpowiedział mu rehot śmiechu. Buriaci rodzą się na koniu, żyją na koniu i w końskiej stajni umierają - jak można zapomnieć jazdy konnej? - żartowali niedawni mnisi.

- Każdy fasuje karabin i zapas amunicji! - Cagaa otworzył wieko wielkiej drewnianej skrzyni - Zamiast szabli bierzecie po rewolwerze. Szabli nie dowieźli! - roześmiał się rubasznie - Dostaniecie tybetańskie! Niezbyt poręczne, ale siec nimi można! Lubicie te nasze nagany, sześciostrzałowe niezawodne cacka, nieprawda? - upewniał się z fasonem.
- Wyruszamy jutro o świcie! - komenderował Aywan. - Bierzecie ze sobą trzydniowy zapas *campy i wodę* w manierkach. *Sutecaj* zdobędziemy w polu. - Aywan celowo użył bu-riacko-mongolskiej nazwy herbaty z masłem, aby podkreślić etniczną jedność oddziału.

O świcie oddział kawalerii dołączył do kontyngentu świeżych wojsk, odchodzących na front. W mieście panowała patriotyczna euforia. Dalajlama, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, osobiście

błogosławił wojska wyruszające do walki. Jego tron, ustawiono na Parkorze, naprzeciwko głównego wejścia do świątyni Dżo-k'ang. Pułki przechodziły szeregiem, umożliwiając Dalajlamie dotknięcie głowy każdego z wojowników. Ludzie wierzyli, że błogosławieństwo Żyjącego Buddy stanowi niematerialny talizman, chroniący przed śmiercią. Taka świadomość ułatwiała taktykę masowego ataku z białą bronią, prowadziła jednak do ogromnych strat od ognia z karabinów i pocisków artyleryjskich. Oddział Aywa-na, trzydziestu konnych, doskonale wyekwipowanych 'tybetańskich kozaków', zbliżył się do tronu jako ostatni. Aywan widział łzy w oczach Thubtena Gyatso i sam nie ukrywał poruszenia.

-Obowiązek ponad wszystko! - zameldował słuźbiście

•Niech Oświecony prowadzi cię do zwycięstwa! - życzył Dalajlama.

•Pamiętaj - dodał - chcę cię widzieć z powrotem całego i żywego!

•Tak jest! - Aywan roześmiał się buńczucznie i spał konia.

6.

Anglicy, po masakrze pod Tuną, mieli już nie tylko przewagę psychologiczną, ale i taktyczną. Opanowali całą południową część Tybetu po rzekę Zangpo. Ludzie Aywana, wraz z głównymi siłami armii, znajdowali się na jej północnym brzegu, od której dzieliło Lhasę zaledwie kilka mil. Opuszczenie tej linii obrony było równoznaczne z poddaniem stolicy kraju. Opór był nakazem chwili. 13 lipca 1904 roku, armia brytyjska przypuściła atak na klasztor Nanying, znajdujący się w strategicznym punkcie drogi, prowadzącej z Gyangze do Xigaze. Tysiąc dwustu obrońców, uzbrojonych w domowej roboty samopaly przetrzymało

pierwsze natarcie. Jednak po artyleryjskiej nawale, która obróciła klasztor w rumowisko, obrońcy wycofali się do Xigaze. Wydawało się, że nic nie powstrzyma Brytyjczyków przed zajęciem Lhasy w ciągu najbliższych kilku dni. Wtedy, 29 maja, omal nie doszło do przełomu w całej kampanii. Tybetański oddział kawalerii znalazł się niespodziewanie na prawym brzegu Zangpo i gwałtownym natarciem zagroził brytyjskiej kwaterze głównej.

- *Gospodi!* - Aywan komenderował po rosyjsku. - Panowie! Dzisiaj nie wygramy tej wojny! Ale naszym zadaniem jest zadać nieprzyjacielowi jak największe straty i opóźnić jego marsz! Musimy - wołał - zaatakować samą kwaterę główną!

- Kwatera główna przed nami! - odkrzyknął z konia Cagaa.

- No, to naprzód! - rozkazał Aywan. - Pamiętajcie o taktyce! Jest nas mało. Naszą bronią jest szybkość i dyscyplina. Atakujemy ławą. Każdy dosięga przeciwnika strzałem z rewolweru. Macie - przypomniał - dwa nagany w olstrach, czyli dwanaście kul. Każda ma być celna! Idziemy - wołał Aywan - pełnym galopem! Przebijamy się przez linie nieprzyjaciela. Po

- drugiej stronie frontu - zawracamy! W nawrocie używamy karabinków. Ładujemy rewolwery ponownie. Znowu zawracamy! W powrotnej drodze znowu opróżniamy magazynki!

Oddział ruszył w kierunku dowództwa wojsk brytyjskich. Strzelcy z pierwszej linii obrony nie zdążyli nawet podnieść broni. Za chwilę, buriacka konnica była przed namiotami kwatery głównej Anglików. Rzeczywiście, każdy strzał był celny. Ochrona sztabu kładła się pokotem. Przebili się, znowu galop, nawrót. Jeźdźcy załadowali opróżnione

magazyńki. Gotowe! Naprzód! W czasie nawrotu, z namiotu dowództwa brytyjskiego wypadł wysoki oficer w polowym mundurze. Był bez broni. Upadła mu w pośpiechu biegu. Aywan miał go na muszce. Jeszcze chwila, a zwali się na ziemię. Rozpoznał Anglika. To był ten sam człowiek, którego uratował kilka lat temu na przełęczy Tou'erjishuan przed atakiem rozjuszonych jaków. Youngusband, zamiast korkowego kasku, miał na głowie błyszczący stalą angielski hełm bojowy, ale Aywan rozpoznał go bez trudu. Anglik, pewien śmierci, zatrzymał się przed galopującym jeźdźcem, oczekując strzału. Aywan nie strzelił. Zbliżył się do wyprostowanego na całą wysokość oficera i patrzył mu w oczy, które widział na przedłużeniu lufy nagana. Nie wiedział tylko, czy Youngusband go rozpoznał.

-A pytałem - wykrzyknął odważnie Anglik - czy Tybet idzie na wojnę!?

Aywan w oczach Youngusband'a, zamiast strachu, dostrzegł coś w rodzaju przekory.

-Idzie! - odkrzyknął Aywan - Ale ciebie oszczędzi! Dziekuj Oświeconemu i niezbadanemu łutowi szczęścia! Już drugi raz niebo pragnie cię żywego! Nie wiesz dlaczego?

Zadał pytanie z wysokości siodła, ale nie rozumiał przyczyny, dla której nie pociągnął za spust. Wojna to wojna! Przedtem, oddał kilkanaście celnych strzałów do biegających bezładnie oficerów i podoficerów sztabu. Youngusband był jednym z nich.

-Co mi kazało go oszczędzić? - myślał w galopie powrotu do swoich linii. Nie wiedział, czy mieć do siebie pretensję o chwilę słabości, czy też uznać swą wielkoduszność za cnotę.

7.

3 sierpnia 1904 roku pułkownik Younghusband na czele dwóch tysięcy żołnierzy odbył upragnioną defiladę na Parko-rze, przed frontem świątyni Dzo-k'ang. Nie odczuwał satysfakcji. Wiedział, że jest pierwszym dowódcą wojska, które zajęło zbrojnie świętą stolicę Tybetu. Nie odczuwał radości zwycięstwa nie tylko dlatego, że Brytyjczyków nie witano z przychylnością. Kolumna jeźdźców i szeregi piechoty posuwały się w kierunku Parkoru i Dzo-k'angu w szpalerze milczących mieszkańców miasta, tak jakby przeczuwali, że wejście Brytyjczyków oznacza początek końca ich tysiącletniej tradycji spokojnego życia wokół klasztorów i świętych miejsc. Na widok kolumny żołnierze klaskali. Younghusband już wiedział, że w Tybecie wspólne klaskanie dłońmi nie jest oznaką aplauzu, ale służy odpędzaniu złych duchów. Wraz z nim wkraczała do tybetańskiego średniowiecza nowoczesna Europa z jej ekspansjonizmem, przedsiębiorczością, wynalazczością i postępem. Ale pułkownik czuł, że mieszkańcy Lhasy niczego od niego nie chcą i niczego nie oczekują. Wolą swoje średniowiecze niż jego nowoczesność? Czegoś tu nie rozumiał. A może nie było nic do rozumienia?

Dalajlama wykorzystał czas, jaki dało mu opóźniające działanie buriackiego szwadronu. Aywan, wraz ze swoim oddziałem, doznał orszak Dalajlami dopiero w Amdo, na samej granicy z chińską prowincją Cjuinghai. Posuwając się spiesznym marszem, kawalkada nie mogła mieć nadziei na dotarcie do Urgi wcześniej niż po miesiącu. Na każdym postoju odbywały się gorączkowe dyskusje. Dalajlama, nie dowierzając Panczenlamie, wyznaczył regentem w Lhasie - *rimpocze* Gan-dena Tripa, który jako jego pełnomocnik mógł prowadzić negocjacje z Anglikami.

Energicznie działał też You Tai - nowy rezydent chiński, gotów na wiele ustępstw w Tybecie, pod warunkiem, że nie naruszałoby interesów Pekinu w innych częściach cesarstwa.

Anglicy znajdowali się pod silną presją swoich służb zaopatrzenia. Obawiano się zimy i zasypania przełęczy śniegiem, co mogło grozić odcięciem oddziału Youghusbanda od dostaw prowiantu. Zgodzili się na traktat, który ostatecznie podpisano 7 września 1904 roku w pałacu Potala. Warunki były surowe:

- (1) Rząd Tybetu uznał oficjalnie Sikkim za część Indii Brytyjskich i zrezygnował z wszelkich roszczeń terytorialnych w tym rejonie.
- (2) Wyraził zgodę na likwidację fortyfikacji między granicą a Lhasą oraz wszelkich przeszkód w wolnym handlu między Indiami a południowym Tybetem.
- (3) Zgodził się otworzyć dla handlu wszystkie ważniejsze miejscowości wzdłuż rzeki Zangpo - Gyangze, Xigaze, Gartok i Yadong.
- (4) Rząd tybetański przyjął na siebie obowiązek wypłacenia Anglikom 500 tysięcy funtów reparacji wojennych w siedemdziesięciu pięciu rocznych ratach.
- (5) Tybet zgodził się na warunek otrzymywania każdorazowej zgody Wielkiej Brytanii na jakiegokolwiek ustępstwa terytorialne na rzecz innego mocarstwa (szło o Rosję i Chiny) oraz na udzielanie koncesji na budowę kolei żelaznej, dróg bitych, łączności telegraficznej i eksploatacji bogactw naturalnych i konsultowanie tego rodzaju licencji z rządem brytyjskim.

23 września 1904 roku brytyjskie oddziały pośpiesznie, w obawie przed nadciągającą zimą, wycofały się z Lhasy i powróciły na terytorium Indii.

Teoretycznie, Tybet był znowu wolny.

8.

20 października 1904 roku, świta Dalajlamy dotarła do Urgi, stolicy Mongolii. Do rosyjskiej granicy było stąd nie więcej niż kilkadziesiąt wiorst. Aywan, po sześciu latach nieobecności w mieście spodziewał się zobaczyć miasto zmienione. Nie zmieniło się jednak nic. Czas stał tu w miejscu tak samo jak w Lhasie. Łamany po chińsku dach pałacu Bogd-gegeena był, jak dawniej, pokryty szarą dachówką i - jak dawniej - opierał się na kolumnach zdobionych ornamentyką rodem z Państwa Środka. Wieżyczka, wieńcząca portyk wejścia, jak kiedyś, starała się z całej budowli gdzieś uciec.

Jetsun Dampa VIII, świątobliwie panujący Bogd-gegeen Mongolii, przyjął uciekinierów z otwartymi ramionami. Na widok Aywana podskoczył i objął go czułym uściskiem.

• Jednak udało się! - wołał z radością - Byłeś w Petersburgu?

• Byłem - odparł Aywan - i do tego trzykrotnie!

• Chwat, *mołodiecl* - wyrwało się Jetsunowi po rosyjsku.

• Nie tylko byłem - wzmacniał swoją pozycję Aywan - ale miałem audiencje u samego cesarza i najważniejszych ministrów!

• Świetnie! Świetnie! - wołał Bogd-gegeen. Z szacunku dla Dalajlamy nie siedział, jak zwykle w czasie oficjalnych przyjęć gości, na swoim tronie pełnym różnokolorowych poduszek, ale stał wyprostowany naprzeciwko zgromadzonej w sali całej tybetańskiej delegacji.

• Chodźcie i odpocznijcie! - wołał - A was, Wasza Świątobliwość - zwrócił się do Dalajlamy - zapraszam do prywatnych apartamentów!

Dalajlama ujęty gościnnością Bogd-gegeena udał się we wskazanym kierunku, prowadzony przez osobistą służbę Jetsuna Dampy. Ten jednak pozostał w sali recepcyjnej spragniony relacji z pobytu Aywana w Petersburgu.

- Słyszeliśmy - zaczął z podnieceniem - że udało ci się przeciągnąć Rosję na stronę wiary w Oświeconego. Czy to prawda?
- Prawdę mówiąc, nie musiałem się zbytnio wysilać - o wszystko zadbali Rosjanie. Odniosłem nawet wrażenie, że mieściło się to w dawno opracowanych planach.
- To dobrze! To dobrze! - powtórzył Jetsun Dampa. -Wszyscy mamy dosyć wścibstwa Chińczyków i ich wywyższania się ponad sąsiadów.
- Nie wiem jednak - zauważył Aywan - czy nie będziemy na nich skazani? Brytyjczycy są w Lhasie, a Rosjanie nie kwapią się z pomocą.
- Teraz mają trudności! - zapewniał Bogd-gegeen, sprawiając wrażenie doskonale zorientowanego - Najpierw muszą wygrać wojnę z Japonią. Rosyjska Mandżuria jest gwarancją wyswobodzenia Mongolii od Chin. Potem przyjdzie kolej na Tybet!
- Mongolia, jest w innej sytuacji! - zauważył ponuro Aywan - Przez wasz kraj przebiega linia kolejowa z Rosji do Harbinu i dalej - do Portu Artura i Pekinu. My jesteśmy daleko, na marginesie głównego teatru!
- Rosjanie - śpieszył z pocieszeniem Jetsun - mają wielkie apetyty. Czy to prawda, że Dalajlama otrzymał od cara nominację na Wielkiego Arcybiskupa Wschodu?
- Tak, prawda! - przyznał Aywan - Jednak mam wrażenie, że Rosjanie

nie zdają sobie sprawy z tego, że buddyzm nie ma w sobie niczego, co upodobniałoby go do prawosławia i rozczarują się głęboko.

- Polityka, mój drogi - Bogd-gegeen był nadal podekscytowany - to wyłącznie gra dnia dzisiejszego. Jutro jest nam nieznane!

- Znany jest za to dzień wczorajszy. Mamy doświadczenie - odparł Aywan - i wiemy, jaki los spotkał patriarchat moskiewski z chwilą, gdy car miał już rozwiązane ręce.

-Wiem, co masz na myśli! - kiwnął głową Jetsun - Piotr I zlikwidował patriarchat i ustanowił w jego miejsce Świętobliwy Synod, a na jego czele postawił nie biskupa, ale urzędnika - oberprokuratora do spraw prawosławia.

-W ten sposób - dodał Aywan - Kościół podporządkowano władzy świeckiej i stał się zaledwie jednym z ministerstw w rządzie. Odebrano mu ziemie i majątki, zamknięto monastypy a samodzielna hierarchia przestała istnieć!

-Tak było! Prawda! - zawołał Bodg-gegeen - Mamy jednak zupełnie nową sytuację i Dalajlama jest najwyższym hierarchą duchownym w Rosji.

- Wasza Świętobliwość! - zdumiał się Aywan - Nie sądzicie chyba, że to nam przyjdzie nawrócić prawosławnych chrześcijan całej Rosji na buddyzm?

- A czemu nie? A czemu nie? - podniecał się Jetsun Dampa - Przecież istnieje przepowiednia państwowej wyroczni Tybetu!

- To Wasza Świętobliwość - Aywan nie ukrywał zaskoczenia - zna tajną przepowiednię wyroczni?

- Nic nie jest tajne, mój drogi - roześmiał się Bogd-gegeen -dla dobrze poinformowanych!
- Przepowiednia nie jest precyzyjna! - bronił się Aywan.
- To też wiem! - odrzekł Jetsun - Nie mówi dokładnie, czy to trzynasty Dalajlama będzie ostatnim, czy też ostatnia będzie trzynasta reinkarnacja Geduna Truppy, czyli Dalajlama czternasty. Ale też żadna przepowiednia nie grzeszy precyzją. Poza tym - był znowu podekscytowany - ważniejsze jest coś innego! To, że po tym wydarzeniu, buddyzm ma rozpocząć triumfalny marsz przez cały świat!
- Czy to jest właśnie to wydarzenie? - pytał Aywan.
- Musimy tak myśleć! - podniósł głos Bogd-gegeen - Inaczej przepowiednia się nie spełni!
- Wasza Świątobliwość sądzi - Awyan próbował myśleć racjonalnie - że triumfalny marsz buddyzmu przez świat zacznie się od Rosji?
- A czemu nie? - Jetsun był pewny swego - Rosja, to przecież najpotężniejszy kraj świata! Rosja, to Trzeci Rzym, a czwartego nie będzie! - chyba ponosiła go wyobraźnia - To znaczy, że Rosja będzie panować nad światem, a razem z nią panować będzie Wielki Arcybiskup Kościoła Wschodu, Świątobliwie nam panujący Dalajlama XIII! Czy możemy pragnąć czegoś więcej?
- Tyle, że Rosja jest na razie mocno zajęta! - powiedział głucho Aywan - Wojuje z Japonią w Mandżurii!
- Japonia - zawołał Jetsun - to kraj azjatycki. Jeszcze nigdy Azjaci nie wygrali wojny z Europejczykami!
- Nie wszyscy są pewni - dodał cicho Aywan - czy Rosja

nie rzeczywiście są Europejczykami, czy też Azjatami tak, jak Japończycy. Niektórzy powątpiewają w to, czy Rosjanie w ogóle są narodem, a nie po prostu krajem, w którym Wschód nie potrafi zrosnąć się z Zachodem i obydwie części paraliżują się nawzajem. - Aywan czytał *Listy z Rosji* Markiza de Custine'a i zapamiętał, że według francuskiego arystokraty „*nie ma rosyjskiego narodu... Są cesarze, którzy mają niewolników, i dworzanie, którzy mają też niewolników, a to wszystko nie składa się na naród*”.

- A jeśli Rosja tę wojnę przegra? - zapytał Aywan.
- To niemożliwe! - wykrzyknął Jetsun - To się nie może zdarzyć!
- A jeśli jednak się zdarzy? - Aywan miał ponure przeczucie, że cały przez lata misternie budowany plan polityki zagranicznej Tybetu w oparciu Rosję legnie w gruzach.
- To się nie może zdarzyć! - wyszeptał suchymi wargami Jetsun - To się nie może zdarzyć... - powtórzył bezbarwnym głosem.

Rozdział dziewiąty. WOJNA ROSYJSKO- JAPONSKA

1.

Rok 1903 był spokojny i wydawać się mogło, że tak już pozostanie. Prawie cały świat był własnością białych ludzi. W rękach 'tubylców' pozostawała tylko Etiopia w Afryce, Syjam i Japonia w Azji. Reszta była 'czyjaś'. Nad Imperium Brytyjskim, największym mocarstwem świata, nigdy nie zachodziło słońce. Monarcha z Londynu panował nad połową Afryki i większością zachodniej i południowej Azji, całą Australią i

połową Oceanii. Perłą brytyjskiej korony były ogromne, ludne i zasobne Indie. Z Szanghaju Anglicy kontrolowali handel najgęściej zaludnionej części Chin.

Kolonialne imperium Francji było uboższe, ale niewiele mniejsze. Francja wybrała sobie za cel podbojów upadające arabskie sułtanaty Afryki oraz Indochiny na Dalekim Wschodzie Azji. Małe państwa Europy musiały zadowolić się obszarami o skromniejszych rozmiarach, ale i tak ich zamorskie posiadłości były wielokrotnie większe niż same metropolie. Holandia panowała nad Indonezją, Belgia wzięła we władanie ogromne afrykańskie Kongo, Portugalii pozostała Angola i Mozambik, a Hiszpanii - resztki dawnego imperium po dokonaniach Kolumba i jego następców. Jej miejsce w Środkowej i Południowej Ameryce zajęły Stany Zjednoczone, zbrojne w 'doktrynę Monroe'go', gwarantującą im monopol wpływów na zachodniej półkuli. Niemcy, wyraźnie spóźnione na podział świata, zadowolić się musiały częścią wschodniej Afryki i ubogimi terenami Namibii, Kamerunu i Togo.

Pozostawała Rosja. Twór tyle wielkich rozmiarów, co i dziwny. Z początkiem stulecia była już od dawna największym państwem świata, tyle, że nie bardzo było wiadomo gdzie kończą się granice państwa rosyjskiego, a gdzie zaczynają jego kolonie. Rosja rozrastała się na wszystkie strony jak bąbel powietrza przeciskający się na powierzchnię z mułów dna oceanu. Był coraz większy i trudno było przewidzieć, czy i kiedy pęknie. Na razie szła przed siebie jak piaskowa burza. Z początkiem XX stulecia jej ekspansja żywiła się obumierającymi Chinami.

Chiny zniknęły. Władza cesarza z Pekinu ograniczała się do wąskiego

pasa ziemi, rozciągającego się od Morza Żółtego, przez sam Pekin i starożytny Xian - po źródła Żółtej Rzeki. Ogromny obszar zlewiska największej z chińskich rzek - Jang-cy, aż po południowe granice Tybetu i brytyjską Birnę, kontrolowali z szanghajskiego *Settlementu* Anglicy. Francuzi zajęli się Annamem i Junanem, które stały się przedłużeniem ich ekspansji w Indochinach. Niemcy przymierzali się do półwyspu Liaotung u południowych granic Korei, żądania terytorialne wysunęli nawet Włosi.

Wydawać się mogło, że w Azji przyszedł czas na Rosję. Jej wpływy sięgały daleko. Zainteresowanie terenami, położonymi na wschód od Uralu narastało lawinowo po opanowaniu przez carat tatarskich chanatów Kazania i Astrachania. Za Uralem rozciągał się buriacko-mongolski chanat Syberii, ale więcej w nim żyło atrakcyjnych zwierząt futerkowych, niż samych Buriatów. Był łatwym łupem. Kiedyś stanowił część światowego imperium Czyngis-chana, teraz pozostały po nim jedynie wspomnienia. Do zajęcia zachodniej Syberii wystarczyło parę setek kozaków Jermaka, awanturnika finansowanego przez nowobogacki ród Strogonowów. Stolicę chanatu -Kaszłyk, zamieniono w twierdzę Tobolsk, a kolejne - Tiumeń, Turyńsk, Tomsk, Turuchańsk, Irkuck, Jakuck, a później - Cha-barowsk i morski port wojenny Pacyfiku - Władywostok, znaczyły drogę rosyjskiego pochodu. Mongolskim i buriackim pasterzom odbierano ziemię i przepędzano do tajgi lub w stepy. W drugiej połowie XIX wieku, Syberia była już nie tylko bazą surowcową Imperium Rosyjskiego, ale obszarem tranzytu w handlu z Chinami. Na nim bogacił się Irkuck i nadgraniczna Kiachta. Budowa kolei transsyberyjskiej, rozpoczęta w 1891 roku, dokonała przełomu. Dotarła nie tylko do Chaba-rowska i Władywostoku, ale także do mongolskiej Urgi, mandżurskiego Harbinu i Portu Artura,

jedynego kontrolowanego przez Rosjan niezamarzającego portu Morza Żółtego. Pod presją kolosa z północy, Pekin zgodził się na nieograniczoną penetrację Mandżurii. Rosyjska agentura działała intensywnie na całym obszarze północnych Chin, w Sinkiangu i Tybecie. Wydawało się, że już nic nie zapobiegnie realizacji marzenia o butach rosyjskich żołnierzy skąpanych w Oceanie Indyjskim. Muzułmański, chociaż formalnie należący do Chin, Sinkiang był - po ekspedycjach Przewalskiego - praktycznie w rękach Rosjan. Na drodze do Indii stał już tylko Tybet.

2.

Zenobiusz Roźdiestwienski był postawnym, mocno łysiejącym mężczyzną. Powiększającą się łysinę równoważył ciemny wąs i krótka, okalająca dół twarzy broda. Wąs nie był sumiasty, ten by go postarzał. Ciemny i gęsty dodawał marynarskiej powagi. Roźdiestwienski nie zajmował nigdy biurka w gmachu Admiralicji. Był marynarzem, nie urzędnikiem. Nie lubiano go za to - nikt nie jest lubiany za niezależność - i nie powierzano obowiązków. Gdy wezwano go do objęcia dowództwa nad Flotą Bałtycką, stacjonującą w Lipawie, kur-landzkim porcie zdobytym na Szwedach jeszcze przez Piotra I, był szczerze zaskoczony. Admirał doskonale wiedział, że flota, znajdująca się pod jego rozkazami, aczkolwiek - w porównaniu z angielską przestarzała - na niewielkim akwenie Bałtyku była potęgą. Sam flagowy pancernik „Borodino”, miał siłę ognia równą pułkowi artylerii. *Baltijski Fłot* - Flota Bałtycka, miała być w swym zamierzeniu siłą chroniącą zamorskie szlaki Wielkiej Rosji. Tworzono ją, aby spełnić marzenie Piotra - cara żyta i jęczmienia - o

rosyjskim panowaniu na morzach i oceanach. Budowano okręty, jak wiele przedsięwzięć, z ostentacyjnym rozmachem, bardziej ze względów prestiżowych, niż militarnych potrzeb. Największe jednostki nie mogły, ze względu na zanurzenie, wpływać do większości bałtyckich portów.

Żartowano, że *Baltijski Flot* z tego samego powodu nie mógłby zdobyć Kanału Sueskiego. Zresztą, Flota Bałtycka całkowicie zasłużyła na swoją nazwę. Bałtyk opuściła tylko raz, gdy Katarzyna II zapragnęła dać nauczkę Turkom. Flota -jeszcze żaglowa - opłynęła Europę i zniszczyła okręty tureckie na Morzu Egejskim. Prestiż Rosji został uratowany, ale nie wpłynęło to na wynik wojny.

Roźdiestwienski marzył, że pewnego dnia pojawi się na czele floty z Bałtyku znowu na południu - na wodach Bosforu i Dardaneli połączy się z Flotą Czarnomorską i przejmie po bitwie morskiej z rąk tureckich - Drugi Rzym, *Eis-tin-polin* - jak pieszczotliwie nazywali go Grecy, czyli po prostu - *Miasto*. Konstantynopol był starym, nigdy nie zrealizowanym marzeniem imperium Rosji. Opanowanie Nowego Rzymu, oczyściłoby Moskwę - okrzykniętą przez prawosławny kler jeszcze za czasów Iwana Groźnego, Trzecim i Ostatnim Rzymem - z zarzutu o uzurpatorstwo. Tyle, że do Konstantynopola trzeba by dostać się przez Cieśniny Duńskie i Gibraltar. Mała Dania nie stawiałaby przeszkód, na nią wystarczyłyby działa samego „Borodino”, ale na przemknięcie przez kontrolowaną przez Anglików Cieśninę Gibraltaru trzeba by już było wielkiej polityki, w której admirał nie gustował i której nie rozumiał.

Rozkaz opuszczenia Bałtyku przyszedł jak grom z jasnego nieba. Cała Rosja zastygła pod wrażeniem „najwyższego rozkazu”, wzywającego morską armadę do wyruszenia na pole walki oddalone o piętnaście tysięcy

mil. W kwietniu 1904 roku Roźdestwienski otrzymał zaszyfrowany telegram: „Gotowość bojowa jak najprędzej! Stop. Marszruta: Lipawa - Port Artura! Stop. Cel: Likwidacja zagrożenia ze strony Japonii! Stop. Wykonać!”

Flota Bałtycka, przemianowana teraz z Bałtyckiej na Drugą Flotę Pacyfiku (Pierwsza Flota Pacyfiku była odcięta przez Japończyków w Porcie Artura), wypłynęła z Lipawy pół roku później - dopiero 15 października. Tyle czasu zabrało opracowanie dokładnej trasy wyprawy, przygotowania logistyczne, uzupełnienie zapasów paliwa, żywności i wody, a także odświeżenie załogi. Przeszkody piętrzyły się jedna za drugą. Roźdiestwienski musiał odpowiedzieć na wiele pytań, których dotąd dowódca Floty Bałtyku nie miał potrzeby sobie zadawać. Jak zaopatrzyć okręty w węgiel w dalekich portach? Gdzie je remontować i czyścić z przyrastających do kadłubów wodorostów i muszli? Gdzie chronić się w razie napotkania tropikalnej burzy? Jak nie dopuścić do rozprężenia załogi w długim i egzotycznym rejsie?

Tymczasem, wojna z Japonią przybierała niepomysłny dla Rosji obrót. Padł Dalnij, port nad Morzem Żółtym, oblegana była sąsiednia, największa na Dalekim Wschodzie rosyjska forteca - Port Artura, w marcu 1904 roku Japończycy zatopili torpedowiec „Stiereguszczij”, a w kwietniu, największy liniowiec rosyjskiej Floty Pacyfiku - „Pietropawłowsk” wpadł na minę morską i poszedł na dno wraz z załogą. Szczególnej symboliki zdarzeniu nadała śmierć malarza-batalisty - Werieszczagina. Miał upamiętniać rosyjskie zwycięstwa nad Japonią. Zginął też admirał Makarów, dowódca Pierwszej Floty Pacyfiku.

Admirał Roźdiestwienski rzucił się w wir pracy z całą energią, ale

trudności piętrzyły się jedna za drugą. Ich rozmiarem i liczbą był zaskoczony. Okazało się, że przygotowania do wojny morskiej na Dalekim Wschodzie były tromtadrackie, a nie rzeczywiste. Góry akt w biurach Admiralicji rosły. Były to wydawane, lecz nigdy nie realizowane rozkazy.

- Wszędzie bagno! - myślał z narastającą irytacją - Nie można przyjąć na wiarę żadnego raportu!

Z raportów wynikało, że obie floty Pacyfiku - Pierwsza i Druga razem wzięte znacznie przewyższają liczbą jednostek całą flotę japońską. To był mit. W Porcie Artura, gdzie stacjonowała Pierwsza Flota zamknięta japońskimi polami minowymi wewnątrz portowego akwenu, z pięćdziesięciu trzech torpedowców i kontrtorpedowców, ledwie sześć było w pełni gotowych do walki. Z okrętów liniowych tylko jeden - „Cesarjewicz” dorównywał wartością bojową jednostkom przeciwnika. Roźdiestwienski zarządził przegląd i uzupełnienie braków w całej flocie Bałtyku. Wtedy wyszło na jaw, że rosyjski system gospodarczy jest przegniły. Dostawy zamawianych materiałów wojennych znikają. Pociągi z zaopatrzeniem musiały być strzeżone przez wojsko, by ich nie rozkradziono. Składy odjeżdżały ze stacji początkowej, lecz dokąd docierały - tego nie wiedział nikt. Znajdowano je potem gdzieś w głębi Rosji, na boczniczy zapomnianej stacyjki. Admirał zrozumiał, na jak kruchych podstawach spoczywa olbrzymie państwo carów.

Starał się być dobrej myśli. Ostatecznie, *Baltijskij Flot* miał więcej wielkich jednostek bojowych, niż Flota Czarnomorska i Flota Pacyfiku razem wzięte. Eskadra wypłynęła na Morze Północne swobodnie, przez nikogo nie niepokojona, aby w dwa tygodnie po wyjściu z bazy znaleźć się na otwartych wodach Atlantyku. Dobry nastrój dowództwa zakłócił

tylko incydent w Kanale La Manche. Bojowo nastawiony zastępca admirała wydał rozkaz ostrzelania - jak sądził - japońskich jednostek torpedowych, które okazały się angielskimi kutrami rybackimi.

Dyplomacja rosyjska musiała wyteńczyć cały swój kunszt, aby incydent poszedł w niepamięć i nie kompromitował powagi Floty.

Admirała niepokoiła załoga. Nie składała się z rasowych marynarzy, ale była zbieraniną poborowych z terenów wiejskich, kochających pola i łąny zboża. Na morzu czuli się obco. Co będzie na otwartym oceanie? Szkolić ich nie było można zbyt intensywnie. Rosyjski przemysł wojenny nie posiadał jeszcze sztuki odpowiedniego hartowania żelaza. Lufy dział odlanych ze zbyt miękkiego materiału trzeba było wymieniać już po kilkuset oddanych strzałach. Nie można było wziąć na pokład zapasowych, brakowało miejsca - ważniejszy dla ekspedycji był węgiel, amunicja, żywność i woda. Poważnych szkoleń nie można było przeprowadzić. Roźdiestwienski, doświadczony matros, miał nadzieję, że warunki rejsu i wojenna perspektywa zmuszą załogę do szybkiej poprawy umiejętności już w trakcie walki.

Na wysokości Gibraltaru flota musiała się rozdzielić. Największe jednostki, te o najgłębszym zanurzeniu, skierowały się na południe, aby szlakiem Vasco da Gamy opłynąć Afrykę. Mniejsze - skrzyły na wschód, na Morze Śródziemne i popłynęły w kierunku Kanału Sueskiego. Jako miejsce ponownej zbiórki całej Floty wyznaczono wody Madagaskaru. Spotkanie odbyło się bez zakłóceń. Tam jednak, dotarła do dowództwa wiadomość o poddaniu w dzień Nowego Roku Portu Artura, najważniejszej rosyjskiej twierdzy na Dalekim Wschodzie. Razem z nim została zniszczona lub poszła do niewoli cała Flota Pacyfiku. W lutym

1905 roku światowym echem odbiła się bitwa o mandzurski Mukden - największe starcie wszechczasów, w którym wzięło udział ponad sześćset tysięcy rosyjskich i japońskich żołnierzy. Również i ta wyczerpująca bitwa przyniosła zwycięstwo Japończykom. Świat białych ludzi był w szoku. Między mocarstwami pojawiła się nowa potęga i nie było to państwo białego człowieka!

Admirał na własną odpowiedzialność wstrzymał dalszą marszrutę floty i pozostał na wodach Madagaskaru, spodziewając się - w nowej sytuacji wojennej - odwołania rozkazu. Decyzji o zawróceniu floty nie podjęto. Rząd petersburski liczył na nią jak na ostatnią nadzieję, która zmyje hańbę z rosyjskiego oręcza. Po półtoramiesięcznej zwłoce czterdzieści sześć jednostek bojowych i okrętów pomocniczych wyruszyło z Madagaskaru w kierunku Indochin. Armada zatrzymała się jeszcze dla poddania remontom uszkodzonych okrętów i uzupełnienia zapasów węgla, wody i żywności. Znalazłszy się w kwietniu na wodach chińskich, Roźdiestwienski miał poważny dylemat, co do wskazania flocie celu marszruty. Początkowo był to Port Artura, ale teraz - po jego upadku - mógł to być już tylko Władywostok. Był położony znacznie dalej niż Port Artura - na wysokości Hokkaido, najbardziej na północ wysuniętej wielkiej wyspy Archipelagu Japońskiego. Dla osiągnięcia celu trzeba było płynąć albo przez Cieśninę Cuszimską, oddzielającą Japonię od Korei, czyli przed frontem wroga, lub za jego plecami - po wschodniej stronie Archipelagu, nadkładając kilkaset mil morskich i narażając się na niebezpieczeństwo spotkania z oceanicznym tajfunem. Admirał zdecydował się na drogę najprostszą - wprost przez Cieśninę Cuszimską. Liczył na dezorientację przeciwnika i

częste w tym rejonie mgły utrudniające odnalezienie okrętów na morzu.

3.

Rosjanie czuli się na Dalekim Wschodzie tak pewni siebie, że nie dostrzegali Japonii. Nauczyli się lekceważyć skośno-okich Azjatów, skądkolwiek by nie pochodzili. Pogardzali zniewieściałą kulturą Chin i nie widzieli podstaw, aby Japonię traktować inaczej.

Rzeczywiście, system społeczny i polityczny Japonii był daleką pochodną tej samej mieszanki cywilizacyjnej, jaka uformowała Chiny. Buddyzm był w Japonii, tak jak w Chinach, wspomagany konfucjańską ideą posłuszeństwa. Taoizm, trzeci element chińskiej 'triady cywilizacyjnej', stanowił lokalną odpowiedź na ekspansję buddyzmu, przychodzącego do Chin czy to bezpośrednio z Indii przez Birnę, czy też drogą okrężną - przez Kaszmir i Jedwabny Szlak.

Wnikliwy obserwator mógł dostrzec istotne różnice między Chinami i Japonią. O ile w Chinach - trzecim, odrębnie funkcjonującym czynnikiem spajającym społeczeństwo w całość, był rodzimy taoizm, o tyle własna, starożytna religia Japończyków - szintoizm, stała się czynnikiem stapiającym zarówno japoński buddyzm, jak i wyspiarską odmianę konfucjanizmu w jednorodny system, nadający wyspom wyraźnie nacjonalistyczny charakter. W toku dziejów pierwotna, ludowa religia *shintó* zmieniała się, wchłaniając różnorodne elementy, zwłaszcza buddyjskie, konfucjańskie i taoistyczne. W 1868 roku *shintó* została uznana za religię państwową i poddana nadzorowi ministerstwa spraw wewnętrznych. Jej państwowa rola uległa poszerzeniu, gdy równolegle wprowadzono *tennoizm* - kult cesarza jako potomka Bogini Słońca.

W rzeczywistości, oprócz powierzchownych podobieństw w sferze wyznań religijnych i przyjętych systemów filozoficznych, Chiny i Japonię różniło wszystko - od geografii i przyrody po wewnętrzną strukturę społeczną. Chiny, to kraj pokojowo nastawionych rolników, rozległych nadrzecznych nizin, ryżowych tarasów na południu, pól prosa i pszenicy na północy. Japonia, to kraj wyspiarski, w którym trudno jest między skałami i jałowymi górami znaleźć żyzne doliny nadające się do uprawy. Japończycy, to przede wszystkim rybacy i ludzie morza, a nie rolnicy nizin. Dziewięćdziesiąt procent białka zwierzęcego w diecie mieszkańców wysp pochodzi z morza i oceanu.

Inny, niż chiński, był system polityczny Japonii. W Chinach autorytet cesarza i jego niekwestionowana władza nigdy nie została podważona. W Japonii, od końca XIII wieku utrwalił się inny system - *bakufu*, władza szogunów. Cesarz był tylko figurą upiększającą kraj, ale nie posiadał realnego wpływu. Władzę *dzierżył* szogun - dowódca wojskowy, rezydujący w Edo, późniejszym Tokio. Szogunat, to jednak - inaczej niż w Chinach - nie centralna, silna i dyktatorska władza, ale specyficzna piramida wpływów - *bakuhan*, przypominająca rycerski feudalizm Europy. Szogun - *baku*, delegował swoją władzę ludziom *han*, czyli lokalnym książętom, dysponującym własnymi armiami samurajów. Było ich na wyspach aż dwustu pięćdziesięciu. Efekty tego systemu były inne niż w Chinach, ale podobne do tych, jakie pojawiły się wcześniej w Europie. Wzajemna konkurencja feudalnych księstw otworzyła możliwości dla rozwoju miast, handlu i rzemiosła oraz mieszczańskiej kultury, odmiennej od chińskiej - zdominowanej przez rolniczy lud i mandaryńskie elity urzędników. Tak jak w Europie - miasta

stały się w Japonii motorem reform prowadzących do uprzemysłowienia.

Mylić może japońska decyzja o zamknięciu kraju na wpływy obce. Z pozoru proces był niemal identyczny z XV-wieczną dyrektywą cesarza Chin o zamknięciu kraju dla obcych. W Chinach, decyzja wynikała z megalomanii cywilizacyjnej Chińczyków, uważających swój kraj za środek świata, do którego wstęp powinien zostać zabroniony niegodnym barbarzyńcom. W Japonii przyczyna była inna, wcale nie cywilizacyjna. W 1640 roku, dwieście lat po chińskim odcięciu się od reszty świata, Wyspy Japońskie stały się również krainą zakazaną dla cudzoziemców. Przyczyny były czysto polityczne - zagrożenie, jakie dla władzy szogunów stworzyli Portugalczycy, dostarczając broni zbuntowanym chłopom i bezdomnym samurajom. W drodze wyjątku, jedynie Holendrzy otrzymali koncesję na ograniczony handel i pozwolenie przebywania na wyspie Dejima koło Nagasaki. Rozpoczął się okres ponad 200-letniej izolacji, zwany *sakoku*. Izolacja jednak pogłębiła trudności ekonomiczne feudalnego szogunatu, których nie zmniejszały okazjonalnie przeprowadzane reformy.

Kryzys stał się przyczyną przewrotu, który dał początek zmianom, nazwanym później rewolucją Meidzi. Nowe władze, które obaliły szoguna, wprowadziły monarchię pod 'boskim kierownictwem cesarza'. Przywrócono mu wszystkie starożytne atrybuty z wyjątkiem bezpośredniej władzy wykonawczej, którą dzierżyła nowa elita. Przewrót umożliwił likwidację feudalnych instytucji i zastąpienie ich nowoczesnymi, wzorowanymi na europejskich. Nawet tradycyjne stroje zastąpiono surdutami i frakami europejskiego kroju. Rozpoczęto forsowną modernizację na wzór zachodni: zarzucono

tradycyjny podział administracyjny, dawne feudalne księstwa włączono do nowych prowincji i zlikwidowano archaiczny, sztywny podział na klasy - chłopów, rzemieślników, kupców i samurajów. Pod wpływem nasilających się żądań liberalizacji systemu - w 1885 roku utworzono pierwszy gabinet rządowy z Itó Hirobumi na czele. W cztery lata później proklamowano konstytucję, w której cesarza określono jako monarchę absolutnego. Rozdzielono władzę wykonawczą od ustawodawczej i sądowniczej. Powstał dwuizbowy parlament, złożony z Izby Parów (*Kizokuin*) i Izby Reprezentantów (*Shugin*). Do końca XIX wieku trwał gwałtowny proces modernizacji, także w sferze intelektualnej i duchowej, pod hasłem: „cywilizacja i oświecenie”. Zaczęły powstawać partie polityczne, z czasem jednak zainteresowanie zachodnimi wzorcami ustępowało miejsca nastrojom nacjonalistycznym, które towarzyszyły przygotowaniom do ekspansji. W atmosferze modernizacji, Japonia w latach 1894-1895 wygrała wojnę z Chinami, uzyskując od nich Tajwan, przemianowany teraz na Formozę oraz wyspy Peskadory. Japończycy byli gotowi do rzucenia rękawicy światu białego człowieka.

4.

Admirał Togo Heihachiró, naczelny dowódca floty japońskiej, uwielbiał szum potężnych maszyn, wprawiających w drżenie ściany okrętu flagowego „Mikaso”. Czuł, że okręt posuwa się naprzód, jego maszynownia tryska życiem gorącej oliwy, a kłęby dymu unoszące się z komina głoszą potęgę węgla. Teraz jednak panowała cisza. Japońska flota wojenna kołysała się na wodach Cieśniny Cuszimskiej jak stado wilków przyczajonych na nieostrożną ofiarę.

Admirał przebierał palcami kartki *Budo Shoshinshu* pióra osiemnastowiecznego samuraja - *Dajdóji Yuzana Shigesuke*. To wzorcowy podręcznik zasad kodeksu honorowego - *bushido*. Admirał zastanawiał się, jaki pożytek może mieć *bushido* w walkach na morzu? Dostosowany był do czasów konnego rycerstwa, wiernie służącego swojemu księciu. Tyle, że książę miał warowny zamek - tam można się było schronić w razie potrzeby. Miał poddanych chłopów, którzy żywili rzesze samurajów i miał konie, których wolno było używać tylko rycerstwu. Chłop dosiadający wierzchowca skazywał się na śmierć bez wyroku.

- A na morzu? - myślał admirał - Okręt jest moim koniem, ale kto jest szogunem i gdzie jest jego zamek? Czy szogunem jest Yamamoto Gonnohyóe, minister marynarki, premier Kat-sura Taro, czy może sam Cesarz Mitsuhiro?

Wielkie rody samurajskie liczyły się jeszcze jako ważna część japońskiej elity, ale od czasu reform sprzed czterdziestu lat, nadzorowanych przez samego cesarza i nazywanych *Meiji ishin* - 'ponowna odnowa' - rządził już cywilny korpus urzędniczy dobierany - jak w Europie - wedle kompetencji, umiejętności i wykształcenia a nie przynależności stanowej. Togo Heihachiró uważał, że to ważny przełom, pozwalający Japonii naśladować kraje Zachodu i szybko przekształcić ją z feudalnego, świadomie odcinającego się od świata kraju, w nowe, ale i nowoczesne, azjatyckie mocarstwo. Żał mu jednak było tych dawnych, samurajskich, romantycznych i jakoś uporządkowanych czasów. Teraz wszystko zmieniało się w zawrotnym tempie.

Pytanie o to, kto w nowej sytuacji pełni rolę szoguna nie było bezzasadne. Ludzi honoru kodeks obowiązywał nadal, a w nim zapisana

była śmierć samuraja. Ginał w obronie swego pana. Dawniej, samuraj znał doskonale osobę, której przysięgał wierność i walkę aż do śmierci. Teraz nie było już przysięgi, ale kodeks żył własnym życiem. Admirał znał dobrze Daleki Wschód. Jako marynarz, a potem oficer na okręcie wojennym, gościł we wszystkich największych portach zachodniego Pacyfiku - od Pusanu po Singapur. Zwrócił uwagę na to, że buddyzm, który traktował jako rdzennie japońskie wyznanie,

miał inne oblicze w Azji Południowo-Wschodniej, inne w Chinach, a jeszcze inne w Japonii. Buddyzm wszędzie nakazuje pamiętać o śmierci. W Tybecie oznaczało to "świadomość przemijania", w Chinach - nadzieję na nieśmiertelność, w Japonii, dla samuraja, oznaczało niechybną śmierć w walce. To dlatego Japończycy pogardzają jeńcami. Jeniec, to żołnierz, który się poddał, zhańbił siebie i rodzinę, zhańbił zawód wojownika i zhańbił pana i swego dowódcę. Nie jest godny życia, bo nie okazał się godny siebie samego.

Admirał nie fantazjował. W tradycji japońskiej życie samuraja po śmierci pana przestaje mieć sens. Admirał Togo w młodości był samurajem. Zapadło mu w pamięć upokarzające przeżycie, gdy jako rycerz księcia, musiał bezsilnie obserwować kanonadę amerykańskich krążowników, zmuszających szoguna do otwarcia japońskich portów dla cudzoziemców. Kiedy przyszły reformy, przyłączył się do nich całym sercem. Upokorzenie, jakie przeżył w młodości, dało mu siłę do rozpoczęcia życia na nowo. Teraz był admirałem, dowódcą potężnej i nowoczesnej floty wojennej. Czuł się podwójnym człowiekiem: nieufnym w stosunku do obcych, samurajem, gdy chodziło o wojnę i honor; Japończykiem, gdy szło o skromność, oszczędność, umiejętność

przewidywania i wiarę w przeznaczenie. Jako Japończyk uwielbiał kwiaty, hodował je w swoim ogrodzie i pielęgnował, ale był też człowiekiem świata swoich czasów, uważając, że o racjach decyduje siła skuteczności. Jego kraj dokonał modernizacyjnego wysiłku jako jedyny w Azji i z tego względu należało mu się panowanie nad innymi narodami. Na przeszkodzie stała już tylko rosyjska flota zmierzająca w kierunku jego okrętów.

Heihachiró zbliżył się do narożnika saloniku. Mieściła się tam maleńka świątynka *shintó*. Przysiadł w pozycji lotosu, pochylił głowę i podumał nad duszami swoich poprzedników, dowodzących okrętami flagowymi. Ich imiona, jak nakazuje obyczaj, wypisane były na metalowych plakietkach pod daszkiem świątynki. *Shintó* nakazuje regularnie wspominać przodków - pamięć podtrzymuje życie duchów. Duchy zmarłych żyją tak długo, jak długo pamiętają o nich potomkowie. Żywią się pamięcią, a dostarczane im w świątyniach i 'domkach duchów' jedzenie i napoje ma wymiar symboliczny. Filozofia 'życia po życiu', jako duchowego i - w gruncie rzeczy -tego samego, życia człowieka, podtrzymywanego pamięcią żyjących, miała w Japonii tę samą tradycję, co ludowa chińska wiara w duchy przodków. W Japonii jednak, od najdawniejszych czasów przybrała formę zorganizowanego kultu, zwanego właśnie *shintó*. *Shintó*, znaczy po japońsku: 'droga bóstw', 'droga duchów', 'nauka bóstw' i stanowi zróżnicowany i bogaty kompleks rozmaitych praktyk religijnych, idei i instytucji, które kształtowały się stopniowo od czasów prehistorycznych, a w XII wieku skryształizowały się ostatecznie w formie politeistycznego systemu religijnego. Termin *shintó* powstał dla odróżnienia od *butsudó*, czyli: 'droga buddów', 'nauka

buddów', oznaczającego japońską odmianę buddyzmu, upowszechnionego w tym kraju od VI stulecia.

- Tak musiał się czuć - myślał admirał - dowódca floty, oczekującej na Morzu Japońskim na atak niezliczonej ilości mongolskich okrętów kierowanych na podbój Wysp siedem set lat temu i zmiecionych przez *kamikaze* - *boski wiatr*, gwałtowny orkan, który uniemożliwił inwazję i sprawił, że wielka wyprawa roztrzaskała się o skały. Togo wiedział, że dzisiejsze, wielkie i opancerzone parowce nie boją się wiatrów, trzeba więc będzie rosyjską flotę zniszczyć sprawnie przeprowadzonym atakiem.

Na początku maja 1905 roku, na wieść o opuszczeniu przez rosyjskie siły morskie Indochin, admirał Togo zarządził naradę wszystkich dowódców okrętów Połączonej Floty Cesarskiej. Otworzył ją osobiście.

- Panowie! - zaczął - armia lądowa pod dowództwem generała Nogę Maresuke odniosła spektakularne zwycięstwa nad Rosjanami. Prawie cała Mandżuria jest nasza. Kreślimy nową mapę Azji! Zdobyty jest Dalien i Port Artura. Jesteśmy panami północnych Chin i Korei! Mamy już Formozę i Wyspy Riukiu!

- Musimy zneutralizować - ciągnął Togo - jeszcze jedną siłę wroga! Jest nią - uniósł brwi dla podkreślenia powagi chwili - rosyjska Flota Bałtycka, płynąca w bojowym ordynku od strony Morza Południowo-Chińskiego. To - wraz z okrętami pomocniczymi - czterdzieści sześć jednostek! Jest w pełni sił bojowych. Jest świeża! Ostatniego zaopatrzenia i remontów - podkreślił - dokonała w Indochinach.

- Połączona Cesarska Flota jest gotowa do działań! -oświadczył w imieniu floty generał Yamagata, przedstawiciel *Daihonei* - Cesarskiego Sztabu Dowodzenia.
- Czy znana jest trasa, którą płyną Rosjanie i czy wiadomo, jaki jest jej port docelowy? - pytał Itó Horobumi, dowódca ariergardy Połączonej Floty.
- Flota Bałtycka miała dotąd łatwe zadanie - informował Togo - dotrzeć do Portu Artura. Teraz, po zdobyciu go przez nasze wojska, celem wroga może być Władywostok. Rosjanie nie mają innego wyjścia, jak tylko iść w kierunku jedyne go portu oceanicznego, znajdującego się pod ich kontrolą. Od nas zależy - mówił - ostateczne wygranie tej wojny. Jeśli zniszczymy Flotę Bałtycką, zlikwidujemy ostatnie rosyjskie odwody. Azja będzie nasza! Nic i nikt nie przeszkodzi zaopatrywaniu naszych wojsk w Mandżurii w materiały wojenne. Zniszczenie Rosjan - Togo chciał, aby wszyscy mieli tego świadomość - to usunięcie ostatniej przeszkody! Moment jest wyjątkowy! Anglicy nie oponują wojnie. Uprzedzili Rosjan w Tybecie i nasze zwycięstwo jest im na rękę.
- Władywostok - zauważył Terauchi Masatake, dowódca okrętu liniowego 'Kamikaze' - inaczej, niż Port Artura, leży po północnej stronie naszych wysp. Którą marszrutę, wedle dowództwa, wybierze Flota Bałtycka?
- Tego właśnie nie wiemy! - odparł Togo. - Gdybyśmy wiedzieli, mielibyśmy w ręku klucz do zwycięstwa.
- Mają dwie możliwości - spostrzegł Horobumi - płynąć wprost do celu,

po zachodniej stronie Wysp Japońskich, albo okrążyć je od wschodu, od strony oceanu.

- Wtedy nadrabiają kilkaset mil morskich - zauważył Togo - zużywają zapasy węgla i narażają się na tajfun, nadchodzący zwykle z Pacyfiku. Poza tym - dodał - możemy na nich poczekać w cieśninie między Honsiu a Hokkaido, albo dopadniemy przy Wyspach Kurylskich.
- Tak czy owak - zauważył Masatake - mamy inicjatywę strategiczną i możemy im wydać bitwę tam, gdzie nam będzie najwygodniej. I najlepiej - dodał spokojnie - wydać im ją w cieśninach, gdzie nie będą mogli rozwinąć pełnego szyku bojowego.
- Zakładamy - sumował dyskusję admirał Togo - że będą szli drogą najkrótszą, przez Cieśniną Cuszimską. Rosjanie, to biali. Są zadufani we własne siły, nie doceniają naszej sprawności. Moim zdaniem pójdą drogą najkrótszą, koło Wysp Cu-szimskich. I tam - dodał świadom powagi chwili - będziemy na nich czekać! Jeśli okaże się, że poszli marszrutą wschodnią, przez Pacyfik, zdążymy zablokować im drogę do Władywo-stoku od północy. Będą mieli do pokonania dystans dwukrotnie dłuższy od nas.
- Rozkazuję - oświadczył admirał Togo - czekać na Rosjan z lufami gotowymi do strzału! Należy - zmarszczył groźnie czoło - utworzyć w Cieśninie Cuszimskiej tyralierę. Jeśli Rosjanie będą szli tędy, rozciągną swoje linie bez możliwości zastosowania szyku bojowego. Rozstrzelamy ich okręty -dorzucił - w szyku marszowym! Jeden po drugim!

Bitwa, która miała rozstrzygnąć o losach wschodniej Azji rozpoczęła się wczesnym popołudniem 27 maja 1905 roku. O godzinie dwunastej rosyjska eskadra wpływała do cieśniny oddzielającej wyspę Cuszimę od Iksizimy. Okręty szły ławą, aby jak najszybciej pokonać wąski przesmyk cieśniny. To niewygodny szyk w razie bitwy - jedno okręty przesłaniają cele drugim.

Załogom zaczęto na zmianę wydawać posiłek. Oficerowie zasiedli do obiadu. Rozlano szampana. 27 maja, to w Rosji ważne święto - rocznica koronacji pary cesarskiej. Spełniono za jej zdrowie uroczysty toast. Na pokładzie, brodaci popi snuli się między stanowiskami z krzyżami w rękach, błogosławiąc modlitwą i wodą święconą przyszłe zwycięstwa.

Rosyjską eskadrę prowadził krążownik „Osłabia”. Około godziny 14-tej dostrzegł go japoński okręt admirałski „Mikaso”. Dzień był mglisty, a spotkanie niespodziewane. Obydwie strony były zaskoczone i nie przygotowane do podjęcia walki. Admirał Togo podjął największe ryzyko w swojej karierze. Wydał rozkaz oddalenia się w kierunku północnym, aby wymknąć się z pola ostrzału i przed frontem Rosjan zrobić bardzo trudny manewr, zwany „pętlą alfa”, polegający na odejściu w morze i powrotnym nawrocie. Manewr był niebezpieczny - dawał przeciwnikowi aż trzynaście minut na przygotowanie się do walki, ale pozwalał okrętom Togo zaatakować Rosjan całą siłą. Na maszcie okrętu flagowego ukazał się sygnał: „Od tej bitwy zależy zwycięstwo lub klęska naszego państwa. Niechaj każdy wyteży swe siły!”.

Rosjanie manewrowali, aby ustawić eskadrę w szyku torowym, utrudniającym ostrzał wszystkich jednostek. Rozpoczął się wyścig z czasem. Dwie minuty przed zakończeniem przez Togo „pętli alfa” i przed

ukończeniem manewru zmiany własnych szyków Roźdniestwieski wydał rozkaz: „rozpocząć ogień!” Było osiem minut po czternastej. Ogień artylerii pokładowej wkrótce został przerwany - „Osłabia” znalazła się w polu ostrzału pancernika „Orzeł”. Wtedy, z odległości ponad sześciu tysięcy metrów, grzmieć zaczynają armaty „Mikaso”. Gwałtowny pojedynek artyleryjski dwudziestu czterech pancerników trwa piętnaście minut. „Osłabia” wielokrotnie trafiona przemienia się w płonący wrak i tonie. Okręt flagowy admirała Togo zdołał przetrzymać dziesięć trafień z armat rosyjskich. Wtedy okazało się, że liczebnie siły obu stron są wyrównane, ale Japończycy dysponują znaczną przewagą techniczną. Potrafili umieścić na swoich jednostkach aż o pięćdziesiąt dział więcej niż Rosjanie i dopracowali się znacznie lepszej amunicji. Japońskie granaty miały siedem razy większą od rosyjskich siłę wybuchu. W bitwie zastosowano po raz pierwszy *szimozę* nowy materiał wybuchowy własnej produkcji o wielkiej sile kruszącej i zapalającej. Nowa substancja nadawała się do użytku jedynie do wielkiego kalibru dział, ale trafienie demoloowało okręt przeciwnika. Flota japońska używała do granatników pocisków z gazem, który - po wybuchu na pokładzie - działał oszałamiająco. Rosjanie dysponowali znacznie słabszymi pociskami, wybuchającymi dopiero po przebiciu pancerza okrętu. Odbite, były nieszkodliwe. Przemysł japoński potrafił już - czego nie nauczył się jeszcze rosyjski - produkować dwa razy grubsze blachy pancerzy. Dwunastu tysiącom rosyjskich marynarzy pozostało bohaterstwo. Płonący okręt flagowy „Suworow” długo ostrzeliwał się nieprzyjacielowi. Płonęły pancerniki „Borodino”, „Orzeł”, „Aleksander III” i „Sjisoj Wielikij”. Okręt flagowy stracił sterowność i

możliwości dowodzenia. Rosjanie usiłowali jeszcze wymknąć się w kierunku Władywostoku, ale okręty, z wyjątkiem kilku nowszej generacji, okazały się za wolne by umknąć pościgowi. Po czterech godzinach, bitwa była skończona. Klęska Rosjan przybrała rozmiary apokaliptyczne.

6.

Zenobiusz Roźdiestwienski, ranny w walce, dostał się do japońskiej niewoli. W szpitalu traktowano go jak honorowego pacjenta. Doczekał się nawet odwiedzin zwycięzcy - samego admirała Togo.

-Klęska - mówił Togo do przykutego do łóżka niedawnego przeciwnika - to los, który może spotkać każdego z nas. Nikt tego wstydzic się nie powinien, jeśli potrafił spełnić swój obowiązek do końca.

Togo milczał dłuższą chwilę, po czym zastygł w japońskim ukłonie.

-Pan, admirał - powiedział - dokonał tego w sposób uszczuplający poczucie dumy.

Roźdiestwienskiego traktowano z honorami nie tylko ze względu na zasady kodeksu *bushido*. Japonia, chociaż znajdowała się na przedpolu zdobycia pozycji azjatyckiego mocarstwa, była wojną wyczerpana. Śmierć wielkiej liczby żołnierzy, ogromny wysiłek materialny i organizacyjny, skłaniał ją do łagodnego potraktowania zwyciężonych w imię szybkiego zawarcia pokoju. Rząd japoński wykonywał spektakularne gesty. 29 października 1905 roku na cmentarzu Aojama, gromadzą się tłumy ludzi, by uczcić pamięć poległych. Japończycy zgodnie chylą czoło przed ozdobionym ceremonialnymi wieńcami ołtarzem upamiętniającym tych, którzy ofiarą życia

dali krajowi partnerstwo wobec imperium białego człowieka. Do ołtarza zbliża się siwowłosa mężczyzna w admiralskim mundurze. Kłania się nisko i przemawia do duchów zmarłych.

- Duchy zmarłych, przybądźcie i wysłuchajcie nas!

Głos admirała nie brzmi triumfem. To raczej głos kapłana, głos modlitwy i zadumy. Mówi nie jak zwycięzca, ale jak jeden z milionów Japończyków, z których każdy na swój sposób przyłożył dłoń do zwycięstwa. Mówi i myśli jak samuraj, nie jak dufny admirał zwycięskiej floty. Będzie przez całe życie człowiekiem o żelaznej konsekwencji. Gdy umrze cesarz Mit-suhito - Togo Heihachiró dojdzie do wniosku, że jego czas się wypełnił i popełni wraz z żoną *sepuku* - rytualne samobójstwo.

Południowa część, rosyjskiego dotąd, Sachalinu nazywa się teraz Karafuto. W pewnej miejscowości tej części wyspy znajdowała się ochronka dla bezdomnych dzieci, których Rosja miała zawsze zbyt wiele. Japoński rząd dokonał gestu, który ostatecznie przekonał światową opinię, że Japończycy zasługują na miano cywilizowanego narodu. Zaoferował specjalny statek, który przewiezie dzieci najpierw do Jokohamy, a potem przez dwa oceany - do Odessy. Parowiec płynie w drodze przez Morze Japońskie, przepływa nad grobami potopionych w bitwie marynarzy, by wśród śmiechu, muzyki i rzucanych kwiatów przybić do rzeźnicie oświetlonego nadbrzeża portowego Jokohamy. Setki małych Japończyków zbiegają się do portu i obdarowują równie małych Rosjan zabawkami. Znowu śmiech, zabawa, pożegnalne okrzyki. Nic nie wróży okrucieństw następnej wojny, która wybuchnie na Dalekim Wschodzie za trzydzieści lat.

Zenobiusz Roźdiestwienski wypłynął z Nagasaki do Władowostoku

jeszcze przed końcem rekonwalescencji, gdy tylko poczuł, że może poruszać się o lasce. Czekало go pięć tysięcy mil podróży do Petersburga. Wszędzie, na kolejnych stacjach kolei transsyberyjskiej witały go wielkie rzesze ludzi. Tłumy rezerwistów, powracających z przegranej wojny popychały się nawzajem i wrzeszczały groźne hasła. Były nie do opanowa-

nia. W zimnym syberyjskim powietrzu unosił się powiew rozpoczynającej się rewolucji. Niedostępni dotąd i wyniośli carscy urzędnicy mieli w oczach twarzy płaszcących się przed tłumem egzystencjalny lęk o swoją przyszłość. Na stacji w Tulę, już w europejskiej części Rosji, robotnicy fabryki samowarów zażądali spotkania z admirałem. Obiegli stojący przy peronie pociąg przyglądając się w milczeniu wychylającej się z okna, wspartej na lasce, postaci nagle postarzałego dowódcy Floty Bałtyckiej.

- Zinowiju Piotrowiczu - pada z tłumu okrzyk - czy to nie zdrada zawiniła?
- Nie zdrada zawiniła! - odpiera admirał - Byliśmy za słabi! Bóg zesłał na nas to nieszczęście!

Tłum postął w milczeniu, po czym rozstąpił się bez słowa. Lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył. Potoczył się ku przeznaczeniu. W Petersburgu Roźdiestwienski stanął przed sądem Admiralicji. Proces stał się ponurą farsą. Sąd odrzucił świadków obrony, oskarżyciele prześcigali się w oszczerstwach. Rosyjski rząd żyje w strachu, że admirał zachowa się niepokornie, odwoła się do opinii publicznej i powie całą prawdę o nieudolności rządzących. Rewolucja jest za progiem. Ma wielkie ciało, ale nie ma głowy. Brak jej tylko charyzmatycznego przywódcy. Admirał pozostaje jednak żołnierzem. Z godnością i spokojem przyjmuje wyrok o

usunięciu ze służby. W dwa lata później umiera. Odchodzi z tego świata razem z umierającą rewolucją. Ta, za następne dziesięć lat, odrodzi się z gwałtownością, która wstrząśnie światem.

7.

W Urdze, w pałacu Bogd-gegeena panowała atmosfera niepokoju i zamieszania. Po rosyjskiej klęsce z rąk Japończyków, przyszłość polityczna regionu rysowała się ponuro. Dochodzące z pola walki wiadomości, mówiły o kompletnej, całkowitej i - jak wiele wskazywało - nieodwracalnej klęsce armii rosyjskiej. Teoretycznie, Rosja miała jeszcze - w porównaniu ze stroną japońską - znaczne rezerwy ludzkie i możliwości uzupełnień, ale była nie tylko zmęczona przegrywaną wojną, znalazła się na krawędzi rewolucji, odreagowującej wojenne upokorzenie. Gorycz porażki przypieczętowało unicestwienie w Cieśninie Cuszimskiej całej Floty Bałtyckiej. Poza tym, wiosną 1906 roku, drogi politycznych kalkulacji Dalajlamy Tybetu i Bogd-gegeena Mongolii zaczęły się rozchodzić, tak jak rozchodziły się ich interesy polityczne.

- Musimy wracać do Tybetu! - argumentował Dalajlama, przybity nadchodzącymi wiadomościami.
- Anglicy wycofali się z Lhasy w obawie przed zimą i na ich miejsce weszli Chińczycy - przestrzegali Aywan - Dwór cesarski - zauważył - głęboko urażony naszymi rosyjskimi nadziejami, odebrał Waszej Świątobliwości tytuł Dalajlamy i próbuje w kraju nowej polityki. Nowy rezydent pragnie całkowitej asymilacji Tybetańczyków z kulturą i językiem chińskim.
- Rosjanie są pobici - niepewnym głosem stwierdził Bogd-gegeen, ale

ich armia liczy jeszcze kilkaset tysięcy ludzi. Będą wracać kolejną mandżurską przez Urgę. Nie zostawią nas samych.

- Was, Wasza Świątobliwość, - zauważył Aywan - może nie opuszczają, bo jesteście na ich drodze odwrotu, ale na nas - powiedział smutno - już na pewno nie znajdą czasu. Jesteśmy znowu na łasce dworu pekińskiego!
- Jesteśmy, poza tym - grobowym głosem mówił Dalajlama - pod kontrolą. Parę tygodni temu próbowaliśmy powrócić do Tybetu. Na żądanie Anglików, Chińczycy zawrócili nas z klasztoru Kumbum, nie pozwalając iść dalej.
- Trzeba ułożyć się jakoś z Chińczykami! - myślał głośno Aywan.
- Tym bardziej - dodał Dalajlama - że Panczenlama Chokyi Nyima poprosił cesarza o audiencję. On znowu jest prochiński, po tym, gdy w czasie wojny był proangielski. Dysponując chińskim wsparciem ma szansę zmienić układ władzy w Tybecie na swoją korzyść.
- Trzeba - podpowiadał Aywan - zrobić mu konkurencję i również poprosić o audiencję.
- Pekin niedawno pozbawił Tybet Dalajlamy odbierając mi wszystkie tytuły! - zauważył gorzko Thubten - • Jak teraz ma się wycofać i uznać mnie znowu za władcę?
- Trzeba dać Pekinowi możliwość przyjęcia Waszej Świątobliwości nieformalnie! - głośno myślał Aywan. - Zbliża się wielkie buddyjskie święto, związane z ceremoniami na świętej górze Wutai oraz tysiączną rocznicą śmierci mnistrza Enina, znanego z wprowadzenia buddyzmu do Japonii- Poprośmy - Aywan był zadowolony z pomysłu - o

pozwolenie uczestnictwa w ceremoniach. Góra Wutai leży w pobliżu Pekinu. Tam, tuż przy Zakazanym Mieście, jest znany z naukowych osiągnięć lamaizmu klasztor, w którym powitają Waszą Świątobliwość z otwartymi rękami. Może coś się da zrobić na miejscu.

- Próbujmy! - Dalajlama robił wrażenie człowieka zrezygnowanego. -
Próbujmy! - powtórzył jakby bez nadziei na sukces.

Dni następne były pełne niespodzianych wizyt. Można było odnieść wrażenie, że w samym środku Mongolii, osobą najważniejszą nie jest jej religijny przewodnik - Bogd-gegeen, ale przebywający na wygnaniu z dalekiego Tybetu, Dalajlama

- Thubten Gyatso. W pałacu Bogd-gegeena pojawił się nagle sam Wen Zhonghayo, chiński rezydent. Mongolia, podobnie jak Tybet, znajdowała się w granicach Cesarstwa Chin, ale cieszyła się autonomią na podobnej, jak Tybet/ zasadzie. Na czele lokalnego samorządu stał Bogd-gegeen - jej najwyższy lama, ale rezydent Chin chciał rozmawiać *nie* z nim, ale z Thubtenem Gyatso. Dalajlama przyjął przedstawiciela Pekinu z ostentacyjną serdecznością w nadziei na odwrócenie fatalnego dotąd biegu zdarzeń.

- Wasza Świątobliwość nie wybiera się do Petersburga? -wypytywał kąśliwie Wen Zhoghayo.

- Do Petersburga? - dziwił się nieszczerze Thubten Gyatso

- A cóż miałbym tam robić?

Rezydent zwracał się do niego 'Wasza Świątobliwość', co w obliczu formalnego odebrania mu przez Pekin tytułu Dalajlamy dobrze wróżyło.

- Interesuje nas kierunek przeciwny! - Dalajlama śpieszył z

wyjaśnieniem - Chcielibyśmy odwiedzić Wutei. Czekają nas tam ważne uroczystości.

- Wutei? - mruknął Wen - Idzie o tę świętą górę w Shanxi, niedaleko Pekinu?
- Tak! - potwierdził Thubten - W przyszłym roku wypada tysiąclecie śmierci mistrza Enina. Tamtejsze klasztory - dodał - oczekują ważnych osobistości.
- Zobaczę, co da się zrobić! - zamyślił się Wen. - Może cesarski dwór zechce mieć Was w pobliżu. Tutaj, w Mongolii -skośne oczy Wena patrzyły chytrze - nad Waszym bezpieczeństwem jest trudniej zapanować.

Dalajlama zrozumiał uwagę chińskiego rezydenta. W pobliżu Pekinu kontrola nad jego poczynaniami będzie łatwiejsza niż w odległej stolicy Mongolii.

- To prawda! - dorzucił Chińczyk - Tutaj, w Urdze, aż się roi od rosyjskich szpiegów. Możecie - oczka Wena znowu zaśniły chytrą - być narażeni na niepotrzebne wizyty.
- Mówiąc 'wizyty' - pomyślał Thubten - rezydent miał zapewne na myśli 'pokusy'. Szło o 'pokusy rosyjskie', a nie inne.
- Tak, tak! - najwyraźniej Wen miał szerokie pełnomocnictwa - Cesarz zapewne wyrazi zgodę na wizytę Waszej Świątobliwości w Wutei. Nie może Wam przecież zabronić - twarz Chińczyka znowu nabrała chytrego wyrazu - pokłonił się przed znanym i świętym wizerunkiem Buddy Mądrości. Tak, tak! - usta wykrzywiły mu się w uśmiechu pod cienkim wąsikiem - to wspaniały posąg! A wasza wizyta

na pewno będzie mile widziana.

8.

Góra Pięciu Tarasów - *Wutai Shan*, należy do najświętszych gór chińskiego buddyzmu. Chińczycy, inaczej niż mieszkańcy Tybetu i Mongolii, odczuwają ogromny kult przyrody. Piękno, nasuwa im myśl o jego oczywistej świętości. Piękne musi być święte i zaludnione świętymi postaciami. Chińscy buddyści wierzą, że w takich miejscach naprawdę przebywają bodhisattwowie i życzenia oraz prośby tam składane mają największą szansę na wysłuchanie.

Wutai Shan znajduje się przy drodze wiodącej z Mongolii do Pekinu. Do samego Pekinu jest stamtąd tylko kilkadziesiąt mil. Wioska Taihuai, zapełniona najpiękniejszymi klasztorami, położona jest w głębokiej dolinie otoczonej pięcioma szczytami, z których najwyższy - *Yedou Feng*, ma ponad trzy tysiące metrów wysokości i nazywany jest Dachem Północnych Chin.

W samym Taihuai znajduje się piętnaście klasztorów. Dwadzieścia innych rozsianych jest na okolicznych wzgórzach. Już z oddali, można rozpoznać *Tayuan Si*, świątynię uważaną za najwspanialszą, wyróżniającą się ogromną białą pagodą o kształcie przypominającym butelkę. Wysoka na pięćdziesiąt metrów kryje w sobie dwieście pięćdziesiąt dzwonków z brązu, oddających swe dźwięki tylko wiatrowi. Ich melodią rozbrzmiewa wtedy cała okolica. Sąsiedni zespół - *Xiatong Si*, ma siedem rzędów pomieszczeń, których łączna liczba przekracza czterysta. W *Louhu Si*, znajduje się symbol buddyzmu - kwiat lotosu o ośmiu płatkach, pracowicie wyrzeźbiony w drewnie. Na każdym z nich wypoczywa dREW-

niana figurka Buddy. Świta Dalajlamy dążyła do najmniejszego z klasztorów - *Guangren Si*, utrzymywanego z datków tybetańskich i mongolskich mnichów. Tam, jak sądzili, będą mogli czuć się swobodnie i stamtąd też przyszło gorące zaproszenie.

Aywan przybył wraz z Dalajlamą do świętego miejsca w nadziei na głębokie mistyczne przeżycie. Legenda głosi, że sam Mandziusri - Budda Mądrości odwiedził Wutai i postanowił tu pozostać. Nadzieja na bezpośrednią z nim rozmowę ożywia tysiące pielgrzymów, przybywających z całej Azji. W czasach dynastii Tang, osiemnaście wieków temu, okoliczne wzgórza zabudowane były aż trzystu sześćdziesięcioma klasztorami. Pozostało ich kilkadziesiąt, resztę zniszczył czas i wrogowie. Otacza je atmosfera świętości, wspomagana przez niezawodne rytuały - palenie kadzideł i dźwięki tybetańskich trąb, zwiastujących nadchodzącą noc i witające poranek.

Już nazajutrz po przybyciu do Wutai, Aywan wspiął się na szczyt wzgórza, na którym zbudowano świątynię *Suxiang Si*. Koniecznie chciał zobaczyć słynny, dwudziestosześciometrowy posąg Buddy Mądrości, otoczony wykutymi w kamieniu postaciami pięciuset *arhantów*. Wedle nauk *therawady* - *arhanci*, to ludzie, którzy doznali nirwany i zniknęli z tego świata, ale są tam - w górze i mogą pomóc tym, co pozostali na ziemi. Posąg Buddy był rzeczywiście ogromnych rozmiarów, *arhanci* - wielkości ludzi średniego wzrostu. Ich pięciuset, stłoczonych pod ścianami przestronnej sali tworzyło milczący, kamienny tłum.

Ajwan zbliżył się do Mandziusriego. Posąg był ogromny, piętnaście razy większy od niego samego. Zadał głowę, ale nadal nie mógł wyraźnie dostrzec twarzy Oświeconego. Przysiadł w pozycji lotosu, gotów do

medytacji. Pragnął zbliżenia z uosobieniem mądrości.

- *Om mani padme hum! Om mani padme hum! Om mani padme hum!*
„Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!" Przyjmij mnie do siebie i wybaw z ziemskiego cierpienia, zbliż do upragnionego celu - ostatecznego oderwania, niebiańskiego braku problemów, upragnionej nirwany, słodkiego niebytu!
- Pokonuję własne pragnienia - monotonnie powtarzał w myśli - i wchodzę na szlachetną ośmiokrotną ścieżkę. - Cisza.
- Pierwsza ścieżka - wyliczał - to 'prawidłowe zrozumienie'.
- Druga ścieżka - wchodzę w 'dobre myślenie'.
- Będę się powstrzymywał od krzywdzenia innych i oszukiwania.
- Będę okazywał grzeczność i uprzejmość.
- Nie będę interesowny - czuł już, że zaczyna odrywać się od otaczającego go rzeczywistości.
- Będę rozwijał w sobie szlachetne cnoty - jego głos wewnętrzny stawał się coraz cichszy.
- Będę ćwiczył powstrzymywanie negatywnych emocji. -Cisza.
- Będę ćwiczył i praktykował medytację. - Cisza zupełna. Nic.
- Gadasz tak i gadasz, ale w życiu nie idzie ci najlepiej!
- Co to za głos? - zdziwił się Aywan. - Przecież już była pełna cisza!
-1 jest nadal! - powiedział głos - Ja jestem ciszą!
- Ty? Znaczy, kto? - Aywan nie mógł ukryć zdumienia.
- To ja! Mandziusri! Twój Budda Mądrości, jeśli wolisz -głos dźwięczał wyraźnie, chociaż cisza była wokół zupełna.

Aywan miał wrażenie, że posąg Mandziusriego zmalował. Widział jego twarz niedaleko, tuż nad swoją głową. Łagodna i mądra mówiła coś do niego.

- Jak się czujesz jako podwójny?
- Jaki podwójny? - zdziwił się Aywan.
- No, agent, ma się rozumieć! - twarz nie była surowa. Wyrażała łagodność, którą można było wziąć za dobrotliwą wyrozumiałość.
- Każdy jakoś zaczyna życie! Nikt sobie nie wybiera początku. - zauważył Aywan filozoficznie.
- To prawda! - Mandziusri kiwnął twierdząco głową.
- Sam miałeś przecież, o Oświecony - Aywan chciał zachować oficjalną formę - nie najciekawszy początek!
- Fakt! - przyznała twarz - Byłem księciem i - jak mawiają w Szanghaju - playboyem.
- No i rozpustnikiem! - dodał kąśliwie Aywan. Nie znał słowa 'playboy', ale domyślił się erotycznego podtekstu.
- O tym porozmawiamy kiedy indziej! - westchnął Mandziusri - Do tego tematu musisz dojrzeć!
- Jak to dojrzeć? - zdziwił się Aywan - Skończyłem trzydzieści lat! Kiedy się do tego dojrzeźwa?
- To nie kwestia wieku, to sprawa doświadczenia. A ty - twarz lekko wydeła wargi - nie tylko nie byłeś rozpustnikiem, ale jesteś prawiczką. Nic nie wiesz o sprawach dla człowieka najważniejszych! - i takim pozostanę! Mnisi składają ślub czystości, dobrze wiesz o tym!
- poczuł się drażniony w męskiej próżności. - Dla mnie te sprawy wcale nie

są najważniejsze!

- Wiem, wiem! - Mandziusri uciął krótko - Ale nie wróżę ci dozgonnej czystości.
- Czy Mandziusri, Budda Mądrości mógł coś wiedzieć o przyszłości? - pomyślał Aywan z niepokojem.
- Pewnie, że wiem! - twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu - Pamiętasz tę Mongołkę z Urgi? A te twoje myśli o całowaniu dziewczyn, jakie ci przychodziły do głowy u Bogd-gegeena? A zainteresowanie *śakti* - żeńskim pierwiastkiem Kosmosu? A pamiętasz mantrę - Mandziusri najwyraźniej chciał mu dopiec - *om Tarę tuttare turę soha?* - *Om Tarę tuttare turę soha!* *Om Tarę tuttare turę soha?* - Mandziusri krzywił przy tym usta, przedrzeźniając niegdysiejsze usiłowania Aywana zapamiętania mantry Zielonej Tary. Rzeczywiście, gdy powtarzał ją w myślach czuł w sobie dziwne drżenie. Przyjemne drżenie mięśni i podskórne mrowienie.
- Miałem wtedy jeszcze nocne polucje, teraz wszystko ucichło! - tłumaczył się Aywan.
- Ha! Ha! - zaśmiał się szczerze Mandziusri - To akurat nigdy nie cichnie!
- Jak to nie cichnie? - zmartwił się Aywan - A kiedy człowiek robi się stary, też mu nie cichnie? I tobie, o Oświecony -zapytał ostrożnie - też nie ucichło?
- Mężczyzna rzadko kiedy jest na to za stary. Może tylko popadać w coraz większe dziwactwa - Mandziusri śmiał się do rozpuku - A ja, to zupełnie co innego, mnie już dawno nie ma! - Twarz rozplynęła się we

mgle. Aywan poczuł się opuszczony. Chciał jeszcze o coś zapytać.

Temat go wciągał. Za chwilę twarz powróciła, ale pojawiła się wyżej.

•Kiedy jedziesz do Pekinu? - zapytała.

•Do Pekinu nie wybieram się wcale! - odparł z oburzeniem Aywan - Ta mądrała - pomyślał - wcale nie wie tak dużo!

- A do Szanghaju?

-Szanghaj mi zupełnie nie po drodze! - Aywan był serdecznie rozbawiony.

•To piękne miasto! Mam tam dobrych znajomych! - rozmarzył się Mandziuśri. - Zupełnie inne niż reszta Chin. Bund zresztą ciekawszy niż Koncesja Francuska. Jest tam wiele pięknych kobiet. Wszystkie do kupienia. To bardzo kupieckie miasto. Nie jedź tam bez większej gotówki!

•Nie wybieram się wcale! - Aywan podniósł głos - Widzę, że nadal nie przyjmujesz do wiadomości, że jestem mnichem, a mnichowi nie wolno mieć pieniędzy!

•Mnichem! Mnichem! - twarz wyrażała niezadowolenie -Ciągle to samo. Jesteś mnichem i nim nie jesteś! Zapomniałeś, że jesteś podwójny?

-Jestem bliźniaczą reinkarnacją Trzynastego Dalajlamy Tybetu! - bronił się Aywan - Tylko w tym sensie jestem podwójny.

•Uaaaau! - zdziwiła się twarz - to oprócz podwójnej agentury, masz jeszcze jedną podwójną robotę!

•Masz na myśli współpracę z Rosjanami? - Aywan celowo przeszedł z Mandziuśrim na 'ty', bo ten wyprowadzał go z równowagi. Pragnął tę

twarz z siebie wypłoszyć.

Twarz rzeczywiście zniknęła. Po chwili powróciła, ale już znacznie wyżej, niemal w połowie wysokości posągu.

- W Pekinie uważaj! - głos szedł z oddali, ale był wyraźny - Złazłeś Chińczykom za skórę swoją petersburską akcją tak bardzo, że będziesz tam wrogiem numer jeden. I uważaj na tę starą rozpustnicę - cesarzową Cixi! Będzie chciała cię pożreć! -głos oddalał się coraz bardziej - Z jej łoża nikt nie wychodzi żywy! Szczęśliwie - głos jakby śmiał się z oddali - jesteś mnichem! I nie ciągną cię stare baby. Pamiętasz jak utraciłeś serce do pięknej Mongołki, gdy tylko dostrzegłeś oznaki starzenia? Poza tym - głos był już prawie nieczytelny - nie jesteś przecież żigolakiem!
- Kto to jest 'żigolak'? - spytał Aywan. Ale nie słyszał już głosu, a nad nim samym górowała tylko dwudzie-stosześciometrowa, kamienna postać Buddy Mądrości...

9.

„Cesarzowa Dowager Cixi oraz Cesarz Guangxu zapraszają swojego Lojalnego Poddanego, Wice-Regenta, Wielkiego, Dobrego, Samoistnego Buddę Zachodniego Nieba, XIII Dalajlamę Tybetu, do złożenia, wraz z jego dworem, oficjalnej wizyty". List tej treści nadszedł z Pekinu do klasztoru *Guangren Si* w kwietniu 1908 roku. Dalajlama nie posiadał się z radości. Ten list, to nie tylko zgoda na audiencję, ale również odrzucenie starań IX Panczenlamy - Chokyi Nyima i przekreślenie jego ambicji zastąpienia w Tybecie rządów Dalajlamy, własnymi. Jeden tylko Aywan, formalnie nadal minister spraw zagranicznych Dalajlamy, nie wydawał się zachwycony propozycją. Zaczynał podejrzewać, że jego kontakt z

Mandziu-śrim, nie był tylko medytacyjną marą. Budda Mądrości przestrzegał go przed podróżą do Pekinu. Ale czy mężczyzna może się bać sennych marzeń? Nie wypadało nawet o tym mówić.

Pekin, to wielkie miasto. Gęsto zaludnione, zgiełkliwe, tłumne i pełne głośnego handlu. Ale jednocześnie - to wielka wieś, otaczająca wspaniałe centrum - *Gudong*, monumentalne i tajemnicze Zakazane Miasto. Zakazane Miasto, to rezydencja dwóch ostatnich dynastii chińskich: rodzimej - Ming i mandzurskiej - Qing. Wzniesiono je na planie prostokąta, a przez otaczające je mury prowadzą z czterech stron świata cztery bramy. Ustawione jest na linii północ-południe. Głównego wejścia przy bramie Tian'anmen strzegą marmurowe lwy, wskazujące drogę do części reprezentacyjnej, wiodącej przez bramę Wumen do Mostu Złotej Wody. Potem droga prowadzi przez bramy Taihomen i Pawilon Taihotien, za którym wznoszą się pawilony Pachotien i Ciancingun. Oś Zakazanego Miasta, po której poruszać się może tylko cesarz i jego świta, wieńczy północna Brama Shenwumen. Po wschodniej i zachodniej stronie głównej osi, w nie rzucającym się w oczy tle, rozmieszczono stajnie i wozownie, koszary, pomieszczenia dla eunuchów, prywatną rezydencję cesarza i jego harem, otoczone kameralnym ogrodem.

Do cesarskiego miasta dostojni goście kierowali się od zachodu - drogą przecinającą cały Pekin wzdłuż linii wschód-zachód, docierającą do *Tiananmen* - Wieży Niebiańskiego Spokoju strzelającej w niebo tuż przed południową bramą Zakazanego Miasta i kończącą się dopiero po wschodniej stronie miasta, tam gdzie zaczyna się największa droga wodna Chin - *Da Yunhe* - Wielki Kanał. Dostępu obcym broni wysoki mur, tynkowany na czerwono z lekkim odcieniem fioletu. Nad wszystkim

góruje majestatyczna Wieża Bębnów, zwana tak od bębenków wybijających urzędowe pory dnia.

Orszak lektyk cesarskich gości z Tybetu, poprzedzany uzbrojonym oddziałem miejskiej straży, przebijał się przez zatłoczone miasto. Po obu stronach szerokiej alei, wytyczonej dla celów reprezentacyjnych, rozciągało się morze *hutongów*, wąskich, zatłoczonych ludźmi uliczek, miejscami tak wąskich, że z trudem mijały się w nich dwie riksze. Aywan ze zdziwieniem spostrzegł, że w tym wielkim mieście prawie nie widać zwierząt pociągowych. Tą siłą - z wyjątkiem niektórych służb miejskich, używających wózków na dwóch wielkich kołach zaprzężonych w bawoły - są zawsze ludzie. Tłumy pieszych mieszały się z kulisami wprzęgniętymi w dwukołowe pojazdy. Wychudzeni, kościści mężczyźni, przemierzali równym truchtem miasto we wszystkich kierunkach, jak muły w zaprzęgach. Przytroczeni do dyszli chybotliwych pojazdów wlekli za sobą stosy warzyw, bele bawełny, pudła herbaty, sprzęty, cegły i ludzi. Ci ostatni, rozparci na siedzeniach ocienionych bawełnianymi daszkami, spoglądali z wyraźną wyższością na kłębiącą się dokoła ciżbę. Aywan nie mógł się temu obrazowi nadziwić. Widział już szmat środkowej Azji i wszędzie wozy z ciężarami ciągnęły zwierzęta: w Tybecie robiły to wielkie, włochate jaki. Muły i wielbłądy wlokły za sobą dwukołowe wózki w Mongolii, wielkie konie w Rosji zaprzęgano do czterokołowych wozów i drabiniastych furmanek. Tutaj wszystko robili ludzie. Ci silni, mocno zbudowani, a nawet dostatnio otyli, rozpierali się na poduszkach rikszy. Ci, wyraźnie słabi, kaszlący i stękający z wysiłku, truchtali przy dyszlach dwukółek, spięci z nimi parcianymi pasami. Aywanowi przyszło na myśl pytanie, czy kraj, w którym techniczne in-

nowacje tak wyraźnie zagrażają milionom tradycyjnych miejsc pracy (a w ogóle, czy dyszel rikszy to miejsce pracy?) ma jeszcze przed sobą przyszłość?

Pekin zawiódł Aywana. Chociaż był wielkim miastem, nie był wcale wielkomiejski. Przemierzali już dosyć długo jego ulice, ale nie mógł dostrzec większych oznak miejskości. Miał w pamięci nie tylko surowe, chociaż odpychająco zimne, gmachy Petersburga, ale nawet drewniany Irkuck miał w sobie 'coś', jakiś charakter. Pekin sprawiał wrażenie jednej, wielkiej, stłoczonej wsi. A właściwie nie jednej, ale setek wsi. *Hutong* -zaulek, to taka wtłoczona w miejskie otoczenie, ściśnięta wieś. Nie ma tam ani kamienic, ani odosobnionych domów, nie mówiąc o rezydencjach. Każdy domek jest parterowy, otoczony miniaturą wiejskiej zagrody: jest podwóreczko i jakaś komórka, jest chlewik i kurniczek. Tak, jakby ludzie pragnęli przenieść ze sobą do ludnego miasta, kawałeczek swojej pamięci i usiłować żyć z nią tak jakby nic się nie stało. Ale się stało! *Hutong*, to ani wieś, ani miasto, to właśnie *zaulek* - karykatura jednego i drugiego. W tym pomieszaniu i wsi i miasta toczy się bujne życie. Na straganach handlowano naczyniami, jedwabiem, jarzynami, mąką i wymyślnymi produktami. Rzemieślnicy, tapicerzy i pokojowi malarze rozpychali się na chodnikach, eksponując swoje narzędzia pracy. Obok, dentyści wyrywali zęby, fryzjerzy trzaskali nożyczkami, staruszkowie ćwiczyli *tai chi*, zwane 'walką z cieniem', wierząc, że zapewni im długowieczność. O uwagę przechodniów walczyli cudowni uzdrowiacze, sprzedawcy i naciągacze, a z jadłodajni i klubów karaoke wytaczali się podchmieleni goście. Słowem, życie toczyło się tak samo, jak wszędzie indziej, nie oglądając się na bezsensowność jednostkowego istnienia. Aywan poczuł głębokie

zadowolenie z tego, że jest buddystą. Ta wiedza dawała mu poczucie spokoju, wynikającego ze zrozumienia sensu życia.

10.

Orszak Dalajlamy dotarł do miejsca przeznaczenia późnym popołudniem. Tym miejscem był *Yonghe Gong* - lamaistyczna świątynia, położona w *Dongcheng* - starej, nie zabudowanej *hutongami* dzielnicy Pekinu, zwanej tatarską, tuż przy fosie czerwonego muru Zakazanego Miasta - na jego północno-wschodnim krańcu. Audiencja u cesarzowej miała się odbyć w ciągu tygodnia w Pałacu Letnim pod Pekinem, a świątynia pełnić miała funkcję tymczasowej rezydencji 'Wice-Regenta i Samoistnego Buddy' - Thubtena Gyatso, XIII Dalajlamy Tybetu. Aywan, wiedząc, że orszak Dalajlamy nie dostąpi cesarskiej audiencji w samym Zakazanym Mieście, zarządził krótki postój na sąsiadującym z *Yonghe Gong* wzgórzu *Jingshan Gon-ggyuan*, sztucznym kopcu, pozwalającym napawać oczy widokiem dachów Zakazanego Miasta. Z wysokości kilku pięter Miasto nie robi wrażenia zespołu rezydencji, ale jednej przestrzeni wypełnionej stykającymi się ze sobą po sam horyzont kolorowymi dachami. Chińskie dachy, kryte barwną dachówką, kończą się łagodnymi zwieńczeniami. Zakazane Miasto, oglądane z góry, z jego morzem dachów, wygląda z oddali jak zastygły w bezruchu horyzont oceanu zapraszający do odbycia niebiańskiego spaceru.

Yonghe Gong, to najbardziej znany klasztor lamaistyczny poza samym Tybetem. W początkach XVIII wieku budynek służył za rezydencję mandzurskiemu arystokracie - Yin Zhe-nowi. Arystokrata został cesarzem i przybrał imię Yong Zheng. Z wdzięczności za poparcie i

błogosławieństwo Kel-zanga Gyatso - VII Dalajlamy Tybetu, przekazał pałac na cele religijne lamaizmu. Odtąd, stał się miejscem zamieszkania mnichów z Mongolii i Tybetu oraz ich gości. Dla nich nie było dostojniejszego gościa od Dalajlamy.

- Co to za kobieta - pytał Thubtena Aywan - ta Cesarzowa Cixi? W chińskiej tradycji nie mieszczą się rządy kobiet!
 - To wdowa po zmarłym ostatnim cesarzu mandżurskiej dynastii Qing, Kajfengu. - Thubten był dobrze poinformowany. Ważnych wizyt nie przygotowuje się z dnia na dzień.
 - Przecież obecnie panuje cesarz Guanxu. Nic z tego nie rozumiem! - przyznał od razu Aywan.
 - Guanxu jest siostrzeńcem Cesarzowej Wdowy! - tłumaczył Thubten - Jest publiczną tajemnicą, że Cesarzowa wyznaczyła mu rolę atrapy. To niezwykle ambitna kobieta. Nie chce się z nikim dzielić władzą.
 - Czym się tak zasłużyła - dopytywał się Aywan - że powierzono jej całą władzę?
 - Nie wypada 'Mojej Świątobliwości' - Thubten był w doskonałym humorze - mówić o takich rzeczach.
 - Czy chodzi - zaniepokoił się Aywan - o jej umiejętności jako kobiety?
 - Ładnie to nazwałeś! - pochwalił go Dalajlama - przypuszczam, że ludzie nazywają to znacznie dosadniej.
- Aywan niepokoił się coraz bardziej. Czyżby sugestie Man-dziusriego z medytacji na górze Wutai były dorzeczne?
- No, to spytam dosadnie! - Aywan postanowił wyjaśnić tę sprawę - Czy

cesarzowa jest kobietą nadpobudliwą seksualnie?

- Musiała się dobrze sprawiać - Dalajlama też postanowił mówić otwarcie - skoro Kajfeng ją właśnie, a nie kogoś innego, uznał na łożu śmierci - a było to ponad trzydzieści lat temu - za osobę najbardziej godną władzy spośród całego haremu żon. A pamiętaj, że jeśli mężczyzna obdarza władzą kobietę, to jej władza zawsze powstaje w łóżku.

- A teraz? - dopytywał się Aywan - Jaka jest ta Cixi?

- Interesujesz się nią - zaśmiał się Thubten - jakbyś sam chciał się do niej dobrać! Przecież ona jest stara!

- Słyszałem kiedyś powiedzenie - Aywan nie dawał się sprowokować - że 'w starym piecu diabeł pali'. To prawda?

- O, to na pewno! - odparł Thubten - Prawdę mówiąc nie jest to zrozumiałe. Matka natura poukładała wszystko w pewnym porządku. Ludzie dobierają się w pary, bo - nie wiedząc o tym - ustawiają się w kolejce do prokre[^]cji w przeczuciu własnej śmierci. Chcą istnieć dalej w genach swoich dzieci. Ale stare kobiety ustawiają się nadal w kolejce po seks, niejako poza kolejnością. Może nie wiedzą, że umrą? - zastanawiał się głośno - A może *dharma*, odwieczny porządek życia nauczany przez Oświeconego, chce im się odwdzińczyć *zfr* trudy porodu i wychowania dzieci i pozwala zapomnieć o nieuniknionym?

A może, po prostu, raz nakręcona sprężyna kręci mechanizmem do końca? Nie wydaje się przecież, aby kobiety nad tym mechanizmem były zdolne zapanować. Nawet bezzębne, uważają się za powabne.

- No, to co z tą Cixi? - dopytywał się Aywan.

- Mówią - Thubten instynktownie przyciszył głos - że chociaż już całkiem stara, to jej sprężyna - roześmiał się zadowolony z porównania - kręci się coraz szybciej. Diabeł, kochany, diabeł podkłada stale ognia!
- To jak? Kupuje sobie kochanków?
- Podobno każe porywać upatrzone ofiary. Odurza je narkotykami tak, że widzą w niej powaby młodości. Kiedy jest już po wszystkim każe kochanków wrzucać do studni.
- Do studni? - przestraszył się Aywan - Dlaczego do studni?
- W Pałacu Letnim, w którym stale rezyduje Cesarzowa, podziemne źródła wysychają. Niektóre studnie są nieczynne, ale bardzo głębokie. Krzyków wrzuconej ofiary nie słyhać, nawet, jeśli przeżyła pogruchotanie kości. Powiadają - Thubten aż zatrzęsł się z odrazy - że tak skończyła ukochana konkubina cesarza Guanxu. Cixi kazała ją wrzucić do studni na oczach cesarza. Wiesz, dlaczego? Bo ją irytowała! Była jedyną osobą - dodał smutno - która go naprawdę kochała. Odtąd cesarz przestał chcieć żyć i jest więziony w jednym z pałacowych pomieszczeń.

Aywanowi zrobiło się żal cesarza. Nie dlatego nawet, że był więziony, ale że stracił w tak okrutny sposób ukochaną osobę. Postanowił przyjrzeć się dokładnie cesarzowej w czasie audiencji.

11. Letni Pałac Dowager Cixi - Cesarzowej Wdowy, znajduje się w odległości kilku mil na północny zachód od Zakazanego Miasta. Pagórkowaty teren otwartego ogrodu zabudowano obiektami o wyrafinowanej architekturze, stawianymi na sztucznie usypanych wzgórzach. Każde wzgórze i każda bu-

dowla mają swoje odrębne imię. Na Wzgórzu Długowieczności stoi Pawilon Rozproszonych Chmur, pełen wspaniałych rzeźb odlanych w brązie. Obok mieści się Świątynia Morza Mądrości, a do głównego budynku - Pawilonu Życzliwości i Długowieczności, prowadzi *Changhang* - Długi Korytarz. Długa na siedemset metrów, wąska, oszklona z obu stron budowla, pozwala na komfortowe spacery nad brzegiem sztucznego jeziora niezależnie od kaprysów pogody.

Celem świty Dalajlamy ubranej w uroczyste, ceremonialne szaty, był *Reshoudian* - Pawilon Życzliwości i Długowieczności, stojący nad samym jeziorem, tuż przy wschodniej bramie. Na środku sali audiencjonalnej stał wielki, rzeźbiony i pozłacany, tron, otoczony figurami zwierząt odlanych w brązie.

Goście, prowadzeni przez marszałka dworu zostali wpuszczeni do sali dopiero po wysłuchaniu instrukcji o zasadach ceremoniału. Mają przejść szerokim dywanem z wyszywanego złotem jedwabiu i zatrzymać się w odległości dziesięciu kroków od tronu. Tam dziewięciokrotnie padną na twarz, po czym staną w pozycji półskłonu nie podnosząc oczu na tron. Dalajlama ma zrobić trzy kroki do przodu, paść na twarz przed cesarzową i podnieść się dopiero po jej słowach. Delegaci Tybetu wiedzieli, że w ceremoniale nie było niczego poniżającego. W Europie, pochylanie głowy jest oznaką uniżoności, na Wschodzie - jest dowodem grzeczności. Podawanie czegokolwiek, bez złożenia rąk razem i pochylenia głowy w skłonie, jest uważane za dowód nie tylko barbarzyństwa, ale wręcz chamstwa i braku wychowania. Padanie na twarz symbolizuje szacunek należny władzy.

Xlii Dalajlama Tybetu, ubrany w żółto-czerwone szaty, z głową

przykrytą, zakrywającą uszy, żółto-złotą czapką Conk'a-py, podniósł się z klęczek i zastygł w pozycji półskłonu. Aywan, stojąc razem z innymi w podobnej figurze, nie mógł powstrzymać się przed zerkaniem na tron, na którym w sztywnej pozycji siedziała cesarzowa. Mówiono o niej, że była kiedyś piękną, powabną kobietą. Nie mógł dostrzec na jej twarzy żadnych śladów piękna. Dowager Cixi, Cesarzowa Wdowa, była nie tylko kobietą starą, ale zdumiewająco brzydką. Uroczysty strój monarchini nie dodawał jej blasku. Jedwab

był jakiś szary i robił wrażenie prowincjonalnego. Cesarzowa miała dużą głowę, szeroką, ziemistej barwy, twarz i skierowany do nikąd wzrok starego człowieka. Wysunięta szczęka sterczała jak obca narośl, a siwe włosy, splecione w kok pod okrągłą czapeczką, podkreślały brzydotę obwisłych starością rysów twarzy. Zmarszczki wysuszonej skóry, wypełniane witalizującymi maściami, nadawały twarzy gładkość niedopieczonej skórki chleba.

- Nie wygląda na seksualną tygrysicę! - roześmiał się w duchu Aywan, uważając, aby myśl nie przekształciła się w grymas twarzy - Gdybym spotkał ją na ulicy - dodał w myślach - z całą pewnością pomyliłbym ją z uliczną przekupką!
- Wielka Cesarzowa Wdowa wraz ze szczęśliwie panującym cesarzem Guanxu! - rozpoczął, miarowo wypowiadając słowa mistrz ceremonii - pragną wyrazić swoje głębokie zadowolenie ze szczęścia swoich poddanych!

Aywan dopiero teraz zauważył, że obecny jest cesarz. Siedział po lewej stronie cesarzowej, w pewnym od niej oddaleniu, na tronie mniej zdobnym i wyraźnie mniejszym. Był drobnej budowy mężczyzną w nieokreślonym

wieku, cechującym ludzi chorych i zrezygnowanych. Jego twarz, szczególnie na policzkach i pod oczami, pokryta była gęstą siatką cienkich, czerwono-fioletowych żyłek. Chiński wąsik, długi i cienki, zwisał bezwładnie.

- Wygląda - pomyślał Aywan - jakby jadał arszenik wraz z poranną *campą* - Chciało mu się śmiać z własnego dowcipu.
- Cesarz i Cesarzowa Wdowa - mistrz ceremonii głośno cedził każde słowo, potrząsając rytmicznie kolorowym buń-czukiem ze strusich piór, wieńczącym długą, bambusową laskę - potwierdzają przychyłność ich cesarskich wysokości dla osoby Dalajlamy Tybetu, jego świętej misji i roli, jaką pełni opiekując się swoim ludem. A lud Tybetu - podniósł głos o jeden ton wyżej - jest dla ich cesarskich mości szczególnie bliski!

Thubten Gyatso promieniał. Wypowiadane słowa wyjaśniały jego niewyraźną sytuację po fatalnym w skutkach romansie z dworem w Petersburgu. Klęska Rosji w wojnie z Japonią załamała nie tylko nadzieje na suwerenne władanie Tybetem, ale sprowadziła go do pozycji banity. Teraz wszystko wracało do normy.

Tuż za tronem cesarzowej Cixi stała kobieta. Ubrana w barwne, jedwabne kimono z szerokimi rękawami, miała włosy upięte w pukiel, usztywniony czymś z przodu tak, że wyglądał jak wysunięty nad czołem daszek. Taka fryzura chińskich elegantek kojarzyła się Aywanowi z hieroglifem oznaczającym kobietę: klęczącą w pokornej pozycji postać z wielkim łokiem usztywnionych włosów wysuniętym z nad czoła. Skupił na niej całą uwagę. Dostrzegł, że wpatruje się w niego jak kocica czyhająca na wróbla. W jej oczach nie było niczego, co można by nazwać kobiecością. Emanowały bezwzględnością. Oderwała wzrok od Aywana,

pochyliła się nad tronem i szeptała coś do ucha cesarzowej. Ta, podniosła głowę. Jej wzrok spoczął na Ajwanie. Spojrzenie było ciężkie, nieprzyjemne, niosące jakiś nieuchwytny, ale brzydki zapach.

- Czy wzrok może mieć zapach? - Aywan uznał myśl za idiotyczną, aż wzdrygnął się w głębi duszy.

Wzrok tej starej i brzydkiej kobiety niósł w sobie coś złego. Przez chwilę, jej zwiotczała twarz pokryta drogimi wypełniaczami ożywiła się, policzki nabrały różu, a twarz przybrała diabelski wyraz. Przez chwilę wyglądała młodzieńczo. Na moment zniknęły gdzieś oznaki starości i nawet Aywan poczuł dreszcz przebiegający przez plecy. Dziewczyna powiedziała coś do ucha swej pani. Cixi kiwnęła głową, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. Śmiała się najwyraźniej do niego, skromnego członka tybetańskiej delegacji! Powinien czuć się uhonorowany, jako mężczyzna - usatysfakcjonowany. Widać, przypadł cesarzowej do gustu. Wyróżniał się z grona delegacji tybetańskich mnichów. Był o pół głowy wyższy od reszty mężczyzn, doskonale zbudowany. Odróżniał się też typem męskiej urody - w niczym nie podobnej do Azjatów - drobnej budowy, często przysadzistych. Wyraz twarzy starej kobiety był wyzywający, pełen jawnej żądzy. Widział jej szeroko rozwarte usta, szare na obrzeżach, ciemne przestrzenią w środku. Tam nie było zębów! Ani jednego! Śmiejące się usta wyglądały tak, jakby ktoś je przykleił do twarzy maskary! Aywan przestraszył się, że zemdleje z obrzydzenia. Pochylił czoło i oparł się o ramię sąsiada. Tak dotrwał do końca audiencji i nie podniósł już głowy. Bał się, że wyobraźnia podpowie mu coś jeszcze gorszego.

Rozdział dziesiąty. UCIECZKA Z PEKINU

1.

Aywan nie miał najmniejszej ochoty na debatę o politycznych następstwach audiencji. Wzrok cesarzowej przyprawił go o ból głowy i uczucie niepokoju. Był podminowany. Thub-ten przeciwnie, wydawał się radosny i zadowolony, gotów do rozważań. Siedzieli przy stole w głównym holu klasztoru *Yonghe Gong*, sącząc wieczorną porcję zielonej herbaty. Przez otwarte okna wciskało się rześkie wieczorne powietrze zaprawione zapachem kwiatów i głosami cykad.

- Nie sądzisz, że odnieśliśmy wielki sukces? - szukał potwierdzenia Dalajlama.
- Nie jestem tego pewien! - warknął Aywan - Jesteśmy w gorszej sytuacji, niż ta, w której byliśmy przed rozpoczęciem gry z Rosjanami?
- To jednak wielki sukces! - upierał się Thubten - Możemy podjąć grę od początku, nie ponosząc strat!
- Jaką grę? - Z Rosjanami? Przecież to gra do jednej bramki. Oni w Azji przestali się liczyć jako realna siła!
- To ładnie, że właśnie ty to mówisz! - kpił Thubten - To w tobie, a nie w kimś innym pokładali nadzieje. Ja zresztą też! - wyznał szczerze.
- Dobrze wiesz, że to uproszczenie! - Aywan czuł wzbierającą irytację - Jeśli sądzisz, że ten kto został wyszkolony do jakichś celów w dzieciństwie, staje się automatem do wykonywania poleceń, to nie wiesz co mówisz i nie powinieneś zajmować się polityką! W tym znaczeniu - zauważył kwaśno - wszyscy są czyimiś agentami. Nawet ty stajesz się agentem sterowanym przez świętą wyrocznię!
- Dobrze! Masz rację! - Thubten chciał udobruchać rozżłoszczonego

przyjaciela - Wszystkimi z nas ktoś chce sterować, ale jeśli to się wie, można to skierować przeciwko usiłującym narzucić swoją wolę. Czyż nie?

- Całe moje życie - w głosie Aywana pobrzmiwała gorycz - to próba służenia słusznej sprawie, niezależnie od zamierzeń zleceniodawców! W gruncie rzeczy służę - powiedział w zamyśleniu - jedynie swoim ideałom, sobie samemu i... - zawahał się, nie wiedząc czy może to powiedzieć - i... tobie.

- Wiem! - powiedział ciepło Thubten - Wiem, bo też służę właściwie tylko sobie. Na tym chyba polega prawdziwa wolność!

Zapadła cisza. Obydwaj myśleli o tym samym: na ile obowiązki względem własnego życia i nabyte zobowiązania mogą wpływać na przyjaźń i poczucie braterstwa.

Aywan czuł niedostatek modlitwy. Po przeżyciach całego dnia zapragnął pojednać się z Oświeconym. Wszedł na dziedziniec, którego środek zajmowała rzeźbiona w drewnie postać Tysiącorękiego. To nietypowy wizerunek Awalokiteśwa-ry, pozbawiony cech powszechnie znanego kanonu przedstawiania postaci Buddy. Była to właściwie wielka płaskorzeźba, a nie trójwymiarowe odwzorowanie postaci. Drewno jest łatwiejsze w obróbce niż metal i kamień. Obszerna płaszczyzna nie ograniczała symbolicznej liczby rąk i oczu do czterech, jak przedstawiano Awalokiteśwarę w najczęściej spotykanych wizerunkach. Z boków drewnianego Buddy wyrastała niezliczona liczba rąk. Nad głową urastała równie wielka liczba oczu, wtapiających się w rodzaj drewnianego obłoku.

Przyjął pozycję lotosu gotów do zatopienia się w medytacji. Powietrze było pełne zapachu kwiatów z otaczającego klasztor ogrodu, a

trzeszczenie cykad zagłuszało szmer liści na wietrze.

Usłyszał dźwięk, jakby ktoś nadepnął na suchą gałązkę. Pomyślał, że to przesuwająca się w zaroślach cykada, ale ta przecież wydałaby z siebie świst szurającego świerszcza. Dziwny chrzęst dał się słyszeć ponownie. Przerwał przygotowania do medytacji i zerwał się na równe nogi. Z góry, z konarów rozłożystych drzew, spadło na niego coś, co skrępowało mu ruchy. Nie od razu zrozumiał, że była to siatka o dużych oczkach, stosowana do chwytania dzikich zwierząt. Usiłował się z niej uwolnić, gdy usłyszał wypowiedziane po chińsku ostrzeżenie: „ogłuszcie go, ale nie uszkodźcie!”

2.

Otrzeźwiał po krótkiej, jak mu się zdawało, chwili. Otrząsnął się i usiłował wstać. Okazało się, że stoi, lecz ręce ma przytroczone do drewnianej konstrukcji w kształcie litery X. Nogi były wolne. Luźno zwisające metalowe klamry mogły być jednak zaciśnięte w każdej chwili. Nadal miał na sobie habit. Poczuł się nieco pewniej. Drzwi pomieszczenia uchyliły się i pojawiła się młoda kobieta. Miała na sobie tunikę z przezroczystej materii. Ta, zamiast okrywać jej nagość, podkreślała ją wielokrotnie.

- To wpływ narkotyku! - myślał z przerażeniem - A to jest pewnie cesarzowa!
- Witaj, kwiecie lotosu! - powiedziała dziewczyna - Dobrze się czujesz? - pytała ze sztuczną troską. Moim zadaniem jest ci poprawić samopoczucie!

Dziewczyna zręcznie włożyła dłoń pod habit i - zaglądając mu uważnie

w oczy - poruszała nią miarowo. Aywan omal nie zemdleł. Jego doświadczenie erotyczne - to nieprzyzwoite sny i nocne polucje. Teraz, gdy dziewczęca dłoń trafiła na przedmiot, którego istnienia się wstydził, serce waliło jak młotem.

- Czy ty - oddychał głośno - jesteś cesarzową? Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Nie! - odparła wesoło - Doczekasz się i cesarzowej! Właściwie - śmiała się poruszając dłonią coraz szybciej - to ona jest twoim przeznaczeniem!

- Jak masz na imię? - wystękał Aywan.

- Cesarzowa nazywa mnie Podnietką! - roześmiała się znowu - Mam cię tylko przygotować! - Była ładna, usta miała pełne, wyraźnie wykrojone, jakby stworzone do pocałunków. Oczy patrzyły niewinnym wzrokiem aniołka - Moim zadaniem - powiedziała wdzięcznie - jest właśnie to! - Przygotować gościa cesarzowej do wysokości zadania! Stąd moje imię!

Dziewczyna pacnęła dłonią w przedmiot, który ustawił się mu sztywno przed frontem. Pod wpływem nagłego uderzenia zakołysał się jak dyszel rikszy na wietrze. Pochyliła się i poczuł na nim jej ciepłe, miękkie usta. Powoli, cały świat wyływał gdzieś na zewnątrz ciała...

-Ho!Ho! - zachwyciła się Podnietka - Cesarzowa będzie zadowolona! Jej zdaniem wielkość i twardość zawsze przechodzi w jakość'.

Drzwi uchyliły się znowu. Dostrzegł drugą kobietę w przezroczystej tiulowej koszuli. Pod nią była też chyba naga, ale Aywan już tego nie

widział. Dostrzegł, że ponad kołnierzykiem, na cienkiej szyi, sterczała szara twarz z bezzębnymi ustami. Pod wysuniętą szczęką zwisały dwa pęcherze pomarszczonej skóry, które kiedyś były kobiecymi piersiami.

- Podaj mu napój miłości! - powiedziały usta - Nigdy nie miałam mnicha! To musi być - sapnęła pożądliwie - diabelskie przeżycie!

- Już daję, Wasza Wysokość!

Małe piersi dziewczyny drgały jeszcze pod wpływem gwałtowności ruchu, gdy obiema rękami sięgała po przygotowany kielich z napojem.

- Myśleć! Myśleć! Koniecznie myśleć!- Aywan gorączkowo obliczał szanse ratunku. Już wiedział, jaki będzie przebieg wydarzeń. -1 ta studnia na końcu! - myśl bolała przeraźliwie. Nagle uspokoił przerażenie.

- Chcę wypić ten napój z rozmysłem! - skłamał - Uwolnij mi ręce, pragnę się cały oddać rozkoszy!

- To mi się podoba! - dziewczyna skinęła głową z aprobatą.

Rozchyliła przezroczystą materię odsłaniając całą nagość ciała - od małych, jędrnych, szeroko rozstawionych piersi, przez pępek i trójkątny wzgórek ciemnych włosów - do drobnych stóp, ubranych w sandaiki z cienkich plecionych rzemieni.

-Masz klasę! - przyznała - Jej ciepłe usta spoczęły na jego wargach. Czuł gładką skórę dłoni ściskającą zeszywniałe przyrodzenie, ale druga zwalniała już zaciski trzymające nadgarstki. Puściły.

- Możesz się teraz zabawić ze mną, jeśli chcesz - tylko bez zakończenia!
- ostrzegła - Najlepsze zatrzymaj dla Cesarzowej!

- Teraz! - wrzasnęło mu coś w środku.

Jednym szarpnięciem oderwał się od drewnianej konstrukcji i skoczył do okna. Zamknięte! Serce łomotało. Wiedział, że korzysta z zaskoczenia i ma tylko sekundy czasu. Nie oglądając się runął wprost przed siebie. Brzęk szyby, ciemność. Leżał na ziemi, oszołomiony, ale cały.

-Szczęście - zdążył pomyśleć - że Chińczycy nie gustują w wielopiętrowcach! Teraz biegiem! - poderwał się na równe nogi - Dokąd biegiem? Nie wiem gdzie jestem!

Biegł. Obijał się o ściany słabo oświetlonych krużganków. Papierowe lampiony migotały nikłym światłem, kołysząc się miarowo pod wpływem pędu powietrza. Kluczył. Zawracał. Biegł znowu. Czyjaś ręka przycisnęła go do muru. Szarpnął się konwulsyjnie.

- Cicho! - usłyszał szept mężczyzny - Cicho! - powtórzył ktoś z cienia - Pomogę ci! Sam nie masz szans! Złapią cię w pięć minut!

- Kim jesteś? - spytał zadyszany.

- Chodź ze mną! - powiedział głos - Dowiesz się później!

3.

Mężczyzna pociągnął go za sobą. W ciemności przesuwali się cicho pod ścianą niskiego budynku. W centrum małego dziedzińca widać było stopnie schodków prowadzących do wodnego oczka dla złotych rybek.

-Jesteśmy na miejscu! - wyszeptał - Nie przyjdzie im do głowy tutaj szukać!

Pchnięte energicznie drzwi otworzyły się bezszelestnie. Pomieszczenie było obszerne, ale ciemne. Ręka mężczyzny przyłożyła płonąca zapalniczkę

do olejowej lampy. W świetle

płomienia Aywan rozpoznał swego wybawcę. To był Guanxu, współcesarz i koregent starej cesarzowej!

- Zostaniesz tu przez noc! - zdecydował cesarz - Przed świtem, gdy straże zmęczą się poszukiwaniem, wskażę ci drogę ucieczki!
- Gdzie jestem? - Aywan próbował zrozumieć wypadki tej nocy.
- Jesteś w *Zongnanhai* - 'Nowym Zakazanym Mieście', sąsiadującym ze 'Starym' od zachodniej strony.
- Dzięki, Oświecony! - Aywan wznosił oczy do nieba w dziękczynnym geście. Obawiał się, że został wywieziony daleko za Pekin - do Pałacu Letniego.
- Wasza Cesarska Wysokość! - Nie wiem jak Wam dziękować! Uratowaliście mi życie!
- Nie tylko życie, ale i cnotę, i godność, i co tam jeszcze człowiek posiada - odrzekł spokojnie Guanxu. - Ja już tego nie posiadam - dodał smutno - W mojej sytuacji możesz sobie darować te wszystkie 'Cesarskie Mości' i 'Wysokości'.
- A jaka to sytuacja? - ciekawość była silniejsza od strachu. - Przecież cesarz, nawet jako współregent, pędzić może twórczy i pożyteczny żywot?
- To czysta teoria! - odrzekł Guanxu. - Moją sytuację ilustruje nazwa pawilonu, w którym jestem więziony. No, nie do końca może więziony - zaśmiał się krótko - bo znam wyjście na zewnątrz, którego nie znają straże, ale korzystam z niego tylko nocą. Inaczej przenieśliby mnie w inne miejsce!

- Jak się zwie ten pawilon? - Aywan chciał zrozumieć sytuację cesarza.
- Pawilon Zachowania Witalności! - Guanxu zaśmiał się nerwowo - Tylko, że ona, znaczy - ciotka Cixi - przytruwa mnie arszenikiem. A to - śmiał się bez przekonania - nie służy zachowaniu witalności!
- Jeśli wiesz o tym - dopytywał się Aywan - czemu dajesz się truć?
- Dosypują mi do jedzenia. Mam dwa wyjścia - wciąż chichotał - umrzeć z głodu w ciągu trzech tygodni, albo umierać powoli - miesiącami. Wybrałem to drugie! - Cesarz nagle posmutniał - Nie wiem, czy to dobry wybór. Właściwie, już od dawna nie chce mi się żyć!
- Od czasu śmierci ukochanej? - wyrwało się Aywanowi.
- To cały świat o tym wie? - zdziwił się Guamu. - Tak, od tamtej pory! - przyznał.

Cesarz opadł bezwładnie na krzesło i zamilkł. Aywanowi zrobiło się przykro, że poruszył ten tragiczny wątek. Też nie mówił nic. Guanxu oddychał spokojnie, półleżąc z zamkniętymi oczami, wciśnięty w głębokie oparcie obciążonego jedwabiem fotela. Aywan sądził, że cesarz zasnął.

- Nie będzie ci łatwo przedostać się do *Yonghe Gong* - cesarz otworzył szeroko oczy.
- Skąd Wasza...? Skąd wiesz - poprawił się Aywan, że mieszkam właśnie tam.
- Zapamiętałem cię z audiencji! - odparł cesarz - Wyróżniasz się nie tylko wzrostem, ale i fizjonomią. Zresztą - zaśmiał się znowu - nie tylko ja tak sądzę! Widziałem wzrok Cixi i tej jej zaufanej - za przeproszeniem - putany!

- Czy cesarzowa? - pytał ostrożnie Aywan - Często dokonuje takich akcji jakiej usiłowała ze mną?
- Cesarzowa - to moja ciotka! Mieszkaliśmy kiedyś w jednej rezydencji z całą rodziną, zanim została konkubina cesarza Kajfenga. Zawsze czymś przyciągała mężczyzn i była nadpobudliwa. Gdy zagięła na kogoś parol, to wcześniej czy później miała go w łóżku!
- A ty sam? - Aywan starał się nie nalegać na odpowiedź, ale pchała go chęć zrozumienia sytuacji, w której sam się znalazł. - Miałeś z nią jakieś kłopoty?
- Zbliżeń nigdy nie było! - Guanxu starał się dosięgnąć pamięcią wydarzenia sprzed wielu lat - Nie byłem w jej typie, zresztą - zawsze miała mnie za dupka! - Aywan nie spodziewał się, że takiego słowa może użyć władca najludniejszego państwa świata. I do tego w odniesieniu do własnej osoby!
- Jak to, dupka? Nie możesz być dupkiem, skoro zostałeś cesarzem! Dupki cesarzami nie zostają! - Tego akurat był pewien i jego głos wyrażał nie tylko przekonanie, ale i dezaprobatę.
- Mylisz się głęboko! - westchnął cesarz - Przyjrzyj się wszystkiemu dokładnie: w polityce jest aż gęsto od dupków i zdarza się, że to ich jedyna kwalifikacja do rządzenia. Powiem ci więcej! - Guamu śmiał się teraz szeroko - Może o to właśnie chodzi? Dupkowatość - jako podstawowa kwalifikacja! Jak ci się to podoba?

Aywan nie nadążał za rozumowaniem cesarza.

- Musi mieć wiele doświadczenia! - myślał - Mówi to wszystko z taką pewnością siebie!

- Pomyśl i powiedz! - cesarz starał się zachować powagę -Jak według ciebie zostaje się władcą?
- No, trzeba... - zająknął się Aywan. Starał się przypomnieć sobie nauki Konfucjusza - ...trzeba mieć określone przymioty - zawahał się, bo na pozornie proste pytanie nie znajdował równie prostej odpowiedzi.
- Jakie to przymioty? - cesarz był wciąż rozbawiony - No, jakie?
- Trzeba mieć poczucie misji... - Aywan przypomniawszy sobie wszystko, co czytał o nauczaniu mistrza Kongzi - ...trzeba pragnąć dobra narodu i umieć to osiągnąć! - Był przekonany, że dobrze zdaje egzamin. Ostatecznie, w Chinach, nauki Konfucjusza, to podstawa edukacji.
- Dobra narodu, powiadasz? - naśmiewał się cesarz - Konfucjusz to stary profesor, czysty teoretyk, który sam nie posmakował władzy. Inna sprawa, że jego teorie okazały się dla władców bardzo wygodne! Wytlumacz mi - ciągnął Guanxu -dlaczego Chiny właśnie giną pod rządami jednej z najtrwalszych w dziejach dynastii i pod rządami najdłużej panującej władczyni - poprawił się na fotelu - mojej ciotki, zresztą?

Aywan milczał, a cesarz mówił dalej.

-Widzisz, siedzę z jej rozkazu w tym areszcie od dziesięciu

lat - cesarz spojrzał na rozmówcę wymownie - wiesz za co?

Aywan nie wiedział.

- Za to, że myślałem jak ty! Naiwnie sądziłem, że aby rządzić, trzeba mieć poczucie misji, że trzeba pragnąć dobra narodu i umieć to osiągnąć!
- Nie zawsze byłeś więziony? - wyrwało się Aywanowi.

- Oczywiście, że nie! - obruszył się Guanxu - Najpierw byłem nieletni, więc nie byłem groźny. Potem byłem niedoświadczony i też nie byłem groźny. Dopiero, gdy wybuchło powstanie bokserów, stałem się potrzebny. A czy wiesz - pytał cesarz retorycznie - do czego byłem potrzebny? Do reform, kochany! - nie czekał na odpowiedź - Do reform, których ciotka sama nie potrafiła sobie nawet wyobrazić!
- Słyszałem o powstaniu bokserów - przypominał sobie Aywan - Byłem wtedy z misją w Petersburgu. Na carskim dworze mówiło się o tym wydarzeniu jako o szansie dla rosyjskiej ekspansji na wschód.
- Ooo! - zdziwił się cesarz - to nie jesteś w polityce nowicjuszem! A gadasz jak nowicjusz!
- Jestem, w gruncie rzeczy, nowicjuszem w kontekście twojej 'teorii władzy'. - odparł Aywan - Wszystko, co dotąd robiłem, wynikało z poczucia misji i przekonania o słuszności sprawy.
- No, to szczęśliwy z ciebie człowiek! - Guanxu zatopił się we wspomnieniach - Reformy, naprawdę wielkie reformy, robiliśmy przez dwa lata i Chiny zaczęły stawać na nogi. Wtedy ciotka doszła do wniosku, że mogę urosnąć za wysoko.
- I uwięziła cię? Ot tak, po prostu za reformy? - zdumiał się Aywan.
- O, nie, nie! - zachnął się cesarz - Najpierw musi być zdrada! Najlepsza jest zdrada stanu! - uśmiechnął się gorzko - Wiesz, potrzeba jest matką wynalazków! Znalazła zdradę w postaci moich dwóch najlepszych ministrów. Skazani zostali na śmierć, jeden zdołał uciec zagranicę. Jako ich poplecznik, wylądowałem tutaj. Ot, cała historia...

Aywan siedział naprzeciwko cesarza w milczeniu. Ten ujął twarz w dłonie i skulił się w fotelu. Chyba zasnął naprawdę. Jednak po chwili znowu podniósł głowę.

-Idealem i prawdziwym celem władzy, mój drogi, każdej władzy - dodał - jest dalsze utrzymywanie się przy władzy! A w tym rachunku koszty się nie liczą, to znaczy - zachichotał - nie liczą się koszty, jakie ponoszą inni. Koszty innych nie mogą liczyć się w naszym rachunku utrzymywania się u władzy - ciągnął wydymając wargi w grymasie lekceważenia - bo to nie są nasze koszty. Jeśli nasza władza się nie zmniejsza, a przecież władza ciotki Cixi - podniósł w górę obie splecione ze sobą dłonie, jakby symbolizujące całość i niepodzielność jej władzy - nie zmniejszyła się ani na jotę, to kosztów nie ma! A że kraj ginie - machnął wymownie ręką - to tylko kraju sprawa!

Aywan znowu nie powiedział nic. Siedzieli jeden naprzeciwko drugiego w całkowitym milczeniu. Cesarz, zanim naprawdę zasnął, a spał jak dziecko wtulone w łono matki, wskazał mu wyjście na dach.

-Stąd, po dachach pawilonów, wydostaniesz się za mur ogrodzenia. Nie jest wysoki! Nie służy do obrony, zbudowano go dla zasłony przed ciekawską gawiedzią. Zobaczysz na stępny mur i fosę, odgradzającą od świata Zakazane Miasto. Zanurz się w wodę i powoli, bez hałasu, płyn! Za narożnikiem muru jest ogrodzenie *Yonglw Gong*. To drewniany płot. Ma sporo szpar. Dostaniesz się do wnętrza bez trudu. - Cesarz popatrzył na niego ciepło i podniósł rękę w geście pożegnania.

Aywan uściskał go serdecznie.

-1 pozdrów ode mnie świat! - zaśmiał się po raz ostatni. Za chwilę spał głębokim snem człowieka pozbawionego złudzeń.

4.

Świt nie zdołał jeszcze rozjaśnić burej ciemności pekińskiej nocy, gdy Aywan przecisnął się przez nieszczelność klasztornej ogrodzenia. Przed metalową bramą uwijała się gromadka żołnierzy. Rozpoznał dowódcę osobistej ochrony cesarsowej. Oficer wydawał przyciszonym głosem rozkazy. Żołnierze otaczali teren luźną tyralierą.

- Brać nas siłą nie będą - mruknął do siebie - ale wydostać się stąd będzie trudniej niż wejść do środka!
- Co się stało? - usłyszał głos Thubtena. Dalajlama wyglądał jak człowiek pozbawiony snu. Oczy podkrążone, policzki blade. Z nieukrywanym zdumieniem oglądał jego pomięty i zabłocony habit. Aywan miał głowę i twarz pokryte rzęsą z fosy.
- Zniknąłeś nagle. W miejscu modlitwy znaleziono ślady walki. Byliśmy bardzo zaniepokojeni! Chcieliśmy śłać po policję. Co się stało?
- Spytaj o to swoją polityczną partnerkę, Dowager Cixi! -warknął Aywan - Całe szczęście, że nie wezwałeś chińskiej policji. Byłoby już po mnie!
- To jednak? - wykrzyknął Thubten - Ta stara zboczona baba i do ciebie się dobrała? Widziałem jej chętkę! - przypomniał sobie pełne chuci oczy cesarzowej w czasie audiencji.

Thubten był zmęczony, ale nie ukrywał swojego wzburzenia.

-jak ci się udało wydostać z jej łap?

-Trochę dzięki tobie! - odparł Aywan - Gdyby nie twoja opowieść o losach nieostrożnych i o ich końcu w studni, dał bym się pewnie zwieść miłosnym pogawędkom. A tak - rozluźniony szczęśliwym powrotem pozwolił sobie na szczyptę humoru - nawet nie straciłem dziewictwa!

Dalajlma parsknął śmiechem, nieprzystojnym dostojeństwem i groźną sytuacją.

-Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrowy z tej opresji! Musisz się wykapać i przebrać! Potem pomyślimy, co robić dalej.

Tej nocy Aywan spał źle. Dręczyły go koszmary, których głównym aktorem była bezzębna twarz cesarzowej. Nie wątpił, że sprawa nie jest zakończona, a starucha dyszy żądzą zemsty.

- Oby nie zrobiła nic cesarzowi! - myśli wędrowały do pawilonu, w którym więziony był Guanxi. - Mnie pewnie czeka najgorsze! Nigdy się stąd nie wydostanę!

Wyrzał przez okno. Teren nadal otaczali żołnierze. Do bramy podjeżdżał pojazd zaprzężony w dwa białe konie. Był podobny do rosyjskiej kibitki, ale bardziej strojny. Sprawiał wrażenie konstrukcji projektowanej z myślą o wygodzie pasażerów.

- To chyba nie wizyta mojej cesarskiej kochanicy? - czarny humor go nie opuszczał - A może przybywa Podnietka? -usiłował żartować dalej. Pomimo grozy sytuacji ze zdumieniem odnotował, że na wspomnienie nagiego ciała dziewczyny, poczuł przyjemne drgnięcie pod habitem, gdzieś nad zwieńczeniem ud.

- Czyżby Mandziuśri miał rację twierdząc, że nie jestem kandydatem na arhanta i że tkwi we mnie pożądanie? Muszę to zwalczyć! - postanowił.
- Jego Ekszelencja, Konsul Cesarstwa Rosji - Grigorij Czan-gowicz Miecugow! - usłyszał głos odźwiernego.
- Czangowicz? - zdumiał się Aywan - Co to za *otcziestwo*? Znowu jakiś mieszaniec?

Schodził z piętra do sali pełniącej rolę modlitewnej i au-diencyjnej. Ciekaw był przyczyny wizyty. Wiedział, że może być potrzeby jako tłumacz. Dalajlama nie znał rosyjskiego.

Sala zasługiwała na swoją sławę. Wypełniona była arcydziełami sztuki stolarskiej. Gięte meble z rzadkich gatunków drewna kunsztownie rzeźbione zwierzęcymi motywami, bogato inkrustowane i malowane, stały na pozór bezładnie, sprawiając jednak wrażenie dobrze przemyślanego porządku. Ściany pokryte barwnymi freskami i tybetańskimi *tangkami* -kolorowo wyszywanymi tkaninami imitującymi malowidła, przedstawiały sceny z życia Buddy i tajemną geometrię przestrzeni.

Dalajlama siedział na drewnianym, rzeźbionym fotelu, sprawiającym wrażenie tronu. Ujrzał Aywana schodzącego ze schodów i ruchem ręki wskazał mu miejsce po swojej lewej stronie - to tradycyjne miejsce tłumacza.

Konsul nie był ubrany w galowy strój. Miał na sobie zwykły mundur oficera rosyjskiej armii. Rosjanie uwielbiają mundury, szamerowania i orderzy. Zwyczajny strój konsula wskazywał na to, że wizyta nie ma oficjalnego charakteru.

Do sali wpadł zdyszany mnich odźwierny z informacją, że dowódca

chińskiej gwardii cesarskiej żąda natychmiastowego posłuchania. Sprawa nie cierpi zwłoki. Aywan, który nie zdążył jeszcze zająć swojego miejsca, cofnął się w cień pilastra ściany.

-Wasza Świątobliwość! - oficer wbiegł do sali.

Chińskie wojsko w tradycyjnych mundurach wygląda dziwacznie. Szerokie, obficie zakrywające ciało i krępujące ruchy barwne szaty, to zaprzeczenie prostych, wtapiających żołnierza w otoczenie mundurów typu europejskiego. Wrażenie komiczności powiększała okrągła czapka dowódcy przykrywająca głowę i zakończona jedwabnym pomponem. Spod czapki wystawał, jak ogon wielbłąda, długi warkocz. To znak, że jego właściciel jest Chińczykiem, a nie arystokratą z panującego narodu Mandżurów. Dynastia mandżurska, rządząca w Chinach od dwóch stuleci, nie zamierzała dzielić władzy z podbitą ludnością, co by zapewne nastąpiło, gdyby nie surowy zakaz mieszanych małżeństw. Mandżurowie, spadkobiercy koczowniczych Dżurdzeńów, wymyślili prosty sposób odgrodzienia się od Chińczyków: oznakowali ich tak, jak znakuje się w stepie bydło. Chińczyk, młody czy stary, obdarzony bujną czupryną, czy też całkiem łysy, musiał - pod groźbą kary śmierci, ozdobić swoją głowę nigdy nie ścinanym warkoczem.

- Wasza Świątobliwość! - w głosie dowódcy gwardii nie było niczego świątobliwego - Proszę mi wybaczyć gwałtowność wejścia - tłumaczył kłamliwie - ale mamy informacje o groźnym, zagranicznym szpiegu!
- Szpiegu? - zawołał z nieskrywanym zdumieniem Dalajlama - Tu nie ma żadnych szpiegów! Jedynym cudzoziemcem jest Jego Ekscelencja Konsul Rosji!
- Proszę wybaczyć mi, Ekscelencjo, wtargnięcie! Chińczyk zwrócił się

do Miecugowa z czymś w rodzaju pokłonu, którego nie wykonał przed Dalajlamą, jakby nie było - 'Samoistnym Buddą' i 'Wiceregentem' Cesarstwa. Wykazywał wobec Rosjanina zagadkowy rodzaj szacunku, który nie mógł mieć związku z międzynarodową pozycją Rosji. Ta była, po przegranej wojnie z Japonią i chaosie rewolucji, wyjątkowo niska.

- W cesarskich ogrodach schwytaliśmy szpiega, niejakiego Dordżijewa - rosyjskiego Buriatę przebranego za mnicha. Uciekł!

Chińczyk całym sobą markował zaniepokojenie - Podejrzewamy, że zamierzał dokonać zamachu na życie Syna Nieba, miłościwie nam panującego Cesarza Państwa Środka -Guanxu! Ta zbrodnia - wołał w sztucznym podnieceniu - nie może ująć karze! - Przez chwilę dyszał, jakby z oburzenia i wstrząsu odebrało mu mowę.

-Otoczyliśmy teren klasztoru, aby zbrodniarz nie zagroził Waszej Świątobliwości! - zwrócił się znów do Dalajlamy - Nie możemy dopuścić do tragedii! - Chińczyk uważnie obserwował reakcję, mając nadzieję, że rozmówca zdradzi wiedzę o poszukiwanym.

Thubten Gyatso westchnął głęboko i podniósł ręce do modlitwy.

- Tyle zła na tym świecie, modlę się o dobro! - powiedział spokojnie - Czyńcie swoją powinność oficerze! - zwrócił się do Chińczyka - Przyjmijcie nasze podziękowanie za okazaną troskę.

- Znajdziemy go! - wykrzyknął oficer z całą pewnością siebie, na jaką go było stać.

Zakołysał się przez chwilę tak, jakby chciał wydać zbrojnemu

oddziałowi, stojącemu w otwartych drzwiach, rozkaz przeszukania klasztoru, ale zbity z tropu reakcją Dalajlamy skłonił się, dokonał przepisowego zwrotu w tył i razem z podkomendnymi opuścił salę.

-Co Was sprowadza, Ekscelencjo? - Dalajlama zadał pytanie po chińsku. Aywan spodziewał się, że użyje języka tybetańskiego i konieczne będzie tłumaczenie na rosyjski. Tego wymagał oficjalny protokół. Ale widocznie Thubten Gyatso uznał, że nieobecność Aywana jest mu na rękę.

- Pragnienie pomocy! - odparł Miecugow - W jego chińsz-czyźnie słyhać było mandżurski akcent. - Pekin jest pełen agentów, nie tylko chińskich! - uśmiechnął się sarkastycznie -My też mamy swoich informatorów. Od wczoraj wiemy o przygodzie współpracownika Waszej Świątobliwości. Skoro jest on, jak twierdzą Chińczycy - dodał uprzejmie - Buriatą i poddanym cesarza Rosji, mamy podwójny obowiązek pomocy.
- A ten pierwszy? - wnikliwie pytał Dalajlama.
- Ten pierwszy, to nasze zobowiązania wobec Waszej Świątobliwości - Miecugow skłonił się energicznie, tak, jak robi się to w cerkwi przed ołtarzem - proszę pamiętać, że jesteście nadal Arcybiskupem Świętego Kościoła Prawosławnego na cały Wschód. Dla Rosji - dodał - opieka nad swoim biskupem, to obowiązek!
- To miło! - odparł Dalajlama - Szkoda, że arcybiskupstwo nie zdołało się zmaterializować!
- Nic straconego! Nic straconego! - konsul wydawał się w pełni przekonany - Pracujemy nad tym dalej, Rosja przecież staje na nogi!

Dalajlama rozejrzał się z niepokojem. Za dużo wysiłku kosztował go powrót z objęć Rosji w ramiona Pekinu, żeby lekkomyślnie narazić pozycję na szwank. Jednak tu chodziło o Aywana.

- Co możecie dla nas zrobić teraz? - zapytał.
- Wiele i niewiele! - odparł Miecugow. - Niewiele możemy zrobić, żeby tego Dordżijewa, czy... jak mu tam..., odnaleźć. Pekin, to milionowe miasto. Ale gdyby, na przykład się odnalazł - Rosjanin konfidencjonalnie przymrużył oczy - możemy pomóc przedostać mu się do Szanghaju!
- Do Szanghaju? - dziwił się Thubten - Wracamy do Tybetu - do Lhasy! Szanghaj nam nie po drodze! '
- Bezpośrednio z Pekinu do Tybetu można się dostać, jak wiecie, tylko jedną drogą - pustynnym szlakiem prowadzącym przez Gansu i Cjinghai. Pamięta Wasza Świątobliwość - przypomniał Miecugow - z jaką łatwością Chińczycy odszukali Was w klasztorze Kumbum i zawrócili do Urgi?
- Prawda! - przyznał Dalajlama - Co proponujecie, Ekscelencjo?
- Nasza ambasada ma w porcie, zaraz u wejścia do Wielkiego Kanału, eksterytorialną dżonkę. Tą drogą bez trudu można dostać się do Szanghaju. A stamtąd - zauważył - podróż morską do Kalkuty wokół Indochin i dalej do Lhasy trwa krócej, niż drogą lądową przez całe Chiny.
- Dobrze, ale jak ten Dordżijew, czy... jak mu tam... - Dalajlama konsekwentnie udawał, że nie wie, o kogo idzie - wydostanie się stąd? Przecież teren jest gęsto otoczony?

- W prosty sposób! - wyjaśniał Miecugow - W południe powrócę, ale nie sam. Przyjdzie ze mną młody oficer wzrostu tego..., jak mu tam... - Dordżijewa! Pozostanie tu jako mnich, a tamten wyjdzie ze mną w mundurze rosyjskiego oficera jako mój adiutant.
- Straże nie rozpoznają sztuczki? - niepokoił się Thubten.
- Dordżijew, jak obaj wiemy, ma europejskie rysy! - Miecugow dawał do zrozumienia, że jego agentura pracuje sprawnie - Chińczycy nie odróżniają fizjonomii białych ludzi, tak jak dla Europejczyków wszyscy Chińczycy wyglądają jednakowo.
- To chyba dobre wyjście! - uznał Dalajlama.
- To jedyne wyjście! - zauważył Miecugow - Jutro mogą zarządzić przeszukanie terenu i budynków klasztornych i będzie za późno! Cesarzowa - zauważył cierpko - czuje się nie tylko obrażona, ale osobiście znieważona.
- Czym? - zdumiał się Dalajlama. - Przecież to ona chciała w okrutny sposób wykorzystać i unicestwić człowieka!
- To jest Orient, Wasza Świątobliwość! To jest Orient! -powtórzył - Ludzkie życie ma się za nic. Liczy się interes władców. A jeśli władca jest kobietą...

Dalajlama nie rozumiał myśli, do której prowadził rozmówca.

- Wasza Świątobliwość nie zna kobiet! - uśmiechnął się Miecugow - To zrozumiałe. Nic nie może zranić kobiety bardziej, niż uciezka mężczyzny przed jej ciałem. Kobieta może pogodzić się z porzuceniem, ale nigdy z okazanym obrzydzeniem. A Wasz współpracownik dokonał tego wyjątkowo spektakularnie. Nie

chciałbym - wzdrygnął się Rosjanin - być w jego skórze gdyby wpadł znowu w ręce cesarzowej!

- Teraz rozumiem tę przemożną chęć pomocy! - zauważył Dalajlama - Męska solidarność?
- To też, Wasza Świątobliwość, to też!

5.

Pomysł Miecugowa okazał się bezbłędny. Opuszczenie przez Aywana terenu klasztoru odbyło się bez przeszkód. Chińscy żołnierze traktowali Rosjanina z takim szacunkiem, że część spłynęła na Aywana. Rzekomemu adiutantowi konsula pomagali nawet przy wchodzeniu do powozu. Teraz, siedział w wygodnym pojeździe jako porucznik armii rosyjskiej i adiutant Miecugowa.

- Widzę, że Rosja cieszy się wysokim poważaniem w cesarskiej armii! - zauważył.
- To nie Rosja! - Nie mógł powstrzymać próżności Miecugow - To ja! - Nie jestem Rosjaninem czystej krwi. - Konsul zauważył wymowne milczenie współpasażera - Miecugow, to nazwisko mojej matki! Była córką wysokiego urzędnika rosyjskiego w Harbinie. Ojciec był mandżurskim arystokratą z rodziny, która pozostała na miejscu, a nie przeniosła się - jak połowa Mandżurów - do Pekinu. Jego nazwisko brzmiało -Qing, a dokładnie, Czang Qing, a taką nazwę nosi rządząca od dwustu lat w Chinach dynastia. Nie wiedząc, jak jest naprawdę - konsul zaśmiał się radośnie - a w Chinach rodzina, to wielki klan, Chińczycy traktują mnie, na wszelki wypadek, jak członka cesarskiej rodziny.

-Teraz poczułem się naprawdę bezpiecznie! - przyznał Aywan.

-I słusznie, i słusznie! - przytaknął Miecugow - Tutaj, w północnych Chinach, mam niejako - roześmiał się głośno -podwójny immunitet. Zapewniam cię, chłopcze, że nie ośmieli się do nas zbliżyć żadna kontrola. Ale do rzeczy, czeka nas poważna rozmowa!

Aywan zastanawiał się, czego może oczekiwać od niego rosyjski konsul. Dotąd sądził, że pomoc wynika z sympatii do jego buriacko-rosyjskiego pochodzenia. Teraz podejrzewał, że zostanie mu wystawiony rachunek. Nie mylił się.

- Najpierw - Miecugow patrzył na Aywana z za opuszczonych binokli - muszę przeprosić za mundur z dystynkcjami młodszego oficera. Jesteście majorem, Dordżijew! Niestety! -zafrasował się sztucznie - Nie miałem pod ręką majora waszych rozmiarów!
- Dużo pan o mnie wie, Grigoriju Czangowiczu!
- Dużo! Więcej niż myślisz! - zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej - Nie mamy czasu! Za dwie godziny będziemy nad brzegiem *Da Yunhe* - jak tutaj nazywają Wielki Kanał. Masz przed sobą daleką drogę.
- Jak daleką? - zainteresował się Aywan.
- Masz do przebycia - Miecugow zawiesił głos dla zwielokrotnienia efektu - tysiąc mil. Tyle liczy sobie Wielki Kanał. Zaczyna się pod Pekinem, a kończy dalej niż Szanghaj - w Hangzou.
- Chyba odwrotnie! - poprawił konsula - Zaczyna się w Hangzou, a kończy w Pekinie.
- Imponujesz mi, synu! - Miecugow popatrzył na niego z podziwem - Musiałeś mieć doskonałe wyniki szkolenia!

- Mam zwyczaj szkolić się sam! - burknął Aywan. - Proszę powiedzieć, ile wynosi dystans między Himalajami a Petersburgiem? Tę drogę pokonałem trzykrotnie!

Aywan dobrze przewidział reakcję Rosjanina. Informacja o jego pobytku w Petersburgu i do tego trzykrotnym, zbiła konsula z tropu. Przez dłuższą chwilę milczał, jakby się zastanawiał nad zmianą taktyki - z ojcowskiego poklepywania na coś w rodzaju partnerstwa. Ba, ale jakie to partnerstwo? Jakiej rangi? Przecież w Rosji najważniejsza jest ranga!

-A w jakiej tyś, kochanieńki, sprawie wybierał się do Petersburga?

W pytaniu Miecugowa czuć jeszcze było nutkę paternalizmu, ale już słabszą. W Pekinie nie spotkał nikogo, kto bywałby w Petersburgu. Ten gość jest jakiś dziwny. Niby Buriata, a więc Rosjanin! Ale i Tybetańczyk zaprzyjaźniony z Dalajlamą! Do tego jeszcze młody, a już major rosyjskiego wojska! I to polecenie z góry o specjalnym traktowaniu! Co to za historia? Jednak ciekawość przemogła.

- A i po coś ty, młody człowieku, do Petersburga z tych Himalajów jeździł? - Miecugow uważał, że na tak zadane pytanie nie może uzyskać zaskakującej odpowiedzi.
- Do cara, Grigorjiu Czangowiczu, do cara Mikołaja II, Imperatora Wszechrosji! Cesarzowa ma prawo mieć do mnie znacznie więcej złości, niż by to wynikało z uczucia zawiedzionej żądzy. Siedem lat temu, w Petersburgu, oddałem Tybet pod opiekę Rosji!

Rozmowa odbywała się po rosyjsku. W tym języku słowo *Rossija*

brzmi szczególnie i należy je nie tylko wymawiać z szacunkiem, ale i z szacunkiem się w nie wsłuchiwać.

-1 co? - nie wytrzymał Miecugow - I car cię przyjął? A gdzie on cię mianowicie przyjął?

-W Małej Sali Tronowej! - odpowiedział Aywan celowo nadając głosowi beztroskie i trochę luźne brzmienie - Wiecie, to jest w Pałacu Zimowym... no tam, wiecie..., jedziecie od strony Dworca Moskiewskiego, musicie przejechać Most Każański na Kanale Gribojedowa, potem przekraczacie Mojkę - taką małą rzeczkę, mijacie gmach Sztabu Generalnego z Miedzianym Jeźdźcem przed Admiralicją, robicie pętlę od strony Newy i tam - głównym wejściem wchodzicie do Pałacu Zimowego, mijacie schody Rastrellego i ot, już jesteście przed Małą Salą Tronową. To przecież łatwe, nieprawda?

Miecugow długo nic nie mówił. Prawie nie oddychał. Ay-wan bał się, że nie przewidział efektu ubocznego swojej opowieści i zobaczy atak serca partnera. Partnera, bo jak go teraz nazwać? Ale nie, za chwilę konsul poruszył się, nabrał powietrza i jeszcze raz zadał pytanie. Tym razem jego głos aż drżał z niepewności.

-1 kto was - już mówił 'was', a nie 'synu' i nie 'kochanieńki' - jeszcze przyjął?

-Pan Sergiusz Witte, na przykład...

-1 premier też? - Miecugow czuł się rangą coraz mniejszy i mniejszy i ta świadomość wciskała go w głąb miękkiej kanapy powozu.

•Jest już premierem? - zdziwił się Aywan - Kiedy mnie przyjmował, mówiliśmy o pieniądzech. Był wtedy ministrem finansów! O tak! -

przypomniął sobie zdarzenie - To miało miejsce w gmachu Ministerstwa Finansów!

- Tak! O pieniądzech! O pieniądzech też! - konsul zasapał się nagle tak, jakby ślina wpadała mu do tchawicy razem z każdym wdechem. - Zaraz! Najpierw przekażę zadanie!
- Niech będzie! Najpierw zadanie! - zgodził się Aywan.
- Dobrze, dobrze! Niech tylko zbiorę myśli! - poprosił Miecugow.
- Zbierajcie! - dał mu czas na pozbieranie - Pomówimy o tym za chwilę!

Miecugow rzeczywiście potrzebował czasu na zebranie myśli i powtórzenie instrukcji, jaką otrzymał od zwierzchności. Był przygotowany na żartobliwe pouczanie młodego agenta o zadaniu, co do którego miał pewność, że jest nie do wykonania. Teraz poczuł się w roli egzaminowanego, a nie egzaminatora. Musiał rzeczywiście na nowo zebrać myśli.

-Będziecie, majorze - Miecugow przeszedł na oficjalną tonację - wracać do Lhasy drogą morską, a potem przez Indie i Sikkim. - nabrał powietrza w płuca - To nie najkrótsza droga, ale najszybsza. Możecie być u celu nawet przed Dalajlamą. Macie - wysapał wreszcie - dotrzeć w Szanghaju albo w Kaju - Macie - wysapał wreszcie - dotrzeć w Szanghaju albo w Kaju - kucie do jak najwyżej postawionych Anglików i wybadać, czy są gotowi do zawarcia kompromisu w sprawie Tybetu.

- Kompromisu? Z kim? - zapytał oschle Aywan.
- Z rządem rosyjskim, ma się rozumieć!
- Na jakich warunkach? - badał dalej.
- Idzie o to, aby Chiny wycofały swoje wojska z Tybetu w zamian za

ogłoszenie formalnego *desinteressement* tym krajem ze strony Rosji i Wielkiej Brytanii.

- Dotąd pracowałem raczej w kierunku odwrotnym - zauważył kwaśno Aywan - nad zainteresowaniem Rosji i *desin-teressment* ze strony Anglików i Chin. Tybet miał wejść w system państw sojuszniczych Cesarstwa Rosyjskiego!
- Cóż, wojna z Japonią i niepokoje wewnętrzne pokrzyżowały te plany. Musimy zaczynać od początku!
- Tyle, że ten nowy początek - Aywan był zgryźliwy - jest gorszy, niż ten, od którego zaczynaliśmy dziesięć lat temu! Wtedy Dalajlama był w Lhasie, Chińczycy w Pekinie, a Brytyjczycy nie wychylali nosa poza Indie. Teraz Dalajlama jest w Pekinie pod kontrolą cesarzowej, bo Anglicy nie zgodzili się go wpuścić do Tybetu, wpuścili za to dwa tysiące chińskich żołnierzy z Syczuanu!
- Jest trudniej, to prawda! - bronił się Miecugow - Trzeba jednak próbować odwrócić niekorzystny bieg zdarzeń!
- Trzeba! - zgodził się Aywan. - Tylko, powiedzcie górze, że Dalajlama nie jest bogaczem, szczególnie po czterech latach tułania się na wygnaniu. Nie zaopatrzył mnie w poważne środki finansowe.
- Wszystko jest zabezpieczone! - sapnął Miecugow z wyraźną zazdrością - Macie otwarte konto w rosyjskim banku w Szanghaju.
- Co to znaczy, otwarte? - zainteresował się Aywan.
- No, w zasadzie nieograniczone...
- W zasadzie?
- Tak powiedzieli. Nie zapłacą wam za ekscesy, ale na wystawne życie

ma wam wystarczyć.

- Jestem mnichem - nie przywykłem do wystawnego życia!
- Przecież wiecie, że jako mnich nie załatwicie niczego, ani w Szanghaju, ani - tym bardziej - w Kalkucie! - tym razem Miecugow zasapał się własnym śmiechem - Czeka tam na was - przestał się śmiać - apartament w najlepszym hotelu.
- Co to za hotel? - pytał Aywan bez emocji.
- Nazywa się *Peace Palace*, czyli 'Pokój', tak jak kryptonim Waszej misji i jak Wasze hasło do rachunku bankowego.
- Ładnie zorganizowane! - zauważył Aywan. - Tylko powiedzcie mi, czemu to Petersburg nie może tego wszystkiego załatwić oficjalnymi kanałami dyplomatycznymi przez Londyn?
- Po przegranej wojnie z Japonią - Miecugow zrobił ponurą minę - i dwóch latach rewolucyjnych wstrząsów - dodał smutno - Rosja ma w Londynie niskie notowania. Poza tym, i tak w sprawie Tybetu decyzje podejmują ludzie z Indii Brytyjskich, a nie urzędnicy w Londynie. Waszym zadaniem, majorze - przytknął oczy jakby marząc, by było to jego własne zadanie - jest ich przekupić albo inaczej przekręcić na naszą stronę. Dlatego, to konto jest, no... takie otwarte!

Miecugow udawał zadowolonego, a może rzeczywiście był zadowolony. Instrukcję i informacje przekazał. Pogodził się widać z myślą, że nie będzie miał udziału, ani w misji, ani nie uszczknie z otwartego konta bankowego. A to go martwiło najbardziej. Postanowił wyjść w oczach rozmówcy na uczciwego urzędnika. Taka opinia nigdy nie zaszkodzi!

6.

Dżonka rosyjskiej ambasady miała typowe kształty. Płaskodenna, zbudowana jak wszystkie dżonki z drewna, posiadała wyjątkowy atut: na jej maszcie powiewała - oprócz rosyjskiej - chorągiew z cesarskim smokiem, świadcząc o nietykalności statku i jego pasażerów. Do masztu przytroczono jutowy żagiel, ale używany był tylko wtedy, gdy wody Wielkiego Kanału napotykały na większe akweny jezior i zalewów. Do burty przypasane były dwie pary wiosł z każdej strony, na wypadek braku wiatru na jeziorze.

Aywan postanowił nie pojawiać się na pokładzie inaczej, niż jako umundurowany porucznik, adiutant konsula Rosji. Mundur oficerski nigdy mu nie przeszkadzał. Przeciwnie, rosyjska część życiorysu pozostawiła mu swego rodzaju uczucie satysfakcji z eksponowania pagonów i naszywek. Robił to także ze względów bezpieczeństwa, immunitet samej łodzi mógłby okazać się niewystarczający. Miał w pamięci uwagi Miecugowa o prawdziwej naturze władczych kobiet i ich mściwości w reakcji na obelgę. Miał wrażenie, że mundur da mu dodatkową ochronę.

Podróżowanie *Da Yunhe*, starożytną drogą wodną - to ogromne przeżycie. Wielki Kanał jest arcydziełem sztuki inżynierskiej. Biegnie z Hangzou nad Morzem Wschodniochińskim, przecina cztery prowincje: Zhejiang, Jiangsu, Shadong i Hebei. Łączy nie tylko Chiny południowe z północnymi, ale wiąże systemy wodne trzech wielkich rzek - Jangcy, Huai He i Huang He w jedną żeglowną całość. Jego budowę rozpoczęto w V w. p.n.e., a konstrukcję ostatniego odcinka - do samego Pekinu, ukończono w XIII stuleciu. Jego pełna długość, to prawie 1100 mil. Właściwie, Wielki Kanał stworzył Chiny, umożliwił transport na wielkie odległości, irygacje

rozległych pól ryżowych i centralizację władzy. Wielki Kanał, to po prostu - Chiny!

Dżonka była wygodna. Pod pokładem miała dwie przestronne kajuty - jedna dla Aywana, druga dla jakiegoś innego pasażera - mały salonik, jadalnię i kuchnię z koją dla kucharza i dwiema pryzami dla chłopców pokładowych. Towarzysz podróży wyłonił się spod pokładu nagle, jak duch. Był - jak sam stwierdził - Chińczykiem, konfucjańskim uczonym i nauczycielem pokoleń mandaryńskich urzędników.

- Jestem Fu Songmu! - przedstawił się, poprawiając warkocz wymykający się spod okrągłej czapeczki - Podróżuję tak, jak i wy - do Szanghaju. Czeka nas wiele, wiele dni wspólnej podróży.

- Jak wiele? - Była późna wiosna. Aywan był ciekaw, kiedy dotrą do celu. Rieczna dżonka - to powolny środek lokomocji.
- Łatwo obliczyć! - Fu miał umysł naukowca - Płyniemy bez przerwy. Zaopatrzenie dostarczane będzie przy słuzach. Przy tempie dwóch mil na godzinę - daje to dwadzieścia cztery mile dziennie, a więc sto mil w cztery dni, czyli razem -tysiąc mil w czterdzieści dni! Cały Ramadan! - roześmiał się Songmu.
- Jesteście muzułmaninem? - zaciekawiał się Aywan.
- Nie, skądże! - zaprzeczył Fu - Muzułmanin nie studiuje niczego poza Koranem. W kółko to samo! Co to za nauka? Islam, to religia nomadów, wiecznie zmieniających swoje miejsce, a książki - roześmiał się kpiąco - to za duży ciężar dla wielbłąda! Sam Koran - zmrużył żartobliwie skośne oczy -wystarczy!

Aywan zapałał sympatią do starego Chińczyka właściwie od razu. Miał

trochę wysuszoną, drobną twarz, włosy rzadkiej brody powiewały na wietrze. Uśmiech skrywał coś urzekającego. Oczy były łagodne, szare, wyrażające spokojną mądrość.

- Jest tak naprawdę? - Toż ta religia nie ma przyszłości! - Aywan był zaintrygowany opinią Chińczyka.
- Tak daleko bym się nie posunął! - powstrzymał go uczonego - Islam świetnie zabezpiecza inne ważne potrzeby człowieka.
- Jakże? Chyba tylko potrzeby mężczyzn? - domyślił się Aywan.

Kilkakrotnie w drodze do Petersburga i z powrotem - do Lhasy, przejeżdżał przez Sinkiang. Była to prowincja zdominowana przez ludność muzułmańską. Zwrócił uwagę na wędrujące rodziny nomadów: za ujgurskimi mężczyznami, z godnością dosiadającymi muły i wielbłądy, wlokły się, niby stado owiec obciążone węzełkami, żony - dwie, trzy i cztery, a za nimi ciągnęła liczna gromadka dzieci.

- Ha! - zaśmiał się krótko Fu - Muzułmanie o prawdziwej, partnerskiej miłości nie wiedzą nic! Nie odróżniają kobiety od wielbłądzicy i chyba nawet nie wiedzą skąd się biorą dzieci?

- To niemożliwe! - oponował Aywan - Pamiętam Turfan, oazę na dawnym Jedwabnym Szlaku. To urokliwe miejsce! Kobiety piękne jak z baśni o Szeherazadzie! Niezwykle romantyczna dolina, pełna winnic i morelowych sadów. Mieszkańcy są pogodni i szczęśliwi, a nie ma przecież szczęścia bez miłości!
- Na przykład miłości własnej? - chytrze zapytał Fu.
- Prawdziwa miłość, to miłość między kobietą a mężczyzną - Aywanowi przyszło na myśl wielkie uczucie wiążące rodziców.

- Mylisz się, kochany! - Fu zawahał się przez chwilę - Pozwolisz, że będę ci mówił 'ty'. Przed nami tyle wspólnych dni, że chyba inaczej byśmy się sobą straszliwie zmęczyli.
- Jasne! A jak ja mam się zwracać? - zapytał uprzejmie.
- Mów do mnie - mistrzu! Ostatecznie jesteś ode mnie młodszy o parę tysięcy lat! - Fu roześmiał się radośnie. Aywan nie wiedział, czy mistrz śmieje się z żartu o swoim wieku, czy po prostu uśmiecha się do niego.
- A więc mylisz się przyjacielu! - ciągnął myśl mistrz Fu oparty leniwie o burtę dżonki. Suchy wiatr od lądu rozwiewał cienką brodę, zarzucając jej rzadkie włosy na tył głowy i splatając zabawnie z długim warkoczem - wrodzoną wszystkim gatunkom na ziemi potrzebę prokreacji z miłością, czyli czystym, altruistycznym uczuciem, a więc gotowością do poświęcenia życia dla ukochanej osoby. Bez prokreacji, albo ukrytej nadziei na nią, taki altruizm jest sprzeczny z naturą istoty żyjącej. Przecież - zauważył - musiałby się wiązać ze skłonnością do samounicestwienia, a takiej skłonności wśród gatunków żywych nie stwierdzono.
- Niczego nie myślę, tylko wyciągam wnioski z obserwowania ludzi i ich postępowania - argumentował Aywan.
- A czy zauważyłeś, że taka miłość prawie nie występuje między ludźmi starszymi i że to, o czym mówisz dotyczy wieku rozrodczego? Czy nie widzisz - mistrz Fu stosował najwyraźniej sokratejską metodę dialektyki - związku między jednym a drugim?
- Cóż to ma wspólnego z islamem? - Aywana trochę irytowała pewność siebie rozmówcy.

- Próbuję dowieść, że są kultury, w których nie kładzie się na prokreację zasłony z altruistycznej miłości. I zważ! - dowodził Fu - Nie tylko nie ma to ujemnego wpływu na liczbę dzieci, ale przeciwnie - muzułmanie należą do najszybciej rozradzających się społeczeństw!
- Nie jestem pewien - bronił się Aywan - czy istnieje taki właśnie związek! A jakie jeszcze ważne potrzeby, o których mistrz wspominał, zaspokaja islam?
- Ważną potrzebę, potrzebę równości, a więc zasadę jednakowego traktowania, z której wywodzi się inna potrzeba -potrzeba wolności.
- Wolności od czego? Od opresji? Od niegodziwości? -Aywan nie przepadał za tym pojęciem.
- To pytanie Europejczyka! Powinieneś zapytać 'wolności do czego'? Chyba, że jesteś Europejczykiem, bo sądząc po wyglądzie - Fu przyglądał mu się uważnie - szara czupryna (Aywan już nie golił głowy), duże i wcale nie skośne, zielonkawe oczy...
- Masz dobre oko mistrzu! - przyznał Aywan - Pochodzę z Buriacji, ale moja matka była w połowie Finką.
- To wiele wyjaśnia! - zauważył Fu - Pogląd na świat jest materią wrodzoną, a nie nabytą.
- A ty, mistrzu! - wpadł mu w słowo Aywan - Z jakiego regionu pochodzisz?

Fu spojrział bacznie na Aywana, rozejrzał się na boki po całym pokładzie, jakby chciał *coś* powiedzieć w konfidencji, ale nagle zmienił zdanie.

- A więc islam - wrócił do poprzedniego wątku - zaspoka

ja doskonale potrzebę wolności, rozumianej jako równe, jednakowe traktowanie. Czyli zabezpiecza wolność 'do' - to 'do' Fu podkreślił bardzo wyraźnie - jednakowego traktowania, a nie wolność 'od', na przykład opresji i przemocy, jak to rozumieją Europejczycy. Rzecz jasna - dodał pospiesznie - dotyczy to tylko muzułmanów - i tylko mężczyzn! Trudno jest przecież - roześmiał się - traktować jednakowo ludzi i - w ich mniemaniu - kozy, za jakie mają kobiety, nawet, jeśli przebywa się z nimi w jednym stadzie.

- Czy mistrz nie przecenia islamu pod względem tej wolności? -Aywan nie cenił muzułmanów, zawsze wydawali mu się aroganckimi nieukami - Przecież - zauważył - ich stosunek do kobiet świadczy o czymś wręcz przeciwnym! Uważają niższość i podległość kobiety za ich prawo naturalne!
- Równość - powiedział mistrz Fu - nie dotyczy kobiet. Ich bezwzględne posłuszeństwo wobec mężczyzn jest tam rozumiane jako przyrodzone prawo. Zresztą - zastanowił się chwilę - może skłonność do eksploatacji kobiet tkwi w całym człowieczeństwie? Islam rozlał się przecież z odległej pustyni arabskiej na pół świata w błyskawicznym tempie! Równość wszystkich mężczyzn i ich nieograniczona władza nad kobietami musiała być ponętna dla chrześcijan, Żydów czy Persów, skoro przeszli na islam w ciągu jednego pokolenia, gdy tylko im na to pozwolono!

Aywan pomyślał z satysfakcją, że zamiast uciążliwej, nudnej i monotonnej podróży będzie uczestnikiem wielodniowej naukowej debaty.

-To dobrze! - pomyślał - Nuda jest najgorsza! - Bez dostę

pu do książek i uczonych zwojów czuł się zawsze osamotniony, bezrobotny i znudzony.

Mistrz Fu gładził cienką brodę, wychylając się za burtę wolno płynącej dżonki tak, jakby chciał wyciągniętą ręką dotknąć łowiącą ryby na płyciźnie tresowaną czapłę. Na Wielkim Kanale nie wolno zastawiać sieci, aby nie tamować ruchu barek płynących licznie w obie strony. Kanał, to życiodajna arteria Chin. Na północ płynie ryż dla Pekinu, na południe - suszone mięso i wyroby rzemiosła. Bez Kanału Pekin byłby głodny. Nie mogąc zastawiać sieci, okoliczni chłopcy znani byli z tresury czapli i kormoranów. Tym łakomym ptakom zakładano na szyje obrączki w taki sposób, by nie mogły połknąć zdobyczy należnej hodowcy i pozostawały stale głodne.

- Bo jak wytłumaczysz ekspansję islamu? Popatrz! - znowu wychylił się przez burtę i zrobił ruch ręką wskazując brzegi kanału - Muzułmanie mogli być nawet tutaj! A to dlatego, że główna teza islamu jest rewolucyjna i powiada, że muzułmanin-mężczyzna dla innego muzułmanina-mężczyzny, to brat, niezależnie od koloru skóry, zamożności i pozycji społecznej. A ludzie kochają być równi! - Fu wyglądał na zadowolonego z wyводу - Jeśli ich, znaczy, muzułmanów, tutaj nie ma, to dlatego - zaśmiał się w sposób w jaki dotąd tego nie robił - że zakazują jeść wieprzowinę, a kuchnia chińska bez wieprzowiny, to połowa sztuki kulinarnej. Czy wiesz - śmiał się dalej - że pewien wzięty poeta napisał *'Poemat o Przygotowywaniu Golonki'*? A jaka golonka jest prawdziwa? - zapytał retorycznie - Tylko jedna, kochany! Golonka musi być świńska i tylko świńska! Nie ma tu miejsca dla islamu!

•Mistrzu, na Niebo! - zawołał Aywan wznosząc wzrok do góry -

Przecież nie można sprowadzać religii do jedzenia i -za
przeproszeniem - kopulacji!

- A jakże, można! I trzeba! Do tego przecież sprowadza się życie! -
mistrz Fu był z siebie wyraźnie zadowolony - Albo odwrotnie: do 'nie
jedzenia' i 'rezygnacji z kopulacji'.

Mistrz wstrzymał tok rozumowania i przez chwilę zbierał myśli do
dalszego wyводу. Odwrócił się tyłem do burty, oparł plecami o barierkę i
leniwie wystawił twarz do słońca.

-Spójrz - oczy miał przymknięte - na buddystów, szcze
gólnie tych z Tybetu! - Fu widać nie miał pojęcia o rzeczywi
stej tożsamości Aywana - Postępują odwrotnie niż muzułma
nie. Miłość mężczyzny do kobiety, jest tam traktowana jako
rezultat niewiedzy. Dobry buddysta - to mnich, który wie dzie
samotne życie i koncentruje się na samodoskonaleniu w dro
dze do uwolnienia od pożądań tego świata, czyli - w gruncie
rzeczy - na realizacji idei miłości własnej! A do realizacji miło
ści własnej kobieta nie jest konieczna!

Aywan był zbyt zdumiony wnioskiem, by komentować go w
jakikolwiek sposób. Wiedział przecież z własnego doświadczenia, że
porzucenie myśli o związku z kobietą daje ulgę, poczucie samodzielności i
nieograniczonej swobody. Jeśli nawiedzały go grzeszne myśli, to tylko
jako nieproszeni intruzi w osiągniętym spokoju. Odpędzał je medytacją i
modlitwą.

-1 popatrz! - ciągnął mistrz - Tybet jak miał sześć milionów
mieszkańców pięćset lat temu, tak ma tyle samo i dzisiaj. Bo też - zamyślił
się - w tym wysokogórskim klimacie więcej ludzi się nie da wyżywić!

- Do czego właściwie prowadzisz, mistrzu? - Aywan nie rozumiał myśli.
- Do tego, że buddyści mają rację, chociaż - mistrz zastanowił się jak myśl ubrać w słowa - z tej racji nie zdają sobie sprawy!
- Ciekawe jest to, co mówisz, ale nie do końca jasne! - Aywan nie zdradzał swojej uczoności w materii, ale rozumowanie Fu było intrygujące.
- Widzisz, w mniemaniu buddystów, rządzi nami *dharma*, czyli odwieczny porządek, zrozumiany przez Śakyamuniego w chwili oświecenia, jakiego doznał pod drzewem *bodhi*. To ona, odwieczne prawo, które Oświecony puścił w ruch pierwszym kazaniem w Sarnath, jest punktem odniesienia tego, co czynimy i co uważamy za słuszne. Ale, w gruncie rzeczy, to nie my działamy, ustanawiamy cele i gromadzimy emocje. To ona, *dharma*, czyni to za nas, my sami jesteśmy zaledwie jej, mniej lub bardziej sprawnym, narzędziem. Możemy, rzecz jasna stale siebie doskonalić, ale - przymrużył porozumiewawczo oko - nadal będziemy doskonalić jej cząstkę, a nie samą *dharmę*. Ona pozostaje poza naszym zasięgiem. Czyż nie tak?
- Jesteś buddystą czy hinduistą? Jest duża różnica między nimi w rozumieniu tego, czym jest *dharmal* - Aywan był pewien, że otrzyma odpowiedź twierdząca.
- Jestem kimś innym - Fu patrzył w zamyśleniu na rozgwieżdżone niebo - zupełnie kimś innym... Z tą różnicą też nie przesadzaj! - mistrzowi powrócił radosny nastrój - Jeśli zastanowisz się nad tym głębiej, dojdiesz do wniosku, że wszystkie religie są w swej istocie tożsame. Wszystkie dążą do tego, by ludzie rozwijali kwiat lotosu swej duszy, a

ignorowali bagno, z którego ten kwiat wyrasta.

- Kim jesteś mistrzu?

-Kiedyś może ci to powiem! - odpowiedział wymijająco -

Mamy jeszcze przed sobą tyle dni wspólnej podróży...

7.

Dżonka kołysała się na południe. Jej napędem byli ludzie. Ustawieni rzędem, przytroczeni do burty długimi linami, zaparci bosymi stopami o darń nadbrzeża, ciągnęli łódź całymi godzinami. Przy każdej śluzie, zmieniał się zaprzęg. Nowi nie różnili się od poprzednich. Chudzi, żyłaści i milczący. Większy wysiłek wspomagali krótkimi okrzykami.

Po obu stronach wolno płynącej łodzi, przesuwał się monotony krajobraz. Prowincja Hebei nie należy do pięknych. Klimat i gleby nie sprzyjają rolnictwu. Częste burze pyłowe, powodzie i susze niszczą uprawy. Krajobraz jest płaski. Wiosną jest szaro od wszędobylskiego pyłu, zmywanego ulewami przychodzącymi dopiero w lipcu i sierpniu. Kiedy łódź, wspomagając się żaglami, wpłynęła na wody wielkiej rzeki Jangcy, żywicielki Chin, krajobraz zmienił się całkowicie. Jangcy, trzecia najdłuższa rzeka świata, toczy swoje wody z lodowców Wyżyny Tybetańskiej, ale dopiero, gdy wpływa na żyzną, najżyźniejszą w całych Chinach dolinę, przekształca się w krainę ryb i ryżu. Starożytny symbol tej krainy, zwanej Jiangsu, składał się z dwóch piktogramów - jeden symbolizował ryby, a drugi - ryż. Aywan, dziecko stepów i górskich pustyń, napawał wzrok soczystymi barwami bujnej roślinności, kontrastującej z bielą murowanych domów. W sielski krajobraz wplatały się gęsto zaludnione miasta i miasteczka, będące od stuleci ośrodkami

wytwórczości i handlu. Praca tych ludzi sprawiała, że Chiny były kiedyś największą potęgą przemysłową świata.

- To nie ta wytwórczość - głos mistrza Fu wyrwał go z zamyślenia - ukształtowała Chińczyków!
- Czy mistrz czyta w myślach? - zaniepokoił się Aywan.
- Ryż stworzył ten kraj! - mistrz Fu mówił to z pewnością siebie.
- Czy ryż, pszenica, proso, czy jakieś inne zboże - Aywan miał wątpliwości - może decydować o potędze narodu? A co z krajami - miał na myśli Tybet i Mongolię - gdzie żadne zboże, warzywo i drzewo owocowe po prostu nie chce rosnąć?
- Szukasz odpowiedzi we właściwym kierunku! - pochwalił Fu - Dokładnie tak jest! To okoliczności przyrodnicze, czyli inaczej mówiąc - ziemskie *dharma* - odbicie kosmicznej, tworzą potęgę narodów, ich cywilizację i rzucają na poglądy ludzi.
- Czy na pewno nie jesteś, mistrzu, hinduistą? - dociekał Aywan.
- Popatrz na te pola zalane wodą! - Fu jakby nie dosłyszał pytania - Najważniejsze nie jest samo pole. Ważna jest grobla i grobla sąsiada. Ryż - to szczególna roślina, wymagająca, ale i święta. Wyżywi więcej ludzi niż inne zboże. Wymaga też więcej od ludzi, niż od ziemi - plony zależą od współpracy między ludźmi, a nie od innych czynników.
- A plony pszenicy, czy prosa tego nie wymagają? - dla Aywana każde zboże było jednakowe.
- Właśnie nie! - odparł Fu - Proso, to zboże biedaków, rośnie na suchych i jałowych gruntach, bez specjalnej opieki, ale też i plonuje chudo. Pszenica daje pożywne ziarno, ale wymaga pracy zrywami. Rolnik ma

dwa okresy spiętrzenia prac polowych - wiosną, to orka i siew, latem, to żniwa. Wiesz? - powiedział nagle - że w pszenicznej Europie nigdy nie prowadzono wojen w czasie żniw? A dlaczego? - postanowił sam odpowiedzieć na pytanie - Rycerstwo, to ziemianie, czyli rolnicy, którzy nie mogą oderwać się od żniw. Zagłodziliby siebie i własnych królów!

- Czy...? - Aywan zaczął nagle rozumieć - Czy dlatego w Chinach nie było rycerstwa?

- Właśnie! Dlatego! - mistrz Fu nie ukrywał zadowolenia z pojętności ucznia - Ryż, przyjacielu, trzeba uprawiać okrągły rok: sadzić, odchwaszczać, utrzymywać poziom wody, wymieniać ją z sąsiadami by roślina nie obumarła, wreszcie -nawozić poletka i naprawiać groble.

Albo jest się chłopem i okrągły rok haruje przy ryżu, albo zawodowym żołnierzem, a jeszcze lepiej zawodowym urzędnikiem - mandarynem! I wtedy! - rzekł wesoło - Wszystko jest w równowadze - chłop pracuje, żołnierz wojuje, albo czeka na wojnę, a urzędnik rządzi!

- A cesarz? - zafrasował się Aywan.

- Cesarz, kochany, panuje! - Fu znowu miał minę jakby udał mu się dobry żart - Panuje z Mandatu Niebios, jak powiadał mistrz Kongzi.

- Mistrz Kongzi musiał o czymś zapomnieć, skoro Chiny się właśnie rozpadają! - zauważył kąśliwie Aywan. Mistrza Fu już nie było, zniknął gdzieś pod pokładem.

8.

Dżonka przesuwiała się przez Suzhou - miasto leżące nad najstarszą częścią Wielkiego Kanału, łączącego w tym miejscu morski port Hangzhou

z wielką rzeką Jangcy. Miasto powstało dwa i pół tysiąca lat temu i jego historia, to najlepsza część historii Chin. Słynne było z luksusowych rezydencji i wykwinnych ogrodów. Kiedyś odwiedził je sam Marco Polo i w jego opisie przytoczył znane tam powiedzenie, że „*w niebie jest raj, a na ziemi Suzhou*”. Jednak teraz, tak jak całe cesarstwo, Suzhou znajdowało się w stanie rozkładu. Nie było tu już niczego romantycznego. Od strony wody widoczna była wszędobyłska bieda. Wioślarze z ostatniej stacji przy śluzie, którzy zastąpili burłaków, mącili wiosłami brudne wody Kanału. Po obu jego stronach rozłożone było miasto, przywarłe jak niejadalny grzyb do spróchniałego pnia. Z nadbrzeża zwieszały się tyły domów budowanych z byle czego - z wyłowionych desek, nie wypalanej cegły, mat z ryżowej słomy i kawałków tektury. Nigdzie nie było widać choćby jednej budowli, która wskazywałaby na zamożność właściciela - jakiegoś kupca czy przemysłowca. Same bieda-domy, wyglądające jak pekińskie *hutongi* - wiejskie zagrodki, przeniesione wraz z mieszkańcami do gęsto zaludnionego miasta.

Łódź forsowała pianę miejskiego odcinka kanału, kierując się do odnogi, łączącej go z rzeką Huangpu. Na jej ujście, jak perła na sznur naszyjnika, nanizany był Szanghaj - Córa Orientu, Paryż Wschodu, miasto nagłych fortun i bankructw, niespodziewanego szczęścia lub raptownego samounicestwienia, królestwo rzutów kostką, poszukiwaczy przygód, oszustów, hazardzistów, nawiedzonych misjonarzy, gangsterów i alfonsów. W Szanghaju miłość była do kupienia wszędzie - za gotówkę i na raty. Nie akceptowała czeków. Zbyt często były bez pokrycia.

Aywan nie zauważył, aby mistrz Fu Songmu kiedykolwiek *się nudził*.

Siedział *właśnie przy pokładowym* stoliku i pisał na rozłożonych rulonach papieru. A właściwie nie pisał, ale malował. Chińskie hieroglify nie są zwykłym rodzajem pisma. Wymagają talentów artystycznych. Znaków jest aż pięćdziesiąt sześć tysięcy. Każdy ma swoje znaczenie, ale też każdy wymaga uważnej pracy pędzelkiem, którym nakłada się tusz na papier. Aywan uczył się chińskiego jeszcze w Urdze, ale opanował umiejętność czytania tylko na poziomie średniej szkoły. Rozpoznawał nie więcej niż sześć tysięcy znaków. Pozwalało to na czytanie pism, ale do tekstów bardziej wyrafinowanych potrzebował słownika. Powiadają, że uczeni Chińczycy opanowują umiejętność czytania i pisania wszystkich znaków dopiero po siedemdziesiątce, a tych, co znają ich mniej niż dwa tysiące uważa się za analfabetów.

- Mówiłeś, mistrzu - zagadnął Aywan - o pojęciu szczęścia w islamie i buddyzmie. Sam - jak powiadasz - jesteś nauczycielem konfucjanizmu. Co mówił na ten temat mistrz Kongzi?
- Dobre pytanie! - Fu podniósł znad papierów oczy uzbrojone w okrągłe, druciane okulary. - Widzisz, Konfucjusz - jak go nazywają Europejczycy - był intelektualistą, a nie, że tak powiem - 'seryjnym prorokiem', czyli twórcą jakiejś kolejnej religii.
- Czy intelektualista, to nie człowiek? - ironizował Aywan.
-I tak i nie! - Fu nie dawał się wciągnąć w tę konwencję rozmowy i był, jak zwykle, bardzo konkretny - Fizycznie jest pojedynczym człowiekiem, ale ma kłopot z odróżnieniem siebie samego od reszty świata!
- Znowu nie chwytam myśli! - kłopotał się Aywan.
- Widzisz - uśmiechnął się mistrz Fu - intelektualista, to człowiek, który

wychodzi daleko poza siebie. W jego 'ja' jest mu za ciasno, więc przenosi je na całe społeczeństwo. A to jest pułapka! Nie można być i sobą i wszystkimi innymi jednocześnie!

- To chyba dobrze - drążył Aywan - że myśli nie tylko o sobie?
- Dobrze i niedobrze! - mistrz Fu chętnie budował rozumowanie na konstrukcjach opozycyjnych - Dobrze, bo wychodzi poza swoje egoistyczne 'ja', źle, bo uzurpuje sobie prawo wypowiedziania się za innych, nie będąc nimi!
- Czy to oznacza, że nie aprobujesz nauk mistrza Kongzi, chociaż je sam wykładasz? - Aywan nie posiadał się ze zdumienia.
- Oczywiście, że aprobuję! - Fu śmiał się szeroko - Tylko ich nie podzielam! Dla nauczania to niewielka różnica, dla wyznawania - ogromna!
- Czy mogę cię, mistrzu, zapytać - Aywan nie chciał zadawać pytań zbyt osobistych - co w naukach Konfucjusza aprobujesz, a czego nie podzielasz?
- Widzę, że rozumiesz tę subtelną różnicę! - ucieszył się Fu - Mogę ci to wyjaśnić, ale przygotuj się na nieco dłuższy wywód.
- Byle nie do rana! - żartował Aywan. Wiedział, że gdy zaczyna się w południe wykład interesujący wykładowcę, trudno jest skończyć przed wieczorem.
- Tak źle nie będzie! - roześmiał się Fu - Mam to już przemyślane od bardzo dawna!

Odłożył pędzelek, zsunął ze stołu do wiklinowego kosza zwoje papieru, które wypełniał drobnymi, równo stawianymi znakami.

-Widzisz, Konfucjusz tworzył ponad dwa tysiące lat temu, a wtedy - mistrz Fu poprawił się na ławeczce - najważniejsza była rodzina i to rodzina w bardzo szerokim sensie - klan. Do takiej rodziny można było być przysposobionym i też było się jej członkiem, ze wszystkimi prawami i obowiązkami.

-I zbudował koncepcję systemu społecznego - dopowiedział Aywan - opartą na takim wzorcu rodzinnym. Czy było w tym coś niewłaściwego?

•Nie od razu! - ożywił się mistrz - Nie od razu! Dopiero, gdy zapragnął na takim wzorcu oprzeć politykę władcy! Za życia mu się to nie udało, ale w wiele lat później władcy dostrzegli korzyści płynące z jego nauk.

•Korzyści społeczne! - mistrz te korzyści miał na myśli?

•Ależ przeciwnie! Korzyści dla władców! Mistrz Kongzi był intelektualistą - dowodził Fu - a to skutkuje mentalnym ograniczeniem. Intelektualista często, nazbyt często, zapomina, że inni intelektualistami nie są. Zakłada błędnie, że myślą tak samo jak on, to jest - myślą bardziej o 'sprawie', a więc o funkcjonowaniu systemu, a nie o sobie samych. I tutaj - mistrz Fu zrobił dłonią ruch jakby chwycił muchę - kryje się cała pułapka. Zwykli ludzie nie myślą o imponderabiliach, tylko o problemach dnia dzisiejszego. Tym bardziej nie robią tego ludzie władzy. Ci akurat myślą tylko o władzy. A intelektualista - naśladował teraz ustami karpia wyjętego z wody - zostaje w próżni sam ze sobą. To bardzo niewygodna sytuacja. Mistrz Kongzi nigdy za życia nie przekonał żadnego władcy. Pozostał ze swoją wiedzą sam!

•A gdyby mistrz Kongzi - dopytywał się Aywan - sam został władcą?

- To nie jest możliwe! - mistrz Fu jakby mówił o sobie samym - Aby zdobyć władzę trzeba mieć w sobie żądzę władzy. Intelktualista - uśmiechnął się skromnie - ma tylko potrzebę bycia uzianym. To za słaba motywacja do walki o władzę. A poza tym, to zupełnie inny rodzaj pożądania.
- A gdyby jednak zdarzyło się - Aywan drążył dalej - że intelektualista zdobyłby władzę? Co wtedy?
- Odradzam! - powiedział bez namysłu mistrz - To zwykle krwawy przypadek wprowadzania teorii siłą. Stanowczo odradzam! - powtórzył.
- O czym zapomniał Mistrz Kongzi? - naciskał Aywan - Miałeś mi to wyjawić! Chcę wiedzieć, dlaczego najstarsza cywilizacja świata ginie na naszych oczach!
- Najstarsza jest indyjska - obruszył się nie wiedzieć czemu Fu - i to z niej wyrósł buddyzm! Chiński też! Ale wracajmy do Konfucjusza! On o niczym nie zapomniał, tylko zrobił błąd. Istotny błąd! Założył, że ludzie są tak mądrzy jak on sam, lub też jak on, dążą do mądrości. Nie spostrzegł - twarz Fu wyrażała lekceważenie - że ludzie nie są głupi, ale krótkowzroczni. A krótkowzroczność, to więcej niż głupota - to błąd! Niewybaczalny błąd!

Mistrz Fu zastanawiał się chwilę jak rozłożyć argumenty. Chciał żeby Aywan dokładnie zrozumiał myśl.

-Widzisz! - rzekł po dłuższej chwili - Wszyscy dzisiaj trąbią o postępie! Docierasz właśnie do miasta, które jest kwintesencją postępu. Za trzydzieści lat to miasto umrze! A wiesz dlaczego? - zapytał - Nie wiesz, oczywiście! Bo rozwija się za szybko! - odpowiedział za niego - Za 'postępowo'! Szanghaj,

to miasto, które pcha wołu do przodu, zamiast równać drogę przed wołem. Równanie drogi jest czynnością prostą, jeśli jest dobrze zorganizowana. Popychanie bawołu - to syzyfowa praca! Nie pójdzie szybciej! Rozwój - to równanie drogi! - kontynuował po chwili - Tak zwany postęp - to efektowne pchanie bawołu! Mistrz Kongzi o tym wiedział, skoro sam zauważył, że „*dopóki stare nie odejdzie, nowe nie przyjdzie!*”. Wiedział, że cierpliwość jest jedyną drogą rozwoju. To właśnie ilustruje *dharmacakra*, wieńcząca świątynię Dżo-k'ang w Lhasie - odwieczne Koło Prawa, czego sam uczysz innych.

Aywan był tak skupiony na wywodach mistrza, że nawet nie zdążył zastanowić się skąd mistrz Fu tyle wie o jego nauczaniu.

- Więc powiedz wreszcie, gdzie leży klucz? - zapytał.
- W prawie, kochany! - odpowiedział Fu - W dobrze pomyślanym systemie prawnym, które stanowi wspólny, powszechny punkt odniesienia i któremu podlegają wszyscy, bez wyjątków! Tymczasem Mistrz Kongzi zakazał tworzenia prawa. Obawiał się, że prawo powszechne uniemożliwi in-

dywidualne dochodzenie do ugody między klanami, co było w jego mniemaniu ideałem współżycia między ludźmi. Dążąc do wypracowania ugody, każdy przypadek trzeba traktować odrębnie. Ujednolicone prawo by temu przeszkadzało. W ten sposób Mistrz Kongzi okazał się, niestety, głupcem! Brak prawa - obiektywnego, ale ludzkiego, a nie boskiego - jak w islamie, żydowskiej Torze, czy indyjskim *Manusmrti* - oddał setki pokoleń ludzi na żer władców! A ci nigdy nie przestaną pożerać ludzi, jeśli dostrzegą taką możliwość! Konfucjusz im ją dał i za to ludzie władzy go

wielbią. Ale, za co go wielbią zwykli ludzie? To niezrozumiałe!

Aywan milczał. Wiedział, że w Tybecie prawo ludzkie nie istnieje. Istnieje święte prawo łamów, prawo do wyrażania ich własnych interesów, a więc także jego własne, 'aywanowe', prawo do nazywania po imieniu własnych celów. Jego celem było zostać bodhisatthwą. To proste! Ale, co z tymi Tybetań-czykami z gór, którzy nie mogą tego celu nawet zamierzyć, bo muszą płodzić i wychowywać przyszłych mnichów, orać kamienistą ziemię, doić jaki i dostarczać klasztorom beczki żółtego masła podsycającego święte lampki i żołądki samych łamów?

9.

Dżonka zbliżała się do celu. W pobliżu ujścia do oceanu, rzeka Huangpo jest szeroka. Bure wody płyną leniwie. Widać już było, że Szanghaj, to nie jedno miasto. Dzielił się na dwa różne światy. Na lewym brzegu leżał *Międzynarodowy Settle-ment*, miasto rządzone przez cudzoziemców, wyjęte spod jurysdykcji cesarza z Pekinu, z wyglądu bliższe Nowemu Jorkowi, niż tłoczemu chińskiemu miastu. Wielkie budynki, wspierane kolumnami, atlasami, wyporami i kariatydami, zdobione giętymi balkonami, przywodziły na myśl europejski kapitalizm, a nie odwrócone ku przeszłości Chiny. Te były po drugiej stronie rzeki. Po prawej jej stronie, między bagiennymi polami rozłożyło się morze *hutongów*. Tak płaskich, że prawie niewidocznych. To dzielnica *Pudong* - źródło zaopatrzenia miasta w warzywa i owoce i ojczyzna kulisów, bandziorów z chińskich triad, sprzedawców opium i tanich prostytutek.

Aywan patrzył na wolno przesuwaną się krajobraz Mię-

dzynarodowego Settlementu. Miasto było inne, niż wszystkie dotąd znane - Irkuck, Lhasa, Petersburg, czy Pekin. Tętniło życiem ruchliwych pojazdów i wiecznie spieszących się ludzi.

- Tutaj - głos mistrza Fu znowu rozległ się niespodzianie -prokreacja jest zawsze na pierwszym miejscu!
- Ty, mistrzu, ciągle to samo! - obruszył się Aywan - Mówisz o tym od początku podróży. A więc czas wyjawić ci tajemnicę! Nie jestem rosyjskim oficerem! Jestem buddyjskim mnichem z Tybetu. Jestem dawno po ślubach czystości. Nie dla mnie prokreacja!
- Mylisz się, drogi Ngawang! - mistrz Fu niespodziewanie użył jego klasztornego imienia.
- Skąd on to wie? - Aywan zaniemówił z wrażenia.
- Istnieją sytuacje, w których mnich też musi poddać się *dharmie*, pojawiającej się w niecodziennej formie. Rozważ historię pewnego *mahasiddhy* - buddyjskiego świętego. Opowiem ci ją w skrócie. Otóż, na górze mieszkał kiedyś święty mąż. Jedzenie przynosiła mu córka pobożnej kobiety. Miała wiele szacunku dla jego świętości i mądrości do czasu, gdy ten usiłował ją zgwałcić. Obroniła się i przerażona poskarżyła matce, ale matka ją skrzyczała. „Ty podła! - wołała - Nie masz wiary? Taki święty człowiek nie próbuje tego robić dla zabawy! Wracaj, przeproś i powiedz: 'Wróciłam. Proszę, zrób, co chcesz!'" Dziewczyna wróciła. Pokłoniła się i powiedziała: „Przepraszam, że wcześniej byłam laka głupia. Wróciłam, jestem do twoich usług!". „Wróciłaś" - odparł pustelnik „za późno, szkoda, że za późno!". „Za późno, na co?" - zdumiała się dziewczyna. „Opowiem ci" - powiedział -

„żebyś zrozumiała!". Wyjaśnił jej przyczynę swojego dziwnego zachowania: „Za wzgórzem jest bogaty klasztor. Jego opat nie był dobrym mnichem. Nie dbał o *dharmę* i był chciwy. Zmarł kilka dni temu. W medytacji ujrzałem jego ducha unoszącego się w powietrzu. Był smutny i nieszczęśliwy. Widziałem, że zmierza do niższych narodzin. Wtedy nadeszłaś. W odruchu współczucia chciałem duchowi dać jeszcze jedną szansę, by odrodził się jako człowiek. Ale uciekłaś, a na sąsiednim polu kopulowały osły. Cóż, jest za późno, opat odrodzi się jako osioł!"

- Znam tę przypowieść! - roześmiał się Aywan - To ulubione opowiadanie mające usprawiedliwić gwałt dokonany ze współczucia. Ma dowodzić, że nieetyczny czyn w słusznej sprawie przestaje być nieetyczny - Aywan pomyślał, że sam podobnie usprawiedliwia swoją współpracę z rosyjskim wywiadem.
- Właśnie! - wykrzyknął Fu triumfalnie - Skoro może być usprawiedliwiony gwałt, bezgrzeszna jest kopulacja mnicha ze wskazaną kobietą, jeśli prowadzi do narodzin ważnej reinkarnacji! Czyż nie? - Fu uważał, że pytanie jest retoryczne i nie oczekiwał odpowiedzi - Bo, widzisz - Fu ciągnął wywód dalej - na pustyni albo w wysokich, górach, człowiek - albo jak muzułmanin myśli o prokreacji jako o samej kopulacji bez żadnej miłości i wtedy nie odróżnia kobiety od kozy, a erotyka nabiera cech sodomii - albo, jak tybetański lamaista, dostrzega tylko miłość własną nie dostrzegając seksu. Wtedy kobiety nie widzi wcale! Ale - ciągnął mistrz Fu - pośród żyznych pól ryżu, pszenicy i kukurydzy, w płodnym otoczeniu, człowiek też chce płodzić, ale nie samotnie w otoczeniu stadek kobiet spędzonych do ogrodzeń.

Człowiek chce to robić poetycko -myśleć, mówić i śpiewać o miłości, a nie tylko pamiętać, że płodzi dzieci. Wtedy, dzieci biorą się rzeczywiście z miłości! A im większa miłość, tym radośniejsze dzieci, ale realny efekt jest ten sam - dzieci!

- Tutaj, w Szanghaju - mówił dalej patrząc Aywanowi głęboko w oczy - ludzie to robią poprzez zabawę. Ale robią to bardzo skutecznie. I ty to też zrobisz! - głos mistrza zrobił się twardy i stanowczy - Zrobisz to, bo taki jest nakaz *dharmy*! Zrobisz to, bo jest to niezbędne dla przyszłości Tybetu i świata! Nie musisz o tym myśleć, panie oficerze! - dodał z uśmiechem wskazującym na całkowitą pewność co do przyszłości. To przyjdzie samo! Ale przyjdzie z pewnością!

Aywan czuł się zdegradowany. Po wątpliwej jakości przygodzie w Pekinie, był erotyką zniesmaczony. Niezdrowe podniecenie wywołane technicznymi talentami 'Podnietki', kojarzyło mu się nie z fizyczną przyjemnością, ale ze strachem o własne życie i z odrazą do obwisłej starości cesarzowej. To dlatego uciekał do Szanghaju, a nie towarzyszył Dalajlamie w drodze do Lhasy. Tam było jego miejsce! Odwrócił się do burty łodzi i nabrał pełne płuca wilgotnego powietrza.

-Powiem mu to! - postanowił - Powiem mu ze względu na jego wiedzę i szacunek dla wieku!

Był gotów do intymnego wyznania. Ale mistrza Fu nie było. Gdzieś się zapodział. Aywan przywołał pokładowego chłopca.

- Poproś tu z powrotem mistrza Fu! - nadał głosowi brzmienie rozkazu.
- Jakiego mistrza, panie? - pytał chłopak.
- Tego starego Chińczyka, który podróżuje z nami!

•Tu nie ma, panie, żadnego starego Chińczyka! - chłopak wyglądał na przestraszonego.

-Jak to nie ma? Utopił się!?! - Aywan był wściekły na głupotę pokładowego chłopca.

-Panie! - skomlał - Nigdy nie było tu żadnego Chińczyka, ale słyszałem! Pan często gadał do siebie!

Aywan jednym skokiem znalazł się pod pokładem i silnym, za silnym, szarpnięciem otworzył drzwi do kajuty, w której - jak mu się zdawało - nigdy tego nie sprawdzał, bo i po co? - powinien być Fu. Kajuta była pusta, tak czysta i uporządkowana, jak gdyby nigdy tam nikt nie przebywał. Emanowała brakiem pasażera. Aywan był znowu na pokładzie. Zajrzał we wszystkie załomki łodzi. Nie było nikogo.

-Panie! - chłopak biegał jak opętany - Mówię wam, że nikogo prócz was na łodzi nie było!

W napadzie irytacji omal nie przewrócił się o wiklinowy kosz z szerokim otworem, do którego - pamiętał to dobrze! - mistrz Fu zgarniał zwoje zapisanych kartek. Kosz był pusty! Aywan dyszał jak zgoniony pies. Stał ogłupiały, nie wiedząc jak się zachować. Chłopak na wszelki wypadek schował się pod pokład. Zajrzał do kosza jeszcze raz. Coś tam jednak utkwilo! W kąci, na samym dnie, zaczepiła się karteczka. Podniósł ją do światła. Była zapisana. Wydało mu się, że rozpoznaje znaki pisane równą kaligrafią mistrza Fu. Ale to nie były typowe hieroglify, z których każdy ma odrębne znaczenie, ale kilka sylab ułożonych w porządku, w jakim notuje się nazwiska. Imię było żeńskie. Odczytał je głośno: *Liu Manqing!* I nic więcej! Wzruszył ramionami, westchnął i postanowił dobrze się wyspać przed zejściem na ląd. Życzył sobie w duchu, żeby żadne zwidy

nie zakłócały mu więcej spokoju umysłu.

Rozdział jedenasty. SPEŁNIENIE. MAJA I BUDDA Z JADEITU

1.

Aywan odsuwał od siebie myśl o wynajęciu apartamentu w drogim hotelu. Nie czułby się tam dobrze. Nigdy zresztą, nawet w Petersburgu, w takich luksusach nie przebywał i obawiał się, że komfort i dostatek przesłonią mu właściwe nastawienie do świata - uniemożliwią regularne medytacje. Zatrzymał się w północno-wschodniej części miasta, w małym hoteliku w pobliżu figury siedzącego Buddy, zwanego Jade-itowym - jedyne miejsce w Szanghaju, gdzie mógł swobodnie uprawiać religijne praktyki.

Szanghaj, to zachodni wynalazek. Słowa: *Shang hal* oznaczają 'brama przy morzu', co trafnie określa miejsce jego położenia. Rozłożony u zbiegu ujścia wielkich rzek Jangcy i Hu-angpo, rozdzielanych wielką wyspą *Chongming*, był doskonałym wyborem. To świetne miejsce do budowy portu morskiego i rzeczno-żeglarskiego zarazem. Mając przed sobą niezmierny ocean, a za sobą - rzeki sięgające Tybetu, Szanghaj był wyśmienitym punktem wyjścia do penetracji handlowej całych południowych Chin. Brytyjczycy przybyli tu sześćdziesiąt sześć lat wcześniej. Po pierwszej wojnie opiumowej było to małe miasteczko tkaczy wspomagających się rybołówstwem. W pięć lat później pojawili się Francuzi, a w roku 1863 utworzony został Międzynarodowy Settlement, wyjęty spod chińskiej jurysdykcji. W połowie XIX wieku Szanghaj liczył pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a pół wieku później było ich już milion.

Teraz, miasto było najaktywniejszym portem międzynarodowym Azji, awangardą nowych technologii, eksplodowało energią handlu, a pojazdów mechanicznych poruszało się tam więcej niż w całej reszcie Chin. Na jego straży, jak gromada czujnych mastiffów, warowała piechota morska Stanów Zjednoczonych, Francji, Japonii i Włoch.

Nadeszła wiosna 1910 roku. Aywan przebywał w Szanghaju prawie dwa lata i za jedyny sukces mógł uznać przetrwanie kolejnej pory zimowej. Szanghajska zima jest nieprzyjemna. Temperatura często spada poniżej zera. Pada marznąca mżawka, potęgując wrażenie wilgotnego zimna. Był w mieście tak długo, a nie zdarzyło się nic, co by przybliżyło realizację misji. Nie znalazł nawet sposobu na rozeznanie, kto wśród ważnych postaci administracji Koncesji Brytyjskiej mógł być wystarczająco wiarygodnym partnerem rozmów w sprawie przyszłości Tybetu. Był nadal kimś zupełnie nowym, bez kontaktów i znajomości. Na swoje konto mógł zapisać jedno -ponad półtora roku przebywania w mieście pozwoliło mu polepszyć angielszczyznę na tyle, że swobodna konwersacja nie stanowiła już bariery. Zmienił się przy tym ogromnie. Wytracony z surowości klasztorного życia, zmuszony do przystosowania do ruchliwego, żyjącego własnym rytmem, gwarne go i rojnego miasta - porzucił ascetyczne obyczaje. Przestał golić głowę, odwiedzał fryzjera, w szafie rosła ilość ubrań i koszul na różne okazje, wisiał tam również galowy mundur rosyjskiego oficera. Coraz bardziej sprawiał wrażenie zamożnego dżentelmena, przybywającego w interesach, a nie przybysza z dzikiego zakątka Azji. Starał się tylko jadać jak dawniej - skromnie ale regularnie oraz nadal nie tykał alkoholu.

Uregulowany tryb życia pozwalał na medytacje. Hotelik, chociaż mały,

to gwarny i zawsze pełen ludzi, nie sprzyjał skupieniu. Chińczyk nie lubi ciszy. Cisza oznacza samotność. Chińskie określenie dobrej zabawy - to *renao*, co znaczy dosłownie: 'gorąco i głośno'. Jeśli więc jest cicho, to nie może być wesoło. Aywan nauczył się wprowadzać w stany podobne do medytacji w czasie poprzedzającym główny posiłek. Znalazł zaciszne miejsce na obrzeżach Bundu, tam gdzie miasto zbliża się do ujścia rzeki i przechodzi w część portową, tracąc pompatyczny charakter wielkomiejskiej awangardy na rzecz cichej krzątaniny zapracowanych ludzi. Tutaj, mniej było cudzoziemców, przeważali Chińczycy, a rodzinne jadłodajnie tworzyły przyjazną atmosferę. Idąc na posiłek ubierał się skromnie, starając się niczym nie wyróżniać od otoczenia. Przy okazji doznał osobnego doświadczenia - poznał chińską kuchnię, najwspanialszą kuchnię świata.

Kuchnia chińska, ma swój początek w rozważaniach Konfucjusza i doświadczeniach taoistycznych alchemików poszukujących nieśmiertelności, a Sun-Yatsen, pierwszy prezydent Republiki Chin, która miała niebawem nastąć, zgłosi wniosek o ustawowe uznanie jej za dziedzinę sztuki, a nie zwykłe rzemiosło. Chiny, to wielki kraj, kuchnia nie jest jednolita. Aywan zwrócił uwagę na to, że niezależnie od różnic regionalnych przestrzega się tych samych zasad: potrawy muszą być robione ze świeżych produktów, a smaki komponowane zgodnie z zasadą równowagi przeciwieństw - *yin* i *yang*. W Szanghaju mógł zajadać się lokalną specjalnością - *xialongbao*, pierożkami, kopiowanymi w całym Chinach. Smażone w gorącym tłuszczu, podawane są w parujących koszyczkach z wikliny. W restauracji syczuańskiej wizytówką był *lazi ji* - kurczak z pieprzem, w pekińskiej - słynna kaczka, bodaj najsłynniejszego

wynalazek kulinarny kraju. Przygotowywanie dania rozpoczyna się już na farmie hodowlanej: kaczki są karmione zbożem i pastą sojową, po uboju lakierowane melasą, pompowane powietrzem, wypełniane wrzącą wodą, suszone, a następnie pieczone nad ogniem z drewna drzew owocowych. Najpierw podaje się mięso kaczki, potem chrupiącą skórkę z szalotką, sosem śliwkowym i delikatnymi naleśnikami, a na koniec - jako zupę - wywar z kości i podrobów. Przez wzgląd na pamięć o stosowanej ascezie, odmawiał sobie najbardziej wyrafinowanych potraw, jak strzykwa z jelenimi ścięgnami, pikantna zupa z jaj, pieczona mątwą czy też sławna 'łapa wielbłąda'. Starał się omijać, znajome mu z Mongolii i Buriacji, potrawy mięsne kuchni Chin północnych, wywodzącej się od ludów stepowych i serwującej kociołek mongolski (zwany w Europie gulaszem), czy też *rouchuan*, czyli kebab. Po tej feerii kulinarnych doznań nabrał obaw, czy powrót do codziennej *campy* z prażonej jęczmiennej mąki, nie stanie się wstrząsem dla organizmu.

2.

Z początkiem 1911 roku uznał, że czas na działanie nadszedł. Opuścił zaciszne ubocze miasta by założyć kwaterę, tak jak instruował go Miecugow - w samym sercu Koncesji Brytyjskiej. Ta, żyła własnym życiem, jakby cesarski dwór w Pekinie znajdował się na innej planecie. Dla mieszkańca Bundu czy *Frenchtown* ważniejsze były wiadomości nadchodzące z europejskich metropolii, niż to co się działo na chińskiej prowincji. W Szanghaju, Pekin uważano za głuchą prowincję.

Dla wejścia w miejscowe towarzystwo Aywan musiał ustąpić z

dotychczasowej surowości, zaczerpnąć głębiej z konta bankowego i zanurzyć się w luksusie. Hotel *Pence Pałace*, był jednym z najbardziej znanych miejsc w mieście. Położony u zbiegu *Avenue Edward VII* i szerokiego bulwaru, ciągnącego się wzdłuż rzeki Huangpo, uosabiał cały Bund. 'Bund', to anglo-indyjskie słowo, oznaczające 'błotniste nadbrzeże'. Na błoto napotkali pierwsi koloniści. Teraz, błota nie było, pozostał za to zapach wilgoci, wzmagający się wraz z nadejściem pory monsunowej. Hotel był świeżo oddany do użytku i pachniał nowością - ale niemal wszystkie budynki w mieście były budowane niedawno. Naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy, widniały już fundamenty jego nowej filii - *Peace Hotel*, który w przyszłości miał przyćmić swój pierwowzór rozgłosem, goszcząc w progach największe sławy świata.

Aywan dojrzał do tego, aby podjąć ryzyko i złożyć formalną wizytę władzom administracyjnym Settlementu i otwarcie przedstawić im cel swojej misji. Niespodziewanie, wizyta okazała się zbędna, a wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wychodził właśnie ze swojego apartamentu, ubrany w szamerowany srebrem mundur majora rosyjskiej armii. W mundurze czuł się bardziej pewny siebie. Misja człowieka w uniformie wygląda poważniej. Przy stoliku w lobby dostrzegł drobnej budowy mężczyznę, rozglądającego się wokół siebie.

- Pewnie na kogoś czeka! - pomyślał i skierował się ku schodom.
- Witam sąsiada! - głos zabrzmiał znajomo, ale słowa wypowiedziane po rosyjsku zakłóciły wspomnienie. Od Pekinu i rozmowy z Miecugowem nie rozmawiał w języku dzieciństwa.

Odwrócił się i ujrzał rozpromienioną uśmiechem twarz mężczyzny. Znowu miał wrażenie, że skądś tę twarz zna, a przynajmniej znał te ciepłe,

szare i mądre oczy.

- Nie, nie znamy się! - mężczyzna ubiegł pytanie - Zajmuję sąsiedni apartament! Zawsze kłaniam się sąsiadom!

- Major Iwan Dordżijew! - przedstawił się Ajwan celowo pomijając *otcziestwo*, aby nie dawać powodu do zbędnych pytań.

- Władysław Heine, przedstawiciel firmy Sassoon! - usłyszał w odpowiedzi.

- Heine? To nazwisko już gdzieś spotkałem! - zainteresował się Aywan.

- Mam sławnego krewnego! - uśmiechnął się Heine - To znany w Niemczech poeta. Tyle, że on był Heinrich, Heinrich Heine! Wszyscy nowi znajomi od tego pytania zaczynają! Widzi pan jak trudno być sobą? - zauważył filozoficznie.

- A imię - Władysław? Brzmi z rosyjska!

- To typowo polskie imię! Oni tam, w dawnej Polsce -wskazał ręką kierunek, chyba symbolicznie, bo kto w murach hotelu wie gdzie jest zachód - mieli kiedyś królów o tym imieniu.

- Oni? Nie jest pan Polakiem? - Aywan był gotów sądzić, że ma jakieś wyjątkowe szczęście do tej nacji.

-Jestem, proszę pana, Żydem! - zachnął się Heine - Polskim albo rosyjskim. To zależy od tego, czy uzna pan miasto Łódź, z którego pochodzę, za polskie czy rosyjskie!

- A jakim jest? - Pan jest stamtąd i pan wie co to za miasto! Ja - przyznał się - najdalej byłem w Petersburgu.

- Aaa, przepraszam! - skłonił się grzecznie Heine - pan, znaczy... Azjata? Pardon! Znaczy... Rosjanin z azjatyckiej części Rosji?

- Niech i tak będzie! - odrzekł Aywan - Sam pan wie, że w Szanghaju określenie narodowości nie jest łatwe!
- To prawda! My, Żydzi, mamy z tym szczególny problem!
- A to dlaczego? - zaciekawiał się Aywan - Słowo 'Żyd' nie określa narodowości?
- Widać, że pan jest z Azji! W Europie wszyscy wiedzą, że Żyd, to Żyd, czyli nie wiadomo co - religia czy nacja, nacja czy cywilizacja!
- Judaizm, to jedna z najstarszych cywilizacji świata, czyż nie?
- Właśnie nie! I w tym problem! Religia tak! Ale cywilizacja, nie! - Heine zaprosił Aywana do stolika - Cywilizacja, to nie tylko ludzie i ich religia, ale ziemia - zrobił gest, jakby chciał objąć rękami wielki obszar - ziemia uprawna, własne wsie i miasteczka, ludzie otoczeni podobnymi ludźmi, żyjącymi wspólnie od tysiąca lat. A Żyd - Heine posmutniał - to wieczny tułacz!
- Przecież jest ta, jak jej tam - Palestyna! - Aywan miał nadzieję, że niczego nie pomylił.
- A jakże! Jest nasza Ziemia Obiecana, tylko nas tam nie ma! - obruszył się Heine - Zwialiśmy stamtąd! Najpierw przez czterdzieści lat krążyliśmy z Mojżeszem po Synaju, żeby do tej Palestyny trafić, ale potem wywiewaliśmy z niej przez następne tysiąc lat!
- Ejże! Tyle to jednak wiem! Zostaliście wygnani!
- Tylko raz! Jeden raz! Przez Nabuchodonozora do Babilonu! Ale potem - upierał się Heine - wialiśmy!
- To dlatego jesteście narodem bez ziemi?

- Nigdy nie wiadomo, gdzie przyczyna, a gdzie skutek! -tłumaczył I
Ieine - Na wypas owiec Palestyna jest dobra, ale nie na handel i wielkie
interesy. Te są tutaj!
- No, ale po drodze - Aywan uważał, że Heine jest niesprawiedliwy -
daliście świata chrześcijaństwo!
- Raczej islam! - Heine był innego zdania - Chrześcijaństwo, to wytwór
Rzymu! Proszę spojrzeć: Stary Testament jest katolikom prawie
nieznany! Ich święta księga - to Ewangelia, a nie Tora. A Ewangelia, to
buddyjskie przypowieści przeniesione na grunt rzymskiej Palestyny.
Rzymianie - emocjonował się Heine - chłonęli ze Wschodu wszystko z
wyjątkiem juda-

izmu! Był dla nich nie tylko zbyt orientalny, ale niezrozumiale
barbarzyński: rytuały obrzezania, religijnego uboju, ofiary ze zwierząt,
zakazy żywienia, nakazy obyczajowe - to wszystko obce
racjonalistycznej kulturze Rzymian!

- Panie Władysławie! - Aywana tak rozbawił religijny radykalizm
Heinego, że był już gotów się z nim zaprzyjaźnić -Opowiada pan same
herezje!
- Herezje? - obruszył się Heine - Proszę popatrzeć: co wspólnego z
judaizmem ma ubóstwienie Jezusa, Marii - jego matki, pomysł na
Ducha Świętego, jako trzeciego w panteonie, uświęcenie Józefa, jego
ojca, czy ojczyma - bo tego powinowactwa się nie da zrozumieć? Bóg
jest tam jak Zeus na Olimpie! A w judaizmie, proszę pana, Bóg jest
jeden i nie ma żadnej rodziny! Jest tak Wszechmocny, Miłosierny,
Surowy i Niepojęty, że nawet nie ośmielamy się nie tylko tworzyć jego
wizerunków, ale wypowiadać jego imienia i mówimy o nim 'Ten Który

Jest! W islamie jest podobnie. A w chrześcijaństwie? -sierdził się Heine - Bóg ma całą rodzinę i dalszych pociotków w postaci wszystkich świętych. A wizerunków, ikon i świętych obrazków bez liku! Groza!

- Co ma to wspólnego z buddyzmem? - w Ajwanie odezwał się profesjonalista.
- No, to poczytaj pan Ewangelię! - Toż to przypowieści w stylu Buddy, tyle że Budda - lekceważąco odniósł się do Oświeconego - wymyślił religię bez Boga! Wymyślił, imaginuj pan sobie, religię ateistyczną! Dla Żyda, to wszystko niepojęte! Eeeh! Szkoda gadać! - Heine machnął ręką w geście rezygnacji.
- To pan tutaj, w Szanghaju, jako misjonarz czy religioznawca? - Aywan doszedł do wniosku, że czas zmienić temat.
- Ani jedno, ani drugie! Tak naprawdę, od dawna jestem bezwyznaniowy, ale mam swoje zdanie.
- No, to nie jest pan Żydem! - podchwycił Aywan - Sam pan stwierdził, że Żyd, to najpierw religia, dopiero potem narodowość.
- Dla innych to proste, dla nas nie. Mój ochrzczony kuzyn Heinrich mawiał, że nigdy nie można przestać być Żydem! Choćbyś, mój drogi - a właśnie! Czy możemy przejść na 'ty'? Tutaj, w Szanghaju, wszyscy są na 'ty' z wyjątkiem tych bub-ków z Klubu - Aywan kiwnął głową, chociaż słowo 'Klub' nic mu nie mówiło - A więc! - Heine powrócił do poprzedniego wątku - Choćbyś przeszedł na islam lub prawosławie, to dla swoich i dla obcych i tak zostaniesz Żydem! Od żydostwa, kochany, uciec się nie da!

- Wyobraź sobie, że pewna poznańska gazeta - Posen, to takie pruskie miasto! - wyjaśnił - napisała, że Kronenberg, bankier z Warszawy, jest „Żydem wyznania ewangelicko-reformowanego"! Rozumiesz? - złościł się - „Żydem", wyznania nie żydowskiego, tylko protestanckiego! I protestant i Żyd jednocześnie! A on nie zna ani hebrajskiego, ani jidysz! Nie mówi po żydowsku, nie modli się po żydowsku, nie jada po żydowsku, ale Żyd! Jak tu przestać być Żydem?
 - Istotnie, dziwna to religia, czy nie-religia - przyznał Aywan - nacja, czy nie-nacja, ale co pan - pardon! Co tutaj robisz?
 - Tutaj - Heine puścił perskie oko - przyjechałem jako kobieciarz! - rozmarzył się nagle - Uwielbiam kobiety! To chyba skutek wspólnoty krwi z moim sławnym kuzynem Heinrichem. A w Szanghaju kobiety są piękne, rasowo różnorodne i albo tanie, albo zabawowe. Żyć nie umierać!
 - Umierać tak! - żartował Aywan - Żyć się z tego nie da!
 - Niektórzy z tego żyją! - odparł Heine - Ja nie potrzebuję! Mam dochody! - pracuję dla Victora Sassoon, właściciela hotelu, w którym mieszkamy. A ten hotel, to dopiero początek!
 - Twój mocodawca musi być bogatym człowiekiem!
 - Bajecznie! Jest Żydem z Bagdadu. Dorobił się fortuny na handlu opium. Teraz inwestuje w nieruchomości i konie. On, proszę cię, ma hopla na punkcie koni! Wiesz jaka jest jego dewiza?
- Aywan potrząsnął przecząco głową.
- Widzę jednak - zauważył - że ta babilońska niewola na coś się wam przydała - Heine zaśmiał się krótko i Aywanowi zdawało się, że zna

skądś ten rodzaj wesołości.

- Victor Sassoon mawia - Heine wrócił do poprzedniego wątku - że jest tylko jedna rzecz na świecie wspanialsza od Żydów, a tą rzeczą jest Derby. Dobrze, co?
- Każdy ma swoje hobby! - zauważył Aywan - Twoim hobby, jak powiadasz, są kobiety. - Nagle uświadomił sobie, że temat go wciąga - Czyżby to robota mistrza Fu? - pomyślał z niepokojem.
- Tak, to wspaniałe istoty! - Heine aż uniósł się z fotela -Każda taka sama i każda inna!
- To ciekawa kontradycja! - Aywan był uszczypliwy, uznał uwagę za płaską.
- Mój doświadczony kuzyn - Heine postanowił powołać się na autorytet - mówił, że gdyby miał przed sobą trzy możliwości spotkania z kobietą: pójść z nią do łóżka, wybrać się do opery, czy też zostać z nią na całe życie, do łóżka poszedłby z Francuzką, do opery z Polką, ale ślub wziąłby z Niemką! Głęboko słuszne! Widzisz! Każda taka sama, bo kobieta, ale każda inna!
- Twój sławny kuzyn próbował to uzasadnić?
- Ależ, oczywiście! - zawołał Heine - Niemka, do niczego w łóżku, ale wspaniała jako gospodyni, zna swoje miejsce, nie przesłania męża, czyści mu buty, ale to tylko półkobieta i pół-robot, uporządkowana do nieprzytomności! Francuzka - Heine mlasnął wargami - swobodna, podniecająca mężczyzn dla zasady, a nie z obowiązku, trochę perwersyjna, ale ulotna, trudno się do niej przywiązać.
- A Polka? - Aywan był ciekaw komentarza. Poznał już dwóch Polaków,

ale nigdy nie widział Polki.

- Polka? Prześliczna! Jak rasowa kotka na międzynarodowej wystawie!
Z taką można się pokazać w każdym towarzystwie!
- Ale? - Aywan czuł, że jest jakieś 'ale'.
 - Ale w łóżku - to prawdziwa Sarmatka! Bez szabli nie podchodź!
- Sarmatka? Co to takiego?
 - Oni, tam - w dawnej Polsce, mają takie przekonanie, że ich lepsza część, to znaczy szlachta - a szlachty tam jest wyjątkowo dużo! - pochodzi od Sarmatów.
- To jakiś starożytny naród?
 - Bardzo starożytny, walczyli z nim już Rzymianie. Ale to dziwny naród - Heine zamyślił się nad dziwactwami Sarmatów - stepowy, bitny, dumny, uwielbiający konie, ale jakiś rozlazły w stosunku do kobiet - Zauważył, że rozmówca nie rozumie istoty wyvodu.
 - Wyobraź sobie - postanowił wyjaśnić - że ci Sarmaci, ale i Polacy tak samo - uznają kobietę za partnera, a nie za przedmiot pożądania! A to katastrofa w łóżku! Jeszcze tych Sarmatów - Heine mówił jakby to dotyczyło go osobiście, musiał być naprawdę kobieciarzem - to jakoś można rozumieć, oni podobno żyli w matriarchacie! Wiesz, co to znaczy? *Matcziestwo* ważniejsze niż *otcziestwo*! Niech ci Polacy i uważają się za Sarmatów - gadał jak nakręcony - ale żeby z tego powodu psuć sobie pozycję w łóżku? Zabierać sobie taką przyjemność, jaką są kobiety, dla elegancji? Wątpliwej elegancji! - wyduł wargi z niesmakiem.
 - Nie wydaje mi się, aby twój kuzyn miał rację - zauważył Ay wan -

elegancja jest zawsze ma miejscu!

- Elegancja w łóżku?! A jakże! - naśmiewał się Heine -Tam, osiągnięcie zadowolenia wymaga wyuzdania. A jak kobieta ma być wyuzdaną, skoro nie potrafi wypaść z roli kotki na wystawie? Musi - kpił dalej - pamiętać o makijażu, o godnej pozycji, równowadze wewnętrznej, et cetera, et cetera. Jakim to sposobem pozycja może być godna, kiedy się jest pod spodem, facet grzebie ci między nogami, a potem usiłuje jeszcze zostawić tam swoje nasienie? Przecież - Heine był widać doświadczony w tym względzie - gdy stale myślisz o tym jak wyglądasz, to na pewno ci nie wzejdzie!

Aywan uznał, że rozmowa potoczyła się za daleko jak na jego doświadczenie w materii i poczucie smaku. A Rosjanki? -pomyślał jeszcze - Heine nic nie mówił o Rosjankach!

- A jakie są Rosjanki? - zapytał.
- Do niczego! Rosjanki są wulgarne wszędzie - w domu, w operze i w łóżku! Ale są tacy, co to lubią. I dlatego świat się kręci! - Heine był z siebie wyraźnie zadowolony - Wiesz, każdego kręci coś innego! I to jest wspaniałe!

Aywan wstał. Chciał grzecznie podziękować za rozmowę. Zdążył trzasnąć obcasami - to taki wojskowy nawyk, który powracał zawsze, ilekroć był w mundurze - gdy Heine wyciągnął do niego dłoń.

- Świetnie się z tobą gawędziło - Heine najwyraźniej lubił małomównych rozmówców.
- Z tobą też! - grzecznie odpowiedział Aywan - To było bardzo pouczające! I pomyślał, że ze wszystkich wymienionych przez

Heinego typów kobiet wybrałby Francuzkę.

- Nie grozi mi małżeństwo - dodał w duchu - ani wizyta w operze...
- A propos! - rzucił Heine - Przyjmij ode mnie zaproszenie do opery. Nie poznasz tam ani Francuzki, ani Polki, ale czas już zacząć poznawać prawdziwy Szanghaj!

3.

Chińska opera, to szczególne widowisko, a opera w Szanghaju, to pomieszanie wszystkiego ze wszystkim - chiński spektakl dostosowany do gustu europejskiej widowni. Nie należy spodziewać się ani śpiewanych arii, ani baletowych figur. Wystrój szanghajskiej opery mógł być dla bywalca mylący. Foyer wyglądało podobnie, jak w Wiedniu: gromada panów, ubranych w ciemne smokingi i pań w wieczorowych kreacjach, sączyła lekkie drinki w oczekiwaniu na spektakl. Sala też była podobna - nad amfiteatralnie ustawionymi rzędami foteli z ruchomymi siedziskami, obciążniętymi czerwonej barwy materia, górowały strojne balkony łoż przygotowane dla specjalnych gości. Z przodu, zakryta kurtyną scena, ukrywała treść mającego się odbyć spektaklu.

Opera w Szanghaju, jak wszystko w tym mieście, była ostatnim krzykiem techniki, jedynym bodaj miejscem w Azji, gdzie niemal równocześnie z Londynem i Nowym Jorkiem wprowadzono najnowsze sposoby oświetlenia sali i samego spektaklu. Inaczej, niż w operze wiedeńskiej, w której królowały jeszcze kandelabry i staromodne świeczniki, tutaj atrakcją było rzęsiste oświetlenie. W Koncesji Brytyjskiej już teraz, w trzy lata po wynalezieniu, montowano lampy i reflektory

wyposażone w żarówki z włóknem węglowym. Opera była miejscem, gdzie oczy gości mogły napawać się widowiskiem świetlnym, a nie tylko artystycznym. Heine wybrał miejsca w pierwszym rzędzie.

-Jeśli nie potrzebujesz prestiżu - wątpliwej zresztą, szan-ghajskiej jakości - poinformował świeżo pozyskanego przyjaciela - to nie należy brać miejsca w łoży! Chińską operę - dodał profesjonalnie - należy oglądać, a nie jej słuchać. Im bliżej siedzisz - skonstatował rzeczowo - tym lepiej widzisz!

- Byłem w Teatrze Opery i Baletu w Petersburgu - pochwalił się Aywan - na Jeziorze Łabędzim. To wzruszające widowisko!
- To przygotuj się tutaj - ostrzegł Heine - na zupełnie inne!

Rzeczywiście, w Szanghaju mówiło się 'idę do opery' tylko dlatego, że tak nazywano budynek, w którym odgrywano spektakle. Samo widowisko w niczym nie odzwierciedlało rozśpiewanej opery wiedeńskiej. Zamiast opery Aywan obejrzał coś, co w niczym nie przypominało petersburskiego odpowiednika. Z wyjątkiem jednego - spektakl kończył się odegranym przez orkiestrę Marszem Radetzky'ego. Skoczne takty melodii podkreślały tylko dystans między Wiedniem a Perłą Orientu.

Opera chińska ma swoją historię. Za jej początek uznaje się rok 1790, gdy prowincjonalna trupa wystąpiła przed cesarzem Qianlongiem. Od tej pory uzyskała swój własny kanon. Przedstawienie, stanowiące połączenie śpiewu, tańca, pantomimy i akrobacji może trwać wiele godzin. Dla zabieganych w interesach mieszkańców Settlementu, dwie godziny stanowiły wystarczającą porcję wrażeń. W chińskiej operze istnieją cztery typy ról: *sheng* - role męskie, przedstawiające uczonych, urzędników i wojowników, *dan* - to

role żeńskie grane przez mężczyzn, *jing* - to aktorzy grający w maskach, a *chou* - to klauni. Szanghaj ma własne tradycje 'operowe', polegające na włączeniu do spektaklu elementów cyrku, w którym ważną rolę odgrywają akrobatki i tancerki. Wyczyniają nieprawdopodobne rzeczy: *Paw pokazujący pióra*, to grupa dziewcząt spiętrzona na jednokołowym pojeździe, podobnym do roweru. *Pagoda z misiek*, to popis balansowania, podczas którego dziewczyna wykonuje ruchy nie dające się naśladować bez połamania członków, trzymając do tego na głowie stos porcelanowych miseczek.

Aywan zwrócił uwagę, że jedna z dziewcząt z tanecznego tła tańczy stale z tyłu i trzyma się w cieniu. Była inna niż reszta tancerek. Mogło się nawet wydawać, że to celowy zabieg, jakby reżyser nie chciał jej eksponować, by nie tworzyła dysonansu z innymi. Rzeczywiście, była inna od koleżanek. Te, jak większość Chinek, miały krótkie nogi, korpulentne ciała z osadzonymi - na równie krótkiej szyi - okrągłymi twarzami, przypominającymi porcelanowe miseczki. Aywan pomyślał, że taką akrobatkę można byłoby zwinąć w kłębek, włożyć do koszyka i udać się na piknik za miasto. Tam rozpiąć i wytrze-pać.

Ta jedna dziewczyna wyróżniała się wszystkim. Była wyższa od koleżanek. Długie nogi podkreślały wiotką figurę. Twarz, mimo że skrywana w cieniu sceny, miała jakoś nie chińskie rysy, emanujące ciepłem dziewczęcego uroku.

- Kto to może być? Czemu jest taka inna? - naszło go natrętne pytanie.
- Ona jest całkiem inna! Chińczycy mówią o niej Mai. Jej ojciec nazywa ją Mają, ale on jest Anglikiem. - szepnął Heine.
- Znasz ją? - zapytał ostrożnie Aywan.

- Troszeczkę. Próbowałem więcej, ale ona jest zupełnie niedostępna!
Mówią - szeptał konfidencjonalnie - że na kogoś czeka!
- Czeka? Na kogo może czekać?
- Jak to na kogo? - Heine zaśmiał się tak, jakby był urażony niedostępnością dziewczyny - Na księcia z bajki! Każda na niego czeka! Tylko większości, he!he! - to 'he,he' zabrzmiało lubieżnie - nie starcza cierpliwości...

4.

Mai, bo tak ją nazywano w operze, miała za kulisami maleńką przygotowalnię. Kiedy tam przebywała, czuła się u siebie, tak samo jak we *Frenchtown* - Koncesji Francuskiej, gdzie mieszkała razem z matką. Tutaj jednak, czuła się bardziej jako Mai, a nie Maja, jak przedstawiała się na terenie Settlementu. Ostatecznie, urodziła się i wychowała w Chinach, a w chińskiej operze musiała się czuć mieszkanką Państwa Środka, jeśli chciała wypadać autentycznie. A chciała. Lubiła tę pracę, chociaż z reguły dostawała role drugorzędne i grała postaci w tle, a nie w pełni światła jupiterów. Ale lubiła też i sam Szanghaj, najbardziej nie chińskie z chińskich miast. Rozpasane, awangardowe, gotowe próbować wszystkiego na sobie. Połączenie europejskiego szyku z orientalną rozwiązłością dawało mieszankę nie podobną do niczego w świecie. To tutaj próbowano odważnych strojów i równie niecodziennych czynów. To, czego jeszcze długo nie akceptowano w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie, w Szanghaju stawało się najpierw modą, a potem codziennością, na którą nikt już nie zwracał uwagi.

Mai pochlebiało, że na scenie nie dawano jej ról pierwszorzędnych.

Song Gui, dyrektor cyrkowej trupy, mawiał, że jest za ładna, by ją eksponować i zbyt ponętna na pierwszy plan. Jej występ w pełni światła, twierdził, odkryłyby wszystkie wady urody chińskich akrobatek. Zespół mógłby tego nie wytrzymać, a w Chinach zespół jest najważniejszy, a nie interes jednostki.

Lubiła słowo 'ponętna'. Zresztą, wiedziała, że taka jest. Mężczyźni nie kłamią wzrokiem. A ci pożerali ją oczami, gdziekolwiek się nie pojawiła. Lubiła to. Zresztą - myślała - lubią to wszystkie kobiety, tylko się do tego nie przyznają. Zastanawiała się tylko, czy sama tego nie lubi za bardzo. Uwielbiała, gdy na sali operowej przeważała męska publiczność, a ona sama - w kolejnej roli tła akrobatycznych wyczynów zespołu - zataczała wraz z innymi dziewczętami pełne koło na scenie i za każdym razem przez chwilę przemykała pod światłami reflektorów. Wiedziała, że przez tę jedną krótką chwilę, oczy mężczyzn skupiają się właśnie na niej, a nie na piętrzących się, jedna na drugiej, akrobatkach.

Największa pokusa nachodziła wtedy, gdy coś się działo w jej wnętrzu, gdzieś w samym dole brzucha. W równie awangardowej, jak sam Szanghaj, amerykańskiej szkole, do której posłał ją ojciec, nie wstydzono się wyjaśniania uczennicom biologiczności ich ciał. Podejrzewała, że te jej regularnie powracające stany pobudzenia miały związek z rytmem biologii. Jednak, gdy czuła delikatne - 'pyk!', taką subtelnie pękającą banieczkę, przemykającą w jej głębi jak bąbelek wody sodowej, wiedziała, że 'to' daje znać o jej gotowości. Domyślała się, że ten moment czyni z niej kobietę jeszcze bardziej ponętną. Czytała to w oczach mężczyzn. Czuła się wtedy jak Bogini Matka, jak żyzna ziemia gotowa pod siew. Tak, jakby to delikatne 'pyk!' dodawało jej ciału nowej porcji urody. Odczuwała

wtedy niepokojącą pokusę zrzucenia spodniej bielizny i wyjścia na scenę w samej tylko sukience.

- Przecież widzowie i tak by niczego nie zauważyli! Podpowiadała jej ta pierwsza część kobiecości.
- Panuj nad sobą, dziewczyno! - złościła się druga, starająca się rozumieć i kontrolować, a nie poddawać i płynąć z falą.
- Może to jednak nie sama biologia? - pocieszała się postanawiając panować nad pokusą.
- A może to sposób na sprowokowanie tego jednego -podpowiadały zgodnie obie jednocześnie - tego najważniejszego, na którego czekam? - I wtedy była przekonana, że nie spocznie, jak inne, na pierwszym, który zrobi wrażenie stałości. Będzie czekać do skutku! Zresztą, nie musiała się spieszyć! W wieku dziewiętnastu lat życie wydaje się wiecznością.

Tego dnia Mai czuła się świetnie. Tańczyła, jak zwykle, pełna gracji. Akrobatki, w takt piskliwych tonów chińskich instrumentów, włożyły z małą sprawnością jedna na drugą, tworząc piramidę krępych ciał sięgającą sufitu. Każda trzymała w ustach bambusowy kijek, na którym balansowała porcelanowa miseczka.

Było to pierwsze taneczne okrążenie sceny. Gdy robiła zwrot w jej przedniej części, ostre światło reflektora musnęło pierwszy rząd widzów. Przez moment, twarz jednego z nich rozblęsnęła w pełnym świetle. Był z jakiegoś wojska. Nie Anglik i nie jakiś inny oficer sił międzynarodowych, stacjonujących w Szanghaju. Poznałaby po mundurze. Jego był odmienny, nigdy takiego nie widziała. Jednak, to nie mundur młodego mężczyzny

przykuł jej uwagę, ale jego wzrok. Nie były to oczy pożądanego faceta, któremu chętnie zagrałaby na nosie, aby zaraz odwrócić się na pięcie. To był wzrok pełen zachwytu. Omal nie zatrzymał jej w tańcu. Miała ochotę stanąć i choć chwileczkę dać na siebie popatrzeć. Pisk fletów wskazywał na koniec numeru. W szybkim tanecznym kole, dokonywała właśnie końcowego nawrotu, gdy poczuła w sobie znajome 'pyk!'

- Czy to jakiś omen? - zdążyła pomyśleć i wypadła za kulisy.
- Szybko! Szybko! - teatralnym szeptem wołał reżyser - teraz zmiana strojów!

Rozpędzona wpadła do przebieralni. Zrzuciła z siebie szeroką suknię, spod której wystawały hajdawerowate spodnie, jakich używały chińskie wieśniaczki. Spodnie zdjęła i powiesiła na haczyku szafki.

-Teraz kolej na sukienkę! - myślała w pośpiechu. Lubiała ją samą i następny numer.

Sukienka była wyzywająco obcisła, podkreślająca kobiece kształty. Trzy kolory bawełnianego materiału były tak dobrane, że każdy podkreślał inny fragment ciała. Żółta góra powiększała jej dziewczęce jeszcze piersi, w środku - błękit podkreślał biodra i płaskość brzucha, czerwony dół eksponował uda i nogi odsłonięte poniżej kolan.

- Prędzej! Prędzej! - wołał reżyser.
- Prawie gotowa! - odkrzyknęła z za drzwi.

Chwyciła z wieszaka sukienkę i nagle - bez zastanowienia - zdjęła z siebie całą bieliznę, zostawiając na szafce przebieralni. Przez chwilę stała naga, taka jak ją Pan Bóg stworzył. Parsknęła krótkim dziewczęcym chichotem, modelując dłonią płaskość brzucha. Odwróciła się i spojrzała

w lustro. Pośladki drgały jeszcze z pośpiechu niedawnego tańca i każdy - gładki, krągły i wypukły, zdawał się grać swoją rolę z osobna. Zachęcała znowu i na gołe, zupełnie nagie ciało, naciągnęła sukienkę.

Wyrównała fałdy materii tak, aby ściśle przylegała do skóry.

- Gotowa! - zawołała tak radośnie, że reżyserowi aż odkręciło głowę.
- Pięknie dzisiaj wyglądasz, Mai! - zwykle burkliwy, zrobił się nagle miły - Pięknie wyglądasz! - powtórzył. Przez chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku.
- Na scenę! - otrząsnął się z marzeń.

Akrobatki uformowały kolejną piramidę. Kurtyna uniosła się i taneczne koło dziewcząt znalazło się przez chwilę w światłach reflektorów. Mai była w przedniej części sceny. Czując, przeszywający jej sukienkę wzrok setki mężczyzn z widowni, poszukujących dziewczęcego ciała pod materią. Byli jej zupełnie obojętni. Szukała tej jednej pary oczu! Znalazła! Młody oficer patrzył tak, jakby to właśnie ona była tęsknotą jego życia...

5.

Klub Szanghajski, to zupełnie wyjątkowa instytucja. Męski, zamknięty dla niegodnych. Bywalcami Klubu nie byli zwykli śmiertelnicy, ale panowie z najwyższej elity. Klub był znany w całym Imperium jako najbardziej snobistyczne miejsce poza samym Londynem.

Członkowie Klubu mogli zapraszać gości. W wyjątkowych okolicznościach pojawiały się nawet kobiety. W wyjątkowych, gdyż konwersacje prowadzono przy najdłuższym na świecie barku. Popijano mrożonego szampana i komplementowano nawzajem fortuny.

Aywana wprowadzał Heine. Wprawdzie sam nie miał brytyjskiego

paszportu, ale wystarczyło nazwisko jego mentora -żydowskiego nababa z Bagdadu - Victora Sassoon, aby i przed nim drzwi do Klubu stanęły otworem. Victor Sassoon, to nie tylko miłośnik konnych wyścigów, to również najbogatszy dżentelmen w mieście, jeśli słowem 'dżentelmen' da się określić niewątpliwie świeżej daty Anglika, o korzeniach tkwiących w żydowskiej dzielnicy osmańskiego Bagdadu.

Aywan był stremowany. Właściwie, gdyby nie powierzona mu misja, nigdy by się w Klubie nie pojawił. W buriacko-mongolskim stepie i tybetańskich górach, łatwiej było nabyć umiejętności panowania nad nieujeżdżonymi końmi i dzikimi sarlakami, niż brylowania w wyśmienitym towarzystwie. Jediną nadzieją, która go podtrzymywała na duchu, była jego buddyjska cierpliwość i łagodność postępowania. Bo, jak powiadają Anglicy - *practice makes perfect!*

Klub Szanghajski zajmował całe piętro hotelu *Tung Feng*, mieszczącego się zaraz na początku Bundu, niedaleko nadbrzeża, zwanego *Shilupu*. Anglicy, w szczególnie snobistycznych miejscach, pozostawiali jak dekoracje, lokalne chińskie nazwy. Recepcjonista, taksujący dyskretnym wzrokiem wchodzących gości, wyglądał jak mieszanka angielskiego lorda z jego własnym kamerdynerem. Szerokie bokobrody obejmowały połowę policzków, sięgając podbródka. W oku tkwiło, oprawione w złotą ramkę, szkielecko monokla. Tylko liberia usuwała wątpliwości.

Wystrój klubu był prawdziwie angielski. Wielkie skórzane fotele, ciemnobrązowe z dodatkiem matowej zieleni, długie sofy, dębowe stoliki, stojaki na pisma i książki, gustowne lampy, wielkie popielniczki, snujący się zapach cygar i ćmiących się fajek - wszystko świadczyło o tym, że bywalcami klubu są ludzie potrafiący korzystać z życia.

Największe wrażenie robił barek, ustawiony wzdłuż frontowej ściany. Był najdłuższym barkiem świata - mierzył trzydzieści osiem jardów. Jego tylną ścianę stanowiła wielka, oszklona szafa, pełna omszałych butelek najprzedniejszych rodzajów alkoholi: brandy, ginu, szkockiej whisky, karaibskiego rumu, rosyjskiej wódki i japońskiej *sake*. Była nawet egzotyczna meksykańska *tequila*, której nie pije się inaczej, jak w kieliszkach, których górne ścianki powinny być pokryte solą przykrytą plasterkiem cytryny. W pojemnikach z lodem chłodził się szampan. W powietrzu unosił się zapach mocnej, angielskiej herbaty. Było późne popołudnie, na które codziennie przypadał *tea time*.

- Staraj się nie pić alkoholu! - mruknął Heine - Jeśli nie jesteś zaprawiony do picia, padniesz w pięć minut! - Aywan był wdzięczny za tę uwagę. Sam zastanawiał się co robi, gdy ktoś zaproponuje mu mocnego drinka. Nie pił alkoholu pod żadną postacią. Dla buddysty, to jeden z większych występków.
- Pijam herbatę! - podsuwał mu rozwiązanie Aywan.
- Zieloną, jak Chińczycy! - ostrzegał Heine - Anglicy piją czarną i mocną, nie zasmakujesz w niej!
- Skąd on to wszystko wie? - przemknęło Ay wanowi, ale nie było czasu na dywagacje. Heine zabrał go do stolika, sobie zamówił drinka, Ay wanowi - tonik z lodem.

Z głębi sali do baru podszedł wysoki mężczyzna, szczupły, wyraźnie sprawny fizycznie, w wieku około czterdziestu pięciu lat. Aywanowi zdawało się, że skądś go zna.

- To niemożliwe - odpowiedział sam sobie - przecież, oprócz Heinego, nie znam w Settlementie nikogo!
- To sławna postać! - szepnął Heine - Nazywa się Younghusband, pułkownik Francis Younghusband - zdobywca Lhasy. Czy wiesz - mówił dopowiadał cicho - że nie dotarł tam nikt przed nim?
- To on? Ja go znam! - wyrwało się Aywanowi.
- Nie możesz go znać! - odparł Heine mrużąc oczy w zrozumieniu pomyłki - Chyba, że spotkałeś go w Indiach! Pułkownik jest tam wysoką figurą, najbliższym współpracownikiem wicekróla. Podobno od niego zależy cała brytyjska polityka w stosunku do pogranicza indyjsko-chińskiego.
- Tybetańskiego też? - zainteresowanie Aywana było gwałtowne, ale Heine nie zdążył odpowiedzieć.

Younghusband odwrócił głowę w ich kierunku. Brwi podniosły mu się w odruchu świadczącym o cofaniu się pamięcią gdzieś daleko wstecz.

Wstał i podszedł do stolika.

-Kłaniam się panu, panie Heine!

Younghusband mówił wyrafinowaną angielszczyznę z Eton, elitarnej szkoły dla młodzieży z najlepszych rodzin. Poznać można było ją po tym, że to, co zwykły Anglik wymawiał jako 'o', absolwenci Eton wypowiadali w postaci 'oouu', był to dźwięk znacznie dłuższy i wymawiany okrągło.

-Witam pana pułkownika! - Heine powstał i przyjął mocny, męski, uścisk dłoni - Proszę poznać mojego przyjaciela, rosyjskiego majora w drodze z Pekinu do Kalkuty.

Aywan podniósł się z fotela na całą wysokość. Wzrostem dorównywał

Anglikowi, tak że Heine, który znalazł się między nimi, stracił na powadze jak kurczak między kogutami.

- Dordżijew! - przedstawił się Aywan, zgodnie z rosyjską wersją swojej tożsamości - Major Iwan Dordżijew! - powtórzył - W służbie jego wysokości Mikołaja II, cesarza Rosji!
- Major - spiesznie wyjaśniał Heine - jest tutaj od niedawna i do tego przejazdem. Ale - zmienił nagle temat - nadchodzi pańska córka, pułkownik!

Mężczyźni odwrócili głowy. Aywanowi odjęło mowę. W ich kierunku szła ona, dziewczyna z opery! - Poruszała się energicznym, młodzieńczym, zamaszystym krokiem. Wyglądała jeszcze ładniej niż na scenie. Miała na sobie dwuczęściowy, granatowy kostium, doskonale dopasowany do figury. Krótki żakiecik obciskający piersi kończył się na wypukłości bioder. Wąska, przylegająca do ciała spódniczka sięgała za kolana.

-Ależ awangarda! To nie przeszłoby nawet w Paryżu! - Heine mruknął uwagę bywalca salonów - Mało która zdobyłaby się na ubranie czegokolwiek, poza powłóczystą jedwabną suknią ukrywającą kształty. Jeszcze do tego w męskim klubie! Ona jest niesamowita! Za nic ma konwenanse!

Heine stukał palcami Aywana w plecy, dając mu do zrozumienia coś, czego ten i tak nie mógł zrozumieć. Nagłe pojęwienie się pięknej dziewczyny nie skrywającej gracji ciała omal nie zważyło go z nóg.

-Wybaczcie, panowie, ale tata tak rzadko bywa w Szanghaju!

Słowo 'tata' wypowiedziała tak miękko i osobiście, że Ay-wan doznał nagłego ukłucia w piersi. Była swobodna, choć sprawiała wrażenie podekscytowanej.

- O co mi właściwie chodzi? - próbował zagłuszyć łomot serca.
- Witaj Maju! - twarz Yonghusbanda straciła marsowy wyraz, przybrany na widok Aywana. Uśmiechnął się do niej w sposób, który znowu pobudził w nim odruch bezwiednej zazdrości.
- Pan pułkownik jest ojcem Mai! - pospieszył uspokoić Aywana Heine.
- Dlaczego miałby mnie uspokajać? - denerwował się w myślach Aywan - Nie ma żadnego powodu! - tonował sam siebie, ale z wrażenia ślina nie chciała się przesuwac przez nagle wyschnięte gardło.
- Usiądźmy i porozmawiajmy! - zaproponował Younghus-band - Zapraszam do saloniku.

Salonik znajdował się na zapleczu głównej sali. Mały, ale zaciszny, dawał wrażenie przytulności powiększonej ciepłem z kominka trzaskającego prawdziwym ogniem.

-Co pana prowadzi do Kalkuty? - ciekawił się Younghus-band - Rosjanie nie mają tam żadnych interesów?

Aywan odzyskał równowagę. Obecność Mai przekształciła się w niespodziewane źródło energii. Czuł, że zadanie musi wykonać możliwie szybko. Nie wiedzieć czemu, był całkowicie pewien, że powinien jej poświęcić bardzo wiele czasu.

-Moja misja jest nieformalna! - powiedział - Mam wysondować władze brytyjskie, co do możliwości zawarcia porozumienia w sprawie Tybetu. Słyszę, że mógłby pan pomóc mi w

tej sprawie, pułkownik!

- O jakiego rodzaju porozumieniu pan mówi? - zaciekał się Younghusband, nie odpowiadając na drugie pytanie.
- Idzie o ogłoszenie obopólnego, rosyjsko-brytyjskiego *desinteressement* wobec Tybetu i o eliminację stamtąd wpływów chińskich - odparł Aywan. Czuł, że owiewa go zapach jej perfum. Patrzyła na niego uważnie. Bał się, że może stracić zdolność precyzyjnego rozumowania.
- Czy więc idzie o *de facto* - zapytał wprost Younghusband - niepodległość Tybetu?
 - Tak! - odpowiedział bez wahania Aywan, chociaż wiedział, że do takiej odpowiedzi jego pełnomocnictwa są niewystarczające - w istocie rzeczy o to właśnie idzie! Rząd rosyjski jest gotów uznać samodzielność Tybetu i zrezygnować z działań na rzecz jego inkorporacji!
 - To zupełna nowość! - Younghusband nie był nowicjuszem w polityce - Jeszcze niedawno Rosja chciała Tybetem zawładnąć, wie pan o tym, prawda?
 - Wiem! Jeździłem w tej sprawie trzykrotnie z Petersburga do Lhasy - rzekł zgodnie z prawdą.
 - Jako kto? - Younghusband nie ukrywał zdumienia.
 - Jako oficer łącznikowy cesarza Rosji do XIII Dalajlamy Tybetu! - skłamał Aywan.
 - To, zna pan Dalajlamę?
 - Znam i to dobrze! - odparł tym razem zgodnie z prawdą.

•A był pan tam latem 1904 roku? - zapytał nagle Youn-gusband patrząc mu prosto w oczy - Ja tam byłem! Jakiś oficer podobny do pana, ale - obrzucił przelotnym wzrokiem jego smoking - w mundurze rosyjskiego kozaka, miał mnie na muszce! Miał! - pułkownik wyraźnie cofnął się pamięcią -Mógł strzelić! Byłem celem jak na dłoni i - przyglądał się dociekliwie Aywanowi - nie strzelił! Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego! - powtórzył. Aywan zauważył, że Younghusband położył ojcowskim gestem rękę na dłoni Mai i lekko ją uścisnął.

•Nie! - Aywan skłamał raz jeszcze - Byłem w Petersburgu!

-Mai spojrzała na niego z uwagą, jakby знаła prawdę.

•Szkoda, chciałbym go poznać! - powiedział Younghusband - Wracając jednak do pańskiej misji! Co takiego spowodowało zmianę rosyjskiej polityki względem Tybetu? Przecież - przypomniał - musieliśmy rozpocząć tę wojnę po to by zablokować plan inkorporacji Tybetu do Rosji!

•To było przed wojną z Japonią - argumentował Aywan - i przed rewolucją! Teraz Rosja jest tak osłabiona - dodał - że Petersburg zrezygnował z dalszej ekspansji w Azji i pragnie jedynie utrwalić dotychczasowe osiągnięcia. - Aywan znowu miał świadomość wykroczenia poza udzielone mu pełnomocnictwa.

Mai szepnęła ojcu coś do ucha.

-Teraz mówi pan - Younghusband znowu przyglądał mu się bacznie - nie jak Rosjanin, ale jak Tybetańczyk! - Czy pochodzi pan z Tybetu? Maja uważa, że mówi pan po angielsku z tybetańskim akcentem. Wie co mówi! Jej matka jest po części Tybetanką.

Aywan spojrział na Mai - w myślach nazywał ją chińskim imieniem, a nie europejskim zdrobnieniem.

- Pańska córka, pułkownika, jest na właściwym tropie! - jej nie potrafił skłamać - Jestem poddanym cara z syberyjskiej części Rosji, z okolic Irkucka. Pierwsze kroki w nauce angielskiego - wyjaśnił - stawiałem w Mongolii. Tam wszyscy mają tybetański akcent.

- Moja mama pochodzi z Turfanu - dodała nagle Mai - Był pan tam?

- Przejeżdżałem! - odparł - W drodze do Petersburga -skłamał nie chcąc nawiązywać do uczestnictwa w mniszej karawanie - To piękna oaza na trasie dawnego Jedwabnego Szlaku i - spojrział na Mai nie ukrywając zachwytu jej urodą -mieszkają tam piękni ludzie! - Wydawało mu się, że na jej twarzy pojawił się rumieniec.

- Wiem coś o tym! - westchnął Younghusband - Maja jest tego owocem! -przycisnęła ją do siebie. - A wracając do polityki! Czy myśli pan, że Dalajlama byłby gotów na spotkanie z brytyjskimi władzami w tej sprawie? Pańska misja jest tylko

sondażowa, nie ma pan pełnomocnictw do podejmowania decyzji, prawda?

- Nie, nie mam! - przyznał Aywan - W tej fazie idzie tylko o to, czy strona brytyjska jest gotowa podjąć negocjacje.

- Trafił pan dobrze! - powiedział nagle Younghusband -Jest gotowa! A ja - tak się dobrze składa - mam odpowiednie pełnomocnictwa! Proszę tylko spowodować przyjazd Dalajlamy do Indii!

- To nie takie proste! - zauważył Aywan - W Lhasie jest dwa i pół tysiąca chińskich żołnierzy z armii Syczuanu. Dalajlama, to nie wróbel, nie

przemknie się bez ich wiedzy!

- To prawda! Ale już w pobliżu granicy, jeszcze po stronie tybetańskiej, możemy zaoferować zbrojną eskortę - zaproponował Younghusband.
- Dobrze! - zgodził się Aywan - Proszę tylko powiadomić Dalajlamę o wyniku naszej rozmowy waszymi kanałami, najlepiej - zastanowił się chwilę - za pośrednictwem kupca, a nie dyplomaty - czy co gorsze - wojskowego. Chińczycy są bardzo wyczuleni. Moja podróż do Lhasy będzie trwała miesiącami.
- To dobry pomysł! - powiedział Younghusband - Wyślemy Parr'a, naszego przedstawiciela handlowego w Sikkim -Poza tym, gratuluję talentów dyplomatycznych. Pan jeden -roześmiał się głośno - sam, w pojedynkę, reprezentował w tej rozmowie dyplomację dwóch krajów - Rosji i Tybetu. Zobaczymy - dodał - który kraj na tym bardziej skorzysta - i znowu spojrzał na Aywana z uwagą.
- Ale serio? - zapytał nagle - Kogo pan naprawdę reprezentuje? Mikołaja II, cesarza Rosji, czy XIII Dalajlamę Tybetu?
- Jestem pewien - tego Aywan naprawdę był pewien - że zwycięży słuszna sprawa!
- Bardzo dyplomatyczna odpowiedź! - uśmiechnął się Younghusband - Wszystkie strony uważają, że właśnie ich sprawa jest z całą pewnością słuszna najbardziej...

Heine był zachwycony.

- Załatwiłeś wszystko! - wołał w podnieceniu gdy schodzili szerokimi marmurowymi schodami hotelu *Tung Feng* - Tybet dostanie te kilkadziesiąt lat czasu! Uda się dokonać niezbędnych przygotowań do

zbliżającego się kataklizmu!

- Czemu tak cię to podnieca? Ciebie? - Żyda z Łodzi, gdzieś z europejskiej Rosji, pracującego - jakby tego było mało - w chińskim Szanghaju dla bogacza z równie dalekiego tureckiego Iraku? - Aywan nie mógł za nic zrozumieć wybuchu nagłej radości ze strony Heinego.
- Po prostu lubię, jak coś się udaje! - uspokoił się nagle Heine - Taką altruistyczną mam naturę. Poza tym - dodał jak profesjonalista - żeby coś się udało trzeba tego pilnować! Ja pilnuję!
- Mnie też?
- Ciebie też! I nie tylko ciebie! Poczekaj! - zatrzymał nagle Aywana - Ktoś za nami biegnie po schodach! - To była Mai. Twarz miała zaróżowioną z wysiłku.
- Ojciec chce - spuściła oczy - żebym pana oprowadziła po najciekawszych miejscach Settlementu. Co pan na to? Ustalimy jakiś dogodny dzień! Teraz Aywan czuł, że dziewczyna nie mówi prawdy i to chyba jej własny pomysł z tym oprowadzaniem, ale był uszczęśliwiony propozycją. Sam, szczególnie w obecności pułkownika, nigdy by się na taką prośbę nie zdobył.
- No! - sapnął ni stąd, ni zowąd Heine - Już się bałem, że nigdy tego z siebie nie wydusisz!
- To wy się znacie? - zdumiał się Aywan.
- Nie, my się nie znamy wcale! - odpowiedział Heine widząc zdumione spojrzenie Mai - Ja po prostu często gadam do siebie! - Uchylił nagle kapelusza, skłonił się grzecznie i oddalił powolnym, trochę zmęczonym krokiem w kierunku hotelu Sassoon.

6.

Nefryt, znany też pod nazwą podobnego minerału - jade-itu, to kamień poszukiwany i ceniony. W Chinach używano go od neolitu, pozyskując z twardej skały uformowanej w przerastające włókna. Produkowano z niego narzędzia. Potem, zwrócono uwagę na właściwości dekoracyjne. Robiono z nefrytu ozdoby i zdobienia na przedmiotach rytualnych i z biegiem czasu stał się elementem zdobnictwa kultowego. Wierzono w jego właściwości magiczne, w to że podtrzymuje życie. Taoistyczni alchemicy, po sproszkowaniu, używali jade-itu jako składnika różnych eliksirów nieśmiertelności. Miał chronić przed chorobami i złymi duchami.

Nefryt jest bardzo trudny w obróbce. Twardy, łatwo pęka pod uderzeniem dłuta. Niełatwo poddaje się szlifowaniu, ale właśnie wtedy - po wygładzeniu - daje najlepszy efekt. Traci wygląd twardego kamienia, a postacie w nim rzeźbione sprawiają wrażenie przeciwne - jakiejś miękkości i przyjemnej gładkości. Bardziej od nefrytu ceni się jadeit, minerał rzadszy ale równie piękny, zwykle biały lub białoszary, naturalny, dający efekt czegoś w rodzaju mieszanki marmuru i alabastru. Rzeźbione postacie wydają się nieco monumentalne, ale skłaniają do pozytywnych emocji. Inne jego odmiany - o barwie brązowej, czarnej i zielonkawej - używane są do uzyskiwania bardziej skomplikowanych efektów.

Świątynia Jadeitowego Buddy położona była na północno-zachodnich obrzeżach Szanghaju, już na granicy chińskiej części miasta. Była jedynym, w tym z gruntu świeckim i bezbożnym mieście, miejscem, gdzie buddyści czuli się u siebie. Właściwie nie była jeszcze świątynią - materiały były dopiero gromadzone. W 1911 roku, na środku placu

budowy, stała tylko mała świątynka, bardziej kaplica niż świątynia, kryjąca pod swoim dachem dwumetrowej wysokości posąg siedzącego Buddy z szaro-zielonego jadeitu. Legenda głosiła, że przy-dźwigał go na własnych plecach pewien mnich z Putuoshanu, który w tym celu udał się Nefrytowym Szlakiem aż do Birmy. Jadeitowy Budda był bogato inkrustowany drogimi kamieniami i ważył ponad tysiąc funtów. Włosy imitowały półszlachetne kamienie o fioletowej barwie, nadgarstki otaczały złote obręcze. Mnich z Putuoshanu musiał dokonać nie lada sztuki, aby ten ciężar unieść, nie mówiąc o pokonywaniu przeszkód na tysięcznej trasie.

Wygląd Jadeitowego zdradzał jednak chińskie, a nie indyj-sko-birmańskie, pochodzenie rzeźby. Otłuszczony brzuch siedzącej postaci brał się zapewne z chińskiego przekonania, że ascetyczny wygląd jest świadectwem biedy. Okrągła twarz i długie, sięgające niemal ramion dolne końce uszu, mające w chińskim kanonie świadczyć o mądrości, również wskazywały na miejscowe pochodzenie rzeźby. Chiński buddyzm jest inny, niż ten, panujący w Birmie, skąd miała pochodzić rzeźba. Celem buddyzmu *themwady* z Azji Południowo-Wschodniej jest wyrwanie się z wiecznego kołowrotu życia - *samsary* i przerwanie kolejnej fazy odradzania się w innym ciele poprzez doświadczenie nirwany, pełnego połączenia z siłami kosmosu i wtopienie we wszechobejmujący pra-byt Wszechświata. Ambicją Chińczyka jest coś innego - osiągnięcie nieśmiertelności, a nie rezygnacja z życia.

Aywan miał poczucie dysonansu. Ucieczka z Pekinu i ta misja, z którą - dobrze o tym wiedział - wykraczał poza powierzone mu zadanie - spowodowała poczucie życia w kłamstwie. Musiał postępować wbrew

kanonowi religii, której był funkcjonariuszem, a nie szarym wyznawcą. Tymczasem, postępował jak świecki i dwulicowy polityk, a nie jak związany ślubami mnich. Usprawiedliwiał się i wyjaśniał sam sobie, że sytuacja jest szczególna i skoro, tak jak w czasie wojny z Anglikami, uzyskał od Dalajlamy dyspensę na łamanie reguł, tak teraz - miał prawo zakładać, że dyspensa nie wygasła. Sytuacja była nadal szczególna, a misja daleka od wykonania. Jego pryncypialna natura burzyła się przeciw stosowaniu wyjątków i wiedział, że wszelkie dyspensy, nawet te w pełni usprawiedliwione, są - w gruncie rzeczy - wygodnym wybiegiem, pozwalającym wybrańcom na łamanie uniwersalnych zasad.

Czuł wewnętrzne rozdarcie. Spełnianie celów misji zmusiło go do życia na zachodni sposób. Musiał się wczuć w styl myślenia, ubierania, jedzenia i reakcji właściwych dla elit europejskiego pochodzenia. Powinien odczuwać z tego powodu wstręt, ale go nie odczuwał. Wstyd było mu się przyznać nawet przed samym sobą, że doznawał nowego sposobu przeżywania wolności. Jako wierny buddysta szukał przez całe życie wolności w oderwaniu od dóbr i spraw tego świata. Teraz, zanurzony po brzegi w zachodniej cywilizacji angielskiego Klubu, szanghajskiej opery, wyrafinowanego komfortem hotelu, poczuciem braku dna na bankowym koncercie i wolności od materialnych zmartwień, doznawał innego rodzaju swobody: wolności przemieszczania się, wolności czynu, wolności oceny innych, wolności wyboru własnego postępowania... Zaczął odczuwać grozę przyjemności nurzania się w zachodniej filozofii życia, w spotykaniu ludzi, w chwytności spojrzeń tej jednej, jedynej, w oczekiwaniu na jakieś spełnienie. Jakże? Nie wiedział jakże... Czuł potrzebę medytacji i rozgrzeszającej modlitwy.

7.

- *Om mani padme hum! Om mani padme hum! Om mani padme hum!* „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!" Przyjmij mnie do siebie i wybaw z ziemskiego cierpienia, zbliż do upragnionego celu - ostatecznego oderwania, niebiańskiego braku problemów, upragnionej nirwany, słodkiego niebytu!

- Pokonuję własne pragnienia - jak zwykle we wstępie do medytacji monotonnie powtarzał w myśli - i wchodzę na szlachetną ośmiokrotną ścieżkę. - Cisza.
- Pierwsza ścieżka - wyliczał - to 'prawidłowe zrozumienie'.
- Druga ścieżka - wchodzę w 'dobre myślenie'.
- Będę się powstrzymywał od krzywdzenia innych i oszukiwania.
- Będę okazywał grzeczność i uprzejmość.
- Nie będę interesowny - czułem, że zaczyna odrywać się od otaczającej go rzeczywistości.
- Będę rozwijał w sobie szlachetne cnoty - jego głos wewnętrzny cichł, ciało uspokajało się.
- Będę ćwiczył powstrzymywanie negatywnych emocji. - Cisza.
- Będę ćwiczył i praktykował medytację. - Cisza zupełna. Przed nim w milczeniu ubranym w szaro-zielony kamień, spoczywał w medytacyjnej pozycji chiński Budda.
- Niewiele z tej modlitwy w tobie pozostało! - usłyszał głos Jadeitowego. Był niemiły.
- O, Oświecony! - odrzekł Aywan zatopiony w medytacji - Wybacz, że

tak czynię, ale tak czynić muszę! Idzie przecież -czuł, że ma rację - o dobro wielkiej sprawy! Wyrocznia twierdzi, że za wszelką cenę Tybet musi zdobyć kilkadziesiąt lat samodzielności. Inaczej - miał nadzieję, że skłoni Jadeitowego do wyrozumiałości - ludzie mogą o tobie zapomnieć!

- To akurat nie leży w moim interesie i tego nie mam ci za złe!

Aywan poczuł niesmak z powodu praktyczności Jadeitowego. Jego tybetański odpowiednik - Awalokiteśwara, nigdy by tego nie powiedział. Zawsze myślał o innych, a nie o sobie. - Jadeitowy *dosłyszał tę myśl*

- Awalokiteśwara - rzucił kwaśno - jest bodhisattwą i ma inne obowiązki. Ja muszę dbać o Chińczyków! A oni - prych-nął - są cholernie praktyczni! Ale ty też - wygiął grube usta w grymasie pozornej aprobaty - jesteś praktyczny!

- O czym mówisz, Oświecony?!

- No, dbasz o to, aby dyspensa, którą otrzymałeś, pozwoliła ci się bezkarnie zabawiać z dziewczynkami! Wino, kobiety i śpiew, no nie?

- Nic takiego nie robię! - Aywan prawie wykrzyczał oburzone zaprzeczenie - Alkoholu nawet nie tykam!

-Jeszcze nie! Dojdiesz i do tego! Ale śpiew i kobiety już są! -

Jadeitowy aż się skrzywił w złośliwym uśmiechu - Była opera, były kobiety, będzie i wino!

- Kobiety? Nie dotknąłem żadnej!

- Czyżby? A ta zabawa z Podnietką?

- To było wymuszone! Do niczego nie doszło!

- Doszło! Doszło! - wwiercał się Jadeitowy - Nie doszło tylko do

zapłodnienia!

•Cesarzowej? - wymknęło się głupio Aywanowi.

•Dowcipny! He!He! Cesarzowej! - rechotał Jadeitowy -Jakby tę starą babę można było jeszcze zapłodnić! He!He! Miałem na myśli Podniektę! Przecież niewiele brakowało! Byłeś -rechot Jadeitowego zrobił się lubieżny - bardzo blisko!

•Ale pod przymusem! - bronił się Aywan.

•Wszyscy wiedzą, że pies, który dorwał sukę już nigdy nie będzie taki sam! Zawsze pójdzie za następną!

Aywan postanowił kontynuować medytację i nie zwracać uwagi na zaczepki Jadeitowego.

•*Om mani padme hum! Om mani padme hutn! Om mani pddme kum!*

„Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!”

•A o tej nowej nie chcesz, porozmawiać? - Jadeitowy uderzył w słaby punkt.

•Nie ma żadnej nowej! - kłamał Aywan.

•Nie ma, nie ma! - A twoje maślane oczy w operze? Co miały znaczyć?

•To tylko odruch obowiązku! - kłamał dalej - Po naciskach ze strony Mandziuśriego!

•Mandziuśri ma swoje interesy, ja swoje! - Jadeitowy był znowu praktyczny - Radził zapładniać inną, a ty zabierasz się za tę Mai. Przecież mistrz Fu podał ci inne nazwisko - Liu Manqing! - droczył się złośliwie - Trudno je pomylić z Mają Youngusband!

•To prawda! - powiedział cicho Aywan - To prawda! Sam nie wiem jak to się stało.

- Czy wiesz - Jadeitowy postanowił spróbować od innej strony - że ona czasem chodzi bez majtek?
- Każdy czasami chodzi bez bielizny! - Aywan odgryzł się wściekle.
- Tak, ale ona robi to publicznie!
- Nie ośmielaj się nawet mówić takich rzeczy! - Aywan prawie krzyczał.

-Trafiony! Trafiony! - Jadeitowy cieszył się jak dziecko -

No nie, bez majtek, to jednak nie chodzi zawsze! - pocieszał Aywana nieszczerze - Wiesz, kobiety czasami tak robią, gdy czują się nagle pobudzone. Wyobraź sobie - zachichotał lu bieżnie - że pragną wtedy być między ludźmi, to jest - po prawili się - między mężczyznami, tylko w samej wierzchniej odzieży. A pod spodem nic, to znaczy - znów zachichotał - pod spodem wszystko co dla nich najważniejsze, ale samo, golutkie!

Aywan milczał. Nic o kobietach nie wiedział, nie mógł być w tej sprawie partnerem Jadeitowego. Ale było mu przykro. Nie. Było mu inaczej - coś zakłuło go w okolicy serca.

- Oooo! - śmiał się Jadeitowy - Zazdrość? Zazdrość o gołe ciało jakiejś kobiety! Czy to przystoi mnichowi?
- Tylko nie 'jakiejś'! - wrzasnął Aywan - Tylko nie 'jakiejś' - powtórzył już spokojnie.
- A więc jest sprawa! - cieszył się Jadeitowy - Kiedyś sam bym tak wrzeszczał, gdyby to dla mnie ukochana wyszła na scenę bez majtek!
- To było dla mnie? - Aywan oniemiał. Miał w pamięci te kilkanaście sekund w operze, gdy Mai wyszła z za kulis w trójkolorowej sukience.

Wszyscy faceci wlepili w nią wzrok, jakby szukali nagiego ciała pod materia, a jemu się marzyło, aby te sekundy były dla niego. - Więc jednak, to było dla mnie?

- Nie przesadzajmy! - Jadeitowy miał skwaszoną minę. Wyrwało mu się widać coś, czego wcale nie zamierzał powiedzieć.
- Jeśli tak dalej pójdzie, to zamiast przyszłości bodhisattwy, czeka cię rola kochanka - Jadeitowy brnął w złośliwości - a... może nawet zostaniesz z nią na stałe?
- Nie zostanę! - Aywan otrząsnął się nagle - Mam ważne zadanie do wykonania i wykonam je!
- Na wszelki wypadek zdejmę ci ją z oczu!
- W jakim sensie? - Aywan poczuł nagły przyływ strachu.
- Przyślę ludzi od Wanga, już oni się nią zajmą!

Aywan drgnął gwałtownie. Medytacja została przerwana. Jadeitowy patrzył na niego kamiennym wzrokiem. Uszy, bez zmian, dotykały ramion. Nigdy nie mógł zrozumieć na czym polega symbolika długich uszu, mających świadczyć o mądrości. Zresztą, ten Jadeitowy Budda nie nadawał się jako przedmiot medytacji. Całkowicie wytrącał go ze ścieżki koncentracji. Poza tym, mówił takie rzeczy... Pomyślał, że gdyby Mai miała się stać jakaś krzywda - serce by mu pękło!

8.

Był pogodny, wiosenny dzień. W przeciwieństwie do zimy, wiosna jest w Szanghaju piękna. Zanim nadejdzie letnia pora monsunów, ziemia korzysta z wilgoci wchłanianej w czasie zimowych deszczowych dni. Niebo jest bezchmurne, a świat opanowują kwiaty. A kwiaty w Szanghaju

jest gdzie oglądać!

Mai przybyła do hotelu *Peace Palace* przed południem. Była dziewczęca i pachnąca. Aywan przez cały ranek wyobrażał sobie zapach jej skóry. Kojarzył mu się z mieszanką płatków orchidei z głęboką wonią imbiru. Nie wiedział dlaczego tak właśnie sobie wyobrażał jej zapach, lecz wydawało mu się, że rozpozna go na końcu świata.

Nie prostował jej przekonania, że jest zupełnie nowym gościem w mieście i nie zna go wcale. Mai chciała rozpocząć zwiedzanie od głównej ulicy Koncesji Brytyjskiej, noszącej nazwę Alei Edwarda VII. Jej przedłużenie w kierunku zachodnim biegło przez *Frenchtown* pod dumną nazwą *Avenue de France*, zmienioną później na *Avenue de Fochę*. Aywan nie oponował. Pragnął, aby ten spacer trwał jak najdłużej. Wiedział przecież, że w jego sytuacji to będzie cudowne, ale tylko mgnienie oka. Skrycie pragnął, aby trwało jak najdłużej.

O ile Koncesja Brytyjska była 'brytyjska' pod każdym względem, o tyle jej francuski odpowiednik - *Frenchtown* - był 'francuski' tylko z nazwy. Francuzów nie było tam prawie wcale. Dziewięćdziesiąt procent mieszkańców, to Chińczycy powiązani interesami z Settlementem, a większość cudzoziemców stanowili jakimś trafem Rosjanie, a nie Francuzi. Na południe od Settlementu, wzdłuż brzegów Huangpu, rozłożyło się *Chinese City* - typowo chińskie miasto z ciasną zabudową, brudne i stłoczone. W przeciwnym kierunku rozciągały się tereny przemysłowe i portowe, biegnące aż do portu.

Mai zaplanowała, że zwiedzanie miasta rozpoczną od dumy Szanghaju - cesarskich ogrodów. W północno-wschodniej części Bundu królował *Yu Yuan Shangcheng* - wspaniały przykład z czasów dynastii Ming,

stanowiący wzór dla sztuki zakładania ogrodów. Zbombardowany przez Francuzów w odwecie za prowadzone stamtąd ataki rebeliantów na ich koncesję w czasie powstania tajpingów, został już doprowadzony do porządku.

Ogród był wspaniały, śpiew ptaków urzekający, podkreślany szmerem parkowych strumyków i fontann, ale rozmowa się nie kleiła. Mai, nauczona w anglo-amerykańskich szkołach Szanghaju, że tematy zatrącające o prywatność rozmówcy są niegrzeczne, nie zadawała zbyt osobistych pytań. On sam, przez wzgląd na pułkownika Younghusbanda i jego rolę w sukcesie całej misji, starał się omijać kwestie, które mogły wydać się Mai drażliwe. Oglądał z udawanym zaciekawieniem cuda parkowej flory, o których dziewczyna wiedziała wiele, ale nie mógł skupić na nich uwagi. Dopiero, gdy riksza wiozła ich do kolejnego cudu chińskiej sztuki ogrodniczej, *Ogrodów Huangpu* - siedzieli wygodnie razem i bardzo blisko siebie, przegroda pękła i Mai opowiedziała mu swoją rodzinną historię. Ojciec - wówczas młody kapitan brytyjskiej armii - prowadził przed dwudziestu laty wyprawę naukową z Pekinu przez oazy Jedwabnego Szlaku i góry Tybetu - aż do brytyjskiego Kaszmiru. Wtedy, w oazie Turfan, poznał matkę. Mieszkała tam jako córka dowódcy chińskiego garnizonu i jego żony - Tybetanki z sąsiedniej prowincji Gansu. Matka była wtedy młodziutką dziewczyną, a Mai urodziła się niedługo po wyruszeniu kapitana w dalszą drogę.

- To była jakaś szalenie romantyczna historia! - mówiła, a jej policzki nabrały rumieńców - Oboje o tym nie chcą mówić! Wszystko było bardzo zagmatwane, a ojciec odnalazł matkę w Pekinie dopiero po kilku latach i sprowadził nas do Szanghaju.

- Jak ojciec łączy obowiązki rodzinne z pracą wysokiego oficera w Indiach?
- Właśnie, nie bardzo może! Ale stara się, abyśmy widywały go w Szanghaju przynajmniej raz w roku!
- Czy to znaczy, że miałem szczęście napotkać pułkownika tutaj?
- O tak, wielkie szczęście! Trudniej o większy zbieg okoliczności! - Mai roześmiała się tak serdecznie, że stropiony, nie ośmielił się pytać o powód wybuchu wesołości.

Po długim spacerze i obfitym lunchu, Mai oprowadzała Aywana po Ogrodach Huangpu, znajdujących się tuż nad rzeką, po południowej stronie Settlementu. Za nimi rozciągały się już tylko hutongi *Chinese City*. Znaleźli się na samym skraju ogrodów. Pora była wczesna, zbliżało się dopiero późne popołudnie. Ścieżki między egzotycznymi roślinami wypełniały się gośćmi dopiero po *tea time*, a więc po godzinie piątej. Aywan z grzeczną uwagą obserwował pokazywaną mu przez Mai wspaniałą orchideę, rosnącą pod ogromnym drzewem, podobnym do afrykańskiego baobaba, gdy usłyszał w zaroślach szmer, który go zaniepokoił. W pierwszej chwili sądził, że wywołał go często pojawiający się na ścieżce biały, prawie oswojony ptak. Był wielkości połowy czapli, ale chód miał żurawia. Najzabawniej wyglądał, gdy stawał nieruchomo w pozycji starego marabuta. Oboje wybuchali wtedy śmiechem. Ptak nie bał się ludzi. Pozwalał się zbliżyć do siebie na odległość wyciągniętej ręki.

Szmer, który usłyszał, przypomniawszy mu dźwięk łamanej butem gałązki, taki sam, jaki zapamiętał, zanim oplatała go w Pekinie sieć spadająca z drzewa. Chwycił Mai za rękę i przycisnął do siebie. W nagłym napięciu nie zauważył, że przywarła do niego bez najmniejszego oporu. Szuur!

Siatka spadła z drzewa, Aywan przyciągnął Mai tak blisko pnia, że gruba, sizalowa sieć zsunęła się i zwinęła na ziemi. Bierzcie dziewczynę! - usłyszał chrapliwy głos - Ja się zajmę gościem! Trzech mężczyzn o wyglądzie dobrze podkarmionych bandziorów runęło na Mai szarpiąc ją za ręce. Czwarty, masywnie zbudowany - podgolonym, byczym karkiem przycisnął Aywana do pnia drzewa, wypychając z niego całe powietrze. Aywan, unieruchomiony pod drzewem, widział jeszcze, że Mai, wleczoną przez kilku mężczyzn, wepchnięto do rikszy ukrytej dotąd w zaroślach. Poczł nagły przyplływ energii, której mocy się nie spodziewał.

-Urrrraaaan! - wydał z siebie bojowy okrzyk.

To zwiastowało furję. Wyrywał mu się z gardła, ilekroć głos wewnętrzny ostrzegał, że niebezpieczeństwo jest blisko. Zagiął dłoń w kułak, wypchnął kostkę środkowego palca i zadał wiszącemu na nim przeciwnikowi krótki cios w splot słoneczny. Ten nie zawył, lecz tylko otworzył usta w niemej próbie wycia. Upadł na ziemię, usiłując zedrzeć z siebie siłę paraliżującą rdzeń kręgowy. Po chwili znieruchomiał. Aywan po raz pierwszy w życiu użył całej, niczym nie hamowanej, siły. Nie schylił się nawet nad leżącym, lecz kilkoma susami dopadł oddalającą się riksę. Człowiek, zaprzęzony do dyszla biegł ile sił w nogach. Dwaj biegnący po bokach przewrócili Aywana na ziemię. Widział w rozpacz, jak riksza oddala się poza wysokie zarośla, a on był bezsilny i obezwładniony. Wtedy stało się coś, czego nie rozumiał - nawet długo po tym incydencie. Riksza stanęła w bezruchu, a ciągnący ją kulis pochylił się w pędzie i zawisł bezwładnie na dyszlu. Z za pojazdu wynurzył się drobnej budowy mężczyzna w postawie *tai clii*, zwanej walką z cieniem. Uchylił się

cudownie lekko przed potężnym ciosem jednego z napastników. Ten, niesiony niewidzialną siłą, pobiegł kilka kroków do przodu, po czym runął głową w dół na brukowaną kamieniami ścieżkę.

- To Heine! - Aywan nie miał czasu zastanawiać się skąd stary bawidamek wziął się w odludnej części parku, gdy usłyszał komendę:
•Zabieraj dziewczynę! Uciekajcie!

•A ty? Co będzie z tobą? - krzyknął. Heine tylko machnął ręką.

- Uciekajcie! Nie trać czasu!

Aywan podbiegł do rikszy. Mai leżała skrępowana, w usta miała wetkniętą jakąś szmatę. Zerwał więzy, uwolnił usta.

Chwycił ją w ramiona, wyniósł z rikszy, szarpnął za sobą i ruszył biegiem. Biegli jak oszaleli. Najpierw na oślep, prosto przed siebie. Trafili na mur ograniczający park od południa. Nie był wysoki, ale wzmocniony żelaznymi prętami wmurowanymi w regularnych odstępach.

-Może do tyłu - do głównej bramy!?

Skierował się wzdłuż muru. Za chwilę znaleźli się w tym samym, co przedtem, miejscu. Leżące ciało bandziora nie zmieniło pozycji, wokół przewróconej rikszy widać było ślady walki. Z zarośli dochodziły odgłosy szarpaniny, ktoś sapał, ktoś po chińsku przeklinał. Chwycił za dyszel rikszy, ustawił ją na koła, pchnął w kierunku granicznego muru i wsparł na nim pionowo pojazd.

-Wchodź! - krzyknął, nie pamiętając, że dotąd używali form grzecznościowych - Podsadzę cię! - Mai zawahała się. -

Wchodź!

Ponowił rozkaz głosem nie dopuszczającym sprzeciwu. -Nie mamy czasu! Jest ich zbyt wielu! - Odwrócił ją twarzą do ściany muru, chwycił za nogi, podsadził wysoko, tak aby stopy mogły oprzeć się o burtę rikszy i pchnął w górę. Mai, chwytając się żelaznych prętów, całą siłą słabych ramion podciągała ciało do góry. Aywan pchał energicznie. Za energicznie. Spódniczka Mai, naciskana jego rękami posunęła się w górę z większą szybkością niż reszta jej ciała i oczom Aywana ukazały się dwa sprężyste pośladki - krągłe, gładkie, opalone! Mai była bez bielizny! Omal nie odpadł od muru z wrażenia, jakiego doznał. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział.

Przed oczami zamigotała mu, wykrzywiona złośliwym grymasem twarz Jadeitowego.

-Nie wytrzymam z nim! Nie wytrzymam! - krzyczało coś w środku. Nie trawił tego szaro-zielonego typu!

Przeskoczył mur za dziewczyną. Sytuacja był nadal groźna. Widział szybko biegnące za nimi postacie. Przed sobą mieli gęstwinę *hutongów*. Wbiegli w wąską, pełną Chińczyków, brudną uliczkę. Jedni pchali wózki pełne warzyw, inni zachwalali towar, wychylając się na całą długość ciała z za swoich straganów. Aywan biegł roztrącając tłum. Kurczowo ścisnął dłoń dziewczyny. Dostrzegł boczną uliczkę. Wbiegli. Była ślepa - kończyła się nagle, tak jak nagle się zaczęła. Zamykało ją drewniane ogrodzenie. Wspiął się, wyprostował na całą wysokość, starając się objąć wzrokiem jak największą przestrzeń. Przed nim rozciągało się morze dachów, daszków, skleconych z byle czego, maleńkich zagródek i komórek. W promieniach krwistoczerwonego, zachodzącego słońca, hory-

zont robił wrażenie nie kończącej się pustyni smołowanego papieru. Pociągnął Mai za sobą. Pędzili po dachach, przeskakując z jednego, na drugi. Deski trzeszczały ze starości, uginając się pod krokami biegnących. Aywan stracił poczucie kierunku. Wszędzie dokoła dachy i daszki! Nagle trzaaask! Ten, na którym się znaleźli nie wytrzymał i załamał się pod ciężarem dwóch dorosłych ciał. Bęc! Miętko. Cisza! Leżeli w zagłębieniu zwałów wysuszonej trzciny. Z góry patrzyły serdecznie zdziwione oczy kozy. Z czarnej, rogatej głowy sterczał kosmyk całkiem białej koziej brody.

-Cicho, mećka, cicho! - poprosił.

Koza widać zrozumiała, bo ze spokojem wróciła do przeżuwania suchych listków. Słyszeli jeszcze pospieszne kroki, jakby ktoś szybko krzątał się po ulicy. Nie! Tych krzątających się było wyraźnie kilku!

-Tsss! - szepnął Aywan.

Kroki ucichły. Mai leżała w bezruchu, wtulona w niego jak mała kotka. Czuł jak bije jej serce. Pomimo strachu i niepewności pomyślał, że tak mogłoby wyglądać całe jego dalsze życie.

9.

Świt zastał ich w tej samej pozycji. Mai oddychała miarowo. Aywan nie próbował drgnąć. Trzymał w ramionach kobietę swoich najskrytszych marzeń. Chciał, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła. Poza tym bał się zasnąć. Nie tylko ze względu na czyhające na zewnątrz niebezpieczeństwo. Obawiał się Jadeitowego. Na jawie nie pokazywał mu się nigdy, ale podstępnie wykorzystywał sen i stan medytacji. Wiedział, co będzie mu teraz wypominał i z czego będzie kpił. To, że

dziewczyna leżała tak blisko niego, że czuł w mózgu każde drgnięcie jej ciała, też nie pozwalało mu zasnąć. Może we śnie wszystko by utracił? I chyba nie chciał się przyznać, że nie śpi też dlatego, że wie, iż między nim a kobietą, którą tulił w ramionach, nie było niczego, co by ich dzieliło - tylko cienka materia bawełnianej spódniczki. Świadomość, że pod tą materią nie ma nic, tylko ona sama - gładka i pachnąca też nie dawała mu zasnąć. Wtulony, wyczuwał delikatny zapach płatków orchidei, zmieszanej ze szczyptą imbiru.

-Czy to moja wyobraźnia? - pomyślał bezwiednie.

Miał wyczulony węch, który dotąd musiał reagować tylko na natarczywe zapachy klasztorne.

- Jak pachnie imbir? - Nie mógł sobie przypomnieć. Nigdy nie wąchał świeżego imbiru.

- A jak pachnie orchidea?

Rezultat był taki sam. W stepie ledwie rośnie cebula i dziki czosnek! Nie wiedzieć jednak czemu, tego był pewien - zapach orchidei i szczypta świeżego imbiru - to Mai!

-Czy to ty byłeś? - Szepnęła nagle dziewczyna nie otwierając oczu. - No, tym oficerem w czasie wojny w Tybecie, który mógł, ale nie strzelił do mojego ojca? - Nie czekała na pytanie o kogo chodzi.

- To ja! - powiedział po chwili wahania - Tak, to ja!

- Wiedziałaś! Od razu wiedziałaś! - Poruszyła się lekko -
1 wiem dlaczego nie strzeliłeś!

- Jak możesz wiedzieć, skoro ja sam nie wiem?

- Po prostu! - Mai nie miała najmniejszych wątpliwości -Nie mogłeś zabić mojego ojca!

- Nie wiedziałem nawet o twoim istnieniu!

- Wiedziałaś! - powiedziała z dziewczęcą pewnością siebie. - Wiem, że wiedziałaś, tak jak ja wiedziałam, że ciebie spotkam!

Aywan milczał. Pamiętał wszystkie medytacje i uświadomił sobie, że zawsze pojawiał się w nich jakiś obłok tajemnicy.

I zawsze niósł ze sobą tę samą woń, którą kojarzył z zapachem płatków orchidei i szczypty świeżego imbiru.

- Masz rację! - Przyznał cicho - Masz rację! Zawsze wiedziałem!

- Co to byli za ludzie? - spytała - Ci co nas napadli?

- To pewnie służby specjalne cesarzowej! - domyślał się Aywan - Naraziłem się cesarzowej Cixi w Pekinie. Ma do mnie - przyznał - osobistą urazę.

- Cesarzowa? - Mai otworzyła oczy - Ona nie żyje od dwóch lat?

- Nie żyje? - Aywan nie miał w Szanghaju dostępu do chińskich gazet - A cesarz Guanxu?

- On też nie żyje - zmarł na dzień przed cesarzową!

- To jednak go otruła!

Aywan czuł głęboki żal z powodu śmierci zmalretowanego przyjaciela, bo takim go zapamiętał - Uratował mi życie! -myślał z wdzięcznością. - Kto teraz rządzi Chinami?

- Przed śmiercią Cixi wyznaczyła następcę - księcia Puyi, ale on - dodała - ma dopiero cztery lata.

- No tak, to rządzą urzędnicy i nic dobrego z tego nie wyniknie! Nie rozumiem tylko dlaczego ciągle mnie ścigają?

Nie mogli trwać w wiecznym uścisku. Trzeba było wydostać się z matni. Podnieśli się z przypadkowego posłania. Koza przestała żuć trzcinę. Patrzyła na nich smutno i wydawać się mogło, że żałuje rozstania. Aywan rozchylił deski komórki. Świtało. Zobaczył wąską uliczkę. Hutong jeszcze spał. Wydostali się na zewnątrz i cicho stąpali wzdłuż szarych ścian starających się uparcie podtrzymywać barwę jakiejś starej farby.

Z zaułka wyłonił się łeb. Wielki i rogaty. Należał do bawołu *arni*, takiego jakie w całej wschodniej Azji widać wszędzie na ryżowych polach. Za nim włókł się byczy kark zaprzęgnięty w jarzmo. Potem pojawiła się reszta zwierzęcia i wózek o dwóch wielkich kołach, powożony przez starego Chińczyka. Wózek pozostawiał za sobą dwa rzędy różnego kształtu opróżnionych nocników, które każdego ranka przed drzwiami domostw pozostawiali mieszkańcy hutongów. Za wózkiem podążał smród. Straszny smród! Aywan omal nie zwymiotował. Mai skryła twarz w obu dłoniach. Najpierw usiłowała przerwać oddychanie, ale gdy to się nie udało, poniosła głowę i wpadła w śmiech, śmiech tak wesoły, że zagłuszył odór świeżych fekaliiów, wydobywający się z wnętrza wózka.

-To poranek hutongu! - Wyjaśniła zaskoczonemu Aywanowi. - Wyjeżdża to, co mieszkańcy oddają w nocy! - Śmiała się dalej - *Chinese City* nie ma kanalizacji! To wszystko idzie na pola *Pudongul* Właśnie jedzie - zrobiła ruch, jaki robi za wiadowca kolejowej stacji dając znak do odjazdu - tajemnica wspaniałego smaku chińskich warzyw!

Aywan nagle zrozumiał istotę *woku* - głębokiej i grubej chińskiej

patelni, wypełnianej gorącym olejem, w której na chwilę zanurza się podawane na stół warzywa. Wiedział już, dlaczego w Chinach nigdy nie jada się ich na surowo.

-No to mamy podwodę! - zawołał.

Powozący wózkiem Chińczyk uśmiechnął się szeroko i posunął na ławeczce tak, aby zrobić miejsce dla dwóch dodatkowych osób.

-Tylko zatrzymaj się na granicy Settlementu! - Aywan wyobraził sobie wrażenie, jakie zrobiliby, gdyby takim pojazdem pojawili się na podjeździe do hotelu.

- Wiem, panie! - Ten zapach nie podobałby się gościom *Pe-ace Palacel* - i zrobił ruch głową, jakby chciał ukryć twarz.
- Skąd ten wozak wie gdzie mieszkam? - Aywan próbował zajrzeć mu w oczy, bo wydało mu się, że bardzo mu kogoś przypominają. Stary Chińczyk uśmiechał się niewinnie.

10.

W hotelu panowało zamieszanie. Pułkownik Youghusband szalał z niepokoju. Miał podstawy sądzić, że jego córka została porwana. Wyszła na spotkanie z rosyjskim majorem i zaginęła. Youghusband dowiedział się w recepcji, że major także nie powrócił. Pułkownik był gotów postawić na nogi całą piechotę morską strzegącą Settlementu. Jej dowódca, pułkownik Jerry Brown, nie podzielał jego emocji.

- Nie możemy - tłumaczył - ogołocić miasta z wojska! Po zostawilibyśmy mieszkańców na pastwę losu. Mamy doświadczenia z powstania bokserów i wiemy, że nie możemy rozpraszać sił!

- Poza tym - starał się uspokoić rozsierdzonego Anglika -poczekajmy!
Może sprawa się sama wyjaśni, młodzi ludzie -bagatelizował - mają
rozmaite pomysły!

Younghusband nie mógł użyć bardzo osobistego argumentu. Ludzie Wanga byli tej nocy u matki Mai, we *Frenchtown* i w poszukiwaniu córki przewrócili dom do góry nogami. Dowódca brytyjskiego kontyngentu piechoty morskiej wiedział, że pułkownik jest w Szanghaju z wizytą prywatną, w odwiedzinach u córki - to było publiczną tajemnicą - nie miał jednak świadomości, że jest tu i jej matka. Było w armii w dobrym tonie, gdy oficer miał miłosną przygodę w koloniach i wspomagał finansowo jej owoc, ale nie tolerowano by otwartego konkubinatu.

Aywan i Mai pojawili się nagle w hotelowym lobby. Potargane włosy, podbite po nieprzespanej nocy oczy, poszarpane w walce ubranie Aywana, świadczyło o tym, że nie spędzili jej na romantycznej przygodzie. Mai, w obecności komendanta garnizonu, pospiesznie opowiedziała historię napaści. Brown, już sprawy nie bagatelizował.

- Skoro ludzie Wanga - powiedział ponuro - zdecydowali się na taki krok, wiedząc - spojrzął znacząco na Younghus-banda - z kim zadzierają, musimy się mieć na baczności!
- Maju - zwrócił się do niej pułkownik - doprowadź się do porządku, proszę. Ja mam do porozmawiania z twoim towarzyszem.
- Majorze, chcę z panem mówić zupełnie szczerze, ale w zamian - był nadzwyczaj poważny - oczekuję również szczerości. Ostatecznie, ma pan swój udział w tej awanturze!
- Pułkowniku, biorę winę na siebie! - Nie wziąłem pod uwagę tego, że chińskie służby specjalne mogą mnie tu szu

kać!

Pułkownik patrzył na Aywana z nieukrywanym zdziwieniem.

- Ci ludzie, to nie służby specjalne! - odrzekł twardo - Nie szukali pana! Oni szukali mojej córki! Dlatego musi pan być ze mną szczery! Od pańskiej szczerości - podkreśliłam słowo 'szczerść' - zależy również powodzenie całej pańskiej misji!
- Proszę pytać! - Teraz Aywan nie ukrywał swojego zdumienia i niepokoju o losy Mai.
- Pytam więc wprost! Dla kogo pan pracuje? Dla Rosjan czy dla Tybetańczyków, czy też dla jednych i drugich, co - dodał -nie byłoby eleganckie.

Aywan milczał. Zastanawiał się jak wielkie podejmuje ryzyko ujawniając całą prawdę. Przeważała Mai. Nie chciał po sobie pozostawić złych wspomnień.

- Zawsze pracowałem tylko dla jednego człowieka - dla Thubtena Gyatso, XIII Dalajlamy Tybetu. To... prawie mój brat.
- Jak więc możliwe, że jest pan w rosyjskim mundurze, z rosyjskim paszportem i bywał pan w Petersburgu?
- To długa historia rosyjskiej przebiegłości. Wielu z nas, buddyjskich mnichów, pochodzących z Rosji, jest poddawanych indoktrynacji i szkolonych dla celów wywiadowczych.
- Mnichów? Pan żartuje? - Youngusband nie wierzył własnym uszom - Jest pan mnichem? Buddyjskim mnichem?
- Widział już mnie pan w tej roli - Aywan nie zamierzał oszczędzać pułkownika - dwadzieścia lat temu, w Tybecie w drodze do Kaszmiru.

Pamięta pan - spojrział mu prosto w oczy - atak dzikich jaków? I pudło Grąbczewskiego na przełęczy Tou'erjishuan?

Younghusband zaniemówił z wrażenia.

- To był pan? - Chwilę milczał - No tak, wracałem z Turfanu... potem, tam urodziła się Maja... tak, doskonale pamiętam!

Pułkownik znowu długo nic nie mówił. Sięgnął po papierośnicę.

•Mnisi nie palą nieprawdaż?

•Nie, nie palą.

•A w bitwie pod Xigaze, też był pan?

•Tak, to byłem ja. Pańska córka - dodał - już o tym wie. Powiedziałem o tym dzisiaj w nocy.

•Dziś w nocy... - powtórzył przeciągle Younghusband -Maja - zawahał się na jakiś dziwny sposób - ja ją dobrze znam... ona może nie być zadowolona z tego, że jest pan mnichem. Ojcowie tego wzroku córek nie lubią ale - uśmiechnął się kwaśno - widzę po jej oczach, że może nie być z tego powodu rada!

•Proszę jej o tym nie mówić! - Aywan był bardzo stanowczy - Zresztą, wyjeżdżam do Kalkuty - dodał z determinacją -najbliższym statkiem!

Younghusband już był spokojny i miał plan ułożony.

•Dziękuję za szczerłość! Teraz ja panu powierzę misję. To -zauważył - bardzo szczególna misja! Zabierze pan moją córkę do Indii. Ona musi stąd zniknąć!

•Zniknąć? A to dlaczego?

•Bandyci, którzy was wczoraj napadli, to ludzie z gangu Wanga, najgroźniejszego gangstera w całej prowincji. Jest handlarzem żonami.

To stary chiński proceder! - wyjaśniał Younghusband ponuro - W Chinach taniej jest żonę kupić od gangu, niż zbierać na nią zwyczajowy posag.

- Czy ten Wang wie, że to pańska córka?
- Wszyscy to wiedzą i to jest właśnie najgroźniejsze! Oznacza - pułkownik wyglądał na przybitego - że ma poważne zamówienie i wziął już dużą zaliczkę, więc jest zdeterminowany. Czy pan wie - ciągnął zafrasowany - że on wszędzie ma szpiegów? Nie będzie łatwo ją dowieźć do portu! Rejsowy parowiec odpływa dziś wieczór. Następny dopiero za tydzień. Powinniście ruszać natychmiast! Maja tu nie jest bezpieczna!
- Pułkowniku! Rozumiem ojcowską troskę ale przecież w Szanghaju rządzi brytyjskie prawo i piechota morska!
- Pan nie zna Wanga! - To bezwzględny człowiek i nigdy nie łamie słowa, jeśli wziął pieniądze, a wiem, że wziął. Zamówienie przyszło od kogoś bardzo wpływowego, od kogoś kto się nie boi kary, licząc na destabilizację po śmierci cesarza i cesarzowej.
- Czy pan wie - powiedział po chwili - co oni robią z porwanymi kobietami? - Zanim oddadzą je do używania nowym właścicielom, gwałcą je i podcinają ścięgna nóg, żeby nie uciekły!
- Swołocz! - wyrwało się Aywanowi. Wyzwisko skierował przeciwko Jadeitowemu. To on stał za tym z całą pewnością!
- Yes! Bastard! - Younghusband tyle też rozumiał po rosyjsku. Sądził, że Aywan miał na myśli Wanga. Nie mógł wiedzieć o istnieniu Jadeitowego i jego roli w całej sprawie.

- Wie pan, że znam drogę z Indii do Lhasy! - powiedział po chwili milczenia.

W innych okolicznościach Younghusband może wysiliłby się na jakiś żołnierski dowcip, ale teraz nie było mu do śmiechu.

-Najkrótsza droga z Kalkuty wiedzie przez Bengal, Dardżiling i księstwo Sikkim. W Dardżiling - Younghusband najwyraźniej lubił to miejsce - mam dom i plantację herbaty. To piękne miejsce i zdrowy klimat. Mai będzie tam dobrze. Dowiezie ją pan i pozostawi. Z Dardżiling do Lhasy pozostanie panu tylko kilka dni drogi. Powodzenia!

Uścisnęli sobie dłonie. Younghusband odwrócił się i skierował ku wyjściu, gdzie czekał już Brown z oddziałem piechoty-

-Pułkowniku! -zawołał Aywan.

Younghusband zatrzymał się i odwrócił wzrok, tak jakby oczekiwał jakiegoś zapewnienia

- Proszę się nie martwić! - powiedział Aywan - Dowiozę córkę bezpiecznie do celu. Będzie w dobrych rękach! - zapewnił.

Younghusband skinął tylko głową.

Rozdział dwunasty. DWA OCEANY. MALAJE I RANNSUN

1.

Plan ewakuacji był prosty. Konny oddział wojska posuwać się miał z Settlementu w kierunku ujścia rzeki - do portu, znajdującego się piętnaście mil od miasta. Jego rolą było markować, że eskortuje ważną osobę. Tymczasem oboje uciekinierzy, przebrani w zwyczajne chińskie stroje,

wsiądą do sampy-na, jakich wiele znajdowało się na rzece i spłyną do jej ujścia niezauważeni. Gdyby żołnierze zostali zaatakowani, mieli bronić się słabo i powrócić do Settlementu, tak, aby napastnicy sądzili, że dziewczyna jest nadal w mieście.

Wypadało pożegnać się z Heinem i podziękować za pomoc okazaną w potrzebie. Aywan zapukał do drzwi hotelowego apartamentu.

Odpowiedziała cisza.

- Znowu gdzieś się zapodział? - postanowił pozostawić w recepcji bilet z podziękowaniem.
- Pan Heine wyjechał! - usłyszał od recepcjonisty.
- Na długo?
- Na stałe. Wymeldował się i zabrał swoje rzeczy!

-Jest pan pewien? - Aywan był pełen niedowierzania -Zakończył pracę dla pana Sassoon?

- Pan Sassoon nie ma tu swojego przedstawiciela! - teraz recepcjonista był zdziwiony - Pan Sassoon zajmuje osobny apartament w drugiej części hotelu i sam nadzoruje swoje interesy!
- Dlaczego Heine kłamał? - nie mógł zrozumieć Aywan -Cóż za dziwny człowiek!

Sampan, którym płynęli w dół rzeki, był niewielką łodzią służącą do przewozu ludzi, towarów, połowu ryb, używaną w Azji jako mieszkanie na wodzie. Nie niepokojeni, dopłynęli do portowej części Szanghaju. W wielkim basenie portu handlowego przewijało się tak wiele jednostek różnych bander, że jedna łódź nie zwracała niczyjej uwagi. Ubrani jak Chińcy

wieśniacy, nie wyróżniali się z tłumu ludzi zdążających do przystani pasażerskiej. Ta, robiła wrażenie osobnego portu z własnym falochronem i wejściem dla statków.

Parowiec wpłynął do portu wprost z doku remontowego. Lśnił świeżą farbą i z daleka pachniał czystością. Manewrował, usiłując ustawić się burtą do nadbrzeża. Był ogromny. Wydawało się, że zajmie całą wolną przestrzeń. Sprawiał wrażenie wieloryba, który znalazł się w zbyt ciasnym akwarium. Płynął powoli, sapał, wyłączał maszyny, znowu włączał, cofał, prychał i dygotał. Zabrało mu całą godzinę nim przylgnął burtą do brzegu.

Pasażerowie pierwszej klasy wchodzili pierwsi, przyjmowani z należnym ich biletom szacunkiem. Elegancy, poruszali się godnie i bez pośpiechu. Bagażowi dźwigali rzeczy, na szczycie schodków trapu witał ich kapitan. Aywan i Mai znaleźli się w ciasnym tłumie pasażerów trzeciej klasy, otoczeni rojem Chińczyków, wybierających się do pracy w singapurskim porcie. Anglicy chętnie zatrudniali Chińczyków przez wzgląd na ich pracowitość i dlatego, że rdzenna ludność ma-lajska rozpieszczona łatwością życia w tropiku nie garnęła się do ciężkiej pracy.

Younghusband z rozmysłem zaplanował podróż uciekinierów w najniższej klasie statku, aby w gęstym tłumie mogli dostać się na pokład niezauważeni przez ludzi Wanga. Postąpił słusznie. Kiedy przesuwali się w długiej kolejce wzdłuż burty parowca, usłyszeli strzały w towarowej części portu, przez którą prowadziła droga z miasta do przystani pasażerskiej. Strzały oddalały się i cichły. To znak, że oddział wojskowy, markujący eskortę Mai, został zaatakowany i zawrócił do miasta.

- Plan się powiódł! - szepnął Awyan.

Mai uśmiechnęła się ze zrozumieniem, ale w sposób, jakby ta podróż nie

była niebezpieczną ucieczką w nieznane, lecz wyjazdem na piknik w dobrym towarzystwie.

Przepychali się przez tłum Chińczyków ciągnących za sobą tobołki, worki i prowizoryczne bagaże. Wcisnęli się na trap razem z tłumem z trudem przedostając się na pokład. Aywan nie wiedział, że w trzeciej klasie nie ma kabin, ani numerowanych miejsc. Trzecia klasa, to jedna okrętowa hala - po prostu, przestrzeń drewnianej podłogi, z aneksem składanych krzeseł, podobnych do tych, wypełniających podrzędne teatrzyki. Kto zdąży, ten ma miejsce. Twarde, ale siedzące. Dla spóźnionych, pozostawała podłoga. Kilkadziesiąt osób podróżujących w jednym pomieszczeniu, to widok niecodzienny. Powoli, bez pośpiechu, pasażerowie rozpoczęli przygotowania do podróży. Zachowywali się w sposób świadczący o doświadczeniu w oceanicznych rejsach - jakby odbywali je regularnie. Rozkładali przyniesione koce, zawiniątka z jedzeniem, napoje. Po kilku minutach poczuł się jak w dworcowej restauracji.

Aywan zdążył zająć jedno miejsce dla Mai. Dla siebie znalazł inne, oddalone o dwa rzędy. Zajął krzesło obok starej Chinki, zapewne powracającej z rodzinnych odwiedzin. Kobieta ubrana w czerń, zakutana w obszerną chustę drzemała twardą drzemką starego człowieka. Cichutko posapywała.

Statek, wypełnił brzuch ludźmi, towarami i węglem. Ruszył z nadbrzeża w godzinę po zmierzchu. Znowu wydawało się, że nie trafi między dwa falochrony, broniące portu przed uderzeniami wiatru. Posapując, cofając się i manewrując, wydostał się wreszcie z portowego akwenu i skierował ku otwartym wodom, zmierzając do cieśniny łączącej Morze Żółte z

Morzem Południowo-Chińskim.

Zaczęło bujać. Im bardziej statek oddał się od portu, tym fale były wyższe i bardziej odczuwalne. Aywan nic nie wiedział o morskiej chorobie. Jej objawy uświadomiła mu stara Chinka. Przez pierwszy kwadrans rejsu, oddech miała coraz szybszy i coraz bardziej świszczący. Gdy parowiec wzbijał się na grzbiet fali, staruszka nabierała powietrza, kiedy ją gubił opadając, jej żołądek podnosił się i wyciskał oddech na zewnątrz. Nie robiła tego bezgłośnie. Za każdym opadnięciem parostatku wydostawał się z niej szczególny dźwięk. Pasażerowie otworzyli już swoje zawiniątka - podróż pobudza apetyt - i przysiedli w kucki do późnej kolacji. Z początku nie reagowali. Chinka, swoim regularnym 'Uueeeh!', zakłócała zapewne smak pracowicie przygotowanych potraw ale - zamiast posiłek przerwać z niesmakiem - włączyli się wesołym chórem w jej mdłości. Powoli sala przekształciła się w wątpliwej jakości klub *karaoke*.

Chińczycy przejęli *karaoke* z Japonii i stali się jego mistrzami. Zabawa polega na indywidualnym śpiewaniu znanych piosenek w takt wszelakich instrumentów, jakie są pod ręką i przekazywaniu śpiewu następnej osobie. Ta, kontynuując, ma obowiązek zmienić wątek melodyczny na inny i przekazać śpiewanie dalej. I tak dalej, i tak dalej. Im większy tłum ludzi bierze w tym udział, tym zabawa trwa dłużej i mnoży niespodzianki. Śpiewacy bez krzty głosu i słuchu wydają z siebie niezrozumiałą kakofonię dźwięków i to uczestników *karaoke* bawi najbardziej. Jeśli przy okazji znajdzie się alkohol, zabawa nabiera dodatkowych rumieńców.

Głośnie 'Uueeeeh! starej kobiety, zostało podchwyczone przez pasażerów podchmielonych czarkami ryżowej *sake*. Każdy oddech jej męki pomagał

eksponować możliwości głosowe całych grup biesiadników. Chwilę później, okrętowe *karaoke* zmieniło się w wymianę jednostajnych dźwięków między rozbawioną salą, a pracowicie drzemącą Chinką. 'Uueeeh!- zaczynała kobieta - 'Uueeeh!' - gromadnie wspomagał ją tłum. Statek wspinał się na coraz to wyższe fale mniej więcej raz na minutę. Każdą z nich znaczyło głośne 'Uueeeh!' siedzącej obok Aywana kobiety i grupowe 'Uueeeh!' rozbawionej sali. Po kwadransie miał dosyć. Mai, szczęśliwie, spała, skulona jak królik w swoim składanym krześle. Wyszedł na pokład. Niebo było rozgwieżdżone, wiatr dojmujący, a pokład śliski od morskiej wody obmywającej po mniej odpornych pasażerach świeże ślady choroby. Wziął głęboki oddech i starał się patrzeć przed siebie, a nie pod nogi. Wtedy dostrzegł Heinego.

- Skąd on tutaj? - Zaraz! - zaczynał rozumieć - Pewnie po bójce z ludźmi Wanga, Heine postanowił wyjechać z Szanghaju w takim samym pośpiechu jak on. Nic dziwnego, że nie miał czasu na pożegnanie!
- Proszę, proszę! - Heine śmiał się usiłując utrzymać równowagę na szeroko rozstawionych nogach - Co za wspaniałe spotkanie!
- Ale, ale! - Dlaczego podróżujesz trzecią klasą? Jeśli stać cię było na *Peace Palace*, to stać cię również na pierwszą!
- To dłuższa historia! - Aywan nie był w nastroju do zwierzeń - Musiałem wejść na statek niezauważony, a w tłumie przemknąć się łatwiej niż wśród nielicznych pasażerów z jedyńki. Ale - przypomniał sobie wyczyny Heinego w parku - chcę ci podziękować za pomoc. Sam nie dałbym im rady!
- Trzeba sobie pomagać! To prawdziwy altruizm! - Heine mrugnął porozumiewawczo - Ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie! Taki

altruizm bardzo się liczy w handlu.

- Zawsze tak kalkulujesz? - Aywan czuł, że jego kwaśna uwaga jest nie na miejscu.

- Nigdy! - Heine nie tracił dobrego humoru - Ale kiedy człowiek zgromadzi garść dobrych uczynków nawet interesy idą lepiej!

Buddyści - spojrzał na Aywana, jakby zależało mu by trafić do jego przekonania - nazywają to karmą, dobrą karmą - poprawił się szybko.

- To jednak jesteś buddystą, a nie Żydem? - Aywan znowu był zgryźliwy.

- Co za różnica? - Heine był w doskonałym nastroju - Jeśli przyjmujemy, że czy to Jahwe, czy sam Allach, czy nawet Bóg chrześcijański - razem i każdy z osobna uosabiają po prostu *dharmę* - odwieczne prawo kosmosu? Wiesz!- dodał pospiesznie - mam w sąsiedztwie wolną kabinę, wyjątkowo dobrze urządzoną! - Heine mrugnął porozumiewawczo, ale Aywan nie rozumiał, co to ma znaczyć - Przed nami trzy tygodnie podróży, bądź moim sąsiadem!

Aywan poczuł się zakłopotany.

- Nie jestem sam! - wyjął.

- No, to chodźcie we dwóch! - Heine nie miał obiekcji.

- Nas - kluczył Aywan - nie jest dwóch, tylko dwoje. Jest ze mną Mai - postanowił powiedzieć mu wszystko - Na prośbę pułkownika mam ją pozostawić w Indiach w jego domu w Dardżiling.

- To świetnie! - wykrzyknął Heine, ale chyba uznał, że się zagalopował - To znaczy, trudno! Kajuta jest jedna, was jest

dwoje, ale to chyba lepiej niż przedrzemać całe tygodnie na podłodze

pokładu trzeciej klasy!

-To prawda! - Aywan był pewien, że Mai z radością zamieni drewniane krzesło na komfort kajuty pierwszej klasy. -
Dziękuję! - powiedział serdecznie - Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie.

2.

Kajuta była naprawdę komfortowa. Właściwie, nie była to kajuta, ale mały apartament, składający się z saloniku, niedużej łazienki i kabiny prysznicowej oraz przestronnego - jak na warunki okrętowe - aneksu sypialni zaopatrzonej w szerokie łóżce z łąkowym, bogato zdobionym wezłowiem. Na ścianie, na porcelanowych haczykach, wisiały dwa jedwabne kimona - jeden wyraźnie przeznaczony dla kobiety, drugi - męski. Aywan zauważył z zażenowaniem, że apartament wygląda bardziej jak przygotowany na podróż poślubną, niż dla samotnego pasażera.

-Bardzo to ładnie zaaranżowałeś! - Mai uśmiechnęła się zalotnie.

Aywan nie wiedział jak zareagować, nie była to przecież jego aranżacja, ale zapobiegliwość Heinego.

-To bardzo dziwny rodzaj zapobiegliwości! - pomyślał - Nie mogę mu jednak robić wymówek. Chciał przecież jak najlepiej. A może Heine, ten stary kobieciarz, przygotował pomieszczenie pod kątem swoich własnych planów? - próbował usprawiedliwić niezręczną sytuację, w jakiej się znalazł, albo też wydawało mu się, że się znalazł.

Mai nie była zaskoczona, ani speszona.

•Nie musisz się usprawiedliwiać! - nie przestawała być zalotna - To będzie piękna podróż! - Zdjęła z wieszaka kimono, pogładziła delikatny jedwab i robiąc gest, który można było odczytać jako 'wybacz', zniknęła za drzwiami łazienki.

•To chyba dobry pomysł! - pomyślał - Po pół nocy kiwania się na krześle trzeciej klasy, należy się kąpiel!

-Z czasów Tangów! - steward był pewien swego - To okres powstawania mody. Damy prześcigały się w pomysłach. Stroje były wtedy bardzo kobiece - obcisłe bluzki, uwy puklające piersi, zwiewne sukienki pozwalające domyślać się kształtów ciała. Ale nadawały się dla młodych kobiet, były tak nęcące, jak...

Drzwi łazienki otworzyły się i Mai ukazała się w całej krasie. Była zarumieniona od kąpieli, ale pachnąca i świeża.

-... jak strój pani! To właśnie klasyczne kimono z czasów dynastii Tang, która z oazy Turfan panowała nad Jedwabnym Szlakiem!

•Turfan? Mówicie o Turfanie? Ja stamtąd pochodzę! - zainteresowała się Mai.

•Nie dziwię się, pani, że ubierasz się z takim smakiem! -podkreślił z uznaniem steward - Turfan podtrzymuje najlepsze wzory z tamtych czasów.

Steward zbierał się do wyjścia.

-Podziękujcie w naszym imieniu kapitanowi statku! - rzucił Aywan za odchodzącym - Zaopatrzył pasażerów w tak wysmakowane stroje...

Chińczyk odwrócił się tak nagle, że jego warkocz wiedziony siłą bezwładu wypadł spod okrągłej czapeczki z pomponem i zawinął się wokół głowy. Przystanął w miejscu, a twarz wyrażała niczym nie skrywane zdziwienie.

- Nigdzie, panie, w żadnej kajucie, takiego stroju nie ma! Taka hojność bardzo podwyższyłaby ceny biletów. Sądziłem, że to wasza, panie, inwencja... - Steward zniknął za drzwiami. Mai obrzuciła Aywana spojrzeniem pełnym niekłamanego podziwu.

- Naprawdę pięknie to zaaranżowałeś! - uśmiechnęła się w sposób, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział - Naprawdę pięknie!

Aywan nie wiedział jak ma się zachować. Z jednej strony był mile połączony komplementami stewarda i reakcją Mai, ale przecież wiedział, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- To Heine? - pomyślał -Tak, na pewno Heine! Ale, o co u licha mu chodzi? - powoli, dla zyskania na czasie, nalewał z porcelanowego czajniczka gorącą herbatę - Steward pewnie by wiedział, z jakiej epoki pochodzi ten czajniczek? - pożałował w duchu.

Naczynie rzeczywiście było piękne. Mieniło się niebieskimi barwami kobaltu. Garniarz musiał być mistrzem w zawodzie. Czajniczek zrobiono z porcelanowej gliny, ale wyglądał jak wyrzeźbiony z jednego kawałka drewna. Filizanki podobnie -stały szeregiem na porcelanowych podkładkach do złudzenia imitujących kawałki nieobrobionego drewna. Aywana zaskoczył inny przedmiot. Na stoliku, w pewnej odległości od filiżanek spoczywał - jakby skręcony i porzucony w dziwacznej pozycji wieniec porcelanowych koralików nanizanych na nić. Na pierwszy rzut

oka wyglądał jak *mała*, medytacyjny różaniec, składający się ze stu ośmiu pereł lub koralików. Symbolizują osiem rodzajów świadomości, za pośrednictwem których przeżywa się świat zewnętrzny oraz sto aspektów Buddy pojawiających się po uzyskaniu stanu oświecenia.

- Czy Oświecony - pomyślał z niepokojem - chce mi wytknąć grzech przebywania z kobietą w jednym pomieszczeniu? Ale dlaczego różaniec jest porcelanowy? Tybetański różaniec składa się z pereł lub koralików, a nie porcelanowych kuleczek! Chwileczkę! - sięgnął po niego dłonią - ile ich jest?

Różaniec nie był giętki, oddający koraliki palcom modlitewnika. Był sztywny, jakby wypalono go z takiej samej porcelany, co herbaciane filiżanki i ułożono w jakiś znajomy sposób...

- Zaraz! - myślał w popłochu - To wygląda na pionowe pismo starych świętych ksiąg! Odczytywał tekst...

-Om Tarę tuttare turę soha! - Słyszał własny szept.

Nigdy przedtem nie ośmielił się bez pozwolenia wymówić głośno mantry Zielonej Tary, żeńskiego pierwiastka Wszechświata, niebiańskiej małżonki Oświeconego.

-Om Tarę tuttare turę soha! Om Tarę tuttare turę soha!

Tym razem wypowiedział ją tak, jakby chciał oddać się pod opiekę potężnej bogini, jak gdyby zwracał się do niej o spełnienie jakiegoś ukrytego marzenia. Poczł drżenie ciała i mrowienie pod skórą. Zaniepokoił się tym nieznanym doznaniem. Wypowiedział mantrę samowolnie, wbrew ostrzeżeniom nauczyciela. To niebezpieczny postępek, ale spłynęło na niego coś, jak błogosławieństwo, coś w rodzaju ulgi i poczucia miłości do całego świata. - Całego? A nie do niej, jego

towarzyszki tej nagłej podróży? Myśli biegły coraz szybciej

- Czy myśli też kłamią? - Zabrakło czasu na zastanowienie.
- To cudowne wyroby z czasu dynastii Ming - usłyszał głos Mai
-Naprawdę pięknie to zaaranżowałaś! Skąd wiesz, że kobiety to uwielbiają?

Odwrócił się, trzymając w rękach dwie wypełnione parującym płynem kruche filiżanki. Omal nie wypadły mu z rąk. Przed nim stała Mai. Była naga. Zwiewne kimono opadło do jej stóp i leżało w bezruchu jak zwinięty we śnie kotek.

-Wiedziałam, że to ty! - powiedziała cicho - Zawsze to wiedziałam!

Stała przed nim jak wyrzeźbiona w kararyjskim marmurze Afrodyta z ilustracji w angielskiej encyklopedii, na którą -wstydił się przyznać nawet przed sobą - nie mógł się kiedyś napatrzeć. Jej nagość podkreślała urodę. Ciało było gładkie, młodzieńcze, skóra barwy jasnego aksamitu. Oczy patrzyły z gotowością. Odstawił filiżanki z herbatą nie odrywając od niej wzroku. Bał się, że obraz jest tylko fantomem wyobraźni i zniknie równie nagle jak się pojawił.

-Nie ma nic cudowniejszego od widoku nagiej kobiety! - myśl była poza kontrolą - Pięknej kobiety! - następna była jeszcze bardziej grzeszna - Mojej kobiety! Czy naprawdę mojej? - ta była natrętna, ale ulotna i niepewna.

Wtedy stało się coś, co zmieniło jego życie. Może tak miało być? A może stało się samo, jak każdy zbieg okoliczności? Mai zrobiła krok naprzód i przywarła do niego. Poczul dreszcz poruszenia. Wiedział, że ta

ekscytacja jest grzeszna, strasznie grzeszna, ale zupełnie inna od tej, którą przeżył w apartamentach cesarzowej wdowy. Tamto podniecenie było też nagłe, ale pojawiło się obok niego, właściwie bez jego uczestnictwa. Było niespodziewanie ogromne, ale obrzydliwe i obślizgłe. Cieszyło ciało, ale głęboko raniło duszę. To, było zupełnie inne. Rozlewało się przyjemnym mrowieniem po nim całym, rozdając je jednak nierówno. Największa porcja tkliwości opanowała lewą stronę piersi. Wokół coraz szybciej bijącego serca czuł coś, czego nie mógł określić - coś na kształt tęsknoty za dokonaniem bezgranicznie altruistycznego czynu. Nie! To nie był altruizm! Dotyczył przecież tylko jednej osoby, tego wtulającego się weń ciała kobiety. Część pulsującej błogości spływała gdzieś do podbrzusza. Poczuł, że jest na granicy rozsądku i szaleństwa. Ćwiczona latami samokontrola, zapadła się w głąb, jakby odkryła czarną dziurę. Czuł się jak samotna kometa na rozgwieżdżonym niebie i zupełnie nie wiedział, co powinien uczynić.

Rozwiązanie przyszło samo. Czy Mai wyczuła jego niepewność? Nie robił tego nigdy w życiu. A może i jej było spieszo do niego? Poczuł jej ciepłą dłoń, wędrującą w dół. Zatrzymała się w bezruchu. Krew uderzyła mu do głowy.

- Nie wytrzymam! - pomyślał.
- Chodź do mnie! - wyszeptwała.

Nie wiedział jak to się stało, ale był w niej i pragnął pozostać tam na zawsze! Czuł się jak ptak szybujący w przestworzach. Leciał, bo chciał! Wolniej nad górami. Szybciej nad jeziorami. Z wysokości drwił z pustyń i stepów. Leciał coraz wyżej i wyżej! Zdawało mu się, że wypada poza orbitę Ziemi. Nie czuł strachu przed bezmiarem przestrzeni. Czy to już

Droga Mleczna? Nagle - spadanie. Konwulsyjne - raz, dwa, trzy... siedem. Ekstazy, ale bezbronnie. Chwila ciemności w otwartych oczach. Nie czuł przestrzeni, ale i nie czuł spadania. Doznawał dokonania. I smaku przeznaczenia...

Drżał cały, ale pragnął, aby ta chwila trwała wiecznie. Bał się, że najmniejszy ruch spłoszy doznanie i wyjdzie na jaw, że wszystko było tylko snem. To byłoby najgorsze! To nie może być snem! Ostrożnie otworzył oczy. Sen trwał! Mai stała wtulona w jego ramiona. Zielona herbata stygła w porcelanowych naczyniach. Ze środka pomieszczenia mógł policzyć wszystkie cztery ściany kajuty. Nic się nie zmieniło.

- A więc to nie sen? - Dalej nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

- Było cudownie!

Szept zapachniał płatkami orchidei i szczyptą imbiru. Jej oddech był jeszcze pospieszny, tak jakby wracała z tego samego, co on, lotu. Trzymał ją w ramionach, jakby obawiał się, że kruche ciało nie wytrzyma ciśnienia powietrza. Jego tkliwość trwała, ale już w innej formie. Czuł, że jest odpowiedzialny za jej drżenie, ale wyczuwał też miękkość odwrotu.

-Szkoda! - pomyślał - Szkoda, że istnieje czas! - Bez niego czułbym się bezpieczniej.

Przez nagie ramię Mai widział okrągłe okienko kajuty, a za nim bezmiar oceanu. Groźne, bure fale, przewalały się na horyzoncie. Daleko, na wschodzie wstawał nowy dzień. W oknie kajuty migotało.

- Piana wysokiej fali? - myśl pracowała leniwie. - Nie, to była twarz człowieka!

- Heine? - Aywan nie dowierzał własnym oczom. - Skąd tam się wziął ten stary kobieciarz?
- Niech sobie chwilkę popatrzy! - myśli snuły się niechętnie - Ostatecznie, coś mu się należy. Ma przecież w tym swój udział - zwolna powracał do równowagi.
- Ależ Heine nie ma chińskiej brody i warkocza! To nie Heine!

Ze zgrozą pomyślał, że obsługa statku zrobiła sobie za oknem kajuty punkt obserwacyjny. Wyostrzył wzrok. To nie był Heine! Przysięgłby, że przez chwilę do okna kabiny przywarła twarz mistrza Fu Songmu! To jakiś omam! - Aywan aż drgnął z zaskoczenia. Mai przeszył dreszcz chłodu i narzuciła na siebie kimono. Twarz mistrza Fu zniknęła, rozmazując się w kroplach fal rozbryzgujących się na szybie w drobną mgłę. Przez chwilę widział jeszcze jego triumfalny uśmiech i gest dłoni ze sztywno podniesionym w górę kciukiem. Gest podziwu, aprobaty i satysfakcji z dobrze wykonanego zadania.

2n

3.

Teraz podróż rzeczywiście stała się czymś w rodzaju miodowego miesiąca. Z wyjątkiem długich postojów - w malajskim Singapurze i birmańskim Rangunie - praktycznie nie opuszczali kabiny. Byli tak zajęci sobą, że czas przestał dla nich istnieć, przemieniając się w serię seansów, które dla Ay-wana stanowiły ciągle ponawianą drogę w nieznaną. Wspinały się w nieznaną!

Zaczynało się zawsze od sceny, której oczekiwał, ale która była też dla niego niezmiernie fascynującą niespodzianką. Mai wchodziła do łazienki

ubrana w swoje kimono z czasów dynastii Tang. Aywan zastygał w oczekiwaniu. Wychodziła, ale już bez kimona. Naga, bez rąbka odzieży. Włosy miała rozpuszczone do ramion, czasem spięte wysoko w kok eksponujący drobne rysy dziewczęcej twarzy. Pozbywała się na ten czas nie tylko jakiegokolwiek bielizny, ale i biżuterii z nadgarstków i szyi. Z pozoru nie zauważała jego obecności zajmując się 'na niby' różnymi czynnościami. A to długo poprawiała zasłonki w okrągłym oknie kabiny, wyciągając się na całą długość ciała i prężąc jak rozmarzona kotka. A to przechodziła, udając, że nie zwraca nań najmniejszej uwagi, tak by mógł delektować się wklęsłością jej brzucha z gwiaździstym punkcikiem pępka i ciemnowłosego zwieńczenia ud. A to pochylała się, imitując poszukiwanie zguby i wystawiając się na jego chciwe spojrzenia. Doznawał przy tym tak wielkiego pobudzenia, że miłosny szal zalewał mu pole widzenia. Potem zawsze następowało gwałtowne zbliżenie. Nie oszczędzili żadnego mebla i żadnego pomieszczenia. Bywało, że nocą, gdy statek spał, wymykali się na górny pokład i gwałtowne, żarliwe zbliżenie odbywało się na oczach wiecznie czujnego, groźnie falującego, oceanu. Potem, przemykali z powrotem do kabiny, zakładając się czy napotkają zbłąkanego pasażera!

Miłosne przerwy były krótkie i zdarzały się tylko wtedy, gdy opuszczali statek. Były dwie przerwy w podróży - w Singapurze i Rangunie. Reszta, to ich wspólny, wspaniały, rozpasany czas. Odległość z Szanghaju do Singapuru, to ponad tysiąc pięćset mil morskich. Na pokonanie tej odległości parowiec potrzebował siedmiu dni. Aywan wiedział, że tego tygodnia nie zapomni do końca życia.

Pierwszym portem był Singapur. Jeśli o Indiach można było mówić, że są perłą Korony Brytyjskiej, to Singapur był klejnotem mórz i oceanów. Położony na południowym krańcu Półwyspu Malajskiego kontrolował ruch w cieśninie oddzielającej go od Sumatry - największej z wysp Indonezji. Na wyspie Sentosa, wcinającej się w głąb morza, Anglicy zbudowali fort zwany Silosa i wielką wojenną bazę morską. Dalekonośne działa, ustawione rzędem wzdłuż obwałowania, miały w swoim zasięgu wszystkie statki zmierzające do Chin, Japonii, na Filipiny i do Korei.

Singapur był miastem-portem i aglomeracją żyjącą z obsługi bazy morskiej i doku remontowego. Statki zatrzymywały się w porcie dla obsługi technicznej, uzupełnienia węgla, zapasów wody i żywności. Kiedyś był miastem czysto malajskim. Według legendy, potężny król sąsiedniej Sumatry, odwiedził wyspę, szukając schronienia przed nadciągającą burzą. Wtedy napotkał lwa. Potraktował to jako wróżbę i założył Singha-puur, czyli Miasto Lwa.

Teraz, Singapur już dawno nie był malajski. W 1819 roku wyspę kupili Anglicy i otrzymali prawo budowy portu. Malaje byli leniwymi pracownikami, ściągano więc na miejsce Chińczyków i Hindusów, ale przede wszystkim Chińczyków. Aywan był ciekaw jak wygląda chińskie miasto, które nigdy nie było częścią Chin, odcięte od nich tysiącem mil Półwyspu Indochińskiego.

Singapur był ludzkim tygłem. Chińczycy, to wyznawcy buddyzmu, Malajowie - islamu, Tamilowie - hinduizmu, a przybysze z Europy budowali chrześcijańskie kościoły.

Wzięli riksę do centrum. Nie było zbyt odległe od portu, ale - gdyby nie tropikalny klimat i roślinność - sprawiałoby wrażenie jakiegoś sennego

angielskiego miasta. Główna ulica - Victoria Street prezentowała najlepsze wzory wiktoriańskiej architektury.

Aywan miał teraz czas na refleksję. Poczucie winy było podwójne. Po pierwsze, zawiódł Younghusbanda, który powierzył mu córkę. Nie potrafił usprawiedliwić tego, że on - w mniemaniu ojca Mai - mnich, czyli człowiek odporny na pokusy ciała, okazał się nie tylko miękki, ale i szalony. Przy czym zdrada ojcowskiego zaufania nie bolała tak jak powinna. Skutecznie zagłuszało ją wspomnienie chwil, które zapamiętał. Obawiał się też kolejnej medytacji. Miał w oczach wykrzywioną złośliwością twarz Jadeitowego. Nie lubił go, ale wiedział, że tym razem nie będzie to czcze gadanie i że Jade-itowy posiadał argumenty, którymi może go zagnać do narożnika. Nic to, powtarzał sobie, nic to! - Umartwienie, które mnie czeka, będzie po prostu bardziej intensywne.

Czuł potrzebę modlitwy, ale nie mógł tego wyjaśnić Mai. Był pewien, że niczego nie zrozumie, a sytuacja się zawikła. Mai była radośnie uśmiechnięta, dziewczęca i rozkoszna w swej młodzieńczej świeżości. Nigdy, za nic w świecie, nie chciał jej stracić! Czuł straszliwy ciężar - był szczęśliwie zakochany, ale i nieszczęśliwie zabłąkany. Potrzebował modlitwy.

W Świątyni Tysiąca Świateł w dzielnicy *Li Ule India* -Oświecony z rodu Śakyów siedział na ołtarzu w pozycji lotosu, był cały pozłacany i miał dwa metry wysokości. Aywan nie odczuwał świętości miejsca. Dziwiło go, że świątynia znajduje się w indyjskiej dzielnicy miasta. Hinduiści już tysiąc lat temu zdradzili buddyzm i powrócili do swoich - pogańskich w jego mniemaniu - praktyk. Nie mógł się skupić do medytacji. Mai była obok niego, trzymała go za rękę, ciekawie spoglądając na pozłacany

posąg.

- Może ze względu na jej obecność posąg jest jakiś martwy? - pomyślał.

Rzeźba była inna, niż Jadeitowy. Chociaż nie kamienna, ale pozłacana, jak nakazuje kanon, też wskazywała na chińskie pochodzenie figury. To nie dziwiło - Singapur był już dawno chińskim miastem. Lekko wzdęty, tłusty brzuch, dotykał ud siedzącej postaci. Szeroki uśmiech mięsistych ust i długie konchy małżowin uszu sięgały ramion. Budda wydawał się nie zwracać na nich żadnej uwagi. Aywan nie miał uwagi do chińskiego wizerunku Oświeconego i nie czuł atmosfery skupienia. Nie składało mu się do medytacji.

Nagle coś się zmieniło. Odniósł wrażenie, że posąg patrzy na Mai z jakimś rodzajem pożądania. Poczuł przyływ gwałtownego uczucia, które inny mężczyzna nazwałby zazdrością, ale Aywan tego uczucia nie znał. Wydawało mu się, że ten chiński Budda patrzy na nią tak, jak patrzy na kobietę mężczyzna o brudnych myślach. Mai miała na sobie skromny strój. Obcisłe bawełniane *sari*, to typowy ubiór kobiecy noszony w Indiach. Długi, kilkumetrowy pas materii, którego połowa, drapowana w tali, zakrywała nogi, a druga, przerzucona przez ramię, przykrywała dziewczęce piersi. Nic nieskromnego i nic wyzywającego. A jednak było w jej ruchach coś subtelnie erotycznego, coś, co spowodowało, że poczuł niespodziewany przyływ podniecenia i gwałtowną chęć zbliżenia. W modlitewnej sali nie było nikogo. Mai stała zwrócona przodem do posągu, zamysłona i troszkę roztargniona. Oddychała szybko. Przez chwilę stała się nieobecna. Wpatrzona w wizerunek Oświeconego, rozchyliła wargi i zwilżyła je koniuszkiem języka. Aywan czuł narastające uczucie wściekłości. Był naprawdę zazdrosny. Wiedział, że Oświecony był w młodości

perwersyjnym rozpustnikiem. Znana była opowieść o tym, że zanim opuścił dom rodzinny by zostać pustelnikiem, potrafił w ciągu jednej nocy pojąć pięć młodych konkubin. Wcale mu nie dowierzał. I miał rację! Wydało mu się, że obok posągu wyrosła w niebo *linga* - hinduistyczny, falliczny symbol boga Siwy, oddający męski aspekt boskiej energii kreatywnej.

- Skąd w buddyjskiej świątyni hinduistyczny symbol płodności? - złościł się w myślach - Toż to zbezczeszczenie sanktuarium!

Jeśli taki symbol płodności się pojawiał - wiedział o tym ze świętych pism hinduistycznych z biblioteki Drapungu - to zawsze w sąsiedztwie *pni* - wyobrażenia żeńskiego łona, przedstawianego jako rozchylony oczekiwaniem pęk czerwonej orchidei - i dopiero razem, te dwa symbole stanowiły komplet oddający rozrodczy, kreatywny aspekt *dharmy*. Ale tutaj - rozejrzył się dokładnie - przedstawienia *joni* nie było. Obok postaci Buddy, a właściwie tuż przed nim, wystawała tylko *linga*, kamienny wizerunek męskiego fallusa. Była ogromna - sięgała piersi Oświeconego.

- Zaraz! - przeraził się Dywan.

Linga nie znajdowała się obok posągu! Wyrastała między jego udami, nadając mu bardziej wygląd greckiego satyra w obscenicznym obrazie pożądlivej pogoni za nimfą, aniżeli proroka godnego modlitwy.

- Jeśli nie ma tu *joni* - myślał gorączkowo - to jedynym żeńskim elementem w świątyni jest sama Mai! A to świnia! - Aywan patrzył na Sakyamuniego z wściekłą zazdrością. - Nie oddam ci jej na pewno! - wykrzyknął tak głośno, że Mai aż drgnęła, ale nie zrobiła żadnego innego ruchu.

Zrobił półobrót, przywarł do niej, zasłaniając przed pożądlivością emanującą - jak mu się wydawało - z oczu rzeźbionej postaci. Mai oddała mu ruch całą sprężystością ciała. Znowu, jak za pierwszym razem, poczuł jej dłoń. Znowu przyplęnęło gwałtownie podniecenie. Wydawało mu się, że zamieniają się z Sakyamunim miejscami i to z niego wyrasta wielka *linga*.

- Przecież kamień jest zimny! - pomyślał. - Jego *linga* była gorąca i pełna męskiego oddania.

- Zrób to teraz! - bardziej poczuł niż usłyszał, szeptał Mai.

I zrobił! W świątyni, przed frontem połączanego Buddy! Zrobił to bez chwili zastanowienia. Czuł ogromne, nieznane mu dotąd, uniesienie. Wydawało mu się, że sam staje się Buddą, że wciela się w kamienny posąg Sakyamuniego, że nie tylko unosi ją w ramiona, nie tylko wypełnia częścią swojego ciała, ale całym sobą. Przemknęło mu, że może jest nie tylko jednostkowym osobowym bytem, ale wielką, symboliczną, *lingą*, a Mai przyjmuje go do siebie całego, ogromnego, jak piękne, dziewczęce uosobienie *joni*. I stało się! Kilka uderzeń pulsu w tylnej części głowy przywróciło go rzeczywistości. Wyczuł, że lewą ręką wspiera się o przedmiot, który - jak on sam - tętni gorącą krwią nadającą sens nowemu życiu. Otrzeźwiało. Dłoń wspierała się o kamienną *lingę* posągu. Czuł jeszcze jej słabnące drgania i ostry zapach męskiego nasienia. Ten zapach przychodził jakoś z zewnątrz!

- To on to zrobił, czy ja? - Aywan już nie był zazdrosny, tylko bezgranicznie ciekawy - Czyżby Sakyamuni wykorzystał mnie jako medium? - wydawało mu się to nie do wiary -A jeśli tak, to w jakim celu? Kto właściwie był w niej? On czy ja?

- Jeśli z tego będzie dziecko - w głowie zaległa się zupełnie idiotyczna myśl - to będzie moje, jego, czy *dharmy*?
- Dziecko? Czy z tego może być dziecko? - pomimo szaleństwa, jakie przeżywał, nigdy wcześniej nie pomyślał, że to wszystko może mieć jakiś związek z kreacją nowego życia.

Mai drżała. Jej dłonie, zaplecione wokół jego pleców, były jeszcze gorące, jak zawsze w chwili zbliżenia. Nagle, uczucie zazdrości powróciło. Pomyślał, że za jego plecami Mai obejmuje swym gorącym również i kamienną *lingę* Śakyamuniego. Wyszarpnął się z jej objęć i odwrócił ze złością. Oświecony, jakby nic się nie stało, siedział w połączonym bezruchu z kamiennym wyrazem twarzy. Jego pozycja była zgodna z kanonem. Sztywno wyprostowany, patrzył nieruchomym wzrokiem skierowanym w nieskończoność. *Lingi* nie było. Aywan pomyślał, że szok spowodowany kolejnym występkiem zaćmiewa mu widzenie. Ale miał też wrażenie, że Sakyamuni przesłał Mai porozumiewawczy uśmiech. Poprawiała jeszcze kolorowe *sari*, które przez chwilę odkrywało jej nagość. Zobaczył, że jej usta rozchyliły się lekko, koniuszkiem języka zwilżyła wargi, a przez wzrok przemknęło coś, co pojawia się u kobiet potem - połączenie podziwu i podziękowania. Ten wzrok, na ten jeden moment, skierowany był na Śakyamuniego, a nie na Aywana. Znowu poczuł tępe ukłucie zazdrości.

4.

Rangun znajduje się w połowie morskiej drogi z Singapuru do Kalkuty. Ta część podróży stała się dla Aywana ilustracją mgnienia ludzkiego życia. Miłosny szal, jaki opanował go od pamiętnej nocy z Mai, nie wygasł.

Jednak, kiedy statek znowu zadrżał od puszczonej w ruch maszyn i wypłynął, najpierw w cieśninę, a potem w pełne morze, dało o sobie znać uczucie przemijania. Właściwie wszystko było to samo. Ta sama komfortowa kajuta, ta sama kobieta i te same szalone seanse. Czuł się jednak inaczej, niż w pierwszej części podróży. Wtedy nie myślał o jej końcu. Zachowywał się jak młodzieniec, dla którego śmierć, to jakaś zupełnie nierealna przygoda z odległą na wieczność nocą. Wydawało mu się wtedy, na początku, że wkroczył w nieskończoność. Kiedy parowiec płynął na północ, wzdłuż Cieśniny Malakka, a z nim przesuwwały się odległe krajobrazy, ludne miasta i porty, tropikalne puszcze i mangrowe lasy, poczuł istnienie czasu i jego przemijanie. Bezwzględne, nieodwracalne przemijanie, jak ziarnka piasku uciekające z odwróconej klepsydry. Teraz wiedział, że koniec szaleństwa jest bliski. Jeszcze tylko postój w Rangunie i znajdą się w Kalkucie. A potem, kilka dni podróży lądem i Mai osiągnie cel - Dardżiling na granicy księstwa Sikkim. A on? Co będzie z nim? Z Dardżiling widać szczyty Himalajów! Po drugiej stronie wielkich gór jest Tybet, a w nim - Lhasa, cel jego podróży. Pytanie: co dalej? - nie dawało mu spokoju ani na chwilę.

Rangun przywitał pasażerów niezwykłym widokiem. Na zbliżający się parowiec spoglądała z góry olbrzymia *stupa* -buddyjski relikwiarz, kryjący w swym wnętrzu szczątki starożytnych buddów i osiem włosów samego Buddy Śakyamu-niego. Stupę zbudowano dwa i pół tysiąca lat temu i zwieńczono złotą kulą w kształcie wielkiego oka. Relikwiarz wyrasta z samego centrum kompleksu ponad osiemdziesięciu budynków różnego przeznaczenia, zwanego *Shwedagon Paya*. Wygląda inaczej o każdej porze

dnia. Statek wchodził do portu o świcie. Padające ukośnie promienie słońca odbijały się w złocie zwieńczenia jak w swojej własnej replice. Podobno w XV wieku królowa Shinsawbu ofiarowała na pokrycie dachów budowli tyle złota, ile sama ważyła, a jej zięć cztery razy tyle, co ważył on sam i jego żona. Dla sąsiadów Birmy nie była to dobra nowina - złoto pochodziło zwykle z napadów na ich miasta i rabunku mienia mieszkańców.

Rangun, to duże, gwarne miasto, stolica brytyjskiej Birmy i jej okno na świat. Anglicy podbili Birmę później, niż resztę subkontynentu i dopiero w latach sześćdziesiątych XIX stulecia włączyli do Indii Brytyjskich, w które się nigdy nie wtopiła, pozostając inna. Miasto nie leży nad samym morzem, ale w delcie Irawadi, wielkiej rzeki, spływającej, jak połowa rzek Azji, ze śnieżnych gór Tybetu i Himalajów. Postój w porcie miał trwać kilka dni. Znowu - wymiana pasażerów, ładowanie i wyładowywanie towarów, hałas, ruch, krzyki. Postanowili te kilka dni spędzić w mieście i wrócić na statek dopiero w przeddzień opuszczenia portu. Wynajęli przestronny pokój w hoteliku o romantycznej nazwie Beauty Land, położonym w samym centrum kolonialnej części miasta. Do pokoju prowadził ich boy w śnieżnobiałej, nakrochmalonej koszuli, dramatycznie kontrastującej z jego ciemną twarzą, dowodzącą tamilskiego pochodzenia. Tamilowie z Indii mieli w Rangunie odrębną dzielnicę. Anglicy chętnie sprowadzali do pracy Indusów z południa, nawykłych do tropikalnego, monsunowego klimatu. W pełni sezonu deszczowego, ulewy przynosiły tak wielkie strugi ciepłej wody, że pozostawanie na zewnątrz, dawało uczucie kąpieli w kaskadzie spadającego wodospadu. Jak uszczypliwie wierszowali miejscowi - „w

południe po ulicy, chodzą tylko psy i Anglicy!" Mieszkańcy Rangun wiedzili, że deszczowa nawała, tak jak nagle się pojawiała, równie nagle odchodziła, aby przyjść następnego dnia o tej samej porze i o tej samej porze, grmiąc groźnie piorunami, oddalić się ku wieczorowi.

Z hotelowego okna ranguńskie ranki wyglądały co dzień tak samo. Na ulicy pojawiały się drewniane wózki o kołach przewyższających sam pojazd, zaprzężone w bawoły i powożone przez woźniców ubranych w *hnngyi* - rodzaj długiej spódnicy, zszywanej po bokach i podtrzymywanej na brzuchu ozdobnym węzłem. Miasto przekształcało się w wielką herbarciarnię, smaźalnię i gwarny, ruchliwy, kram. Kobiety zachwalały sprzedawane owoce, mężczyźni pili herbatę - czarną i mocną, parzoną na sposób angielski, albo chińską - zieloną.

Birmańczycy, to dziwny naród. Wyznają buddyzm odmiany *themwada*, którego religijne centrum znajduje się na Cejlonie. Tam zgromadzone są najświętsze księgi, spisane w języku *pali*. Stamtąd pochodzi kanon buddyjskiej architektury. Sami mówią językiem zbliżonym do tybetańskiego, *bo* też z Tybetu przyszedli półtora tysiąca lat temu. A właściwie/ nie przyszedli, tylko spłynęli w dół Irawadi, znacząc pagodami o złożonych dachach i zdobionymi klejnotami szczytami stup, trasę swojego przejścia. Zatrzymał ich dopiero Rangun, rozłożony w delcie rzeki, strzeżonej przez złocistą kopułę Shwedagan Paya. Dalej pójść nie mogli. Birmańczycy nie są ludem morza, ale jest w tym narodzie jakaś sprzeczność. Łagodny i pobożny, staje się nagle wojowniczy i agresywny, łatwo akceptujący przemoc. Aywan nie mógł zrozumieć, w jaki sposób można w imię Oświeconego zabijać innych ludzi i rabować sąsiadów po to tylko, by zdobyć wotywny dary dla

buddyjskich świątyń. Birmańczycy doczekali się miana Prusaków Azji Południowo-Wschodniej. Ayuttaję - stolicę sąsiedniego Królestwa Tajów, usiłowali zdobyć wielokrotnie. Udało im się to w latach sześćdziesiątych XVIII stulecia. Z milionowej stolicy wielkiego państwa kupieckiego narodu Tajów, nie pozostał kamień na kamieniu. Ludność wyrżnięto, \ub uprowadzono w niewolę. Po tej tragedii nowy król rozkazał Tajom przenieść się w dół rzeki Menam i tak powstał Bangkok - Wenecja Wschodu. Ale wrogość pozostała do dzisiaj. 1 pytanie o sens wiary, która - niosąc przesłanie *ahinsy* - nie krzywdzenia - godziła się tutaj na tak wielką skalę przemocy, na śmierć i nieszczęście ludzi.

Birma wygląda jak kraj mnichów i do pewnego stopnia nim jest. Jednak wrażenie jest mylące. Mnichem jest każdy mężczyzna i wiele kobiet, ale tylko przez krótki okres życia. Pojęcie 'mnich' jest w krajach południowej Azji czymś innym niż w chrześcijaństwie, gdzie oznacza przyjęcie surowej zakonnej reguły, pustelnicze życie i wyrzeczenie się ziemskich rozkoszy. Mnich tybetański jest także inny od birmańskiego. Reguła jego klasztoru jest surowa, ale dopiero po wyższym wtajemniczeniu wkracza w świat odosobnienia, modlitwy, studiów i pracy nad sobą, przygotowującej do przejścia na drugą stronę. Mnich chrześcijański symbolizuje umartwienie, tybetański - mądrość życia. Mnich szkoły południowej - *therawada* - jest jak młodzieniec na obozie harcerskim. Musi to przejść, aby wiedzieć jak żyć zgodnie z zasadami buddyjskiej doktryny, ale potem - wraca do codziennego życia, które niczym nie różni się od życia innych ludzi. Tylko wybrani, zdecydowani pójść drogą świętości, zostają arhantami - kandydatami do złączenia się z kosmosem poprzez osiągnięcie nirwany - odejścia i uwolnienia od

pożądliwości tego świata. W Europie - klasztory, to miejsca odosobnienia, w Tybecie - ośrodki życia duchowego, nauki, ale i władzy. W Birmie, Tajlandii, Kambodży czy Laosie, są czymś w rodzaju miejsc powszechnej edukacji. Birmańska odmiana *therawady* wyrosła na obrzeżach wielkiej cywilizacji indyjskiej, gdzie lokalne kultury splotły się ze starożytną hinduską filozofią życia. Aywan zwrócił uwagę na to, że - tak jak w Tybecie podkładem dla lamaizmu był pierwotny, okrutny i szamanistyczny *bon* - tak tutaj, w Birmie, równie silny jest kult *nat*. Birmański *nat* - to dobry albo zły duch, który może mieszkać wszędzie, w zwierzętach, drzewach, a nawet w ludziach. W Birmie, ludzie dzielą możliwości opieki nad ich losem na te, zależne od Buddy i te, nad którymi panują *naty*. Do Buddy zwracają się z prośbami, dotyczącymi spraw życia przyszłego, ale życie doczesne uważają za domenę *natów*, którym należy się kult i ofiary.

Po doświadczeniu z Singapuru, Aywan nie kwapił się do modlitwy. Obawiał się, że jego pojawienie się w buddyjskiej świątyni z młodą kobietą, może znowu wywołać zjawiska, których nie będzie rozumiał. Powracające dialogi z wizerunkami Buddy przestały być już rodzajem sennej mary. Stawały się coraz bardziej realistyczne. Nie chciał przyznać, że jest o Mai piekielnie zazdrosny i nie da dotknąć jej nikomu, nawet samemu Oświeconemu. Ominęli wspaniałą *Suk Paya*, świątynną pagodę, wokół której toczyło się życie centrum Rangu-nu. Kopała budowli, znajdującej się w środku miasta, pokryta jest dwudziestocztokaratowym złotem i stanowi ważne centrum kultowe. Oprócz modlitwy i zapalenia rytualnego kadzidełka, można tam dokonać dobrego uczynku przez uwolnienie duszy zamkniętej w ciele wróbla, kupionego od kręcących się sprzedawców. Buddyści i hinduiści wierzą w reinkarnację. Każde życie, to

kontynuacja czyjegoś życia w przeszłości. Wróbel, to - być może - lekkomyślny człowiek z poprzedniego życia. Jego uwolnienie jest zasługą, tak jakby uwolniło się z niewoli człowieka. Mai podrzuciła w górę wykupionego z niewoli ptaszka radosnym ruchem żyjącej pełną pierśią młodej istoty. Aywan pomyślał z zazdrością o jej odruchowym poczuciu wolności i przeznaczenia, którego on sam musiał mozolnie uczyć się ze świętych ksiąg. Przycisnął ją do siebie, jakby w obawie, by nie odleciała razem z ptakiem. Szli, objęci, wąską uliczką prowadzącą do dzielnicy hinduskiej.

Rangun obfituje w świątynie. Obok buddyjskich pagód, stoją muzułmańskie meczety, chrześcijańskie kościoły, jest nawet żydowska synagoga. Szczerze mówiąc, gdy zebrał w myślach wszystkie wydarzenia - od pierwszego medytacyjnego kontaktu z Mandziuśrim, do niedawnego dziwnego przeżycia w singapurskiej świątyni - układało mu się to wszystko w łańcuch wydarzeń, nad którym - jak mu się wydawało - nie panuje.

- Może kieruje mną przeznaczenie? - myślał. - Co to właściwie jest przeznaczenie? - znał definicję przeznaczenia jako *fatum* - ślepego losu, którego wyroki wszyscy ludzie mają mieć zapisane w księgach życia i śmierci. Ani w Tybecie, ani w Indiach nie tak się rozumie przeznaczenie.
- Co to jest przeznaczenie? - wyrzekł głośno swoją wątpliwość.
- Przeznaczenie? - powiedziała raźnie Mai - To honor bycia wybranym!
- Wybranym? - Awyan był serdecznie zdziwiony takim postawieniem sprawy.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Nigdy nie przypuszczał, że w tej

młodej dziewczynie może istnieć coś, ponad piękno fizyczne zdolne wytrącić z raz obranej drogi uczonego mnicha.

-Tak! - Mówiła to lekko i trochę beznamiętnie - Ludzie są megalomańscy, sądząc, że Przeznaczenie interesuje się każdym z nich. Przeciwnie, ono ma czas tylko dla wybranych.

Pomyślał, że to dobry argument. To by wyjaśniało, dlaczego większość ludzi na świecie czuje się zagubionych, żeby nie powiedzieć - niedopieszczonych przez los. Bo, 'Nikt', czy 'Mc' się nimi nie interesuje. Czują się opuszczeni, bo 'To' nie ma dla nich czasu. Musi się zająć przypadkami ważnymi, a nie każdym z osobna.

- Wiesz - powiedziała - myślę, że oboje jesteście przykładem ludzi, o których los zadbał. Ja zawsze wiedziałam, że ty, to ty! Nigdy nie miałam wątpliwości. A może - zamyśliła się -to nie ja nie miałam tych wątpliwości, tylko 'To' zdecydowało za mnie?
- To, co nazywasz 'To', to *dharmal*, nauka Buddy o odwiecznym prawie życia - obudził się w nim buddyjski nauczyciel.
- Dobrze, niech będzie *dharmal* - roześmiała się radośnie -Skoro jest jakieś prawo, które działa na pewnych zasadach, to działa w ramach swojego mechanizmu i nikt nie musi przyszłych zdarzeń zapisywać w księgach, ani dbać o pojedyncze żywoty. Wystarczy przecież - spojrzała na niego z ukosa -zadbać o los tych, którzy są ważną jego częścią.
- Jakiego mechanizmu? - Aywan nie posiadał się ze zdumienia.
- Mechanizmu tej *dharmy* - roześmiała się znowu - Przecież sam o niej mówiłeś!

- W kraju, z którego pochodzę, w Tybecie - zaczął ostrożnie - uważa się, że o ludzi dbają bodhisattwowie, czyli ci, którzy odmówili sobie nirwany - zjednoczenia z *dharmą*, by opiekować się tymi, którzy pozostali.
- A ilu ich jest? No, tych, tam - bodhisattwów?
- Tego nikt nie wie!
- Ale setki, tysiące, dziesiątki tysięcy? - dopytywała się dziewczyna.
- Cóż to ma za znaczenie? - uniósł się Aywan.
- Ma, oczywiście, ma! - upierała się Mai - Jeśli jest ich nawet i sto tysięcy, to na miliard ludzi na ziemi ich nie wystarczy. Wypada, zaraz, zaraz... - zamilkła i szybko liczyła - jeden bodhisattwa na sto tysięcy, jak on może zapanować nad losami tak wielkiej masy ludzkich żywotów?

Aywan stracił dobry humor. Ostatecznie, to on był uczonym, a nie ta smarkata.

- A może - zrodziła się nagła myśl - Mai jest *dakinią* - żeńskim uosobieniem oświeconej energii? - To by wiele wyjaśniało. Odrzucił myśl jako nedorzeczną. A może poczuł zazdrość? W każdym człowieku drzemie sześć negatywnych emocji: *gniew, chciwość, niewiedza, pożądanie, zazdrość i duma*. - Nie! W stosunku do niej - starał się być uczciwy - to tylko urażona męska duma uczonego *laram geshe*.
- Istnieje specjalne wyobrażenie Buddy, zwanego Awaloki-teśwara, który ma tysiąc rąk, a w każdej dłoni oko - Aywan chciał przejąć inicjatywę w rozmowie, która zdążyła już przekształcić się w dyskusję

- i ma to symbolizować jego opiekuńczą naturę w stosunku do zwykłych ludzi.

•Czy to rzeźba? - spytała Mai.

•Tak, zwykle to rzeźba, albo *tangka* - jedwabna makata wyszywana na wzór malowidła - zaskoczyła go konkretność pytania.

•A ile rąk ma ta rzeźba naprawdę? - drążyła dalej.

•Cztery albo jedenaście! - odparł, widząc w tym oczywistość - Nie można wyrzeźbić tysiąca rąk, wyrastających z dwojga ramion. Nie zmieszczą się! - uciął krótko.

•Sam widzisz! - patrzyła na niego przekrzywiając głowę tak, jakby go przyłapała na głupstwie - Nawet przy rzeźbieniu przedstawicieli Losu, twórcy muszą dokonywać uproszczeń! A co dopiero, gdy ci bodhisattwowie stają przed obowiązkiem opieki nad setkami milionów, a nie nad tysiącem osób Muszą zajmować się tylko niektórymi!

•Awalokiteśwara jest jednak Tysiącoręki!

•Ale sam mówisz, że realnie rąk ma jedenaście! - Była śliczna w swym dziewczęcym uporze - Mnie to wygląda na symbolikę niemożności, ograniczoności Przeznaczenia, zupełnie niezdolnego do wpływania na losy miliarda ludzi jednocześnie!

-1 myślisz, że my właśnie należymy do tych niektórych? -dopytywał się Aywan - Do tych pod specjalną obserwacją?

-Tak właśnie myślę! - odpowiedziała spokojnie - Tak właśnie myślę! - powtórzyła z całkowitą pewnością i przywarła do niego jak wierny buddysta do Tysiącorękiego. Poczul się dumny ze swojej roli, ale też i niepewny, czy rzeczywiście jest w stanie otoczyć jej

życie właściwą opieką. Wiedział przecież, że nadejdzie czas rozstania i jego miłość oddali się o tysiąc mil. Co będzie wtedy? Czy pozostawiając ją własnemu losowi okaże się tchórzem? Czy może zostając z nią na zawsze jako starzejący się mąż i pan domu spełni żądania wyroczni? Był roztrzęsiony. Na żadne z tych pytań nie potrafił odpowiedzieć.

Nie zauważył nawet, że opuścili brytyjską dzielnicę kolonialną i znaleźli się w części zamieszkiwanej przez przybyszów z Indii. Zatrzymali się przed maleńką świątynią bogini Kali. Aywan, uznał, że Mai będzie bezpieczna, a on wolny od zazdrości o pożądlivość kamiennych postaci, jeśli gospodynią świątyni będzie bóstwo kobiece, a nie kolejny męski posąg z jego błyskiem rozpusty w oczach.

Bezzębny strażnik świątyni, chudy jak fakir Tamil, ruchem dłoni zapraszał do wnętrza. Pomieszczenie było nieduże, nie większe od hotelowego pokoju. Na jego środku, na kamiennym podwyższeniu, znajdowała się Sri Kali - Czarna Pani, wyglądem swym przypominająca wizerunek tybetańskiej górskiej diablicy, opiekunki Lhasy i - według legendy - matki całej ludzkości. W sanskrycie - słowo *kali* oznacza 'czarna' i świątynna rzeźba była emaliowana czarną farbą. Przedstawiała nagą kobietę - potwora. Z czerwonych ust zwisał długi, krwawy język mówiący o jej zmysłowej i wszechpochłaniającej naturze. Szyję zdobiła girlanda ze świeżo ściętych ludzkich głów. Prawa dłoń ścisnęła miecz, odcinający wątpliwości, a lewa trzymała za włosy ściętą głowę, co symbolizować miało brak przywiązania do własnego *ego* oraz zdolność pokonywania sił przeznaczenia.

W oświetlonym słabym, migotliwym światłem pomieszczeniu, młody bramin o urodzie efeba składał symboliczną ofiarę. Jego ciemna twarz

kontrastowała z bielą szaty. Białka wielkich oczu błyszczały nad rzędem śnieżnobiałych zębów, widocznych pod rozchylanymi modlitwą wargami. Wiernych nie było, jeśli nie liczyć smukłej, wysokiej tamilskiej dziewczyny, której czarny warkocz grubości ręki spływał w dół pleców. Dziewczyna miała na sobie obcisłe białe *sari*, tak obcisłe, że koniec splotu warkocza sprawiał wrażenie węża, usiłującego wcisnąć się w ciasną przestrzeń pomiędzy dwiema wypukłościami ciała, zaznaczonymi delikatnym napięciem materii. Aywan poczuł prawie niezauważalne, poruszenie w miejscu, które - jak mu się dotąd wydawało - było wyłączną domeną Mai. Ta, odruchowo zwróciła głowę w jego kierunku, jakby wyczuła zagrożenie. Miał na sobie przez chwilę jej wzrok, pełen wyrzutu. Czuł się winny i zawstydzony. Nie rozumiał samego siebie.

Bogini Kali jest przedstawiana jako niszcząca moc czasu i brama pomiędzy rzeczywistością zewnętrzną i wewnętrzną, zwykle naga, jak pierwotny umysł. Lewą dłoń układa w gest opieki usuwający wszelki lęk, a prawą wykonuje gest *mudry* spełniający życzenia. Do jej wrogów należą ci, którymi kieruje hipokryzja, zwątpienie, egoizm i zawiść. Przyjaciółmi są ci, którzy kochają i służą prawdzie. Chociaż powierzchowność Kali budzi przerażenie, jej wewnętrzna natura jest łagodna i współczująca. Jej miejsce w indyjskim panteonie wiąże się ze starodawnym kultem bogini matki, symbolem płodności. Jest utożsamiana z *Durgą*, poskromicielką demona *Mahiszy*, powstałą jako uosobienie mocy wszystkich bogów. Ten rodzaj kultu ma szczególne znaczenie dla hinduistycznych i tybetańskich kierunków tantrycznych, krytykowanych przez nurty ortodoksyjne za erotyczną symbolikę i sekretne rytuały. Tan-tryzm dopuszcza sakralny

seks, odbywany przez kapłanów w intencji bogini płodności, pod warunkiem, że jest on czynnością rzadką i podejmowaną w imię wyższych celów. Bogini Kali cieszy się niezwykłą popularnością w Bengalu i na pograniczu indyjsko-birmańskim, będąc przedmiotem żarliwej czci w tajemnych rytuałach i dziwnych formach kultu. Powiadają nawet, że rytualne 'msze' ku czci Czarnej Bogini, mają charakter orgii.

Bramin zakończył wykonywanie symbolicznych gestów ofiarnych nad ogniem płonącym na ołtarzu. Tamilska dziewczyna zrobiła kilka kroków w tył i znalazła się po lewej ręce Aywana. Czuł subtelny zapach jej ciała.

- To orchidea! - pomyślał. Za chwilę poczuł lekką woń imbiru.
- Przecież to zapach Mai, a nie tej kobiety! - oburzył się zazdrośnie.

Mai, wezwana gestem przez kapłana postąpiła kilka kroków do przodu i zajęła miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się tamilska piękność. Tamilka bez słowa zbliżyła swoją twarz do twarzy Aywana. Poczuł jej wargi i miał wrażenie, że jego usta znalazły się pod opieką wilgotnego koniuszka języka. Zdrętwiał w bezruchu. Wiedział, że powinien reagować, nie pozwalać, szarpać się i krzyczeć. Tymczasem nie robił nic, nawet nie zatrzymał oddechu dziewczyny. Miał niezrozumiałe poczucie konieczności.

- Teraz zostaniecie niebiańską parą, wyjątkowym mężem i uświęconą żoną! - usłyszał głos młodego kapłana - Będziecie nimi niezależnie od waszych osobnych losów! Teraz - kapłan nie mówił, ale recytował coś, co sprawiało wrażenie zaklęcia -nastąpi ostateczne wypełnienie waszego przeznaczenia! Jest nim wasze dziecko, którego potrzebują niebiosy. Nie będzie tym, kim ma być bez wsparcia bogini, której jestem narzędziem!

•Patrz i nie lękaj się! - kapłan zwrócił się do Aywana -Przez tę chwilę ja będę tobą, ty będziesz mną, a ta kobieta wejdzie z nami na ścieżkę przeznaczenia!

Kapłan pchnął Mai w kierunku zapalonych na podwyższeniu lampek. Oparła się o postać bogini, jej biodra znalazły się na ołtarzu. Z tyłu, z za jej pleców, wyłonił się język Kali. Wydawało się, że porusza się miarowo w umazanych krwią ustach. Ale nie! To kapłan poruszał się rytmicznie między szeroko rozłożonymi udami Mai. Wsparta łokciami na ołtarzu, z głową pochyloną na ramieniu w geście bezwładu, nie oddawała jego ruchów, ale półprzymknięte oczy zasłonięte były mgłą. Po chwili, miarowe ruchy bioder kapłana wywołały efekt - oczy Mai rozwarły się szeroko. Ciemnoniebieska przestrzeń tęczy zdominowała twarz z taką siłą, że przez źrenice patrzące donikąd można było dostrzec zarysy jej dziewczęcej duszy. Aywan sam poczuł spełnienie. Wargi tamilskiej dziewczyny odsunęły się od jego ust, a oczy Mai powracały do niego. Patrzyła nań z głębi rozmarzenia, nie zmieniając pozycji. Wydawało mu się, że zanim przykryła ciało delikatną materią sari - a zrobiła to ruchem mającym oznaczać spełnienie - przez moment dostrzegł dyskretną kroplę nasienia, wydobywającą się z ciasnej przestrzeni jej zaciśniętych ud.

Ołtarz bogini zniknął za mgłą świętego dyrfiu. Po chwili wyłonił się znowu, ale nie było na nim czarnej bogini z krwią poplamionym językiem. Jej miejsce zajmowała tybetańska *sGrol-ma*, 'zbawicielka', nazywana w sanskrycie Tarą - żeńskie bóstwo buddyjskie, bogini mądrości, dostrzegająca wszystkie cierpienia na świecie, występująca aż w dwudziestu jeden formach — wybawicielka od ośmiu nieszczęść, przynosząca zdrowie, spokój i dobrobyt. Zrodziła się z lotosów wyrosłych

z łez bodhisattwy Awalokiteśwary, lamentującego nad ludzkimi cierpieniami i obdarowała go mocą niezbędną dla kontynuowania dzieła wyzwolenia istot od cierpienia. Aywan poczuł na sobie jej łagodne spojrzenie, wyrażające coś, jak prośbę o wybaczenie tego, co stać się musiało. Miał wybaczyć? Miał uznać, że nic się nie stało? W chwilę później na ołtarzu za plecami Mai nie było już nikogo.

Chciało mu się krzyczeć! Mai patrzyła na niego z uwielbieniem, nie zmieniając pozycji ciała. Leniwie wsparta plecami o ołtarz czarnej bogini pozwalała, aby nogi, wciąż zwieszane bezwładnie z ołtarza, dotykały palcami posadzkę świątyni. Zamiast własnego krzyku słyszał coraz głośniejszy szept własnych ust, dołączający do nie wiadomo skąd wydobywającego się chóru głosów powtarzających mantrę Zielonej Bogini: *Om Tarę tutture tura solia! Om Tarę tuttare turę aoha! Om Tarę tuttare turę soha!*

- Kocham cię! - wyszeptała - Kocham cię bardzo! - powtórzyła namiętnie. Ale jej oczy były nieobecne. Wydawało się, że duszą przebywała gdzieś w niebie.

W dwa kroki była przy nim. Poczuł jej pełen wdzięczności, pocałunek. Znieruchomiała, przytulona całym ciałem, tak jak wtedy, gdy kapłan spełniał ofiarę nad ogniskiem bogini. Była taka sama jak przedtem, kochająca i wierna, jakby nic się przed chwilą nie wydarzyło. I chyba się nie wydarzyło. W świątyni nie było nikogo. Ogień, jak przedtem, płonął przed groźną rzeźbą czarnej bogini. Lampki migotały słabym blaskiem.

- Nic się nie stało? - Aywan znowu nie mógł odróżnić snu od jawy - Kolejny miraż? Znowu przywidzenie?

Stał pod ścianą świątyni w nagłym paraliżu bezruchu. Sztywny, ale zaspokojony. Tym razem nie miał uczucia zazdrości, czuł spełnienie i to chyba większe, bardziej dojmujące, niż kiedykolwiek przedtem. Kochał Mai bez zastrzeżeń, całą i ze wszystkim.

Mai drżała, a on znał to drżenie. Jeśli się nic nie stało, dlaczego czuł wyczerpanie spełnieniem? Nie rozumiał tego, ale już wiedział, że to nie on tworzy sytuacje, w których kochał się z Mai. Tworzyło je coś, co Mai nazwała - *'To'*. Kochał *'To'* z taką samą siłą jak kochał ją samą. Przygarnął ją do siebie. Wyszli ze świątyni w milczeniu. Tamilski strażnik uśmiechał się całą szerokością bezzębnych ust tak, jakby dokładnie wiedział, dlaczego ona jest zrumieniona i drżąca, a on spokojny o jej los. Aywan czuł, że Mai jest pod dobrą opieką. Lepszej być nie mogło. Była ulubienicą bogów.

Rozdział trzynasty. KALKUTA

1.

Wiosna 1911 roku była wyjątkowa. Zamiast gorącego powietrza dyszącego z głębi lądu, od strony Himalajów wiał świeży, górski wiatr. Świat kwitł wszystkimi barwami, jakby chciał dowieść, że ma jeszcze przed sobą miliony lat istnienia. Statek zbliżał się do Diamond Harbour - zewnętrznego portu Kalkuty, położonego u ujścia rzeki Hugla, oddalonego od samego miasta o trzydzieści mil. Aywan odczuwał smutek. Czuł nadchodzącą zmianę i właściwie wszystko o niej wiedział. Przyjdzie chwila prawdy, a potem nadejdzie rozstanie. Nie wiedział jak to się stanie i nie znał dnia wydarzenia, ale wiedział, że jest nieuniknione. Właściwie, nie powinno boleć. Nie mógł jednak pozbyć się uczucia smutku.

Sprawdzał się kanon nauki Buddy: pożądanie rodzi niespełnienie, prowadzące do cierpienia. Aywan cierpiał. Cierpiał zanim nadszedł dzień prawdziwego cierpienia. Co będzie potem? Postanowił nie poddawać się i oddalić pożądanie.

Mai zauważyła zmianę. Aywan zapadł się w siebie i nie reagował na jej dotyk i pieszczoty.

- Czy coś się stało? - spytała - Czymś cię uraziłam?
 - To nie twoja wina - odparł drewnianym głosem - to ja jestem wszystkiemu winien!
 - Ty, wszystkiemu? - zdziwiła się - To znaczy czemu?
 - Nie powinienem nigdy zacząć cię kochać! Ot, do czego nie powinienem dopuścić! - jego głos brzmiał jak wyrzut sumienia.
 - Ale, jeśli zacząłeś, to stało się! - Mai próbowała żartować.
 - Chcę ci coś wyznać! - Aywan był zdecydowany powiedzieć prawdę.
 - Czy to, że jesteś uczonym mnichem i wracasz do Tybetu, na służbę do Dalajlamy? - wcale nie wyglądała na zaskoczoną - Wiedziałam o tym od początku. Ojciec mnie uprzedził.
 - I cię nie przestrzegł?
 - Przed tobą, czy przed twoimi obowiązkami?
- Aywan milczał. Nie wiedział, co powiedzieć.
- Więc, co chcesz mi wyznać? - Mai nie pozwalała na niedopowiedzenie.
 - To, że cię kocham ponad wszystko! - wybuchnął - To, że tego nie rozumiem, bo moje życie polegało na wyrzeczeniach, prowadzących do spokojnej śmierci, a nie do szaleńczej miłości i zajęcia się dniem dzisiejszym! Odkąd cię znam, moja miłość jest ślepa, nie wiem, co z

sobą począć, chociaż tam - w Tybecie, czekają na mnie jak na zbawienie! Chcę ci wyznać, że nie wiem, co ze sobą zrobić! Po raz pierwszy w życiu!

- To wszystko przeze mnie, czy dla mnie? - spytała rezolutnie.
- Wszystko było dla ciebie, nic przez ciebie! - tego akurat Aywan był pewien.
- Ależ ja to wszystko wiem! - Mai nie była zdziwiona - Inaczej nie byłoby mnie z tobą, byłabym z kimś innym!
- Z kim? - wyrwało się Aywanowi - Chciał wypaść wielkodusznie, a zachował się jak zazdrosny mężczyzna,
- Z kim? - powtórzyła - Tego nie wiem, ale zapewne nie byłabym sama! Nie będę też sama w przyszłości, gdy odejdziesz! - dodała. Jej głos nie był - z jego punktu widzenia - ani wystarczająco smutny, ani też nie wskazywał na zagubienie.

Poczuł się zdezorientowany. Zabolalo go, że Mai o konieczności rozstania mówi z taką lekkością. Mężczyzna uważa swoją kobietę za własność, która powinna cierpieć i to cierpieć głęboko w obliczu utraty pana i właściciela. Powinna gotowie się do klasztoru lub skoczyć do oceanu, a nie dopuszczać jakieś inne rozwiązanie.

-Jeśli kocha naprawdę - pomyślał zazdrośnie - nie powinien rozważać innych możliwości poza mną!

- Wiesz! - Mai odgadła przyczynę jego wahania - Miłość, nawet tak wielka jak nasza, to nie tylko głębokie uczucie, ale i pewien kontrakt. Nasz kontrakt od początku miał swój epilog.
- Jak możesz? - wykrzyknął Aywan - Miłość i kontrakt, to dwa

przeciwne bieguny!

- Czyżby? - Powiedziała to tak, jakby postanowiła poddać go próbie - Co rozumiesz przez miłość? - pytała - Przez wielką miłość, taką jak nasza?
- Nasza miłość, bo nie znam przecież innej - zastanowił się Aywan - to wielkie zobowiązanie! Zobowiązanie na całe życie!
- Jak rozumiesz to zobowiązanie, skoro na resztę życia wybierasz się do swoich, do Lhasy, wypełniać zupełnie inne obowiązki?
- Tego właśnie nie potrafię pojąć! - Aywan mówił szczerze - Jednak inne wyjście wydaje mi się jeszcze bardziej podłe. W mojej sytuacji muszę kogoś zawieść - ciebie albo Tybet!

-1 wybierasz Tybet! - w głosie Mai brzmiała nutka sarkazmu.

- Gdybym wybrał inaczej - odrzekł sucho - musiałbym być innym człowiekiem, a przecież wybrałaś mnie, a nie innego. I to jest właśnie zasadzka, w którą wpadłem! - dorzucił gorzko.
- To prawda! - szepnęła - Oboje znaleźliśmy się w tej samej pułapce. Ja też sobie nie wyobrażam ciebie jako męża zajmującego się dziećmi i warzywnym ogródkiem!

Zapadła cisza. Aywan milczał w poczuciu winy i narastającej rozpacz. Kochał ją nie tylko jako kobietę, ale i jako człowieka. Była inteligentna, wrażliwa, myśląca i mądra.

- Czy wyobrażasz sobie mnie starą? - spytała nagle. - No wiesz, taką z pomarszczoną twarzą, obwisłymi piersiami, nieforemnym brzuchem?
- Ciebie starą? - była dla niego uosobieniem młodości, kobiecej ponętności. Uwodziła każdym ruchem ciała, każdym spojrzeniem. Jak

mógłby o niej myśleć w ten sposób?

- Nie, nigdy! - Kocham cię, jaką jesteś!

-A czy kochasz mnie też, jaką będę? A będę na pewno! -

dodała ze smutkiem, jakby przyszła starość zaciążyła jej już teraz.

Aywan był zbyt zaskoczony pytaniem, aby wymyślić zgrabną odpowiedź. Milczał.

-Czy wiesz, co to oznacza? - uśmiechnęła się Mai - No, to twoje milczenie?

Zupełnie nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

- Oznacza - powiedziała spokojnie - że zetknęło nas przeznaczenie.

Czegoś od nas chciało. A teraz, kiedy wypełniliśmy nasze role, 'Ono' już nas nie potrzebuje i pozostawia sobie samym. To dlatego czujesz się zagubiony. - Mai pomyślała chwileczkę i ciągnęła dalej - Dopóty, dopóki kierowało tobą przeznaczenie, byłeś szczęśliwy, gdy pozostawiło cię sobie samemu, poczułeś się zagubiony.

- A ty? Nie czujesz się zagubiona?

- Nie! - odrzekła stanowczo - Nie! Moje przeznaczenie mnie nie opuściło! Czegoś ode mnie nadal oczekuje! Wiem to!

- Ode mnie żąda - Aywan wrócił do równowagi - powrotu do Tybetu! Mam tam jeszcze wiele do zrobienia - próbował odpędzić smutek - i zabrania mi tam zabrać ciebie. Tybet, to nie kraj dla pięknych kobiet! - dorzucił gorzko.

- Wiem! - Mai uśmiechała się jakby do samej siebie - Mają czerwone od wiatru twarze, ciała niedomyte, jedzą suszone mięso i popijają

kumysem. Do tego - spojrzała na niego uważnie - nie mogą mieć swoich ukochanych w klasztorze, nieprawda?

- Nie mogą! - przytaknął Aywan - W klasztorze toczy się wspólne życie, ale każdy z nas żyje własną samotnością. Taka jest reguła! - Aywan po raz pierwszy użył przy Mai sformułowania 'my' w stosunku do reguł klasztornego życia.

- Myślę, że by mi się tam wcale nie podobało! - Mai spoważniała - Najważniejsze, że wypełniliśmy oczekiwanie przeznaczenia.

- Znasz je?

-Znam! Jestem pewna, że znam! - Mai znowu była rado

sna na swój uroczy sposób - Będziemy mieli dziecko! Jest tu! - wskazała dłonią na płaskość brzucha - Nie pojawia się to, co zwykle pojawia się co miesiąc. Spodziewałam się już w Singapurze, ale nie nadeszło! A więc tu - klepnęła mocno brzuch - jest ukryte nasze przeznaczenie!

Aywan poczuł się jak uderzony młotem. Nigdy, w czasie tych wspaniałych dni i nocy nie rozważał poważnie tego, że następstwem szaleństwa może być dziecko! Ale też zdał sobie sprawę, jak bardzo musiał być o nie zazdrosny, skoro serce zakwiliło mu z radości, gdy zrozumiał, że ono było już w Singapurze. To znaczy, że...no, że ten kapłan w świątyni Kali w Rangunie - jeśli, rzecz jasna, nie była to tylko jego wyobraźnia! - to było tylko rytualne potwierdzenie poczęcia! Czy oznaczało też wkroczenie płodu w obszar oddechu Brahmana - syntezy kosmosu? A więc Mai była już wtedy, w Rangunie, całkiem jego, nikogo więcej? Miała już w sobie jego dziecko!

- To, co robiliśmy - roześmiała się - robiliśmy skutecznie! Nadzwyczaj

skutecznie!

- Myślałem - Aywan czuł się dziecinnie - że robimy to dla siebie, że przyczyną jest nasza gorąca miłość!
- To też prawda! - Mai czuła się doskonale w tego rodzaju rozważaniach - Czy zauważyłeś, że kiedy już oboje wiemy o dziecku, nasze pożądanie słabnie?
- Coś jest na rzeczy... - Aywan zwrócił uwagę, że poczuł w sobie jakąś dziwną ospałość. Istotnie, odkąd od paru minut wiedział, że Mai jest w ciąży, jego miłosny zapach gdzieś zniknął.
- Czy natura jest aż tak przebiegła? - pomyślał - Najpierw uczyniła ze mnie fantazyjnego kochanka, a teraz odrzuca jak zmięty papier. Tylko dlatego, że misja spełniona?
- Tak działa - Mai mówiła spokojnie - jak ty to nazywasz, *dharma*, odwieczny porządek kosmosu. Jesteśmy potrzebni - dostajemy cukierka, stajemy się zbędni, nie mamy nawet papierka!
- Sądzisz zatem, że miłość, uczucie między kobietą a mężczyzną nie istnieje? To tylko zewnętrzny objaw przeznaczenia?
- To chyba takie proste nie jest! Tyle, że dla większości ludzi do tego się sprowadza! Zanim przyjdzie zrozumienie, na czym to polega, są rodzicami swoich dzieci, ale sami już nie rozpoznają siebie. Nie wiedzą, co robią razem. Okazuje się, że nie znają się nawzajem i nie rozumieją, jakim sposobem znaleźli się we wspólnym domu! Stają się przypadkowymi podróżnymi w nikomu nie potrzebnym życiu!
- A dla tych z mniejszości? - Aywan chciał znać myśli Mai do końca.
- To inna sprawa! - Mai zamyśliła się głęboko - Jest przecież i inny

rodzaj miłości. Na przykład, intelektualnej.

- Jak go rozpoznać?
- Zadałam ci przedtem pytanie! - przypomniała - Czy wyobrażasz sobie siebie ze mną, gdy będę stara? To jest właśnie punkt wyjścia do tej innej miłości.
- Co ma intelekt do starości?
- Ma wiele!
- Ta dziewczyna - pomyślał zaskoczony - dyskutuje jak prawdziwy *laram geshel*
- Miłość czysto erotyczna - mówiła dalej - to miłość do ciała i radość ze spełnienia pożądania. Kończy się wraz z pożądaniem.
- Chcesz powiedzieć, że natura nas zwodzi, a potem, po spełnieniu jej oczekiwań, porzuca jak rzecz niepotrzebną?
- Chyba, że partnerzy okazują się istotami wyższymi od zwierząt! Wtedy górują nad naturą i potrafią wyprowadzić ją w pole!
- Ale ja zdradziłem przeznaczenie! - wyznał Awyan - Znam przepowiednię i wiem, że jest w niej wymieniona kobieta o innym imieniu, nie Mai. Zdradziłem przeznaczenie! Zużyłem otrzymaną dyspensę na kobietę, którą kocham, a nie na tę, którą mi wyznaczyło przeznaczenie.
- Skąd masz tak dokładne informacje o wymaganiach twojego przeznaczenia? - zaciekała się Mai.
- A skąd ty wiesz, że twoje przeznaczenie nie zostało jeszcze wypełnione?

Mai nie odpowiedziała. Pocałowała go bez słowa. Statek przybijał do

nadbrzeża portu.

2.

Wzdłuż opuszczonego trapu oczekiwali przedstawiciele brytyjskiej administracji i wojska. Pierwsi, w imieniu wicekróla Indii przybyli powitać, zapowiedzianego przez Dalajlamę, członka rządu tybetańskiego. Chodziło o Aywana, którego Dalajlama podniósł z pozycji sekretarza do rangi pełnoprawnego ministra rządu. Drudzy, to przyjaciele pułkownika Francisa Younghusband'a. Dotarła do nich prośba o zapewnienie bezpiecznej podróży córce, udającej się do posiadłości pułkownika w Dardżiling.

Tybet stał się w Indiach Brytyjskich szalenie modny, a jego przedstawiciele rozchwytywani jak bohaterowie. Aywan, zajęty w Szanghaju swoim nie do końca określonym zadaniem, a potem odcięty od informacji w czasie długiej podróży, nie wiedział o wielu wydarzeniach. Niedługo po jego ucieczce z Pekinu, Tubten Gyatso uzyskał zezwolenie dworu cesarzowej wdowy na powrót do Lhasy, pod warunkiem uznania zwierzchności władzy Pekinu nad Tybetem. Wrócił tam już po śmierci Cixi i cesarza Guanxu, gdy Aywan przebywał jeszcze w Szanghaju. W Lhasie nie czekały na niego dobre wiadomości. Nowy rezydent chiński - Yuan Shikai, zupełnie inaczej widział przyszłość Tybetu niż Dalajlama i jego rząd. Wkroczył do miasta na czele wojskowego garnizonu i rozpoczął wprowadzanie chińskich porządków. Zdecydowany był skończyć z autonomią górskiego kraju. Dalajlama, uprzedzony o korzystnej zmianie angielskiej polityki w stosunku do Tybetu, uciekł do Indii. Najpierw do Dardżiling, pod skrzydła Charles'a Bell'a, przedstawiciela Anglii w

Sikkim, potem udał się wprost do Kalkuty - siedziby brytyjskich władz kolonialnych. Tam, został przyjęty jak niezależny władca.

Aywan domyślał się o oczekujących go w Kalkucie ważnych wydarzeniach, już wtedy, gdy statek zbliżał się do portu. W recepcji pierwszej klasy kłaniano mu się nagle do pasa. Boy, torujący drogę do wyjścia, głośno nawoływał pasażerów, tłoczących się do trapu, o ustąpienie miejsca. Mai, uśmiechała się do niego z nieskrywanym podziwem. Gdy zeszli na ląd, dziewczynę otoczyli oficerowie Younghusbanda, a jego samego - urzędnicy wicekróla Indii. Aywan czuł, że ją traci. Nikt nie domyślał się tego, co zaszło na statku, a on nie mógł zrobić w jej kierunku żadnego ciepłego gestu. Przyszło mu udawać nieznanego. Znowu cierpiał. Poczł gwałtowne ukłucie zazdrości, widząc wzrok młodych oficerów, taksujących jej kształty. Wiedział, że ci ludzie, żyjący samotnie poza krajem, potrafią wykrzesać z siebie wiele galanterii, aby zdobyć kobietę. Czł narastający niepokój.

- Opanuj się! - mówił do siebie - Reprezentujesz Dalajlamę Tybetu, a nie swoje namiętności!
- Prosimy do nas! - usłyszał po angielsku - Gubernator zaprasza na herbatę!

Siedziba gubernatora Indii od dawna nie mieściła się w Fort Williams w najstarszej części Kalkuty. Zabudowania fortu były surowe i miały wojskowy charakter. Otoczony rozległym parkiem, powstał na miejscu pola ostrzału, którego potrzebował kiedyś dowódca brytyjskiego oddziału na służbie Kompanii Wschodnioindyjskiej - Job Charnock, dla zapewnienia bezpieczeństwa fabryce wyrobów z juty. Rozkazał wyciąć wielki płat tropikalnego lasu. Teraz, miejsce pierwotnej dżungli, zajmował zadbane

park, zwany z turecka Majdanem. Gubernator Wellesley, nakazał w 1803 roku budowę wytwornej siedziby, znanej pod bengalską nazwą - *Radź Bhawan*. Zasłynął wtedy powiedzeniem, że „Indie powinny być rządzone z pałacu, a nie z biura!”. W Fort Williams pozostał tylko garnizon wojskowy.

Kalkuta, to twór Anglików. Niegdyś, mała handlowa osada, w której prosperowali obok siebie ormiańscy i portugalscy kupcy, wymieniający towary z bengalskim interiorom. Wokół fortu, zbudowanego w 1700 roku i nazwanego imieniem króla Williama, wyrastały europejskie osiedla. W siedemdziesiąt trzy lata później, gdy miasto stało się siedzibą brytyjskiej administracji w Indiach, liczba Europejczyków w Kalkucie przekraczała już sto tysięcy. Szerokim strumieniem napływali żołnierze i „pisarze” Kompanii. Tak nazywano jej urzędników -młodych, samotnych mężczyzn, licznie zaludniających kraj potomkami indyjskich konkubin. Lokalne puby stały się miejscem awantur i wyzwania na pojedynki. Kalkuta była dla nich jedynym domem. Zbudowano piękną Esplanadę i Strand Road - promenadę, wiążącą miasto z rzeką Hugli - prawą odnogą świętego Gangesu. Miasto stało się tętniącym życiem an-glo-indyjskim centrum kulturalnym i intelektualnym. Jedynie neogotycka katedra Św. Pawła, zbudowana jako echo Katedry Westminsterskiej, dominowała nad południową częścią Majdanu i przypominała mieszkańcom, że centrum Imperium znajduje się daleko - w Albionie, a nie w Bengalu. Może z tego powodu, przeciętny Anglik wie niemal wszystko o Kalkucie, nie wiedząc nic o wielu miastach europejskich. Bo też i jest z czego być dumny. Miasto było nie tylko piękne, ale mogło poszczycić się dokonaniem na światową skalę. W 1898

roku, sir Ronald Ross z Presidency General Hospital, dokonał przełomowego odkrycia, udowadniając, że prześladująca Europejczyków w tropikach malaria, jest roznoszona przez samicę komara widliszka. Od tej pory żelazną porcję chininy można było kupić w okienku każdego urzędu poczty w Bengalu. Choroba przestała być przekleństwem tropików, a Europejczycy, uodpornieni i bezpieczni, mogli ze zdwojoną energią wziąć na swe barki 'misję białego człowieka'.

Po południowej stronie Majdanu mieścił się tor wyścigów konnych oraz ekskluzywny Calcutta Polo Club. Obok katedry św. Pawła wybudowano Akademię Sztuk Pięknych i salę koncertową. Niedaleko znajdowało się Planetarium, jedna z największych tego typu placówek na świecie. Po północnej stronie placu wyróżniały się wielkością i architekturą budynki Ratusza, Domu Pisarzy, kościoła św. Jana i kościoła św. Andrzeja, zbudowanego w miejscu dawnego gmachu sądu. Resztę dzielnicy brytyjskiej zajmowały strzeliste wiktoriańskie domy, służące za biura handlowe oraz mieszkania kupców handlujących jutą, opium i herbatą. Najlepsza dzielnica mieściła się przy Clive Row, rozległym pasażu ciągnącym się równolegle do rzeki i promenady Strand Road. Aby zetknąć się z prawdziwymi Indiami, trzeba było opuścić centrum Kalkuty. Dopiero tam, na obrzeżach dzielnicy kolonialnej, wrzał tygiel kulturowy, jakim były Indie pod brytyjskim panowaniem. W Tangrze, po północnej stronie miasta, osiedlili się Chińczycy. Chinatown wyglądałoby jak miasto żywcem przeniesione z okolic Kantonu, gdyby nie to, że otoczone było przez dzielnice z zupełnie innego świata. Obok chińskiego bazaru, świątynię ognia mieli parsowie - wyznawcy mazda-izmu. O parę kroków dalej, trafiało się na meczet

izmailitów, odłamu szyickiego islamu, uznającego tylko siedmiu imamów, a nie - jak większość szyitów - dwunastu. Za Old China Bazaar, widniał ormiański kościół Matki Boskiej Nazaretań-skiej, zbudowany jeszcze w 1724 roku przez kupców wdzięcznych za krociowe zyski, a dalej - Nakoda Mosque -meczet z czerwonego piaskowca, dla którego wzorcem był grobowiec sułtana Akbara, wybudowany obok starej stolicy delhijskiego sułtanatu - Agry. Od kilkunastu lat w Kalkucie osiedlali się Żydzi z Iraku, czego widowym dowodem była Magen David - wspaniała synagoga, jedna z dwóch wybudowanych w mieście.

Aywan był po raz pierwszy w prawdziwej kolonii. Wdział ponure rządy rosyjskie w zachodniej Syberii i nieudolne, chińskie, w cesarskim Państwie Środka. Kalkuta, z jej handlowym zgiełkiem, kulturowym tygłem ras i narodów, żyjąca prędko i gorączkowo pod okiem angielskich dżentelmenów, była czymś nowym i imponującym. Nawet szanghajska, gwarna i zamożna, Koncesja Brytyjska, robiła w porównaniu z Kalkutą wrażenie sztucznego tworu. Ale tak naprawdę, w Kalkucie były dwa miasta. Jedno, kolonialne - to wspaniałe rezydencje, hotele, kościoły i szerokie ulice wypełnione obiektami handlowymi i użyteczności publicznej. Była jednak i druga Kalkuta, sprawiająca wrażenie katastrofy urbanistycznej. Szybko rozwijające się i dynamiczne miasto przyciągało obietnicą lepszego życia tłumy wieśniaków z okolicznych wsi Bengalu i Biharu, by tu, na miejscu, przekształcić ich w miejskich nędzarzy, szczęśliwych, jeśli znajdą nocleg na ulicznym chodniku. To ludzie, którzy przez całe życie nie zobaczą dachu nad głową: na ulicy pojną żonę, na ulicy spłodzą dzieci, na ulicy umrą.

Kalkucki tłum różnił się od równie licznych tłumów Chińczyków,

zaludniających place i ulice miast Państwa Środka. Tam, w Chinach, był bardziej przyjazny, coś nieuchwytnego nadawało mu charakter skrytej intymności. Można było być w tłumie, a nie czuć się przezeń spychanym. Tutaj, tłum był nie tylko hałaśliwy, ale nacierający. Nie, żeby napastliwy, ale pozbawiający prywatności. W Chinach, można było zachować część swojej indywidualności, w Kalkucie - wszystko było wystawione na widok publiczny. Nawet śmierć. Widok ludzi chorych, zamęczonych pracą lub zwyczajnie zrezygnowanych, posilających się błotnistą mazią płynącą rynsztokiem, był tym, co wywoływało wrażenie wszechmocnego i wszechogarniającego fatalizmu. Nikt nie spodziewał się niczego. Oczekiwanie przyszłego, lepszego życia w następnym obrocie koła *samsary*, zastępowało ludziom samo życie.

- Może - myślał Aywan - wynika to z tego, że w tradycji hinduistycznej satysfakcję człowiekowi czyni dawanie, a nie otrzymywanie podarunku. Ulica indyjska jest pełna namolności, którą trudno odróżnić od żebractwa. Tyle, że ta namolność nie poddaje się ocenie. Ot, po prostu, życie. Jest, jakie jest. I tyle.
- Jeśli ludzie sądzą - dodawał w myślach - że sprawiają mi przyjemność żądając jakiegoś datku, to odmowa stawia mnie w sytuacji nie tylko gbura, ale i człowieka pozbawionego zasad. Może taka jest właśnie istota Indii? Rytuał, mechaniczne powtarzanie tych samych czynności i gestów zastępuje ludziom aktywność? Czy do tego można w jakiś sposób odnieść pytanie o szczęście i sens życia? - nie potrafił na to wszystko odpowiedzieć.

Europejski, światowy rozmach miasta kontrastował z wielką liczbą kulisów, poruszających się tłumnie w różnych kierunkach i

pokrzykujących na przechodniów. 'Kulis', to szczególne pojęcie, występujące w miejscu styku Europy z Południową i Wschodnią Azją. Kulisami nazywano ludzi pozbawionych kwalifikacji, gotowych podjąć się każdej pracy za jakiegokolwiek wynagrodzenie. Interior Chin i Indii pełen był ludzi, którzy nie widywali pieniądza. Żyli z tego, co uzbierali lub wydoili od zwierząt hodowlanych. Upalny klimat nie wymaga wiele od ubrania. Dach nad głową może dawać palma, krzak lub słomiana mata. Przeżyć można bez pieniędzy i bez żadnej płatnej pracy. Każdy, kto zarabia cokolwiek, nawet z pogardzanego rodzaju pracy, stoi tam wyżej niż drobny rolnik. A Indie są krajem, w którym do przeżycia wystarcza najmniejszy na świecie spłachetek ziemi. Ziemia jest urodzajna, a klimat przychylny.

- W rezultacie - myślał Aywan - ludzie płodzą, rodzą i mnożą się jak opętani, tak, że każda nadwyżka żywności, która mogłaby być przeznaczona - jak w Europie - na rozwój, tutaj natrafia na nowe gęby do wyżywienia. Tybet też się nie rozwija - analizował smutno - ale tam, przynajmniej kwitnie życie intelektualne, a klasztory pełnią funkcję miast, kościołów i uniwersytetów jednocześnie, Niedostatek jest mniej ostentacyjny i obudowany wielką ilością ksiąg, myśli, tekstów i rytuałów. Tutaj, nędza jest ludna, płodna, mnoga i rozlewa się szeroko jak rzeka na równinie. Nic jej nie dorówna i nic nie jest jej w stanie zatrzymać.

Uwagę przykuwała ogromna liczba rikszy, poruszających się siłą mięśni kulisów. Nawet w Pekinie nie widział takiego zagęszczenia ludzkich pojazdów. Nie wiadomo, kto był twórcą pierwszej rikszy. Niektórzy przypisują pomysł pojazdu Jonatanowi Scobie - amerykańskiemu misjonarzowi, który tym sposobem poruszał się po ulicach Jokohamy ze

swoją kaleką żoną, zastępując riksą drogi palankin - rodzaj lektyki noszonej przez czterech ludzi. Do rikszy wystarczyło zaprząć jednego człowieka. Nawet taka niewielka innowacja odbierała ludziom pracę, nie przydając nikomu bogactwa. Do pracy było ich potrzeba mniej, a rodziło się coraz więcej. Oto dramat Orientu!

Japończycy, inwencję rikszy przypisują trzem lokalnym wynalazcom, zainspirowanym podobno widokiem, sprowadzanych z Zachodu, konnych bryczek. Koń w Japonii był zwierzęciem szlacheckim, samurajskim, a nie pociągowym. Stara tradycja nakazywała skazać na śmierć na miejscu chłopca, który odważył się dosiąść wierzchowca. Poza tym, nadmiar rąk do pracy, kierował wynalazców - inaczej niż w Europie - do zaprzęgnięcia do pojazdów ludzi, tańszych niż zwierzęta pociągowe. Kalkuckie riksze pojawiły się wraz z chińskimi kulisami. Anglicy otworzyli w Imperium swobodny rynek pracy, uruchamiając poważne ruchy etniczne. Chińczycy zaludnili Singapur i w znacznej części - wiele miast kolonialnych. Niemal każde posiada własne Chinatown. Tamilowie z południa Indii opanowali herbaciane plantacje Cejlonu i Birmy, a hinduscy sklepikarze pojawili się masowo w brytyjskiej Afryce Wschodniej i południowo-amerykańskiej Gujanie. Z nimi riksza nie tylko opanowała te części świata, ale zablokowała postęp techniczny. Nie było powodu inwestować w konie mechaniczne, skoro do pracy zawsze były gotowe tanie konie ludzkie.

Konwój z pasażerami statku przebijał się przez miasto od strony portu. Powoli docierał do Fortu Williamsa. Kawalkada zbliżała się do miasta od jego południowej strony, posuwając się wzdłuż prawego dopływu Hugli, znanego pod angielsko-bengalską nazwą *Tolly's Nullah*. W hinduskiej

dzielnicy Kali-ghat, którą goście musieli minąć, aby dotrzeć do centrum miasta, znajdowała się jedna z najwspanialszych w Bengalu świątyń bogini Kali. Aywan, stawał się podejrzliwy. Nauczony doświadczeniem w Rangunie nie zamierzał jej odwiedzić, przynajmniej w towarzystwie Mai, ale obserwował mijany obiekt z nieskrywaną ciekawością. Ostatecznie buddyzm wyrósł z hinduizmu, zhumanizował go i poddał próbie czasu. Wspólnota filozoficznych pojęć była uderzająca. Buddyzm był dzieckiem hinduizmu, tak jak w Europie protestantyzm nie narodziłby się bez oporu wobec katolickiego papieża.

Świątynia Kali kojarzyła mu się z silną erotyką miejsca i jej pięknego kapłana. Czuł się tym wspomnieniem zarówno nieco, ale tylko nieco, upokorzony, jak i niezdrowo - miał odwagę przyznać - pobudzony. Pragnął o nim zapomnieć, ale wiedział też, że powracające wspomnienie sprawiało mu dziwną przyjemność. Nic z tego nie mógł zrozumieć. Chciał bliżej poznać istotę popularności dziwacznej bogini, ale nie jej perwersyjnych - jak o nich myślał - kapłanów-czarowników.

Kalighat, dzielnica otaczająca świątynię, dorobiła się miana dzielnicy hinduskiej klasy średniej. Miała dla miasta zasługę. Wzięła nazwę od bogini Kali i przekazała ją Kalkucie. W języku bengali brzmi ona *Kolkata*. W 1775 roku, pułkownik Tolly, nakazał osuszyć zamulony kanał, aby wody Gangesu mogły swobodnie dopływać do świątyni. Budowla została wzniesiona w 1809 roku przez kapłana świątyni - Sobarnę Czandhu-riego w miejscu wcześniejszego, szesnastowiecznego budynku. Sanktuarium Kali było wciąż we władaniu jego potomków, zwanych 'palladami', mających monopol na przewodniczenie nabożeństwom i rytuałom. Legenda głosiła, że w tym miejscu upadł palec Siwy, jej boskiego

małżonka, odcięty w walce z wrogami i dlatego ulubiła je dla siebie. Przybywający pielgrzymi składali ofiary z mleka, wody Gangesu i konopi indyjskich. Niegdyś składano w ofierze ludzi by zaspokoić jej krwiożerczość, zastąpionych później kozłami. Wizerunek bogini w głównej świątyni wykonano z czarnego marmuru: miała cztery ręce trzymające girlandy ludzkich głów. Dłonie i brwi wykonano ze złota, a oczy i język były krwistoczerwone. Aywan, ani chciał, ani mógł wejść do świątyni. Prawo wstępu mieli tylko wyznawcy hinduizmu. Kątem oka spojrzał na Mai, posuwającą się obok niego w kawalkadzie, zdążającej do miasta. Była spięta. Wyglądała na osobę, oczekującą ważnego wydarzenia. Miała wzrok nieobecny i świadczący o pobudzeniu.

- Dalej! Naprzód! - zakomenderował Aywan.

Oficerowie, odpowiedzialni za gości, obrzucili go zdziwionym spojrzeniem. To przecież oni dowodzili oddziałem, a nie ten przybysz z Tybetu. Dla świętego spokoju, spięli jednak konie i kawalkada przyspieszyła. Aywan miał wrażenie, że Mai była zawiedziona nagłym pośpiechem. Nie spojrzała nawet na niego.

3.

Gilbert John Minto z trudem znosił porę monsunową. Wicekrólem i gubernatorem Indii był od niedawna, ale nie mógł przywyknąć do klimatu Bengalu. Przedtem, pełne sześć lat, zarządzał chłodną przejrzystością powietrza i pachnącą żywicą - Kanadą. Miał w nozdrzach radość, z jaką oddychało się świeżym powietrzem tego kraju. Tutaj było inaczej. Gorąca, monsunową duchota wdzierała się do płuc z lepką wilgocią.

Minto był doświadczonym urzędnikiem kolonialnym. Młodość miał już dawno za sobą - kończył sześćdziesiąty szósty rok życia i coraz chętniej

myślał o emeryturze w swojej posiadłości, ukrytej w górach Walii. Zielone krajobrazy Wysp Brytyjskich śniły mu się po nocach. Miał w swojej indyjskiej karierze czyny, które uważał za sukces, ale wielu nie podzielało jego opinii. W 1909 roku wprowadził reformę administracji, która zwiększyła udział ludności indyjskiej w wybieralnych organach władzy kolonialnej. Kontrowersje budziło ustanowienie kurii wyborczych - osobno dla hinduistów i muzułmanów, co wzmocniło siły agresywnego islamu i legło u podstaw krwawych czystek religijnych i podziału Indii w trzydzieści pięć lat później. Minto nie mógł jednak o tym wiedzieć. Pragnął zakończyć karierę jakimś spektakularnym sukcesem, którego by nikt nie mógł podważyć. Okazja nadarzała się właśnie teraz.

- Proszę, panowie! - gubernator energicznie zapraszał delegację tybetańską do gabinetu. Gęste bokobrody, okalające twarz i ręka wsparta na lasce, dodawały powagi.

Wśród mnichów o ogolonych głowach i ubranych w cegla-sto-czerwone habity nie było Dalajlamy, który wolał porozumiewać się z Anglikami przez pośredników. Zwalniało to jego rząd od wyraźnego opowiedzenia się w kwestii chińskiej zwierzchności nad Tybetem. Aywan, jedyny ubrany po europejsku - przybywał wprost ze statku - wyglądał pośród mni-siej delegacji jak prawdziwy światowiec, a nie przybysz z wysokich gór. Minto, być może z tego powodu, jego właśnie uznał za partnera rozmowy.

-Pan, zdaje się - gubernator zwrócił się wprost do Aywana
-jest zwolennikiem rosyjskiej zwierzchności nad Tybetem!

•Byłem, ekscelencjo! - odrzekł Aywan - Byłem, dopóki Rosja liczyła się jeszcze w Azji i mogła powstrzymać chińską presję na Tybet. Jak wiadomo, dzisiaj tego zrobić nie może i sama będzie potrzebować

pomocy.

- Jak zatem mam ocenić pańską lojalność względem korony brytyjskiej?
- pytał Minto.

- Nie musi Pan, ekscelencjo, oceniać jej w ogóle! - odparł Aywan z trudem skrywając rozdrażnienie - Jestem lojalny wobec Dalajlamy! Szczęśliwie, Tybet nie jest kolonią Anglii i miejmy nadzieję, że tak pozostanie. Przybyłem tutaj - dorzucił

- negocjować warunki uniezależnienia mojego kraju od Chin, a nie przyjęcia go w poczet brytyjskich kolonii! Chciałbym, aby to właśnie było punktem wyjścia do negocjacji.

Minto chrząknął z niezadowoleniem i oparł się na lasce. Delegacja ludzi o wyglądzie ubranych w habity górali milczała po drugiej stronie wielkiego stołu jak zaklęta. Wyglądało to na aprobatę reakcji Aywana. Nie podobała mu się arogancja tego młodego człowieka. Zapowiadała trudności, a on potrzebował sukcesu. Spektakularnego sukcesu!

- Czy może Pan, młody człowieku - Minto powoli, dla zyskania na czasie, nabijał grubo ciętym tytoniem cybuch wielkiej fajki - określić ten punkt wyjścia?

- Jest prosty! - Aywan był przygotowany do tej rozmowy - WieJka Brytania uzna niepodległość Tybetu i *władzę* Dalajlamy. Podejmie się wojskowej ochrony Tybetu przed ewentualną reakcją Chin.

- A co dostanie w zamian?

- Wiele! Wzmocnienie pozycji w Chinach. - Aywan po dwuletnim pobycie w Szanghaju zdołał pojąć imperialną mentalność Anglików - Będziecie mieli, panowie, otwarte wejście na rynek chiński nie tylko z

enklaw Hongkongu i Szanghaju, ale wzdłuż całej chińskiej granicy zachodniej.

- Czy Tybet podpisze z Anglią traktat o wolnym handlu i wolnym tranzyście towarów? - to interesowało Minto najbardziej.
- Oczywiście! - odparł Aywan - Jesteśmy na to gotowi!

Powiedział to z absolutną pewnością siebie, nie spojrzawszy nawet na reakcję innych członków delegacji. Wolał, żeby milczeli. Wiedział, że będzie to najtrudniejszy problem. Do podpisania klauzuli o wolnym handlu zapewne bez trudu przekona Dalajlamę, ale spotka się to z zaciętym oporem znacznej części mnisiej elity. Klasztory uważały, że każde otwarcie dopuszczające nie tylko ingerencję cudzoziemców w sprawy Tybetu, ale nawet ich milczącą obecność w kraju, może ukruszyć strukturę teokratycznego państwa. Wszyscy mieli w pamięci konsekwencje wkroczenia i stacjonowania w Lhasie oddziału pułkownika Younghusbanda. Aywan wiedział, że ta struktura, mimo zalet, jest przestarzała i nie do utrzymania w obliczu światowego pędu ku nowemu. Wiedział też, że dłużej nie da się Tybetu od zmian uchronić. Prędzej, czy później, konieczne będzie uwolnienie kraju ze 'świętej izolacji'. Lepiej, żeby odbyło się to w sposób kontrolowany i konsekwentny, a nie w wyniku rewolucji czy wojny, niechybnie prowadzącej do chaosu.

Minto gładził bokobrody. Wiedział, że podejmuje osobiste ryzyko. Te kilka lat spędzonych w Indiach nauczyły go nie podejmować decyzji bez zrozumienia sposobu myślenia strony przeciwnej. Miał w pamięci słowa Kiplinga: *'Wschód jest Wschodem a Zachód Zachodem i nigdy tych dwoje się nie spotka'*.

- Trzeba zrozumieć - myślał - ich tok rozumowania. - Sam uważał, że

poddanie się pod opiekę korony brytyjskiej przynosi każdemu krajowi same korzyści - cywilizację techniczną, wiedzę i naukę, postęp i dobrobyt. Czego chcieć więcej? - Ale może te dzikusy myślą inaczej?

- Zdajemy sobie sprawę - mówił tymczasem Aywan - że Anglia przynosi ludom dobrodziejstwa cywilizacji. Byliśmy jednak przez ostatnie kilkaset lat pod wpływem Chin. To wroga wobec nas kultura - zauważył - ale nie sposób odmówić jej głębi i subtelności.

- Nie konkurujemy z Chinami! - Minto miał pogardliwą opinię o zdolnościach organizacyjnych Państwa Środka. - Toż to państwo gnije od stuleci!

- Każde państwo przeżywało w swej historii okres małości!

- zauważył Aywan - Pięćset lat temu Anglia była niczym, a Chiny światowym mocarstwem.

- Anglia niczym? - Minto poczuł się osobiście dotknięty. Imperium brytyjskie było tak wielkie, największe na świecie, że nigdy nie zachodziło w nim słońce, a ten, tutaj, śmie mówić, że kiedyś Anglia była niczym!

- A kiedy to Anglia była niczym, łaskawy panie?

- Chociażby w XV wieku! - Aywan znał dobrze historię świata i chciał to wykorzystać - Chińska armia liczyła wtedy milion żołnierzy wyposażonych w armaty i broń palną. Król angielski Henryk V, mógł wystawić zaledwie pięć tysięcy ludzi, uzbrojonych w łuki, miecze i piki. Kiedy wybierał się na wojnę z Francją, wojsko przepływało kanał La Manche, *sorry!*

- poprawił się pamiętając, że Anglicy nie znoszą francuskiej

nazwy kanału - *Englisli Chamieli* - czterema łodziami rybackimi, zdolnymi do zaokrętowania nie więcej niż stu osób. Tymczasem - Aywan mówił to świadomie - Chińczycy mieli statki pełnomorskie tak wielkie, że łodzie Henryka mogłyby zostać rozbite jednym machnięciem steru!

- To było pięćset lat temu! - uniósł się Minto.
- Za kolejne pięćset lat może być tak samo! - odparł Aywan - Tutaj, na Wschodzie, czas biegnie innym rytmem. Ludzie potrafią nań czekać!
- Czy pan mnie straszy przyszłością? - Minto nie ukrywał oburzenia - A cóż mnie obchodzi, co będzie za pięćset lat? -zaperzył się - Mamy dokonać ustaleń tu i teraz, a teraz to Anglia jest potęgą i zostanie nią przez następne tysiąc lat!
- Nic nie trwa wiecznie! - odrzekł spokojnie Aywan - Nie daję temu porządkowi więcej niż lat pięćdziesiąt. Rozmawiajmy - zaproponował - w tej perspektywie. Tylko w ten sposób możemy mieć realny wpływ na kształt tego świata!

Minto spojrział na niego uważnie.

- A może ten człowiek ma rację? - zastanowił się przez chwilę.

Wiedział już od swoich doradców, że liczba hinduistycznych i buddyjskich tekstów, które studiują miejscowi mędrcy jest tak wielka, że - przy jego obowiązkach - nie starczyłoby mu życia na przeczytanie ich drobnej części.

- Może ta ich 'dzikość' jest pozorna?- pomyślał - Może oni wiedzą coś,

czego my nie wiemy?

•Czy jest coś, co wy, tu na Wschodzie, wiecie, o czym my nie wiemy? - Minto zadał pytanie z żywej ciekawości.

•Jest wiele takich rzeczy! - odparł Aywan bez namysłu.

•Co takiego uznałby pan za najważniejsze? - dociekał gubernator.

- Sam Pan, ekscelencjo, już to poruszył.

Minto był zdumiony.

- Mówił Pan o czasie jako o wieczności. Idzie o tę Anglię, co ma trwać w potęgę jeszcze tysiąc lat! - Aywan był w swoim żywiole. Jako tybetański *lamin geshe* doskonale znał ułomności Zachodu - To jest wasz największy błąd! Nie rozumiecie przemijania czasu. Dla was przyszłość jest jak wieczność. Dla nas, na Wschodzie, przyszłość jest tylko ułudą wyobraźni, a przeszłość - zacierającą się pamięcią. Realna jest tylko terażniejszość, krótka chwila, gasnąca wraz z życiem człowieka, jej nosiciela. Wam więc - Aywan mówił spokojnie - wydaje się, że wszystko jeszcze przed wami, nawet o śmierci myślicie jako o wydarzeniu, które was nie dotyczy. Dla nas, śmierć rodzi się razem z narodzinami i podąża z nami przez życie dzień po dniu, godzina po godzinie. Jeśli się to rozumie, nie traci się czasu, a decyzje podejmuje w perspektywie terażniejszości, a nie złudnej wieczności, dla dobra ludzi dzisiaj, tu i teraz, a nie ludzi przyszłych, którzy przecież mogą się wcale nie narodzić!

Minto milczał.

- Jaki układ pan proponuje? - zapytał po chwili.

Po namyśle uznał, że Tybet z takimi ludźmi jak jego rozmówca, jest wart niepodległości. Postanowił, że Anglia, dzisiejsza potęga, włączy się w tę sprawę nie tylko jako strona zainteresowana, ale też i jako swego rodzaju dobroczyńca. Ostatecznie, może istotnie nie jest wieczna?

4.

W Kalkucie nie ma buddyjskiego klasztoru lamaistycznego. Delegacja z Lhasy musiała zamieszkać 'na mieście'. W goście przyjaźni otrzymała od gubernatora, jako kwaterę, dwa piętra hotelu Fairlawn, mieszczącego się w północno-wschodnim zakątku Majdanu, przy Sudder Street, na wprost słynącego ze wspaniałych eksponatów - *Indian Museum*. Hotel, zbudowany - jak większość budynków dzielnicy kolonialnej - w imperialno-wiktoriańskim stylu, posiadał obszerne apartamenty z widokiem na fort i rzekę. Wyteżając wzrok, można było z balkonu dostrzec górujący nad drugim brzegiem największy figowiec świata - ozdobę powstałego przed ponad stu dwudziestu laty na obszarze stu dziewięciu hektarów Ogrodu Botanicznego. Jego założyciel, pułkownik Kyd, leży na pobliskim *South Park Street Cemetery* i jest pamiętany jako 'ojciec herbaty'. Tutaj, w Ogrodzie Botanicznym, wyhodował pierwsze, poza Chinami, plantacyjne odmiany tego krzewu, które miały podbić świat i zawojować smakiem chińskie odmiany.

Apartament Aywana znajdował się na trzecim piętrze hotelu. Drugie, należało do Dalajlamy i towarzyszących mu kilku wysokich urzędników. Nie omieszkał, natychmiast po zakończeniu rozmów z gubernatorem, złożyć mu wizytę.

- Jakże się cieszę, że jesteś cały i zdrowy! - wołał od drzwi Thubten Gyatso, otwierając ramiona - Nie widziałem cię trzy lata! Nie zmieniłeś się ani trochę! - okręcał Aywana ręką, jakby chciał go obejrzeć ze wszystkich stron.
- Ty też nie wyglądasz na człowieka - żartował Aywan - który od sześciu lat ucieka z Lhasy, zamiast rządzić i panować!
- Co robiłeś tyle czasu w Szanghaju? - pytał Thubten nie zważając na uszczypliwości.

Aywan miał akurat najmniejszą ochotę na wynurzenia o miłosnych przygodach.

- Większość czasu spędziłem na medytacjach w świątyni! - skłamał.
 - Są tam jakieś buddyjskie świątynie? - dziwił się Dalajlama. - Klasztoru nie ma - coś bym o tym wiedział. Poza tym - to piekielnie świeckie miasto!
 - Nie, klasztorów nie ma! - zgodził się Aywan - Jest jedna świątynia - i to w budowie, wokół Nefrytowego Buddy!
 - Wiem, wiem! - ożywił się Thubten - Nazywają go Jade-itowym! - Ale, ale! - przypomniał sobie nagle - On cieszy się złą sławą!
 - A czemuż to złą?
 - To podobno kłamczuch i naciągacz! Chińczyk po prostu!
- roześmiał się głośno.
- Na jakiej podstawie to mówisz? - gwałtowność pytania zelektryzowała Dalajlamę.
 - Spokojnie! - Thubten uspokajał wzburzonego przyjaciela
- To tylko rzeźba z nefrytu!

- Masz jakieś informacje o jego kłamstwach? - Aywan poczuł nagle zainteresowanie.
- Mnisi, którzy odwiedzili Jadeitowego w Szanghaju - Dalajlama uważnie przyglądał się reakcji Aywana - powiadają, że wykorzystywał ich stan medytacji żeby poddać jakiejś próbie!
- To prawda! - wyrwało się Aywanowi.
- Co prawda? - zainteresował się Thubten - Ciebie też usiłował wykorzystać?
- W czasie moich medytacji - przyznał Aywan - usiłował mnie skojarzyć z jakąś kobietą!
- Z jakąś? - Dalajlama nagle spowaźniał - Czy konkretną kobietą?
- Konkretną! - Wymienił nawet jej imię i nazwisko!

Thubten nie mówił nic przez dłuższą chwilę, jakby chciał przeczekać nagłe wzburzenie rozmówcy.

-1 co? - spytał Thubten nie patrząc na Aywana - Udało się?

- Czemu użyłeś słowa 'udało się?' - Aywan czuł narastające rozdrażnienie.
- Uspokój się! - Dalajlama zrobił się stanowczy - Przecież ta kobieta, to nie twoja prywatna sprawa! To sprawa całego kraju!
- Co ty mówisz? - Jaka kobieta? Jaki kraj? - Ostatnią rzeczą, jaką sobie życzył, było publiczne rozważanie jego przygody z Mai.
- W archiwach państwowej wyroczni - Thubten przyciszył głos jakby w obawie przed podsłuchaniem - tkwi wyraźne stwierdzenie, dlaczego to nie ty okazałeś się reinkarnacją Awalokiteśwary. Nie dlatego - uśmiechnął się skromnie - że to ja wygrałem ten konkurs, ale dlatego,

że twoje przeznaczenie miało być inne!

•Jakie znowu przeznaczenie? - Aywan nie ukrywał irytacji

- Moim przeznaczeniem jest być uczonym mnichem w tybetańskim klasztorze!

- Takie przeznaczenie ma trzysta tysięcy mnichów w Tybecie i drugie tyle w Mongolii! - tym razem uniósł się Dalajlama

- Przeznaczenie nie ma czasu zawracać sobie głowy taką ciżbą ludzi! Oni sami muszą zadbać o swoje życie!

- Mówisz jak ona! - Aywan prawie krzyczał - Zupełnie jak ona!

Thubten był już spokojny. Wiedział, że 'to' się stało i że kobieta, o której wspominała przepowiednia, jest faktem. Aywan nie krzyczał. Opadł na krzesło i oddychał głęboko.

- Jak ona ma na imię?

Thubten starał się dotrzeć do prawdy w najbardziej delikatny sposób. Aywan długo nie wydobywał z siebie głosu.

•Maja! - powiedział wreszcie cicho - Piękne, nieprawda?

•Aaa...Maja... To ciekawe! - zafrasował się Dalajlama. - Tak miała na imię matka Buddy. Pamiętasz? - zwrócił się do Aywana - Miała ujrzeć we śnie białego słonia, który z nią obcował. Jak podaje stary tekst *Lalitawisatam* prosiła o wyjaśnienie snu i dowiedziała się, że syn, którego urodzi będzie Uni-

wersalnym Władcą. Czy imię tej kobiety, to zbieg okoliczności? - znowu spojrzał na Aywana badawczo.

Aywan milczał.

-Czy możesz powiedzieć, jakie jest jej nazwisko? - Dalajlama starał się nadać głosowi łagodne brzmienie. Nie chciał spłoszyć wyznania.

Aywan długo nic nie mówił. Wyglądał na człowieka, który nie może ukryć tego, co powinno pozostać nie odkryte. Ale uparcie milczał.

-Jest córką... - wyjąkał wreszcie - Younghusbanda. Pułkownika armii brytyjskiej, Francisa Younghusbanda!

- Zdobywcy Lhasy? - wykrzyknął Thubten i zerwał się na równe nogi - Tego samego który nas wykurzył z miasta i skazał na lata tułaczego życia?

- Tak, tego samego! - Aywan był już spokojny - Ale i tego -dodał szybko usprawiedliwienie - dzięki któremu jesteśmy obydwaj tutaj, w Kalkucie, i negocjujemy warunki niepodległości Tybetu!

Dalajlama klasnął w dłonie z radością.

-Zgadza się! - zawołał - Zgadza się!

Tym razem Aywan nie posiadał się ze zdumienia. Nie rozumiał tego nagłego wybuchu radości.

- Zgadza się! - mówił szybko Thubten - Wyrocznia mówiła, że ta kobieta ma być córką wojownika!

- Czy wyrocznia mówiła coś o dziecku? - spytał kwaśno Aywan - Mai będzie miała dziecko!

- Zgadza się! Zgadza się! - Dalajlama podskakiwał z radości - Miało być dziecko z córką wojownika! - Chwycił Aywana w ramiona, jakby chciał z nim zatańczyć jakiś wojenny taniec.

- Mamy dziecko! Tak jak przepowiedziała wyrocznia! -Thubten był

coraz bardziej podekscytowany.

- Jak to mamy? - oburzył się Aywan.
- To oczywiście przenośnia! - śmiał się Dalajlama - Ale tylko w pewnym sensie! To dziecko Tybetu, czyli dziecko nas wszystkich!

Przepowiednia mówiła, że w związku z jego urodzinami odmieni się los kraju i buddyzm przybierze nowe oblicze. Dalej przepowiednia wyroczni - Thubten aż zasapał się z podniecenia - robiła się zagmatwana i niejasna. Nie wiemy jak konkretnie to dziecko ma wpłynąć na losy kraju, ale jego istnienie oznacza dla nas przyszłość! Rozumiesz? Ono samo, albo jego potomkowie, mają spowodować rozprzestrzenienie się buddyzmu po całym świecie? To będzie wielkie zwycięstwo!

Dalajlama był rozpromieniony. Teraz wiedział, że wszystkie wysiłki, upokorzenia tułaczki po cesarskich Chinach, inwazja brytyjska i chińska, miały jakiś cel. Nic nie poszło na marne! Ale Aywanowi wcale nie było do śmiechu. Nie podobało mu się wcale, że Mai ma być własnością całego Tybetu, całej tej rzeszy łamów, chłopów i pasterzy. Wolał, żeby wszystko zostało w tajemnicy, a ona pozostała jego, tylko jego. Jego Mai powinna być właśnie jego i niczyja więcej!

- Jest tylko jedno 'ale' - powiedział ponuro.
- Co za 'ale'? Nie ma żadnego 'ale'! - przepowiednia jest jednoznaczna!
- W czasie głębokiej medytacji Jadeitowy Budda z Szanghaju, wymienił zupełnie inne imię i nazwisko.
- Jakie?!
- Liu Manąing, a nie Maja Younghusband! - Aywan czuł się winny całej sytuacji - Takiej nie spotkałem! Bez pamięci zakochałem się w Mai. Od

razu. Od pierwszego wejrzenia. To wszystko stało się bez mojej woli.

- Wiesz przecież, że miłość, to tylko uzewnętrzniona konieczność prokreacji. Natura nas oszukuje, aby zaprowadzić gdzie chce! - pocieszał Thubten - Poddaje nam nawet pod nos substancje zapachowe! Czy wiesz, że mężczyznom najbardziej podoba się zapach kobiet w trakcie owulacji? Czy to nie dowód, że jesteśmy igraszką w rękach natury? Wyprawia z nami różne rzeczy, ale tak, abyśmy myśleli, że to nasza inwencja!

- Może, ale nie masz pojęcia, jakie to przyjemne! - wyznał Aywan.

Thubten poczuł, że zazdrości mu tego doświadczenia, ale przecież jako reinkarnacja Buddy Awalokiteśwary nie mógł wyznać, że miewa także chwile słabości.

- Ważniejsza jest - powiedział - urzędowa przepowiednia państwowej wyroczni, niż gadanie tego Chińczyka!

- Jadeitowego?

- No, tak - przecież to Chińczyk! - Dalajlama nie wydawał się wcale żartować. - Wiesz! - do głowy przyszła mu nagła myśl - On może nie być obiektywny. Myślę o Jadeitowym! Jest Chińczykiem, może chce podważyć przepowiednię i zatrzymać nasz pęd do niepodległości. Może on chce - zastanowił się - utrzymać Tybet w ramach Chin?

- To zrozumiałe! - zażartował już rozluźniony Aywan - Tam ma kilkaset milionów wyznawców, sto razy tyle co u nas!

- To wcale nie musi być żart! - Thubten był poważny - Zaraz! Zapytajmy o zdanie Awalokiteśwarę!

Dalajlama pociągnął za jedwabny sznurek dzwonka. W drzwiach

pojawił się tybetański służący.

- Przynieś miskę i ciasto do wróżenia! - Chłopak zakręcił się jak fryga.
- Poczekaj! - przywołał go Thubten z powrotem - Weź z recepcji listę gości! Idzie o kobiece imiona. Zupełnie przypadkowe imiona! - dodał jakby dla usprawiedliwienia dziwnego żądania.

Thubten dostrzegł zdumienie lokaja. Służący miał minę zaskoczonego rosomaka. Znał prastary obyczaj wróżenia z kulek ciasta, ale nigdy nie słyszał, aby jego przedmiotem były kobiety. Skulił się jednak posłusznie i zbiegł ze schodów. Po chwili był z powrotem. Ostrożnie obejmował głęboką porcelanową miskę i miękkie, nie za wilgotne, ciasto z jęczmiennej mąki. Dalajlama odprawił go ruchem ręki i przystąpił do przygotowań. Imiona kilkunastu losowo wybranych z listy kobiet spisał na małych karteczkach, które umieścił wewnątrz ugniecionych delikatnie kulek ciasta. Dodał do nich dwa imiona - Liu i Mai. Zamieszał ręką w naczyniu. Kulki ciasno zbiły się na dnie. Dalajlama pomodlił się i energicznie zakręcił miską. Z kruchej porcelanowej naczynia wypadły dwie z nich. Za-

padła chwila ciszy. Aywan przestał oddychać. Thubten powoli rozkręcał karteczki z imionami. Bez słowa podał je Aywanowi. Ten przeczytał z drżeniem serca. Na jednej widniało imię 'Liu', na drugiej - 'Mai'.

-Powtórzmy wróżbę! - powiedział.

Thubten wypełnił miskę kulkami ciasta i zakręcił ponownie. Z naczynia znów wypadły - niemal równocześnie - dwie z nich. Odczytał je znowu i podał Aywanowi. *Wróżba* brzmiała identycznie: 'Liu' i 'Mai'.

- Państwowa wyrocznia - Dalajlama był zafrasowany -

mówiła o jednej kobiecie i jednym dziecku. Chyba będziesz musiał rozszerzyć zakres swych zainteresowań! - roześmiał się z własnego dowcipu - W każdym razie ode mnie masz dyspensę w imieniu całego Tybetu. Ale Aywan się nie śmiał. Chciał tylko Mai. I nikogo więcej!

5. Aywan postanowił oderwać się od problemów dnia dzisiejszego. Najlepszym, jak sądził, sposobem, będzie wizyta w Muzeum Indyjskim, położonym po drugiej stronie ulicy. Wymknął się późnym popołudniem z hotelu i szybko przeszedł brukowaną jezdnię. Budynek *Indian Museum* utrzymany był w angielskim stylu kolonialnym, ale wyróżniał się wspaniałą, monumentalną fasadą. Aywan pragnął pobyć sam i wszystko spokojnie przemyśleć, zastanowić się nad wszystkim, podsumować *pędzące wydarzenia, z którymi nie zdołał się oswoić*. To, co o Muzeum wiedział, miało dla niego szczególne znaczenie. Mogło świadczyć o tym, że - tak często podważane walory cywilizacji europejskiej, wdzierającej się do Azji wszystkimi bramami - mogły mieć jednak jakąś wartość. Muzeum Indyjskie założono w 1814 roku. Rychło stało się ilustracją wkładu angielskich uczonych do cywilizacji indyjskiej. Więcej, bez nich historia Indii mogłaby być nieznana samym mieszkańcom. Anglików, jak większość Europejczyków, cechuje ciekawość świata. Sami Hindusi nie byli własną historią zainteresowani, ze względu na szczególny sposób postrzegania przez nich czasu. Zachodnie zainteresowanie historią wynika z uznania go za funkcję liniową. Na linii można oznaczyć najważniejsze punkty - wydarzenia przeszłe oraz zapowiadać przyszłe. Hinduistyczna wiara w wędrówkę dusz i wieczne koło *satnsary* - śmierci i

ponownych narodzin, powoduje, że czas ma w Indiach wymiar kolisty, a nie ciągły. Jak powiadają indyjscy mędrcy - życie jest jak świeca zapalana płomieniem starej. Stara się skończyła, nowa płonie, świece topią się jedna po drugiej, ale płomień jest stale ten sam. W związku z pojmowaniem losu człowieka jako wiecznej wędrówki dusz -teraźniejszość jest jedyną realną wartością. To, co dzieje się dzisiaj, dzieje się naprawdę. Przeszłość - to nasza pamięć, blaknąca z każdym dniem, a przyszłość - to wyobraźnia i to ułomna, bo skażona niespełnionymi pragnieniami i niepokojami. Z hinduskiej filozofii wynika przekonanie, że czasu przeszłego nie ma, liczy się tylko teraźniejszość, więc i nauki badające przeszłość, znane w Europie jako nauki historyczne, są - w myśl hinduizmu - sprzeczne z elementarną logiką i nie warte wysiłku. Zainteresowanie historią Indii pojawiło się tam dopiero z przybyciem Brytyjczyków i razem z ich sposobem postrzegania czasu.

W kilkunastu galeriach wielkiego budynku Muzeum Indyjskiego rozlokowano największe skarby kultury. Był mau-ryjski kapitel z 111 stulecia przed n.e., ozdobiony lwami. Ay-wan nie mógł wiedzieć, że w pół wieku później stanie się godłem niepodległych Indii. Zbiory archeologiczne zawierały masywną bramę z Barhutu, ozdobioną płaskorzeźbami przedstawiającymi życie Buddy. Muzeum posiadało najcenniejszy zbiór figurek z Pali oraz cudowną kolekcję buddyjskich rzeźb z okresu Gandhary, w których zaznaczały się wpływy sztuki greckiej. Były też fragmenty stupy z 11 w. p.n.e., odnalezione w stanie Madhja Pradesz, wspaniałe kolekcje tkanin, malowidła z Kalighathu, palijskie miniatury i wyroby z brązu. Była również wystawa o pochodzeniu języków Indii, świadcząca nie tylko o bogatej historii

subkontynentu, ale o ich pokrewieństwie z narodami Europy. Ta zainteresowała Aywana najbardziej. Znowu musiał przyznać zasługę Europejczykom. To angielscy lingwiści zauważyli, że ludzkie języki żyją życiem podobnym do organizmów - mają swoją młodość, rozwijają się, a czasem - umierają. Ludzie, używając języka, wydają się nad nim całkowicie panować. Tymczasem, język rozwija się i zmienia mimo ich woli i wiedzy. *Sanskryt*, to język starożytnych Indii, język świętych tekstów i hinduistycznej filozofii. W okresie buddyzmu, z którego wywodzi się tybetański lama-izm, sanskryt przekształcił się we własne dziecko - język średnioindyjski - *pali*, w którym spisane są najważniejsze teksty tej religii. Teraz, w Indiach mówi się językami *nowoindyjskimi* - wnuczętami sanskrytu. Aywana zafrapowała informacja, że języki Indii w większości należą do tej samej rodziny, co języki Europy. A więc, pochodzą od wspólnego przodka, jakiegoś języka pra-indoeuropejskiego. Tybetański jest niepodobny, ma powiązania z birmańskim, ale przyswoił sobie wiele pojęć z sanskrytu i języka pali i wiele słów ma z nim tożsamy. Czy to, że teksty sanskryckie jest trudno przetłumaczyć na chiński, nie jest powodem odmienności chińskiego buddyzmu? Na przykład podstawowe pojęcie buddyzmu - *anatman* - 'brak jaźni', 'nie-jaźń' jest - z braku odpowiednika - tłumaczona w chińskich tekstach jako 'pustka', a przecież ma to całkiem inne znaczenie! 'Pustka' to nie to samo, co 'brak czegoś'. Jadeitowy Budda z Szanghaju też był inny - nieprzyjemny i obcy.

Po wizycie w *Indian Museum* Aywan poczuł się spokojniejszy. Myślenie i logiczna analiza podziałały kojąco. Wziął klucz do apartamentu z hotelowej recepcji.

- Chwileczkę! - zatrzymał go recepcjonista. Miał śniadą twarz Tamila - zęby i oczy błyskały białością. Aywanowi kojarzył się z braminem ze świątyni Kali w Rangunie.
- Uueeh! - wzdrygnął się na wspomnienie i odpędził natrętny obraz.
- Pytała o pana jakaś pani! - powiedział Tamil.
- Pani? O mnie? - Aywan nie ukrywał zdumienia.
- Piękna pani! - podkreślił recepcjonista - Młoda i piękna pani!
- Czy podała imię? - Aywan czuł, że serce wyrywa mu się z piersi.
- Nie! - Tamil uśmiechnął się lubieżnie - Pytała tylko o numer pańskiego apartamentu!

Aywan nie miał ochoty ciągnąć rozmowy. Tamilski recepcjonista działał drażniąco. Odwrócił się bez słowa i skierował ku schodom. W holu na jego piętrze nie było nikogo. Przekręcił klucz w zamku, obejrzał się za siebie. Pusto. Cicho. Poczłł zawód, serdeczny zawód. Wszedł do pokoju. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie rozpocząć wieczornej medytacji, ale czuł się niespokojnie. Wyciszenie zabrałoby zbyt dużo czasu. Szybko znalazł się pod chłodną, bawełnianą i wspaniale miękką pościelą łoża. Te hotelowe łóżka zawsze go zdumiewały. Były wielkie, rozłożyste, jakby czekały na całą królewską rodzinę. A on był sam. Nie, żeby samotny. Po prostu sam. Przed snem nawiedzały go różne myśli. Starł się przyciągnąć do siebie te dobre, niosące miłe wspomnienia. Szybciej zasypiał i budził się wypoczęty.

Obudził go szmer. Wytracony ze snu pomyślał, że jest w klasztornej celi i przez pryczę - co się zdarzało - przemknął szczur w drodze do kuchni. Ale nie, wyczuwał tylko delikatność bawełnianej pościeli.

- Złodziej? - pomyślał z pretensją do siebie - Czy nigdy nie nauczę się zamykać drzwi na klucz? - W klasztorze, drzwi celi nie miały zamków.
 - Ciiichoooo! - usłyszał znajomy szept. Usta zamknął mu pocałunek, a z nim owionął go delikatny zapach orchidei zmieszany ze szczyptą imbiru.
 - Mai? Ty tutaj? - Aywan nie ukrywał zdumienia, ale i radości.
 - Mój pokój mieści się w sąsiednim skrzydle hotelu! -szepnęła - Pomyślałam, że cię odwiedzę. Masz coś przeciwko temu? - pytanie było zalotne. Nie miała na sobie nic. Czuł jej gładką skórę pod opuszkami palców.
 - Ile ma już nasze dziecko? - Nie mógł powstrzymać się przed zadaniem tego pytania. Mai roześmiała się serdecznie.
 - Wiek dzieci - odrzekła filuternie - liczy się dopiero po urodzeniu. A to nastąpi - widział jak liczyła na palcach w świetle księżyca zagląającego przez okno - za... osiem miesięcy!
 - Czuję się winny, głęboko winny! - wyszeptał - Zostawiam cię tutaj w takiej sytuacji i do tego bez żadnej opieki!
 - Nie martw się o opiekę! - odparła przekornie - Zawsze ktoś się znajdzie! Ojciec chce, abym zajęła się jego plantacją. Czeka ją go awanse w Anglii i długo tu go nie będzie. Zajęć mi nie zabraknie!
- Znowu pomyślał, że, chociaż czuje się winny, to jednak ta beztroska, z jaką dziewczyna przyjmuje nieuniknioną rozstania, jest w stanowczym konflikcie z jego męską ambicją.
- Chociaż, właściwie - pomyślał - powinienem ją podziwiać. Jaka kobieta poszłaby dzisiaj na takie szaleństwo i ryzyko?

•Oboje wiemy, że to nie tylko nasze ryzyko! - Mai odgadywała jego wątpliwości - Sam wiesz, że ryzyko podjęło za nas przeznaczenie!

•To prawda! - zgodził się Ay wan - Dzisiaj Dalajlama zrobił nawet wróżebną próbę. Próbę dotyczącą nas dwojga.

-I jak wyszła? Pomyślnie? - Pytała z wesołością, jakby ta wspólna chwila rekompensowała nieuchronność rozstania.

-Dwoiście! Wróżba wymieniła dwa imiona. Twoje i jakiegś Liu.

Mai zamilkła. Przez chwilę oddychała cichutko, po czym wybuchła głośnym, za głośnym jak na środek nocy, śmiechem. Śmiała się po swojemu, dziewczęco, obnażając dwa rzędy białych, równych zębów.

-Przestań! Jest noc! - Nie chciałem cię urazić!

Mai śmiała się dalej, jakby nie mogła się powstrzymać. Nie był to śmiech histeryczny, ani śmiech zawodu, ale serdeczny, wesoły śmiech kobiety, która doskonale kontroluje swój los. Przywarła do niego w nagłym poczuciu bliskości. Czuł na sobie jej małe, ale twarde jeszcze piersi. Pomyślał, 'jeszcze', bo przecież niedługo staną się centrum uwagi ich dziecka, a nie przedmiotem męskiego podziwu. Ale on nie odczuwał tego, co poczułby na statku. Nie doznawał pobudzenia, ani potrzeby zbliżenia. Nic. Pomyślał, że źle byłoby, żeby sprawa zakończyła się kompromitacją jego męskości. Dalej nic. Nawet, gdy poczuł jej dłoń na swojej intymności. Po prostu nic.

•Wiem, nie przejmuj się! - szepnęła mu do ucha - Zadanie wykonane, Tybet uratowany! Czyż nie?

•O jakim zadaniu mówisz?

Aywan próbował ratować sytuację, chociaż wiedział, że to ona ma rację. Od chwili, w której dotarło do niego, że Mai będzie miała dziecko, jego dziecko! - przeznaczenie przestało od niego żądać czegokolwiek. Utracił potrzebę cielesnego kochania! To znaczy, kochał ją samą może nawet bardziej niż przedtem, ale był z tym sam, bez pomocy i wsparcia przeznaczenia. A to oznaczało klęskę, przynajmniej chwilową.

- Nie wiem, co się dzieje! - wyznał - Kocham cię tak bardzo, jak nikogo innego, ale chyba nie jestem panem siebie. Coś mną kieruje. Nie wiem, czego chce! To jest irytujące! - dodał podniesionym głosem.
- Przestań! - uspokajała Mai - Nie buntujmy się przeciw siłom, których nie rozumiemy. Może to nasza ostatnia noc? Chcę być przy tobie jeszcze przez chwilę! - Za moment słyszał jej równy oddech.

Aywan zaczynał rozumieć. Przeznaczenie sterowało jego biologiczną naturą. Nie wtrącało się jednak w uczucia.

- Co za obojętność! - pomyślał z oburzeniem.
 - Może to i dobrze? - myśl błąkała się dalej - Moja miłość do Mai, tak niewyobrażalnie wielka, jest tylko moją własnością i moim własnym przeżyciem, moją wyłącznością! Nikomu nic do tego! Nawet samemu Śakyamuniemu! Ode mnie żądano tylko prokreacji, jedynie czynności fizycznych, nie wtrącano się w moje uczucia! Prostactwo! - zdążył pomyśleć - Czyżby nie interesowało ich moje człowieczeństwo, tylko ta część najbardziej zwierzęca? Zasypiał.
 - Tybet czeka na syna! - w ciszy rozległ się głos Jadeitowe-go - A jak na świat przyjdzie córka? Co wtedy? - Głos pobrzmiwał sarkazmem.
- Aywan nie dosłyszał złości. Zasnął wtulony w ciepło jej oddechu.

6.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W październiku 1911 roku w Chinach wybuchła antymandzurska rewolucja. Małoletni cesarz Puyi został zdetronizowany. Krajem rządził chaos. Chiny stały się republiką, prezydentem został Sun-Ya-Tsen. Powołano ogólnochiński parlament. Nie trwało to długo. Władzę zagarnął generał Yuan Shikai, próbując przywrócić cesarstwo, tyle, że nowego cesarza widział we własnej osobie. W 1912 roku ogłosił mocarstwową proklamację, stwierdzającą, że Tybet i Mongolia są integralnymi częściami Chin. Rozlewający się chaos zakradł się też do wojsk chińskich rozlokowanych wokół Lhasy w dolinie rzeki Zangpo. Trzy i pół tysiąca żołnierzy zostało pozbawionych łączności, zaopatrzenia w żywność i amunicję.

W reakcji, Dalajlama oświadczył z indyjskiego wygnania, że przejmuje całą władzę - duchowną i świecką oraz zrzeka się wszelkich tytułów otrzymanych od władz chińskich. Była to pierwsza, otwai-ta deklaracja niepodległości. Dalajlama zdecydował, że cała delegacja tybetańska, przebywająca w Indiach, natychmiast powróci z nim do Lhasy, gdzie zostanie utworzony samodzielny rząd niepodległego państwa. Aywan natomiast, uda się przodem, by przygotować przyjęcie Dalajlamy na Lwi Tron oraz pojedzie do Urgi, aby podpisać - w jego imieniu - wspólną mongolsko-tybetańską deklarację oderwania się od Chin.

Tybetańscy uchodźcy wyruszyli z Kalkuty na północ wiosną 1913 roku. Szło o to, aby zdążyć do podnóży Himalajów przed letnimi monsjunami, splukującymi górskie drogi. Aywan wyruszył przodem, już w lutym. Od czasu niespodziewanej wizyty Mai w hotelowym apartamencie, nie widział jej w Kalkucie. Podobno, wkrótce potem, odjechała wraz z od-

działem Charlesa B. II'a, powracającym do Gantoku - stolicy księstwa Sikkim.

Indie pod panowaniem brytyjskim miały dobrze rozwiniętą sieć kolejową. Z Kalkuty na północ Bengalu prowadziła linia torów biegnących wzdłuż doliny Gangesu, aż do Delhi. Aywan jechał na północ nowoczesnym, szybkim pociągiem o dumnej nazwie *Assam Mail*. Krajobraz, który przesuwał się przed oknami był zdumiewający. Dolina Gangesu i Brahma-putry, to najżyźniejsza ziemia świata. Płaskie tereny dokładnie uprawianych pól sięgały horyzontu. Nigdzie lasów i nieużytków. Jak okiem sięgnąć niezmierzone pola roślin uprawnych. I krzycząca bieda. Ścieżkami i drózkami przesuwały się rzesze ciemnoskórych postaci, wyłaniające się z krytych słomą okrągłych chat, zarzuconych stosami suszących się placków łąjna. Od stuleci nie ma tu już lasów. Jedynym dostępnym paliwem jest krowie i bawole łąjno, mieszane z siekaną trzcina, lepione w nieforemne brykiety i suszone na słońcu. Chude, ale nie nędzne, białe i garbate krowy rasy zebu, ciągnęły pługi i wózki o drewnianych kołach. I wszędzie byli ludzie. Masa ludzi. Pariasi, niedotykalni Hindusi, ubrani jednostajnie na biało podążali we wszystkie strony w niespiesznych interesach nędzarzy.

Jedna z odnóg linii kolejowej kończyła się w Jaipalguri. Stąd trzeba było dotrzeć do sąsiedniej miejscowości - New Jaipalguri, aby przesiąść się do *HM Rail* - kolejki górskiej, która docierała aż do Dardżiling, znanego górskiego kurortu. Aywan otrzymał do dyspozycji w New Jaipalguri cały wagonik miniaturowej, wąskotorowej kolejki. Zbudowana jeszcze w 1881 roku, wspinała się po urokliwych wzgórzach, otaczających kurort. Miasto było małą Anglią. Od kilkudziesięciu lat pracownicy administracji

brytyjskiej uciekali wilgotnemu i gorącemu monsunowi, zalewającemu bezlitośnie ulice Kalkuty, do tej górskiej miejscowości, gdzie mogli oddychać świeżym, chłodnym powietrzem i napawać oczy graniami Himalajów. Aywan znał ten widok od północnej strony. Z Lhasy wyglądały groźnie, ale nieco ponuro. Stąd, podświetlane promieniami południowego słońca, lśniły blaskiem wiecznych śniegów i błyszczały granitem. Nad wszystkim górował masyw Kanczendzangi - trzeciej najwyższej góry masywu, a za nią majaczyła Czomulungma - najwyższa góra świata, zwana przez Anglików - Mount Everest. Jej szczyt wbijał się wyzywająco w niebo i patrząc na nią z zielonych wzgórz otaczających Dardżiling, Aywana przestawało dziwić, że wszystkie okoliczne narody uważają Himalaje za twór bogów.

Górska kolejka miała do pokonania ponad pięćdziesiąt mil. Miniaturowa lokomotywa, zbudowana w szkockich warsztatach, sapała i prychała wspinając się na kolejne wzgórze, tylko po to, aby zaraz potem radośnie zjeżdżać w dolinę. Cała podróż do Dardżiling trwała siedem godzin. W niektórych miejscach kolejka zwalniała ze zmęczenia, albo na chwilę przystawała, tak, aby przygodni handlarze mogli oferować pasażerom coraz to inne gatunki miejscowej herbaty, słynącej z delikatności smaku i aromatu.

Kolejka pięła się coraz wyżej. Nie było już widać niedotykalnych Hindusów i ich słomianych chat. Pojawiły się budynki Newarów, mieszkających jak w muzeum - w domach zdobionych niezwykle snycerką w himalajskim drewnie. Coraz więcej było budowli z kamienia. To, z kolei, domy Szerpów. W przeciwieństwie do Hindusów, otoczonych

gromadami brudnych dzieci, buddyjscy Szerpowie - podobnie jak Bhutańczycy i Tybetańczycy - przywiązują większą wagę do ich wykształcenia, niż liczby.

Aywan nie mógł odpędzić myśli, że mija właśnie miejsce, w którym osiadła Mai. Od ich ostatniego spotkania minęło kilkanaście miesięcy. Tam, gdzieś, w którejś z tych zielonych dolin, jest jej plantacja, jej dom i jej dziecko. Jego dziecko! Ma już za sobą kilka miesięcy życia. Czy płacze? Czy zobaczy kiedykolwiek ojca? Czy w ogóle dowie się, kto jest ojcem?

Kolejka dotarła do miejsca przeznaczenia - do małej stacyjki końcowej położonej tuż za Dardżiling, na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. Stamtąd, rozciągał się widok na miasto, leżące w głębokiej dolinie, pełne zieleni, rezydencji i kwitnących ogrodów. W centrum mieściły się wytworne wille, restauracje i sklepy. Wszystko było bodaj bardziej 'angielskie', niż w samej Anglii. Czyste, chłodne powietrze, uczyniło z miasta miejsce prawdziwego wypoczynku.

Aywana czekała teraz przesiadka na konie, przyprowadzone z Lower Bazaar, biedniejszej części miasta, zamieszkałej przez rzeźników, kulisów, riksiarzy i zbieraczy drewna, a potem ciężka droga do Tirmai na górze Durpin Dara. Później, górską ścieżką miał dotrzeć do klasztoru Tarpa Choling, ostatniego noclegu przed granicą Tybetu. Nie przyszło mu podróżować samemu. Na końcowej stacyjce górskiej kolejki w Dardżiling czekał na niego z powitaniem sam Charles Bell, angielski rezydent w księstwie Sikkim, w towarzystwie Szerpy - zawodowego przewodnika znającego górskie przejścia.

Bell był brytyjskim majorem o ogromnym doświadczeniu w sprawach

Tybetu i północnych Indii. Z jego rad korzystali kolejni gubernatorzy. Był też bliskim współpracownikiem i przyjacielem Francisa Younghusbanda, który powierzał mu opiekę nad plantacją, ilekroć sam udawał się do Londynu. Pułkownik wyjechał tam po odbiór generalskich szlif, przyznanych za zasługi dla Korony. Aywanowi wydawało się, że rozpoznaje w majorze młodego, przystojnego adiutanta Younghusbanda z czasów wojny 1904 roku. Wtedy był wesoły i dziarski. Teraz wyglądał na przygaszonego i zamkniętego.

- Czy major jest chory? - Ay wan skierował pytanie do Ten-zinga, przewodnika mającego wskazać mu drogę do klasztoru, a potem do granicy z Tybetem.

Szerpa był szczupłym mężczyzną, o zwartej, krótkiej figurze, miał muskularną, szeroką twarz, ale tkwiły w niej lekko skośne, czarne, mądre oczy. Przypięty do pasa gurkhijski nóż bojowy nadawał mu groźny wygląd wojownika. To specjalny nóż o wielkiej sile cięcia. Daje się nim ścinać nawet małe drzewa. Częsteczki stali klingi, na skutek wielokrotnych przekuwań, są ukierunkowane tylko w jedną stronę. Wtedy ostrze staje się tak twarde, że można bez szkody odszczepić wiór stali z innego, zwykłego noża. Sąsiadujący z Szerpami Gurk-howie, utrzymują, że gdy nóż zostaje wyjęty z pochwy, musi zobaczyć kroplę krwi, inaczej przestaje nadawać się do walki. Każdy Gurkha w okresie wojny utrzymuje na ręce małą ranę. Nóż stale widzi krew, jest zawsze gotowy i nie zawodzi właściciela w potrzebie.

-Nie! - Szerpa przyglądał się uważnie Aywanowi.

Najwyraźniej lustrował go, na ile można zaufać obcemu. Rudobrzęzowe odzienie mnicha uznał za wystarczającą gwarancję zachowania poufności.

Szerpowie, to szczególny lud, mieszkający w Himalajach, na terenie Nepalu, Sikkim, Bhutanu i Indii, używający języka zbliżonego do tybetańskiego. Przywędrowali dawno temu z Tybetu i wyznają lamaistyczny buddyzm, ale zachowali dawny kult przodków. Mężczyźni zajmują się hodowlą jaków, kobiety uprawiają górskie poletka. Dodatkowym zajęciem Szerpów jest praca wysokogórskich tragarzy i przewodników ekspedycji.

- Nie! - powtórzył po chwili Szerpa - Major nie jest chory. Jest tylko nieszczęśliwy!
- Szkoda, że nie jest buddystą! - zauważył Aywan - Wiedziałby, że przyczyną cierpienia jest pożądanie. Pozbycie się pożądania, uwalnia człowieka od cierpienia.
- Nie wiem - odparł Tenzing - czy majorowi by to porno-gło!
- Każdemu pomaga! - Aywan wrócił do swojej roli nauczyciela - pomogłoby i jemu!
- Nie zawsze pomaga! - upierał się Szerpa.
- A kiedy nie pomaga? - drażył Aywan.
- Nie pomaga, na przykład, na kobietę! - Tenzing spojrzał na mnicha z wyrazem wątpliwości w oczach, czy jest właściwym rozmówcą w tej sprawie.
- Major jest zakochany? - Aywan poczuł ściśnięcie serca. To było współczucie. Sam znał podobne uczucie - tyle, że nie był nieszczęśliwie, ale wręcz tragicznie zakochany.
- Gorzej! - Tenzingowi też było żal majora.
- Co może być gorszego od nieszczęśliwie ulokowanego uczucia? -

Aywan był szczerze zdziwiony.

- Może! - Szerpa był uparty - To w Dardżiling powszechnie znana sprawa! - powiedział po chwili - Major jest nieszczęśliwie zakochany we własnej żonie!
- A to jest ewenement! - Teraz Aywan, zamiast współczucia, poczuł lekkie rozbawienie - Kochać się we własnej żonie i do tego nieszczęśliwie! Chyba, że to jakaś romantyczna historia!
- Romantyczna i nieromantyczna! - wyjaśniał przewodnik - Raczej tajemnicza! Zresztą, gdybyś - Szerpowie nie używają form grzecznościowych - zobaczył jego żonę przestałbyś się temu dziwić.
- Taka piękna?
- Piękna, to mało! - Tenzing rozmarzył się - Ona jest - zawahał się szukając odpowiedniego określenia - i fascynująca i tajemnicza jednocześnie! Mężczyźni miękną przy niej jak воск! Robią się tacy zabawni! - zaśmiał się tak, jakby za nic miał męską solidarność.
- Wyszła za niego bez miłości, czy też kocha kogoś innego?
- Tego nikt nie wie! - koń Szerpy odskoczył spłoszony kamieniem, spadającym z góry. Uspokoił zwierzę krótkim klepieniem w szyję - Major musiał być bardzo zakochany - mówił przewodnik - skoro adoptował jej dziecko. A ona nie mówi, kto jest ojcem. Gdy jest w dobrym nastroju, odpowiada podobno, że dziecko zrobił jej sam Budda!

Aywan poczuł alert! Czy to Mai jest żoną Bell'a? Czy ten świat nie oszczędzi mu już żadnej niespodzianki? Powstrzymał gwałtowną reakcję w obawie przed spłoszeniem informatora.

- To jakieś świętokradztwo! - stwierdził głucho. Szerpa nie zauważył nagłej zmiany.
- Niekoniecznie! - odparł - Podobno, gdy ta kobieta przychodzi do świątyni - jedynej w całym mieście - posąg zaczyna się uśmiechać. Ludzie nawet przebąkują o cudzie!
- A jakie jest jej, no - tej żony majora - nazwisko panieńskie? - Aywan chciał być całkowicie pewien.
- To córka pułkownika, zaraz! Chyba już generała! Tak, generała Francisa Youghusbanda. Znasz go? - zaciekawiał się Tenzing.
- Znam, to za dużo! - szybko skłamał Aywan - Spotkałem go kiedyś na swej drodze.

Grupa konnych docierała do Kalimpongu, miejscowości położonej pośród lasów i herbacianych pól. Przekraczali mostek na rzece Tista, stanowiącej granicę księstwa Sikkim. Z jej drugiego brzegu wiał znowu tropikalny, duszny upał. Po obu stronach rosły, kwitnące właśnie obficie, drzewa mandarynkowe i miejscowa odmiana bananowców o krótkich i grubych, ale bardzo słodkich owocach. Kwiaty drzew dominowały tak silnie nad całą okolicą, że powietrze nabierało intensywnego, słodkiego zapachu.

Szerpa zrobił tajemniczą minę.

-Może to miejsce ma wpływ na samopoczucie majora! - Tenzing wskazał ręką potok płynący w dole zadziwiająco prostą linią. - Lepczowie, miejscowa ludność, twierdzi - historia, którą wspominał wyraźnie go poruszała - że ta rzeka, Tista, a zaraz dalej druga - zrobił głową ruch do przodu -

Rangit, to niegdysiejsza para nieszczęśliwych kochanków, którzy w górach usiłowali ukryć swoją miłość przed złymi ludźmi.

-1 co? Udało im się? - Aywan robił wszystko by Szerpa nie zauważył jego poruszenia.

-Udało! - uśmiechnął się przewodnik - Ona spłynęła prosto drogą wskazywaną przez biegnącą kuropatwę, a on - po pędził za uciekającą kobrą. Dlatego Tista płynie prosto jak strzeł, a Rangit wiję się jak wąż! Ale w końcu połączyli się w jedną rzekę Paszoke - Szerpa wychylił się z konia, wyciągając się ponad poręczą mostku - Ot, tam dalej, w dole! Już są razem! - Tenzing był wyraźnie zadowolony ze szczęśliwego zakończenia miłosnej historii.

Aywan myślał o tym, że jego miłość jest podobnie nieszczęśliwa, bo zmuszona do pozostawania w ukryciu. Tyle, że - inaczej niż Tistę i Rangit - jego i Mai nie połączy już nigdy nikt. Chciało mu się płakać. Zatrzymał konia, zeskoczył z siodła, zaczepiając wodze o pobliskie drzewo. Zdumionego przewodnika poinformował oschłe, że znalazł miejsce dla ważnej medytacji. Dogoni go na miejscu, w klasztorze. Stanowczość głosu spowodowała, że Tenzing oddalił się bez najmniejszego sprzeciwu. Aywan usiadł na przydrożnym kamieniu. Stąd, widać było wyniesienie, za którym skrywało się Dardżiling. Łagodne, niewielkie, ale liczne wzgórza pokryte były kwitającymi krzewami herbaty o intensywnie zielonych liściach. Między nimi wiły się zwirowane ścieżki, na których widać było uwijających się zbieraczy z wiklinowymi koszami na plecach. W Dardżiling mieściła się fermentownia i paczkarnia herbacianych liści.

Wieczorem czuć było ich delikatną woń, snującą się po wzgórzach. Gdzieś tam, daleko -pod czerwono zachodzącym słońcem - jego Mai krząta się zapewne przy wieczornych czynnościach. Może karmi dziecko? A może przygotowuje kolację dla domowników? Wyobrażał ją sobie w kuchni, w jadalni, na ganku, świeżą, młodą, o sprężystych ruchach. I wiedział, że nigdy nie będzie jego. Nie zauważył, kiedy łzy wytoczyły mu się kącików oczu. Płakał jak bóbr. Żał do siebie, do Buddy, do całego świata rozdzierał piersi. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Wyrwało mu się z ust jedynie coś na kształt szlochu. Padł na ziemię w pokłonie modlitewnym. Ruszył na północ - w kierunku Tybetu, nie odrywając ciała od ziemi. Klęk, padnięcie, wyciągnięcie rąk po ziemi, dotknięcie jej twarzą! Klęk, padnięcie, wyciągnięcie rąk po ziemi, dotknięcie jej twarzą! *Om mani padme lium! Om mani padme hum! Om mani padme kum!* „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” Klęk, padnięcie, wyciągnięcie rąk po ziemi, dotknięcie jej twarzą!

Późną nocą pątnik zapukał do bramy klasztoru Tharpa Choling. Z za pleców furtiana wychylał się zaniepokojony przewodnik. Trudno było rozpoznać modlitewnika. Twarz miał podrapaną, odzież podartą, krew spływała z piersi i brzucha. Za nim człapał osowiały wierzchowiec.

Rozdział czternasty. NIEPODLEGŁOŚĆ.

STRAŻNIK MOCY.

1. Latem 1913 roku był znowu w Lhasie. Od wojny minęło dziewięć lat, ale miasto się nie zmieniło. Powietrze było wypełnione tym samym zapachem dymu maślanych lampek i palących się kadzidełek. Przed świątynią Dżo-k'angu wymieniała poglądy, taka sama

jak dawniej, grupka rozdyktowanych mnichów. Pątniczy okrąg Parkoru rozbrzmiewał nieustającym szwargotem straganiarzy. Gdyby nie to, że przybywający do Potali pielgrzymi, to nowe pokolenie Tybetańczyków, mógłby sądzić, że opuścił miasto wczoraj, a nie wiele lat temu. Nadal było cudownym, tajemniczym i zupełnie nierealnym miejscem, odciętym od reszty świata. Jak okiem sięgnąć, nie widać było obcych. Ruch odbywał się tradycyjnie, zgodnie z kierunkiem obrotu słońca. Nikt nie zakłócał dostojęstwa świętego miasta.

Czuł się jednak kimś innym, niż ten młody i pełen zapału człowiek z przed wojny z Anglikami. Doświadczenia ostatnich lat odsunęły obawy przed zmianami. Widział, do czego społeczny bezruch doprowadził w Chinach. To wielkie, naj-ludniejsze w świecie państwo, zamieniało się w największy chaos na ziemi, z którego wyłoni się zapewne nowy porządek, ale - był tego pewien - będzie to przejście krwawe. W epoce wielkich zmian ludzie tracą hamulce. Wtedy dopiero okazuje się, jak wielką wartością jest stabilizacja. W czasach pokoju, wszyscy mają swoje miejsce na ziemi i swoje punkty odniesienia. Społeczne otoczenie kontroluje zachowania najbardziej ekspansywnych jednostek. Rewolucje, wielkie przemiany, naruszają ten porządek i pozwalają jednym drapać się szybko w górę nad głowami innych. Nawet po piramidach trupów. Zanim nowy ład ujrzy światło dzienne, ludzie trwają w zmianie jak drapieżne zwierzęta. I jak w świecie zwierząt, przetrwać potrafią tylko niektórzy.

Aywan był zdecydowany wesprzeć reformy. Na tyle spokojne, by nie naruszały istniejącego porządku, ale dawały perspektywę zmiany i otwarcia kraju. Wiedział, że będzie to operacja niebezpieczna, zdolna wyrwać się spod kontroli, ale był też pewien, że

brak zmian z całą pewnością skończy się katastrofą. Żaden kraj nie może, choćby położony tak daleko i tak wysoko jak Tybet, uniknąć zetknięcia z resztą świata. Pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć - to, w jaki sposób robić zmiany w kraju, w którym oznaczać one mogły - jak nauczał Konfucjusz - pojawienie się 'nowego', zanim 'stare' ustąpi mu miejsca.

Do kursu na reformy nie musiał przekonywać Dalajlamy. Thubten Gyatso, zmuszony do tułaczki po świecie, także rozumiał sytuację. Dostrzegał przeszkody. Były poważne. Opór zmianom na pewno stawi większość - zarówno mnichów, jak i ludności. Ludzie bez znajomości świata, bez umiejętności porozumiewania się z innymi, bez wystarczającej wiedzy, są trudni do przekonania, bo też i nic nie wiedzą o swej niewiedzy. Są przekonani do swoich racji tradycją i odwiecznym trwaniem, bez względu na racje argumentów. Racjonalność jest następstwem wiedzy, tak jak irracjonalne decyzje zapadają z jej braku, pod wpływem nagłych emocji, objawień i bezpodstawnych nadziei. Aywan liczył na logikę nauczania Oświeconego. Jednym z kanonów buddyzmu jest przekonanie, że nieszczęście i niepowodzenie jest następstwem ignorancji, czyli niewiedzy. Argument o konieczności poznawania jest w tej nauce dobrze przyswojony, ale dotyczy wiedzy o sobie samym i indywidualnego oglądu świata. Ma wymiar jednostkowy, podczas gdy zmiana społeczna wymaga wiedzy o społeczeństwie, nie tylko o sobie. Aywan już wiedział, że wielkie, społeczne przemiany da się przeprowadzić tylko w atmosferze patriotycznego uniesienia.

W pałacu Potala, siedzibie Dalajlamy, w obszernej sali konferencyjnej z wielkim tekowym stołem, ozdobionym rzeźbioną w drewnie postacią Buddy Awalokiteśwary, powrócił obyczaj tygodniowych narad rządowych.

Aywan, jako jego najbliższy doradca, był ich stałym uczestnikiem.

- Dzięki opiece Oświeconego - rozpoczął Dalajlama - nasz kraj jest niepodległy. Podziękujmy mu za to modlitwą.

Obecni odmówili modlitwę dziękczynną i poświęcili w jej intencji chwilę ciszy.

- Musimy być świadomi tego - kontynuował Dalajlama -że nowa sytuacja jest nie tylko następstwem sojuszu z Wielką Brytanią, ale sytuacji w Chinach. Pomógł nam panujący tam chaos. Nasze wojska - mówił to bez cienia satysfakcji - odbiły nawet pogranicze Syczuanu i Quinghai. Pytanie tylko - martwił się głośno - jak długo potrwa dobra koniunktura? Musimy ją wykorzystać, ile się tylko się da!
- Chiny się rozpadają! - Aywan też uważał, że z tego zdarzenia trzeba korzystać - Mamy układ z Mongolią. Od trzech lat jest niepodległym państwem pod władzą Bogd-gegeena. To samo musi nastąpić u nas!
- Mamy też w tej sprawie - zauważył Lonchen Shatra, negocjator tybetański na międzynarodowej konferencji w Simli -poparcie Brytyjczyków.
- To prawda! - przyznał Aywan - Jest to jednak poparcie ograniczone. Anglicy nie chcą zadzierać z rządem chińskim w sprawie Tybetu. Muszą myśleć o swoich interesach w Szanghaju i Hongkongu.
- Jak dalece mogą się posunąć w obronie Tybetu przed Chinami? - dążył Dalajlama.
- Myślę - odrzekł Shatra - że nie będą skłonni do wymuszenia pełnej niepodległości, a jedynie bardzo szeroką autonomię. Taką... no!, prawie niepodległość!

- Po czym tak sądzisz Lonchenie i co przez to rozumiesz? -pytał dalej Thubten Gyatso.

- Okazano mi projekt trójstronnego traktatu! - Shatra wyjął z nesesera kilka rulonów papieru zapisanego w języku angielskim - Oto on!

- Proszę - Dalajlama chciał, aby wszyscy obecni zapoznali się ze stanowiskiem Brytyjczyków - streść jego najważniejsze punkty!

- To ma być układ trójstronny: chińsko-brytyjsko-tybetański. To ważne! - podkreślił Shatra - występujemy w

nim jako równoprawna strona, a nie część delegacji chińskiej, jakby chciał rząd w Nankinie.

- To plus! - zauważył Dalajlama - Co dalej?

- Dalej jest minus, Wasza Świątobliwość! - wyraz twarzy negocjatora był poważny - Właściwie są dwa minusy! Jeden to fakt, że Tybet, podobnie jak Mongolia ma zostać podzielony na Zewnętrzny i Wewnętrzny. Zewnętrzny, to my, tutaj, Wewnętrzny - to tybetańskie okręgi, stanowiące od dawna część chińskich prowincji - Yunanu, Syczuanu, Gansu i Quinghai. Tybet Zewnętrzny ma być prawie samodzielnym państwem z Dalajlamą jako władcą świeckim i religijnym.

- Żadnego parlamentu? Żadnego przedstawicielstwa ludności? Anglicy tego nie żądali? - zdumiał się Thubten.

- Zdają sobie sprawę z tego, że to pomysł nie na miejscu. Wasza Świątobliwość wie doskonale - dodał szybko - że nie akceptowałyby tego wspólnoty klasztorne, a ludność jest na ogromnym górskim terytorium tak rozproszona, że wybory nie miałyby sensu z czysto

technicznych przyczyn.

- A po cóż ludziom wybory? - głośne zdziwienie wyraził Trimonpa - przeor klasztoru Gandan - Wszystkie wspólnoty dają im przykład boskiej demokracji. Zamiast wyborów opatów poszukujemy ich reinkarnacji za pośrednictwem wyroczni. I mylimy się w wyborze właściwych ludzi znacznie rzadziej, niż mylą się zachodnie demokracje!

Aywan spojrział na Dalajlamę wymownie. Obydwaj przyjęli wypowiedź jako przykład spodziewanej reakcji społeczności klasztornych na najmniejszą nawet zmianę istniejącego porządku. A co by się stało, gdyby zacząć prawdziwe reformy?

- A drugi minus? - pytał Dalajlama dalej.
- Drugi, to taki, że - chociaż tylko na papierze - uznana zostaje przez Anglików tytułarna zwierzchność Chin nad Tybetem.
- Co to znaczy tytułarna zwierzchność? - zaniepokoił się Thubten.
- O tym mówi, Wasza Świątobliwość, punkt drugi projektu traktatu. Odczytam go! - Shatra rozwinął rulon z tekstem -

„Uznaje się, że Chiny są w Tybecie suzerenem, ale jednocześnie strona chińska godzi się nie przemieniać Tybetu w swoją prowincję”.

- Nie rozumiem! - zaniepokoił się Dalajlama - co to znaczy 'suzeren'? To samo, co 'suweren'?
- Właśnie! Tej nieokreśloności słowa się obawiam! - powiedział Shatra - Anglicy twierdzą, że to chwyt prawny. Gdyby użyć angielskiego słowa 'sovereignty', to by oznaczało 'zwierzchność'. Użycie w to miejsce pojęcia 'suzereignty', archaicznej i średniowiecznej formuły

angielskiego feudalizmu, oznaczającej bardziej 'opiekę' niż 'zwierzchność', czyni chińskie możliwości działania w Tybecie iluzorycznymi. Jej przyjęcie oznaczałoby, znaczne osłabienie możliwości Chin do wtrącania się w nasze wewnętrzne sprawy! Przynajmniej w granicach prawa międzynarodowego! - dodał ostrożnie.

- Nam jest potrzebna pełna niepodległość, a nie jakaś zawiła chińska 'opieka'! - mruknął Aywan.
- Anglicy obawiają się - komentował dalej Shatra - że Chiny nie podpiszą traktatu, który potwierdziłby oderwanie Tybetu od Państwa Środka. Niestety - dodał smętnie - mają rację! To, co otrzymujemy jest faktyczną niepodległością i być może słowo '*suzereignty*' zostanie przez Chińczyków strawione. Chociaż i tego nie jestem pewien! Różnica między nim a pełną niepodległością jest tak niewielka, że właściwie niczego nie ryzykują nie podpisując traktatu.
- To niedobrze! - Dalajlama był szczerze zmartwiony - Skazuje nas to na wieczne lawirowanie! Wierzę jednak w twój instynkt! - zwrócił się teraz do Shatry - Jesteś doświadczonym negocjatorem.
- Mamy niezależny rząd - Aywan był nadal niezadowolony - ale nie mamy zagwarantowanej niepodległości!
- W polityce nigdy nie ma gwarancji! - powiedział sucho Shatra - Nasz los i tak zależy od międzynarodowego układu sił i od stopnia konsolidacji w samych Chinach. Gdy Chiny się wzmocnią z pewnością sobie o nas przypomną. Chińczycy mają długą pamięć!

Zapadła gorzka cisza. Nikt nie kwapił się do dalszej dyskusji. Właściwie wszystko było jasne. Obecni wiedzieli, że przyszłość nie będzie zależała tylko od nich samych.

-Znasz dobrze Chiny. Jak sądzisz? - Dalajlama znowu zwrócił się znowu do Shatry - Ile mamy czasu?

Shatra nie odpowiedział od razu. Wiedział, że od tej odpowiedzi zależy tempo zamierzonych przez Dalajlamę reform.

- Może trzydzieści, a może czterdzieści lat! Dawniej powiedziałbym - Shatra zamyślił się chwilę - i sto lat, ale teraz świat porusza się szybciej!
- Półtora pokolenia! - podsumował Dalajlama - Mamy czas, w którym dokona się najwyżej jedna, pełna wymiana pokoleniowa. To niedużo, jeśli zważymy, że stawką jest nie tylko niepodległość Tybetu, ale i przyszłość buddyzmu. Wyrocznia mówi, że po mojej śmierci przyjdzie katastrofa. I tylko od naszego przygotowania zależy, czy Tybet ją przetrwa. No i - Dalajlama nie mógł powstrzymać żartobliwej uwagi w stosunku do przyjaciela - troszkę zależy od Aywana!

Aywana już od dawna ten żart nie bawił. Przeciwnie, pragnął o wszystkim zapomnieć i znowu być takim, jakim był dawniej - przed spotkaniem Mai.

2.

Traktat z Simla parafowały wszystkie trzy strony - Tybet, Chiny i Wielka Brytania. W imieniu Chin zrobił to negocjator rządu Republiki - Chen "Yifen. Rząd chiński jednak odmówił ostatecznej ratyfikacji, nie godząc się na zastąpienie słowa 'sovereignty' słowem 'suzereignty'.

Ostatecznie, 3 lipca 1914 roku, dokument końcowy został podpisany tylko przez przedstawicieli Wielkiej Brytanii i rządu Tybetu. Chiny złożyły formalną notę protestacyjną a ich przedstawiciel opuścił konferencję. Brak chińskiego podpisu miał dramatycznie zaważyć na przyszłych dziejach kraju.

Aywan rzucił się teraz w wir pracy. Liczył, że pozwoli mu to zapomnieć o przygodzie z Mai, a umysłowi powrócić do równowagi. Realizował z zapałem rządowy program rozwoju kraju. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozpoczął się wyścig z czasem. Za wszelką cenę trzeba było modernizować kraj i wydobyć go ze średniowiecza. Powstała pierwsza w historii mennica - Tybet nie posiadał dotąd własnej waluty, pierwsza poczta, pierwsza - brytyjska nawiasem mówiąc - szkoła świecka. Zorganizowano łączność telegraficzną, utworzona została zawodowa armia wzorowana na brytyjskiej. Jednak wysiłki, mające na celu ustanowienie kraju podmiotem prawa, utknęły na mieliźnie międzynarodowych konstelacji. Oficjalnie, tybetański rząd był uznawany przez brytyjską administrację Indii, Królestwo Bhutanu, Księstwo Sikkim i Mongolię. Czyli, w praktyce - przez nikogo. Nad uznaniem pełnej niepodległości Tybetu zawisł cień gotowości mocarstw do robienia interesów z ludnymi Chinami, a nie z półpustynnym górskim krajem. W tym względzie, Tybet był na światowej szachownicy mało znaczącym pionkiem.

Aywan i Dalajlama czuli się osamotnieni w swych poczynaniach reformatorskich. Napotykali na silny opór ze strony społeczności mnichów, której wpływ na życie kraju musiał być znacznie ograniczony. Niespodziewana pomoc przyszła od Anglików i to w osobie człowieka, od

którego pomocy Aywan najmniej się spodziewał. W październiku 1920 roku, Wielka Brytania posłała do Lhasy Charlesa Bell'a, rezydenta w księstwie Sikkim. Pod jego kierownictwem rozpoczęto do-zbrajanie armii, brytyjscy doradcy pomagali otwierać nieczynne kopalnie, powstała elitarna, świecka szkoła, otworzono kilka oddziałów banku i zorganizowano nowoczesny system kontroli finansów państwa. Aywan obserwował działania Anglika z sympatią - szły w oczekiwanym przez niego kierunku, jednak za zgodą Dalajlamy i ze względu na pamięć o Mai, nigdy się z nim nie spotkał. Kiedy jednak Bell zaproponował ustanowienie nowoczesnego systemu podatkowego, w miejsce dotychczasowych danin w naturze składanych klasztorom przez chłopów, omal nie doszło do powstania. W lutym 1921 roku dwadzieścia tysięcy mnichów, zebranych wokół Dżo-k'angu z okazji noworocznego święta Monlam usiłowało przegnać angielskich doradców z Lhasy. Dalajlama, dla uspokojenia tłumów, wysłał wojsko na ulice miasta. Kilka dni później, pięć tysięcy mnichów z Drapungu próbowało zaatakować Lhasę z tym samym zamiarem. Znowu użyto wojska. Tego już było za wiele. Zmiany zatrzymały się w miejscu, a Dalajlama stracił serce do dalszych działań. Charles Bell, zrezygnowany, opuścił Tybet wraz ze swymi ludźmi. Przygnębiony Dalajlama obawiał się, że bez brytyjskiego wsparcia, znowu pozostanie mu poddanie się władzom chińskim. Szczęśliwie dla Tybetu, nasilała się w Chinach wojna domowa. Kraj rozpadł się na prowincje rządzone przez wojskowe kliki. W 1923 roku zorganizowali się komuniści, a w kilka lat później wybuchły bratobójcze walki między nimi a nacjonalistami generała Czang-kai-szeka. W 1928 roku wydawało się, że jego zwycięstwo jest ostatecznie przesądzone.

Chiny zostały zjednoczone pod jednym kierownictwem, rezydującym w Nankinie. Rozpoczęto porządkowanie administracji i modernizację kraju. A to oznaczało kłopoty dla Tybetu.

Dalajlama usiłował wybadać sytuację. Polecił udać się do Nankinu swojemu osobistemu przedstawicielowi. Mnich Lo-sang Pasang uzyskał audiencję u Czang-kai-szeka i przywiózł do Lhasy list od generała utrzymany w przyjaznym i pojednawczym tonie. W odpowiedzi, Dalajlama deklarował brak wrogości wobec narodu chińskiego i tłumaczył współpracę z Brytyjczykami względami wyższej konieczności. Wyraził nawet życzenie, aby do Tybetu powrócił jego pro-chiński konkurent - IX Panczenlama. Czang-kai-szek zapowiedział wysłanie do Lhasy przedstawiciela Biura do spraw Obywatelskich, nowo utworzonej organizacji, zajmującej się promocją międzynarodowego wizerunku rządu Republiki. Szło o to, aby rozmowy mogły mieć swobodny, nie wiążący stron, przebieg. Pałac Potala zastygł w oczekiwaniu na kolejny zwrot w międzynarodowej sytuacji.

3.

Dalajlama oczekiwał wysłannika w napięciu. Nie czuł się zdrowy. Lata nerwowego wysiłku, poczucie odpowiedzialności za kraj, opór, jaki stawiały przemianom zastygłe w średniowieczu, archaiczne stosunki społeczne, wprowadzały go w stan nieustannego stresu. Miał jednak nadzieję, że Kuomintang, mieniący się partią demokratyczną i pro-zachodnią nie będzie dążył do zgnięcia autonomii Tybetu. Aywan pomagał mu jak mógł w tej niewdzięcznej pracy. Ciągłe narady, nie kończące się debaty,

podejmowanie decyzji, ich cofanie w miarę narastania oporu - wszystko prowadziło do zniechęcenia i uczucia przygnębienia.

Z jednego powodu odczuwał radość. W 1917 roku upadła carska Rosja. Poczucia satysfakcji nie dawał mu sam jej upadek. W jej miejsce powstała przecież ponura potęga Rosji Sowieckiej, nowoczesnego spadkobiercy mongolskiego imperium z całą jego agresywnością, żądzą podbijania i poniżania innych, a także z gospodarką opartą na rabunku słabszych i bezbronnych. Czuł się jednak wolny, bo wraz z carem przestała istnieć Ochrana - straszliwie skuteczna tajna służba bezpieczeństwa, kładąca się cieniem na całe jego życie. Wiedział, że zadanie, jakie otrzymał za pośrednictwem Miecugowa, zostało wykonane ku pożytkowi Tybetu i niczego nie miał na sumieniu, ale zniknięcie Ochrany odczuł jak westchnienie ulgi. Ciężkie tajnych związków z czasów młodości nie dawał mu spokoju. W szczególności pamiętał o gorliwości, z jaką w dniu przybycia do Lhasy, starszy Cagaa namawiał go do szpiegowania tajemnej mocy tkwiącej w podziemiach Dżo-k'angu. Teraz, po upadku caratu i likwidacji Ochrany był wolny i czuł się wolny. Mógł oddychać pełną piersią i napawać czystym sumieniem. Smutek pojawiał się tylko w chwilach, gdy nachodziły go wątpliwości czy Tybetowi uda się wygrać walkę z czasem.

- Nie wiem, czy damy radę! - powiedział któregoś dnia smutno Dalajlama - Nie wiem czy zdążymy!
- Mam to samo wrażenie, co ty! - Nie możemy jednak załamywać rąk! Musimy wykorzystać każdą szansę! Może -wyraził nadzieję Aywan - ta szansa, to przybycie wysłannika z Nankinu?
- Ona jest już w Lhasie! - rzekł nagle Thubten - Zamieszkała w Kyuchi - jedynym przyzwoitym hotelu w mieście, opuszczonym już przez

chińskich rezydentów.

- Ona? - zdumiał się Aywan - Wysłannikiem Czang-kai-szeka jest kobieta?
- Wyobraź sobie! Przysyła nam kobietę! To ma być zapewne wyraz nowoczesności! - uwaga pobrzmiwała sarkazmem. - Wyzaczyłem jej audiencję na pojutrze. Przyjdź, może to być niezłe widowisko - zwierzchnik światowego lamaizmu negocjujący z kobietą! Co za czasy!
- Proszę o zwolnienie z tej wątpliwej przyjemności! - Aywan nie pragnął już żadnej kobiety w swoim życiu.
- Rozumiem twoje uprzedzenia - mruknął Thubten - ale bądź w pobliżu. Może trzeba będzie coś uzgodnić, zdecydować wspólnie. Nie nalegam na udział w rozmowie, ale bądź pod ręką, proszę!

28 marca 1930 roku Aywan czekał w głównej sali modlitewnej Potali, tak jak sobie życzył Dalajlama. Nie lubił spędzać czasu beczynnie, postanowił oddać się medytacji. Przysiadł na czerwonej poduszce naprzeciwko posągu Buddy Awaloki-teśwary i zatopił się w myślach.

- Om mani pddme hum! Om mani pddme hum! Om mani padnie hum!*
„Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” Przyjmij mnie do siebie i wybaw z ziemskiego cierpienia, zbliż do upragnionego celu - ostatecznego oderwania, niebiańskiego braku problemów, upragnionej nirwany, słodkiego niebytu!
- Pokonuję własne pragnienia - jak zwykle na rozpoczęcie medytacji monotonnie powtarzał w myśli - i wchodzę na szlachetną ośmiokrotną ścieżkę. - Cisza.
- Pierwsza ścieżka - wyliczał - to 'prawidłowe zrozumienie'.

- Druga ścieżka - wchodzę w 'dobre myślenie'.
- Będę się powstrzymywał od krzywdzenia innych i oszukiwania.
- Będę okazywał grzeczność i uprzejmość.
- Nie będę interesowny - Aywan czuł, że zaczyna odrywać się od otaczającej go rzeczywistości.
- Będę rozwijał w sobie szlachetne cnoty - jego głos we

wewnętrzny stawał się coraz cichszy.

Teraz wizualizacja oblicza Buddy! Zamknął powieki. Cisza. Prawie niebyt.

- To jak będzie z tym dzieckiem? - usłyszał znajomy głos - Tysiącoręki Awalokiteśwara patrzył na niego dobrotliwie.
- Przecież mam już dziecko! - głos mnicha zdradzał zaleźnienie - Znowu będzie ode mnie czegoś żądać! Mam już dosyć!
- Tak, masz! - głos był stanowczy - Ale to dopiero ćwierć drogi! Masz córkę! A nam potrzebny jest syn!
- Mam córkę? To Mai urodziła córeczkę? - nie wiedzieć czemu mnicha ucieszyła wiadomość. - Jest ładna?
- Jest piękna! Tak piękna jak matka! - To ciebie w niczym nie usprawiedliwia!
- W czym mnie nie usprawiedliwia? - niepokoił się mnich.
- W tym, że masz córkę, a nie syna jak było umówione!
- Nikt się ze mną nie umawiał! - mnich bronił się słabo - Poza tym, to czy jest córka czy syn, nie zależy od ojca!
- Zależy od siły wiary! Gdybyś wierzył - byłby syn! Sprzeniewierzyłeś

się prorocत्वu, zadbałeś o swoje uczucia, a nie o sprawę najwyższej wagi! Dlatego jest córka, a nie syn! - Mnich milczał w poczuciu winy.

- Poszedłeś za chucią! - Ten głos był inny, bardziej skrze-kliwy, a wypowiedziane słowa miały chińskie tony. Otworzył oczy. Złoty posąg Tysiącorękiego przysłonięty był teraz wizerunkiem chińskiego Buddy z szaro-zielonego nefrytu.

- Temu nie ufam! - pomyślał.

- Nie ufasz, bo cię przejrzałem! - powiedział Jadeitowy - Poszedłeś za głosem serca, egoisto! Sprawa Tybetu przegrana! - posąg miał na twarzy wyraz triumfu.

- Mogę jakoś naprawić szkodę? - wyjąkał mnich. Jadeitowy wykrzywił usta jakby chciał powiedzieć coś ważnego, ale Aywan poczuł na ramieniu rękę sekretarza Dalajlamy. Medytacja została przerwana.

-Dalajlama **pilnie prosi do siebie!** - usłyszał. **To brzmiało**

jak rozkaz.

Aywan pomodlił się jeszcze chwilę, podniósł z medytacyjnej pozycji i ruszył do audiencyjnej części pałacu. Wszedł do pomieszczenia, służącego za poczekalnię przed salą recepcyjną. Była nieduża. Jej rozmiary zmniejszało ciasne wypełnienie wizerunkami Buddy. Ściany zasłaniały *tangki* - alegoryczne sceny z życia Oświeconego, haftowane w jedwabiu. Pod posągami paliły się maślane lampki, nadając powietrzu ciężki zapach. Usiadł w oczekiwaniu na wezwanie. Zamiast tego w drzwiach sali audiencyjnej zobaczył samego Dalajlamę. Thub-ten miał twarz zaczerwienioną podnieceniem. Chwycił Ay-wana w ramiona.

-Zgadza się! Znowu się zgadza! - Thubten był poruszony,

ale i radosny! - Jakaż to piękna, wspaniała kobieta!

Aywan zastygł pełen niedowierzania.

- Dalajlama - pomyślał odruchowo - zadurzył się w chińskiej dziennikarce! Toż to byłby skandal na całą Azję!
- Wasza Świątobliwość! - Aywan chciał Thubtenowi przypomnieć o jego religijnej pozycji - przecież...
- Daj spokój! - obruszył się Dalajlama - Ustaliliśmy, że zanim udzielię oficjalnego wywiadu - wy, we dwoje, przygotujecie jego główne punkty!
- My? - Zaskoczenie odebrało mu mowę - Co to znaczy 'my'?
- No, ty i ona! - To nie mój pomysł! To ona zażądała jako łącznika majora Iwana Dordżijewa! To przecież ty! Nie mylę się, nieprawdaż?
- Skąd mogła znać moje dawno nieużywane nazwisko! -Aywan czuł narastającą irytację - 1 nie rozumiem twojego podniecenia! Czym ja się tutaj różnię od innych?
- Czy wiesz jak ona się nazywa? - Dalajlama ściszył głos do szeptu.
- Jakie znaczenie może mieć jej nazwisko? - irytacja Aywa-na rosła.

-Nie ma? - Dalajlama miał minę triumfatora - Dla ciebie

może nie mieć, ale ma znaczenie dla wyroczni i dla Tybetu!

Ona - Thubten był rozpromieniony - nazywa się Liu Ma-

nqing! Rozumiesz! - śmiał się nerwowo - Liu Manqing! - po

wtórzył - Czy to ci naprawdę nic nie mówi?

Aywan osłupiał. Sądził, że sprawa jego uwikłania w przepowiednie wyroczni znalazła już swój ostateczny finał we wspaniałej przygodzie z Mai, a właściwie - z punktu widzenia wyroczni - w jakiejś omyłce

przeznaczenia. Teraz, wszystko wraca jak odbity promień! I co? Ma zacząć od początku? Ot, tak na zawołanie?

- Jestem poważnym człowiekiem i do tego mnichem - zbierał argumenty - i mam już pięćdziesiąt pięć lat! To nie jest dobry wiek, ani na miłosne uniesienia, ani na rolę kochanka i ogiera jednocześnie! Nie! - powiedział twardo - Za nic!

- Jak to nie?! - Aywan po raz pierwszy widział Dalajlamę rozwścieczonego - Tyle przeżyłeś, tyle dałeś z siebie i chcesz zrejterować tuż przed sukcesem? Sukces wyroczni - prawie krzyczał - to nasz sukces, sukces całego Tybetu! Więcej! - to sukces samego Oświeconego!

Dalajlama dyszał przez chwilę, krew uderzyła mu do twarzy.

- Dobrze wiesz, że On się w to zaangażował osobiście!

Chcesz chyba żebym padł na apopleksję! - powiedział wreszcie z goryczą.

- Co mam zrobić? - Aywan był zrezygnowany, przestał się bronić. Był gotów na ofiarę.

- Iść do niej na rozmowę! Do jej hotelu! - Thubten spojrzał na Aywana z nutką męskiego podziwu - Wiesz gdzie jest Hotel Kyichu? Przy głównej ulicy miasta, tuż przed mostem nad rzeką. Idź!

Aywan zrobił zwrot przez lewe ramię jak dobrze wyszkolony żołnierz.

- To się musi udać! - rzucił za nim Dalajlama - Nie zapomnij założyć rosyjskiego munduru! Masz go chyba jeszcze? To może mieć znaczenie dla tej kobiety! W naszej sytuacji - przymrużył porozumiewawczo oko - musimy zrobić wszystko żeby jej

dogodzić!

4.

Szedł w kierunku hotelu. Minął sakralną drogę, kończącą się przed frontem pałacu Potala - dla pątników, upragniony kres oczyszczającej męki. Ulica prowadziła w kierunku małego Parkoru i świątyni Dżo-k'ang, której złote dachy widoczne były w następnym kwadracie ulic, zaraz za hotelem.

-Nomen, omen! - pomyślał - Wyruszam ze świętego miejsca w kierunku następnego świętego miejsca po to, żeby skrócić za rogiem i potajemnie spotkać się z kobietą! Dobrze, że mam dyspensę! Inaczej bym tego nie przetrwał!

Hotel Kyichu mieścił się za lekkim uskokiem równej linii domów, tuż przed uliczką prowadzącą do Dżo-k'ankgu. Był niewielki i niczym się nie wyróżniał. Wąska ściana frontonu urywała się płaskim dachem nad drugim piętrem. Szklane drzwi, prowadzące do recepcji były otwarte, jakby usiłując dowieść, że przenikliwy chłód nie zatrzyma nadejścia wiosny. Był kwiecień 1930 roku. Powietrze zwiastowało zmianę. Nabrał go w płuca i wyrzucił z siebie pełnym haustem. Wyprężył się jak przystało na rosyjskiego białogwardzistę i wszedł do środka.

-Muszę wyglądać śmiesznie! - pomyślał przechodząc przez otwarte drzwi hotelu - Jestem w mundurze oficera armii nie istniejącej od kilkunastu lat! Ciekawe - myśl była na trętna - jakie mundury noszą teraz rosyjscy komuniści? Do brze przynajmniej, że w Lhasie - zaśmiało mu się coś w środku - nikt nie zna się na rosyjskim wojsku!

Był jednak niespokojny. Nie tylko z powodu zadania, jakie otrzymał od Dalajlamy. Nie czuł się dobrze w mundurze carskiego oficera. Pamiętał, że wojskowy stopień otrzymał za współpracę z tajną służbą. Ochrony już nie było, ale czuł się nieswojo, tak jakby dokonywał aktu zdrady. Wszedł do hotelowego holu sztywno wyprostowany, jak gotów do raportu żołnierz.

- Witam pana majora! - Chinka nie wykazywała najmniejszego zdziwienia. Była starą kobietą, o pomarszczonej twarzy i tak małym wzroście, że głowa ledwie wystawała zza kantorka recepcji - Poprowadzę pana na miejsce! - odchyliła deskę klapy i wydołała na zewnątrz.
- Skąd wie, do kogo przyszedłem? - zastanawiał się, czy o to nie spytać, nie powiedział jednak nic. Przynajmniej - pomyślał z ulgą - nie muszę się przedstawiać!

Podążał za szybko drepczącą kobietą wzdłuż korytarza, wiodącego do wewnętrznego podwórza hotelowych zabudowań. Było zielone i zadbane. Pierwsze wiosenne kwiaty pojawiły się na krzewach klombu. Na blankach wysokiego muru powiewały kolorowe modlitewne wstęgi. Nie było mu jednak do modlitwy. Czuł się rozdygotany i niepewny.

Do klatki schodowej wewnętrznej części hotelu prowadziła ścieżka brukowana rzeczonymi otoczakami. Szli wzdłuż ściany otynkowanej i pobielonej wapnem, pokrytej freskiem wyobrażającym Palden Lhamo, tybetańską boginię — opiekunkę Lha-sy i Dalajlamów. Wedle starej legendy jej dzieci spłodzone z samcem małpy miały stać się początkiem ludzkości. Pokonana przez Padhisambhawę upadła na plecy i zarys jej ciała utworzył dolinę, w której zbudowano Lhasę. Demoniczny wygląd odstraszał wrogów buddyzmu. Palden Lhamo przedstawiano w kolorze

granatowym, jako żeńskiego potwora z trojgiem oczu, obnażonymi zębami, dosiadającego muła. W prawej ręce trzymała maczugę z wadźrą — piorunem mocy, w lewej -czaszkę dziecka wypełnioną krwią. Głowę zdobił diadem z czaszek, girlanda uciętych głów, sznur z węży i ludzkie kości. Na plecach niosła worek z chorobami i kośćmi do gry. Aywan nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest bliźniaczą siostrą krwawej Czarnej Bogini - Kali.

-Brrr! - wdrygnął się z odrazą - Mam nadzieję, że chińska piękność nie ma wdzięku tej damy!

Chinka wdrapywała się szybko po stromych schodach z białego kamienia. Starał się nadążyć, ale piętra były wysokie. Gdy zadyszany dotarł na szczyt schodów, Chinka gdzieś się zapodziała. Na piętrze był tylko jeden apartament. Zapukał.

-Otwarte! - usłyszał kobiecy głos. Wydał mu się znajomy.

Zaintrygowany, pchnął drzwi. Otworzyły się bezszelestnie. Pomieszczenie było przestronne, ale dosyć ciemne. Cienie stylowych mebli z tekowego drewna migotały odbitym światłem płonących w kominku drewnien. Drewno tekowe jest brunatnej barwy, wonne i żywiczne - nadaje meblom elegancki wygląd, ulotny blask i subtelny, tropikalny zapach. Dostrzegł postać kobiety zwróconej w kierunku okna. Ciemne włosy spływały potokiem na ramiona.

- Ma włosy jak Mai! - Aywan poczuł się podle, jak kochanek zdradzający ukochaną.

- i zapach podobny! - wyczuł delikatną woń orchidei zmieszaną z odrobiną imbiru. - Używa tych samych perfum? - Był w panice!

- Mam manię prześladowczą? - przemknęła szybka myśl -A może to wyrzuty sumienia!

Kobieta powoli odwracała się w jego kierunku. Panika Aywana rosła. Miała na sobie kimono z czasów dynastii Tang! To, które Mai zakładała na statku i które tak pięknie podkreślało jej kształty. Aywan oniemiał. Stał jak drewniany słup wbity w piasek plaży. To była Mai! We własnej osobie! Zrobiła lekki ruch od siebie i kimono zwiewnie ześliznęło się z ramion. Stała przed nim naga, jak wtedy - na statku. Była piękna. Nie tą ówczesną dziewczęcą urodą, była już dojrzałą kobietą, a nie zwiewnym dziewczęciem. Jej piersi były większe niż te guziczki, które zapamiętał, ale może dlatego wyglądała jeszcze bardziej ponętnie. Ale to była Mai! Jego Mai!

- To ty? - Ajwan zadał to pytanie szeptem, nic mogąc wydobyć z siebie pełnego głosu.

- Jechałam do ciebie z Nankinu przez pięć miesięcy! I dojechałam! Doceń to!

- Ale dlaczego...? A co na to Bell, przepraszam! Chciałem powiedzieć, co na to twój mąż?

- Dobrze wyglądasz! - Mai jakby nie słyszała tych pytań -Nie zmieniłeś się zbytnio! Ale chyba nie zamieszasz ze mną

teraz konwersować? Zmarznę! - uśmiechnęła się z lekkim wyrzutem -
Kominiek nie dogrzewa!

Wtedy oszalał. Chwycił ją w ramiona. Podnosił. Opuszczał. Całował w usta. Dotykał piersi, brzucha i ramion. Bał się, że to wszystko jest snem, który minie, że obudzi się w swojej celi, a Mai okaże się jakimś

niefortunnym majakiem. Chciał ją gdzieś porwać i ukryć. Mai poddawała się tym szaleństwom z taką lekkością, jakby ich rozstanie miało miejsce wczoraj, a nie dwadzieścia lat temu. Kochali się przez całą noc. Na łóżku, pod łóżkiem, na zimnej podłodze, pod oknem, przed oknem i w łazience. Znowu, jak na statku, nie oszczędzili żadnego mebla. Gdyby ktoś mu powiedział, że jeszcze wczoraj przekonywał Dalajlamę o oziębłości dojrzałego wieku, nie uwierzyłby, że idzie o niego. Czuł się jakby miał znowu lat dwadzieścia.

Nad ranem, Aywan jeszcze nie spał. Był zmęczony i szczęśliwy, ale kłęby myśli kołatały po głowie. Mai, wtulona, oddychała spokojnie. Mai czy Liu? Jak właściwie powinien się do niej zwracać?

- Śpij! - usłyszał jej głos - Przed nami jeszcze wiele wspólnych dni. W powrotną drogę wyruszam dopiero za pięć tygodni.
- Czy ty naprawdę zrobiłaś to dla mnie? - próbował się upewnić.
- Jestem tu dla rządu w Nankinie. Czang-kai-szek jest bardzo wrażliwy na opinię Zachodu. Liczy na jego poparcie. -Mai mówiła jak profesjonalistka. Nie znał jej takiej - przedstawicielstwo Kuomintangu działa w Indiach, w Kalkucie. A wybrał mnie, bo znam Chiny i mam brytyjski paszport. Z jakichś względów jest to dla niego wygodne.

Słuchał bez słowa.

-Usłyszałam, że jest do wypełnienia misja w Lhasie, zgłosiłam się od razu. Wiedziałam - Mai zaśmiała się jak dawniej dziewczęco - że cię odnajdę. Mnich, najbliższy przyjaciel Dalajlamy, major rosyjski - trudno pomylić z kimś innym!

- Tylko dlatego, że miałaś na mnie ochotę? - Aywan postanowił to

wyjaśnić - Co na to twój mąż?

•On wie, że tu jestem i wie, po co! - Mai spoważniała -Charles jest kochany. To wspaniały człowiek!

•Nic nie rozumiem! Cieszę się niezmiernie, że tu jesteś, ale nie rozumiem! Masz męża, kochasz go i przyjechałaś taki świat drogi, po to żeby go zdradzić?

-Ja go nie zdradzam! - powiedziała z powagą - Wypełniam przeznaczenie!

•Przecież wypełniliśmy je na statku! Mamy dziecko, jak chciał tego, ktoś tam - wysoko - Aywan wskazał wzrokiem sufit. - Co mamy jeszcze do wypełnienia?

•Widzisz! - Mai zawahała się jak mu to powiedzieć - Lop-sang jest wspaniałą dziewczyną, ale sprawa chyba nie jest zakończona!

•Dziewczyną? To mamy jednak córkę? - Aywana już niewiele mogło zaskoczyć, ale takiego obrotu sprawy się nie spodziewał, pomimo uszczypliwości Awalokiteśwary. Ostatecznie, medytacja jest odległa od rzeczywistości. To religijne uniesienie, a nie namacalny fakt.

Wyrocznia zawsze mówiła o synu.

•Jaka ona jest? - zapytał po chwili.

•Jest śliczna, inteligentna, dobrze wykształcona - zadaliśmy o to!

-I Bell..., to jest, twój mąż, wie że to nasza córka? - zapytał Aywan ostrożnie.

•Wic, że to nic jego dziecko. Pobraliśmy się, gdy byłam w piątym miesiącu ciąży!

•To dlatego mówią, że jest nieszczęśliwie zakochany we własnej żonie?

- Co mówią, to mówią! Mężczyźni źle znoszą wiedzę o tym, że nie są ojcami własnych dzieci. Ale Charles - Mai uśmiechnęła się ciepło - rozumie, że miłość, to jedno, a przeznaczenie - drugie.

-I wie, że jesteś tutaj?

- Tak, wie! Cierpi, ale wie!

- Skąd wiesz o przepowiedni wyroczni?

- Nie wiem nic, prócz twoich aluzji na statku i w Kalkucie. Ale też wiem, że chociaż staramy się z Charles'em jak możemy, nie mogę zajść w ciążę.

Aywan poczuł falę zazdrości i zwykłej złości. Skierowanej w próżnię, ale upartej.

- To ja, tutaj, - pomyślał gniewnie - żyję w samotnym odosobnieniu, jem codziennie postną *campę*, umartwiam ciało i duszę, a oni, tam - przez dwadzieścia lat starają się mieć dziecko! Do tego moje dziecko! - Ta ostatnia myśl była równie natrętna jak idiotyczna. Przecież są mężem i żoną! Ale ćwiczenia medytacyjne uczą wizualizacji myśli. Widział ją w intymnym uścisku z Charlesem Bell'em. On ją dotykał! On ją całował! Miał całą dla siebie! Codziennie! Co noc! Zawsze odpędzał od siebie tę myśl, ale teraz była tak silna, że czuł się wzburzony i dotknięty. Nie powiedział nic. Wiedział, że w jego sytuacji każda wymówka zabrzmi śmiesznie.

- Wiesz! - Mai próbowała wyjaśnić mu problem - Kiedyś, w regularnych odstępach odczuwałam wyraźny rytm swojego ciała. Co miesiąc, dawało o sobie znać coś, jakby delikatny pęcherzyk rodził się w samym środku mnie, gdzieś w dole brzucha. Chińscy lekarze powiedzieli, że to

znak gotowości kobiety do zapłodnienia. Odkąd jestem z Charlesem, nigdy tego nie czułam.

-A tutaj, w Lhasie? - czuł, że musi zadać to pytanie.

Przez chwilę nie mówiła nic.

-A tutaj, wróciło! Poczułam je - mówiła trochę zawstydzona - w chwili, gdy Dalajlama wypowiedział twoje imię. Wtedy wszystko stało się jasne! Jeśli chcę mieć syna, muszę go mieć z tobą. Ktoś - wykrzywiła usta w zabawnym grymasie - zacydował o tym za mnie!

-I będziesz miała! Będziesz miała! - wykrzyczał i znowu przywarł do niej w miłosnym uniesieniu. Nie wiedział, co daje mu taką energię, ale był w tej chwili gotów do wielkich wyczynów - nawet za cenę zdrowia i życia. Mai chichotała i poddawała się jego namiętności bez najmniejszego sprzeciwu, nawet bez próby zmiany pozycji. Wyglądało na to, iż sam fakt, że znowu znalazł się cały w jej wnętrzu, całkowicie jej wystarczał. Reszta była jej zupełnie obojętna. Nie ćwiczenie Kamasu-try było jej celem, ale on sam.

-A może idzie tylko o moje nasienie? - zaświtało podejrzenie

Zgasło w fali pieścizot, pocałunków, śmiechów i głaskań. I znowu oddawał je bez ograniczeń. Ile miał mocy i ile miał go w sobie!

Kiedy stracili siły, opadli na poduszki. Mai oddychała głęboko. Oczywiście miała przymknięte.

•Czemu - zapytał po chwili - użyłaś nazwiska Liu Ma-nqing, a nie Maja Younghusband?

- O jednej rzeczy nigdy nie mówiliśmy! - odrzekła nie otwierając oczu - Ojciec nigdy nie dał mi swego nazwiska. Nie mógł! Takie są regulacje w brytyjskiej armii. Zawsze nosiłam nazwisko matki. A mama nazywała się właśnie tak - Ma-nqing. To dosyć częste nazwisko w oazach Xiningu.

- A Liu? Skąd to imię?

- W Chinach istnieje obyczaj nadawania dziecku imion dwa razy. Jedno w momencie urodzenia. Mama nadała mi wtedy imię Liu. Drugie imię nadaje się w dniu osiągnięcia dorosłości. To, tak zwane, imię socjalne, mające współgrać z charakterem człowieka lub z nadziejami, jakie się w nim pokłada - Mai nadal nie otwierała oczu. - Imię 'Liu' - mówiła -matka nadała mi, ponieważ - jak opowiadała - gdy kochała się z ojcem, w chwili miłosnego szczytu słyszała *Kan shan liu shui*, bardzo starą melodię, graną na harfie.

- Znam ją! - przypomniał sobie Aywan, to znaczy - *'Wysoka góra i nieustający wiatr'*. Ta piękna melodia - to opis krajobrazu. Pamiętam! - powtórzył - Jej dźwięk towarzyszył mi odkąd ciebie poznałem. Jest zwawa i promienna, a powtarzające się fragmenty czynią ją podobną do powracających fal wiatru nad strumieniem płynącym po zboczu góry. Słowa pieśni mówią, że „*każdy kto patrzy na taki widok zachwyca się jego*

pięknem, podobnie jak melodią i czując jej świeżość oczyszcza myśli".

Według niektórych - przycisnął ją do siebie - melodia ma być rodzajem impresji nagradzającej dwojgu ludziom wspólne myślenie i odczuwanie. A 'Mai'? Skąd w takim razie to imię?

- Imię 'socjalne' nadał mi ojciec. Mieszkał w Indiach tyle lat, że

przesiąkł nimi do cna.

- Czekaj! - poruszył się Aywan - 'mai' w sanskrycie znaczy 'ułuda', 'przyczyna cierpień'!
- Ojciec bardzo mnie kochał i wiedział, że sztywny angielski kodeks nie pozwoli na to, by zabrał mnie ze sobą do Anglii. Byłam jego 'ułudą' i przyczyną cierpienia.
- Aywan pamiętał wzrok pułkownika, gdy spoczywał na Mai. Stary żołnierz kochał i cierpiał.
- Teraz jesteś moją 'mai' i będziesz moją ułudą i moim dozgonnym cierpieniem - powiedział smutno. Zamknęła mu usta pocałunkiem.

5. Obszernego wywiadu dla oficjalnego organu

Kuomintan-gu, Dalajlama udzielił 5 maja 1930 roku. Aywan już się nie bronił przed uczestnictwem. Wszedł do gabinetu 'Żyjącego Buddy' razem z Mai. Thubten Gyatso otaksował ich wzrokiem mężczyzny, a nie duchownego. Nie omieszkał, wbrew religijnej powadze, spod przymrużonych oczu ocenić - jak podejrzewał Aywan - kobiece kształty Mai. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że widzi w jego spojrzeniu maleńki, prawie niedostrzegalny, ślad pożądliwości. Wydawało mu się, że z ust Dalajlamy wydobyło się coś rodzaju stłumionego westchnienia.

- Wszystko dobrze? - zapytał. Ale pytanie nie brzmiało grzecznościowo. Było konkretne i wyrażało prawdziwe zainteresowanie. Aywan był zmieszany pytaniem.
- Wszystko dobrze, Wasza Świątobliwość! - odpowiedziała Mai, jakby się znali od lat - Nawet bardzo dobrze!
- To znaczy...?

- Tak! - ucięła krótko. Dalajlama wyraźnie się rozluźnił, ale Aywan był jeszcze bardziej zmieszany.
- O czym oni mówią? Chyba nie o naszym dziecku? Z jej odpowiedzi wynika, iż rzecz się stała. Dlaczego najpierw mówi to Dalajlamie, a nie mnie, ojcu dziecka?
- Wiesz, ostatecznie, *Lwing Budda* - Thubten użył angielskiego określenia swojego stanowiska - ma prawo takie rzeczy wiedzieć pierwszy!
- Proszę przekazać rządowi Chin! - Dalajlama zmienił temat rozmowy - że oczekujemy od niego zapewnienia Tybetowi pomocy. Jako dowód dobrej woli potraktujemy wycofanie z Sinkangu grupy sadystycznych oficerów, którzy gnębią tam nasz lud i nasze klasztory!

Mai notowała skrzętnie.

- Brytyjczycy - ciągnął Dalajlama - istotnie usiłują przeciągnąć nas na swoją stronę. Jednak, gdy w Chinach nastąpi konstruktywna konsolidacja, rzeczy rozwiążą się same. Tybet -mówił - nie dąży do oderwania się od Chin. Chce jedynie poszanowania jego specyfiki i zapewnienia mu szerokiej autonomii. Jakie jest na ten temat zdanie generała Czang-kai-szeka? - skierował do Mai pytanie.
- Generał uważa - odparła z profesjonalną pewnością siebie - że utrata Tybetu wystawiłaby Chiny na wielkie niebezpieczeństwo strategiczne. Ten - mówiła jak wyuczoną lekcję -kto posiadłby Tybet, stanąłby u wrót Junanu, Syczuanu, Gan-su i Sinkiangu. Oto dlaczego rząd Chin przywiązuje do kwestii tybetańskiej tak wielkie znaczenie!
- Najprościej więc - powiedział spokojnie Dalajlama - żeby Tybet stał się

niepodległym państwem, niezależnym od sąsiadów. Wtedy - dodał z naciskiem - wszyscy czuliby się bezpieczni, a Tybet mógłby dalej rozwijać swoją unikalną kulturę. Czyż nie?

•Dla mnie, Wasza Świątobliwość! - odrzekła Mai - Jako kobiety - poprawiła się szybko - są to argumenty wystarczające, ale obawiam się, że męski instynkt władzy i posiadania uzna je za mało przekonujące!

Przez chwile oboje zamilkli. Aywan też nic nie mówił. Poczuli się świadkiem historycznej wymiany poglądów.

-Moje doświadczenie - Mai przerwała niezręczną ciszę - podpowiada mi, że nie ma na świecie mężczyzn potrafiących ustrzec się przed przekroczeniem rozsądnych granic pożądania!

Znowu zamilkła, jakby doszła do wniosku, że zagalopowała się w formułowaniu opinii i daleko przekroczyła udzielone jej pełnomocnictwa. A może jej pogląd zabrzmiał dwuznacznie? Wygłosiła go w obecności dwóch mężczyzn, z których jeden był 'Żyjącą Świątobliwością', a drugi do świętości pretendował.

-Prawdę mówiąc - poprawiła się po chwili - znam tylko jednego, który dowiódł, że tę granicę potrafi zachować.

Mówiąc te słowa nie spojrzała na Aywana, ale patrzyła prosto w oczy Dalajlamy. Thubten jednak odwrócił twarz w jego kierunku, jakby doskonale wiedział, że mówiła o nim. Zawahał się chwilę, zastanawiając się jak zwieńczyć audiencję.

-Zazdroszczę ci twojego szczęśliwego życia, przyjacielu! - powiedział stłumionym głosem - Naprawdę ci tego zazdroszczę!

Audiencja była skończona.

Aywan żegnał Mai, opuszczając na zawsze Lhasę. Nie pozostał w nim nawet cień smutku. W pamięci dźwięczały mu jeszcze słowa Dalajlamy. Zrozumiał, że przeżył szczęśliwe życie. Był w sile wieku. Wiedział, że czeka go jeszcze wiele dokonań. Ale wiedział też, że najważniejsze z nich ma już za sobą. Powiadają, że prawdziwy mężczyzna powinien zbudować dom, zasadzić drzewo i spłodzić syna. Nieprawda! Prawdziwy mężczyzna powinien uszczęśliwić prawdziwą kobietę! Do tego służy życie mężczyzny. A życie kobiety służy oczekiwaniu na prawdziwego mężczyznę. Ich wspólne spełnienie -myślał - staje się dziełem niebios. Tylko w takich ludzi angażuje się los. Resztę zostawia przypadkowi. Czy istnieje większe szczęście od tego, aby skupić na sobie uwagę losu? W życiu wybrańców nic nie dzieje się przypadkowo. Nie giną w nagłych wypadkach, nie toną w rzekach, nie popełniają samobójstw. Nawet, jeśli są nieszczęśliwi, tak jak on był nieszczęśliwy, gdy tracił Mai po raz pierwszy, to jednak nieszczęście jest próbą charakteru i prowadzi do zrozumienia, że skoro człowiek rodzi się w cieniu śmierci, to szczęściem jest pozostawienie po sobie śladu. Śladu, nad którym nawet niebo nie może przejść do porządku.

Patrzył w spokoju na Mai dosiadającą konia. Widział jak obejmuje ją - jak dłoń kochanka - skórzana kulbaka wysokiego siodła. Nie czuł żalu. Wiedział, że kazano im odegrać swoje role.

- Odegraliśmy je - myślał bez żalu - w imię wyższych racji. I niech teraz owe racje, te wszystkie ważne siły zabiorą sobie do nieba. Pał je sześć!

Mai odwróciła się z wysokości końskiego grzbietu. Uśmiechnęła się do niego tak, jakby oddalała się tylko na chwilę, ot! na zakupy na pobliskie

targowisko. Oddał jej uśmiech całym sercem, ich spojrzenia spotkały się i splotły się ze sobą tak mocno, że wydawać się mogło, że się już nigdy nie rozplotą. Spięła jednak konia. Przez chwilę widział jej włosy falujące na ramionach w rytm końskiego kłusa. Znikła za zakrętem drogi. Pozostał ze wspomnieniami. Wspomnieniami, których nikt mu nie odbierze.

Wspomnieniami, które dawały nową siłę jego duszy i nową sprężystość jego ciała. Wspomnieniami - a o tym wiedział z całą pewnością - które nie opuszczą go nawet po tamtej stronie życia, aż do ostatniego tchnienia.

Cokolwiek by to miało znaczyć.

6.

Z początkiem 1933 roku Dalajlama poczuł się źle. Był słaby. Twarz miał bladą. Aywan starał się, aby miał stałą opiekę lekarzy. Jednak zgodnie ze starożytnymi zasadami, do 'Żyjącego Buddy' dostęp mogli mieć tylko medycy tybetańscy, praktykujący sztukę lekarską, opartą na ziołach, suszonych organach zwierząt i skalnych proszkach. Aywan był zaniepokojony. Wiedział, że medycyna tybetańska, połączona z ćwiczeniami ducha, jest doskonałym sposobem zapobiegania chorobom, ale gdy choroba już się pojawi, staje się bezradna.

Szczególnie bezradna jest wobec chorób, których źródłem jest stały i silny stres. Thubten od wielu lat żył w wielkim stresie. Właściwie od czasu wybuchu wojny z Brytyjczykami, żył albo w niepokoju o przyszłość kraju i dyskomforcie wygnania, albo też w napięciu, związanym z zewsząd pojawiającym się zagrożeniami.

- Nie przejmuj się, wyzdrowiejesz! - pocieszał przyjaciela - Jesteś moim rówieśnikiem, a mnie nic nie dolega. Czemu ma dolegać tobie?

- Zważ - odpowiadał Thubten - iż, mając pięćdziesiąt osiem lat, dawno już przekroczyłem przeciętną życia dalajlamy. Żadnemu z moich poprzedników - Thubten uśmiechnął się smutno - nie udało się dożyć pięćdziesiątki. Zresztą, u nas ludzie żyją krótko!
- Ja się nie wybieram na tamten świat, dlaczego ciebie ma to spotkać? - upierał się Aywan.
- Dobrze wiesz, że nikt z nas nie zna swego dnia ani godziny! Zresztą zobaczymy! Ale, prawdę mówiąc - Dalajlama spuścił na moment głowę - mam uczucie, że mój czas się kończy. Chcę z tobą poważnie porozmawiać!
- O czym? Jest coś ważnego, czego nie wiem? - Nie rozumiał przyczyny nagłej powagi Dalajlamy.

-Tak! Nie wiesz o jednej ważnej, bardzo ważnej, sprawie!
Aywan słuchał z niedowierzaniem.

-Każdy z Dalajlamów - mówił Thubten - jest wprowadzany w tajemnicę Świętej Mocy, która tkwi pod miastem. Legenda powiada, że jest ona pozostałością czarnych sił starej religii, które Padmasambhawa zepchnął do jeziora, w miejscu, w którym zbudowano Dżo-k'ang. Uczeni, którzy próbowali zbadać jej siłę, twierdzą, że jest przeogromna, wzmacniana podziemnymi napięciami Ziemi, wypierającymi w górę Himalaje. Podobno ich święte szczyty rosną z tego powodu o kilka centymetrów rocznie. To musi być rzeczywiście potworna siła!

- Dalajlama zadumał się na moment.

Aywan słuchał tych wyjaśnień ze zdumieniem i uwagą. Pamiętał strach starszego Cagaa, gdy ten, w dniu przybycia

do Lhasy grupy młodych buriackich mnichów, wskazywał mu miejsce Mocy w podziemiach Dżo-k'angu, ale wtedy kładł to na karb łatwowierności i niedouczenia mnicha z Urgi.

- Każdy kolejny Dalajlama - mówił dalej Thubten - a także regent rządzący do czasu jego pełnoletności, są wtajemniczani w treść modlitwy otwierającej Wrota Mocy w podziemiach Dżo-k'angu.
- Czy wiadomo - zapytał ostrożnie Aywan - do czego Moc służy i komu?
- Ma służyć ludzkości i dać jej kiedyś źródło niewyczerpalnej energii, zastępującej wszystkie surowce energetyczne razem wzięte. Nastąpi to wtedy, gdy ludzie dojrzeją do jej użycia. Gdyby została wydobyta za wcześnie i dostała się w niewłaściwe ręce ludzkość znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Mocy można użyć również w celach destrukcyjnych.

Aywan milczał. Nie wiedział, dlaczego Thubten mu to wszystko mówi.

-Wiedza, jaką przekazuje się nam od tysiąca lat - kontynuował Dalajlama - powiada tylko, że Moc czeka na swój czas. Jest tak wielka, tak potężna, że mogłaby służyć ludziom do końca świata zamiast węgla, pary i benzyny. Jej zasoby są niewyczerpane - sięgają samego jądra Ziemi.

Dalajlama wyglądał na zmęczonego. Ukrył w twarz w dłoniach i oddychał głęboko.

-Czasy są niespokojne - mówił znowu po chwili milczenia - bardzo niespokojne! Nie wiem, kto po mojej śmierci będzie regentem. Chiny grożą inwazją. Panczenlama przebywa w Chinach i jest tam ubezwłasnowolniony. Pozostaje mi wyjawic

tajemnicę tobie w nadziei, że uda ci się przetrwać.

Znowu przerwał, tym razem jednak dla modlitwy. Szeptał ją chwilę suchymi wargami.

-Jutro - powiedział na koniec - udamy się do Dżo-k'angu.

Pokażę ci wszystko na miejscu!

Palankin z Dalajlamą i jego świta wzbudzili na ulicach Lhasy poruszenie. Głowa państwa opuszczała pałac Potala tylko z okazji wielkich świąt. Przygotowania do dorocznego święta *Monlam* właśnie trwały, a na samego Dalajlamę miasto oczekiwało dopiero w parę dni później. '*Monlam czenmo*', to 'dzień wielkiej modlitwy', tybetańskie noworoczne święto buddyjskie, ustanowione w 1408 roku przez Cong-k'a-pę w świątyni Dżo-k'ang w Lhasie, z czasem, obchodzone było w innych świątyniach. Stanowi akt corocznego oddania Tybetu buddyzmowi. Odbywa się między ósmym, a piętnastym dniem pierwszego miesiąca roku. Po wspólnej, wielogodzinnej modlitwie mnichów i świeckich wyznawców ma miejsce procesja, podczas której prezentuje się olbrzymie posągi ofiarne wykonane z barwionego masła i ciasta z prażonej mąki. Kulminacją jest oprowadzanie po Parkorze posągu bodhisat-twy Majtrei, a podczas ceremonii odbywa się *cz'am* — rytualny taniec w maskach, oraz *zor* — obrzęd palenia ofiary symbolizującej zło. Aywan dotrzymał przyrzeczenia, jakie złożył sobie w pierwszym dniu pobytu w Lhasie. Dalajlama wydał rozporządzenie likwidujące starodawny, ale barbarzyński, zwyczaj oddawania miasta na trzy dni Nowego Roku we władzę mnichów. Nie było ani awantur, ani rabunków, ani samo-zwańczej władzy *dge-skosów*.

Mnisi otaczający Dalajlamę roztrącali ludzi stojących na drodze

palankinu. W zupełnej, niezwyklej ciszy, mijali czynszowe domy, podwórka i stragany. Palankin zatrzymał się w głównych drzwiach świątyni Dżo-k'ang. Nad nimi błyszczała *dharmnćakrn* - święte koło wyposażone w złote szprychy, symbolizujące powszechne Prawo Dharmy „puszczonej w ruch”, ogłoszonej ludzkości przez Buddę w jego pierwszym kazaniu. Koło symbolizuje zamiar bezkrwawego podboju wszystkich stron świata i stanowi jeden z siedmiu skarbów-klejnotów, których posiadanie czyni posiadacza monarchą powszechnym. Świątynia była zamknięta dla wiernych. Dalajlama rozkazał wszystkim pozostać na zewnątrz. Do środka wszedł tylko z Aywanem. Minęli główną salę modlitewną ze złotym posągami Awalokiteśwary. Na jej zapleczu zeszli ciemnym korytarzem, do podziemnego przejścia.

- Wybrałem ten dzień nie bez powodu - Dalajlama zniżył głos do szeptu.

- Tam, nad nami, trwają przygotowania do wielkiego święta oddania Tybetu Oświeconemu. Tutaj - mówił przyciszonym głosem - oddajemy hołd siłom, które panowały nad Tybetem wcześniej, przed nastaniem buddyzmu. Demony *bonu* dysponowały ogromną siłą niszczącą. Moc tkwi tu od początku świata, od pierwszego zderzenia Gondwany z prakontynentem Azji. Nie użyły jej przeciwko buddyzmowi, przeciwnie, ukorzyły się i przyrzekły nam służyć. Ale nie pozwalają o sobie zapomnieć.

•Mówisz, jakby Moc była osobą, a nie czystą siłą! - zauważył Aywan.

•Bo jest! Moc jest kobietą i musimy mieć na uwadze jej kobiecy charakter!

•Kobietą? Ładną! - żart był przejrzysty, Aywan nawiązywał do roli jaką w jego życiu miała pełnić kobieta.

•Lepiej nie żartuj! - szepnął Dalajlama. Twarz wykrzywił grymasem lekkiego przestachu.

Od ściany korytarza oderwała się wielka kropla rosy. Rozpędzona, z ogromną siłą rozprysła się na nosie Aywana i zalała chłodną wilgocią całą twarz i oczy. Nie mógł zrozumieć paraboli lotu. Nie spadała z góry na dół, ale oderwała się od ściany na wysokości twarzy tak, jakby uruchomiło ją silne strzepnięcie palców. Z za zasłony z wodnych kropel zobaczył śmiejącą się radośnie twarz Dalajlamy.

-Najwyraźniej cię polubiła! Dobrze, że to ciebie wybrałem!

- był rozpromieniony.

Aywan już nie próbował żartować.

•Czy ona... ma jakieś imię?

•Piękne! Znasz ją, jest opiekunką Lhasy i nazywa się Pal-den Lhamo. I sama jest piękna! - Aywan był gotów przysiąc, że usłyszał echo głośnego cmoknięcia, wydanego przez czyjeś usta.

Pamiętał te usta z hotelowego fresku. Były fioletowe od wysysanej krwi.

-Widzę, że świetnie sobie radzisz z kobietami! - zauważył sarkastycznie. Następna kropla wilgoci zbierała się w wodny purchel na ścianie.

-Mówię poważnie! - pospieszył z wyjaśnieniem - I gratu luję!

Purchel rozpląszczył się i cofnął, jakby wciągnęły go z powrotem te same niewidzialne usta.

Dotarli do końca korytarza. W samym dole majaczyła ściana z cegły. Dalajlama skinął na Aywana, aby naśladował jego ruchy. Ukłękli. Thubten

złożył dłonie na piersi w modlitewny sposób. Przez dłuższą chwilę mruzczał coś do siebie. Nagle podniósł ręce w geście transu.

-IMAM GURU RATNA MANDALAKAM NIRUATA YAMI! -
powiedział półgłosem - I ZEŚLIJCIE NA MNIE WASZE
PRZEKSZTAŁCAJĄCE MOCE! - Moc jest kobietą - szepnął - powtarzaj
za mną: *OM TARĘ TUTTARE TURE SOHA!*

-*OM TARĘ TUTTARE TURE SOHA!* - Aywan posłusznie
powtarzał mantrę Zielonej Tary.

Na ścianie zarysowały się drzwi, jakby wynurzały się z gęstej mgły. Otworzyły się bezszelestnie. Za nimi panowała cisza. Dalajlama pchnął Aywana do środka. Wszedł z lekkim wahaniem, czując przebiegające po krzyżu chłodne mrowienie.

Podziemna sala była obszerna, wyłożona dużymi kamiennymi płytami. Błyszczały wypolerowane wilgocią, ale w powietrzu nie czuło się stęchlizny. Było chłodne i świeże. Nawet zapach płonących pod ścianami maślanych lampek nie powodował odczucia duszności, zwyczajnego w modlitewnych salach buddyjskich świątyń. Kamienną posadzkę ułożono we wzór przypominający szachownicę, jednak w jednej trzeciej odległości między wejściem do sali, a jej frontową ścianą widniała równa linia z ciemniejszego kamienia, jak gdyby odgradzająca przód sali od jej dalszej części.

-Tej linii nie wolno przekroczyć! - szepnął Thubten.

Z korytarza, który pozostał za nimi, wypadła mucha, lecąca gdzieś na oślep. Jej skrzydełka brzęczały w falującym locie, jakby nie bardzo wiedziała, po co się tutaj znalazła i jaką ma obrać drogę. Zdecydowała polecieć przed siebie. Lekko podskakując w powietrzu zbliżyła się do

granicy wyznaczonej

kamienną linią. Zawahała się, kalkulując czy lecieć dalej. Z ciemnego, trójkątnego, zakończenia sali czuć było lekki powiew ciepła.

-Przecież w Dżo-k'angu nie ma ogrzewania! - przemknęło Aywanowi przez głowę - Skąd to ciepło?

Mucha nie zastanawiała się dłużej. Znęcona ciepłem, a może i jakimś miłym zapachem, ruszyła do przodu dziarsko pobrzękując. Bęc! Odbiła się od niewidocznej ściany! Ale brzęk spadania był jakiś inny! Nie przypominał cienkiej melodii muszych skrzydełek. Był metaliczny. Mucha upadła na ziemię, odbiła się kilkakrotnie od podłogi i potoczyła pod nogi Dalajlamy. Podniósł ją wprawnym ruchem i przybliżył do oczu Aywana.

-Popatrz! - powiedział - To już nie mucha, to jej srebrny odlew!

Aywan otworzył dłoń i poczuł dziwnie duży ciężar. Ważyła może uncję metalu, wyglądającego na czyste srebro.

- Spodobałeś się naszej opiekunce! - zauważył Thubten -Zwykle daje pokaz mniej atrakcyjny. Ostatnio, tajemną granicę przekroczyć chciał jakiś lokalny szczur. Nie przerobiła go na srebrny odlew. Szczur zdeintegrował się na miliony osobnych komórek. Zapach był kiepski! - wykrzywił śmiesznie nos - To był bardzo smrodliwy szczur!
- Co to jest za granica, no, ta kamienna linia? - teraz Aywan zniżył głos do szeptu.
- Nie wolno nikomu jej przekroczyć do czasu, gdy ludzkość będzie przygotowana do przyjęcia Mocy. Wtedy bariera zniknie! lam - wskazał na trójkątny narożnik sali - jest ołtarzyk. W nim mieści się coś

w rodzaju tabernakulum. W środku jest instrukcja, a może modlitwa, która uruchamia Moc.

- A co się stanie - dopytywał się Aywan - gdy do ołtarza dotrze ktoś niepowołany?
- Tego nie wiemy. Nikomu to się nie udało. Zresztą -wzruszył ramionami - nikt ze znających tajemnicę tego nie próbował. Bo i po co? Jesteśmy tylko Strażnikami Mocy, a nie jej inżynierami!
- A kiedy będzie wiadomo, że czas nadszedł?
- Gdy nadejdzie, na pewno będzie wiadomo! Twoją rolą jest strzec spokoju miejsca, by - gdy przyjdzie ten czas - otworzyć drzwi do podziemia przeznaczeniu!

Rozdział piętnasty. PIELGRZYMKA.

ODRODZENIE

„Przyszłość ludzkości może być uzależniona od odbudowania wolnego Tybetu. Potrzebujemy prawników-bodhisattwów, bcdhisamów artystów i polityków, Bodhisattwów lekarzy i 'ekonomistów, bcdhisattwów nauczycieli i naukowców, bodhisattwów inżynierów i techników -potrzebujemy bodhisattwów wszędzie, ich świadomej pracy, mądrości i wspaniałostki na wszystkich poziomach i we wszystkich aspektach naszego życia.”

(Sogyal Rinpoche)

1.

Jesienią 1933 roku stan zdrowia Dalajlamy gwałtownie się pogorszył. Wczesnym wieczorem 17 grudnia, Thubten Gyatso, XIII Dalajlama

Tybetu, Żyjąca reinkarnacja Awalokiteśwary, osierocił Tybet i swoich poddanych. *Kashag*, Rada Rządząca, wydała żałobny komunikat, w którym wymienione zostały jego wszystkie tytuły. Chiński rząd Kuomintangu, z kolei, w specjalnym oświadczeniu, łączył się w bólu z tybetańskim narodem i zapowiedział wysłanie na uroczystości pogrzebowe Panczenlamę, rezydującego w klasztorze Kumbum po chińskiej stronie granicy. Nadał zmarłemu pośmiertnie tytuł 'Wielkiego Mistrza Patriotyzmu, Wielkoduszności, Życzliwości i Rozumności'. W hermetycznej, typowo chińskiej, nomenklaturze, oznaczało to, że Thubten Gyatso, Dwunasta Reinkarnacja Geduna Truppy, nie był nigdy głową suwerennego państwa, ale chińskim poddanym. Gra o Tybet nie dobiegła końca.

Rada Rządząca wyznaczyła regenta do czasu odnalezienia kolejnej reinkarnacji Awalokiteśwary. Został nim opat klasztoru Radreng - Rimpocze Thubten Jampal. Również i jemu rząd chiński - dla przypomnienia, komu podlega - nadał tytuł 'Buddyjskiego Mistrza Patriotyzmu i Uniwersalnej Doktryny', stawiając chiński patriotyzm przed uniwersalną doktryną buddyzmu. Na uroczystości pogrzebowe rząd Kuomintangu wysłał do Lhasy swojego pełnomocnika - Huang Musonga. Jego zadaniem było nie tylko przekonanie *Kashagu* do zgody na powrót pro-chińskiego Panczenlamy, ale zainstalowanie w Lhasie stałego przedstawicielstwa Chin. Delegacja Musonga przywiozła ze sobą radiostację dalekiego zasięgu, broń i duży zapas amunicji.

Po śmierci przyjaciela, Aywan zaszył się w klasztornej celi. Oddawał się studiom, nauczaniu i - zgodnie z doktryną - przygotowaniem ducha do ostatniej drogi. Nie czuł się stary, ale wiedział przecieź, że życie ma swój

kres. Jedynym zdarzeniem, które wychodziło poza codzienną rutynę, były wizyty w podziemiu Dżo-k'angu. Palden Lhamo nie lubiła być samotna. Zawsze przynosił z sobą srebrną *wadźrę* - piorun, symbol mocy, przypominający kształtem dwie, połączone ze sobą, książęce mitry. Miał wrażenie, że górską diabolicą traktowała go wtedy z większą uprzejmością. Kiedy jej Wysokość Moc odczuwała nudę, zdarzały się dziwne rzeczy: gasły w salach modlitewnych maślane lampki, a to wielkie młynki modlitewne, poruszane rękami pątników, zatrzymywały się bez przyczyny nie dając się kręcić, a to znikał za mgłą - zwykle świetnie widoczny w promieniach słońca - pałac Potala, tak jakby Czarna Dama chciała przypomnieć nie tylko o swoim istnieniu, ale również o zasługach i możliwościach.

Daleko w świecie dudniła wojna. W Europie wybuchł konflikt zbrojny wszechczasów. Tybet był od wojny tak daleko, że nawet huk największych armat nie mącił spokoju wielkich gór. Sąsiedował jednak z brytyjskim Indiami - ekscytacja wydarzeniami udzielała się subkontynentowi, a poprzez nepalskich Gurków, walczących w angielskiej armii - echa wojny docierały i do Tybetu. W tej sytuacji, licząc się z niespodziankami, *Kasliag* zdecydował o poszukiwaniu trzynastej reinkarnacji czcigodnego Geduna Truppy, niezależnie od wątpliwości tworzonych przez przepowiednię wyroczni, wyrażającą obawę czy powinno teraz dojść do odnalezienia kolejnego wcielenia Buddy Awalokiteśwary. Uznano, że w tak niespokojnych czasach, Tybet nie powinien pozostawać w stanie tymczasowości.

Rada Rządowa znów dopatrzyła się istnienia reinkarnacji Pierwszego Dalajlamy. Odbył się seans z udziałem wróżbity,

dopełniono wszystkich przepisanych obyczajem rytuałów. Delegacja dostojnych łamów wyruszyła w poszukiwaniu reinkarnacji, zgodnie ze wskazaniami Wyroczeni. Okazał się nią czteroletni Lhamo Thondup z chińskiej prowincji Quinghai. 22 grudnia 1940 roku odbyło się jego uroczyste osadzenie na Lwim Tronie pod imieniem Tenzin Gyatso. Chłopiec robił doskonale wrażenie. Okazał się wybitnie utalentowanym przywódcą, a od czasu ucieczki przed chińskim najazdem, stał się postacią o międzynarodowej sławie.

Przez następne dziesięć lat w sprawie Tybetu panował zupełny spokój. Państwa uczestniczące w wojnie światowej lizały rany, ale wojna zmieniła mapę świata. Na połowie kontynentu euroazjatyckiego - od Niemiec po Wietnam - rozłożyła się nowa, groźna, potęga. Niespodziewanym zagrożeniem stał się rosyjski komunizm z brutalną siłą eksportowany we wszystkie strony świata. Ważną częścią międzynarodowego systemu stały się maoistowskie Chiny.

Aywan nie był zaskoczony zwycięstwem komunistów w Glinach. Obserwował wydarzenia w tym kraju od czasu upadku cesarstwa i wiedział, że okazywanie światu przez rząd Kuomintangu demokratycznego oblicza jest działaniem na pokaz. Chiny długo nie wejdą do grona społeczeństw uznających podstawowe prawa człowieka. Fenomen jedności i trwałości państwa chińskiego zawsze oparty był na poczuciu nieuniknioności represji za odmienne poglądy. Państwem, od ich początków, rządziła przemoc, a nie prawo. Od dwóch tysięcy lat zwykli mieszkańcy Państwa Środka, nazywam przez cesarskie elity 'durnymi ludźmi', mieli wierzyć niezachwianie we wszechmoc cesarskiej władzy, wyjątkowość i nienaruszalność systemu. Mieli wiedzieć, że od decyzji

mandarynów - czy to sprmoiedliwych, czy niehumanicznych - nie ma żadnego odwołania i żadnej ucieczki. Cały świat - poza Chinami - zaludniony jest - wpajano Chińczykom - przez nie wartych najmniejszej uwagi barbarzyńców.

Stosunek Chin do Tybetu zawsze był dziwny. Zapomniano czasy, gdy wojowniczy tybetańscy górale siali postrach w miastach Syczuanu i Junanu, gdy władza Lhasy sięgała oceanicznych wybrzeży Birmy. Dwukrotnie w historii jej wojska zajmowały środkowo-azjatycką Samarkandę, kluczowe miasto Jedwabnego Szlaku. Dla chińskiej pamięci, historia Tybetu zaczęła się dopiero z początkiem XVIII wieku, gdy interwencja Pekinu zapobiegła podbojowi Tybetu przez koczowników z Dżungarii. Na te uprawnienia, nabyte siłą, najpierw przez Mongołów, a potem przez Mandżurów, władających Chinami jako dynastia Qing, powołał się w 1947 roku Mao-tse-tung -Przewodniczący Komunistycznej Partii Chin. Tybet miał stać się częścią światowego systemu komunistycznego, sterowanego z moskiewskiej centrali. 7 października 1950 roku chińska Czerwona Armia przekroczyła jego granice i powoli ale konsekwentnie, wdzierała się w głąb kraju. Nie zatrzymał jej rozpaczliwy akt formalnego przekazania władzy w ręce młodocianego jeszcze Tenzina Gyatso - XIV Dalajlamy. W grudniu 1950 roku wojska chińskie zajęły Lhasę.

2.

W klasztorze Drapung, w odległości siedmiu kilometrów od Lhasy, stary mnich o zakonnym imieniu Ngawang, dawny doradca i przyjaciel XIII Dalajlamy, dumiał nad istotą *dharmy*. Wiedział, że kres jego życia jest

bliski. Jako Strażnik Mocy nie mógł uciekać. Zresztą nie chciał uciekać. W wieku siedemdziesiąt sześciu lat ucieczka prowadzi donikąd.

- To wystarczy - zdecydował - jak na jedno życie! Wystarczy! - Życie pełne, wszechstronne, wcale nie mnisio bezbarwne. Był ze swojego życia zadowolony, żeby nie powiedzieć - dumny. Czuł, że pozostawił ślad na tej ziemi. Miał świadomość, że nie należało do rzędu żywotów, o których nic nie wiedziała i nie chciała wiedzieć *dharma* - nauka Oświeconego o ponadczasowym, uniwersalnym i wszechobejmującym kosmicznym prawie życia. *Teraz*, ta sama wiedza nakazywała mu pozostać i strzec Mocy do końca. Wiedział, że jeśli ją obroni, pozostawi po sobie tak duży ładunek dobrej karmy, że nikt nieproszony nie uzyska do niej dostępu. A gdy przyjdzie czas i ludzkość do niej dojrzeje, Moc sama wyjdzie z ukrycia. Teraz, czas jeszcze nie nadszedł.

Stał, zamyślony, w największej sali modlitewnej klasztoru. Wysoko nad nim, jak zwykle, górowała figura Majtrei - Buddy, Który Miał Nadejść, wznosząca się piętnaście metrów ponad ołtarzem, pełnym migocących płomyków lampek. Połączone ciało Oświeconego, zwieńczone koroną ze szlachetnych kamieni, odbijało w ciemności blask słabego światła. Było pusto. Rzędy czerwono-ceglastych poduszek leżały w szeregu, jakby w oczekiwaniu na rozpoczęcie z nagłą przerwanej ceremonii. Wciąż dawały światło maślane lampki zapalone jeszcze przed paniczną ucieczką mnichów.

Usiadł gotów do medytacji. Czy to Majtreia, czy Mandżuśri - Budda Mądrości? Na pewno - analizował powoli - nie jest to Awalokiteśwara. Ma przecież dwie ręce, a nie tysiąc! Z zewnątrz budynku docierał warkot spalinowego silnika. Pisk opon, zgrzyt hamulców! Trzask drzwi!

Podniesione głosy!

- *Om mani pddme hum! Om mani padme hum! Om mani padme hum!*

Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!" O Oświecony! Przyjmij mnie do siebie i wybaw z ziemskiego cierpienia, zbliż do upragnionego celu - ostatecznego oderwania, niebiańskiego braku problemów, upragnionej nirwany, słodkiego niebytu!

Ktoś potrząsnął jego ramieniem. Z modlitewnego transu wytrąciły go słowa mówione w *putonghua* - języku ogólnochińskim. Przez przymknięte powieki przeciskały się zarysy ludzkiej postaci. Jak przez mgłę widział twarz mężczyzny w średnim wieku, ubranego w zielony mundur polowy. Środek jego oficerskiej czapki zdobiła wielka czerwona gwiazda, a barwa otoku wskazywała na wszechmocną służbę bezpieczeństwa...

3.

XIV Dalajlama, wraz z całym rządem, uciekł w kierunku granicy z Indiami. Powrócił do Lhasy, zwiedziony chińską obietnicą utrzymania w Tybecie jakiejś formy rozsądnej autonomii. W ofierze dla sprawy zgodził się nawet zostać - razem z nowym Panczenlamą - członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin. Wszystko na próżno. Rozpoczęły się komunistyczne porządki. Klasztory likwidowano, mnichów rozpędzano. W 1959 roku, w obawie przed uwięzieniem, Dalajlama przekroczył granicę Indii i poprosił tam o azyl polityczny. W pobliżu Dharamsali, po indyjskiej stronie granicy, powstał Tybetański Rząd na Uchodźstwie.

W Tybecie trwały chińskie porządki. W 1965 roku ustanowiono

Tybetański Region Autonomiczny, tyle, że była to autonomia na komunistyczny sposób, do jest - bez najmniejszych śladów samodzielności. W czasie „rewolucji kulturalnej” w Chinach, nasiliła się brutalna sinizacja Tybetu. Lhasa, z trzydziestotysięcznego miasta tybetańskiego stała się trzystu-tysięcznym miastem chińskim, zabudowanym szarymi betonowymi blokami. Powstało lotnisko, cementownia i elektrownia. Teraz Lhasę łączyły z Chinami dwie asfaltowe szosy -jedna wiodła przez Golmud do prowincji Gansu, druga - do Syczuanu. Tybet nie był już odcięty od świata. Za postępem materialnym nie szedł postęp moralny. Przeciwnie, niszczone klasztory, mordowano mnichów. Przetrwała Potala, przetrwał Dżo-k'ang i Sera. Reszta klasztorów, dziesiątki i setki, były przez bandy 'rewolucji kulturalnej' rozbijane kilofami do samych fundamentów. Wydawało się, że z tybetańskiego Iama-izmu nie został już kamień na kamieniu. Tylko szczątki i ruiny. Po wygaśnięciu fali szaleństwa swobody religijne zostały częściowo przywrócone. Liczba mnichów w klasztorach była, co prawda, ściśle regulowana przez władze, ale odbudowywane klasztory powoli odżywały, a Tybetańczycy powracali do swoich tradycji. Znowu modlitewne młynki i kolorowe wstęgi stały się widoczne w krajobrazie kraju. Od lat osiemdziesiątych, pod wpływem przemian i otwierania się Chin na świat, władze przymykały oko na cichą walkę Tybetu o zachowanie tożsamości. Nadal powszechnie uznawano duchowe przywództwo XIV Dalajlamy, który za swą działalność otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Jeszcze raz, w latach 1989-1990, w następstwie antychińskich wystąpień w Lhasie -Tybet został przekształcony w obóz koncentracyjny. Znowu zginęło tysiące ludzi. Ogłoszono stan wojenny. Po

dziesięciu latach nastąpiło otwarcie, wymuszone - tym razem - potrzebami nasilającego się ruchu turystycznego z Zachodu. Okazało się, że buddyzm nadal żyje w Tybecie. Jeszcze raz, na przełęczach górskich i wyniesieniach pojawiły się modlitewne wstęgi. Parkor, jak dawniej, zaludnił się szeregami pielgrzy-

mów kręcących młynkami z wygrawerowaną mantrą. Stary hotel Kyichu znowu przyjmował zagranicznych gości, a na hotelowym fresku granatowa Palden Lhamo żabim uśmiechem straszyla turystów spragnionych tantrycznych tajemnic. Tybet znowu żył własnym życiem, własną atmosferą na kształt tajemnicy Graala.

W ten gwałtowny sposób zakończyło się tybetańskie średniowiecze. Powoli, rozpoczynało się promieniowanie ducha i tybetańskiej religii na cały świat. W Stanach Zjednoczonych powstała trzystutysięczna *sangha* - buddyjska gmina, składająca się niemal wyłącznie z amerykańskich konwertytów. Grupa wybitnych psychologów rozpoczęła badania nad możliwością wykorzystania buddyjskiego przesłania w mediach elektronicznych dla upowszechniania jego 'pozytywnych emocji'.

Padmasambhawa, indyjski guru, który zwalczył przed trzynastu stuleciami szamanistyczny *bon* i wprowadził na Dach Świata buddyzm w jego tantrycznej odmianie, pozostawił po sobie przepowiednię: „*kiedy pofrunie ptak z metalu, a konie potoczą się na kołach, wtedy Tybetanczyki rozproszą się po świecie jak mrówki a nauka Buddy dotrze do najodleglejszych krajów*”. Przepowiednia stawała się rzeczywistością.

4.

Dach świątyni Dzo-k'ang kąpał się, jak zwykle o tej porze roku, w

ostrzych promieniach słońca. Bezchmurne niebo spoglądało na Lhasę z bezkresu błękitu. Świątynia zawsze urzekała przybyszów. Była zbudowana - jak dowodził starożytny poemat o jej powstaniu:

Na kwadratowym planie architektonicznym - w harmonijnej zgodzie z ludźmi,

W podziale według wzoru szachownicy - w harmonijnej zgodzie z mnichami,

Na placu budowy w kształcie swastyki - w harmonijnej zgodzie z wyznawcami religii bon

Jako mandala - w harmonijnej zgodzie z wyznawcami tantrycznego buddyźmu.

Z płaskiego, zawsze przyciągającego turystów dachu katedry, widać było na Czerwonej Górze, jak na środku teatralnej sceny, majestatyczną biel pałacu Potala, wtopionego w krajobraz odległych Himalajów, ale widocznych z taką ostrością, jak gdyby były tuż, tuż za nim, zaraz na drugim planie, a nie w odległości stu kilometrów.

Na schodach świątyni Dżo-k'ang, stał zamyślony, starszy wiekiem, mężczyzna zapatrzony w okrągłą, złożoną budowlę, wieńczącą dach lhaskiej katedry, zwaną Chorągwią Zwycięstwa. Określenie 'starszy' było najwłaściwsze, ponieważ był dosyć stary, ale nie robił wrażenia starego. Miał wzrok zamyślonego, ale energicznego człowieka, nie zaś zmęczonego starca. Wysoki, postawny, wyglądał na zagubionego w pustce Tybetu angielskiego dżentelmena. Grube, kraciaste spodnie i marynarka z tego samego materiału, wskazywały na cudzoziemca z odległego kraju. Siwe, gęste bokobrody, okalały pociągłą twarz. Brakowało tylko monokla,

tkwiącego w oku, aby wziąć go za podróżującego po świecie lorda.

Aywan Ngawang Bell rzeczywiście od kilku tygodni był w podróży. Zdecydował się na nią z dnia na dzień, Podjął postanowienie po tym, gdy porządkując kasetkę z drobiazgami, należącymi do matki, zmarłej w Dardżiling przed ponad pół wiekiem, natrafił na jej odręczny list, adresowany właśnie do niego. Kończył wtedy siedemdziesiąty szósty rok życia. Przeglądał stare dokumenty, pragnąc - może trochę nieświadomie - podsumować swoje życie. Matkę pamiętał doskonale. Umarła we śnie w końcu grudnia 1950 roku. Miał wtedy dwadzieścia lat. Ten dzień zapadł mu w pamięć z jeszcze jednego powodu. Prasa była właśnie pełna doniesień o wkroczeniu wojsk chińskich do Lhasy. W momencie śmierci musiała śnić coś miłego. Oczy miała zamknięte, ale na twarzy zastygł uśmiech pełen radosnego i spełnionego oczekiwania.

Zapamiętał, że jej pokruszona wiekiem twarz miała w sobie pewien rodzaj subtelnego piękna, które nosiło znamię jakiejś tajemnicy. Podejrzewał, że sam jest w tę tajemnicę uwikłany. Ilekroć pytał o przyczynę dziwności swojego imienia, tylekroć uśmiechała się do niego, całowała w czoło i zawsze zmieniała temat. W pobliżu Dardżiling, zaraz za granicą dawnego księstwa Sikkim - od pół wieku stanu Republiki Indii - mieszkało wielu Tybetańczyków, więc imię 'Ngawang', chociaż brzmiało w zestawie z czysto angielskim nazwiskiem dziwnie, to posiadało lokalny koloryt. Ale pierwszego imienia - 'Aywan' - nie mógł skojarzyć z niczym. Mogło wynikać - domyślał się czasami - z angielskiej wymowy rosyjskiego imienia 'Iwan', ale - jak powiadają - „gdzie Rzym, a gdzie Krym?” - Północne Indie nie miały żadnych powiązań z Rosją. Imię musiało nieść jakąś sympatyczną dźwięczność,

skoro to samo nosił jego dorosły wnuk. „*Nie wiem*” - wczytywał się w drobne pismo matki - „*kiedy natrafisz na ten list. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek do ciebie dotrze. Jednak, na pewno będziesz wtedy dojrzałym człowiekiem, który ma prawo znać prawdę. Nie jesteś synem Charlesa Bella, mojego kochanego i nieodżałowanego męża. Zostałeś poczęty pewnej chłodnej nocy w apartamencie na drugim, ostatnim piętrze wewnętrznego skrzydła najstarszego hotelu w Lhasie - Kyichu. Nazwa pochodzi od rzeki, lewego dopływu Brah-maputry, nad którym leży miasto. Twoim prawdziwym ojcem był przyjaciel Xlii Dalajlamy Tybetu, buddyjski mnich znany tam pod imieniem Ngawang. Naprawdę nazywał się Aywan Dordże i pochodził z rosyjskiej Syberii. To długa i bardzo romantyczna opowieść o ludzkim przeznaczeniu*”. Potem, na kilkunastu kartkach, drobnym kobiecym pismem, wyłożona była cała historia tej miłości, wyroków losu i działania kosmicznej *dharmy*, której - puentowała matka - „*poddaliśmy się bez najmniejszej wątpliwości, bez oporu i nie bez przyjemności, jesteś dzieckiem namiętności silniejszej od miłości!*”. Opis był rzeczowy, spokojny, ale skryta emocja wyzierała spod pióra.

Aywan Bell był zbyt stary i zbyt doświadczony, aby ta wiadomość nim wstrząsnęła. Ojca, Charlesa Bell'a - teraz już wiedział, że ojczyzna - pamiętał słabo. Zmarł na atak serca, gdy był jeszcze dzieckiem. Właściwie, oczekiwał takiej wiadomości. Historia, którą spisała dla niego matka, była warta czekania. A czekał długo. Dorobił się dwojga dzieci, całej gromadki wnucząt oraz wysokiej pozycji społecznej. Jako długoletni gubernator stanu Sikkim, był powszechnie znany i szanowany. Dom w Dardżiling, otoczony zielonymi wzgórzami herbacianych plantacji, był mu

domem dziecięcym i domem dorosłości. Stał się też domem wdowieństwa i obecnej starości. Uświadomił sobie, co jest winien matce. Przez całe życie poszukiwał kogoś, kto by jej dorównał w obłoku otaczającej ją kobiecości. Nigdy tego kogoś nie znalazł, co odczuwał jako niesprawiedliwe pominięcie ze strony Losu. Teraz zrozumiał, że jest inaczej. Całkiem inaczej.

Decyzja była natychmiastowa. Nie zważał na protesty domowników, przestrzegających przed trudami długiej i samotnej podróży. Wyruszył natychmiast. „Żelazny ptak z metalu” zaniósł go do Petersburga. Przebył stamtąd koleją transsyberyjską drogę do Irkucka i Ułan-Ude, którą jego ojciec przemierzał trzykrotnie sto lat wcześniej. Ku swemu zaskoczeniu i radości, w małym buddyjskim klasztorze Astagat, po południowej stronie jeziora Bajkał, odnalazł jego ślady. W klasztornym domku, noszącym w części muzealnej numer cztery, za pięć rubli mógł obejrzeć zebrane pamiątki, poświęcone -jak odczytał z satysfakcją w przewodniku - „*Ajwanowi Dordzi-jewowi - jednemu z tutejszych mnichów, głównemu doradcy XIII Dalajlamy*”. Za muzealną szybą tkwił mocno postrzępiony habit, proste sprzęty i książki, dużo książek.

Drogę z Ułan Bataar, dawnej Urgi, do trasy Jedwabnego Szlaku, Aywan Bell też przebył pociągiem. W Lanzhou, stolicy prowincji Gansu, przesiadł się do najnowszego osiągnięcia techniki. Zakończona została budowa linii kolejowej łączącej Lhasę z Pekinem. Chińczycy zbudowali ją wbrew opiniom szwajcarskich inżynierów, twierdzących, że na tej wysokości i przy wiecznej zmarzlinie, kolei w Tybecie wybudować się nie da. Jednak praca trzydziestu tysięcy robotników wyposażonych w maski tlenowe, zadała kłam niedowiarkom. Pierwszy pociąg pasażerski wyruszył

w trasę latem 2006 roku. Tybetań-czycy obawiali się, że Chińczycy będą teraz przysyłać milion osadników rocznie, jednak nizinny naród Han nie kwapił się do życia w rozrzedzonym powietrzu Dachy Świata. Szukanie pracy w Szanghaju, Kantonie czy Nankinie dawało lepsze efekty. Tybet, to była zsyłka, a nie praca.

Aywan Bell podróżował wygodnym, hermetycznym - na wzór kabiny samolotu pasażerskiego - wagonem, przez góry Tybetu, trasą, którą jego ojciec przemierzał kiedyś wierzchem. Inaczej, niż przed stu laty, wyglądał zapewne pałac Potala, oglądany teraz z pędzącego pociągu, wynurzającego się z przełęczy, położonej na wysokości ponad pięciu kilometrów nad poziomem morza. Koniecznie chciał tej podróży. Miał wrażenie, że tylko w ten sposób może zamknąć koło własnego życia. Bez tego czułby się niepełny. A może szło mu o to, że czuł wobec nieznanego ojca coś w rodzaju nie spłaconego długu? Nie wiedział skąd brało się to przekonanie. Z Tybetem nie czuł wspólnoty. Urodził się w Zachodnim Bengalu, w Dardżiling, najbardziej angielskim mieście Indii. Był obywatelem Republiki Indyjskiej, czyli - nie lubił tego określenia - Indusem. Nie lubił, bo czuł się - chociaż nigdy nikomu tego nie mówił - trochę jak Anglik w koloniach. Życie między pałacem gubernatora a rezydencją plantatora narzucało poczucie pewnej wyższości. Nie mówił o tym nikomu nie tylko dlatego, że Indie od dawna nie były już angielską kolonią. Zresztą, Anglikiem też nie był. Matka, córka słynnego generała brytyjskiego, w połowie była Azjatką. Czystym, żeby nie rzec, rasowym Anglikiem, był ojciec - teraz wiedział, że był jego ojczymem - Charles Bell. Jego syn, a właściwie pasierb - nie mógł przyzwycząić się do tego określenia - uczęszczał do najlepszych angielskich szkół i mówił elitarnym

akcentem z Eton. Ale zawsze czuł w sobie jakąś inność, chociaż nie wiedział skąd się to uczucie brało.

- Kim więc właściwie jestem?- pytał sam siebie. - Mam w sobie krew angielską, chińską i tybetańską po matce, mongol-sko-buriacką po ojcu, a fińską po babce Sorkaktani! - zastanawiał się, jak odpowiedzieć na to pytanie.
- Kim właściwie jest człowiek? - To lepiej postawione pytanie - pomyślał samokrytycznie.

Nie bez przyczyny wybrał miejsce do rozmyślań - katedralne schody monumentalnej buddyjskiej świątyni. Najstarszej i najświętszej. Pewien stary, napotkany w Lhasie, mnich powiedział mu, że przyjaciel XIII Dalajlamy, a jego ojciec, Aywan Dordze, umarł właśnie w tym miejscu. Połknął truciznę, nie chcąc wyjawić Chińczykom tajemnej mantry, modlitewnego zaklęcia, umożliwiającego otwarcie drzwi podziemnej siedziby Palden Lhamo. Przyciszonym głosem, jakby w obawie przed jej reakcją, mnich wyszeptał mu do ucha, że od tej pory diablica nie daje ludziom żadnych znaków. Może się obraziła? A może się na nich zawiodła?

- Om mani padme huml Om mani piidme huml Om mani padme huml*
„Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” - słyszał monotonną mantrę wypowiedaną przez mnicha, siedzącego pod ścianą Dzo-k'angu na czerwono-ceglastej poduszce w medytacyjnej pozycji Wajroćany: nogi miał skrzyżowane, kręgosłup wyprostowany, głowę lekko pochyloną.
- Om mani padme huml Om mani padme huml Om mani piidme huml*
„Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” - Aywan Bell był zdumiony! To był jego własny głos! - *Om mani padme huml Om mani padme huml*

Om mani padme hum! „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!” - powtórzył. - *OM VAJRA BHUMI AH HUM!* - „układam potężną złotą podstawę!”. *OM VAJRA REKHE AH HUM!* - „zakreślam na zewnątrz żelazne ogrodzenie. W środku Król Gór, na wschodzie kontynent Lu-pak-po, na południu Jam-bu-ling; na zachodzie Ba-lang-jo, na północy Dra-min-yan”. - Nawet nie zauważył, że sam znalazł się na kamiennych schodach Dzo-k'angu w pozycji Wajroćany: nogi skrzyżowane, kręgosłup wyprostowany, głowa lekko pochylona. Czuł, że ogarnia go stan nieskończonej błogości i nagle, gorące pragnienie, aby już tak zostało na zawsze...

5.

W Ganchen Kyishong, poniżej McLeod Gandź, himalajskiej osady położonej w pobliżu miasteczka Dharamsala w stanie Himachal Pradesh, panowała głęboka żałoba. Odszedł Tenzin Gyatso, XIV Dalajlama Tybetu, nie kwestionowany autorytet, niestrudzony krzewiciel człowieczeństwa. W żałobie pogrążył się cały świat. Ludzie czuli, że stracili przyjaciela i przewodnika. Ostatni raz wierni wszystkich religii mieli takie uczucie smutku, żalu i zagubienia przed wielu laty, w dniu śmierci katolickiego biskupa Rzymu - Jana Pawła II. Mieli w pamięci nie tylko dokonania zmarłego, ale również jego dostojne przywództwo umęczonego narodu. Chińskie porządki w Tybecie doprowadziły do śmierci ponad miliona ludzi. Tych, którzy stawiali opór, a przeżyli, zamykano w obozach koncentracyjnych. Dziewięćdziesiąt procent instytucji religijnych Tybetu zniszczono, a trzysta tysięcy z nielicznego narodu wybrało wygnanie po indyjskiej

stronie granicy. Jednak tybetański buddyzm przetrwał. Więcej, pod przywództwem XIV Dalajlamy, rozprzestrzeniał się po świecie, przykuwając uwagę nie tylko pozyskanych wyznawców, ale przedstawicieli zachodniej nauki. Symboliczny wymiar miało to, że chociaż Tybet nie został uznany za podmiot prawa międzynarodowego, uroczystości pogrzebowe przyciągnęły do Dharamsali koronowane głowy i przedstawicieli państw z całego świata, a samą ceremonię transmitowały media elektroniczne.

Znamienna była pierwsza decyzja Rządu Tybetu na Uchodźstwie. Wbrew nadziejom władz chińskich, oczekujących, że z braku przywództwa osłabną dążenia do suwerenności, wybrano nie jednego, ale dwóch regentów. Współrządzić *sangliq* - buddyjską wspólnotą, mieli teraz wspólnie - do czasu odnalezienia kolejnej reinkarnacji świętego Geduna Truppy: Tybetańczyk - Thubten Jimpa, sekretarz i najbliższy doradca zmarłego oraz Amerykanin - buddyjski mnich Ma-thiew Ricard, doktor biologii i współpracownik wielu instytucji naukowych. Te wydarzenia wprowadziły władze w Pekinie w stan głębokiego niepokoju. Buddyjska *smiglm* przestała mieć lokalny, tybetański wymiar. Stała się zjawiskiem światowym. Nowym Dalajlamą mógł zostać mieszkaniec dowolnego zakątka świata, nie tylko Tybetu. Tam, na obszarze Tybetańskiego Regionu Autonomicznego, władze chińskie były w stanie poddać poszukiwania nowej reinkarnacji politycznej kontroli. Świat za granicami Chin, znajdował się już poza ich politycznym zasięgiem. Oczy *sanghi* spoczęły teraz na wyroczni, która - znienawidzona przez władze chińskie - odrodziła się na uchodźstwie w klasztorze Namgyal Gompa w Dharamsali, pięć minut drogi od siedziby zmarłego Dalajlamy.

Debaty, w jaki sposób - w sytuacji wygnania - przeprowadzić poszukiwania czternastej reinkarnacji pierwszego Dalajlamy, zabrały kilka lat. Oddano sprawę wyroczni. Jej obowiązkiem było wskazanie kierunku poszukiwań. W sali modlitewnej klasztoru Namgyal - jak każda wielowiekowa tradycja - zgromadziło się wielu mnichów. Obrządek z udziałem medium wyroczni odbył się według starodawnych wzorów. Była magiczna szata, był święty sztylet - Padmasambhawya - *p'urbu*, dym z uroczystych kadzideł, wypełniona krwią *kapala* i z pozoru bezładne wypowiedzi kapłana.

-Zadawanie pytań bardzo się udało! Przeor wypowiedział rutynową formułę. Były to słowa, których oczekiwano z niepokojem. Wyrocznia stwierdziła - informował nie kryjąc poruszenia - że cykl trzynastu reinkarnacji zaczyna się od nowa!

Dało się słyszeć westchnienie ulgi. Formuła uchylała przepowiednię mówiącą, że XIII reinkarnacja Geduna Truppy będzie ostatnią, a XIV Dalajlama ostatnim 'Żyjącym Buddą'.

-Nowa inkarnacja Buddy Awalokiteśwary zostanie wkrótce odnaleziona! Wyrocznia wskazała miejsce poszukiwań! Znajduje się na wschód od nas, po południowej stronie świętej góry Lung'tur i - przeor zawahał się jak te informacje uszeregować - kapłan wyroczni kilkakrotnie powtarzał słowo '*tchai*' oraz '*dzwon*', a potem wydawał niezrozumiałe dźwięki: '*rdor-dze* i '*gling*', a jako miejsce narodzin nowej inkarnacji wskazywał '*miejsce pioruna*'.

*Tym razem szmer przemienił się w szum wymienianych szeptów-
Wszyscy wiedzieli, co to znaczy. Święta góra Lung'tur, niegdysiejsza*

przyczyna konfliktu zbrojnego między Tybetem a Brytyjczykami, położona była na terenie dawnego księstwa Sikkim, obecnie samodzielnego stanu Republiki Indii. Poszukiwanie reinkarnacji nowego Dalajlamy odbędzie się poza kontrolą rządu chińskiego i władze z Pekinu nie będą miały nań wpływu!

Na czele grupy poszukiwawczej stanął sam Thubten Jimpa, urzędujący współregent. Postanowiono, że do wyprawy dołączy kapłan wyroczni.

Doświadczenia z poszukiwania XIII

Dalajlamy z przed prawie stu pięćdziesięciu laty, pokazały, że udział kapłana-wróżbity znakomicie przyspiesza odnalezienie świętej reinkarnacji. Nowoczesna technologia, którą postanowiono zaprząć do pracy, również obiecywała, że poszukiwanie nie będzie trwało, jak dawniej, miesiącami. Ze stanu Hi-machal Pradesh na wschód, w kierunku granicy stanu Sikkim i góry Lung'tur, prowadziła, oddana świeżo do użytku, czte-ropasmowa autostrada.

Celem mnichów z Dharamsali była najpierw Dhamekh Stupa w Sarnath, położona w pobliżu najświętszego miasta Indii - Benares. Strzelisty relikwiarz, mierzący trzydzieści cztery metry wysokości, upamiętnia miejsce, w którym Budda wygłosił swoje pierwsze kazanie. Od tego momentu - według wszystkich szkół buddyźmu - rozpoczął się jego marsz przez świat. Tybetańscy lamaści uważają, że kolejni Dalajlamowie są reinkarnacją samego Oświeconego. Poszukujący przybyli do świętego miejsca by otrzymać pomoc i wskazówki. Trzeba było wykluczyć możliwość pomyłki. Świat oczekiwał na rezultaty, a nie domniemanie.

Sarnath, to oaza spokoju przesiąknięta *dharmą*. Wokół miejscowości widać bezkresne pola upstrzone ruinami ceglanych murów, przedzielanych zielenią łąk. Nad okolicą dominuje niewielki las, w którym pasą się nigdy nie płoszone jelenie. Resztki murów, to pozostałość kompleksu klasztorowego, zniszczonego kiedyś przez muzułmańskich najeźdźców z zachodu. W jego centrum widać jeszcze kawałki kamiennego Buddy, na którym widnieją pojedyncze płatki złotej farby, pokrywającej niegdyś całą postać Oświeconego. Ofiary z kwiatów, palące się świece i kadzidełka świadczą o kultowym znaczeniu miejsca. Tradycja powiada, że tutaj miało miejsce pierwsze kazanie Buddy, czyli 'pierwszy obrót koła *dharmy*'. Później, Oświecony miał spędzać w pobliżu wiele czasu w okresach pory deszczowej. W pierwszym kazaniu wyjaśnił, w jaki sposób można wyrwać się z karmicznego koła śmierci i ponownych narodzin. Budda zmienił znaczenie hinduistycznego pojęcia *samsary* - wiecznego koła żywota. Inaczej, niż w hinduizmie, gdzie osiągnięcie nirwany jest następstwem dokładnie wykonywanych rytualnych czynności, buddyzm sprowadził gromadzenie karmy dla przyszłego życia do etyki postępowania. „Zamiar, ciało, słowa lub myśli tworzą karmę”, a nie mechaniczne uczestnictwo w ceremonii. Pierwsze kazanie zawierało „Cztery Szlachetne Prawdy”, w których streszczają się podstawy buddyjskiej nauki, co do których panuje zgoda między wszystkimi jego kierunkami. Z takim przesłaniem Oświecony wyruszył w świat ludzi.

Mnisi wysiedli z samochodów, zaparkowanych rzędem na poboczu drogi i powolnym, uroczystym krokiem, zbliżyli się do relikwiarza. Jego zdobienia o geometrycznych kształtach i roślinnych wzorach działają

kojąco. Ułożyli poduszki przed sobą. Po chwili modlitwy spoczęli ze skrzyżowanymi nogami i przybrali medytacyjną pozycję. Medytacja jest aktem indywidualnym, jednoosobowym. Postanowili wzmocnić jej efekt wspólnotowym przeżywaniem, tak jak wspólnotowy charakter miał ich wysiłek poszukiwania reinkarnacji. Wierzyli, że tym sposobem cel zostanie przybliżony.

- Teraz wizualizacja! - usłyszeli regenta.
- Jak można powiedzieć coś do innych w trakcie medytacji? - To była wspólna myśl.

Oddaleni od rzeczywistości, świat widzieli jak przez mgłę, a usłyszeli słowa, których nikt nie wypowiedział. Thubten Jimpa też był zaskoczony. Kolejność czynności znał doskonale i wiedział, że równie dobrze znają ją jego towarzysze. Jej istotą jest spokój, a warunkiem milczenie.

Tymczasem słyszał swój głos wydający komendę!

-Czy to na pewno mój głos? - pomyślał - Jak mogę ingerować w myśli innych?

Przez powieki zamkniętych oczu powoli wyłaniał się obraz bóstwa. Był niewyraźny.

-Czy to Majtreia - Budda Przyszłości czy Mandżuśri - Budda Mądrości? Na pewno - analizowali - nie jest to Awalokiteśwara. Ma przecież dwie ręce, a nie tysiąc!

Na zewnątrz panowała cisza, przerywana jedynie śpiewnym świergotem ptaków.

-Pomóż mam, Panie, znaleźć to, czego szukamy!

Regent usłyszał tym razem chór głosów. 1 jego głos był między nimi..

Odróżniał go, jako swój i obcy jednocześnie!

- Czego szukacie? - usłyszeli.
- Ciebie, Oświecony, Ciebie! - odpowiedział chór.
- Jestem! Oto jestem!

Jimpa poczuł dziwną, ale miłą, woń.

- Czy Budda ma zapach? - myśl nie była zbyt mądra, ale zapach, który wyczuwał, był coraz bardziej intensywny, jakby podkreślał kształty wyłaniającej się wizualizacji Oświeconego.
- Co to za zapach? - myślał Jimpa - Jak go znam! Tak! -uświadomił sobie po chwili - To zapach orchidei, ale jest w nim coś jeszcze, coś nietypowego! Imbir? - wydawało mu się, że takie połączenie zapachów nie może być przyjemne, ale było urzekające. - Orchidea ze szczyptą imbiru... - myśl błąkała się już poza kontrolą umysłu - Zaiste, bogowie pachą pięknie...

Oświecony nie był sam. Obok wyprostowanej, błyszczącej pozłotą, postaci siedzącego Majtrei - Buddy Przyszłości, majaczyła inna - o szarozielonkawej barwie. Była mniejsza od niego, trochę za nim schowana. Z za wizerunku Majtrei wystawała głowa o dziwacznie dużych rozmiarach. Szerokie, mięsiste usta łączyły się kącikami z długimi uszami sięgającymi koniuszkami do ramion. Ciało układało się w tułów, z którego wystawał obrośnięty tłuszczem brzuch, zaznaczony głębokim pępkiem.

- To jakiś chiński wizerunek! - powiedział Jimpa. - Nie zwracajcie na niego uwagi! Szukamy rady u Oświeconego z indyjskiego rodu Śakyów, a nie u jakiejś chińskiej repliki!
- To nie takie proste! - odezwał się symbol mądrości - To też Budda, ale

chiński. To Jadeitowy z Szanghaju. Jest inny od tybetańskich wizerunków. Ale ta mutacja - uśmiechnął się smutno - fascynuje ponad miliard ludzi! Nie można go lekceważyć!

- Panie! - powiedział Jimpa - Udajemy się na poszukiwanie twojej inkarnacji na Lwim Tronie w Lhasie. Nie możemy -jego głos nabrał proszalnego odcienia - dopuścić do pomyłki. Patrzy na nas cały świat!
- Ale nie patrzą na was Chiny! - warknął Jadeitowy - W Chinach buddystów jest sto razy więcej, niż w całej reszcie świata!

Argument był trudny do odparcia. Medytujący byli zafrasowani. Liczba buddystów na całym świecie, doliczając do nich nawet wyznawców szkoły *therawada* w Sri Lance i na Półwyspie Indochińskim - to ledwie dziesiąta część ludności Chin. Jeśli doliczyć szkoły japońskie, to i tak była to zaledwie jedna piąta ludności Państwa Środka.

- Musicie znaleźć reinkarnację na terenie Chińskiej Republiki Ludowej!
- Jadeitowy korzystał z zaskoczenia - Nie na Tajwanie, nie w Singapurze, nie w Hongkongu i nie w Makau! On musi pochodzić z Chin prawdziwych, to jest takich, gdzie mieszka wyłącznie lud Han!
- XV Dalajlama komunistą? - zdziwienia regenta z niczym nie dało się porównać.
- Co to znaczy, komunistą? - Jadeitowy brnął w intelektualne zawijasy - Nasza partia ma pod opieką wszystkich, nawet chińskich kapitalistów. Może swym opiekuńczym ramieniem objąć także mnichów i samego Dalajlamę! Co za problem? - był z siebie wyraźnie zadowolony.

Regent Jimpa wpatrywał się w złocistą postać Sakyamu-niego w oczekiwaniu pomocy. Posąg milczał.

- Chińczycy nie rozumieją buddyzmu! - powiedział Jimpa - Nawet, jeśli tworzą nowe jego szkoły, takie jak *chan* i *zen*. Ten buddyzm, to nie-buddyzm, to chińskie poszukiwanie nieśmiertelności. Chiński buddyzm - Jimpa czuł narastającą irytację - to 'zbuddyzowany' taoizm.

- Co? - Jadeitowy aż wychylił się cały z za postaci Majtrei -nasz buddyzm, to nie-buddyzm? To chcesz powiedzieć? A dlaczego ci się nie podoba taoizm? - Jak na wizerunek Buddy,

Jadeitowy posunął się stanowczo za daleko w obronie taoizmu - rodzimej chińskiej religii konkurującej z buddyzmem.

Taoizm, którego twórcą był mistrz Lao-zi, żyjący jeszcze przed Buddą, to czysto chińska koncepcja kosmosu. *Tao* - to 'droga'. W tekstach taoizmu to pojęcie uzyskało metafizyczne znaczenie nieosobowego absolutu, źródła i twórcy wszechświata. „Jest coś - mawiają taoiści - co istniało jeszcze przed niebem i ziemią, Stoi samotne i niezmiennie. Można je uważać za matkę wszystkiego. Nie znamy jego imienia, nazywane jest *tao*.”

- Nie podoba mi się ten chiński buddyzm! - syknął Jimpa -Jest zbyt materialistyczny, za mało duchowy! Tylko z pozoru zrównuje *tao* z *dhuirmą*. *Dhuirma*, to odwieczne prawo, to wszechobejmujący mechanizm, któremu wszyscy i wszystko musi się poddać. *Tao*, to tylko droga, po której należy kroczyć i którą stale trzeba odkrywać, ale nie po to, by zrozumieć odwieczne prawo, ale po to by zostać nieśmiertelnym! Wy, Chińczycy - Jimpa chyba nie lubił Hanów - jesteście najpierw sy-barytami, a potem dopiero wrażliwymi ludźmi! Chcecie żyć wiecznie, żeby rozkoszować się przyjemnościami. My uważamy, że rozkosz jest ułudą, gonitwą za nie-istnieniem, przyczyną

cierpienia i nieszczęścia. *Tao* i *dharmy* to zupełnie inne pojęcia. Nie mieszaj tego!

- Przecież *tao* prowadzi do *dharmy* - upierał się Jadeitowy.
- Do *dharmy* - powiedział kwaśno Jimpa - nic nie prowadzi! *Dharma* po prostu jest! - Jadeitowy zamilkł.
- Tak czy owak - Jadeitowy nie dawał za wygraną - musicie znaleźć reinkarnację świętego Geduna Truppy w Chinach, a nie gdzie indziej!
- Znajdziemy ją tam, gdzie będzie! Szukamy prawdy, a nie polityki! - Jimpa tracił cierpliwość - Mamy wskazówki: '*tchai*', '*rdorje*', '*gling*' oraz '*dzivon*'\

- To wszystko wskazuje na Chiny! - cieszył się Jadeitowy. Szczególnie '*tchai*' - to najbardziej chińskie słowo, oznaczające 'herbatę'. Napój uczynił z niego słowo międzynarodowe. Od niego pochodzi rosyjski 'czaj', angielska 'tea', francuska 'te' i turecki 'çay', - to oczywiste!
'*Dzwon*', to po chińsku '*zhong*', co

znaczy też 'poszczęścić się', 'zdać egzamin'. A '*rdorje*', i '*gling*', to zniekształcona nazwa Przełęczy Słońca i Księżycy - *Riyue Shankou* w prowincji Qinghai, tej samej z której pochodził zmarły Dalajlama! Macie więc - mięsiste usta śmiały się od ucha do ucha - szukać przy przełęczy w okolicy Księżycowego Jeziora, zatrzymać się tam, gdzie uprawia się krzewy herbaciane, a wtedy wam się 'poszczęści' i 'zdamie egzamin'! To proste!

Jimpa nie miał na to odpowiedzi. Jego towarzysze też nie wiedzieli, co z tym począć.

- Gdyby miejscem reinkarnacji miał być Qinghai - uświadomił sobie

triumfalnie - wyrocznia wskazałaby kierunek północny, a nas skierowała na wschód! Poza tym - argumentował Jimpa - Księżycowe Jezioro, to nie 'miejsce pioruna'!

- Macie też inną możliwość! - odezwał się milczący dotąd połączony Śakyamuni. - Herbata, czyli chiński '*tchai*', najlepiej rośnie w Zachodnim Bengalu, u podnóży Himalajów - Maj-treia nie dawał się wciągnąć w sztuczki Jadeitowego - a '*rdor-dze gling*' może równie dobrze oznaczać miejscowość. Szukajcie 'miejsca pioruna'.
- Nie lubię tego miejsca! - syknął Jadeitowy.
- Wiem dlaczego! - Śakyamuni nie uważał widać Jadeitowego za pełnoprawną replikę.
- Wiem, że miałeś tam swoją wybrankę! - Jadeitowy dalej był złośliwy - Jako stary kobieciarz tracisz do dzisiaj dla bab głowę!
- Piękne kobiety - zauważył spokojnie Majtreia - nie rodzą się ani z przypadku, ani dla samej urody. One mają szczególną misję!
- Ogłupiania mężczyzn? - złośliwość Jadeitowego była niewyczerpana.
- Nie! - powiedział Śakyamuni z powagą - Wybierania odpowiednich mężczyzn do odpowiednich celów! I ona też została wybrana!
- A kto ustanawia cele? - Jadeitowy upierał się przy swoich wątpliwościach.
- Dhartna!* - brzmiała odpowiedź - *Dliarma*, czyli prawo i przeznaczenie, a nie jakaś 'droga' do nieśmiertelności, jakieś tam *tao*. - Sakyamuni widać też nie był przekonany do tao-izmu.
- Ale ona, ta twoja wybranka, była Chinką! - ratował się jeszcze Jadeitowy - Więc Chinom coś się należy!

- Dobrze wiesz, że była w połowie Angielką, w ćwierci Ty-betanką i tylko w ćwierci Chinką!

- No właśnie! - Jadeitowy prawie wrzeszczał - I nas, Chińczyków jest ćwierć ludności globu!

-I potrzeba wam więcej pokory! - Sakyamuni był teraz stanowczy -

Widzę, że macie się, jak dawniej, za reprezentantów całej ludzkości! I co? Państwo Środka już nie jest w środku świata! - Dotąd był poważny, teraz zaśmiał się nagle.

- Ale będzie! Jeszcze będzie! - Jadeitowy już nie ukrywał złości.

- To przecież żaden Budda! - zreflektował się Jimpa - To podmieniec!

Uważajcie na niego! - zwrócił się do współmedytujących - Nie dajcie się zwieść pozorom!

Wizerunek Buddy z jadeitu jakoś się rozmazywał. Twarz miał wykrzywioną grymasem niezadowolenia. A może grymasem strachu? Jimpa przypomniał sobie okrutny zwyczaj chińskich cesarzy. Gdy wyznaczona osoba do negocjacji z wrogami nie potrafiła wymusić warunków układu, na jakie oczekiwano, wręczano jej jedwabny sznurek, na którym wolno jej było się powiesić. Może Jadeitowy obawiał się kary po powrocie do Szanghaju? Postać Śakyamuniego także się oddalała.

-A może 'dzwon' to nazwisko? - tak brzmiało ostatnie zda nie połączanego Buddy.

Uczestnicy wspólnej medytacji byli poruszeni. Nigdy dotąd nie brali udziału w takim zbiorowym wydarzeniu. Medytowali oddzielnie, indywidualnie, a jednocześnie uczestniczyli w jakiejś ważnej, zbiorowej wymianie poglądów. Każdy słyszał i widział to samo, co inni. Zwykle jest

inaczej. Doznania

medytacji mają charakter wybitnie jednostkowy, wypreparowany od wrażeń innych.

-To jest arcyważna wskazówka! - Jimpa powrócił do rzeczywistości - Nie jedziemy do Chin! - podsumował - Jedziemy w kierunku świętej góry Lung'tur! Tak jak nakazała wyrocznia!

7.

Podążali szeroką autostradą, prowadzącą na wschód, wzdłuż doliny Gangesu, najżyźniejszej i najludniejszej doliny świata. Bogini Ganga, od której imienia rzeka wzięła swoją nazwę - to matka Indii. Minęli Patnę, dawną Pataliputrę, stolicę starożytnego Królestwa Magady, rozłożoną u ujścia Gan-daku do Gangesu i przemknęli do zjazdu w Sahibgandź, łączącego autostradę wschód-zachód z tą, zmierzającą z południa na północ - z Kalkuty do Sikkim. Skręcili w kierunku coraz lepiej widocznych Himalajów. Po kilku godzinach jazdy dotarli do środkowego biegu rzeki Tista, uważanej za dziewczynę z uciekającej pary kochanków, przemienioną w rzekę dla ukrycia miłości do chłopca o imieniu Rangit, który w ucieczce, zamienił się w jej dopływ. Przed ich oczami rozpościerały się falujące wzgórza, pokryte intensywną zielenią herbacianych plantacji. Jedna trzecia indyjskiego eksportu herbaty pochodzi stąd - z Zachodniego Bengalu i Assamu. Kapłan wyroczni, który całą drogę drzemał jak w letargu, nagle zajęczał. Usta pokryły mu się pianą.

- Wadźra! Miejsce pioruna! - wyrzęził.

- Czyżby lo było tutaj? - zdziwił się Jimpa - Do góry Lung'tur jest

jeszcze daleko, prawie dwieście mil!

Wróżbita był niespokojny. Samochody zatrzymały się na przełęczy, z której rozciągał się panoramiczny widok na całą okolicę. Daleko, na horyzoncie, widać było zarysy miasta pełnego drzew, ogrodów i zadbanych rezydencji.

-Co to za miasto? - spytał Jimpa starego, chudego Chińczyka zapatrzonego w odległy krajobraz. Chińczyk miał długą, cienką brodę, szczupłą, pomarszczoną twarz i mądry wyraz szarych oczu. - Skąd wziął się tutaj Chińczyk? - pomyślał Jimpa - Czy to nie jakaś sztuczka Jadeitowego?

-Po nepalsku - wyjaśniał grzecznie Chińczyk - bo tutaj mieszkają głównie Nepalczycy, sprowadzeni kiedyś jako robotnicy plantacyjni, po nepalsku - powtórzył - miasto nazywa się *Rdordżegling*, co znaczy 'miejsce pioruna'. Ładna nazwa, nieprawda? - Chińczyk uśmiechnął się zadowolony - Bengalczycy nazywają je Dardżiling.

Jimpa oniemiał. Więc byli na miejscu! Brakowało tylko szczegółów.

- Czy tu mieszkanie? - spytał grzecznie Chińczyka, mając nadzieję na dodatkowe informacje.
- Nie! - odparł Chińczyk - Jestem przejazdem z daleka, z niewyobrażalnie daleka! - roześmiał się do własnych myśli -Wiem jednak o tym miejscu wyjątkowo dużo! To tylko z pozoru zwykłe miasto.
- Czym różni się od innych? - Jimpa zdziwił się serdecznie. - Chyba tylko liczbą śladów po angielskim panowaniu!

- Mylisz się, mój drogi! Mylisz się głęboko! - Chińczyk był tak pewien swego, że Jimpa nawet nie zwrócił uwagi na to, że nie użył formy grzecznościowej, ale przeszedł z nim na 'ty' - To miejsce, to początek i koniec jednocześnie - Chińczyk pochylił się przez balustradę ochraniającą zakręt drogi, jakby chciał być jak najbliżej miasta - to miejsce *samsaty*, tutaj zaczyna się i kończy czas. Koło życia kończy właśnie swój pełny obrót.

- *Rdordżegling* - mruknął Jimpa, to tylko nic nie mówiąca nazwa. Każde miasto się jakoś nazywa i każda nazwa z czegoś się bierze. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Ta nazwa, to nepalskie przekręcenie. Kiedyś to miejsce nazywano *Dordże Ling*, czyli miejsce diamentu, niezniszczalny początek i koniec. *Dordże*, to po tybetańsku to samo, co w san-skrycie określane jest mianem *wadźm*.

- *Wadźm*, to diamentowy klejnot, symbol władzy Oświeconego - Jimpa wzruszył ramionami - Oświecony urodził się w Lumbini a nie tutaj - pięćset kilometrów na zachód stąd, a

jego święte miasto - Lhasa jest w podobnej odległości, ale po tamtej stronie wielkich gór. Nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego.

- Pięćset lat temu - odrzekł Chińczyk - miał tutaj siedzibę Lama Dordże. Dzisiaj - jego twarz przybrała poważny wyraz - szukacie jego potomka jako reinkarnacji pierwszego Dalaj lamy Tybetu. Czy to nie dowód na to, że jest to miejsce, w którym zamyka się koło *satnsary*?

Jimpa nie słuchał. Był zbyt zajęty własnymi myślami, aby zwrócić uwagę na zagadkową wiedzę Chińczyka o celach misji.

- Może wiecie, gdzie tu można znaleźć dzwon? Taki jakiś - zapytał - dzwon, zwracający uwagę! Rozmawiali po angielsku i Jimpa użył określenia *'impressive beli'*.

Chińczyk ożywił się tak, jakby na to pytanie właśnie czekał.

•Oczywiście! - powiedział radośnie - To bardzo *'impressive family'*!

•Jaka rodzina? - Jimpa nie ukrywał zdumienia.

•Rodzina Bellów! Wszyscy ją tu znają. To cała historia tego miasta! Korzeniami sięga do pułkownika, *sorry!*, generała Younghusbanda i jego przyjaciela majora Charlesa Bell'a! Całe miasto żyje historią wielkiej miłości żony Bell'a - córki generała.

•Jego miłości do żony, żony do niego, czy obopólnej miłości? - Jimpa próbował zrozumieć historię.

•To długa i skomplikowana historia! - zadumał się Chińczyk - Aktorów dramatu było wielu: pochodzący z Rosji mnich Aywan Dordże, przyjaciel Thubtena Gyatso, XIII Dalajlamy, niejaki Heine, Żyd z Szanghaju, chiński mistrz konfucjanizmu, a także cesarzowa wdowa Cixi. Mieszać w sprawie usiłował nawet sam Budda!

•Sakyamuni? - Jimpa wyglądał na osłupiałego.

-Nie! - prychnął Chińczyk - Ten nefrytowy dupek z Szanghaju!

-Jadeitowy? - wykrzyknął Jimpa. - Zaraz, przecież sami jesteście Chińczykiem!

•Tego, kim kto jest naprawdę nikt nie wie! - powiedział tajemniczo - Właśnie! - wyciągnął rękę do regenta - Proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem, Fu Songmu. Uczniowie nazywają mnie mistrzem

Fu.

- Uczniowie? A gdzie wasza szkoła? Jaka jest wasza specjalność? - Jimpa czuł się przytłoczony nagłą porcją informacji.
- To niełatwa odpowiedź! - zafrasował się Chińczyk - Jestem specjalistą od tego, czego nie podzielam! A moja szkoła jest wszędzie! Wszędzie tam gdzie jestem! Robię to już ponad dwa tysiące lat - roześmiał się głośno na widok zdumienia w oczach Jimpy.
- Mistrzu! Na tak starego nie wyglądacie! - Jimpie nie było do żartów. Jąkał się ze zdenerwowania - Gdzie mieszka ta rodzina, no, tych tam - BelFów?
- O tam, w tej dolinie! - mistrz Fu wskazał ręką na rezydencję, wyłaniającą się w dole, tuż pod nimi, ukrywaną dotąd przez cień wzgórza, którą właśnie podświetlała fontanna promieni zachodzącego słońca.
- Piękne miejsce! - zachwycił się Jimpa - Czy mistrz może pojechać tam z nami? - odwrócił się z pytaniem do Chińczyka. Ale za nim nie było nikogo. Mistrz Fu gdzieś się zapodział.

8.

Kolumna samochodów zsuwała się wąską drogą ze wzgórza w kierunku rezydencji BelFów. Pośród kwitnących herbacianych krzewów, droga wiła się jak szara, zwirowana rzecznyymi kamyczkami wstęga. Po obu stronach uwijali się nepalscy zbieracze herbaty z wiklinowymi koszami przytroczonymi do pleców. Droga prowadziła wzdłuż fosy, a raczej czegoś w rodzaju fosy, ponieważ nie można była dostrzec w jej linii żadnych funkcji obronnych. Po lewej stronie drogi, nieco w głębi, widać było

zabudowania gospodarcze. Na wprost nadjeżdżających samochodów wylaniała się z zielonego otoczenia rezydencja. W środku Azji, między Himalajami a deltą Gangesu, stała mieszkalna budowla w angielskim stylu. Jimpa, który wraz ze zmarłym Dalajlamą wiele podróżował, rozpoznał niekonwencjonalny styl epoki Tudorów - długie, wyciągnięte kominy i nadbudówki pokryte spadzistymi dachami. Dom miał stosunkowo mało okien. To akurat mogło być skutkiem gorącego klimatu. Był duży, nawet bardzo duży, piętrowy, ale robił wrażenie przytulnego. Nie przygniatał rozmiarami. To, co uderzało, to - nietypowe dla budowanych z cegły angielskich tudorów - użycie dużej ilości drewna. Ściany wypełniono gęstym belkowaniem z himalajskiej sosny, tworzącym na tle białego tynku widoczne z daleka wzory. Na jednych ułożono je w postaci ukośnych prążków, na drugich, układały się w odwrotną stronę, tworząc układ kojarzący się z karcianymi figurami. Na jeszcze innych, miały formę wyciętych z drewna listków koniczyny, przypominający symbol wadźry - diamentowego klejnotu Buddy. Tylko dach domu był odmienny od typowych tudorów, krytych zwykle szarą dachówką. Łamania pokrywała mocno sprasowana trzcina zmieszana z ryżową słomą, nadając całości łagodny i nieco wiejski charakter.

Wokół panował wieczorny spokój. Od strony gór wiał chłodny wiatr, oczyszczając powietrze z całodziennego upału. Kawalkada pojazdów zatrzymała się przed bramą, a właściwie ozdobną atrapą bramy. Wjazd był otwarty, pozbawiony wrót, zapraszający do odwiedzin. Grupa mnichów, ubranych w czerwono-brunatne habity, ostrożnie wsunęła się do okalającego dom ogrodu. Był utrzymany w stylu angielskiego romantyzmu, podkreślającym roślinami naturalny charakter terenu. Wody fosy łączyły

się z małym jeziorkiem, stanowiącym nieco asymetryczne centrum ogrodu. Bujna, kwitnąca i zadbana roślinność, wydawała się kierować zainteresowanie na wodę wypełniającą zbiornik. W świetle zachodzącego słońca - kwiaty przeglądały się w tafli jeziora tak, jakby poprawiały makijaż. Uwagę zwracał klomb, stanowiący centralny punkt podjazdu. Środek zajmowała orchidea. Krzew był ogromny, musiał być wiekowy, ale doskonale utrzymany. Mieczykowate liście dumnie sterczały ku niebu, a między nimi, w regularnych odstępach, kwitły kwiaty jednej z najpiękniejszych odmian tej wymagającej rośliny. Miały kształt sułtańskich turbanów z olejnych obrazów starych perskich miniatur. Szerokie, troszkę bulwiaste u dołu, szczuplejsze w kibici, zwężały się ku górze w ostry czubek. Kwiaty wyrastały z nasady przypominającej odwłok modliszki w okresie godowym, wspartej na cienkich owadzych odnóżach. Ich barwę trudno było określić - była jak delikatnie cętkowany wrzos, przetykany pasemkami bieli. Naturalne spojenia płatków, sprawiały wrażenie celowo domalowanych, ciemniejszych od kwiatów prążków, nadając im wygląd istot dumnych ze swojej niezależności.

- One wiedzą, że są piękne! - pomyślał Jimpa - Nie kryją tego przed nikim! - Pochylił się nad kwiatami, by napawać się zapachem. Zrobił to z niepokojem, w obawie, że czar może prysnąć. Prawda, były piękne, ale wiedział też, że kwiaty orchidei wydają z siebie różne zapachy - od woni francuskich perfum, po smród gnijącego mięsa. Bał się, że za chwilę czar pryśnie i cud natury okaże się zapachem nie do zniesienia. Nic takiego się nie zdarzyło. Kwiaty otaczał delikatny powiew, który - w jego wyobraźni - kojarzył się z zapachem gładkiej skóry pięknej kobiety.

- Co to jest? - zastanawiał się. Skądś go znał - Zaraz! - nastąpiło olśnienie - To ten! Ten sam, który czuł w czasie medytacji przed pozłacanym Buddą - kwiatowy zapach orchidei zmieszany ze szczyptą imbiru!

Thubten Jimpa już wiedział, że grupa poszukiwawcza jest we właściwym miejscu.

- Ten krzew posadziła matka z okazji moich narodzin! -

Męski głos wyrwał go ze stanu zachwyty.

Przed nim stał bardzo stary mnich, ubrany w taki sam habit, jaki miał na sobie Jimpa i jego towarzysze. Ogolona głowa, pomimo starości twarzy dowodziła istnienia gęstej, chociaż siwej czupryny włosów. Za rękę trzymał pięcio-, może sześcioletniego chłopca, również ubranego w czerwono-brunatny habit. Powaga, z jaką spoglądał na regenta, kontrastowała z jego dziecięca buzią.

- Było to prawie dziewięćdziesiąt lat temu! - mówił starzec - To wielki szmat czasu! Ten zapach jest niepowtarzalny -pieścił dłonią liście krzewu - pamiętam go doskonale! Moja matka pachniała tak samo. Proszę zwrócić uwagę! - pochylił się nad gronem kwiatów - Ma lekką domieszkę imbiru! To zupełnie niecodzienny zapach!
- Ty jesteś Namgyal-aga! - powiedział nagle chłopiec. W języku tybetańskim znaczyło to 'jesteś lamą z Namgyal'. Istotnie Jimpa był mnichem z klasztoru o tej nazwie.
- Z jakiej świątyni jesteście? - dla Jimpy habitury oznaczały przynależność do klasztornej *sanghi*.
- Nasza *sangha* jest wszędzie! - starzec zrobił ruch ręką, jakby chciał nią

objąć Himalaje i resztę Azji. - Jestem Aywan Ngawang Bell! - wyciągnął rękę w geście powitania - A to mój dom! Odziedziczyłem go po rodzicach. Habit założyłem dla towarzystwa, nie chciałem, aby chłopiec poczuł się obco, gdy zobaczy gromadkę mnichów.

- Skąd wiedzieliście, człowieku, o naszej podróży?!
 - Wiem o niej od lat! - stary człowiek mówił głosem, przez który przebijała pewność siebie - Przeczytałem list matki, potem udałem się z pielgrzymką do Lhasy i na schodach świątyni Dż-o'kang doznałem oświecenia!
 - Jaki ma to związek z naszą delegacją? - Jimpa nadal był pełen niedowierzania.
 - Ten chłopiec, to mój prawnuk! - starzec pogłaskał malca po głowie - Na imię ma tak jak ja - Aywan Ngawang i tak jak mój ojciec, czcigodny *lamin geshe* Aywan Ngawang Dordże, znany pod rosyjskim nazwiskiem 'Dordżijew' - bliźniacza reinkarnacja XIII Dalajlamy Tybetu Thubtena Gyatso. Macie chyba w Dharamsali jakieś archiwa?
- Jimpa już nie był zdziwiony. Tyle znaków wskazywało drogę delegacji wyroczni, tyle było - z pozoru drobnych - interwencji, aby nie nastąpiła pomyłka i by trafili właśnie tutaj, że już nie miał wątpliwości, iż znalazł się we właściwym miejscu. A historia mnicha Dordżijewa i jego - jak powszechnie uważano - bliźniaczej inkarnacji z XIII Dalajlamą, była znanym przedmiotem osobnych dociekań.
- Tak, tak! - skinął głową - Nawet ten stary Chińczyk - mistrz Fu Songmu pilnował, abyśmy tutaj trafili!

- On też wam pomagał? Wiem, kto to jest! - uśmiechnął się starzec - Ojciec go też znał. Matka wzmiankowała o nim w liście, który mi pozostawiła.
- To niemożliwe! - Jimpa zaprzeczył energicznie - Pańska matka nie żyje zapewne od bardzo dawna, a ja go widziałem przed godziną!
- Matka pisała, że starego mistrza Fu ojciec stracił z oczu w 1908 roku! - Aywan Bell roześmiał się szeroko - Nie zgadniecie gdzie? Na Wielkim Kanale w okolicy Szanghaju! W 1908 roku! - powtórzył, delektując się wrażeniem. - Podejrzewała zresztą, że mistrz Fu był tą samą osobą, co niejaki Heine, Żyd z rosyjskiego miasta Łódź, którego rodzice spotkali w Szanghaju w roku 1911!
- Heine? - Jimpa usiłował sobie przypomnieć - Tak! To nazwisko mistrz Fu też wymienił!
- Wymienił i gdzieś się zapodział, nieprawdaż? - roześmiał się starzec - Zawsze znikał i pojawiał się w potrzebie. W tym sensie - śmiał się dalej - odegrał arcy ważną rolę przy poczęciu jej dzieci. Moim też! Jak sądzę, obydwaj byli opiekuńczymi bodhisattwami rodziców. Pilnowali, aby nic nie stanęło na przeszkodzie urodzenia się tego chłopca. W każdym bądź razie - starzec mówił już z powagą - matka zapamiętała, że zawsze, gdy się pojawiał jeden albo drugi, rozsiewali woń kosmetyku, którego zapach na próżno usiłowali skopiować zawodowcy Diora.
- Czy był to może zapach orchidei zmieszany z maleńką szczyptą imbiru? - z niedowierzaniem pytał Jimpa.
- Tak, to zapach orchidei, to zapach mojej matki i - co ważniejsze - to

zapach samego Śakyamuniego. Zrozumiałem to na schodach Dżo-
k'angu w Lhasie. Ten chłopiec, drogi przyjacielu - jest rezultatem tego
zapachu, to znaczy - poprawił się szybko - stanowi rezultat kosmicznej
interwencji! A taka in-

- terwencja musiała mieć poważny cel! Nie robi się takich rzeczy bez
przyczyny, nieprawda?

Jimpa nie mówił nic. Zastanawiał się, czy jest w stanie wyjaśnić
towarzyszom podróży, że oto mają przed sobą kolejną reinkarnację
świętego Geduna Truppy.

-Zapraszam do domu! - Aywan Bell gościnnym gestem
wskazał główne wejście.

Gdy mnisi, po kolei, wchodzili do recepcyjnego holu, jako ostatni
wsunął się kapłan wyroczeni. Dostrzegł chłopca. Krew uderzyła mu do
głowy, zbladł tak nagle, że obecni zatrwożyli się o jego zdrowie. Chwycił
kilka haustów powietrza i padł na kolana. Chłopiec nie przestraszył się.
Odważnie zrobił krok w jego kierunku. Kapłan wyjął spod fałdów szaty
jakiś przedmiot. To była *wadźra* - wykuta w srebrze, przypominająca dwie
zespalone książęce mitry, symbol mocy, atrybut Buddy Awalokiteśwary,
opiekuna i twórcy lamaizmu.

-To twoja własność, Wasza Świątobliwość! - powiedział
chrapliwym głosem - Teraz, to twoja własność!

Chłopiec przyjął przedmiot bez wahania. Powiódł wzrokiem po
wszystkich obecnych. Ucałował i przytulił go do piersi. Poszukiwania
były skończone.

Intronizacja Aywana Gyatso, XV Dalajlamy Tybetu, stała się wydarzeniem o globalnym zasięgu. To, że - podobnie jak w pogrzebie jego poprzednika - uczestniczyły w niej liczne głowy państwa, premierzy rządów i wysocy dostojnicy religijni z całego świata, nie odbiłoby się może tak głośnym echem, gdyby nie fakt, że uroczystość odbyła się w Lhasie. Poprzedzona była wielką ceremonią dziękczynną na placu przed katedrą Dżo-k'ang - symbolem trwałości buddyzmu w Tybecie i siły jego oddziaływania na ludzi wszystkich kontynentów. Odnalezienie nowej reinkarnacji skłoniło Chiny do zmiany polityki. Rząd w Pekinie zgodził się na powrót Dalajlamy na pusty od dziesięcioleci Lwi Tron. Na mocy ustaleń międzynarodowej konferencji, obszar Lhasy, zamknięty państwowym okręgiem Parkoru, wraz z Dżo-k'angiem i pałacem Pota-la, uzyskał eksterytorialność podobną do statusu Watykanu. Dalajlama, jak papież katolików, stał się podmiotem prawa międzynarodowego, zdolnym do oddziaływania z Czerwonej Góry swym duchowym przykładem na cały świat. Chiny uległy. Większość mieszkańców chińskich dzielnic Lhasy nawróciła się na buddyzm, a tłumy zbierające się z okazji audiencji generalnych XV Dalajlamy stanowiły przedziwną mieszankę ludzi, ras i wyznań.

W dniu intronizacji, której finał - zgodnie z tradycją - miał miejsce w sali *Si Szi P'unc'ok* - „*komnacie wszystkich dobrych uczynków nadziemskiego i ziemskiego świata*”, młody Dalajlama zażyczył sobie, aby 'mała intronizacja' odbyła się w skromnym gronie najbliższych współpracowników w świątyni Dżo-k'ang. Tam, na piętrze, po lewej stronie od wejścia, stała replika Lwiego Tronu, nadaremnie oczekująca Tenzina Gyatso, XIV Dalajlamy. Na oparciu, zawsze smutno powiewała

jego żółto-pomarańczowa szarfa modlitewna, która nigdy nie doczekała powrotu właściciela. Aywan Gyatso, pragnął dokonać symbolicznego zwrócenia Lwiego Tronu prawowitemu władcy. Odbyło się to w zupełnej ciszy, przerywanej monotonnymi głosami mnichów, recytującymi w takt bębenków świętą mantrę *om mani pddme lium!* Po chwili modlitwy Dalajlama zażądał, aby pozostawiono go samego. W ciszy modlił się dalej. Nagle wstał. Pewnym krokiem skierował się korytarzem w dół. Dotarł do jego wilgotnego, ciemnego, końca. W samym dole majaczyła ślepa ściana z czerwonej cegły. Młody Dalajlama ukląkł. Złożył dłonie na piersi w modlitewnym geście. Przez dłuższą chwilę mruczał coś do siebie. Nagle podniósł ręce w geście transu.

IMAM GURU RATNA MANDALAKAM NIRUATA YAMI! -
powiedział półgłosem - I ZEŚLIJCIE NA MNIE WASZE
PRZEKSZTAŁCAJĄCE MOCE! *OM TAREŃ TUTTARE TUREŃ SOHA! OM
TAREŃ TUTTARE TUREŃ SOHA!*

Na ścianie zarysowały się drzwi, jakby wynurzające się z gęstej mgły. Otworzyły się bezszelestnie. Za nimi panowała mroczna cisza. Aywan Gyatso skierował się ku wejściu. Przez chwilę modlił się jeszcze, po czym wszedł do środka. Za nim, z bezmyślnym brzękiem skrzydełek, wpadła mucha. Zwykła mucha, jakich latem pojawia się miliony.

-Ta ofiara nie jest potrzebna! - mruknął młody Dalajlama -
Szkoda muchy!

W odruchu *ahinsy* - zasady nie krzywdzenia istot żywych -pochwycił ją w zagiętą w pułapkę dłoń. Szybkim ruchem skierował lot z powrotem i wypuścił w mrok korytarza. Brzęk muszych skrzydełek oddalił się w

ciemność.

-Czy ona tu jeszcze jest? - pytał sam siebie. Miał na myśli Palden Lhamo, opiekunkę Lhasy. - Przez tyle lat samotności mogła się poddać albo zdziwaczeć! -

Rozglądał się z uwagą w półmroku pomieszczenia. Pod ścianami paliły się słabym płomieniem maślane lampki. Migoczący blask, odbijany przez marmur ołtarza skrytego w narożniku, nadawał sali koloryt szczególnej świętości. Sanktuarium było nienaruszone. Z zamkniętych, umieszczonych w centrum drzwiczek, promieniowało odczuwalne ciepło, podtrzymywane słabym światłem wypływającym z wnętrza ołtarza.

-Ktoś musi te lampki podsycać! - serce zabiło nadzieją.

Na ścianie pomieszczenia narastał wodny purchel. Aywan roześmiał się radośnie i zasłonił twarz otwartą dłonią. Wielka kropla popędziła w jego kierunku i zamiast na twarzy rozprysła się na palcach. Następna, formując się groźnie na wilgotnej ścianie komnaty, zatrzymała rozrost, jakby nagle zmieniła zdanie i po chwili znikła, niby wciągnięta przez niewidzialne usta. Usłyszał dźwięk, podobny do cmoknięcia wydanego przez grube mięsiste wargi. Poczł dreszcz chłodnego mrowienia. Palden Lhamo przetrwała i wciąż panuje nad sytuacją! Nadal dogląda Mocy! Zdawało mu się nawet, że przez chwilę widział w mroku komnaty szeroki, żabi uśmiech, odkrywający szereg krótkich zębów. Poczł radość.

-Tak dawno mnie tu nie było! - uniesienie rozpierało piersi

- Nic się przez te lata nie zmieniło! Wszystko jest na swoim miejscu, a świat - jak dawniej - może czuć się bezpieczny!

Ukląkł. Wzniósł ręce do modlitwy. Przez chwilę miał wrażenie, że szerokie usta czarnej bogini znowu złożyły się w mroku w żabi uśmiech.

- „*Obyśmy wzbudzili pełen mocy umysł pełen cnót*” - powtarzał szeptem zwrotkę modlitewnego wiersza Pierwszego Panczenlamy - „*kiedy żywioły - ziemi, wody, ognia i wiatru - rozpuszczają się jeden po drugim. Obyśmy odrodzili się w czystej krainie!*”. Niechaj Moc - to było jego własne życzenie - nadal czuwa nad światem i nich świat dojrzeje do Mocy! *Om mani padme huml Om mani padme huml Om mani padme hum!* „Zaprawdę, klejnot jest ukryty w lotosie!”...

Spis treści

Słowo wstępne, Maciej Kysiak. 5

Rozdział pierwszy:

PEŁNY OBRÓT SAMSARY. LHASA 1950 7

Rozdział drugi:

BLIŹNIACZA REINKARNACJA.

BUR1ACJA 1875-1882. 31

Rozdział trzeci:

INICJACJA.

KLASZTOR ASTAGAT, MONGOLIA. 65

Rozdział czwarty:

PODRÓŻ DO LHASY.

SINKIANG, GANSU, TYBET 90

Rozdział piąty:

LHASA. TRZYNASTY DALAJLAMA. 123

Rozdział szósty:

POTALA. WŁADZA. 142

Rozdział siódmy:

OPCJA ROSYJSKA.

SANKT PETERSBURG 1898-1901. 159

u

Rozdział ósmy:

WOJNA Z BRYTYJCZYKAMI, 1903-1904. 196

Rozdział dziewiąty:

WOJNA ROSYJSKO-JAPOŃSKA 217

Rozdział dziesiąty:

UCIECZKA Z PEKINU 254

Rozdział jedenasty:

SPEŁNIENIE. MAJA I BUDDA Z JADEITU 295

Rozdział dwunasty:

DWA OCEANY. MALAJE IRANGUN 340

Rozdział trzynasty:

KALKUTA 371

Rozdział czternasty:

NIEPODLEGŁOŚĆ. STRAŻNIK MOCY 410

Rozdział piętnasty:

PIELGRZYMKA. ODRODZENIE 441

Spis treści

474